

NAJNOWSZA POWIEŚĆ AUTORKI

Zanim się pojawiłeś i Światła w środku nocy

# JOJO MOYES

Kiedy weszłam  
w twoje  
życie

#czytamMoyes



JOJO MOYES

# Kiedy weszłam w twoje życie

*Tłumaczenie  
Monika Bukowska*

JEDNYMSŁOWEM

**znak**

Kraków 2023

*Dla JWH*



Sam wpatruje się w powoli jaśniejący sufit i próbuje oddychać tak, jak jej zalecił lekarz, jednocześnie usiłując zatrzymać myśli, które teraz, o piątej rano, kłębią jej się w głowie na podobieństwo wielkiej czarnej chmury.

Wdech na sześć, wstrzymanie na trzy, wydech na siedem.

Jestem zdrowa, mówi do siebie. Mam zdrową rodzinę. Pies przestał sikać w korytarzu. Mam pełną lodówkę, a do tego wciąż mam pracę. Trochę żałuje wtrącenia „wciąż” w tym zdaniu, ponieważ na myśl o pracy znowu ściska ją w żołądku.

Wdech na sześć, wstrzymanie na trzy, wydech na siedem.

Jej rodzice nadal żyją. Choć musi przyznać, że trudno jej umieszczać ich na liście swoich powodów do wdzięczności. Boże. Od własnej matki na pewno usłyszy w niedzielę jakąś kąśliwą uwagę na temat tego, że ciągle odwiedza matkę Phila. Te słowa padną gdzieś między kieliszkiem sherry i ciężkim deserem, nieuniknione jak śmierć, podatki i pojedyncze włoski na brodzie. Sam wyobraża sobie, jak odpiera ten atak z uprzejmym uśmiechem: Mamo, Nancy właśnie straciła męża, z którym spędziła pięćdziesiąt lat. Czuje się trochę samotna.

Ale odwiedzałaś ją przez cały czas, kiedy jeszcze żył, prawda? – padnie odpowiedź matki.

Owszem, ale jej mąż umierał. Phil chciał się jak najczęściej widywać z tatą, zanim ten opuścił ziemski padół. Nie chodziliśmy tam poimprezować.

Sam uświadamia sobie, że oto odbywa kolejną wymyśloną kłótnię z matką, i powstrzymuje się, usiłując, tak jak doradzano w pewnym artykule, włożyć tę myśl do wyobrazonego pudełka, a następnie przykryć je wyobrażonym wieczkiem. Tyle że ono nie chce się domknąć. Sam łapie się na tym, że ostatnio prowadzi mnóstwo wymyślonych kłótni: z Simonem w pracy, ze swoją matką, z kobietą, która wczoraj wcisnęła się przed nią do kasy. Żadnej z tych kłótni nie odbędzie jednak w prawdziwym życiu. Więc tylko zaciska zęby. I próbuje oddychać.

Wdech na sześć, wstrzymanie na trzy, wydech na siedem.

Przecież nie żyję w kraju objętym wojną, myśli sobie. W kranie płynie czysta woda, jedzenia jest pod dostatkiem. Nie muszę się bać wybuchów bomb ani wystrzałów. Ani głodu. A to już jest przecież powód do wdzięczności. Ale na samą myśl o tych biednych dzieciach cierpiących na skutek wojny łzy napływają jej do oczu. Zresztą cały czas zbiera jej się na płacz. Cat jej powtarza, żeby zgłosiła się do lekarza po hormonalną terapię zastępczą, ale Sam ciągle ma okres i od czasu do czasu wypryski (i gdzie tu sprawiedliwość?), a zresztą nie ma jak się umówić do lekarza. Ostatnim razem, gdy próbowała, nie mieli wolnych terminów na kolejne dwa tygodnie. A co, gdybym była umierająca? – pomyślała wtedy. I odbyła w myślach kłótnię z recepcjonistką z poradni.

Jednak w prawdziwym życiu powiedziała tylko:

– O, to trochę odległy termin. Tak właściwie nic mi się nie dzieje. Bardzo dziękuję.

Odwraca głowę w prawo. Phil śpi, ma zatroskaną minę nawet przez sen. Sam aż korci, żeby zmierzić mu włosy, ale kiedy ostatnio tego próbowała, Phil gwałtownie się przebudził, wystraszony i rozżalony, jak gdyby dokonała jakiegoś aktu okrucieństwa.

Więc powstrzymuje się i kładzie na kołdrze złożone ręce, próbując przyjąć zrelaksowaną, spokojną pozycję. Odpoczynek jest równie dobry jak sen – usłyszała kiedyś. Tylko oczyścić myśli i pozwól ciału się odprężyć. Pozbądź się napięcia w rękach i nogach, poczawszy od palców u stóp. Niech stopy staną się ciężkie. Niech to uczucie wędruje powoli do kostek, do kolan, przez biodra, brzu...

Ech, pieprzyć to – rozlega się głos w jej głowie. Jest za kwadrans szósta. Równie dobrze mogę się już zwlec z łóżka.

– Mleko się skończyło – oznajmia Cat, wpatrując się oskarżycielsko we wnętrze lodówki, jak gdyby czekała, aż karton się w niej zmaterializuje.

– Nie możesz skoczyć do sklepu?

– Nie mam czasu – odpowiada Cat. – Muszę się jeszcze zająć włosami.

– Obawiam się, że ja też nie mam czasu.

– A co się dzieje?

– Idę dziś na tę siłownię, na którą kupiłaś mi jednodniowy karnet. Do Bodyworks. Wygasa jutro.  
– Ale dałam ci go rok temu! I jeśli idziesz potem do pracy, to chyba długo tam nie zabawisz.  
– Za późno o tym pomyślałam. Ale przynajmniej siłownia jest blisko biura. Po prostu nie miałam na to czasu.

Sam nigdy nie ma czasu. Powtarza to jak mantrę, podobnie jak słowa „jestem wykończona”. Ale nikt na nic nie ma czasu. I wszyscy są zmęczeni.

Cat unosi brwi. Dla niej dbanie o siebie to podstawa, to rzecz ważniejsza od bardziej prozaicznych potrzeb, jak pieniądze, dach nad głową czy jedzenie.

– Ciągle ci powtarzam, mamo, że takie rzeczy trzeba wykorzystywać jak najszybciej, bo inaczej przepadną – mówi Cat, spoglądając na coraz szerszą talię matki z ledwo ukrywanym przerażeniem. Zamyka lodówkę. – Masakra. Nie wiem, dlaczego tata nie może nawet kupić kartonu mleka.

– Zostaw mu kartkę – odpowiada Sam, zbierając swoje rzeczy. – Może dzisiaj poczuje się lepiej.

– Prędeż mi kaktus na ręce wyrosnie.

Cat opuszcza kuchnię pewnym krokiem, typowym dla dziewiętnastolatek. Kilka chwil później Sam słyszy wściekły ryk swojej suszarki do włosów i wie, że pozostanie ona w pokoju córki, dopóki nie zacznie się domagać jej zwrotu.

– Zresztą myślałam, że już nie pijesz krowiego mleka! – krzyczy do niej.

Suszarka milknie na chwilę.

– Teraz to już się czepiasz! – słyszy w odpowiedzi.

Sam wygrzebuje z szuflady strój kąpielowy i wsuwa go do czarnej torby sportowej.

Właśnie wykręca mokry kostium, kiedy do szatni wpada banda bogatych mamusiek, wypacykowanych i chudych jak szczapy. Rozłazą się po całym pomieszczeniu, zakłócając głośnymi rozmowami błogą ciszę, i zachowują się tak, jakby jej tu nie było. Sam czuje, jak jej wewnętrzny spokój, wypracowany po dwudziestokrotnym przepłynięciu długości basenu, zupełnie wyparowuje. Wystarczyła jej godzina spędzona w tym miejscu, by przypomniawszy sobie, dlaczego nienawidzi takich przybytków: za ten apartheid jędrnych ciał, w którym osoby odbiegające od ideału, takie jak ona, muszą się chować po kątach. Przechodziła obok tego miejsca milion razy i zastanawiała się, czy nie wejść do środka. Uświadamia sobie, że towarzystwo tego typu kobiet działa na nią tak źle, że psuje cały efekt relaksu uzyskany na basenie.

– Nina, masz potem czas na kawę? Pomyślałam, że mogłybyśmy pójść do tej uroczej knajpki, którą otworzyli za drogerią. Do tej, gdzie podają poke bowls.

– Och, bardzo chętnie. Ale muszę wyjść przed jedenastą. Potem zabieram Leonie do ortodonty. A Ty, Ems?

– O Boże, jasne! Potrzebuję wyskoczyć na ploty.

Te kobiety noszą markowe sportowe ciuchy, zawsze mają idealne fryzury i czas na kawę. Do tego torby z logo znanych marek, a nie tak jak ona – tanią podróbkę Marca Jacobsa, oraz mężów o imionach Rupe albo Tris, którzy beztrudnie rzucają koperty z wysokimi premiami na lśniące blaty kuchenne pochodzące z eleganckich designerskich sklepów. Te kobiety jeżdżą wielkimi terenówkami, nieskalanymi błotem, bez żenady zastawiają nimi auta innych, po czym zamawiają u zgnębionych baristów babyccino dla swoich płaczliwych dzieci i cmokają z irytacją, kiedy dostają napój niespełniający ich wyśrubowanych oczekiwań. Nie zamartwiają się, nie mogąc zasnąć do czwartej nad ranem, o rachunki za prąd, ani nie mdli ich na myśl o tym, że rano znowu zobaczą swojego nowego szefa, który powita je w błyszczącym garniturze, emanując ledwo ukrywaną pogardą.

One nie mają mężów, którzy do południa paradują w spodniach od piżamy i przybierają minę cierpiętника przy każdym napomknięciu żony, że może by tak spróbowali poszukać pracy.

Sam jest w takim wieku, kiedy wydają się do niej lgnąć wszystkie złe rzeczy – takie jak nadwaga, bruzda między brwiami czy ciągły niepokój – podczas gdy cała reszta – pewna praca, szczęście małżeńskie i marzenia – oddalają się z prędkością światła.

– Nie masz pojęcia, jak podnieśli ceny w Le Méridien w tym roku – mówi jedna z kobiet. Pochyliła głowę i wyciera ręcznikiem włosy ozdobione refleksami, których zrobienie pewnie kosztowało fortunę. Panoszy się tak, że Sam musi przemykać kątem, by o nią nie zahaczyć.

– Wiem! Próbowaliśmy zarezerwować pobyt na Mauritiusie na święta i okazało się, że cena willi, w której zawsze mieszkaliśmy, wzrosła o czterdzieści procent.

– To po prostu skandal!

Tak, to skandal, myśli Sam. Ale wam życie daje w kość. Staje jej przed oczami kamper, który Phil kupił dwa lata temu i miał wyremontować. „Będziemy mogli spędzać weekendy nad morzem”, mówi radośnie, spoglądając na stojący na ich podjeździe ogromny wóz z wymalowanym z boku gigantycznym słonecznikiem. Skończyło się na tym, że wymienił jedynie tylny zderzak. Od jego Roku Klęski samochód stoi przed domem, będąc dręczącym przypomnieniem tego, co utracili.

Sam wbija się w majtki, starając się ukryć pod ręcznikiem swoje blade ciało. Dzisiaj czekają ją cztery spotkania z ważnymi klientami. Za pół godziny widzi się z Tedem i Joelem z działu transportu i będą próbowali zdobyć dla swojej firmy ważne kontrakty. A ona będzie próbowała ocalić swoją posadę. Możliwe, że nie tylko swoją.

Więc żadnej presji, skądże.

– Myślę, że pojedziemy w tym roku na Malediwy. No wiesz, zanim ich całkiem zaleje.

– O, świetny pomysł. Nam bardzo się tam podobało. I jaka szkoda, że ich zalewa.

Jakaś kobieta przepycha się obok Sam, by dostać się do swojej szafki. Ma ciemne włosy, tak jak Sam, możliwe, że jest o kilka lat młodsza, ale ma umięśnione ciało i w ogóle widać, że to osoba, dla której ciężkie ćwiczenia, nawilżanie skóry i zabiegi upiększające to codzienność. Pachnie czymś drogim, jakby to dosłownie emanowało z jej porów.

Sam podciąga ręcznik na swojej bladej, objętej cellulitem skórze i idzie wysuszyć włosy. Kiedy wraca, tamtych już nie ma. Wydaje westchnienie ulgi i opada ciężko na drewnianą ławkę. Ma ochotę położyć się na pół godziny na jednym z podgrzewanych marmurowych łóżek. Ta myśl sprawia, że po jej ciele rozchodzi się fala błogości: pół godziny beztróskiego leżenia w kojącej ciszy.

Słyszy, jak w jej kurtce, wiszącej w szafce za jej plecami, brzęczy telefon. Wyciąga go z kieszeni.

Gotowa? Czekamy na zewnątrz – odczytuje wiadomość, po czym odpisuje:

Co takiego? Mieliliśmy być u Framptona dopiero po południu.

Simon Ci nie przekazał? Spotkanie zostało przesunięte na 10. Wychodź, bo się spóźnimy.

Sam spogląda na telefon z przerażeniem. To oznacza, że pierwsze z czekających ją spotkań rozpoczyna się za dwadzieścia trzy minuty. Z jękiem wbija się w spodnie, chwyta leżącą na ławce torbę i rusza w stronę parkingu.

Brudna biała furgonetka z napisem GRAYSIDE PRINT SOLUTIONS czeka przy wyjeździe z magazynu. Sam próbuje biec w jej stronę w klapkach z siłowni. Zwróci je jutro, ale już teraz czuje się winna, jak gdyby dokonała jakiegoś poważnego wykroczenia. Włosy ma jeszcze wilgotne i lekko dyszy.

– Simon chyba szuka pretekstu, żeby się do ciebie przyczepić – odzywa się Ted, kiedy Sam gramoli się do furgonetki, i przesuwa się, by zrobić jej miejsce. Czuć od niego papierosami i Old Spice.

– Myślisz?

– Lepiej na niego uważaj. I zawsze potwierdzaj godziny spotkań z Genevieve – dodaje Joel, obracając kierownicą. Dredy ma związane w schludny kucyk, pewnie po to, by się dobrze prezentować na spotkaniach.

– To już nie jest to samo, od kiedy nas przejęli, co nie? – stwierdza Ted, gdy wyjeżdżają na drogę. – Człowiek ma wrażenie, że nie zna dnia ani godziny.

Na desce rozdzielczej leżą dwie puste, oprószone cukrem papierowe torby, a Ted wręcza Sam trzecią, w której znajduje się pękaty, jeszcze ciepły pączek z dżemem.

– Smacznego – mówi. – Oto śniadanie mistrzów.

Sam nie powinna go jeść. Ten pączek zawiera pewnie dwa razy tyle kalorii, ile dopiero co spaliła na basenie, jeśli nie więcej. Już słyszy w myślach, jak Cat wzdycha z dezaprobatą. Ale po chwili wahania bierze go do ust i zamyka oczy, delektując się jego ciepłem i słodyczą. Tak niewiele ma ostatnio w życiu przyjemności.

– Genevieve znowu słyszała, jak mówił przez telefon o zwolnieniach – odzywa się Joel. – Podobno kiedy weszła do jego gabinetu, nagle zmienił temat.

Za każdym razem, kiedy Sam słyszy „zwolnienie”, słowo, które krąży po biurze w atmosferze paniki, czuje ucisk w żołądku. Nie ma pojęcia, co będzie, jeśli i ona straci pracę. Phil nie chce brać antydepresantów, które przepisał mu lekarz. Mówi, że robi się od nich senny, jak gdyby i tak nie spał do jedenastej niemal codziennie.

– Nie dojdzie do tego – stwierdza Ted, choć mało przekonującym tonem. – Sam załatwi nam jakies

nowe kontrakty, prawda?

Sam uświadamia sobie, że obaj spoglądają na nią.

– Tak – odpowiada. A potem powtarza bardziej optymistycznym tonem: – Tak!

Przegląda się w małym lusterku i poprawia makijaż, klnąc w duchu za każdym razem, kiedy samochód podskakuje na wyboju, a rozmazane w ten sposób kreski ściera poślinionym palcem. Na szczęście włosy po wysuszeniu nie wyglądają jakoś koszmarnie. Przekartkowuje szybko dokumenty, by mieć pewność, że wszystkie dane liczbowe ma pod ręką. Jak przez mgłę pamięta, że kiedyś czuła się w tym wszystkim pewnie, a idąc na spotkanie, wiedziała, że jest dobra w tym, co robi. Ogarnij się, Sam, postaraj się być znowu tamtą osobą – mówi do siebie w duchu. A potem wysuwa stopy z kłapek i sięga do torby po buty.

– Będziemy na miejscu za pięć minut – oznajmia Joel.

I wtedy Sam orientuje się, że chociaż ta torba wygląda jak jej, wcale do niej nie należy. W środku nie ma jej wygodnych czarnych czółenek, odpowiednich do szybkiego chodzenia i negocjowania umów na zlecenia poligraficzne. Ta torba zawiera parę obłędnych czerwonych szpilek z krokodylej skóry – zapinanych na pasek, z odkrytymi palcami – od Christiana Louboutina.

Wyciąga jeden but i przygląda mu się ze zdumieniem.

– A niech mnie – odzywa się Ted. – Czy pierwsze spotkanie mamy w klubie nocnym?

Sam zaczyna grzebać w torbie, wyciąga z niej drugi but, džinsy, a potem starannie złożony jasny żakiet od Chanel.

– O Boże – wzdycha. – To nie moje. Zabrałam czyjaś torbę. Musimy tam wrócić.

– Nie mamy na to czasu – mówi Joel, nie odrywając wzroku od drogi. – Już i tak grozi nam spóźnienie.

– Ale muszę odzyskać swoją torbę.

– Przykro mi, Sam. Wrócimy tam później. Nie możesz iść w tym, w czym byłeś na siłowni?

– Nie mogę pójść w kłapkach na spotkanie biznesowe.

– A nie możesz włożyć tych butów?

– Chyba sobie kpisz.

Ted bierze od niej jedną ze szpilek.

– Ona ma rację, Joel. Te buty... nie są w jej stylu.

– Dlaczego? A co twoim zdaniem jest w moim stylu?

– Hmm... proste rzeczy. Lubisz wszystko, co zwyczajne. I praktyczne.

– Wiesz, co mówią o takich butach – zaczyna Joel.

– Co takiego?

– One nie są do chodzenia.

Obaj szturchają się i chichoczą.

Sam wrywa mu z ręki but, który okazuje się o pół rozmiaru za mały. Ostrożnie wkłada do niego stopę i zapina pasek.

– Cudownie – stwierdza, spoglądając na swoją nogę. – Pójdę na spotkanie z klientem, wyglądając jak call girl.

– Ale chociaż jak ekskluzywna call girl – dodaje Ted.

– Że co?

– No wiesz. To w końcu inna liga niż bezzębna dziwka robiąca laskę za pięć funtów...

Sam odczekuje, aż śmiech Joela ucichnie.

– Dzięki, Ted – wzdycha, wpatrując się w okno. – Od razu czuję się lepiej.

Spotkanie nie odbywa się jednak w biurze, tak jak się tego spodziewała. Ich potencjalny klient ma problem z jedną z ciężarówek, więc rozmowa została przeniesiona w okolice magazynu, do strefy załadunku, gdzie Michael Frampton będzie jednocześnie nadzorował naprawę systemu hydraulicznego. Sam robi kilka kroków na obcasach i jej stopy owiewa zimne powietrze. Lepiej by się czuła, gdyby miała zrobiony pedikiur, ale ostatni raz pozwoliła sobie na taki luksus chyba kilkanaście lat temu. Kostki jej się chwieją, jak gdyby były z gumy, a Sam zastanawia się, jak, u licha, ktokolwiek jest w stanie normalnie chodzić w czymś takim. Joel miał rację. To nie są buty do chodzenia.

– Wszystko w porządku? – pyta Ted, kiedy zbliżają się do grupki mężczyzn.

– Nie – mruczy Sam w odpowiedzi. – Czuję się jak na szczydach.

Wózek widłowy z ogłuszającym pikaniem przenosi ogromną belę papieru tuż przed ich nosami, przez

co cała trójka musi się uchylić, a Sam się potyka. Wszyscy mężczyźni zebrani wokół ciężarówki na nią spoglądają. A potem na jej buty.

– Myślałem już, że nie przyjedziecie.

Michael Frampton jest ponurym mężczyzną pochodzącym z Yorkshire, typem człowieka, który w każdej rozmowie daje drugiemu do zrozumienia, jak bardzo ma w życiu pod górkę, sugerując jednocześnie, że inni mają lżej.

Sam przywołuje na twarz wymuszony uśmiech.

– Bardzo nam przykro – odpowiada pogodnym tonem. – Mieliśmy inne spotkanie, które...

– Korki – oznajmia Joel jednocześnie i oboje zerkają na siebie z zakłopotaniem.

– Sam Kemp – przedstawia się. – Poznaliśmy się w...

– Pamiętam panią – mówi Frampton i odwraca wzrok.

Mijają dwie niezręczne minuty, w czasie których ich gospodarz rozmawia z młodym człowiekiem w kombinezonie o czymś, co ma zapisane w notatkach, podczas gdy Sam stoi obok bezradnie, czując na sobie wścibskie spojrzenia innych mężczyzn. Jej krzykliwe buty przykuwają uwagę wszystkich.

– Okej – odzywa się Frampton, skończywszy tamtą rozmowę. – Zanim zaczniemy, muszę panią ostrzec, że Printex zaproponował nam bardzo atrakcyjne warunki.

– Za to my... – zaczyna Sam.

– I podobno teraz, kiedy Grayside został wchłonięty przez większą firmę, nie jesteście już tak elastyczni...

– Nie ujęłabym tego w ten sposób. Za to teraz możemy zaoferować korzyści skali, jakości i niezawodność.

Sam czuje się nieswojo, ma wrażenie, że wszyscy się na nią gapią, jakby wiedzieli, że ta kobieta w średnim wieku przyszła tu w cudzych butach. Rozmowa idzie jak po grudzie, Sam odpowiada na wszystko niepewnie, rumieniąc się i uznając, że wszystkie spojrzenia skierowane w stronę jej stóp są zabarwione krytyką.

Wreszcie wyciąga z torby teczkę z dokumentami zawierającymi wycenę, nad którą pracowała wiele godzin. Zamierza podać ją Framptonowi, oddalonemu o kilka kroków, ale gdy rusza w jego stronę, zahacza o coś obcasem i potyka się, wykręcając kostkę. Czuje biegnący po nodze ostry ból, ale maskuje grymas uśmiechem i wręcza mężczyźnie teczkę. Ten zaczyna przerzucać strony, nawet nie zaszczycając spojrzeniem Sam, która wraca na poprzednie miejsce powoli, usiłując zachować równowagę.

Michael Frampton wreszcie podnosi wzrok.

– Następne zamówienie będzie sporych rozmiarów. Więc musimy mieć pewność, że pracujemy z firmą, która jest w stanie dostarczyć wszystko na czas.

– Już ze sobą współpracowaliśmy, panie Frampton. A w zeszłym miesiącu zrealizowaliśmy podobne zamówienie dla Greenlight. Byli pod wrażeniem naszych katalogów.

– Czy mógłbym rzucić okiem na to, co dla nich zrobiliście? – Z całej jego postawy bije nieufność.

– Oczywiście.

Sam przekartkowuje swoją teczkę, ale wtedy przypomina sobie, że katalog Greenlight jest w tej niebieskiej, którą zostawiła za szybą furgonetki, bo nie sądziła, że będzie jej potrzebna. Żeby się do niej dostać, musiałaby pokonać cały ten spory dystans, podczas gdy wszyscy mężczyźni będą się na nią gapić. Sam spogląda więc znacząco na Joela, który domyślnie proponuje:

– Może ja skoczę po teczkę?

– Jakie jeszcze inne próbki macie w samochodzie? – pyta Frampton.

– Podobne zlecenie wykonaliśmy dla Clarks Office Supplies. W sumie z ostatniego miesiąca mamy całkiem sporo różnych katalogów. Joel, czy mógłbyś...

– Nie trzeba. Sam rzucę na to okiem. – Frampton rusza w stronę ich samochodu. A to oznacza, że ona musi pójść za nim. Więc drepcze obok nieco sztywnym krokiem.

– Potrzebujemy nawiązać współpracę – mówi Frampton, wsuwając ręce do kieszeni – z firmą poligraficzną, która potrafi błyskawicznie reagować. Innymi słowy, która jest elastyczna.

Mężczyzna idzie zbyt szybko, przez co Sam ponownie wykręca kostkę na nierównej powierzchni i wydaje z siebie okrzyk bólu. Kolana się pod nią uginają, na szczęście Joel wyciąga rękę, a Sam chwyta ją, by utrzymać się w pionie. Uśmiecha się z zakłopotaniem, kiedy Frampton posyła im obojgu nieodgadnione



spojrzenie.

Później będzie się palić ze wstydu, gdy tylko przypomni sobie słowa, które wymruczał do Joela – ostatnie słowa skierowane do jakiegokolwiek pracownika Grayside Print.

– Czy ona jest pijana?

Nisha Cantor biegnie napędzana zimną furią. Muzyka dudni jej w uszach, nogi uderzają mocno o bieżnię. Podczas treningów na siłowni Nisha zawsze czuje w sobie zimną furię. Pierwsze półtora kilometra jest najgorsze, na skutek wybuchowej mieszanki kipiącej w niej złości i wytwarzanego przez organizm kwasu mlekowego. Po kolejnym odcinku Nisha staje się naprawdę, ale to naprawdę wściekła. Przy następnym w jej głowie wreszcie zaczyna się przejaśniać, ma wrażenie, jakby jej ciało było dobrze naoliwioną maszyną i że mogłaby tak biec w nieskończoność, ale wtedy znowu ogarnia ją złość, ponieważ musi przestać i zabrać się do czegoś innego, akurat w momencie, gdy zaczynała czerpać z tego przyjemność. Nisha nienawidzi biegania, ale jednocześnie jest jej ono potrzebne do utrzymania równowagi psychicznej. Nie znosi przyjeżdżać do tego cholernego miasta, gdzie ludzie potwornie się wloką, zajmując przy tym całą szerokość chodnika, przez co jedynym miejscem, gdzie można sobie porządnie pobiegać, jest ta koszmarna siłownia, do której hotel przekierowuje swoich gości na czas remontu własnych obiektów sportowych.

Maszyna informuje ją, że pora się uspokoić, i Nisha wyłącza ją gwałtownie, wkurzona, że jakieś głupie urządzenie mówi jej, co ma robić. Nie, nie uspokoję się, odpowiada w myślach. Kiedy wyciąga z jednego ucha słuchawkę, dociera do niej sygnał dzwonka. Nisha sięga po telefon. To Carl.

– Kochanie...

– Przepraszam.

Na dźwięk czyjegoś głosu Nisha podnosi wzrok.

– Proszę wyłączyć telefon – zwraca się do niej młoda kobieta. – Tutaj obowiązuje cisza.

– Wobec tego proszę się przestać wydzierać. I proszę nie podchodzić tak blisko. Zaraz mnie pani ochlapie swoim potem.

Kobiecie lekko opada szczeka, a Nisha przyciska telefon do ucha.

– Nisha, skarbie, co się dzieje?

– Nic, jestem tylko na siłowni, kochanie. Jesteśmy umówieni na lunch?

Głos Carla, miękki jak aksamit, to coś, co Nisha od zawsze w nim uwielbiała.

– Tak, ale może zjedźmy go w hotelu. Muszę wpaść po parę dokumentów.

– Oczywiście – odpowiada Nisha odruchowo. – Co mam dla ciebie zamówić?

– Zamów, co chcesz.

Nisha zamiera. Carl nigdy niczego nie pozostawia jej decyzji.

– Może masz ochotę na omlet z białymi truflami? Albo na stek z tuńczyka?

– Jasne. Doskonały pomysł.

Nisha przetyka ślinę.

– O której godzinie ci pasuje? – Próbuje mówić spokojnym głosem.

Carl przez chwilę nie odpowiada i Nisha słyszy, że rozmawia z kimś w pokoju. Serce zaczyna jej walić.

– Może w południe? Ale nie musisz się spieszyć. Nie chcę cię poganiać.

– Niech będzie w południe – odpowiada Nisha. – Kocham cię.

– Ja ciebie też, skarbie – oznajmia Carl i się rozłącza.

Nisha stoi bez ruchu, krew dudni jej w uszach i nie ma to nic wspólnego z wcześniejszym bieganiem. Przez chwilę ma wrażenie, że głowa zaraz jej eksploduje. Bierze dwa głębokie oddechy. A potem wybiera w telefonie inny numer, tyle że od razu przekierowuje ją do poczty głosowej. Nisha przeklina w myślach różnicę czasu między Londynem a Nowym Jorkiem.

– Magda? – odzywa się, przeczesując palcami spocone włosy. – Tu Nisha Cantor. Musisz się skontaktować z tamtym facetem. Natychmiast.

Kiedy podnosi wzrok, widzi pracownika siłowni w koszulce polo i tanich szortach.

– Proszę pani, tutaj nie można używać telefonu. To wbrew...

– Odczep się pan – przerywa mu Nisha. – Niech pan lepiej umyje podłogę albo zajmie się czymś równie pożytecznym. To miejsce to wylęgarnia zarazków. – Przepycha się obok niego, zmierzając do szatni, i porywa po drodze ręcznik od szatniarza.

Szatnia jest zatłoczona, ale Nisha nikogo nie widzi. Cały czas odtwarza w głowie niedawną rozmowę telefoniczną, a serce jej wali. A więc to już się dzieje. Nisha wie, że musi oczyścić głowę, by odpowiednio

zareagować, ale jej ciało weszło w stan dziwnego zastoju i nic nie działa tak, jak powinno. Przysiada na chwilę na ławce, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Dam radę, mówi sobie, wbijając wzrok w drżące dłonie. Przeżyłam znacznie gorsze rzeczy. Przyciska twarz do ręcznika i oddycha głęboko, dopóki nie uspokoi tego drżenia, po czym prostuje się i ściąga łopatki do tyłu.

Wreszcie wstaje i otwiera szafkę, po czym wyciąga z niej torbę sportową Marca Jacobsa. Ktoś umieścił swoją torbę na ławce obok jej szafki, więc Nisha zsuwa ją na podłogę i kładzie na jej miejscu własną. Prysznic. Musi wziąć prysznic, zanim zrobi cokolwiek innego. Najważniejsze to zachować pozory. A wtedy jej telefon dzwoni ponownie. Kilka kobiet posyła jej karcące spojrzenia, ale Nisha nie zwraca na nie uwagi i bierze go do ręki. To Raymond.

– Mamo? Widziałaś zdjęcie moich brwi?

– Co takiego, kochanie?

– Chodzi o moje brwi. Wysłałem ci zdjęcie. Widziałaś je?

Nisha odsuwa telefon i przegląda wiadomości, aż wreszcie znajduje zdjęcie wysłane jej przez syna.

– Masz piękne brwi, kochanie – uspokaja go, przykładając telefon z powrotem do ucha.

– Są okropne. Złapałem potwornego doła. Widziałem program na temat handlu delfinami, w którym pokazywano te wszystkie zwierzęta zmuszane do uczenia się sztuczek i tym podobnych rzeczy, i dopadło mnie poczucie winy, bo w Meksyku byliśmy w takim samym miejscu, a ja z nimi pływałem, pamiętasz? Poczulem się tak źle, że nie byłem w stanie wyjść z pokoju, a wtedy pomyślałem, że wyreguluję sobie brwi, ale skończyło się to katastrofą, bo teraz wyglądam jak Madonna z połowy lat dziewięćdziesiątych.

Tuż obok jakaś kobieta zaczyna suszyć włosy i Nisha ma ochotę wyrwać jej suszarkę i zatłuc nią to babsko.

– Kochanie, kiepsko cię słyszę. Zaczekaj.

Wychodzi na korytarz i bierze głęboki oddech.

– Wyglądają idealnie – mówi. – Po prostu bosko. A Madonna z połowy lat dziewięćdziesiątych to świetna stylówka, znowu na czasie.

Oczami wyobraźni widzi, jak syn siedzi ze skrzyżowanymi nogami na swoim łóżku w Westchester, tak jak siadywał od dzieciństwa.

– Nie wyglądają bosko, mamo. To katastrofa.

Z szatni wychodzi jakaś kobieta w taniej kurtce i klapkach i przemyka obok Nishy ze spuszczoną głową. Ramiona ma przygarbione, a głowę wbitą w szyję jak żółw, i na jej widok Nisha natychmiast odczuwa irytację. Dlaczego kobiety nie potrafią trzymać się prosto? Jeśli wyglądasz jak ofiara, to nie dziw się, że ludzie cię źle traktują.

– To zrobimy ci microblading, kiedy wrócisz do domu.

– A więc potwierdzasz, że wyglądają okropnie.

– Nie! Nie, wyglądasz świetnie. Ale, kochanie, naprawdę muszę kończyć. Jestem teraz bardzo zajęta. Oddzwonię do ciebie potem.

– Ale dopiero po trzeciej naszego czasu. Muszę iść spać, a potem mamy warsztaty z samoopieki. To kompletna głupota. Każą człowiekowi robić te wszystkie ćwiczenia z uważności i skupiać się na sobie, a przecież już wbijano mi to do głowy i właśnie przez to tu wylądowałem.

– Wiem, kochanie. W takim razie zadzwonię potem. Kocham cię.

Nisha kończy rozmowę i wybiera następny numer.

– Magda? Magda? Dostałaś moją wiadomość? Zadzwon do mnie, jak tylko ją odsłuchasz. Okej?

Akurat się rozłącza, gdy otwierają się drzwi. Pracownik siłowni wychodzi na korytarz i dostrzega, że Nisha trzyma w ręce telefon.

– Proszę pani, bardzo mi przykro, ale...

– Nie waż się kończyć – warczy Nisha, a mężczyzna zamyka usta. Istnieją pewne zalety bycia Amerykanką po czterdziestce, która ma już wszystko gdzieś, i on to widzi. To pierwsza rzecz w całym tym tygodniu, która sprawia jej satysfakcję.

Nisha bierze prysznic, smaruje nogi tanim balsamem oferowanym przez siłownię (choć wie, że przez resztę dnia będzie śmierdzieć jak toaleta w pociągu), związuje mokre włosy w kok, a potem staje na ręczniku (na myśl o podłogach w takich miejscach, o martwym naskórku i grzybicy, przechodzą ją ciarki) i spogląda po raz enty na telefon, by sprawdzić, czy Magda oddzwoniła.

Próby stłumienia narastających jej w piersi wściekłości i niepokoju wymagają od Nishy coraz większego wysiłku. Zdejmuje z wieszaka i wciąga przez głowę bluzkę, której gładki jedwab otula jej ciepłą, wilgotną skórę. Gdzie się podziewa Magda, na litość boską?! Nisha siada i jeszcze raz zerka na telefon, sięgając jednocześnie do torby po dzinsy i buty. Maca dłońmi w środku i wreszcie wyjmuje stamtąd sfatygowane brzydkie czarne czółenko na platformie. Spogląda zaskoczona na to, co ma w ręce, po czym odrzuca but z jękiem przerażenia. Wyciera palce w ręcznik, a potem, trzymając zamek przez materiał, powoli otwiera torbę i zerka do środka. Dopiero po chwili dociera do niej, co widzi. To nie jest jej torba. To jakaś podróbka ze sztucznej skóry, która łuszczy się przy szwach, a niby mosiężna zawieszka z napisem „Marc Jacobs” zdążyła się już wytrzeć i zmatowieć.

Nisha zerka pod ławkę. A potem za siebie. Większość tych wkurzających kobiet już poszła i w szatni nie ma żadnych innych toreb, jest tylko kilka otwartych szafek. Ta podróbka przypomina jej torbę – ten sam rozmiar, ten sam kolor, te same uchwyty – ale stanowczo nie jest jej własnością.

– Kto zabrał moją torbę? – odzywa się Nisha na głos, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Kto, do cholery, zabrał moją torbę?

Kilka kobiet w szatni spogląda w jej stronę, ale twarze mają obojętne.

– Nie – mówi Nisha. – Nie, nie, nie, nie, nie. Tylko nie dzisiaj. Tylko nie teraz.

Dziewczyna siedząca w recepcji nawet nie mrugnie.

– Gdzie jest zapis z kamer?

– W damskiej szatni nie ma kamer, proszę pani. Prawo na to nie zezwala.

– Więc jak mam się dowiedzieć, kto ukradł moją torbę?

– Nic nie wskazuje na to, że została skradziona. Z pani opisu wygląda to na pomyłkę, skoro torby były takie podobne...

– Naprawdę myśli pani, że ktoś mógłby „przez pomyłkę” zabrać mój żakiet od Chanel i zrobione na zamówienie szpilki, które wyszły spod ręki samego Christiana Louboutina, skoro ten ktoś sam ubiera się w... – Nisha spogląda do torby, krzywiąc się przy tym – w Primarku?!

Twarz recepcjonistki ani drgnie.

– Możemy przejrzeć zapis z kamery przy wejściu, ale muszę mieć na to zgodę z centrali.

– Nie mam na to czasu. Kto ostatni stąd wychodził?

– Nie prowadzimy takiego wykazu. Wszystko mamy zautomatyzowane. Jeśli pani zaczeka, zadzwonię po menedżera, żeby tu przyjechał.

– No, nareszcie! A gdzie on teraz jest?

– Na szkoleniu w Pinner, w północno-zachodnim Londynie.

– Och, na litość boską. Dajcie mi jakieś adidasy. Macie tu obuwie sportowe? Muszę się jakoś dostać do samochodu.

Nisha wygląda przez okno.

– Gdzie jest mój samochód? Gdzie on się podział?

Odwraca się od stanowiska recepcji i wybiera numer w telefonie. Brak odpowiedzi. Recepcjonistka wyciąga spod lady plastikową paczkę. Wygląda na tak znudzoną, jakby właśnie musiała wysłuchać dwugodzinnej prelekcji TED na temat schnięcia farby. Ciska paczką o blat.

– Mamy klapki.

Nisha spogląda na dziewczynę, potem na buty, a potem znowu na tamtą. Twarz recepcjonistki jest zupełnie pozbawiona wyrazu. Wreszcie Nisha zabiera klapki i mrucząc ze złości, zakłada je na nogi. Kiedy wychodzi, słyszy jeszcze za plecami:

– Skaranie boskie z tymi Amerykankami.

– Nic się nie dzieje, moja droga. Przed nami jeszcze trzy – pociesza ją Ted.

Na następne spotkanie jadą w milczeniu. Sam przez ostatnich dwadzieścia minut była pochłonięta użalaniem się nad sobą, a poczucie winy wsiąkało w każdą z jej komórek, które kiedyś zawierały – niewielką, bo niewielką, ale jednak jakąś – pewność siebie. Co musieli sobie o niej pomyśleć? Wciąż czuje na sobie pełne niedowierzania spojrzenia tamtych mężczyzn, ledwo skrywane uśmiešky, kiedy wracała chwiejnym krokiem do samochodu. Joel poklepał ją po ramieniu i powiedział, że Frampton to kompletny buc, a poza tym wszyscy i tak wiedzieli, że spóźnia się z płatnościami, więc ogólnie rzecz biorąc, dobrze się stało. Jednak nawet gdy to mówił, Sam widziała oczami wyobraźni, jak Simon się skrzywi, kiedy usłyszy od niej, jak to zaprzepaściła cenny kontrakt.

Wdech na sześć, wstrzymanie na trzy, wydech na siedem.

Joel zatrzymuje auto na parkingu i wyłącza silnik. Słuchając, jak gaśnie, siedzą przez chwilę w milczeniu i spoglądają na błyszczącą fasadę budynku. Sam czuje, jak ścisną ją w żołądku.

– Czy naprawdę źle by wyglądało, gdybym poszła na to spotkanie w klapkach? – odzywa się wreszcie.

– Tak – odpowiadają Ted i Joel jednocześnie.

– Ale...

– Sam. – Joel odwraca się w jej stronę. – Kiedy nosisz te buty, musisz to robić umiejętnie.

– To znaczy?

– Tam wyglądałaś na... skrępowaną. I dalej sprawiasz takie wrażenie. A musisz chodzić w nich tak, jakbyś się w nich urodziła.

– Ale one nawet nie są moje.

– Musisz z siebie wykrzesać więcej pewności siebie. Jak gdybyś je włożyła, myśląc o tych wszystkich kontraktach za grubą kasę, które na pewno dziś podpiszesz.

Ted zaciska wargi, kiwa głową i szturcha Sam swoją zwałistą ręką.

– On ma rację. No dalej, mała. Głowa do góry, cycki do przodu, a do tego szeroki uśmiech. Dasz radę.

– Simonowi byś tego nie powiedział – mruczy Sam, sięgając po swoją torbę.

Ted wzrusza ramionami.

– Owszem, powiedziałbym, gdyby miał na nogach te buty.

– Zatem najniższa cena, za jaką możemy wykonać to zamówienie, to czterdzieści dwa tysiące. Ale jeśli zdecydują się państwo na zmianę numeracji stron oraz na stronę tytułową w jednym kolorze, to możemy ściąć koszty jeszcze o osiem tysięcy.

Sam przedstawia ofertę ich firmy, kiedy zauważa, że dyrektor zarządzający jej nie słucha. A wtedy znowu ogarnia ją zmieszanie i ostatnie zdanie wybąkuje:

– I jak... jak się pan zapatruje na te liczby?

Mężczyzna nic nie mówi. Pociera czoło i wydaje z siebie niezobowiązujące „mmm”, tak jak robiła to Sam, kiedy jej córka była mała, a ona słuchała jej niekończącej się paplaniny jednym uchem.

O Boże, on jest znudzony. Sam podnosi wzrok znad notatek i uświadamia sobie, że dyrektor zerka na jej stopę. Przerazona, niemal traci wątek. Ale wtedy znowu podnosi wzrok i dostrzega jego zamglone spojrzenie: on jest rozkojarzony.

– I oczywiście moglibyśmy to zrobić w ciągu ośmiu dni, tak jak to omawialiśmy – dodaje.

– Dobrze! – wykrzykuje dyrektor jak wyrwany ze snu. – Tak. Dobrze.

Wciąż przy tym spogląda na jej buty. Sam patrzy w tym samym kierunku, a potem przechyla stopę lekko w lewo i prostuje ją. Mężczyzna wpatruje się w nią jak urzeczony. Sam zerka na siedzących po drugiej stronie stołu Joela i Teda, którzy właśnie wymieniają spojrzenia.

– Zatem te warunki są dla pana akceptowalne?

Dyrektor łączy ze sobą opuszki palców, układając dłonie w piramidę, i przez chwilę patrzy jej w oczy. Sam uśmiecha się zachęcająco.

– Yyy... tak. Wszystko wygląda dobrze. – Nie jest w stanie oderwać od niej wzroku. Jego spojrzenie wędruje z powrotem w dół, do jej buta.

Sam wyciąga z aktówki umowę. Rusza stopą, a pasek okalający kostkę powoli ześlizguje jej się po

pięcie.

- Czy w takim razie możemy przejść do konkretów?
- Oczywiście – odpowiada mężczyzna. Bierze długopis i podpisuje umowę bez czytania.
- Ani słowa – rzuca Sam do Teda, kiedy idzie przez recepcję ze spojrzeniem wbitym przed siebie.
- Przecież nic nie mówię. Jeśli załatwisz nam kolejny taki kontrakt, to jak dla mnie możesz mieć na nogach nawet pletwy.

Na następnym spotkaniu Sam cały czas trzyma stopy na widoku. I chociaż John Edgmont nie gapi się na nie, już fakt, że Sam ma na nogach te buty, najwyraźniej sprawia, że tamten rewiduje swoją opinię na jej temat. A co najdziwniejsze, przez to i Sam rewiduje opinię na własny temat. Wchodzi do jego biura z wysoko podniesioną głową. Czaruje. Obstaje twardo przy swoich warunkach. Zdobywa kolejny kontrakt.

- Świetnie ci idzie, Sam – chwali Joel, kiedy wsiadają do furgonetki.

Pozwalają sobie na prawdziwą przerwę na lunch – coś, na co nie ośmielali się, od kiedy Simon został ich szefem – i siedzą przed barem. Słońce wychodzi zza chmur. Joel opowiada im, jak w zeszłym tygodniu był na randce, na której kobieta spytała go, co sądzi na temat zdjęcia sukni ślubnej wyciętego z gazety.

- Powiedziała: wiesz, pokazuję je tylko facetom, na których mi zależy.

W reakcji na to Ted parska, aż kawa wylatuje mu nosem, a Sam skręca się ze śmiechu, aż brzuch zaczyna ją boleć, i dociera do niej, że nie pamięta, kiedy ostatni raz śmiała się z czegokolwiek.

Nisha chodzi w tę i we w tę po chodniku przed siłownią, w klapkach i w szlafroku narzuconym na bluzkę ze względu na chłód. Peter nie odbiera, zostawiła mu dziewięć wiadomości. To nie jest dobry znak. Ani trochę.

– Peter? Peter? Gdzie się podziewasz? Mówiłam ci, że masz na mnie czekać o jedenastej piętnaście! Masz tu być natychmiast!

Za ostatnim razem głos z automatu oznajmia jej, że użytkownik tego numeru jest niedostępny. Nisha sprawdza godzinę, głośno przeklina i wyciąga z kieszeni kartę wejściową do pokoju hotelowego. Wpatruje się w nią przez chwilę, po czym z impetem wparowuje do siłowni.

Torba przed jej szafką wciąż leży na ławce. I trudno się temu dziwić. Kto by się na nią połasił? Nisha przetrząsa jej zawartość, krzywiąc się na myśl, że dotyka cudzych rzeczy. Wyciąga ze środka wilgotny kostium kąpielowy w plastikowym worku i z obrzydzeniem rzuca go na ławkę. Potem sięga z wahaniem do bocznych kieszeni i wyciąga stamtąd trzy wilgotne dziesięciofuntowe banknoty, trzymając je między dwoma palcami. Nie pamięta, kiedy ostatni raz miała w ręce prawdziwe pieniądze. Pod względem ilości zarazków są one nawet gorsze niż szcotka toaletowa, jeśli wierzyć artykułom, które czytała. Wzdryga się i chowa je do kieszeni. Odrywa jeden plastikowy woreczek z podajnika nad suszarką do kostiumów, owija nim rękę, a potem łapie torbę za uchwyty i kieruje się do wyjścia przez recepcję.

- Proszę pani, nie może pani wyjść w naszym szlafroku...

– Chyba nie mam wyboru, skoro w tym kraju jest tak cholernie zimno, a wy zgubiliście moje ubrania. – Nisha owija się ciasniej szlafrokiem, zawiązuje pasek i wychodzi.

Taksówkarze ciągle narzekają, jak to przez Ubera ucierpiała ich branża, ale i tak szczęściu z nich ignoruje kobietę w szlafroku próbującą zatrzymać ich samochód. Dopiero kolejny przystaje, opuszcza okno i otwiera usta, pewnie by skomentować jej strój, ale ona powstrzymuje go gestem ręki.

- Hotel Bentley – oznajmia. – I proszę sobie darować uwagi. Dziękuję.

Podróż taksówką kosztuje dziewięć funtów i osiemdziesiąt pensów, chociaż trwa zaledwie pięć minut. Nisha wchodzi do lobby i nie zwracając uwagi na zakłopotaną minę portiera oraz zaciekawione spojrzenia gości, kieruje się prosto do windy. W środku znajduje się już para w średnim wieku, on w marynarce i spodniach w kant, ona w źle skrojonej sukience, która odsłania wałki tłuszczu pod pachami – pewnie wyrwali się na kilka dni z prowincji – ale Nisha wyciąga rękę i powstrzymuje zamykanie drzwi. Wchodzi do środka, staje przed nimi i odwraca się twarzą do wyjścia. Nic się nie dzieje. Spogląda za siebie.

– Penthouse – rzuca. Kiedy tamci gapią się na nią, pstryka palcami, raz i drugi. – Proszę nacisnąć „penthouse”. – A po chwili dodaje łagodniejszym tonem: – Dziękuję. – Wtedy kobieta wyciąga rękę z wahaniem i naciska guzik. Gdy winda z cichym szumem sunie w górę, Nisha czuje, jak coraz bardziej ściska ją w żołądku. Weź się w garść, mówi do siebie. Jeszcze nic nie jest stracone. A potem winda zatrzymuje się z drżeniem i drzwi się rozsuwają.

Nisha już ma wejść do penthouse’u, kiedy staje jej na przeszkodzie szeroka klatka piersiowa. Trzech

mężczyzn blokuje drogę. Nisha cofa się z niedowierzaniem. Ari, stojący pośrodku, wyciąga w jej stronę kopertę rozmiaru A5.

– Co się... – zaczyna Nisha, próbując go wyminąć, ale mężczyzna robi krok w bok, zagrządzając jej przejście.

– Otrzymałem instrukcje, by pani nie wpuszczać.

– Nie wygłupiaj się, Ari. – Nisha mruga zaskoczona. – Muszę zabrać swoje rzeczy.

Jego twarz przybiera wyraz, jakiego Nisha nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– Pan Cantor mówi, że nie ma pani prawa tam wejść.

Nisha próbuje się uśmiechnąć.

– No co ty. Przecież muszę zabrać swoje rzeczy. Spójrz na mnie.

Ari zachowuje się jak ktoś obcy, a nie jak ktoś, kto ją ochraniał przez piętnaście lat. Nie jak facet, z którym żartowała. Przecież od czasu do czasu wypytywała go nawet o tę jego irytującą żonę, Chryste Panie.

– Przykro mi. – Po tych słowach Ari schyla się i kładzie kopertę na podłodze windy, po czym cofa się, by nacisnąć guzik i skierować ją w dół. Nisha ma wrażenie, jakby ziemia usuwała jej się spod nóg, i przez chwilę boi się nawet, że zemdleje.

– Ari! Ari! Nie możesz tak... Ari! To przecież chore! I co ja mam teraz zrobić?

Drzwi od windy zaczynają się zamykać. Nisha widzi, że Ari się odwraca i rzuca stojącemu obok mężczyźnie porozumiewawcze spojrzenie. To coś, na co nigdy wcześniej nie pozwolił sobie w jej towarzystwie, a co Nisha zdążyła już w swoim życiu dobrze poznać. Pogardliwe spojrzenie mówiące: „kobiety”.

– Oddaj mi tylko torebkę... Na litość boską! – krzyczy Nisha, kiedy drzwi przed jej nosem zamykają się zupełnie.

– Wciąż jestem w szoku, jak to wszystko rozegrałaś – mówi Joel, uderzając w kierownicę dla podkreślenia swoich słów. – Po prostu wymiałaś. Zachowywałaś się, jakby nie mieli nic do gadania. Edgmont był gotowy podpisać kontrakt, jeszcze zanim usiadłaś.

– Nie mógł oderwać wzroku od twoich nóg – dodaje Ted, siorbiąc colę z puszki, a potem beka dyskretnie. – Nie dotarło do niego ani słowo z tego, co mówiłem o produkcji seryjnej.

– Sprzedałby nawet swoją starą, gdybyś szepnęła słówko. – Joel kręci głową z niedowierzaniem. – Swojego pierworodnego. Wszystko.

– Mógłbym przysiąc, że na początku rzuciłaś stawką osiemdziesiąt dwa – mówi Ted.

– Bo tak było – odpowiada Sam. – Ale kiedy zobaczyłam, jak się sprawy mają, stwierdziłam, że podwyższę do dziewięćdziesięciu.

– A on tylko pokiwał głową! – wykrzykuje Joel. – I tyle. Nawet nie spojrział na adnotacje drobnym druczkiem! Nie mogę się doczekać, aż Simon to zobaczy!

– Brenda od miesiący zamęcza mnie o kupno nowego peugeota. Jeśli zdobędziemy jeszcze ten kontrakt, będę mógł wpłacić zaliczkę. – Ted wypija ostatni łyk z puszki i zgniata ją w swojej grubej dłoni.

– Dzięki Sam mamy to jak w banku. Nasza koleżanka jest dzisiaj *en fuego*, stary.

– To znaczy?

– Ma fantastyczną passę.

– O, to prawda. Kto następny? – Ted przegląda teczkę. – Och. Ktoś nowy. Yyy... Pan Price. To spory kontrakt, moja droga. I duże pieniądze. To nowy peugeot 205 mojej starej.

Sam poprawia makijaż w lusterku. Ściąga usta, a po chwili zastanowienia sięga do torby i z namaszczeniem wyciąga z niej żakiet od Chanel. Rozkłada go przed sobą, podziwiając kremową wełnę i nieskazitelną jedwabną podszewkę oraz wdychając zapach jakichś drogich perfum. A potem na chwilę odpina pasy i zakłada żakiet. Choć nieco ciasnawy, jest rozkosznie lekki i cudowny w dotyku. Kto by pomyślał, że drogie ciuchy rzeczywiście inaczej leżą? Sam poprawia lusterko, by zobaczyć, jak materiał opina jej ramiona, a kołnierz obramowuje jej szyję.

– Przesadziłam? – pyta, odwracając się w stronę kolegów.

– No co ty – odpowiada Joel, spoglądając na nią. – Jakbyś się w nim urodziła. Świetnie wyglądasz, Sam.

– Facet nie będzie miał pojęcia, co tak na niego działa – dodaje Ted. – Powtórz ten numer ze zsuwaniem paska z pięty, a koleś zupełnie się zdekcentruje.

Sam spogląda na swoje odbicie z lekką dumą. To nieznanne jej uczucie, próbuje się więc z nim oswoić. Nie rozpoznaje osoby w lusterku. Lecz potem nagle odwraca się do kolegów, a jej uśmiech blaknie.

– Czy ja właśnie zawodzę ruch feministyczny?

– Że co?

– Niby tym, że ogrywasz w negocjacjach facetów na wysokich stanowiskach? – pyta Ted.

– No wiecie... Tym, że używam seksu jako broni. Bo te buty to sam seks, prawda?

– Moja siostra zawsze wymawia się bolesnym okresem, żeby skrócić przeciągające się spotkania.

Mówi, że faceci wtedy zmykają, aż się kurzy.

– A moja żona pokazała kiedyś bramkarzowi stanik, żeby nas wpuścił do klubu – oznajmia Ted. – Szczerze mówiąc, byłem z niej wtedy dumny.

Joel wzrusza ramionami.

– Moim zdaniem po prostu używasz najlepszej broni, jaką masz do dyspozycji.

– Zapomnij o feministkach – przekonuje Ted. – Pomyśl raczej o moim nowym samochodzie.

Kiedy przyjeżdżają na miejsce, Sam wysuwa z samochodu najpierw jedną nogę, a potem drugą i prostuje plecy. Teraz czuje się w tych butach bardziej pewnie, już wie, jak w nich chodzić, by utrzymać stabilną kostkę. Sprawdza w lusterku bocznym fryzurę, a potem spogląda na swoje stopy.

– Dobrze wyglądam?

Jej koledzy uśmiechają się do niej promiennie, a Ted puszcza oko.

– Wyglądasz bosko. Cały ten Price nie ma z tobą żadnych szans.

Sam delektuje się energicznym stukotem obcasów na marmurowej podłodze. Siedząca w recepcji dziewczyna lustruje jej żakiet i buty, po czym wysuwa podbródek, jakby była nieco bardziej otwarta na jej potrzeby. Wyobraź sobie, jak by to było być kobietą, która nosi takie buty na co dzień, myśli Sam. Wyobraź sobie życie, w którym masz do pokonania jedynie krótkie odległości po marmurowej podłodze. Wyobraź sobie, że nie masz większych zmartwień niż to, czy pedikiur pasuje do twoich drogich butów.

– Dzień dobry – odzywa się i uświadamia sobie, że w jej głosie pobrzmiewa nowa pewność siebie i lekkość, które były jej obce jeszcze dzisiaj rano. Jest właściwą osobą na właściwym miejscu, da radę. – Jesteśmy z Grayside Print Solutions, mamy umówione spotkanie w sprawie potencjalnego zlecenia.

Recepcjonistka przebiega wzrokiem ekran. Stuka w klawiaturę, po czym wprawnym ruchem wsuwa trzy identyfikatory z nazwiskami do plastikowych etui i im je wręcza.

– Proszę tutaj poczekać, zadzwonię na górę.

– Będę niezmiernie wdzięczna.

„Będę niezmiernie wdzięczna”. To nawet brzmi arystokratycznie. Sam siedzi na sofie w lobby, trzymając złączone kostki, a potem szybko poprawia szminkę i wygładza włosy. Zdobędzie ten kontrakt, czuje to w kościach. Joel i Ted uśmiechają się do siebie za jej plecami.

Gdy słyszy odgłos kroków na marmurze, Sam podnosi wzrok i widzi drobną ciemnoskórą kobietę po pięćdziesiątce zmierzającą w ich stronę. Ma czarne włosy ułożone w eleganckiego boba, a do tego stonowany, pięknie skrojony żakiet, kremową jedwabną bluzkę i czółenka na płaskiej podeszwie. Sam spogląda za siebie, ale kobieta wyciąga rękę w jej stronę.

– Dzień dobry. Państwo z Grayside Print? Nazywam się Miriam Price. Możemy przejść na górę?

Dopiero po chwili Sam uświadamia sobie swoją pomyłkę. Ogląda się na Teda i Joela, na ich twarzach maluje się niebotyczne zdumienie. Wreszcie wszyscy wstają, uśmiechają się i wybają powitania. A potem idą za Miriam Price w stronę wind.

Już po dziesięciu minutach spotkania widzą, że Miriam Price to twarda zawodniczka, a po godzinie czują, jak mocno potrafi przyłożyć. Jeśli przystaną na jej warunki, ich marża obniży się niemal do zera. Miriam jest drobna, spokojna, nieugięta. Na widok Joela i Teda, którzy osuwają się na krzesłach, Sam powoli opuszcza nadzieję.

– Jeżeli mam zaakceptować dwutygodniowy termin realizacji, nie zapłacę powyżej sześciuset sześćdziesięciu – powtarza Miriam. – Im bliżej terminu, tym wyższe są koszty transportu.

– Już wyjaśniłam, dlaczego to dla nas trudne warunki. Jeśli zależy pani na wykończeniu na wysoki połysk, zajmie nam to więcej czasu, ponieważ musimy użyć innej prasy.

– To, czy macie sprzęt, czy nie, to nie mój problem.

– To nie jest problem. To tylko kwestia logistyki.



Miriam Price uśmiecha się za każdym razem, gdy celnie odbija piłeczkę. Jest to delikatny uśmiech, bynajmniej nie wrogi. Za to mówiący, że ma całkowitą kontrolę nad negocjacjami.

– A z naszej strony, jak już mówiłam, wiąże się to z droższym transportem z powodu presji czasu. Proszę posłuchać, jeśli to zlecenie jest dla państwa problematyczne, wolałabym to wiedzieć teraz, kiedy mamy czas na znalezienie innych dostawców.

– Nie chodzi o to, że jest problematyczne. Chcę jedynie wyjaśnić, że wydrukowanie tak dużego zamówienia wymaga dłuższego czasu realizacji.

– A ja chcę jedynie wyjaśnić, dlaczego powinno to znaleźć odbicie w cenie.

Chyba nic więcej nie dziająca. Znaleźli się pod ścianą. Sam poci się i czuje lekki niepokój, że zostawi ślady na tej pięknej jasnej podszewce.

– Muszę się naradzić z kolegami – mówi, wstając od stołu.

– Oczywiście – odpowiada Miriam, odchylając się na krześle. Z uśmiechem.

Ted pali papierosa, zaciągając się nim krótko i łapczywie. Sam zakłada ręce na piersiach, rozprostowuje je, a potem znowu zakłada, obserwując przy tym furgonetkę marki Renault, która bezskutecznie próbuje się wcisnąć w wąskie miejsce na parkingu.

– Jeśli wrócę z taką niską marżą, Simon wpadnie w szal – odzywa się.

Ted zgniata niedopałek obcasem buta.

– Jeśli wrócisz bez kontraktu, również wpadnie w szal.

– Patowa sytuacja. – Sam przestępuje z nogi na nogę. – Ech. Te buty mnie wykończą.

Przez chwilę wszyscy troje stoją w milczeniu. Nikt nie wie, co powiedzieć. Nikt nie chce wziąć odpowiedzialności za żadną z tych decyzji. Tamta furgonetka wreszcie wyłącza silnik, a kierowca odkrywa, że nie da rady otworzyć drzwi. W końcu Sam się odzywa:

– Muszę skoczyć do toalety. Spotkamy się w sali.

Sam siedzi w kabinie, wyciąga telefon i pisze wiadomość:

Cześć, Kochanie. Jak ci mija dzień? Wychodziłeś dziś z domu?

Po chwili przychodzi odpowiedź:

Jeszcze nie. Jestem zmęczony. X

Sam wyobraża sobie, jak jej mąż w podkoszulku i spodniach od dresu z trudem podnosi się z sofy i sięga po telefon. Czasami, choć niechętnie się do tego przyznaje, odczuwa ulgę, gdy nie ma go w domu, bo wtedy jest tak, jakby ktoś nagle odsłonił wszystkie zasłony i wpuścił światło do środka.

Spuszcza wodę, poprawia ubranie i nagle jest jej głupio, że założyła te buty i żakiet. Czy można trafić przed sąd za noszenie czyichś ubrań? Myje ręce i spogląda na swoje odbicie w lustrze. Cała wcześniejsza pewność siebie zupełnie z niej wyparowuje. Widzi czterdziestopięcioletnią kobietę, na której twarzy wyryły się smutki, niepokoje i nieprzespane noce z ostatniego roku. No dalej, mamuśka, mówi do siebie po chwili. Daj z siebie wszystko. I zastanawia się, kiedy zaczęła nazywać samą siebie „mamuśką”.

Drzwi od drugiej kabiny otwierają się i obok staje Miriam Price. Myją ręce i kiwają uprzejmie głowami, spoglądając na swoje odbicia w lustrze, a Sam próbuje ukryć nagłe skrzępowanie. Miriam odgarnia włosy z twarzy, choć fryzurę i tak ma idealną, a Sam poprawia szminkę, głównie po to, żeby czymś się zająć. Ciągłe obmyśla, co by tu powiedzieć, żeby przekonać Miriam Price do współpracy, szuka kilku magicznych słów, które niby przypadkiem zaprezentują Grayside Print od jak najlepszej strony i zapewnią jej większą marżę. Miriam rzuca jej ten swój delikatny pogodny uśmiech. Ona najwyraźniej nie zawraca sobie głowy takimi problemami. Natomiast Sam chyba nigdy wcześniej nie czuła się tak niezręcznie w damskiej toalecie.

A wtedy Miriam Price spogląda w dół.

– O mój Boże, co za cudowne buty! – wykrzykuje.

Sam również na nie zerka.

– Są po prostu niesamowite – dodaje Miriam.

– Tak właściwie to... – Sam urywa. – Mają w sobie to coś, prawda?

– Mogę je obejrzeć z bliska? – Miriam bierze do ręki but, który zdjęła Sam, podnosi go pod światło i przygląda mu się ze wszystkich stron z nabożnością, z jaką inni podchodzą do dzieł sztuki lub wyśmienitego wina. – To Louboutin, tak?

– Yyy... tak.

– Czy to jakaś limitowana kolekcja? Już od co najmniej pięciu lat nie wypuścił na rynek niczego

podobnego. Tak właściwie nie jestem pewna, czy w ogóle widziałam taki model.

– Yyy... tak. Ma pani rację, to limitowana kolekcja.

Miriam przejeżdża palcem po obcasie.

– To po prostu mistrz. Wie pani, że raz stałam w czterogodzinnej kolejce, by kupić jego buty? Czy to nie szaleństwo?

– Nie, to wcale nie szaleństwo – odpowiada Sam. – Przynajmniej ja tak uważam.

Miriam waży w rękach szpilkę, przygląda jej się jeszcze przez chwilę, po czym oddaje ją niechętnie.

– Porządne buty widać od razu. Moja córka mi nie wierzy, ale można się bardzo wiele dowiedzieć o człowieku na podstawie tego, w czym chodzi. Planowanie stroju zawsze zaczynam od butów. Te stare czółenka to Prada. Po prostu potrzebowałam dzisiaj czegoś stabilnego, więc założyłam buty na płaskiej podeszwie, ale gdy na panią patrzę, zazdroszczę pani obcasów.

– To samo mówię swojej córce! – wypala Sam bez zastanowienia.

– Moja ciągle chodzi w trampkach. Młodzież najwyraźniej nie rozumie totemicznej mocy butów.

– Moja podobnie. Te toporne martensy. I rzeczywiście młodzi tego nie rozumieją – mówi Sam, chociaż nie jest pewna, o co chodzi z tą całą totemicznością.

– Powiem ci coś, Sam. Mogę się do ciebie zwracać po imieniu? Nie cierpię tego typu negocjacji. Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu? Obgadamy wszystko we dwie, bez chłopaków. Jestem pewna, że ustalimy coś, co będzie pasowało nam obu.

– Jak najbardziej – odpowiada Sam. Zakłada but z powrotem na stopę i bierze głębszy oddech. – Więc... mogę uznać, że mamy wstępną ugodę?

– Tak, myślę, że tak. – Uśmiech Miriam jest ciepły, porozumiewawczy. – Wybacz, ale muszę o to zapytać... czy to żakiet od Chanel?

Nisha siedzi na miękkiej pluszowej jasnoróżowej sofie w lobby hotelu Bentley, tuż za sporej wielkości wazą ozdobioną rajskimi ptakami. Kilkoro gości – zdziwionych widokiem kobiety w szlafroku, z telefonem przyciśniętym do ucha, której głos wybija się ponad gwar rozmów – rzuca spojrzenia w jej stronę.

– Carl, to jakiś absurd. Jestem w lobby. Zejdź tu do mnie i porozmawiajmy. – Koniec wiadomości. Nisha natychmiast ponownie wybiera numer. – Carl, będę dzwonić, dopóki nie odbierzesz. Nie traktuje się w ten sposób żony po osiemnastu latach małżeństwa. – Wiadomość się kończy, a ona znowu wybiera numer.

– Nisha?

– Carl! Chciałam tylko... Charlotte? Charlotte? No nie. Teraz przekierowuje wiadomości. Muszę porozmawiać z Carlem. Proszę, połącz mnie z nim.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić, Nisha.

Głos Charlotte bije spokojem jak w aplikacji medytacyjnej. W jej tonie jest coś nowego, co sprawia, że Nisha się najeża, a mianowicie delikatna nutka wyższości. A potem dociera do niej, co się stało: O Boże, ona nazwała mnie Nishą.

– Pan Cantor jest na spotkaniu i wydał wyraźne polecenie, by mu nie przeszkadzać.

– Nie. Wyciągnij go ze spotkania. Mam gdzieś, że nie chce, by mu przeszkadzano. Jestem jego żoną. Słyszysz? Charlotte...? Charlotte?!

Po drugiej stronie zapada cisza. Ta dziewczyna miała czelność się rozłączyć!

Kiedy Nisha podnosi wzrok, widzi, że ludzie siedzący na pobliskich sofach gapią się na nią. Odpowiada im tym samym, aż odwracają głowy, komentując jej zachowanie pomrukami i uniesieniem brwi. Nagle całe ciało Nishy zalewa kortyzol, aż rodzi się w niej pragnienie, by kogoś zamordować, rzucić się do ucieczki albo zacząć krzyczeć. Sama nie wie, na co ma większą ochotę. Ale gdy spuszcza wzrok, uświadamia sobie, że nie może dalej tutaj tkwić w tym tanim szlafroku i klapkach. Myśli o swoich ciuchach w apartamencie na górze i czuje niepokój podobny do reakcji matki rozdzielonej z dzieckiem, wynikający ze świadomości, że nie może ich dostać. Swoich ubrań.

Rozgląda się wokół i dostrzega niewielki butik po drugiej stronie lobby. Wsuwa telefon do kieszeni i rusza w tamtą stronę. Tak jak przewidywała, ciuchy są tu okropne i koszmarnie drogie. Nisha szybkimi ruchami przegląda wieszaki, po czym wybiera najmniej krzykliwy żakiet i buty, starając się ignorować irytującą muzykę dochodzącą z głośników. Patrzy na pudełka z oznaczeniami rozmiarów butów i wybiera zwykle beżowe czółenka w rozmiarze siedem. Stawia je na ladzie, a młoda kobieta stojącą przy kasie obserwuje ją z lekkim niepokojem.

– Proszę to dopisać do rachunku penthouse’u – mówi Nisha.

– Oczywiście, pani Cantor – odpowiada dziewczyna i zaczyna nabijać wszystko na kasę fiskalną.

– Muszę przymierzyć te buty. Z pończochą. Nową.

– Zaraz sprawdzę, czy mamy... – Nagle urywa.

Nisha spogląda na nią, a potem wędruje za jej spojrzeniem. Frederik, kierownik hotelu, właśnie wszedł do sklepu. Uśmiecha się do niej i przystaje w odległości kilku kroków.

– Bardzo mi przykro, pani Cantor, ale otrzymaliśmy polecenie, by niczym nie obciążać rachunku pani męża.

– Co takiego?

– Pan Cantor poinformował nas, że nie ma już pani prawa dopisywać niczego do jego rachunku.

– Do naszego rachunku – poprawia go Nisha lodowatym tonem. – To nasz rachunek.

– Bardzo mi przykro.

Frederik stoi bez ruchu i wbija w nią wzrok. Z jego tonu i całej postawy emanuje nieustępliwość. Nisha ma wrażenie, jakby cały świat wokół niej się rozpadał. Czuje, jak w jej piersi narasta nieznanne jej wcześniej uczucie paniki.

– Jak wiesz, jesteśmy małżeństwem. A to oznacza, że jego konto jest moim kontem.

Mężczyzna nie odpowiada.

– Frederik, od jak dawna tu przyjeżdżam? – Nisha robi dwa kroki w jego stronę i powstrzymuje chęć, by złapać go za rękaw. – Mojemu mężowi najwyraźniej coś się w głowie pomieszało. Nawet nie pozwolił mi

zabrać ubrań. Moich ubrań! Spójrz na mnie! Możesz zrobić dla mnie przynajmniej tyle, że pozwolisz, żebym się ubrała jak człowiek.

Mina kierownika z lekka łagodnieje. Krzywi się nieznacznie, jak gdyby słowa te sprawiały mu ból.

– Pani mąż wydał bardzo... stanowcze instrukcje. Przykro mi. To nie zależy ode mnie.

Nisha podnosi ręce do twarzy.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– I obawiam się... – dodaje Frederik. – Że muszę panią poprosić o opuszczenie hotelu. Przez ten szlafrok... Inni goście...

Oboje wpatrują się w siebie. Nisha kątem oka dostrzega, że dziewczyna przy kasie ściąga wszystko z lady.

– Osiemnaście lat, Frederiku – mówi powoli. – Znamy się osiemnaście lat.

Następuje długa chwila ciszy. Na twarzy mężczyzny maluje się teraz zakłopotanie.

– Niech pani posłucha – odzywa się wreszcie. – Zorganizuję dla pani samochód. Dokąd chce pani pojechać?

Nisha spogląda na niego, otwiera lekko usta, a potem nieznacznie kręci głową. Nagle zalewa ją nieznane uczucie, wszechogarniające, mroczne i złowrogie, jakby dosłownie grunt usuwał jej się spod nóg.

– Tyle że ja... nie mam dokąd pójść.

I równie szybko tamto uczucie znika. Nisha nie zamierza na to pozwolić. Nie będzie tego tolerować. Krzyżuje ręce na piersi i siada na wiklinowym krześle przy kąciku z butami.

– Nie, Frederiku. Nigdzie się nie wybieram. Mam nadzieję, że to zrozumiesz, ale nie ruszę się stąd, dopóki Carl nie zejdzie na dół, żeby ze mną porozmawiać. Idź po niego na górę. Ta sytuacja robi się już zupełnie absurdalna.

Przez chwilę nikt się nie odzywa.

– Zostanę tutaj całą noc, jeśli będzie trzeba – dodaje Nisha. – Idź po niego, obgadamy wszystko, a potem obmyślimy, dokąd albo czy w ogóle mam dokądś jechać.

Frederik wpatruje się w nią przez chwilę, a potem wydaje lekkie westchnienie. Spogląda za siebie, a wtedy do sklepiku wchodzi dwóch ochroniarzy i staje w gotowości. Wszystkie spojrzenia spoczywają na Nishy.

– Naprawdę wolałbym uniknąć scen, pani Cantor.

Nisha wpatruje się w niego z niedowierzaniem. Dwóch ochroniarzy robi krok w przód. Tylko jeden krok. Wypracowana choreografia tych ruchów może robić wrażenie.

– Tak jak mówiłem – kontynuuje Frederik – pan Cantor był w swoich poleceniach bardzo stanowczy.

– Gratuluję – odzywa się Marina, gdy mijają się w korytarzu, i podnosi dłoń, by przybić piątkę. – Joel mówił, że fantastycznie ci dziś poszło.

Sam w samochodzie z powrotem włożyła klapki, ponieważ palce u nóg zaczęły jej drętwieć, a stopa rozbolała ją tak, że pewnie nawet w adidasach jutro będzie kuleć. Ale wciąż buzuje w niej tamta energia, a kąci jej ust unoszą się w uśmiechu przy każdej rozmowie. Czuje w sobie dziwną mieszankę poczucia wszechmocy i osłabienia jak po dużym wysiłku. Udało mi się. Podpisałam nowy kontrakt. Może to jest punkt zwrotny. Może od teraz wszystko zacznie się układać. Przyklepuje rękę Mariny ruchem, w którym jest lekkie skrępowanie. Sam nie jest osobą, która lubi przybijać piątki.

– Ted mówi, że po pracy wybieramy się na drinka. Twierdzi, że nie podpisaliśmy tylu kontraktów naraz od czasów, kiedy jeszcze wchodził w rozmiar XXL. Idziesz z nami, prawda?

– Yyy... jasne! Czemu by nie? Tylko muszę najpierw zadzwonić do domu. Spotykamy się w White Horse, tak?

Sam wraca do swojego biurka i wybiera numer do domu. Phil odbiera dopiero po sześciu sygnałach, chociaż Sam wie, że telefon leży na stoliku tuż przed jego nosem.

– Jak się czujesz, kochanie?

– W porządku.

Miała nadzieję, że choć raz nie usłyszy tego przegranego, zrezygnowanego tonu. Sili się na uśmiech.

– Posłuchaj. Miałam dzisiaj naprawdę dobry dzień. Podpisałam parę kontraktów. Idziemy po pracy do pubu, żeby to uczcić, i pomyślałam, że może byś do nas dołączył. Będzie z nami Ted. Lubisz go przecież. I Marina. Śpiewałaś z nią kiedyś niecenzuralną wersję *Islands in the Stream* na wieczorze karaoke, pamiętasz?

Po drugiej stronie następuje cisza, jak gdyby Phil przez chwilę rozważał taką opcję.

– Tylko na drinka, góra dwa. Już od wieków nie byliśmy nigdzie razem, co nie? Fajnie mieć co świętować dla odmiany.

Powiedz „tak”, prosi go w myślach. Cat mówi, że tata wygląda ostatnio, jakby był maszyną przełączoną na tryb czuwania. Sam ciągle ma nadzieję, że zdarzy się coś, co go odblokuje, jakieś wieczorne wyjście albo wydarzenie, które nagle znowu włączy dawnego Phila.

– Jestem trochę zmęczony, kochanie. Chyba lepiej zostanie w domu.

Ale czym jesteś zmęczony?! Cały dzień nic nie robiłeś! – ma ochotę na niego krzyknąć. Zamyka oczy. Próbuje ukryć westchnienie.

– Okej. Będę w domu, gdy tylko skończę papierkową robotę.

Nie mija nawet minuta od rozmowy z Philem, kiedy dzwoni telefon. To Cat.

– I jak ci poszło?

Sam czuje przypływ miłości do córki, że pamiętała, jaki to ważny dla niej dzień.

– Poszło naprawdę dobrze, dziękuję, kochanie. Podpisałam trzy kontrakty na cztery możliwe, i to naprawdę na spore sumy.

– Wow! To super. Dobra robota, mamó. To pewnie dzięki tej wyprawie na siłownię! – Obniża głos. – Co powiedział tata?

– Zaprosiłam go do pubu, ale nie czuje się na siłach. Skoczę na zakupy w drodze do domu i będę jakoś... kwadras po siódmej? Muszę jeszcze zahaczyć o siłownię i coś oddać.

– Po co wracasz do domu?

– Yyy... żeby ugotować kolację?

– Mamó. Idź do pubu. Nie wychodziłaś nigdzie od miesiący i właśnie podpisałaś świetne kontrakty. Co ty, bawisz się w żonę ze Stepford?

– Sama nie wiem. Nie lubię zostawiać taty, kiedy...

– No weź. Wyluzuj choć raz. Nie musisz się troszczyć o wszystko.

Cat zapewnia matkę, że owszem, jest pewna, owszem, wszystko jest w porządku, i owszem, dopilnuje, żeby tata coś zjadł. Niech Sam nie traktuje jej jak dwunastolatki. A tata potrafi sobie zrobić tosty i fasolkę! Kobiety nie muszą dźwigać na swoich barkach wszystkiego! – mówi do matki stanowczo i z pewnością osoby, która nigdy tego robić nie musiała. A Sam odkłada telefon i myśli nagle, że fajnie byłoby spędzić wieczór

gdzie indziej niż w salonie ze swoim przygnębionym mężem gapiącym się w przestrzeń.

Kończy papierkową robotę, wpisuje dane do programu i z satysfakcją podlicza zera. W trakcie tego stroi miny do samej siebie, marszczy nos i kiwa głową. Zaczyna też podskakiwać na krześle, jakby tańczyła. Och, tak. Dziewięćdziesiąt dwa w tej kolumnie. Podliczyć wszystkie sumy. Oto kolejne zero. I kolejne. I kolejne.

– Idę do pubu. Do pubu. Do pubu. – Po czym wyduje z siebie cichutkie: – Ooo, tak!

Odwraca się, by sięgnąć po długopis, i okrzyk wyrywa jej się z piersi. Przy wejściu do jej boksu stoi Simon. Sam nie ma pojęcia, od jak dawna tam jest, ale po jego minie domyśla się, że na tyle długo, by widzieć, jak odstawiała na krześle swój taniec zwycięstwa.

– Cześć, Simon – zaczyna, odzyskawszy rezon. – Właśnie wpisywałam dane za dzisiaj.

– Mhm. – Simon wpatruje się w nią chłodno. – Słyszałem, że podpisaliśmy kontrakt z Piltons and Bettacare.

I znowu ten uśmiech. Sam nie może się powstrzymać.

– Oraz z Harlon and Lewis. Tak – odpowiada, odwracając się do niego całym ciałem. – I z wyższą marżą niż ostatnio. – Dopiero kiedy wypowiada te słowa, dociera do niej, że Simon użył liczby mnogiej. My. Jak gdyby w jakikolwiek sposób przyłożył do tego rękę. Nie przejmuj się tym, mówi do siebie. Wszyscy wiedzą, komu firma zawdzięcza te kontrakty. A liczby nie kłamią. – Udało mi się też wydłużyć termin dostawy przy...

– Co zaszło u Framptona?

– Słucham?

– Dlaczego nie podpisaliśmy kontraktu z Framptonem?

Sam właśnie zdobyła dla firmy kontrakty warte niemal ćwierć miliona funtów, a on chce rozmawiać o tym niewielkim, którego podpisać jej się nie udało? Aż ją zatyka. Simon opiera się o wejście do jej boks i wzdycha.

– Chyba musimy porozmawiać.

– Dlaczego? Co się stało?

– Ponieważ dostałem telefon z biura Michaela Framptona. Powiedział, że przyszedł na spotkanie pijana.

Sam wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– Poważnie? Och, na litość boską.

Simon wkłada ręce do kieszeni i wysuwa biodra. Często tak robi w rozmowach z kobietami.

– O Boże, to wcale nie tak – kontynuuje Sam. – Nie byłam pijana, ani trochę. Przed pracą doszło do nieporozumienia i musiałam założyć cudze szpilki, a spotkanie odbywało się obok magazynu, gdzie była nierówna powierzchnia i...

– A to co takiego? – Przerywa jej Simon, wskazując na jej stopy. – Co masz na nogach?

Sam podąża wzrokiem za jego palcem.

– Yyy... klapki?

– Mam nadzieję, że nie byłeś w nich na spotkaniach. Trudno je nazwać profesjonalnym obuwem. – Jego sznurowane buty, jak zauważa Sam, są idealnie lśniące i zakończone w lekki szpic, zgodnie z obowiązującą modą. Myśli o słowach Miriam Price: buty Simona w jakiś sposób wyrażają wszystko, co trzeba o nim wiedzieć.

– Oczywiście, że nie. Właśnie mówiłam ci, że...

– Bo jeśli masz reprezentować naszą firmę, a teraz to trochę inna sprawa, bo odpowiadasz za wizerunek Uberprintu, to chciałbym ci przypomnieć, że musisz to robić w sposób absolutnie profesjonalny. Przez cały czas. A nie paradować, do cholery, w klapkach.

– Simon, pozwól mi dokończyć, mówiłam ci...

– Nie mam czasu na wysłuchiwanie twoich wymówek, Sam. Teraz to już nie Grayside. Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz się zachowywać bardziej profesjonalnie. Nie chcę się martwić o to, czy dostanę od klientów kolejne telefony ze skargami, że jesteś pijana albo że masz na nogach to, co masz. Postawiłaś mnie dzisiaj w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Ale ja nie byłam... – zaczyna, tyle że Simon zdążył się już odwrócić i opuścić jej boks.

Sam wpatruje się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał jej szef, z lekko otwartymi ustami. A potem

je zamyka. Na ile zna Simona, pewnie za chwilę zjawi się tu znowu i oskarży ją o nieprofesjonalną minę.

– Simon to pierwszorzędnym idiotą – stwierdza Ted, kiwając głową, aż trzęsie mu się obfity podbródek. – I kompletna szuja.

Sam była tak wstrząśnięta tą wymianą zdań, że o mało nie poszła do domu. W końcu powinna też wpaść na siłownię. Ale właśnie wtedy, gdy Sam pakowała kremowy żakiet Chanel do torby, przechodziła obok Marina i powiedziała, że nie pozwoli jej iść dzisiaj prosto do domu. To jej firma zawdzięcza te kontrakty. Może zwrócić torbę jutro rano.

– Nie pozwól, żeby ten gnojek zepsuł ci dzień. Nie daj mu tej satysfakcji. Chodź z nami, Sam. Tylko na jednego drinka.

Tak oto znalazła się w pobliskim pubie, White Horse, otoczona kolegami z pracy, których zna od ponad dziesięciu lat i którzy są dla niej niemal jak rodzina. Wie, jakie imiona noszą ich partnerzy, dzieci i zwierzęta, a ostatnio coraz częściej – jakie męczą ich dolegliwości. Dawniej piekła dla nich torty urodzinowe i przynosiła je do pracy, ale kiedy zrobiła to po raz pierwszy po przejściu ich firmy przez Uberprint, Simon wszedł do kuchni, gdy zebrani śpiewali solenizantowi *Happy Birthday*, i powiedział, że nie może uwierzyć, że mają na to czas. Co to niby jest? Przedszkole?

– Jak się miewa Phil? – Marina stawia przed nią kolejny kieliszek białego wina i siada. – Znalazł już pracę?

Sam nie ma ochoty rozmawiać dzisiaj o Philu, więc wyrzuca z siebie pogodne: „Jeszcze nie!”, tonem sugerującym, że ma absolutną pewność, że to tylko chwilowy stan rzeczy, i szybko zmienia temat.

– Nigdy nie zgadniesz, co mi się dzisiaj rano przytrafiło.

– Pokaż – domaga się przejęta Marina po usłyszeniu tej historii, więc Sam sięga pod ławkę po torbę, odsuwa zamek i pokazuje Marinie jeden but.

– Naprawdę powinnam była je dzisiaj zwrócić, zamiast przychodzić tutaj – mówi. – Muszę to zrobić jutro z samego rana.

Ale Marina nie słucha.

– O mój Boże. Chodziłaś w nich cały dzień? Ja bym nie przeszła w nich nawet pięciu kroków.

– Sama mało się nie poddałam. Ale pod koniec dnia miałam to opanowane. I przysięgam, że to dzięki tym butom załatwiłam te kontrakty.

– No to na co teraz czekasz?

Sam spogląda na nią pytająco.

– Nie będziesz świętować takiego sukcesu w tych koszmarnych klapkach – dodaje Marina. – Zakładaj szpilki! Chcę cię w nich zobaczyć!

Marina rozplywa się w zachwytach nad szykownością butów („Założę się, że można by za nie spłacić mój kredyt!”), kiedy Lenny z księgowości pyta, o czym rozmawiają, a wtedy Joel na drugim końcu stołu podchwytuje temat i wszyscy zaczynają się domagać, by Sam przeszła się w louboutinach po pubie. Sam jest już po trzech kieliszkach wina i pomimo ostrzeżenia wydawanego przez jej żołądek, że nie obejdzie się bez konsekwencji – zwłaszcza że pije na głodnego – zaczyna się przechadzać krokiem modelki przed swoimi kolegami, którzy nagradzają ją okrzykami i biją brawo z uznaniem.

– Powinnaś nosić te szpilki codziennie! – krzyczy Ted.

– Nie ma sprawy, wszystkie możemy takie nosić, jeśli wy, faceci, też to będziecie robić – odpowiada Marina i rzuca w niego orzeszkiem.

Ktoś włączył muzykę i teraz mały kwadratowy parkiet zapełnia się ludźmi próbującymi tańczyć w ścisku. W ten sposób niektórzy świętują przetrwanie kolejnego stresującego tygodnia, inni, podkochujący się skrycie w kolegach z pracy, próbują dodać sobie odwagi alkoholem i wykonać jakiś ruch, są też wśród nich tacy, którym po prostu nie spieszy się do domu: do obowiązków lub przerażającej ciszy. Marina chwytając Sam za dłoń i nagle znajdują się w tłumie, podnoszą ręce, klaszczą w takt muzyki i tańczą jak to ludzie w średnim wieku – może i bez wycucia, ale za to ze swobodą wynikającą z faktu, że już się tym nie przejmują, a taniec, wrzucenie na luz w otoczeniu innych, podczas gdy muzyka tętni w żyłach, jest dla nich aktem buntu przeciwko szarości, przeciwko trudnościom, którym już jutro trzeba będzie stawić czoła. Sam zamyka oczy i czuje w łydkach rozkoszne napięcie, jakie dają jej szpilki. Czuje w sobie moc, czuje, że jest wyzywająca, seksowna. Tańczy, aż pasma włosów zaczynają jej się kleić do twarzy, a pot spływa po plecach. Joel kładzie dłoń na jej talii, a potem bierze ją za rękę i zachęca w ten sposób do obrotu.

– Wyglądałaś dzisiaj w tych butach po prostu obłędnie – szepcze jej do ucha, kiedy Sam się obraca, na co ona wybucha śmiechem i oblewa się rumieńcem.

Właśnie usiadła, wciąż zaróżowiona i z zawrotami głowy, kiedy stanął przed nią jakiś obcy mężczyzna.

– O kurczę, koleś cię podrywa – mruczy Marina.

Jest wysoki, jego ciemny strój i muskulatura świadczą o tym, że to typ traktujący siebie niezwykle poważnie. Lustruje Sam z góry na dół.

– Yyy... słucham? – odzywa się Sam wesoło, kiedy tamten stoi w milczeniu. Zastanawia się, czy to te buty dodają jej tak niezwykłego seksapilu.

– To dla pani. – Mężczyzna wręcza jej brązową kopertę. I zanim Sam ma szansę coś powiedzieć, tamten się odwraca i znika w tłumie spoconych wirujących ciał.



Problem z posiadaniem więcej niż jednego domu polega na tym, że to, czego akurat człowiek potrzebuje, prawie zawsze znajduje się w tym innym. Podobnie jest z posiadaniem jedynie bogatych znajomych – zawsze znajdują się nie w tym kraju, co trzeba. Nisha ma trzy przyjaciółki – o ile można je nazwać w ten sposób – mieszkające w Londynie, w tym Olivię, która według informacji podanej przez sekretarkę jest obecnie w swoim domu na Bermudach, i Karin, która pojechała do Stanów odwiedzić rodzinę. Dzwoni do każdej z nich, ale w obu przypadkach zgłasza się tylko poczta głosowa. Pewnie chodzi o różnicę czasu. Nisha prosi, najspokojniejszym tonem, na jaki ją stać, żeby do niej oddzwoniły. Kiedy się rozłącza, uświadamia sobie, że nie jest do końca pewna, co im wtedy powie ani czy w ogóle oddzwonią.

Angeline Mercer z kolei ma już za sobą dwa rozwody – drugi nastąpił po tym, jak przyłapała męża na romansie z nianią. Ona przynajmniej może znaleźć w sobie współczucie i zrozumienie dla Nishy. Angeline wita ją pogodnie, słucha, jak Nisha wyjaśnia lekkim tonem, że sprawy z Carlem nieco się skomplikowały – ech, zenująca historia – i pyta, czy Angeline mogłaby przelać jej na konto niewielką sumę, dopóki wszystko się nie poukłada. Angeline odpowiada słodkim głosem, że owszem, Carl wyjaśnił Jamesowi całą sytuację, i bardzo jej przykro, ale oni woleliby się w to nie mieszać.

– To byłoby jak opowiedzenie się po którejś ze stron – mówi tym samym fałszywym tonem, nie pozostawiając wątpliwości, po której stronie się opowiedzieli.

Nisha ma ochotę zapytać, jak Carl przedstawił im tę „sytuację”, ale resztki dumy jej na to nie pozwalają.

– Rozumiem. Wybacz, że cię niepokoiliam – odpowiada spokojnie. A gdy się rozłącza, klnie tak szpetnie, że gdyby usłyszała to jej babcia, rozpoczęłyby egzorcyzmy.

Już z nikim więcej nie próbuje. Jakoś nigdy nie wychodziły jej przyjaźnie z kobietami. Szkoła zostawiła w niej głęboką nieufność wobec niestabilnej dynamiki babskich grup. Kobięce relacje postrzegala jako nazbyt żywiołowe, występujące w nich często wybuchy emocji odczuwała jak trzęsienie ziemi i nigdy nie potrafiła ich pojąć. Po opuszczeniu domu rodzinnego i rozpoczęciu życia w mieście za bardzo się bała, by przypadkiem nie powiedzieć za dużo, przez co nie mogła się nikomu prawdziwie zwierzyć, nie licząc Juliany. Ale Nisha już nie myśli o Julianie. Niektóre rany są zbyt bolesne. Nie, kobiety traktują komplementy i złośliwości niczym broń. Uśmiechają się ze zrozumieniem, kiedy im się zwierzasz, a potem wykorzystują twoje sekrety przeciwko tobie. Mężczyźni są bardziej przewidywalni, a Nisha lubi przewidywalność. Zachowujesz się tak, a nie inaczej, a oni reagują w sposób, który da się kontrolować. I zasady tej gry Nisha rozumie.

A potem, rzecz jasna, o czym wie każda żona bogatego faceta, inne kobiety stają się rywalkami, zagrożeniem dla z trudem wywalzonego *status quo*. Niedługo po tym, jak Nisha wyszła za Carla, niektóre kobiety rzucały jej pogardliwe spojrzenia – trzymały z jego byłą żoną – i nie chciały uwierzyć, że Carl mógł być tak rozczarowująco przewidywalny, taki oczywisty. Ale Nisha wiedziała, w co się pakuje, wychodząc za niego. Zdobyła tak wszechstronną wiedzę na temat jego świata, że nie było najmniejszej szczeliny, przez którą mogłaby się ujawnić jej słabość. Obserwowała, jak związki znajomych Carla powoli się rozpadają, tak jak i jego pierwsze małżeństwo, i rozumiała dokładnie, co działo się w głowach nowych żon, widziała ich ostrożne miny, które nie wyrażały żadnych emocji, słyszała lukrowane słowa – każda z nich była lojalna jedynie wobec męża i własnej pozycji.

I wszystko było dobrze, dopóki nie skończyła czterdziestki i nie dowiedziała się o istnieniu całkiem nowego zagrożenia. Młodszych kobiet. Takich, które wyczuwają, że kończy się twój termin przydatności, i decydują się na uderzenie. Jędrne młode ciała, skore do zadowalania i za to nagradzane, niemające nic do stracenia i wciąż wolne od rozczarowania i złości, albo po prostu od zwykłego wyczerpania, które dopada człowieka, gdy próbuje być wszystkim naraz. Gdy Nisha dostrzegła to niebezpieczeństwo, nauczyła się być jeszcze lepszą. Świetnie wyglądała, miała lśniąca włosy, wklepywała w skórę najlepsze kosmetyki, jakie pojawiały się na rynku, więc często dawano jej dziesięć lat mniej. Codziennie ćwiczyła, co tydzień robiła sobie manikiur, co dwa tygodnie chodziła na wosk, co cztery na przedłużanie włosów, a co dwanaście na botoks. Gdy tylko jej zapragnął, zawsze mógł ją mieć, ubraną w ekskluzywną bieliznę; zawsze dbała o to, by miał świeże kwiaty w pokoju, a w piwniczce ulubione wino. Śmiała się z jego dowcipów, biła brawo po jego przemowach, prawila pochlebstwa jego partnerom biznesowym i robiła wszystko, by poczuł się lepszy i męski

na tysiące subtelnych sposobów, publicznie i prywatnie. To dzięki niej zawsze miał nowe koszule i spodnie, rezerwowała mu wizyty u barbera, zanim jego asystentka wiedziała, że pora na kolejną, dbała o to, by każdy z jego domów był gotowy na jego przyjazd i czekał na niego z ulubionym jedzeniem i winem. Nie pozwalała, by przyziemne troski zaprzętały mu myśli. Niczym nie musiał się martwić. Była kobietą skoncentrowaną na potrzebach męża aż do bólu.

Ale i tak, cholera, okazało się, że to za mało.

Nisha udała się ze swoimi kartami do czterech różnych bankomatów w okolicy i każdy z nich albo je połknął, albo wypłuł, przykazując jej sucho, by skontaktowała się z najbliższym oddziałem banku. Ale ona nie musiała się z nikim kontaktować, by wiedzieć, o co chodziło. Poszła do Mangal, ekskluzywnego butik, w którym ubierała się od pięciu lat podczas każdej wizyty w Londynie, i zanim jeszcze przymierzyła płaszcz od Alexandra McQueena, Nigella, menedżerka sklepu, podeszła do niej i wyjaśniła, że bardzo jej przykro, ale dziś rano pan Cantor zamknął jej rachunek i jeśli Nisha nie ma karty kredytowej, ona nic nie może wskórać. I mówiąc to, zerkała ukradkiem na szlafrok Nishy, jak gdyby próbowała odgadnąć, czy to aby nie jakaś nowa, wyprzedzająca aktualne trendy moda, o której nie miała pojęcia.

Teraz natomiast Nisha siedzi w kawiarni, ignorując zaciekawione spojrzenia innych jej klientów, i próbuje obmyślić jakiś plan. Musi znaleźć ubranie, dach nad głową i prawnika. Bez pieniędzy żadna z tych rzeczy nie jest możliwa. Może wprawdzie poprosić Raya, aby jej coś przelał, ale wtedy przyzna, że coś jest nie tak, a ona nie chce w to wciągać syna. Jeszcze nie. Nie po tym wszystkim, przez co już przeszedł w tym roku.

– Słucham? – Gdy dzwoni telefon, Nisha od razu odbiera.

– To ja. Bardzo mi przykro, pani Cantor – odzywa się Magda przyciszonym głosem. – Musiałam skorzystać z telefonu męża, ponieważ mój został odcięty.

– Rozmawiałaś już z tamtym facetem?

– Tak. Zdobył to, o co pani prosiła. Zadzwoń do mnie wkrótce i poda mi miejsce waszego spotkania. Nie chce się z panią kontaktować bezpośrednio, tak na wszelki wypadek. Dlatego tyle mi zajęło oddzwonienie do pani. – Wydaje się rzeczywiście przejęta.

– Kiedy zadzwoni? Potrzebuję pomocy. Zostałam z niczym.

– Mówi, że w ciągu najbliższej godziny.

– Dosłownie zostałam w samym szlafroku. Carl zablokował mi dostęp do moich rzeczy. Możesz mi wysłać jakieś ciuchy? Potrzebuję też biżuterii i trochę gotówki. I do tego laptopa...

– Jest jeszcze jedna sprawa, pani Cantor. – Magda głośno pociąga nosem i Nishę przebiega lekki dreszcz. – Pani mąż mnie zwolnił. Bez żadnej przyczyny, powiedziano mi tylko, że już dla niego nie pracuję.

Nisha wie, że powinna ją jakoś pocieszyć. Ale jedyne, co ma teraz w głowie, to potok bluzgów.

– Gospodyni wyrzuciła mnie z domu i usłyszałam, że zostałam zwolniona w trybie natychmiastowym i dostanę tylko odprawę. Nie mam pojęcia, co teraz zrobimy, ponieważ rachunki za leczenie Laney...

– Nie jesteś nawet w stanie dostać się do domu?

– Nie. Musiałam pojechać metrem do Janosa do pracy, by skorzystać z jego telefonu, ponieważ mój kazali mi oddać. Dotarłam tam na siódmą rano jak zwykle i już po piętnastu minutach mnie wyrzucili. Na szczęście znałam pani numer na pamięć, więc mogłam do pani zadzwonić.

Muszę spisać wszystkie numery, przychodzi jej nagle do głowy. Mój telefon Carl też odetnie, gdy tylko sobie o tym przypomni.

– Potrzebuję pieniędzy, Magda. I prawnika.

Ale Magda zaczyna płakać.

– Tak mi przykro, pani Cantor. Nie byłam w stanie zabrać pani biżuterii, pani zdjęć, niczego. Powiedzieli, że wezwą policję, jeśli będę próbowała wziąć cokolwiek, że uznają to za kradzież i zgłoszą władzom imigracyjnym. Dosłownie wyrzucili mnie za drzwi! Próbowałam zdobyć pani...

– Tak, rozumiem. Posłuchaj, zadzwoń do mnie, jak tylko uzyskasz jakieś informacje. Muszę wiedzieć, gdzie mam się z nim spotkać. To bardzo ważne.

– Oczywiście, pani Cantor. Naprawdę mi przykro. – Teraz już Magda szlocha na całego.

Nishy zaczyna dzwonić w uszach. Musi się rozłączyć.

– Nie martw się, dobrze? Nie przejmuj się niczym. Naprawimy to, a potem zatrudnię cię na nowo. Okej? – Nie ma pojęcia, czy to możliwe, ale przynajmniej dzięki temu Magda przestaje płakać i żegna ją

okrzykami wdzięczności.

Spojrzenia ludzi wokół stają się nie do zniesienia. Nisha jest przyzwyczajona do tego, że inni się na nią gapią – zawsze przyciągała uwagę – ale z powodu tego, że była zgrabna, piękna i bogata. Ale spojrzenia te są zabarwione litością, nieufnością, a nawet pogardą. Jakby zastanawiali się, co ta wariatka robi w szlafroku. Nisha musi więc skądś zdobyć jakieś ciuchy.

Unikała patrzenia na sklep po drugiej stronie ulicy przez cały czas, gdy sączyła powoli sojowe latte, ale wie już, że nie ma wyjścia. Wstaje, wsuwa telefon do kieszeni szlafrocka, przechodzi przez ulicę i wstępuje do sklepu charytatywnego o nazwie „Global Cat Foundation”.

Jak tu śmierdzi. Dobry Boże, jak tu śmierdzi. Od razu po wejściu uderza ją w nozdrza stęchlizna starych ubrań, osobliwa aura brzydoty i rozpacz. Nisha odwraca się na pięcie i wychodzi, a na chodniku wdycha hausty świeżego powietrza, o ile można tak nazwać wyziewy ruchliwej Brompton Road. Odczekuje chwilę, bierze się w garść, po czym wraca do środka.

To tylko na kilka godzin, uspokaja samą siebie. Potrzebuje tylko czegoś, co pozwoli jej przetrwać najbliższe chwile.

Korpulentna kobieta o turkusowych włosach spogląda na Niszę i ignoruje jej nieco wyzywające „dzień dobry”. Wszystko tutaj aż bije po oczach taniością. Nisha nie ma nawet ochoty dotykać tych bluzek na wieszakach, nylonowych podkoszulków i tandetnych swetrów. Dwa rzędy dalej jakaś starsza kobieta ogląda buty i ze skupieniem na twarzy sprawdza stan i rozmiar każdej pary. Nishy robi się słabo na myśl, że będzie musiała nosić ubrania, jakie kupują osoby takie jak ta.

To tylko na kilka godzin, powtarza sobie w duchu. Dasz radę.

Przesuwa ciuchy na wieszakach opuszkami palców, aż wreszcie znajduje kurtkę, która wygląda na ledwie noszoną, oraz spodnie, które na oko mają rozmiar trzydzieści sześć. Kurtka kosztuje siedem i pół funta, spodnie jedenaście.

– Nie może się pani dostać do domu, tak?

Nisha nie ma ochoty wdawać się w rozmowę z tą niebieskowłosą babą, ale zdobywa się na półuśmiech.

– Coś w tym stylu.

– Chce je pani przymierzyć?

– Nie – odpowiada opryskliwie.

Nie, nie chcę ich przymierzyć, dopowiada w myślach. Nie chcę wchodzić do waszej okropnej, śmierdzącej i ciasnej przymierzalni za zasłonką. Chciałabym się znaleźć jak najdalej od tego miejsca, gdzie sprzedaje się te tanie, śmierdzące stęchłą ciuchy, które nosił Bóg wie kto, ale mój mąż przechodzi kryzys wieku średniego i próbuje mnie zniszczyć, by uzyskać rozwód, a w szlafroku raczej trudno mi będzie stanąć z nim do walki.

– Proszę wypełnić formularz.

– Po co?

– Dzięki temu sklep może się ubiegać o zwrot podatku. Proszę tylko wpisać nazwisko i adres zamieszkania.

– Tyle że... obecnie nie mam adresu. – Ta prawda nagle brutalnie do niej dociera, ale Nisha bierze się w garść. – Chociaż w sumie mam. Mieszkam w Nowym Jorku. Na Fifth Avenue.

– Skoro tak pani twierdzi. – Kobieta parska pod nosem.

Nisha płaci za zakupione rzeczy i macha ręką, by tamta zatrzymała resztę, ale zaraz zmienia zdanie, co sprzedawczyni kwituje głośnym westchnieniem. A potem odrywa metki od ubrań, wsuwa spodnie, bierze kurtkę z lady i wychodzi, zrzucając szlafrok na podłogę.

Magda zarezerwowała jej hotel o nazwie Tower Primavera, podobno niedaleko Bentleya.

– Powiedziała im, że nie może im pani podać numeru karty jako zabezpieczenia, ponieważ skradziono pani portfel, i na szczęście się zgodzili.

– Och, dzięki Bogu.

Nisha ma wrażenie, jakby zapach tych używanych ciuchów utkwiał jej w gardle, i boi się, że dostanie od tego pokrzywki. Czytała kiedyś, że jeśli coś wachamy, to do naszego ciała fizycznie przenikają cząsteczki tej rzeczy. Od tej myśli zbiera jej się na wymioty. Non stop pociąga za materiał rękawów, by nie dotykał jej skóry.

– Ale niestety powiedzieli, że bez karty nie można korzystać z minibaru.

– To bez znaczenia. Muszę tylko wziąć prysznic i podzwonić do kilku osób.

Następuje długa chwila ciszy.

– Muszę pani powiedzieć coś jeszcze, pani Cantor.

Nisha sprawdza adres w telefonie i zaczyna iść w stronę hotelu.

– Co takiego?

– To nie jest hotel... z rodzaju tych, w jakich bywała pani z panem Cantorem. – Magda dalej nawija o tym, jak jej przykro, ale nie mają w tym miesiącu pieniędzy, co ma jakiś związek z ich ubezpieczeniem zdrowotnym, bla, bla, bla. – Kosztował sto czterdzieści dolarów. Ale w pokoju jest czajnik, więc można sobie zrobić coś do picia. I ciastka. Poprosiłam dla pani o dodatkowe. Pomyślałam, że może pani być głodna.

Nisha ma myśli za bardzo zajęte czym innym, żeby się o to złościć. To bez znaczenia. Dziękuje jej i kończy rozmowę, myśląc o tym, że przynajmniej teraz Magda będzie w stanie się do niej dodzwonić, jeśli – albo raczej kiedy – Carl odetnie jej telefon.

Marsz zdaje się nie mieć końca. Magdzie najwyraźniej kiepsko wychodzi ocenianie odległości na mapie. Nisha człapie w za dużych kłapkach po szarym chodniku, podczas gdy niebo ciemnieje i staje się ciężkie od chmur, aż w końcu zaczyna siać ten chłodny, paskudny deszcz, który pada chyba tylko w Londynie. Nisha stwierdza zatem, że się poddaje, przystaje na chwilę i wyciąga z torby buty. Przynajmniej jest tam również para czystych skarpetek. Wciąga je i krzywiąc się, wsuwa stopy do czarnych, topornych, sfatygowanych czółenek. Pasują całkiem dobrze, ale od długiego noszenia zdążyły się już zdeformować i przybrały okropny kształt stóp poprzedniej użytkowniczki. Nie będę o nich myśleć, mówi do siebie Nisha. Te buty to nie ja. A potem wyciąga kurtkę i wkłada ją, czując, jak tani materiał klei jej się do ramion. Zalewa ją fala obrzydzenia, ale udaje jej się pokonać to uczucie. Jej krok nabiera ciężkości, a od płaskiego obcasa, do którego nie jest przyzwyczajona, jej biodra poruszają się inaczej. Zawsze gdy skądś wychodziła, czekał na nią samochód, i znalezienie się pod gołym niebem w mieście, które nagle uderza ją swoją obcością, sprawia, że Nisha czuje, jakby straciła grunt pod nogami i spadała w ogromną przepaść.

– Ogarnij się – mruczy do siebie, przyspieszając kroku, i piorunuje wzrokiem każdego, kto ma czelność na nią spojrzeć. Nisha dostanie, czego chce, i znajdzie się w penthousie jeszcze dziś wieczorem. W tym albo w jakimkolwiek innym. A Carl za to zapłaci.

Hotel Tower Primavera jest niskim nowoczesnym budynkiem z taniej ciemnoczerwonej cegły, z plastikowym podświetlanym szyldem nad rozsuwanymi drzwiami, i gdy wreszcie Nisha dociera pod wskazany adres, musi sprawdzić jego nazwę dwa razy. W tym czasie ze środka wychodzi mężczyzna w koszulce piłkarskiej i z puszką piwa w ręce. Przystaje, by krzyknąć coś do swojej towarzyszki, która wyjada chipsy z paczki trzymanej tuż przy nosie, w czym przypomina świnię przy korycie. Nisha obserwuje, jak odchodzą chwiejnym krokiem, wrzeszcząc, że muszą skoczyć na big maca.

Recepcjonistka ma notatkę zamieszczoną przy jej nazwisku, i powtarza kilka razy, że bardzo jej przykro, ale nie może jej dać dostępu do minibaru, skoro nie mają numeru jej karty.

– Normalnie nawet nie przyjęlibyśmy tej rezerwacji – dodaje. – Ale nie mamy dzisiaj dużego obłożenia, a pani znajoma była tak przejęta pani sytuacją... Bardzo mi przykro z powodu skradzionej torebki.

– Dziękuję. W każdym razie nie zostaną tu na długo.

W windzie po chwili wahania naciska guzik na czwarte piętro – najpierw szybko raz, a potem drugi, kiedy pierwsza próba okazuje się nieskuteczna, po czym kilkakrotnie wyciera palec o rękaw. Po przejściu długiego korytarza wyłożonego jasnym pstrokatym dywanem z wzorem, od którego można dostać oczopląsu, Nisha dociera pod numer czterysta czternaście, otwiera drzwi i staje w progu. Pokój jest mały, naprzeciwko podwójnego łóżka stoi sfatygowany laminowany kredens, a na nim płaski telewizor. Dywan i zasłony są turkusowo-brązowe. Pachnie tu papierosami i syntetycznym odświeżaczem powietrza, a spod tego przebija zapach wybielacza z nutą czegoś kwaśnego, jakby posprzątano tu po zbrodni. Do jakich okropności tutaj doszło? Łazienka wygląda na czystą, ale szampon i odżywka umieszczone są w zamkniętych pojemnikach przytwierdzonych do ściany, jak gdyby klienteli tego hotelu nie można było ufać nawet w takiej sprawie.

Nisha zdejmuje kurtkę i rzuca ją na łóżko, a potem dokładnie myje twarz i ręce tanim mydłem. Sprawdza cienkie, lekko szorstkie ręczniki – najwyraźniej prosto z pralni – a potem się nimi wyciera. Spogląda na swoje odbicie w lustrze, na włosy wciąż upięte w kucyk po prysznicu wziętym na siłowni, na twarz pozbawioną makijażu. Wygląda na dziesięć lat starszą, wściekłą, wyczerpaną. Przysiada na krawędzi łóżka – hotelowe narzuty przyprowadzają ją o dreszcze; promienie ultrafioletowe na pewno pokazałyby tu niejedno –

i czeka na telefon od Magdy.

– Mówi, że najlepsze będzie jakieś niewyróżniające się i zatłoczone miejsce, tak by nie rzucać się w oczy. Martwi się, że Ari się dowie. Dlatego chce się spotkać w angielskim pubie.

– W pubie. Okej. – Nisha przypomina sobie pub, przed którym się zatrzymała, by poprawić zapięcie tych okropnych butów. – White Horse. Powiedz mu, że spotkamy się w pubie White Horse. Skąd będą wiedzieć, że to on?

– On wie, jak wyglądasz. Znajdzie cię. Mówi, że masz tam być od ósmej wieczorem.

– Od ósmej wieczorem? To dopiero za cztery godziny. Nie da rady wcześniej?

– Powiedział, że od ósmej. Będzie miał to, czego potrzebujesz. Zaczekaj w środku. Sam cię znajdzie. Nisha wbija wzrok w dywan. Kiedy się wreszcie odzywa, jej głos jest niepewny.

– Magda, czy mogę mu ufać? Czy wiemy, co takiego zdobył?

Krótką chwilą ciszy.

– Powiedział, że tam będzie, pani Cantor. Ja tylko przekazuję jego słowa.

Na obejście łóżka tam i z powrotem w tym ciasnym pokoju Nisha potrzebuje szesnastu kroków. Po zrobieniu tysiąca trzystu czterdziestu ośmiu wreszcie się zatrzymuje. Serce wali jej jak oszalałe, a myśli wirują, kiedy widzi czarno na białym, co Carl próbuje jej zrobić. Nie raz widziała, jaki bezwzględny był jej mąż wobec swoich rywali biznesowych, potrafił bez mrugnięcia uciąć długoletnie kontakty. W jednej chwili był z kimś w bliskich relacjach, chodzili razem na wystawne lunche, pożyczali sobie kierowcę albo spotykali się wieczorami na pogawędki przy koniaku, a w następnej ktoś właściwie przestawał dla niego istnieć. Dobierał sobie ludzi i porzucał ich, jak mu tylko pasowało, a potem ledwo pamiętał ich imiona. Carl nigdy się nie martwił mandatami za nieprawidłowe parkowanie, problemami prawnymi albo sądem pracy. Zawsze powtarzał, że od tego ma ludzi, by sprząтали za niego „bałagan”.

A do Nishy dociera, że ona stała się dla niego takim właśnie „bałaganem”.

Czuje w żołądku coraz większe napięcie, jak gdyby ktoś zaciskał jej sznur wokół pasa. Gdy tylko przestaje chodzić po pokoju, ma wrażenie, jak gdyby nie mogła normalnie oddychać, jak gdyby powietrze nie było w stanie dotrzeć w pełni do jej płuc. Męczy ją pragnienie, ale nie ma zamiaru pić wody z kranu (kto wie, jakie zagrożenie czai się w tych rurach), nie chce też wychodzić z pokoju, by kupić butelkowaną, bo Magda mogłaby wtedy zadzwonić, więc po chwili namysłu postanawia zrobić sobie kawę rozpuszczalną, tyle że najpierw wygotowuje czajnik trzykrotnie, za każdym razem nalewając świeżą wodę – dopiero wtedy czuje, że może się z niego napić bez obaw. (Raz w *Morning Show* usłyszała, że niektórzy goście hotelowi wygotowują w czajnikach swoją bieliznę. Potem Nisha dosłownie miała koszmary).

I co powie Rayowi? W końcu będzie się musiał dowiedzieć. Uraczą go jakimś wyświechtanym tekstem o tym, że ludzie się zmieniają i dlatego mama i tata, choć wciąż się kochają, nie mogą już być razem, bla, bla, bla. Carl pewnie zatrudni jakiegoś prawnika, by to napisał. A ona będzie musiała robić dobrą minę do złej gry, udawać, że ona też tego chciała. Przedstawić wszystko w jak najlepszym świetle, żeby Ray przyjął to jak najlepiej.

I kto za tym wszystkim stoi? To pytanie rozbrzmiewa w jej głowie z każdą nową myślą. Nisha tworzy w umyśle listę kobiet, które spełniałyby wymagania Carla i które wzbudziły jej podejrzenia przez ostatnie miesiące: czy to okazaniem jej mężowi nadmiernej uwagi, położeniem ręki na ramieniu w czasie imprezy charytatywnej czy też żartem wyszeptanym mocno pomalowanymi ustami. Zawsze kręciły się wokół niego jakieś kobiety, a ona obserwowała je uważnie i notowała w myślach każdą zmianę klimatu. Czuła już wcześniej, że dzieje się coś dziwnego, ale nie była w stanie stwierdzić, kto się za tym kryje. Na przykład trafił ją fakt, że Carl, mający zawsze – co ją czasami irytowało – wysokie libido, nagle ciągle bywał zmęczony. Nie chodziło o to, że Nisha lubiła te poranne przysługi, które musiała mu wyświadczać, ale zaniepokoiło ją, kiedy przestał się ich domagać. Nigdy nie zapytała go, co jest nie tak – nie była tego rodzaju kobietą – lecz kupiła nową, odważną bieliznę, i wzięła sprawy w swoje ręce, kiedy wrócił z ostatniej podróży służbowej, wykorzystując triki, którym nie był w stanie się oprzeć. Wtedy jakoś był mniej zmęczony. No jasne, jakżeby miało być inaczej. Ale nawet kiedy potem obejmowała jego spocone ciało, wyczuwała coś dziwnego, jakąś fałszywą nutę rozbrzmiewającą w tle. Wiedziała już wtedy, wiedziała z całą pewnością, i właśnie to wreszcie popchnęło ją do tego, by szukać zabezpieczenia.

I Bogu dzięki, że to zrobiła.

Jest głodna. To nic niezwykłego, Nisha jest głodna przez całe swoje dorosłe życie – jak inaczej można

by było utrzymać taką figurę? Ale nagle uświadamia sobie, że od rana nic nie jadła. Podchodzi do tacy z plastikowym czajnikiem, na której leżą dwie kolorowe paczuszki tanich ciastek z jakimś niezidentyfikowanym kremowym nadzieniem. Nisha przygląda się im podejrzliwie. Węglowodany były jej wrogiem przez tyle lat, że przekonanie siebie samej, że w tej sytuacji musi je zjeść, wymaga od niej sporego mentalnego wysiłku. Jednak najbardziej marzy teraz o papierosie. Nie ciągnęło jej do palenia od pięciu lat, lecz teraz dałaby się za to pokroić.

Żeby się czymś zająć, znowu wygotowuje czajnik trzy razy i parzy sobie czarną herbatę. Aż wreszcie, kiedy głód staje się nie do wytrzymania, otwiera paczuszkę i wkłada jasne ciastko do ust. Jest ono jednocześnie suche i maziowate, ale Nisha ma wrażenie, jakby w życiu nie jadła czegoś tak pysznego. O Boże, jakie to dobre. Sama chemia, ale cholernie dobra... Nisha zamyka oczy i delektuje się każdym kęsem dwóch małych ciastek, jęcząc przy tym z rozkoszy. A potem zjada drugą paczkę. Wytrzepuje na dłoń ostatnie okruszki, rozrywa opakowanie i wylizuje jego wnętrze. Dopiero kiedy ma pewność, że już nic nie zostało, wyrzuca je do kosza.

Następnie siada na łóżku i sprawdza godzinę.

I czeka.

Była już wcześniej w angielskim pubie, w regionie Cotswolds, gdy jeden ze współpracowników Carla, właściciel rozległej posiadłości myśliwskiej, uznał, że udział w tradycyjnym angielskim „piciu do dna” na pewno będzie dla nich znakomitą rozrywką. Budynek pubu wyglądał jak wyjęty prosto z podręczników do historii, miał ukośne drewniane stropy i był przesiąknięty zapachem dymu, a porośnięte różami wejście zdobił uroczy starodawny ręcznie malowany szyld. Właściciel pubu znał wszystkich z imienia i nawet nie miał nic przeciwko obecności psów, które leżały u stóp hałaśliwych mężczyzn z zepsutymi zębami i w tweedowych ubraniach, a na parkingu stały zarówno ubłocone samochody z napędem na cztery koła, jak i nieskazitelnie czyste porsche i mercedesy weekendowych gości.

Barmanka podała pokrojony w kostkę ser na talerzykach (które aż się prosiły o badania laboratoryjne na obecność bakterii) i małe brązowe zapiekanki z niezidentyfikowanym mięsem, które Nisha skubała na niby. Woda w butelkach była letnia. Nisha reagowała na głośnie żarty uśmiechem i żałowała, że nie została w domu. Tyle że zawsze towarzyszyła Carlowi na takich imprezach.

Ale ten pub jest innego rodzaju. Przypomina raczej przydrożne knajpy w miejscu, gdzie Nisha dorastała, oddalone kilka kilometrów od autostrady. Dziewczyny nosiły w nich obcisłe koszulki i krótkie spodenki, a faceci zachowywali się, jakby wszystko im było wolno. Gdy Nisha wchodzi do White Horse, od razu otacza ją morze ciał i uderza hałas, ludzie przekrzykują się nawzajem przez opary piwa przy dudniącej muzyce, która jest o kilka decybeli za głośnie. Nisha przedziera się przez tłum, starając się unikać mężczyzn, którzy snują się bez celu, najwyraźniej już pijani, choć jest dopiero wpół do ósmej.

Miała nadzieję posiedzieć spokojnie gdzieś w kącie, ale wszystkie miejsca są już zajęte, a gdy tylko jakiś stolik się zwalnia, ludzie przepychają się do niego bez pardonu. Czeką więc przed wejściem, jak gdyby wyszła na papierosa, i kręci głową, gdy inni ją pytają, czy „ma pożyczyć fajkę”. Jednocześnie przeszukuje wzrokiem tłum, czekając na faceta, który kiwnięciem głowy da jej znak, że ją rozpoznaje.

Spiknął ich znajomy znajomego męża Magdy, który ma kontakty w różnych krajach. Ustaliła wszystko sześć tygodni temu, rozmawiając z nim z telefonu na kartę, tak żeby ograniczyć do minimum pośrednictwo Magdy, która błagała, by jej w to nie mieszać („Lepiej, żebym nic nie wiedziała, pani Cantor, nie chcę mieć kłopotów”). Facet odezwał się w zeszłym tygodniu i powiedział, że obserwacja była dziecinnie prosta i Nisha „nie będzie zawiedziona”. Wysłała mu gotówkę i zegarek marki Patek Philippe, który Carl kupił dwa lata temu na lotnisku w Dubaju, ale był zbyt pijany, by o tym pamiętać.

Próby zidentyfikowania tego faceta na podstawie wyglądu nie miały sensu. Wszyscy oni wyglądali tak samo, zbiry z wojskową fryzurą i grubymi karkami. Pozna go, ten facet jako jedyny w tym lokalu nie będzie pijany ani wrzaskliwy.

– Masz pożyczyć fajkę, skarbie? – Staje przed nią młody facet. Ma na sobie koszulkę polo i spodnie od dresu z krokiem sięgającym kolan, a na policzkach rumieńce świadczące o tym, że pije już od dłuższego czasu.

– Nie – odpowiada.

– Czekasz na kogoś, co?

Nisha lustruje go z góry na dół.

– Czekam, aż się stąd zmyjesz.

– Uuuuu!

Nisha dostrzega, że towarzyszy mu grupa innych młodych mężczyzn, równie mocno wstawionych, którzy szturchają się nawzajem i wyją.

– Pyskata jesteś. Lubię pyskate – mówi i sugestywnie unosi brwi, jak gdyby uważał, że powinna to uznać za komplement. – Amerykanka, co?

Nisha go ignoruje i przesuwają się lekko, żeby nie zasłaniali jej widoku.

– Eee no, nie bądź taka. Kupię ci drinka. Czego się napijesz? Wódki z tonikiem?

– Nie daj się prosić, jankesko – dodaje jeden z kumpli.

Nisha dalej patrzy w bok. Czuje zapach jego płynu po goleniu, taniego i ostrego.

– Nie mam ochoty. Odejdź, proszę. Miłego wieczoru.

– Bez ciebie nie będzie miły... No weź, postawię ci drinka. Siedzisz tu sama jak...

Facet kładzie jej rękę na ramieniu, a ona odwraca się błyskawicznie i syczy:

– Odpieprz się, palancie, i zostaw mnie w spokoju!

Tym razem „uuuuu!” ze strony kumpli brzmi znacznie ostrzej. Najwyraźniej ich wkurzyła. Ale Nisha musi się skupić, by nie przegapić faceta, na którego czeka.

Twarz chłopaka cała czerwienieje i przybiera nieprzyjemny wyraz.

– Nie musisz być chamska.

– Najwyraźniej muszę – odpowiada Nisha. Gdy wchodzi z powrotem do pubu, rzucając w jej stronę nadęte spojrzenia, Nisha podchodzi do postawnego faceta w średnim wieku w wymiętej kurtce, który, oparty o okno, rozmawia ze znajomym.

– Przepraszam, masz pożyczyć fajkę? – Jej słodki uśmiech natychmiast rozbraja faceta. W pośpiechu szuka paczki, nic nie mówiąc. Zapala jej papierosa jak dżentelmen, tak, by nie dotknąć jej dłoni, a ona wynagradza go za to kolejnym uśmiechem. – Mogłabym prosić o kilka na potem? Swoje zostawiłam w domu. – Mężczyzna nalega, by wzięła całą paczkę, sam kupi sobie nową. – Jesteś kochany – oznajmia Nisha, a uszy mężczyzny czerwienieją.

Zaciąga się papierosem szybko i gniewnie, delektując się ostrym smakiem dymu i możliwością zajęcia się czymś przez kilka chwil. Gdzie on się, do diabła, podziewa? Przydeptuje ostatniego papierosa obcasem. Pospiesz się, pogania faceta w myślach. Nie pamięta, kiedy ostatni raz była sama wieczorem w takim miejscu. Zazwyczaj jest odizolowana od tego typu ludzi. Ten smarkacz nie podszedłby do niej, gdyby miała na sobie swoje normalne ciuchy. Całe życie robiła wszystko, by uciec od takiego świata.

Sprawdza godzinę, wsuwa ręce do kieszeni i natychmiast je wyciąga z głośnym jękiem obrzydzenia, przypomniawszy sobie, w co jest ubrana.

Jest kwadrans po dziewiątej, kiedy Nisha robi trzecie okrążenie po pubie, przepychając się między grupkami coraz bardziej hałaśliwych klientów, zaglądając tu i ówdzie i przypatrując się ludziom. Młoda kobieta, która gdzieś zapodziała buty, proponuje jej przed pubem papierosa i mówi, że ma piękne włosy. Nisha dziękuje jej uprzejmie, ponieważ ma ochotę zapalić. Podejrzewa, że nikotyna zafunduje jej jutro ból głowy.

A potem dalej czeka, godziny mijają, w pubie panuje coraz większe rozprężenie, głosy stają się donośniejsze, ludzie potracają ją, wylewając alkohol. Grupa osób wyglądających na pracowników biurowych zaczyna tańczyć na małym, lepkim parkiecie, a ona gapi się na nich, dziwiąc się ludzkiej skłonności do upokarzania samych siebie. Boczne drzwi zostają zamknięte za kwadrans jedenasta i ludzie zaczynają się wylewać głównym wejściem, śmieją się przy tym, potykają, zatrzymują się na papierosa albo żeby się niedbale pocałować, niektórzy zamawiają taksówki. A faceta, na którego czeka Nisha, dalej nie ma.

– Zamykają już? – pyta mężczyzny o azjatyckich rysach, członka ekipy pracowników biurowych.

– Tak, skarbie – odpowiada, salutując. – Już prawie jedenasta, co nie? – Zarzuca rękę na ramię rudowłosego mężczyzny w niedopasowanym podkoszulku i odchodzą ze śpiewem na ustach.

Nisha nie może w to uwierzyć. Odwraca się i zerka do środka: lokal pustoszeje, barmani wycierają stoły i wykładają na nie krzesła. Czy możliwe, że go przeoczyła? To wykluczone, że tu był, a ona się nie zorientowała. Nie, na pewno nie. Nisha rzuca pod nosem przekleństwo i wyrusza w drogę powrotną do hotelu.

Zaledwie po kilku minutach spaceru Nisha słyszy za plecami gwizdy, a kroki odbijają się echem po mokrym chodniku. „Hej! Jankeska!” Odwraca się i natychmiast rozpoznaje chłopaka, który wysuwa się przed pozostałych członków grupy jak nabrzmiały czyrak. Och, fantastycznie.

Nisha przyspiesza kroku, ale oni przyspieszają jeszcze bardziej. Są coraz bliżej. Serce jej wali, krew

szumi w uszach od nagłego przypływu adrenaliny. W myślach robi kalkulacje, które zna każda kobieta: alejka jest zbyt ciemna i pusta; w pobliżu nie ma żadnych ludzi; główna oświetlona ulica, po której jeżdżą samochody, jest oddalona o jakieś sto, dwieście kroków. A ona nie ma przy sobie Ariego, żadnego odstraszacza, nawet kluczy między palcami. Tamten jest coraz bliżej. Nisha czuje to głęboko w środku.

Trzy kroki, dwa. Słyszy, że jest tuż za nią, czuje na karku jego gorący oddech. I w momencie gdy tamten otacza ją ramionami w niezdarnym uścisku, Nisha nagle przykuca, przenosi ciężar ciała na wysuniętą do tyłu nogę, obraca się i mocno wali go prawym przedramieniem w krocze tak jak ją nauczono na krav madze. Słyszy za plecami przesywający skowyt chłopaka padającego na chodnik oraz zszokowane okrzyki pozostałych, przypadających do kumpla. I przekleństwa. „Ja pier...”

Ale tamci są pijani i zanim do Nishy dotrze w pełni, co się przed chwilą stało, rzuca się do biegu nieoświetloną uliczką, czując w nogach siłę wypracowaną w czasie tych wszystkich monotonnych codziennych treningów na bieżni, i wreszcie cieszy się z faktu, że nie ma na sobie pięknych, robionych na zamówienie szpilek od znanego projektanta, ale tanie, irytująco płaskie czółenka.

Jest już niemal przy hotelu, w mózgu wciąż jej wiruje, kiedy odkrywa, że w czasie tej szamotaniny z płytkiej kieszeni kurtki wypadł jej telefon.

Klnie szpetnie, a potem odwraca się i biegnie tą samą drogą, nie zważając na pijanych ludzi idących chwiejnym krokiem. Przepatruje chodnik, ale na próżno. I czemu się dziwić? Jak długo telefon mógł poleżeć na chodniku w podejrzonej dzielnicy? Nisha stoi w migoczącym świetle latarni, zamyka oczy i zastanawia się, co jeszcze ją dziś spotka.

– Magda! W Londynie jest sześć pubów o nazwie White Horse! Dlaczego mi nie powiedziałaś?! Właśnie to sprawdziłam! Pewnie tamten facet czekał na mnie w innym!

Pożyczyła telefon od siedzącego w recepcji Nigeryjczyka o łagodnym głosie i kiedy Magda odbiera, Nisha stoi w kącie przy automacie z napojami, ignorując zaniepokojone spojrzenia, które mężczyzna posyła w jej stronę.

– Co takiego? Ale przecież do mnie dzwonił!

– To znaczy?

– Powiedział, że wręczył pani wszystko dwie godziny temu. Coś mu wypadło i się spóźnił, więc zadzwonił do mnie.

– Nie wręczył tego mnie. Pewnie był w innym pubie!

– Nie. Nie, pani Cantor. To było w tym White Horse. Powiedziałam mu, co będzie pani mieć na sobie. Wiedziałam, że to będzie piątkowe ubranie, ponieważ mam wszystko wpisane w grafik. Mówił, że poznał panią po butach.

– Co takiego?

– Po szpilkach Louboutina. Stwierdził, że jest tam zbyt dużo kobiet w pani wieku z ciemnymi włosami, mających metr siedemdziesiąt wzrostu. Więc powiedziałam, że po nich najłatwiej panią rozpozna. Ponieważ istnieje tylko jedna taka para na świecie, prawda? Bardzo charakterystyczne buty. Nawet wysłałam mu zdjęcie, tak dla pewności. Wiedziałam, że będzie je pani mieć na sobie, ponieważ w piątek po siłowni miała pani iść do fryzjera, a potem prosto do Hakkasana na kolację, a sama pani mówiła, że pan Cantor chciał, by je pani włożyła.

– Ale... moje buty zostały skradzione. Dziś rano.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– ...Nie miała pani na sobie tych szpilek?

Nisha wstaje i mocno ściska telefon, kiedy dociera do niej, co mówi Magda.

– O mój Boże. Komu on to wręczył, do diabła?



Kac po czterdziestce jest podszyty mściwą nutą, jak gdyby ciało, wkurzone faktem, że zostało podtrute, postanowiło wysłać wzdłuż zakończeń nerwowych wściekle sygnały: Jak ci się wydaje, ile masz lat? Czy to był rozsądny pomysł? Myślisz, że jesteś jeszcze młoda i możesz sobie tak ostro pogrywać? No to zobaczymy. Sam leży z mocno zacisniętymi powiekami, by odgradzić się od światła, z kuchni dochodzą ją potwornie głośne dźwięki i łapie się na tym, że właśnie toczy wymyśloną kłótnię z własnym systemem nerwowym. Wie, że będzie musiała stawić czoła temu dniowi. Albo przynajmniej nieznacznie szturchnąć go palcem i pewnie lekko przy tym zapłakać.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Cat staje przed nią w krótkiej błyszczącej kurtce i masywnych czarnych butach i kładzie kubek z kawą na stole z werwą, która Sam wydaje się podszyta sadystyczną nutą.

– Chyba... chyba tak.

– Usiądź. Inaczej będzie ci kapać po brodzie.

Sam się podciąga, a na skutek bólu, który rozsadza jej głowę, z jej piersi wyrywa się cichy jęk.

– Gdzie jest tata?

– Ciągle śpi.

– Która godzina?

– Wpół do dziesiątej.

– O Boże, pies...

– Wyprowadziłam go. I kupiłam mleko. I pozmywałam naczynia, które tata zostawił po kolacji. Czy mogę pożyczyć twoje złote wkrętki? Wybieram się po pracy na protest przeciwko farmie futrzarskiej i boję się, że w razie zamieszek mogliby mi wyrwać kółka.

Spojrzenie Sam przesuwają się w stronę córki.

– Te, których miałaś pod żadnym pozorem nie pożyczać? Zaraz, zaraz... Wyrwać? Że co?

– Od sztucznego złota swędzą mnie uszy. Masz. Napij się kawy.

Sam upija łyk. Czuje, jak od tego wraca jej życie.

– Świetny sposób negocjacji. Dopadnij ofiarę, gdy jest osłabiona.

– Uczyłam się od najlepszych. – Cat posyła matce promienny uśmiech. – Dzięki, mamó. Będą pod dobrą opieką, masz moje słowo.

Sam nagle przypomina się Joel, ciężar jego rąk na jej talii i skierowany do niej ten jego charakterystyczny uśmiech. W uchu dźwięczy jej głos Mariny: on na ciebie leci. Sam oblewa się rumieńcem i nie jest pewna, czy fala ciepła, które uderza jej do twarzy, to alkohol, zażenowanie czy hormony. W każdym razie podnosi się z sofy.

– Baw się dobrze na... zaraz, zaraz, powiedziałaś „na protest”? Co ty... co ty wyprawiasz?

– Protestuję! Drażnię się z policją! Miłego dnia, mamó!

– Chwila moment... czy to tatuaż?

Ale odpowiada jej jedynie trzaśnięcie drzwiami.

Phil leży bez życia zwinięty w pościeli i nawet nie drgnie, gdy Sam wchodzi do sypialni. Powietrze w tym pokoju wydaje się nieruchome i cięższe niż gdzie indziej. Sam przez chwilę obserwuje go w milczeniu, patrzy na jego brwi zmarszczone nawet we śnie, na ręce przyciągnięte do podbródka, jak gdyby nieświadomie przygotowywał się do obrony. Czasami ma ochotę na niego wrzasnąć: Czy wydaje ci się, że i ja nie wolałabym leżeć przez cały dzień, podczas gdy ktoś inny wszystko by za mnie ogarniał? Że nie wolałabym, żeby ktoś inny przejmował się rachunkami, koszmarnym szefem, wyprowadzaniem psa, zakupami i odkurzaniem tego kawałka schodów, na którym ciągle gromadzą się włosy? Wydaje ci się, że nie chciałabym się pozbyć odpowiedzialności za to wszystko? Są też chwile, kiedy czuje z jego powodu ogromny smutek, bo ten jej dawniej radosny, pełen energii mąż, który fałszował, śpiewając pod prysznicem, i całował ją niespodziewanie, teraz przez cały czas chodzi z udręczoną miną, przygarbiony, jakby przygnieciony ciężarem życia, które w ciągu pół roku zafundowało mu podwójny cios: utratę ukochanej pracy i jeszcze bardziej ukochanego ojca. Nie mógł mu pomóc, Sam, powtarzał co wieczór, blady jak ściana, kiedy wracał ze szpitala do domu. Powiedział jej kilka tygodni temu, że życie w tym wieku przypomina chodzenie pod ostrzałem, bo ważni dla

nas ludzie mogą zginąć w każdej chwili, i nic się nie da z tym zrobić ani przewidzieć, kto będzie następny.

– To trochę ponura wizja – rzekła wtedy. Ale czuła, że zabrzmiało to mało przekonująco, a Phil tego nie skomentował.

W przeciwieństwie do domu Sam, przed którym stoi rdzewiejący kamper opanowany przez chwasty i będący składowiskiem opakowań po jedzeniu wyrzucanych z przejeżdżających samochodów, wejście do małego domku Andrei zawsze jest wzorem porządku. Spomiędzy kostek brukowych nie wystaje żadne zielsko, a kwiaty w terakotowych doniczkach ustawionych w rzędzie są idealnie wypielęgnowane, nawożone i podlewane codziennie z niemal matczyną troską, a do tego są wymieniane na każdą porę roku.

Sam, posługując się ustalonym kodem, by Andrea wiedziała, że to nie jakiś walnięty stalker ani namolny akwizytor, puka do drzwi, które po chwili się przed nią otwierają.

– Wyglądasz koszmarnie – wita ją pogodnie Andrea i Sam marszczy czoło, spoglądając na swoją pozbawioną brwi przyjaciółkę, której skóra wciąż jest upiornie blada. – Wejdz, wejdz. Będiesz sobie sama musiała zrobić kawę. Zapach mleka wciąż wywołuje u mnie mdłości.

Siadają z podkulonymi nogami na dwóch krańcach sofy, która jest zawsze pokryta chustami i szydełkowanymi kocami, ponieważ Andrei ciągle jest zimno, a że lubi wesołe i pogodne rzeczy, wszystko to jest w odważnych kolorach. Mugs, ukochany wyliniały rudy kot Andrei, wspina się na sofę i zaczyna z zapalem ugniatać leżącą na środku poduszkę, wydając z siebie pomruki zadowolenia.

– A więc co się stało? – pyta Andrea. Obwiązała sobie głowę chustą, która podkreśla błękit jej oczu. – Czekam na wszystkie plotki.

– Podpisałam trzy duże kontrakty, mój nowy szef oskarżył mnie o picie w pracy, a potem potwornie, potwornie się naprułam – odpowiada Sam.

– Fantastycznie. Połajdaczyłaś się przy okazji?

Myśli Sam natychmiast biegną w stronę Joela, ale odsuwa od siebie tamto wspomnienie.

– Nie. Nie licząc tańczenia do upadłego w szpilkach, przez co moje stopy dziś rano były tak spuchnięte, że wyglądały jak ciasto na chleb.

– Buuu. Miewam sny o tym, że się łajdaczę. Czasami śni mi się, że idę do knajpy i nawalam się jak stodoła, tak że gdy rano się budzę i nie mam kaca, niemal czuję rozczarowanie.

– Mogę ci oddać swojego. Szczerze. Bierz, nie krępuj się.

Poznały się pierwszego dnia szkoły średniej. Andrea pokazała wtedy Sam, jak udaje pomarańczę (w tym celu ściągnęła usta i całą twarz, co było całkiem przekonujące), a potem pochwaliła się malinką, którą zrobił jej syn nauczyciela wuefu. Przez te wszystkie lata ich przyjaźni Sam przypomina sobie tylko jedną kłótnię: miały wtedy osiemnaście lat i poszło o wakacje, na które Andrea pojechała bez niej. Potem doszły do milczącego porozumienia, że już nigdy nie będą się kłócić. Andrea zna ją na wylot. Wie o każdym jej zakochaniu, każdym zmartwieniu, zna każdą jej myśl: jej życie to nieustanna rozmowa toczona z przyjaciółką, i po każdym ich spotkaniu Sam czuje się podbudowana w sposób, który działa na nią jakoś podprogowo i którego nigdy do końca nie pojmuje.

– Czy Phil już się ogarnął?

– Jeszcze nie.

– Wróciliście do rozmowy o braniu leków?

– Nie daje się przekonać – wzdycha Sam. – Phil uznał chyba, że kiedy zaczniesz brać antydepresanty, można go będzie oficjalnie uznać za chorego psychicznie.

– To po prostu depresja, Sam. Patrzeć na to w ten sposób jest niedorzeczne. Każdy czasami potrzebuje pomocy. Tamto... nie różni się zbytnio od tego. Tyle że zżera mu mózg, a nie cycki.

Andrea jest jedyną osobą, z którą Sam jest w stanie porozmawiać szczerze o chorobie Phila. O tym, jak go czasami nienawidzi. O swoich obawach, że nigdy mu się nie poprawi. Albo że pewnego dnia mu się poprawi, ale ona wcześniej zdąży go zniechęcić tak bardzo, że już nigdy nie uda jej się wzbudzić w sobie tych samych uczuć do niego. O tym, jak to, co przytrafiło się jemu – i Andrei – wzbudziło w niej lęk, że ziemia może się usunąć człowiekowi spod nóg w każdej chwili, przez co nic w świecie, żadne szczęście, nie wydaje się pewne.

– A ty jak się czujesz? – pyta Sam, by zmienić temat.

– Przede wszystkim zmęczona. Obejrzałam w tym tygodniu cały *Ostry dyżur* w internecie, tylko dlatego, że czułam się lepiej, patrząc, jak inni umierają, a nie ja.

– Na ostatnim USG miałaś dobre wyniki, prawda? Poprawia ci się?  
– Tak. Jeśli następne będą dobre, będę mogła odetchnąć z ulgą. Wyobraź sobie, że włosy zaczęły mi odrastać. – Zdejmuje chustę z głowy i pokazuje Sam delikatny meszek.  
Sam nachyla się w jej stronę i przejeżdża po nim dłonią.  
– Nieźle. Wyglądasz jak Furiosa z *Mad Maxa*.  
– Taaak, ludzie zawsze zwracali uwagę na moje uderzające podobieństwo do Charlize Theron.  
W pokoju na chwilę zapada cisza. Mugs zasnął, jego długie tylne łapy sterczą do góry jak u królika i obie kobiety delikatnie go głaszczą.  
– Aha, i zwolniono mnie z pracy. – Andrea nie podnosi wzroku, wpatrując się w kota.  
Dopiero po chwili do Sam dociera, co powiedziała przyjaciółka.  
– Co takiego?  
– To nie ma nic wspólnego z tym, rzecz jasna, po prostu restrukturyzacja działu, w wyniku której nastąpiła likwidacja mojego stanowiska.  
– Nie mogą tego zrobić! Nie po tym, co ostatnio przeszłaś!  
– Chyba jednak mogą, skoro zrobili. Dostałam małą odprawę, i to by było na tyle.  
– Ale... ale jak dasz sobie teraz radę?  
Andrea wzrusza ramionami.  
– Nie mam pojęcia. Pomyślałam, że może stanę pod latarnią. – Andrea rzuca Sam błady uśmiech. – W przyszłym tygodniu wybieram się do urzędu zatrudnienia, by się dowiedzieć, co mi przysługuje. Można by się spodziewać, że kiedy człowiek jest jedną nogą w grobie, to coś mu jednak przysługuje.  
– Przestań – przerywa jej Sam. – Nawet nie żartuj w ten sposób. – Wyciąga rękę i delikatnie ściska dłoń przyjaciółki.  
– Będzie dobrze – odpowiada Andrea. – Jakoś się wszystko ułoży.  
– Pomogę ci.  
– Mam oszczędności.  
– Mówiłaś, że już ci się kończą.  
– Masz za dobrą pamięć – wzdycha Andrea. – A poza tym jesteś tak samo splukana jak ja.  
– Poważnie, mogę coś dla ciebie zrobić? Można ich pozwać? Zatrudnić prawnika?  
– To ogromna korporacja, która ma całe działy prawne specjalizujące się w tłamszeniu ludzi. I serio? Nie mam teraz siły, żeby walczyć z czymkolwiek innym. – Mówiąc to, Andrea wpatruje się w kota i w ten sposób zamyka temat. Przez chwilę siedzą w milczeniu, pogrążone w rozmyślnościach, i ciągle głaszczą Mugsę, który jednak stwierdza najwyraźniej, że ma na razie dość ludzkiego dotyku, i schodzi z sofy.  
– Och, opowiem ci coś zabawnego – odzywa się wreszcie Sam.  
Andrea unosi głowę.  
– Najwyższa pora. Jezu, przez pół godziny dostarczałaś mi tyle rozrywki, co deszczowy weekend w Grimsby, i dopiero teraz mówisz, że masz coś ciekawego w zanadrzu?  
Sam opowiada Andrei o szpilekach Louboutina, począwszy od spotkania z Framptonem, a skończywszy na Miriam Price, a potem o przystojnym facecie z brązową kopertą.  
– Hm, gdzie to masz? To, co dał ci ten facet.  
– Yyy... chyba w torebce. – Sam przeszukuje ją i wyciąga kopertę. W środku znajduje się pendrive.  
– I na co czekasz? To może być coś ekscytującego. Dane szwajcarskiego konta. Kody z Pentagonu, których mogłabym użyć, by zbombardować mój dział kadrowy. Majątek dawno zaginionej nigeryjskiej rodziny królewskiej. Daj, sprawdzę, co to. Nie kaź się prosić. – Andrea podnosi się z sofy i sięga po laptop leżący na biurku.  
– A co, jeśli to jakieś złośliwe oprogramowanie? Nie chcę ci zawirusować komputera.  
Andrea przewraca oczami.  
– Czy ja wyglądam na osobę, która nie ma większych problemów niż wirusy komputerowe? – Bierze od niej pendrive'a i wsuwa do laptopa. Siadają obok siebie, tak żeby obie mogły widzieć ekran.  
– Jeśli to kody z Pentagonu, to najpierw wyceluję w swoją byłą teściową – mówi Andrea z entuzjazmem. – Tylko jedna mała zabłąkana rakietka. Może nuklearna. Nic drastycznego.  
Ekran migotaniem budzi się do życia i obie milkną. To Andrea odzywa się pierwsza, po krótkiej chwili wpatrywania się w ziarnisty obraz, na którym dwa ciała wiją się wściekle.

– Yyy... Sam? Nie wiem, co to takiego, ale jestem pewna, że to... nielegalne.

– A przynajmniej nie powinno być.

Jak sparaliżowane patrzą w milczeniu na ekran jeszcze przez kilka chwil, nie będąc w stanie odwrócić wzroku. Obie mają rozdziawione usta.

– On nie powinien... O nie. Nie, nie, nie.

– Czy to... czy to ten sam facet, który ci to wręczył?

– Nie! Tamten był o wiele młodszy. I nie... fuj.

– Co ona mu robi? Wyłącz to. Wyłącz! Zaraz się porzygam.

Zamykają szybko ekran laptopa i siedzą przez chwilę w milczeniu. Andrea spogląda na Sam i kręci głową.

– Czy tak się teraz robi? Jeśli jakaś osoba ci się podoba, to zamiast wysłać jej zdjęcie fiuta, wręcza jej się niszowe porno w brązowej kopercie? – Andrea się wzdryga. – O Jezu. Prawie się cieszę, że jestem teraz zbyt chora na randkowanie.

W tej zaniedbanej dzielnicy niewiele osób nosi eleganckie ciemne garnitury, ale ta część Londynu – opisywana przez agentów nieruchomości jako „pełna życia” albo „mająca potencjał” – to miejsce, w którym nikogo nie dziwi widok człowieka przebranego za kozę albo członka ruchu Hare Krysna w zwiewnych pomarańczowych szatach potrząsającego tamburynem, więc nieliczni przechodnie, którzy mijają Ariego Peretza, nie zwracają na niego zbyt wiele uwagi. A nawet gdyby, on by tego nie zauważył, ponieważ wpatruje się intensywnie w ekranu telefonu pokazujący pulsującą niebieską kropkę, która coraz bardziej się zbliża do ruchomego czerwonego znacznika. Ari przystaje przy skrzynce na listy, robi krok naprzód i wbija wzrok w ziemię, jak gdyby czegoś szukał. Schyla się, spogląda pod żywopłot, potem za ceglany murek, wciąż obserwując ekran. Aż wreszcie na czworakach zerka pod zaparkowany samochód, przyświecając sobie latarką z telefonu. Przysuwa się, sięga ręką pod auto, wyciąga stamtąd inny telefon i wyciera go z kurzu. Następnie wstaje, otrzepuje spodnie i rozgląda się wokół. Wydaje z siebie ciężkie westchnienie, jak człowiek, który wie, że rozmowa, którą musi odbyć, nie będzie należała do przyjemnych. Wreszcie wybiera numer.

– Znalazłem go. Nie ma jej tutaj. Możemy mieć problem.

Ta myśl przyszła jej do głowy w środku nocy: dom w Chelsea. W czasie ich małżeństwa Carl kompulsywnie kupował i sprzedawał różne nieruchomości, a ponieważ ta była ciągle w remoncie, jeszcze tam nie mieszkali. W chaosie wydarzeń poprzedniego dnia Nisha zapomniała o jej istnieniu. Ale potrzebuje jakiejś bazy, dopóki sytuacja się nie wyjaśni, i niezależnie od tego, w jakim stanie jest ten dom, i tak będzie lepszy niż ten podrzędny hotel. Gdy nagle o drugiej czternaście w nocy przypomniała sobie o nim, poczuła taką ulgę, że niemal zakręciło jej się w głowie.

Nie ma wprawdzie kluczy, ale jeśli robotnicy ciągle tam pracują, wpuszczą ją do środka. A jeśli nie, to się włamie. Żaden policjant na świecie nie może zabronić właścicielowi włamywania się do własnego domu. Nisha leży w ciemności, planując następny ruch. Rozlokuje się tam, zatrudni prawnika, odzyska torbę, a potem skopie Carlowi tyłek. To ostatnia myśl, która kołysze ją do niespokojnego snu. A potem o siódmej Nisha się budzi, bierze prysznic, zakłada wczorajsze ubranie i schodzi na śniadanie, które jest wliczone w cenę.

– Co to znaczy, że nie ma menu?

Nisha wpatruje się w kelnera, ale ten tylko mruga zdziwiony i odchodzi. Są miliony powodów, dla których od dwudziestu lat unikała śniadań w formie szwedzkiego stołu. Przede wszystkim jedzenie jest zawsze najgorszej jakości: tonące w tłuszczu jajka pod lampami do podgrzewania albo nieapetyczne kielbaski ślizgające się po metalowych tacach. A do tego jacyś obcy ludzie pochylają się nad metalowymi pojemnikami, zrzucając przy tym włosy albo martwy naskórek. Zawsze uważała to za czysty koszmar.

Dopóki nie zgłodniała.

To nie jest ten zwyczajny, znany jej niedosyt, nieustannie dający o sobie znać, mimo to nieszkodliwy, ale coś nowego, wilczy głód, od którego Nisha się trzęsie, osłabiona i niezdolna do myślenia o czymkolwiek innym niż jedzenie. Śniadanie jest podawane w zatłoczonej jaskrawożółtej sali konferencyjnej, gdzie krzesła przykrywa folia, a na ścianach widnieją tłumaczenia „dzień dobry” na kilkanaście języków. Wszystko to ją odpycha, ale w żołądku tak jej burczy, jakby w środku siedziało rozwścieczone zwierzę.

Nisha nakłada na talerz dwa pomidory, breję podpisaną jako jajecznicą i dwa placki ziemniaczane. Bierze też banana – przynajmniej tego, co jest pod skórką, nikt nie dotykał – i wkłada kilka zafoliowanych plasterków sera do kieszeni. Mężczyzna stojący po jej prawej spogląda na nią z przyganą, a ona piorunuje go wzrokiem, aż tamten oblewa się rumieńcem i odwraca. Nisha idzie z talerzem do najdalszego kąta pomieszczenia, siada i zaczyna przeglądać jedną z darmowych gazet, chociaż właściwie niewiele z jej treści do niej dociera.

W czasie jedzenia dopracowuje swój plan. Kiedy tylko ogarnie podstawowe rzeczy, potrzebne jej będą pieniądze. Będzie musiała trochę pożyczyć, dopóki do akcji nie wkroczy prawnik. Zastanawia się, na kogo mogłaby liczyć w tej sprawie. Większość jej znajomych to – co uświadamia sobie z coraz większym niepokojem – znajomi Carla. Przez chwilę myśli o Julianie, ale nie rozmawiała od ponad piętnastu lat, a zresztą ona i tak nigdy nie miała pieniędzy. Mężczyzna, z którym rozmawiała Magda i który miał jej dostarczyć dowody, zniknął.

Kiedy pije kawę, zaczyna w niej narastać poczucie paniki: jakim cudem znalazła się w takiej sytuacji? Zmusza się, by zamknąć oczy i oddychać głęboko. Myśli o nalanej, zadowolonej z siebie twarzy Carla, który pewnie je teraz jajka po benedyktyńsku w apartamencie. Myśli też o satysfakcji, jaką poczuje, gdy sytuacja znowu odwróci się na jej korzyść. Przeżyła już gorsze rzeczy, powtarza sobie. Przeżyje więc i to.

Kiedy znowu otwiera oczy, widzi pracownicę kuchni stojącą nad nią ze znużoną miną.

– Jeśli pani skończyła, musi pani wyrzucić resztki z tacy do kosza.

Nisha wpatruje się w kobietę przez całe trzy sekundy, a na jej twarzy znajduje odbicie zacieklej wewnętrznej walki. Aż wreszcie bierze głęboki wdech, chwyta tackę i mijając kobietę, rusza sztywnym krokiem w stronę kosza na śmieci.

Niszy zostało jeszcze trochę drobnych, więc łapie autobus i siada z przodu, próbując nie zwracać uwagi na innych pasażerów. Wysiada niedaleko Chelsea Bridge i po dziesięciu minutach marszu dociera do małego placu. Okolica prezentuje się zadowolająco: białe, porządnie otynkowane budynki, przyzwoite butiki i restauracje. W kwaciarni sprzedają wyszukane bukiety z niebieskich hortensji i Nisha wyobraża sobie, jak będą wyglądały na jej stole w jadalni w tym domu. Planuje, na jakie zabiegi zapisze się w pobliskim salonie

kosmetycznym, a już teraz dałaby się pokroić za masaż, chociaż wie, że jakoś musi bez niego wytrzymać. Przeżyje bez tego jeszcze jakiś czas. Wreszcie wchodzi na placyk, witając z cichą satysfakcją panujący tu spokój, widok mijającej ją niani w towarzystwie dobrze ubranych dzieci i starszej kobiety prowadzącej na smyczy jamnika. To jest przynajmniej miejsce, w którym obowiązują dobrze jej znane zasady, zupełnie inny świat niż tamten koszmarny hotel.

Wreszcie dociera pod numer pięćdziesiąt siedem. Zatrzymuje się przed bramą i podnosi wzrok, przypominając sobie jak przez mgłę opis fasady dokonany przez agenta nieruchomości. To dosyć skromny dom jak na standardy Carla, ale wybrany ze względu na lokalizację; Nisha pamięta, jak przytakiwała, mówiła z uśmiechem, że dom jest cudowny, tak jak za każdym razem, kiedy nabywał jakąś nieruchomość. Carl ma lekki sen, dlatego kupuje domy tam, gdzie jest niewielki ruch uliczny, a najlepiej otoczone połaciami własnej ziemi. Remont jest już skończony, myśli Nisha z zadowoleniem, zauważając beżowe żaluzje i starannie wypielęgnowane róże w ogrodzie przed domem.

Właśnie próbuje sobie przypomnieć nazwę firmy remontowej – Barrington? Ballingham? – kiedy drzwi się otwierają i ze środka wychodzi kobieta. Pewnie dekoratorka wnętrz, myśli Nisha i już ma do niej podejść, kiedy kobieta wyprowadza dwoje małych dzieci. Podnosi wzrok, zauważa Nishę stojącą przed bramą i widać u niej lekkie zawahanie. Obie wpatrują się w siebie przez chwilę i na twarzy każdej z nich maluje się lekka dezorientacja.

Tamta, widząc, że Nisha się nie porusza, odzywa się jako pierwsza.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – pyta. Jest chuda, włosy ma proste, w naturalnym kolorze ciemnoblonde, i ubrana jest w drogie ciuchy, w jakich na co dzień chodzą bogate niepracujące matki.

Nisha jest zbita z tropu jej beczelnością.

– Yyy... może mi pani powiedzieć, co pani robi w moim domu?

Kobieta mruga zaskoczona i prychnęła.

– Ale to przecież... mój dom.

– Nieprawda. Kupiliśmy go trzy lata temu. Mam na to papiery.

Kobieta sztywnieje.

– A my cztery miesiące temu. I mam na potwierdzenie maile od notariusza.

Obie mierzą się wzrokiem. Dzieci gapią się na Nishę z szeroko otwartymi oczami, a potem spoglądają na matkę.

– Co za bzdura – mówi kobieta, przesuwając dzieci za siebie, jak gdyby miała do czynienia z kimś nieobliczalnym. – Musiała pani pomylić adres. Proszę nas zostawić w spokoju.

– Numer pięćdziesiąt siedem – oznajmia Nisha. – To mój dom.

– To nie jest pani dom.

– A właśnie że jest.

Obie kobiety parszczą śmiechem pozbawionym wesołości, jak gdyby były świadome absurdu tej rozmowy. Nisha widzi, jak tamta mierzy wzrokiem jej tanie ciuchy i buty, a przez jej twarz przebiega cień jakiejś dziwnej emocji, jak gdyby zastanawiała się, czy Nisha stanowi zagrożenie, albo wręcz zakładała, że niedawno opuściła szpital psychiatryczny.

– Kim pani jest? – W głosie kobiety słychać napięcie.

– Nazywam się Nisha Cantor.

– Och! – wykrzykuje tamta z wyraźną ulgą. – Cantorowie! Tak! To od was kupiliśmy ten dom.

– Ale my go wcale nie sprzedaliśmy – odpowiada Nisha. – Do tego potrzebny byłby mój podpis. Mój mąż... – I nagle dociera do niej, co zrobił Carl. – O Boże.

Wszystko wokół niej zaczyna wirować.

– Wszystko w porządku? – Postawa kobiety lekko złagodniała. Robi krok naprzód, tak jakby chciała dotknąć ramienia Nishy, ale ta momentalnie się odsuwa. W ogóle nie lubi być dotykana, a już na pewno nie przez kogoś, kto okazuje jej współczucie.

– Cztery miesiące temu. – Kręci głową. – Oczywiście.

– Niech pani porozmawia ze swoim notariuszem. Ale ten dom bez wątplenia jest nasz. Mam dokumenty, które to potwierdzą. Mogę je przynieść ze środka, jeśli...

– Och. Nie trzeba. Wierzę pani. – Nisha czuje, że brakuje jej tchu. Carl musiał to planować od miesięcy. Wydaje z siebie cichy jęk i próbuje się uspokoić, a potem się prostuje.

– Na pewno wszystko dobrze? – pyta tamta. – Czy mam może...

Nisha odwraca się, zanim kobieta powie coś jeszcze, i rusza szybkim krokiem w stronę przystanku autobusowego, czując przez jakiś czas na plecach palące spojrzenia trzech par oczu.

– Mamo? Dlaczego dzwoniś tak wcześnie? I dlaczego na mój koszt?

– Wiedziałam, że nie będziesz spał, kochanie. Przecież jesteś nocnym markiem. Jak się czujesz?

– Spoko.

Nisha się krzywi. „Spoko” u nastolatków może oznaczać wszystko, od entuzjazmu po „właśnie przejrzałem na YouTube kilkanaście filmów z instrukcją, jak popełnić samobójstwo”.

– Jak ci minął dzień?

– Spoko.

Nisha się waha, ale to nie może czekać.

– Kochanie, mam do ciebie małą prośbę.

Słyszy w tle jakiś szum. Pewnie Ray gra w jakąś grę, w której siedzi się ze słuchawkami na uszach i wrzeszczy do innych członków drużyny, będących gdzieś daleko.

– Chciałam cię prosić, żebyś mi przelał trochę pieniędzy.

– Że co? – Ray powtarza to pytanie dwa razy, najwyraźniej zupełnie zaskoczony.

– Chciałam kupić tacie prezent urodzinowy, a nie chcę, żeby to zobaczył na naszym wspólnym koncercie – tłumaczy bez zająknięcia. – Wiesz, jak kontroluje wydatki.

– Nie możesz użyć swojej karty?

Nisha słyszy, że Ray jest rozkojarzony. Dobiegają ją odgłosy eksplozji, a po nich huk wystrzałów z broni palnej.

– Wczoraj... wczoraj ukradziono mi torebkę. Straciłam telefon i wszystkie karty.

– O nie! Którą torebkę? – pyta Ray, nagle zupełnie przytomnym głosem. – Nie Bottega Veneta?

– Nie, nie. Tylko taką starą. Nie wiem nawet, czy ją kojarzysz.

– Uff. To dobrze. Ale jak to się robi? Nie mam pojęcia, jak zrobić przelew. Sasha! Uważaj! Po lewej!

Nisha wydaje mu przez telefon instrukcje krok po kroku. Ma wrażenie, że Ray traktuje przelewanie pieniędzy niemal jak przygodę, i Nisha uświadamia sobie z lekkim poczuciem winy, jak rzadko prosili syna, by zrobił coś praktycznego. Udaje mu się przesłać pięćset dolarów, zdaniem Nishy większa kwota mogłaby wzbudzić podejrzenia.

– I co zamierzasz kupić?

Dopiero po chwili dociera do niej, o co pyta Ray.

– Dla taty? Yyy... sama nie wiem. Na razie się zastanawiam.

– Nie, pytam o torebkę. W zamian za tę ukradzioną. – Ray obniża głos. – Yves Saint Laurent ma w katalogu jesienno-zimowym jeden cudowny model. Średni rozmiar, na długim pasku, ukośnie pikowana. Jest w najnowszym „Vogue’u”, na stronie czterdziestej szóstej. Wyglądałabyś z nią obłędnie, mamo!

Nagle ożywienie syna wywołuje u niej uśmiech na twarzy.

– Sprawdzę, kochanie. Brzmi fantastycznie. Dziękuję. A pieniądze oddam ci, jak tylko będę mogła.

Następuje krótka chwila ciszy.

– A kiedy... wracasz do domu?

– Już niedługo, kochanie, już niedługo.

– Sasha wyjeżdża ósmego. Nie mogę tutaj zostać, kiedy on wyjedzie. Z nikim innym się nie dogaduję.

Wszyscy inni są...

– Wiem. Postaram się jak najszybciej. Obiecuję. Kocham cię.

Jej syn wraca do gry, a ona kończy rozmowę i wydaje z siebie westchnienie ulgi. Ma teraz pieniądze na nocleg i jedzenie na trzy dni. Przynajmniej tym przez chwilę nie musi się przejmować. Nisha siada na łóżku i czuje, jak miękkość, która zawsze ją otula, kiedy rozmawia z Rayem, stopniowo ją opuszcza, gdy tylko zaczyna myśleć, co ją czeka tego dnia. Okej. Najpierw umyje zęby w tej okropnej łazience. Potem skoczy do siłowni, by sprawdzić, czy ktoś zwrócił jej torbę. A potem musi załatwić jakiegoś cholernie dobrego prawnika.

– Nikt nie zwrócił żadnej torby.

Dotarcie na piechotę do tego miejsca zajęło Nishy pięćdziesiąt dwie minuty. Jest poirytowana i spocona, od tej kurtki swędzi ją kark, a do tego wkurza ją ton tej dziewczyny.

– I co zamierzacie z tym zrobić? W środku jest żakiet Chanel i buty Christiana Louboutina. Zresztą

sama torba to Marc Jacobs, na litość boską.

Dziewczyna rzuca jej uprzejmie obojętne spojrzenie, które mówi: „obrobię ci tyłek, jak tylko stąd wyjdiesz”. Sili się na uśmiech, który nie ma w sobie nic z prawdziwego uśmiechu.

– Bardzo mi przykro, ale wszędzie wiszą ostrzeżenia, że nie odpowiadamy za rzeczy pozostawione bez nadzoru. I zawsze powtarzamy wszystkim klientom, żeby zamykali szafki i pilnowali swoich rzeczy. – Jej wyjątkowo protekcyjny ton sprawia, że Nisha ma ochotę rzucić się na nią z pięściami. – Jedyne, co mogę zrobić, to wpisać to do rejestru wypadków – dodaje dziewczyna.

– A co to takiego?

– Zazwyczaj notujemy tam drobne kontuzje. Ale mogę tam też wpisać pani sprawę, tak by w razie gdyby pani torba została zwrócona, osoba w recepcji wiedziała, do kogo ona należy. Jeśli poda mi pani swoje namiary, dopiszę prośbę o kontakt z panią, na wypadek gdyby przypadkiem ktoś tę torbę zwrócił.

Sposób, w jaki wymawia ostatnią część zdania, nie pozostawia u Nishy wątpliwości, że dziewczyna raczej się tego nie spodziewa.

– Dziękuję, była pani niezwykle pomocna – odpowiada. – Będę jeszcze dzwonić. Może po to, by szepnąć parę uwag osobie odpowiedzialnej za pani szkolenie z obsługi klienta. – I wychodzi, dziękując Bogu, że nawet nie brała ze sobą tamtej podrabianej torby.

Odbiera pieniądze od Raya w placówce finansowej, kupuje w lombardzie tani telefon na kartę, do tego kilka doładowań w supermarkecie i o trzeciej po południu dzwoni do Leonie Whitman, korzystając z hotelowego wi-fi. Po krótkiej wymianie drobnych uprzejmości i fałszywych zachwyty nad jej ostatnimi postami na Instagramie (Leonie jest bardzo spragniona pochlebstw, choć kobieta z takim tyłkiem nie powinna w ogóle pozować w bikini, nawet na jachcie męża), Nisha pyta, czy mogłaby jej polecić jakiegoś dobrego prawnika od rozwodów.

– Chodzi o moją asystentkę – wyjaśnia, obniżając głos. – Jest w koszarnej sytuacji i chciałabym jej pomóc, na ile mogę. To taka cudowna kobieta i nie chcę, by stała jej się krzywda.

– Och, jesteś taka dobra dla swoich pracowników – stwierdza Leonie. – Ja miałam serdecznie dość Marii, kiedy odszedł jej mąż. Miała strasznie zmienne nastroje i płakała po kątach. Szczerze, miałam ochotę ją zwolnić. Psuła atmosferę w całym domu.

– Ale sama wiesz, że dobra asystentka jest na wagę złota. – Nisha uśmiecha się, myśląc z poczuciem winy o Magdzie. Notuje numer do prawnika i szybko kończy rozmowę. W głosie Leonie raczej nie było słyhać niczego, co by sugerowało, że Angeline Mercer coś jej wypaplała, ale Leonie uwielbia rozsiewać plotki, więc Nisha wie, że musi działać szybko.

Saul Lowenstein, szanowany nowojorski prawnik rozwodowy, odbiera telefon mimo weekendu. Nisha mogła się domyślić, że nazwisko rozmówczyni zadziała na niego w ten sposób. Mężczyzna zwraca się do niej przymilnym, usłużnym tonem, świadczącym o tym, że dobrze wie, ile można uzyskać od wściekłych przyszłych rozwódek.

– Jak mogę pani pomóc, pani Cantor?

Nisha próbuje mu wyjaśnić całą sytuację w jak najbardziej suchy i pozbawiony emocji sposób. Ale kiedy słyszy własne słowa, nieoczekiwanie zaczynają ją szczypać oczy, a wściekłość i poczucie krzywdy sprawiają, że coraz trudniej jej się mówi.

– Powoli, nigdzie nam się nie spieszy – uspokaja ją łagodnym tonem prawnik i nawet to doprowadza ją do furii: fakt, że za sprawą Carla stała się jedną z tych kobiet; tych, które użalają się nad sobą, że mąż je zostawił, i biadolą, jak on mógł, bla, bla, bla.

– Ale nie może mi tego zrobić – kończy Nisha. – To znaczy jestem prawie pewna, że nie może. Jesteśmy małżeństwem. Od prawie dwudziestu lat! Nie może tak po prostu zostawić mnie bez grosza przy duszy. W końcu jestem jego żoną!

Prawniki prosi ją o oszacowanie majątku Carla, a ona wymienia wszystko, co pamięta: dwupoziomowe mieszkanie w Nowym Jorku, dom w Los Angeles, posiadłość na Long Island, jacht, samochody, prywatny odrzutowiec, biurowce. Nie jest pewna, ile jest wart jego biznes, a nawet co dokładnie robi jej mąż, ale wyjaśnia prawnikowi to, co jest w stanie.

Saul Lowenstein milczy przez chwilę, a gdy się odzywa, mówi uspokajającym tonem, jak gdyby to wszystko było tylko drobną niedogodnością, której można bez problemu zaradzić. Perspektywa wynagrodzenia za tę sprawę, myśli Nisha, jest pewnie bardzo motywująca.



– A więc sprawa wygląda tak. Pierwszą rzeczą, którą możemy zrobić, żeby pomóc pani w obecnej sytuacji, jest wysłanie pisma z żądaniem przywrócenia pani dostępu do wspólnego konta. Na szczęście dla pani angielskie prawo rozwodowe bardzo mocno odwołuje się do zasady sprawiedliwości. Dostanie pani, jeśli nie połowę, to na pewno spory procent od dochodów męża z ostatnich osiemnastu lat.

– Rozmowa z panem to dla mnie taka ulga, panie Lowenstein – mówi Nisha, przykładając rękę do policzka. – Nie ma pan pojęcia, jakie to wszystko jest dla mnie stresujące.

– Domyślam się. Potem musimy znaleźć pani jakiś azyl na czas wyjaśniania tej niefortunnej sprawy. Czy macie państwo jakieś nieruchomości w Anglii?

– Mieliśmy – odpowiada Nisha. – Ale okazało się, że ją sprzedał.

– Ach, wielka szkoda. Sędziowie raczej nie wyrzucają kobiet z domów.

Nisha słyszy, jak mężczyzna w trakcie tej rozmowy robi notatki, dobiega ją też odległe wycie nowojorskich syren. Ten dźwięk budzi w niej dziwną tęsknotę za domem.

– A teraz przejdźmy do papierów rozwodowych, które pani wręczył ochroniarz męża. Może mi pani przeczytać pierwszą stronę?

Nisha czyta ją więc półautomatycznie i podczas gdy prawnik słucha i sporządza notatki, ona rozmyśla o tym, co robi, kiedy już wszystko się poukłada. Sprowadzi do siebie Raya. Może nawet uda jej się go nakłonić, by pomieszkali jakiś czas w Londynie. Sama nie ma ochoty wracać do Stanów, do tych wścibskich ludzi, którzy, kiedy tylko wieść się rozniesie, będą dzwonić do niej pod byle pretekstem, jedynie po to, by mieć pożywkę dla plotek. Nie, ona i Ray zamieszkają tutaj, dopóki nie obmyślą, co dalej.

– Pani Cantor? – pytanie prawnika wyrywa ją z rozmyślań. – To są dokumenty, które pani wręczono?

– Tak – odpowiada. – Nie dostałam niczego innego.

Mężczyzna wzdycha.

– Niestety, to są dokumenty amerykańskie. Pani mąż musiał je sporządzić w Stanach. A amerykańskie prawo rozwodowe jest nieco inne.

– To znaczy?

– Trudno będzie pani uzyskać dostęp do kont bankowych. Nie ma pani powiązań z Wielką Brytanią, by miała do pani zastosowanie część trzecia ustawy o sprawach małżeńskich z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, co zasugerowałbym w innym przypadku. Egzekwowanie orzeczeń rozwodowych za oceanem zawsze nastęrcza wiele trudności. Moglibyśmy postarać się o nakaz sądowy, ale nie ma możliwości, by zmusić pani męża do przestrzegania jego postanowień, zwłaszcza gdy zdecyduje się on na powrót do Stanów. Możemy mu wysłać pismo, ale...

– Carl przez całe życie miał gdzieś oficjalne pisma. Muszę panu wyjaśnić jedno, panie Lowenstein. Mój mąż uważa, że jego nie obowiązują żadne zasady. Obserwowałam go z bliska przez dwadzieścia lat i wiem, że dostaje to, czego chce. Zawsze. Tak jakby obrał to sobie za punkt honoru. Nie pozwoli na to, by ktokolwiek był świadkiem jego porażki.

Saul Lowenstein wydaje z siebie ciężkie westchnienie.

– Wobec tego obawiam się, że nie rokuje to zbyt dobrze. Miałem do czynienia z wieloma bardzo bogatymi klientami, pani Cantor, i zazwyczaj wszystko przebiega według następującego schematu: mąż, ponieważ niestety zwykle jest to mąż, lokuje aktywa w zagranicznych holdingach na Kajmanach albo w Lichtensteinie, a żona ściga go po świecie, próbując uzyskać dostęp do połowy majątku, który oficjalnie już nie istnieje. I jest jeszcze inny problem...

– Jaki? – pyta Nisha, której już kręci się w głowie. – Jaki jeszcze?

– Nie mając pieniędzy, pani Cantor, nie jest pani w stanie mi zapłacić.

Nisha zamiera.

– Jestem bardzo bogata. Zapłacę panu.

– Żeby zacząć pracę, muszę dostać pokazną zaliczkę.

– Tyle że nie mam teraz dostępu do tych pieniędzy. Mąż odciął mnie od wszystkiego. Mówiłam już panu.

– Bardzo mi przykro, pani Cantor. Naprawdę niewiele mogę zrobić bez zaliczki. Jeśli udałoby się pani jakoś rozwiązać ten problem, z wielką chęcią zająłbym się tą sprawą. Ale obawiam się, że na razie mam związane ręce. I nie wydaje mi się, by inni prawnicy warci swojego wynagrodzenia podjęli inną decyzję.

Nisha nie wie, co powiedzieć. Przez krótką, straszną chwilę wydaje jej się, że zaraz wybuchnie

płaczem. Mężczyzna odczekuje kilka chwil, zanim znowu się odezwie.

– Taki sposób działania nie jest wcale rzadki wśród osób w państwa przedziale dochodowym, pani Cantor. Mężczyzna myśli, że docisnie i przetrzyma żonę, żeby zadowolila się byle ochłapem. I najwyraźniej z takim scenariuszem mamy do czynienia w tym przypadku. Jeśli jest pani w desperacji, niech się pani zwróci do policji. Albo do ambasady amerykańskiej.

– Nie chcę w to mieszać policji! – Nisha przykłada rękę do czoła. – Nie rozumiem – szepcze. – Nie rozumiem, dlaczego mi to robi.

Mężczyzna wzdycha, a potem odzywa się cichym, poufałym tonem:

– Moje doświadczenie mówi, że warto się przyjrzeć asystentce.

– Jego asystentce? – pyta Nisha, czując ciarki na skórze. – Ale...

– Jest młoda, ładna?

Nisha myśli o Charlotte, o jej promiennej cerze i włosach zaczesanych gładko do tyłu w idealny kucyk. Przypomina sobie, jak uśmiechała się bezbarwnie za każdym razem, gdy Nisha wchodziła do biura.

– Asystentka zna wszystkie potrzeby męża, wszystkie jego zachcianki, zna każdy jego ruch. Wie także, co robi z pieniędzmi. Bardzo mi przykro to mówić, pani Cantor, ale w ogromnej większości przypadków wyjaśnienie sprawy leży właśnie tam. Naprawdę mam nadzieję, że uda się pani coś wskórać, i oczywiście w razie czego może pani na mnie liczyć.

– Jeśli zdobędę zaliczkę – mówi Nisha.

– Jeśli zdobędzie pani zaliczkę – powtarza prawnik.

Mężczyzna nagle kończy rozmowę, jak ktoś, kto bierze osiemset dolarów za godzinę i nie chce pracować za darmo. A Nisha siedzi na taniej hotelowej narzucie i ciężko oddycha.

Gdy Sam przyjeżdża do domu o wpół do czwartej, wciąż odczuwa ćmiący ból pod czaszką. Pies wita ją udreńczonym spojrzeniem wytrzeszczonych oczu, które mówi, że rozpaczliwie potrzebuje opróżnić pęcherz. Sam przypina mu smycz do obroży, nie zdejmując nawet płaszcza, a wtedy słyszy telewizor w salonie i zalewa ją fala irytacji. Czy naprawdę tak trudno byłoby Philowi wstać i wyjść z psem na piętnaście minut? Serio? Bóg jej świadkiem, że ostatnio Phil nie robi w domu zupełnie nic.

– Czy ktoś wyprowadzał Kevina? – rzuca ostrożne pytanie, chociaż zna odpowiedź.

– Och. – Mąż spogląda na nią, jak gdyby potrzeby psa były dla niego zaskoczeniem. – Nie. – A gdy Sam milczy, pyta: – Jak się miewa Andrea?

– Wraca do zdrowia. Oby na dobre.

Phil wzdycha ciężko, jak gdyby problemy Andrei były dla niego zbyt dużym brzemieniem, posyła Sam nieprzekonujący uśmiech, po czym odwraca się z powrotem do telewizora. Czasami ten uśmiech wywołuje w niej smutek. Dzisiaj natomiast wzbudza czystą złość.

– To ja go wyprowadzę, okej? – mówi, kiedy wzrok jej męża wraca do telewizora.

– Jasne – odpowiada Phil, jakby to było jedyne rozsądne wyjście. – Jeszcze nie zdjęłaś płaszcza.

Sam wychodzi z domu, czując, jak krew pulsuje jej w uszach z wściekłości. „Nie powinnaś go zostawiać samego na tak długo”, powiedziała jej mama w zeszłym tygodniu. „Mężczyźni nie jest łatwo, gdy nie może być żywicielem rodziny. Nic dziwnego, że tak ciężko to znosi”.

„Mężczyźni w tym wieku są zaskakująco wrażliwi”, powiedział ich lekarz rodzinny. „Naprawdę wierzę, że kobiety są twardszymi przedstawicielkami naszego gatunku”. I mówił to w taki sposób, jak gdyby spodziewał się, że Sam odbierze to jako komplement.

„Jesteś ostatnio trochę humorzasta, mamó”, powiedziała jej córka. „Może powinnaś pomyśleć o hormonalnej terapii zastępczej albo czymś podobnym?”

Nie, nie jestem twardsza. I nie jestem bardziej humorzasta – chciała na nich wrzasnąć. Jestem po prostu cholernie zmęczona. Tyle że jeśli ja się poddam i będę leżeć całymi dniami do góry brzuchem, wszystko wokół się rozpadnie.

Beszta Kevina, który zapuścił się pod dom sąsiadów i węszy pod ich żywoplotem. Potem ogarniają ją wyrzuty sumienia, bo biedne zwierzę niczemu nie jest winne, więc Sam przykuca i tuli jego gruby kark, szepcząc: „Przepraszam, kochany, bardzo cię przepraszam”, a gdy podnosi wzrok, widzi Jeda spod numeru siedemdziesiąt dwa, który patrzy na nią jak na wariatkę.

Sam wypuszcza się na spacer aż do kanału, po drodze wymija pary, które idą ramię w ramię, i rzuca gniewne spojrzenia rowerzystom, którzy zmuszają ją do zejścia na bok. Wybrała taką długą trasę, bo nie wie, co by robiła w domu. Cat dziś po południu pracuje, ima się różnych dorywczych zajęć: baristki, kurierki, kelnerki. („To są plusy rynku umów krótkoterminowych, mamó. Człowiek nie jest wtedy zależny od jednej pracy”). Sam wie zatem, że jeśli wróci do domu, to albo czeka ją siedzenie w salonie z Philem w męczącej ciszy, albo będzie musiała się zabrać do jednego ze stu czterdziestu ośmiu zadań, które ktoś musi ogarnąć, a które cała rodzina postrzega jako jej obowiązek. Tyle że wtedy od razu zagotuje się z gniewu, a potem będzie się za to nienawidzić, ponieważ depresja nie jest niczyją winą. Sama na nią nigdy nie cierpiała, więc mówi sobie, że nie potrafi w pełni zrozumieć tego wewnętrznego przymusu, by nic nie robić. A może braku chęci, by robić cokolwiek. W każdym razie przynajmniej kiedy wyprowadza Kevina, czuje, że działa – i zwiększa przy tym liczbę wykonanych kroków.

Przypomina jej się, jak kiedyś nauczyciel filozofii zapytał jej klasę: ile z decyzji, które podejmujecie każdego dnia, wynika z tego, że naprawdę chcecie coś zrobić, ale ile z tego, że chcecie uniknąć konsekwencji niezrobienia czegoś? Niemal wszystko, w co Sam angażuje się ostatnio, to przeciwdziałanie czemuś negatywnemu. Jeśli nie będzie wyrabiać kroków, przytyje. Jeśli nie wyprowadzi psa, ten zasika korytarz. Czasami ma wrażenie, że została tak zaprogramowana, by być użyteczną w każdej minucie dnia, i nie robi niczego, czego jednocześnie nie zapisywałaby w tym podświadomym rejestrze rzeczy użytecznych.

Czy mężczyźni też ciągle słyszą ten wewnętrzny głos każący im się nieustannie doskonalić, być produktywnym, użytecznym? Phil nawet dawniej, kiedy czuł się lepiej, nie przejmował się takimi rzeczami jak to, że wieszak na ręczniki odrywa się od ściany łazienki, że trzeba posortować skarpetki do prania, że na

podłozce leżą okruszki albo że lodówka domaga się przetarcia, bo inaczej wszyscy zjedzą na zatruciu penicyliną.

Sam łapie się na spekulacjach, czy Joel robi coś w domu. Wyobraża sobie, że z własnej inicjatywy wyrzuca pustą rolkę po papierze toaletowym i zastępuje ją nową, z zadowoloną miną, a nie malującym się na twarzy wyrzutem: „Zrobiłem to za ciebie”. Jakby był uosobieniem jej fantazji. A potem myśli o tym, jak tańczyła z nim ostatniego wieczoru, o jego gorących dłoniach zaciśniętych na jej talii, i oblewa ją rumieniem zawstydenia, a jednocześnie satysfakcji. On na ciebie leci – powiedziała jej Marina, a Sam zaczyna liczyć w głowie wszystkie miłe rzeczy, które mówił jej Joel, aż wreszcie stwierdza, że zachowuje się niedorzecznie, i odsuwa od siebie myśl o nim.

Pociąga za smycz, by uratować psa przed kolejnym szalejącym rowerzystą, który szarpie za dzwonek i przeklina, mijając ich w pędzie. (Sam ma ochotę na niego nakrzyczeć, ale kiedyś przeczytała w gazecie historię o kobiecie, która po zruganiu rowerzysty wylądowała w kanale, więc woli się nie odzywać). Nagle przypomina jej się, że nie odniosła torby do tej ekskluzywnej siłowni. Czy właścicielka zgłosiła na policję zaginięcie markowych ciuchów? Myśli o rzeczach, które musi jeszcze zrobić tego dnia: odebrać leki taty i podrzucić je do rodziców, posiedzieć u nich przez chwilę, by nie narzekali, że nigdy jej nie widują, posortować pranie, rozmrozić zamrażarkę, bo drzwi się już nie domykają, i przejrzeć stos rachunków, co odkładała przez cały tydzień. Spogląda na zegarek. Odniesie torbę w poniedziałek przed pracą. Kolejne zadanie, które musi wcisnąć do swojego już i tak zapchanego dnia.

A potem myśli o Andrei, która całymi dniami nie ma nic do roboty, tylko rozmyśla o otchłani, w którą wpatruje się od miesiący. I czuje się winna, że uskarża się na cokolwiek.

Potrzebuję urlopu, stwierdza, a to kieruje jej myśli w stronę kampera. Spuszcza głowę i rusza w stronę domu.

Kamper. Sam zawsze mimowolnie wzdycha na jego widok, wpatrując się w ogromny żółty słonecznik namalowany z boku. Phil kupił ten pojazd dwa lata temu od kolegi z pracy – w czasach, gdy jeszcze pracę miał – i przyjechał nim do domu pełen entuzjazmu oraz wizji ich przyszłych wspólnych wypraw.

– Trzeba go tylko lekko podrasować – mówił. – Odmaluję go, wymienię zderzak i odświeżę wnętrze. Silnik jest w całkiem dobrym stanie. Najważniejsze, że dach wydaje się porządny i nie przecieka – dodał ze znawstwem, jak gdyby miał jakieś większe doświadczenie z kamperami niż tylko tygodniowy wyjazd z rodziną do Tenby, gdy miał dziesięć lat.

Sam na początku była w duchu wkurzona – jak mógł roztrwonić trzy tysiące z ich wspólnych oszczędności, nie zapytawszy jej o zdanie? – ale stopniowo dała się porwać wizjom, które przed nią roztaczał, wakacji spędzanych na południu kraju.

– A może nawet kontynentu. Czy to nie byłoby wspaniałe, Sammy? Wylegiwać się na południu Francji? Spać pod gwiazdami? – Przytulił ją do siebie, mrużąc jej te słowa do ucha.

Sam pamiętała wcześniejsze wakacje na południu Francji, gdzie natrętne komary i koszarne, prymitywne toalety na polu kempingowym po jakimś czasie budziły w nich już tylko histeryczny śmiech. Lubili przygody. Nawet jeśli oznaczały one, że po wizycie w ubikacji trzeba było wypłukać sznurówki.

Jej mąż oddał samochód do przeglądu, zarejestrował go i usunął tylny zderzak, ponieważ zamierzał kupić nowy przez internet. Ale wtedy jego ojciec usłyszał diagnozę i Phil po pracy nie miał już czasu na nic innego poza opieką nad Richem i Nancy. Trzy miesiące później toksyczna mieszanka chemioterapii i tłumionych emocji zrobiła swoje i Phil został zwolniony, a kamper popadł w zapomnienie.

– Może byś popracował po południu przy kamperze? – proponowała co kilka tygodni, mając nadzieję, że połączenie angażującej umysł pracy i świeżego powietrza pozwoli mu bardziej poczuć się sobą. Słyszając te słowa, Phil zawsze kiwał głową i mówił, że jasne, świetny pomysł, jeśli znajdzie chwilkę. Ale po jakimś czasie, gdy tylko o tym wspominała, przybierał udręczoną minę, więc porzuciła ten temat. Teraz kamper stoi bezużytecznie na ich podjeździe i rdzewieje, pozbawiony trzech czwartych wnętrza oraz zderzaka, i czeka, aż go ponownie ubezpieczą. Widok jego nieruchomego cielska jest dla niej drwiną z jej marzeń o wakacjach i lepszym życiu, skoro nie może go nawet zaparkować dalej niż trzy ulice od własnego domu.

Kevin obwąchuje tylną oponę, z której już dawno uszło powietrze – podobnie jak ze mnie, myśli Sam – a potem podnosi łapę i oblewa ją strumieniem moczu. Sam nagle przychodzi ochota, by pójść w jego ślady, by po prostu zdjąć majtki i obsikać koło, co idealnie wyraziłoby jej stosunek do tego cholerstwa. Wyobraża sobie zbulwersowanych sąsiadów wyglądających przez okno oraz ich komentarze i uśmiecha się na tę myśl.

– Dobry piesek, bardzo dobry piesek – mówi do Kevina i wchodzi do domu, uświadamiając sobie, że

to pierwsza rzecz tego dnia, która wywołała u niej uśmiech.

– Jak było w pubie? – Phil, pólężący na sofie, podnosi się do siadu.

Kevin przyskakuje do niego, podekscytowany na widok pana, którego nie oglądał przez całe czterdzieści pięć minut, puszczając w niepamięć fakt, że przez niego jeszcze niedawno cierpiał jego pęcherz. Phil drapie psa za uszami.

– W pubie? A, w porządku. Było w porządku.

Phil spogląda na nią i przez jego twarz przebiega coś na kształt smutku i zawstydzienia.

– Przykro mi, że nie dotarłem. Byłem po prostu... bardzo zmęczony i... – Nie kończy.

– Wiem.

– Przepraszam – powtarza cicho ze wzrokiem wbitym w podłogę.

A Sam, na moment odkładając na bok myślenie o wszystkim, co ma do zrobienia, siada obok niego, bierze go za rękę i pozwala sobie choć na chwilę oprzeć się na jego ramieniu.

Nisha zlokalizowała dwa kolejne puby o nazwie White Horse, pokonała całe kilometry obskurnych londyńskich ulic w tych okropnych butach i w obu miejscach powiedziano jej, że nie, nie słyszeli o żadnych skradzionych szpilkach, i nikt z pracujących w pubie wyposażonym w kamerę nie miał pojęcia, jak odtworzyć nagranie.

– Może pani przyjść, kiedy będzie tu kierownik. – Dziewczyna wzruszyła ramionami w sposób, który dał Nishy do zrozumienia, że jego będzie to obchodziło jeszcze mniej.

Nisha ledwo spała przez ostatnie dwie noce, w głowie jej się kotłowało, kiedy myślała o tym, co jej zrobił Carl, a jej wściekłość jeszcze wzmagala determinację, by odzyskać to, co jej się należy.

Zeszła na śniadanie, gdy tylko otwarto salę, o wpół do siódmej, z wilgotnymi włosami zebranymi w kucyk, i wypila duszkiem dwie kawy, nie zważając na burczenie w żołądku.

Wreszcie zwalnia kroku, kiedy wylania się przed nią Bentley Hotel. Widzi portiera w cylindrze witającego zmęczonego gościa, którego walizki są właśnie wyjmowane z taksówki, i zastanawia się, czy Frederik poinstruował go, że ma jej nie wpuszczać. Ale stwierdza, że ma to gdzieś. Przejdzie obok niego, usiądzie w lobby i tym razem nie ruszy się z miejsca.

Poprawia tę okropną kurtkę i sprawdza na zegarku godzinę. Jest wpół do ósmej. Carl pewnie siedzi teraz w apartamencie przy biurku, już w ubraniu, i sprawdza w internecie strony finansowe, oczekując na kawę: czarną, z dwiema łyżeczkami cukru. Kto mu ją przynosi? – nachodzi ją nagła myśl. Czyżby Charlotte? Ubrana w ulubiony czarny jedwabny szlafrok Nishy? Z uśmiechem postkoitalnej satysfakcji malującym się na tej wąskiej, młodej, obłudnej twarzy? Nisha przystaje, zaciskając szczękę, i powtarza w myślach, co zamierza mu powiedzieć: Możesz się ze mną rozwieść, Carl, proszę bardzo. Ja tylko chcę odzyskać to, co moje. Chcę otrzymać to, co mi jesteś winien. I oznajmi to z godnością, z dumą. Niewykluczone też, że po prostu kopnie go w jaja.

Bierze głęboki oddech, robi dwa kroki w stronę wejścia i wtedy dostrzega Ariego stojącego w niewielkiej odległości od portiera, ze słuchawką w uchu. Ari nieznacznie porusza ustami, przeprowadzając jakąś tajną rozmowę z jednym ze swoich ludzi. Ten sam Ari, który kiedyś na jej oczach powalił faceta szybkim ciosem w kark. To może oznaczać tylko jedno: spodziewają się, że Nisha może próbować wrócić. Zanim Ari spojrzy w jej stronę, Nisha kryje się w przylegającej do hotelu uliczce, a serce mocno wali jej w piersi. Przed bocznym wejściem dwóch kucharzy siedzi na stopniu, paląc i pijąc kawę. Nisha staje w pobliżu i również zapala papierosa, odwracając się plecami do głównej ulicy i próbując nie wdychać zapachu rozkładających się resztek jedzenia i moczu.

Może i udałoby się jej przejść obok portiera, ale nie ma szans wyminąć Ariego. I byłoby to jeszcze bardziej upokarzające, gdyby z hotelu wyrzucił ją mężczyzna, któremu przez dziesięć lat płacono za jej ochronę. Nisha nerwowo zaciąga się papierosem, zastanawiając się, co dalej, i nie zwraca uwagi na dwóch mężczyzn, którzy zerkają na nią obojętnie, a potem wracają do rozmowy. Kobieta w kurtce z kapturem, z pochyloną głową, mija ich i znika w drzwiach obok. A potem druga, rozmawiająca z ożywieniem przez telefon w obcym języku. Trzecia, z warkoczykami i w długim watowanym płaszczu, przystaje przed Nishą.

– Wchodzisz do środka, skarbie? – zwraca się do niej, więc Nisha podnosi wzrok. – Lepiej, żeby nie było od ciebie czuć fajkami. Frederik tego nie znosi. Masz. – Kobieta, młodsza od niej, wyciąga z torebki spray i Nisha, zanim ma szansę zaprotestować, zostaje spryskana jakimś tanim zapachem.

Zamyka oczy, by uchronić je przed chmurą perfum, i kaszle. Kobieta wkłada spray z powrotem do torebki i pyta:

– Jesteś nowa? Chodź za mną.

Ari pojawia się u wylotu uliczki, choć wciąż spogląda w drugą stronę. Nisha w ułamku sekundy podejmuje decyzję i rusza za kobietą tylnym wejściem do hotelu, potem idzie wąskim korytarzem, mija zabieganych kelnerów i osobę pchającą wielki wózek z praniem. Przywiera do ściany, by nawet nie musnąć tego stosu pościeli, która musi się roić od bakterii.

– To twój pierwszy dzień?

Nisha kiwa głową, oglądając się za siebie.

– Masz papiery?

- To znaczy?
- Pozwolenie na pracę?

Nisha kręci głową.

– Nie martw się. Po prostu powiedz, że czekasz na nowy paszport. Tutaj nie zadają zbyt wielu pytań, bo jak inaczej udałoby im się zdobyć taką tanią siłę roboczą? – Śmieje się, jak gdyby powiedziała jakiś niezły żart. – Jak masz na imię?

– Nisha.

– A ja Jasmine. Skąd ta ponura mina? Tutaj nikt nie gryzie. No, chodź. Damy ci wszystko, co potrzebne do pracy, i przekażę ci Sandrze, która układa grafik.

Nisha trafia do pełnego szafek pomieszczenia, w którym powietrze jest ciężkie od zapachu żywności i spoconych ciał.

– Hej! Gilberto! Zabieraj te śmieci. Płacą mi za sprzątanie po gościach, nie po tobie.

Niski, żylasty mężczyzna z palcami brązowymi od nikotyny podnosi styropianowe pudełko, od którego bije silny zapach ryby.

– Wpakowali mi podwójne zmiany do czwartku. Przysięgam, Jas, że rzucę tę robotę, jeśli to dłużej potrwa.

Jasmine odpowiada gniewnym mruknięciem, po czym Gilberto wychodzi.

– Mają teraz niedobór pracowników – wyjaśnia Nishy, otwierając szafkę i wkładając do środka torbę. – To jakiś koszmar. Od Brexitu hotel stracił czterdzieści procent personelu. Czterdzieści procent! A ty skąd jesteś?

– Z Nowego Jorku.

– Z Nowego Jorku! Nie pracuje u nas wielu Amerykanów. Mamy ich głównie w charakterze gości hotelowych. O, trzymaj. Jaki nosisz rozmiar? Eskę? Chudzinka z ciebie. – Przeszukuje stos ubrań, aż wyciąga z niego czarną tunikę i spodnie. – Możemy nosić własne rzeczy, ale ja tam wolę hotelowe. Czasami cholernie się cieszę, że mogę zostawić cały ten syf w pracy i włożyć znowu swoje ciuchy, wiesz? Lepiej nie zabierać tego wszystkiego do domu.

Nisha stoi z ubraniami w rękach, a tymczasem Jasmine bez skrupowania zdejmuje swoją elastyczną sukienkę i wsuwa czarne spodnie i tunikę. Przegląda się w małym lustrze wiszącym na drzwiach, a potem zerka na Nishę.

– Ruchy! Nie ociągaj się. Jeśli uda nam się dotrzeć na górę w ciągu piętnastu minut, załapiemy się jeszcze na śniadanie.

Nisha nie ma pojęcia, co się dzieje. Ale na razie trzymanie się w pobliżu Jasmine wydaje jej się sensowną opcją. Wkłada hotelowe ubranie – na szczęście pachnie pralnią – wsuwa swoje rzeczy do pustej szafki i wychodzi za Jasmine na korytarz.

Nie jest głodna, ale ostatnie dni udowodniły jej, że lepiej jeść, kiedy ma się dostęp do jedzenia, więc idzie w milczeniu za Jasmine przez kolejne kuchnie, obserwując, jak kobieta pozdrawia swoich współpracowników.

– Co słyhać, Nigel? Wypisali już mamę ze szpitala? Cieszę się, skarbie... Katia! Oglądałam ten film, o którym mi mówiłaś. Mało się nie posikałam ze strachu! Dlaczego polecasz mi horrory, co? Wiesz przecież, że mieszkam bez faceta! – Jasmine wybucha śmiechem i przepycha się przez drzwi, jakby oczekiwała, że same powinny się przed nią rozstępować. Nishy kręci się w głowie. Przebiega wzrokiem każde pomieszczenie, jak gdyby spodziewała się, że nagle wyrośnie przed nią Ari. Ale nie, widzi tylko zabiegane postaci, ze zmęczeniem malującym się na twarzy, pochłonięte swoją pracą.

– To tutaj. Na co masz ochotę? Oto zaleta zaczynania wcześniej: wypieki Minette. Możesz mi wierzyć lub nie, ale zanim zaczęłam tu pracować, ważyłam czterdzieści pięć kilo.

Jasmine wręcza jej talerz i wskazuje wielką tacę, na której leżą croissants oraz ślimaki z ciasta francuskiego z rodzynkami albo czekoladą. Nisha bierze tego z rodzynkami i już po pierwszym kęsie wie, że to najlepsza rzecz, jaką jadła od trzech dni: ciastko jest delikatne, wilgotne i lekko maślane, prawdziwy francuski wypiek, wciąż ciepły po wyjęciu z pieca. Po raz pierwszy od paru dni jej myśli się uspokajają i Nisha oddaje się przyjemności.

– Dobre, co nie? – Jasmine bierze dwa ślimaki i zamyka oczy, rozkoszując się jedzeniem. – Wstaję codziennie o wpół do szóstej i od tego czasu zaczyna się czyste szaleństwo. Muszę obudzić i ubrać córkę,

spakować jej jedzenie, jeśli idzie do szkoły, zawieźć do mojej mamy na Peckham, potem dwoma autobusami dojeżdżam tutaj i przysięgam, że jedyną rzeczą, która trzyma mnie przy życiu, są te smakołyki, które tu na mnie czekają.

– Są przepyszne – mówi Nisha z pełnymi ustami.

– Minette jest genialna. Niemal tak samo dobra jak ty, Aleks!

Szczupły mężczyzna w białym fartuchu szefa kuchni odwraca się od patelni stojących na rozpalonej kuchni i wita Jasmine skinieniem głowy.

– Skończyłaś? – pyta Jasmine Niszę.

Nisha potakuje.

– Okej, to idiemy. – Jasmine ociera usta papierową serwetką i kieruje się w stronę drzwi na drugim końcu kuchni, przystając tylko na chwilę, by doradzić Nishy poprawienie włosów, po czym sama ścisła mocniej jej kucyk, zanim Nisha zdąży zaprotestować. Popycha drzwi, idzie żwawym krokiem przez korytarz i skręca w lewo do małego kantorka.

– Dzisiaj zaczyna u nas pracę Nisha. Jej dokumenty jeszcze nie dotarły.

– Och, dzięki Bogu – mówi rudowłosa kobieta, która właśnie wypełnia harmonogram i nawet nie podnosi wzroku. – Dzisiaj mamy cztery zgłoszenia chorobowe. Czy potrzebuje przeszkolenia?

– Potrzebujesz przeszkolenia? – Jasmine zwraca się do Nishy.

– Yyy... tak? – odpowiada niepewnie Nisha.

– No trudno – wzdycha ruda. – Okej, Jas, będziesz musiała jej pokazać, co ma robić. Wezmę twoje pokoje, skoro masz na głowie szkolenie. Mamy szesnaście do posprzątania na drugą i dwa na wcześniejsze zameldowanie. Tu macie listę. Powtórz, jak się nazywasz?

Nisha w ostatniej chwili zmienia zdanie.

– Anita – odpowiada.

– Okej, Anita. Wróć po identyfikator o dwunastej. Żadnych chorób, kontuzji czy alergii? Wypełnij to, kiedy wrócisz. Teraz nie mamy na to czasu.

– Czy nie mówiłaś aby, że masz na imię Nisha?

Obie kobiety spoglądają w jej stronę. Nagle przypomina jej się Juliana i Nisha przełyka ślinę.

– Wydaje mi się... że gościom łatwiej będzie wymówić „Anita”.

Rudowłosa wzrusza ramionami.

– Niech będzie Anita. Okej, idź po swoje rzeczy. Jas, niestety kończy nam się płyn do toalet. Więc dzisiaj używajcie go tylko tam, gdzie to konieczne. Musimy go oszczędzać na gorsze przypadki.

– Oszczędzają na wszystkim, a najbardziej na nas – wzdycha Jasmine, po czym ruszają w stronę szafki po sprzątki i środki czystości.

Dziesięć minut później Nisha podąża za Jasmine, która pcha wózek do sprzątkowania po pokrytym wykładziną korytarzu na trzecim piętrze. Czuje się podenerwowana, obnażona, jak gdyby każdy gość, który na nią patrzy, mógł się domyślić, co takiego robi, i wiedział, że jest oszustką. Mimowolnie odwraca głowę, kiedy przechodzą, nie chcąc, by ktoś ją zauważył.

– Co ty wyprawiasz? – pyta ją Jasmine, kiedy mija ich trzecia osoba.

– To znaczy?

– Mamy mówić „dzień dobry” wszystkim gościom. Taki jest regulamin. Masz sprawić, żeby poczuli się członkami naszej hotelowej rodziny. Na szóstym i siódmym piętrze musimy ich też pozdrawiać z nazwiska.

Ona i Carl zajmowali apartament na siódmym piętrze. Nisha była tak przyzwyczajona do tego, że obsługa wie, kim jest, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że te powitania są częścią jakiegoś regulaminu. Wybąkuje „dzień dobry”, kiedy przechodzą obok następnym gości, niemieckiej pary, która odpowiada na pozdrowienie i idzie dalej w kierunku wind.

Jasmine zatrzymuje wózek przed pokojem trzysta trzydzieści dziewięć i puka dwa razy, a czekając na odpowiedź, przegląda otrzymaną wcześniej listę.

– Serwis sprząający!

Kiedy nikt nie odpowiada, otwiera drzwi swoją kartą i wchodzi do środka, a Nisha podąża za nią. Pokój ma rozmiar jednej dziesiątej apartamentu. Na środku stoi niepościelone łóżko, poszewki są zabrudzone okruszkami i resztkami jedzenia z tacy, która leży na narzucie. Przy łóżku stoją pusta butelka po winie i dwa kieliszki, a z telewizora dobiega ryk wiadomości.



Jasmine zaczyna się uwijać po pokoju i wyłącza telewizor.

– Okej. Zaczynj od łazienki, ja zdejmę pościel. Normalnie mamy jakieś dwadzieścia minut na pokój albo dostajemy ochrzan, ale dzisiaj czeka nas więcej pracy, więc trzeba się streszczać.

Do tej pory Nishy nie przyszło do głowy, że każą jej robić cokolwiek. Myślała, że założy uniform, zniknie gdzieś w czeluściach budynku i obmyśli, jak się dostać do apartamentu.

Ale teraz Jasmine, trzymając w jednej ręce niebieską szmatkę, spogląda na nią z lekkim rozbawieniem.

– To nie operacja na otwartym sercu. Po prostu wyczyść ją jak własną łazienkę, skarbie. Tylko lepiej! – Po czym wybucha serdecznym śmiechem, wkłada lateksowe rękawiczki i jednym ruchem ściąga z łóżka narzutę, jakby wiedziała, jakie zarazki mogą się tam czaić.

Nisha stoi w łazience w absolutnym przerażeniu. W umywalce widać jakieś krótkie włoski, deska klozetowa jest mokra, a na podłodze leżą dwa wilgotne ręczniki – na jednym z nich jest jasnobrazowa plama, oby tylko po zmytym makijażu. Ma ochotę stąd wyjść, ale to jej jedyna możliwość, by zostać w tym hotelu, przynajmniej na razie. Więc bierze dwa głębokie oddechy, wkłada rękawiczki i zaczyna czyścić umywalkę, odwracając od niej wzrok.

Jest niemal w połowie tej czynności, kiedy w drzwiach staje Jasmine.

– Ej, musisz się bardziej sprężyć! Uzupełniłaś już papier toaletowy? Podwiń brzegi, kiedy będziesz go dokładać. Te do połowy zużyte ładują na wózku. Masz. Ja się zajmę kosmetykami.

Jasmine zgarnia wszystkie do połowy opróżnione buteleczki szamponów i balsamów do ciała do torby na śmieci i znika w korytarzu. I wtedy właśnie Nisha odwraca się w stronę toalety. Na desce widać żółte zaschnięte ślady, a w muszli brązową plamę. Czuje, jak resztki śniadania niepokojąco podchodzą jej do gardła. O Boże, to się nie dzieje naprawdę.

– Pospiesz się, mała! – Nisha słyszy głos Jasmine dobiegający z pokoju. – Zostało nam siedem minut.

Nisha chwytą za szczotkę i odwracając wzrok, zaczyna machinalnie szorować wnętrze muszli. Dwa razy zbiera jej się na wymioty i musi przestać, by oczy przestały jej łzawić. Zerka na muszlę – brązowa plama dalej tam jest. Nisha kładzie na niej szczotkę i popycha, a z jej piersi wyrwa się mimowolny krzyk, kiedy woda chlapie do góry. Zabiję cię, Carl, mówi w myślach. Mogłabym ci wybaczyć pieniądze i tę głupią asystentkę, ale nigdy, przenigdy, nie wybaczę ci tego.

Znowu ją cofa, kiedy podnosi deskę klozetową, by ją wytrzeć. Potem prostuje się i ociera twarz. Oczy jej łzawią. Nigdy nie nienawidziła ludzkości tak bardzo jak w tej chwili. A u Nishy to naprawdę o czymś świadczy.

Anita miała dziewiętnaście lat, gdy wysiadła z autokaru na dworcu w Nowym Jorku i spojrzała zmęczonymi oczami na otaczające ją wieżowce. Udało jej się dostać pracę w pierwszym miejscu, do którego weszła, w trzygwiazdkowym hotelu mieszczącym się w wąskim, sfatygowanym budynku niedaleko 42nd Street. Przez dziesięć tygodni sprzątała pokoje hotelowe, zanim znalazła lepszą posadę jako pokojówka u bogatej rodziny. Było to dziesięć niekończących się tygodni mycia obrzydliwych łazienek, użerania się z namolnymi gośćmi, którzy postanawiali zostać w pokoju, kiedy sprzątała, dziesięć tygodni znoszenia pluskiew, brudnej pościeli i obrzydliwych plam oraz chemikaliów tak silnych, że zupełnie wysuszały jej ręce. Po półtora roku u tej rodziny ich znajomy zaproponował jej pracę w swojej galerii w Soho. Z chwilą gdy wbiła się w ubranie służbowe złożone z czarnego swetra oraz spodni i powitała pierwszego lekko rozkojarzonego gościa galerii, Anita stała się Nishą i poprzysięgła sobie, że już nigdy nie będzie sprzątać.

Przez kolejne dwie godziny sprzątają jeszcze jedenaście pokoi. To wyczerpująca praca: muszą podnosić materace, by pościelić łóżko, przesuwac meble na miejsce – po co goście przestawiają stoły i fotele? – i odkurzać. W jednym pokoju znajdują zużytą prezerwatywę, a w innym poplamioną krwią pościel. Na widok obu tych rzeczy Nishy żołądek podchodzi do gardła, a oczy łzawią jej niemal przez cały czas.

– Co za bydlę! – mruczy gniewnie Jasmine, zrywając ochraniacz z materaca. – Od chwili zameldowania ludzie zamieniają się w dzikusów – żali się, idąc po nowy ochraniacz.

Podczas gdy Jasmine ciągle trajkocze i od czasu do czasu nuci coś w jej towarzystwie, Nisha powtarza sobie, że po prostu musi przez to przejść. Wkrótce będzie po wszystkim. Obmyśla sposoby zemsty na Carlu, z których tylko kilka wiąże się z szybką i bezbolesną śmiercią. O jedenastej przysługuje im krótka przerwa, więc idą do małej szatni, gdzie recepcjonistka o imieniu Tiffany o mocnym makijażu oraz boy hotelowy siedzą i palą e-papierosy na drewnianych ławkach. Niemal wszyscy, których Nisha spotyka, coś palą – albo tytoń przed wejściem, albo vape'y. Nisha przyjmuje papierosa od boya z wdzięcznością, bo gryzący dym pozwala

jej zapomnieć o najgorszych ludzkich zapachach, które przed chwilą wdychała.

– Wszystko w porządku, Nisha? Jakoś tak ucichłaś. – Jasmine dolewa jej herbaty.

– Po prostu... Już dawno tego nie robiłam.

– No nie mów. – Jasmine wybucha śmiechem. – Nieźle ci idzie, mała. Musisz tylko lekko podkręcić tempo, ale dobrze sobie radzisz. – Spogląda na jej dłonie. – Te paznokcie długo nie wytrzymają. Ja darowałam sobie manikiur jakoś w dwa tysiące piątym. Trzeba by było mieć pancerne pazury, żeby to wytrzymały.

Nisha spogląda na swoje pomalowane na piękny ciemnoczerwony kolor paznokcie, które są teraz wyszczerbione na krawędziach od ciągłego szorowania i tarcia, choć pracowała w lateksowych rękawiczkach. Czuje, jak pot przysycha jej do skóry. Jeszcze tylko jeden dzień, pociesza się, a potem obmyśli, jak dostać się do apartamentu. I już nigdy więcej nie będzie musiała tego robić.

W czasie tej przerwy przysłuchuje się rozmowom pozostałych. Jasmine jest pełna energii, pogodna i zdecydowana. Często się śmieje, jakby niemal wszystko ją bawiło, i chociaż normalnie Nisha uznałaby to pewnie za irytujące, dzisiaj bardzo jej to odpowiada. Przez ostatnie dwie doby miała tak mało kontaktu z drugim człowiekiem, że słuchanie normalnych rozmów niemal sprawia jej przyjemność. Dyskusje tutaj krążą wokół tras autobusowych, anulowanych świadczeń i problemów rodzinnych. Ona sama mówi niewiele, bo co takiego mogłaby powiedzieć? Dla tych ludzi jest po prostu Anitą, kolejną osobą zatrudnioną dorywczo, która może się zjawić następnego dnia, ale niekoniecznie.

W porze lunchu, który jest serwowany o drugiej, dostają kanapki od Aleksa, faceta, którego spotkały w kuchni przy śniadaniu. Nisha spodziewała się, że będą zrobione z tego samego taniego chleba i składników, co w Tower Primavera, ale dostała miękki chleb na zakwasie, z serem, wędliną i sałatą. Aleks wręcza je im z przesadną uprzejmością, jak gdyby były ważnymi gośćmi. W innych okolicznościach Nisha poprosiłaby o sałatkę, ale fizyczna praca wywołała w niej taki głód, że od razu zaczyna wcinać kanapkę wielkimi kęsami, zapominając o dobrych manierach.

– Aleks mówi, że jedzenie karmi duszę, więc ignoruje zalecenia szefostwa i robi dla nas takie same kanapki jak dla gości – mówi Jasmine z pełną buzią. – Ubóstwiam tego faceta.

Biorąc kolejny wielki kęs, Nisha stwierdza, że sama chyba również go ubóstwia.

– Jasmine? A kiedy... kiedy będziemy sprzątać penthouse?

– Penthouse? O nie, kochana. Tam panują wyśrubowane standardy, więc sprząta tam tylko doświadczony personel, na przykład ja, by szefostwo nie musiało się niczego obawiać. Ale wyobraź sobie, że te dupki nigdy nie zostawiają napiwków. Nie ma się do czego pchać.

Nisha nic nie odpowiada i skupia całą uwagę na swojej kanapce.

O szóstej czuje ostre rwanie w krzyżu, a sporadyczny ból w ramionach przeradza się w nieprzerwany, pulsujący protest mięśni. Na szczęście to koniec pracy. Jasmine dzwoni do córki: mówi, że zaraz wraca, prosi, by przekazała babci, by zostawiła jej trochę gulaszu, i wyraża nadzieję, że autobusy będą lepiej kursować wieczorem. Jej chód jest teraz nieco ociężały, a śmiech bardziej przygaszony. Nisha ledwo się rusza. Odczuwa ból w mięśniach, których istnienia nawet nie podejrzewała. Zakłada tę okropną kurtkę i opada ciężko na ławkę, zastanawiając się, jak da radę wrócić na piechotę do hotelu. Wezwie taksówkę, myśli, ale wtedy przypomina sobie, że nie ma pieniędzy.

– Dokąd musisz dojechać, mała? – pyta ją Jasmine, przeglądając się w małym, upstrzonym drobnymi plamkami lusterku wiszącym na drzwiach i poprawiając szminę powolnym, wprawnym ruchem.

– Yyy... na Tower Hill – odpowiada Nisha.

– To nie tak źle. Chociaż tamta trasa jest o tej porze kompletnie zakorkowana, nawet w niedzielę. Aleks też jeździ w tamtą stronę i czasami spędza w autobusie godzinę.

– Chodzę na piechotę.

– Całą drogę? Zuch dziewczyna. Dlatego jesteś taka chudziutka! To widzimy się jutro, tak?

Jutro. Co będzie robić jutro? Jej mózg jest tak zmęczony, że ledwo jest w stanie myśleć.

– Jasne – odpowiada, ponieważ tak jest najłatwiej. – Zaraz, zaraz – dodaje, kiedy Jasmine zbiera się do wyjścia. – A co z pieniędzmi?

– To znaczy?

– Z wynagrodzeniem za dzisiaj.

Jasmine się krzywi.

– Nie płacą nam codziennie, skarbie. Tam, skąd pochodzisz, jest inaczej? Pracownicy tymczasowi i ci

zatrudniani przez agencje mają płacone pod koniec tygodnia. Porozmawiaj z Sandrą, ona to wszystko ogarnie. Domyślam się, że chcesz dostać gotówkę. – Musiała dostrzec przerażenie malujące się w oczach Nishy, ponieważ jej twarz łagodnieje. – Naprawdę potrzebujesz forsy, co?

Gdy Nisha kiwa głową w milczeniu, Jasmine sięga do torebki. Tyle że ona nie chce brać pieniędzy od tej kobiety, ubranej w kurtkę z katalogu wysyłkowego i tanie obuwie sportowe. Nie chce myśleć o sobie, że jest jeszcze biedniejsza.

Jasmine wpatruje się w nią badawczo, a potem podaje jej dwadzieścia funtów.

– Normalnie bym tego nie zrobiła, ale... polubiłam cię. Ciężko dziś pracowałaś. Kup sobie coś porządnego do jedzenia. Jeśli miałaś dłuższą przerwę od fizycznej pracy, będziesz mieć wieczorem dość wszystkiego.

Nisha bierze banknoty i wpatruje się w nie, a Jasmine lekko chrząka.

– No to do zobaczenia jutro – mówi wreszcie. I dodaje z uśmiechem: – Ufam ci. I postaraj się nie śmierdzić jutro papierosami, okej?

Zawiesza torbę na ramieniu i już jej nie ma, od razu łapie za telefon i dzwoni do kogoś, a wolną ręką spryskuje się perfumami.

Przed powrotem do hotelu Nisha sprawdza jeszcze pub White Horse na Bailey Street. Jest niemal pusty, po kątach siedzi tylko garstka starszych mężczyzn o czerwonych twarzach, a wykładzina lepi jej się lekko do podeszew. Kiedy wyjaśnia barmanowi, że szuka zaginionych szpilek, ten dosłownie śmieje jej się w twarz.

„Firma w stanie likwidacji. Zamknięte do odwołania”. Sam, z torbą przewieszoną przez ramię, spogląda na kartkę, a potem zerka do środka przez szklane drzwi, które oklejono gazetami, jak gdyby chciano w ten sposób powstrzymać świat zewnętrzny od podglądania miejsca finansowej zbrodni.

Młody mężczyzna, mimo chłodu ubrany w kamizelkę odsłaniającą opalone muskularne ramiona, staje obok niej i głośno klnie.

– Dopiero co się zapisałem! – zwraca się do Sam tonem pełnym pretensji, jak gdyby to ona była temu winna. – Dopiero co zapłaciłem im za rok z góry!

Gdy tamten odchodzi przez parking, wciąż przeklinając, Sam odprowadza go wzrokiem i zastanawia się, jak ma teraz zwrócić torbę właścicielowi. Przez chwilę czuje przypływ irytacji na myśl, że będzie ją musiała taszczyć do biura, potem znów do domu, a następnie zaplanować, co z nią zrobić. To sprawia, że przed jej oczami staje Simon, który bez wątpienia spogląda teraz na zegarek, żeby wyłapać choćby jej minutowe spóźnienie i dodać to do listy jej przewinień. Sam mocniej podciąga torbę na ramię i kieruje się w stronę metra.

Był taki czas, wcale nie tak dawno temu, kiedy Sam lubiła swoją pracę. Może i nie wyskakiwała co rano z łóżka, pogwizdując radośnie, ani nie wracała do domu z uczuciem, że zrobiła coś ważnego dla świata, ale codzienne przebywanie z ludźmi, których towarzystwo ją cieszyło, oraz wykonywanie całkiem dobrze pracy, którą zajmowała się od dwunastu lat, było dla niej źródłem cichej satysfakcji. Takie osoby jak ona były w każdym biurze – ludzie, którzy w milczeniu i bez robienia wokół siebie hałasu sprawiali, że wszystko przebiegało gładko, gotowi się zaangażować, kiedy trzeba było zostać po godzinach, i na tyle zadowoleni ze swojej pracy, by nie domagać się łechzczących ego pochwał. W tym czasie dostała trzy podwyżki, może i nie oszałamiające, ale na tyle wysokie, by poczuła się wartościowym pracownikiem.

Wszystko to zmieniło się z dniem, gdy przyszedł do nich Simon. Chłodno przechadzał się po biurze Grayside Print z zaledwie lekko ukrywanym niezadowolaniem, jak gdyby samo jego wyposażenie było dla niego rozczarowaniem. Wielokrotnie przerywał Sam podczas ich pierwszego spotkania, a nawet kilka razy potrząsnął głową, jak gdyby to, co mówiła, zupełnie mu nie odpowiadało.

„Będziesz musiała mi jaśniej wytłumaczyć, o co ci chodzi”.

„Ale dlaczego dziesięć dni zajmują ci zadania, które można wykonać w siedem?”

„Masz świadomość, że w Uberprincie trzeba dawać z siebie wszystko na każdym stanowisku?”

„Twój poprzedni szef był zadowolony z tego, jak to tutaj działa?”

Z każdego jego słowa wynikało, że coś z nią jest nie tak, że ma problemy z koncentracją, z planowaniem, a nawet z punktualnością (choć nigdy się nie spóźniała).

Na początku próbowała się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Joel powiedział jej, by nie brała tego osobiście, takich jak Simon można spotkać na każdym kroku – „to tylko wymachiwanie fiutem, Sam, facet się popisuje” – ale uporczywość jego zachowania zaczęła nadwyręzać jej nerwy tak mocno, że w jego obecności ręce jej się trzęsły, gdy przeglądała swój kalendarz na biurku, albo zaczynała się jąkać na samą myśl, że będzie jej przerywał podczas spotkań. Teraz, kiedy wychodziła rano z domu, brzuch ją bolał z nerwów. W drodze do pracy zaczęła słuchać podcastów albo muzyki ambientowej, by nie myśleć o tym, co ją czeka na miejscu. Codziennie, gdy wchodziła do biura, Simon, siedzący w swoim przeszklonym gabinecie, spoglądał ostentacyjnie na zegar na ścianie i unosił brew, nawet gdy Sam była pięć minut przed czasem. Późnym wieczorem pisał do niej wiadomości z pytaniami, co zrobiła, by zwiększyć marżę, albo czy sprawdziła, że w katalogu mebli ogrodowych strony się nie skleją (zdarzyło się to raz, gdy była na tygodniowym urlopie, a Hardeep miał ją zastępować, ale ten fakt najwyraźniej Simona nie obchodził).

Dopiero po dwóch miesiącach dotarło do niej, że nigdy nie zachowywał się w ten sposób wobec facetów. Z nimi rozmawiał swobodnie, z uśmiechem na twarzy, a gdy pojawiała się choćby widmo problemów, sugerował przyjacielsko, że pójdą na drinka i to załatwią. Przy młodych kobietach stawał bardzo blisko i trzymał ręce w kieszeniach, tak jakby wskazywał nimi genitalia, uśmiechał się i gapił na ich biust. Niektóre, jak Dee, odwzajemniały uśmiech i flirtowały z nim, a potem narzekały w damskiej toalecie: „Co za oblech. Rzygać mi się chce na jego widok”. Ale poza Betty z księgowości, która nigdy z nikim nie rozmawiała, za to miała niesamowity mózg, działający szybciej niż kalkulator, oraz Mariną, która nie przejmowała się tym, co inni o niej myślą, i zawsze waliła prosto z mostu, Sam była teraz najstarszą kobietą w biurze i pewnie Simon

stwierdził, że nie ma się nią co przejmować. Naprawdę już miała tego dość.

Dawniej mogłaby się ze wszystkiego zwierzyć Philowi, a on by ją uspokoił, pocieszył, doradził, co może z tym zrobić. Wspomniała mu o tych problemach pewnego razu wieczorem, kiedy miała wyjątkowo ciężki dzień, ale zamiast nalać jej wina i z nią porozmawiać, on tylko ukrył twarz w dłoniach i rzekł, że przykro mu, ale nie jest w stanie udźwignąć niczego więcej. Sam tak bardzo zaniepokoiła jego ewidentna kruchość, że natychmiast zapewniła go, że to nic takiego, po prostu miała zły dzień. I już nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Ted, Joel i Marina codziennie dodają jej otuchy, ale nikt nigdy nie stanął w jej obronie ani nie postawił się szefowi, kiedy ten się nad nią pastwił. Rzecz jasna Simon zostawiał najbardziej negatywne komentarze na chwile, kiedy byli sami, albo mruzczał coś pod nosem, kiedy mijał jej boks („Jezu, nie wiem, jak można pracować przy takim biurku”). Przez większość czasu, kiedy miał widownię, po prostu ją ignorował. Ale co ona mogła poradzić? Skoro Phil nie pracował, a ich oszczędności topniały, cała rodzina utrzymywała się z jej pensji. Więc zaciskała zęby, dawała z siebie wszystko, ignorowała ściskanie w żołądku i żyła nadzieją, że w pewnym momencie Simon się znudzi i upatrzy sobie inną ofiarę.

– Simon do ciebie idzie – rzuca Marina ukradkiem, kładąc kawę na jej biurku, jak gdyby przekazywała jej poufne informacje, a jej mina napęła Sam przerażeniem.

– O co znowu chodzi? – pyta, ale Marina już zniknęła.

Sam wsuwa torbę sportową pod biurko, wiesza torebkę na oparciu krzesła, siada i loguje się do komputera.

Nie mija kilka chwil, kiedy przy jej biurku zjawia się Simon. Ma na sobie nieco zbyt wąskie spodnie od garnituru i błyszczący pasek. Jego postawa przywodzi na myśl dyrektora szkoły, którego wyciągnięto z ważnego spotkania, by zbeształ krnąbrnego ucznia.

– Dlaczego nie ostrzegłaś Fishera, że kolory na papierze niepowlekanym wyglądają inaczej?

– Słucham? – Sam odwraca się gwałtownie, mało nie strącając łokciem kawy.

– Wykonaliśmy dla nich cztery tysiące odbitek nowego katalogu nieruchomości, a teraz wrzeszczą mi do telefonu, że nie podobają im się kolory.

– Sami wybrali papier niepowlekany. Chcieli mieć wydruk po jak najniższych kosztach. Ted i ja ostrzegaliśmy, że katalog będzie wyglądać inaczej niż to, do czego przywykli.

Simon się krzywi, jak gdyby usłyszał kłamstwo w żywe oczy.

– Mark Fisher twierdzi, że niczego im nie mówiłaś. Teraz domaga się, byśmy wydrukowali wszystko od nowa, i to na nasz koszt. Mówi, że nikt nie kupi domu, który na papierze prezentuje się płasko i bezbarwnie.

– Na naszym ostatnim spotkaniu wyjaśniłam mu, że wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej. Pokazałam mu przykład katalogu Clearfills. Machnął ręką, że to wystarczy.

– Więc Fisher kłamie, tak? – pyta Simon szyderczo.

– Możliwe... możliwe, że źle zapamiętał. Ale ja pamiętam to dokładnie. Nawet zrobiłam notatki. Powiedział, że najważniejsze jest teraz dla nich cięcie kosztów. To nie nasza wina, Simon, że zmienił zdanie. Poza tym to obowiązek działy, by komunikować takie rzeczy klientowi. Ja tylko... ja tylko interweniowałam, ponieważ nie byłam pewna, czy rozumie konsekwencje swojej decyzji.

– To wiedz, Samantha, że twoja interwencja okazała się zupełnie niepomocna, ponieważ teraz Fisher zrzuca winę na Uberprint. Na tobie spoczywa więc odpowiedzialność, jak rozwiązać ten problem, zanim wynikną z tego naprawdę poważne konsekwencje.

Simon odwraca się na pięcie i znika, zanim Sam ma możliwość zaprotestować. Nawet nie miała czasu zdjąć płaszcza. Wydaje z siebie ciężkie westchnienie i opada na krzesło.

Kiedy wyciąga lewą rękę z rękawa, słyszy powiadomienie o przychodzącym mailu i pochyła się, by go otworzyć.

Głowa do góry, mała. Nie daj mu się.

Sam podnosi głowę i spogląda na Joela, którego twarz pojawia się ponad przegródką działu logistyki trzy metry dalej. Kiedy widzi jego uśmiech, nie jest w stanie stwierdzić, czy chce się oblać rumieńcem, czy wybuchnąć płaczem.

W porze lunchu murarz, który przez prawie cztery miesiące ignorował jej coraz bardziej nerwowe wiadomości, dzwoni niespodziewanie i oznajmia, że w przyszłym tygodniu rozpoczną naprawę muru przed ich domem, uszkodzonego w czerwcu przez auto starszego pana, który niewiele widział w lusterku wstecznym.

Na wieść, że pokryje to ubezpieczenie, Sam oddycha z ulgą: kto by pomyślał, że odbudowa tak małego murku wyjdzie tak drogo?

Dzwoni do domu z kuchni, jednego z niewielu obszarów biura, gdzie Simon nigdy nie bywa (pewnie wizyta w miejscu, gdzie królują prywatne kubki i kuchenka mikrofalowa, wydaje mu się poniżej godności). Sam je zrobioną z przedwczorajszego chleba kanapkę z tuńczykiem i kukurydzą. Jedzenie w jej ustach zamienia się w kleistą breję – ale może to dzisiejsza sprzeczka z Simonem sprawia, że tak to odczuwa.

– Cześć, kochanie – odzywa się, siłąc się na pogodny ton. – Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiada Phil bezbarwnym głosem.

Dobiega ją pomruk telewizji i oczami wyobraźni Sam widzi swojego męża gapiącego się bezmyślnie w mocno wymalowane kobiety, które omawiają na antenie aktualności.

– No więc... Des Parry wreszcie do mnie oddzwonił. Zaczynają naprawę muru w przyszły poniedziałek, więc będziesz musiał przeparkować kampera.

– Kampera? Ale gdzie?

– Nie wiem. Na chodnik?

– Nie jest ubezpieczony.

– To go ubezpiecz. Murarze muszą się dostać do muru, a kamper blokuje im dostęp. Albo może jakiś twój znajomy, który ma garaż, mógłby go na chwilę przyciągnąć?

– Raczej nie powinienem prosić o to chłopaków.

Sam zamyka na chwilę oczy, a Phil kontynuuje:

– Nie rozmawiamy od dłuższego czasu. To by wyszło... – Nie kończy zdania.

– Phil, kochanie. Musimy przenieść samochód spod domu, dokądkolwiek. Byłoby super, gdybyś to ogarnął. Ja mam teraz w pracy mnóstwo na głowie.

Długa chwila ciszy.

– Czy możemy to odłożyć na jakiś czas? Nie czuję się teraz na siłach.

Nagle w Sam narasta wściekłość.

– Nie czujesz się na siłach? By przeparkować samochód o dwa metry?

– Na całe to ubezpieczenie i załatwianie spraw w urzędzie. I... nawet nie wiem, gdzie go przeparkować. Naprawdę nie dam teraz rady.

– To wymyśl coś. Bo murarze niedługo zaczynają.

– Przesuń tę naprawę o tydzień. Pomyślę o tym.

– Nie, Phil. – Sam słyszy, że jej głos staje się ostry i piskliwy. – Nie przesunę tego. Przez wiele miesięcy próbowałam ich sprowadzić i nie mogę teraz ryzykować, że zabiorą się do czegoś innego. A poza tym ten mur jest niebezpieczny. Wiesz o tym. Gdyby ktoś się na niego wspiał, a mur by się zawalił, mogłoby dojść do tragedii. I to my ponieśliśmyby konsekwencje. Więc załatw sprawę z tym cholernym kamperem i przeparkuj go. A potem możesz robić, co ci się żywnie podoba, okej?

Po drugiej stronie zapada długa cisza.

– Nie musisz reagować agresją – odpowiada Phil ponuro. – Robię, co mogę.

– Serio? Naprawdę robisz, co możesz? – Nagle w Sam pęka jakaś tama i nie jest w stanie powstrzymać lawiny skarg. – Zaharowuję się po łokcie, prowadzę dom, staram się opiekować Andream, Cat i psem, który ciągle sika, do tego znosić tego cholernego Simona, gdy tymczasem ty grzejesz tyłek na sofie przez szesnaście godzin dziennie, a potem przez kolejnych sześć w łóżku. Kiedy ostatni raz byłeś na zakupach? Albo wyprowadziłeś Kevina? Albo... albo pozamiatałeś podłogę w kuchni? Albo zrobiłeś cokolwiek poza użalaniem się nad sobą? Nic nie robisz! Tylko się nad sobą użalasz!

Cisza. A potem Phil rzuca do telefonu:

– Osiem. Osiem godzin w łóżku.

– Że co?

– Doba ma dwadzieścia cztery godziny. Szesnaście godzin na sofie. Czyli zostaje osiem w łóżku.

– Och, na litość boską, Phil! Wiesz, o co mi chodzi. Po prostu zrób coś, cokolwiek, okej? Wiem, że jest ci smutno, i wiem, że życie wydaje ci się trudne, bo takie jest. Mój Boże, dobrze wiem, że takie jest. Ale czasami trzeba wziąć się z nim za bary. Właśnie to robię przez ostatnie miesiące i nie dam rady ciągnąć tego dłużej sama. Jasne? Po prostu nie dam rady!

Tym razem nie czeka na jego odpowiedź. Rozłącza się i wpatruje się w ścianę, a serce wali jej w piersi.

Aż wreszcie się odwraca i podskakuje na widok Simona stojącego w drzwiach.

– Znosić tego cholernego Simona – powtarza powoli jej słowa, kiwając głową, a na jego ustach błąka się osobliwy półuśmiech. – Ciekawe. Właśnie przyszedłem ci powiedzieć, że musisz renegotjować stawki z Billsonem. Centrala mówi, że marża jest za niska.

Po czym odchodzi, a zszokowana Sam odprowadza go wzrokiem. Czuje, jak krew dudni jej w uszach, spogląda na kanapkę w plastikowej folii, która leży na jej kolanach, i pod wpływem impulsu rzuca nią. Kanapka rozbryzguje się na ścianie.

Siedem minut później Sam poprawia żakiet, wstaje z krzesła i za pomocą ręczników kuchennych zbiera kukurydzę z wykładziny, wilgotną szmatką ściera ze ściany masło i majonez, po czym ostrożnie umieszcza wszystko w koszu.

– Więc... co mam teraz robić?

– A co chce pan zrobić?

Phil spogląda na mężczyznę i zastanawia się, czy to podchwytliwe pytanie. Czy jeśli siądzie blisko niego, to wyjdzie na atencjusza? Albo na dziwaka? A może powinien się położyć na sofie? Tyle że martwi się trochę, że jak się położy, to od razu zaśnie. Ostatnio ciągle zasypia. Czy jeśli mu się to przydarzy, to wyjdzie na wariata?

Tamten odpowiada, jak gdyby słyszał jego myśli:

– Niektórym wygodniej jest siedzieć. Inni wolą się położyć. Tu naprawdę chodzi o pana komfort.

Phil po chwili wahania siada na skraju ratanowej sofie, tak że teraz oddziela ich pusty fotel. Mężczyzna wpatruje się w Phila i czeka. Phil zastanawia się, czy może teraz wstać i wyjść. W końcu nic go tutaj nie trzyma. Ale Cat była stanowcza, a jego córce zaskakująco trudno jest się sprzeciwić.

– Czy mam coś mówić? Czy to pan będzie mówił?

– Może pan zacząć. A potem porozmawiamy.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Następuje długa chwila ciszy.

– Więc co pana do mnie sprowadza, panie Philipie?

– Phil. Wszyscy mówią do mnie Phil.

– Rozumiem.

Phil wpatruje się w podłogę.

– Mój lekarz. To znaczy nie jestem tu z jego powodu. Ale powiedział, że jeśli nie chcę brać antydepresantów, powinienem spróbować psychoterapii. – Phil drapie się po głowie. – Do tego moja córka. Ona... bardzo się o mnie martwi. Zupełnie niepotrzebnie.

– A pan nie chciał tu przychodzić?

– Jestem Brytyjczykiem. – Phil sili się na uśmiech. – Nie jesteśmy zbyt wylewni.

– Och, z tym się nie zgodzę – odpowiada doktor Kovitz. – Moim zdaniem Brytyjczycy są bardzo wylewni. Wyrażają uczucia z łatwością, tyle że niezbyt często. – I uśmiecha się do niego.

Phil odpowiada mu zakłopotanym uśmiechem. Chyba tak wypada.

– Może mi pan najpierw opowie, co sprowadziło pana do tamtego lekarza?

W reakcji na te słowa Phil czuje ucisk w piersi, jak za każdym razem, gdy ktoś próbuje z nim rozmawiać o wydarzeniach z ostatniego roku. Doktor kontynuuje:

– Zacznijmy od faktów. Powiedział pan, że zmarł panu ojciec. Czy była to niespodziewana śmierć?

Są rzeczy, których nie da się ująć w słowa. A ostatnie miesiące życia taty są w jego pamięci tak straszne i mroczne, że powrót do tych wspomnień grozi mu wessaniem w czarną dziurę, w ogromną, przerażającą próżnię, której – zupełnie jak gdyby był małą planetą – nie będzie w stanie się wyrzucić.

Odkasłuje lekko.

– I tak, i nie – odpowiada i poprawia się na krześle. – Niespodziewana, bo był zdrowy przez siedemdziesiąt pięć lat. A jednocześnie nie, bo od kiedy dowiedzieliśmy się o diagnozie, mieliśmy kilka miesięcy, by się na to przygotować.

– Rak?

– Zgadza się.

– Czy byliście ze sobą blisko związani?

– Yyy... tak.

– Przykro mi. To musiało być dla pana bardzo trudne.

– Jakoś sobie z tym radzę. Tata dobrze przeżył życie. Chodzi raczej o... wie pan, o moją mamę. Byli małżeństwem przez pięćdziesiąt lat. To o nią się martwię.

– A jak ona sobie radzi?

I na tym polegał problem. Jego matka radziła sobie dobrze. Przez pierwsze pół roku po śmierci ojca Phil zbierał się w sobie i dzwonił do niej co wieczór. Nancy zaczynała każdą rozmowę drżącym, heroicznym głosem i mówiła o swoich drobnych osiągnięciach – na przykład, że opróżniła szufladę po meżu albo wyniosła



kilka rzeczy z szopy – a potem zawsze następowało załamanie. Tak bardzo za nim tęsknię, mówiła. Phil przyzwyczaił się już do lęku przed tymi chwilami, do tego uczucia bezradności i smutku, do niemożności ulżenia jej w tym cierpieniu. On i Sam jeździli do Nancy co niedziela i albo zabierali ją do pubu na lunch, albo pomagali przygotować pieczeń i rozmawiali z nią, zmywając wspólnie po obiedzie. Wydawała się taka słaba, jak gdyby nie była w stanie przetrwać fizycznie bez męża. Nie potrafiła sama zapłacić rachunków, oddać samochodu do serwisu ani zjeść posiłku w restauracji, nie mając go u swego boku. Straciła apetyt, nie wychodziła z domu. Wracała uparcie do wspomnień, odtwarzała ciągle na nowo ostatnie wspólnie spędzone miesiące i zastanawiała się na głos, czy nie powinni byli zrobić czegoś inaczej, czy czegoś nie przegapiła. Phil zastanawiał się, czy nie zaproponować jej, by się do nich przeprowadziła. Wydawała się organicznie niezdolna do życia w samotności. Jedyne fakt, że nie mieli dla niej wolnego pokoju, powstrzymał ich przed tym.

A potem nagle wszystko się zmieniło. Jego matka opłakiwała ojca przez długi czas, aż pewnego dnia Phil zjawił się u niej, a ona miała ułożone włosy i usta pomalowane szminką.

– Dużo nad tym myślałam i doszłam do wniosku, że Rich nie chciałby, żebym ciągle po nim płakała. Chyba byłby na mnie zły. Możesz mi pokazać, gdzie się uzupełnia olej w samochodzie?

I tyle. Dwa miesiące temu zaczęła pracę jako wolontariuszka w ośrodku kultury, gdzie co czwartek dawała uchodźcom lekcje pieczenia. Phil zastanawiał się, ilu z nich potrzebna jest wiedza, jak zrobić ciasto biszkoptowe, ale według niej tu nie chodziło o jedzenie.

– Tylko o to, żeby się czymś zajęli, poczuli się częścią grupy. I kiedy zje się ciasto, każdemu poprawia się nastrój, co nie? Taka jest prawda.

Sama też czuła się lepiej, bo robiła coś dla innych. A kiedy słuchała historii tych ludzi, przepełniała ją wdzięczność, że miała takie spokojne, tak pełne miłości życie. Ona – kobieta, która przez lata unikała czosnku jako „obcego wymysłu” – nawet polubiła jedzenie, które jej przynosili.

– Tak szczerze, Phil, to było strasznie ostre. Czułam, jak krew napływa mi do twarzy. Ale w smaku to było całkiem dobre.

Cieszył się, że mamie się poprawiło, ale był też dziwnie zaniepokojony, że była w stanie zostawić za sobą przeszłość. Ponieważ on sam nie potrafił tego zrobić. W nocy śniło mu się, że siedzi przy łóżku ojca, który z trudem walczy o każdy oddech, swoją kościstą, przezroczystą ręką zaskakująco mocno ściska dłoń syna, a kiedy patrzy na niego sponad maski tlenowej, w jego oczach maluje się wściekłość. Wyglądał tak, jakby go nienawidził. Phil widział to przewiercające go na wskroś spojrzenie za każdym razem, gdy zamykał powieki.

– Dobrze sobie radzi – odpowiada na pytanie doktora, wracając duchem do gabinetu. – No wie pan. Biorąc pod uwagę okoliczności.

– Więc mamy już nazwany jeden problem – mówi doktor Kovitz. – To była znacząca zmiana w pana życiu. I musiał pan sobie poradzić z wieloma rzeczami. Czy boryka się pan z czymś jeszcze?

No więc tak, ma ochotę odpowiedzieć Phil: straciłem pracę, a wraz z nią szacunek żony, córka uważa mnie za ofiarę losu i na co dzień nie widzę sensu w tym, by się ubierać ani nawet myć. Nie spotykam się już ze znajomymi, bo kto by chciał spędzać czas z kimś tak żalonym?

Jestem zbyt zmęczony, by wychodzić z domu. A siedzenie w nim tylko przypomina mi o wszystkich tych rzeczach, których nie zrobiłem. Nawet nie jestem w stanie segregować śmieci, ponieważ myję plastikową tackę i wydaje mi się to absurdalne. Jaki jest sens w tym, byśmy myli tacki po udkach z kurczaka, skoro Chiny posyłają do atmosfery miliardy ton dwutlenku węgla na minutę? Nie jestem w stanie oglądać wiadomości, ponieważ mam wtedy ochotę schować głowę pod kołdrę, a widok powodzi i pożarów sprawia, że martwię się o wnuki, których jeszcze nie mam, więc tylko siedzę na sofie, gdzie jest bezpiecznie, i oglądam programy, w których ludzie kupują i sprzedają stare wyzuwacze, by zarobić na nich dwa funty, albo w których kobiety w kolorowych sukienkach rozmawiają o dietach i operach mydlanych, i jedynym powodem, dla którego je oglądam, jest to, że nie mogę znieść ciszy. Po prostu nie jestem w stanie jej znieść.

I wiem, że moja żona jest wykończona i ma mnie dość, ale za każdym razem, kiedy próbuję jakoś jej pomóc, wzdycha pod nosem i cmoka ze zniecierpliwieniem, ponieważ robię coś nie tak. I kiedyś mnie kochała, a teraz jej mina ciągle mi mówi, że do niczego się nie nadaję. Więc przez większość czasu po prostu udaję, że śpię, by nie wchodzić jej w drogę, a wtedy moja córka, która jest mądrzejsza od nas obojga, wparowuje do mojej sypialni i każe mi wstać. Tak jakby była matką nastolatka albo pielęgniarką w domu opieki. A ja nie umiem jej wytłumaczyć, że po prostu ciągle chce mi się spać. Przynajmniej raz dziennie uświadamiam sobie,

że jedyną rzeczą, o której jestem w stanie myśleć, jest moje łóżko, czekające, aż się do niego wczolgam, i cały czas marzę tylko o tym, by wszyscy wyszli z domu, żebym mógł pójść na górę i pograżyć się w zapomnieniu na kolejnych kilka godzin.

Do tego lekarz powiedział mi, bym zmienił dietę, ale prawda jest taka, że nie mam siły gotować zdrowych posiłków. Więc ciągle jem herbatniki i tosty z masłem. A potem widzę, jak tyję, i za to również sobą gardzę.

– Czy borykam się z czymś jeszcze? – powtarza. – Hmm. Takie tam drobiazgi. Zwykle życiowe problemy.

Doktor Kovitz spogląda na niego znad notatnika. Phil zauważa na stole dwa pudełka chusteczek. Zastanawia się, ile osób każdego dnia płacze w tym gabinecie. I czy doktor Kovitz opróżnia kosz po każdej sesji, żeby ten gabinet nie wyglądał na najsmutniejsze miejsce na świecie. Oraz jak by zareagował, gdyby Phil po prostu położył się na sofie i zaczął płakać. Ale problem w tym, że gdyby sobie na to pozwolił, nie byłby w stanie przestać.

– Zwykle życiowe problemy – powtarza doktor Kovitz w zamyśleniu. – To interesująca myśl. Uważa pan, że istnieje coś takiego jak zwykle życiowe problemy?

– Sam nie wiem. Bo na co niby miałbym się skarżyć?

Uśmiecha się do doktora Kovitza. Bo właśnie, na co miałby się skarżyć? To by było żałosne. W porównaniu z większością ludzi Phil nie ma na co narzekać. Ma ciało, które funkcjonuje całkiem sprawnie. Ma dach nad głową, chociaż dom jest obciążony sporą hipoteką. Ma żonę. Ma córkę. Któregoś dnia pewnie uda mu się znaleźć pracę. Nie musi uciekać przed uzbrojonymi po zęby terrorystami ani chodzić sześćdziesiąt kilometrów po wodę. Ma pod dostatkiem jedzenia i nie musi trzymać w ramionach dziecka, które umiera z głodu. I w czym, do cholery, mógłby mu pomóc ten facet ze swoimi ratanowymi meblami i pudełkami chusteczek? Co dobrego przyjdzie komukolwiek z gadania? To nie zmieni tego, w jaki sposób umarł jego ojciec. To nie zdejmie brzemienia z barków jego żony. To nie da mu nowej pracy ani nie sprawi, że jego córka przestanie patrzeć na niego, jak gdyby był jakimś dziwnym, zdeformowanym okazem w zoo.

To jakiś absurd. To wszystko pachnie absurdem na kilometr.

– Chyba powinienem sobie pójść – oznajmia, podnosząc się z sofy.

– Chce pan już iść?

– Pewnie istnieje wielu ludzi bardziej potrzebujących pańskiej pomocy niż ja. Nie sądzę... nie wydaje mi się, by to było dla mnie. Niestety, taka jest prawda.

Doktor Kovitz nie próbuje go zatrzymać. Patrzy na niego tylko.

– Dobrze – odpowiada. – Jednak zarezerwuję dla pana tę godzinę w przyszłym tygodniu i mam nadzieję, że pan wróci.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Moim zdaniem jest.

Wstaje z miejsca, zanim Phil zdąży mu powiedzieć, że nie musi, i szybko podchodzi do drzwi. Gdy je otwiera, mówi cicho:

– Mam nadzieję, że zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

Spacer do domu zajmuje Philowi dwadzieścia trzy minuty. Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi, poklepuje psa i ciężkim krokiem wchodzi na górę, kierując się w stronę łóżka.

Siłownia została zamknięta aż do odwołania. Nisha poszła tam poprzedniego wieczoru w drodze do domu i gdy tak wpatrywała się w kartkę z informacją, powoli docierało do niej, że to koniec. Jej ubrania, rzeczy, które sprawiały, że czuła się tym, kim była, miały już nigdy do niej nie wrócić. Nie ma pojęcia, dlaczego te buty są dla niej aż tak ważne – być może dlatego, że były ostatnim prezentem od Carla, symbolem ich małżeństwa. Wręczył jej te szpilki uroczyście, podziwiał ją w nich, pragnął, by miała je na sobie podczas najważniejszych wspólnych wyjazdów. Carl często jej narzucał, w co ma się ubrać. „Chciałbym cię w nich widzieć. Chciałbym, by wszyscy cię w nich widzieli”. Tylko po co były te cegiele, skoro przez cały ten czas planował się jej pozbyć i zastąpić ją Charlotte? To wszystko potęguje narastające w niej poczucie, że została wykiwana, a to z kolei wywołuje w niej taką wściekłość, że ma wrażenie, jakby nieustannie pulsowała ona w jej żyłach.

– Dziewczyno, ale zasuwasz! – Jasmine zerka do łazienki i na jej twarzy maluje się podziw.

Gniew dodaje Nishy energii. Wstaje przed budzikiem, szoruje plamy z taką intensywnością, jak gdyby była to twarz Carla, a brud ściera, jakby mogła w ten sposób wymazać cały poprzedni tydzień.

– Idziesz na przerwę? Czy może mam ci zostawić swoich dwanaście pokoi i w tym czasie spokojnie popijać sobie kawkę? – Jasmine wybucha śmiechem.

Nisha prostuje się i ociera spoczone czoło wierzchem ręki.

– Jasne, że idę – odpowiada.

To jej piąty dzień pracy. I tak oto od pięciu dni o ósmej rano pojawia się przy bocznym wejściu do hotelu, przebiera się w czarne ciuchy robocze, je pyszne wypieki i sprząta obrzydliwe pokoje, a w tym czasie w środku gotuje się z wściekłości. Dzisiaj dostanie pieniądze i nie jest pewna, co zrobi potem. W szatni dominują opowieści o nalotach urzędu imigracyjnego i o cofniętych zezwoleniach na pobyt. Ludzie przychodzą na jedną zmianę i więcej się nie pojawiają. Niektórzy zostają na kilka tygodni, ale nigdy z nikim nie rozmawiają, unikają kontaktu wzrokowego, jak gdyby woleli być niewidzialni. Nisha spotyka tu całe rzesze ludzi, na których nikt nie zwraca uwagi, którzy żyją z dnia na dzień, tak jak ona, zastanawiając się, co robić dalej.

A Nisha jeszcze nie wie, co robić dalej. Nie znosi tej pracy, ale dzięki niej codziennie jest w pobliżu apartamentu i ma szansę na odzyskanie swoich rzeczy. Z każdym wyższym piętrem czuje, jak serce bije jej żywiej, i obmyśla, jak się dostać do penthouse’u. Ale sprzątaczkki bez papierów nie mają dostępu do szóstego ani siódmego piętra, a jedynie do tańszych pokoi, gdzie mieszkają pracownicy w podróży służbowej albo ludzie, którzy zarezerwowali nocleg na stronach internetowych ze zniżkami i zwykle spędzają tam tylko jedną noc. Jasmine mówi, że sprzątaczkki muszą pracować w hotelu przez co najmniej kilka miesięcy, zanim uzna się je za wystarczająco doświadczone czy godne zaufania, by wpuścić je na bardziej ekskluzywne piętra.

Ale Nisha na pewno się tam dostanie. Tyle że zanim obmyśli, jak to zrobić, musi grać na zwłokę. A tymczasem loguje się do hotelowego wi-fi, tak jak robią to wszyscy, i dzwoni o drugiej do syna. Wraz z Jasmine mają teraz przerwę na lunch i chociaż Nisha wie, że go obudzi, bo o tej porze Ray zwykle śpi, to przed nią jej ostatnia opłacona noc w Tower Primavera, a ona nie wie, co robić dalej.

– Witaj, skarbie – odzywa się.

– Mamo? Dlaczego dzwoniś tak wcześnie? – pyta Ray zaspanym głosem.

Nisha próbuje się uśmiechnąć i stara się brzmieć uspokajająco.

– Kochanie... potrzebuję pomocy. Muszę od ciebie pożyczyć jeszcze trochę pieniędzy. To nieco skomplikowane, ale wyjaśnię ci wszystko, kiedy wrócę do domu.

– Potrzebujesz więcej pieniędzy? – Nisha słyszy, jak jej syn wierci się w łóżku.

– Tak. Jeszcze pięćset dolarów. Dasz radę przelać mi je dzisiaj? W to samo miejsce, co ostatnio.

– Nie mogę, mamo.

– Nie musisz tego robić teraz. Chciałam tylko zadzwonić wcześniej, żebyś znalazł na to dzisiaj czas.

– Nie, to jest fizycznie niemożliwe. Tata zamroził mi konto. Podobno ktoś próbował się na nie włamać.

Nie mówił ci?

– Co takiego?

– Nie mogę sam kupić niczego. Ani ubrań, ani gier, ani nawet dezodorantu. Tata kazał mi o wszystko

pisać maile do Charlotte. Zapłącą jego kartą, a potem mi prześlą.

O Boże, Carl ją rozgryzł.

– Nie masz żadnej innej możliwości? – pyta Nisha z desperacją w głosie. – Co się stało z twoim kontem oszczędnościowym?

– Pff. Ono też jest zamrożone. Tata jest taki wredny. Nie mam dostępu do własnych pieniędzy. Możesz z nim o tym pogadać, mam? On kontaktuje się ze mną tylko za pośrednictwem Charlotte.

– Dobrze, kochanie. Tak mi przykro. Zadzwoń do ciebie... później.

Nisha kończy rozmowę, wydaje z siebie cichy jęk i opada na ławkę. Po drugiej stronie szatni Jasmine rozmawia przyciszonym tonem z Viktorem. Kiedy Nisha podnosi wzrok, Jasmine się w nią wpatruje.

– Wszystko w porządku, Nish?

– Mój były zamroził nasze konta bankowe. To jakiś koszmar.

Jasmine unosi brwi.

– Twój były? A kim on jest? Nie płaci alimentów? Tylko mi nie mów, że zwiął z całą twoją kasą?

– Coś w tym stylu.

– Koszmar! – wykrzykuje. – Czułam, że może wchodzić w grę coś takiego. Wiesz, co mi kiedyś powiedziała mama? Nigdy nie wychodź za gościa, z którym nie chciałabyś się rozwieść. Mój były to złoto, nie facet. Płaci regularnie piętnastego. Spotyka się z Gracie. Zawsze zwraca się do mnie z szacunkiem. Ale zastanawiam się, czy to nie dlatego, że ciągle się we mnie buja. – Wzrusza ramionami i wskazuje na swoją twarz. – Jest za czym tęsknić. – Nagle wybucha śmiechem, więc Nisha nie jest pewna, czy Jasmine żartuje. – Ma jakąś pracę? Twój były?

– Carl? Tak, można tak powiedzieć.

– Czym się zajmuje?

– Hmm... Import–eksport. Tego typu sprawy.

– Aha, to tak jak mój znajomy Sanjay. Prowadzi magazyn niedaleko Southall. Kupuje w porcie różne rzeczy, które wypadły z kontenerów, i sprzedaje je straganiarzom. W jednej chwili ma mnóstwo kasy, a zaraz potem zostaje bez grosza przy duszy. A co z twoją rodziną?

– Niestety, nie mam z nią kontaktu.

– O rany. Masz dzieci?

– Syna. Ale mieszka w Nowym Jorku. U niego... wszystko dobrze.

– Zawsze to coś. Chociaż pewnie za nim tęsknisz. Jak sobie radzisz finansowo?

– Dzisiaj wypłata, prawda?

Jasmine się krzywi.

– Owszem, kochana, ale nie weźmiesz potem taksówki, by pojechać do Louisa Vuittona. Wiesz, o czym mówię?

Jasmine miała rację. Pod koniec dnia Nisha otrzymuje kopertę, w której znajduje się pasek wynagrodzenia wypełniony ledwo czytelnym pismem i czterysta dwadzieścia pięć funtów za cały tydzień pracy po dziesięć godzin dziennie. Jako sprzątaczką bez papierów dostała osiem i pół funta za godzinę, bo pół funta potrącono jej za korzystanie z uniformu. Nisha wpatruje się w zawartość koperty, nie mogąc uwierzyć, że za tyle godzin ciężkiej pracy płaci się ludziom taką śmieszoną kwotę. I zaraz wylicza w głowie, że zarabiając tyle, nie da rady opłacić hotelu Tower Primavera, gdzie zamierzała zostać do momentu naprostowania całej sytuacji, chociaż i tak jest tani. Za kilka dni zostanie bez dachu nad głową.

Jasmine mówi, że powinna się cieszyć, że nie jest zatrudniona na normalną umowę.

– Ponieważ wtedy potrącają ci za ubezpieczenie i z założenia nie stosują żadnych ulg podatkowych, i szczerze? Wtedy równie dobrze można siedzieć na zasiłku.

– Och. – Nisha nagle przypomina sobie o czymś i grzebie w kieszeni. – Proszę. Zapomniałam, przepraszam. – Wyciąga przed siebie banknot dwudziestofuntowy.

Jasmine spogląda na niego, potem z powrotem na Nishę i klepie ją po ręce.

– W porządku, mała. Oddasz mi, kiedy wszystko się u ciebie poukłada.

I z jakiegoś dziwnego powodu to sprawia, że Nisha czuje się jeszcze gorzej.

Nisha przyniosła zapas odżywek do włosów i balsamów do ciała na piąte piętro i właśnie wraca do windy wkurzona – przed chwilą mocno wymalowana dziewczyna stanęła w progu, wyrwała jej buteleczki i zatrzasnęła drzwi przed nosem bez słowa podziękowania – gdy dostrzeża w korytarzu zmierzającą w jej

stronę znajomą postać.

Ari.

Serce przestaje jej bić. Ma ochotę ukryć się w którymś z pokoi, ale na tym piętrze nie ma do nich dostępu, więc nie ma dokąd uciec. Ari, w czarnym nieskazitelnym garniturze, jest czymś zajęty, rozmawia przez telefon, a wzrok ma wbity w przestrzeń.

– Nie, to mu nie pasuje. Sprowadź samochód przed wejście i czekaj. Mam to gdzieś. Jak dla mnie to możesz nawet jeździć w kółko po okolicy. Trzeba go zawieźć... yyy, gdzie to, do diabła, jest? Na Piccadilly, na drugą piętnaście. Charlotte ma dokładny adres.

Nisha czuje, jak z każdym krokiem Ariego jej ciało sztywnieje, a oddech więźnie jej w gardle. Przeklina w myślach, że nie wzięła ze sobą wózka. Mogłaby za nim przykucnąć, udając, że czegoś szuka, staranować go nim, jeśli przyszedł tu po nią. Ale teraz w korytarzu jest tylko ich dwoje i Nisha znajduje się w pułapce. Zamyka oczy, gdy Ari jest tuż-tuż, odwraca twarz w stronę drzwi, spodziewając się, że zaraz poczuje na ramieniu jego żelazny uścisk i usłyszy groźny pomruk: „Co ty tu robisz, do cholery?”

Na chwilę przestaje oddychać. A wtedy... nic się nie dzieje. Słyszy tylko za plecami jego kroki, krótkie przekleństwo rzucone do telefonu, a potem wybuch śmiechu. Nisha odczekuje chwilę, otwiera oczy, powoli odwraca głowę. Ari idzie dalej, gestykulując wolną ręką podczas rozmowy.

Nawet jej nie zauważył. Jest jedyną osobą na całym korytarzu, a on nawet jej nie dostrzegł. I wtedy to do niej dociera: to ten uniform czyni ją niewidzialną.

Nisha Cantor, kobieta, za którą przez dwadzieścia pięć lat oglądali się wszyscy, włożyła tani czarny top, nylonowe spodnie oraz fartuch i zupełnie zniknęła.

Gdy wraca do szatni, w głowie wciąż jej buzuje po tym zajściu, a serce wali jej jak oszalałe. I wtedy dzieje się coś równie nieoczekiwanego: Jasmine oznajmia, że boli ją brzuch, i pyta, czy Nisha mogłaby dokończyć za nią sprzątanie pokoju czterysta dwadzieścia, a ona na chwilę się położy.

– Nie prosiłabym o to, skarbie, ale po prostu umieram. Potrzebuję chwili odpoczynku.

Nisha odpowiada, że nie ma problemu, może też posprzątać czterysta dwadzieścia dwa, i nawet nie docierają do niej podziękowania Jasmine, bo w jej głowie już krystalizuje się pewien plan. Jasmine z ciężkim westchnieniem zdejmuje fartuch, zawiesza go na haczyku i zmierza w stronę pomieszczenia obok pralni, gdzie znajduje się małe łóżko, z którego na ogół korzystają osoby pracujące w recepcji.

Gdy Jasmine znika, Nisha odczekuje chwilę, a potem przeszukuje jej kieszenie, gdzie znajduje kartę dostępu do wszystkich pokoi. Wsuwa ją szybko do swojego fartucha i wychodzi.

Pokój czterysta dwadzieścia sprząta w błyskawicznym tempie, a jej umysł pracuje na zwiększonych obrotach, kiedy zmienia pościel, opróżnia kosze i przeciera pilota szmatką nasączoną płynem dezynfekującym. Sprząta też czterysta dwadzieścia dwa, dziękując Bogu za singielki, które podczas swojego pobytu ledwo dotykają czegokolwiek. Mając piętnaście minut zapasu, wpycha wózek do windy i po zaledwie krótkiej chwili wahania przykłada kartę do czytnika, a potem naciska guzik na siódme piętro. Gdy winda rusza do góry, Nisha czuje ścisk w żołądku.

– Serwis sprzątający! – krzyczy. Kiedy otwierają się drzwi, ogarnia ją lekki niepokój, podświadomie szykuje się na ostry głos, który każe jej wrócić do windy. Ale w apartamencie jest pusto i cicho. Stoi tak przez chwilę, rozglądając się po pokojach, w których jeszcze do niedawna mieszkała, po rozrzuconych rzeczach, które nagle wydają jej się obce: dokumenty Carla, jego pantofle ułożone równo na bawełnianej makatce przy drzwiach, miska, w której są tylko winogrona i brzoskwinie, jego ulubione owoce. Sięga do biurka po paszport, ale nie ma go w szufladzie. Otwiera szafkę z sejfem i wpisuje jego datę urodzenia, ale maszyna brzęczy i się nie otwiera. Próbuje jeszcze dwóch innych kombinacji: własnej daty urodzenia, a potem Raya, ale żadna z nich nie działa. Nisha klnie i kieruje się do sypialni.

Łóżko jest już pościelone, więc odczuwa ulgę, że nie musi oglądać kolejnych dowodów zdrady Carla w postaci wymiętej pościeli, pustych butelek po szampanie albo nawet porzucanych gadżetów erotycznych. Odwraca wzrok, przechodzi do garderoby i otwiera podwójne drzwi. I oto są: jej ubrania, wszystkie wiszą równo na dopasowanych wieszakach, dokładnie tak jak wtedy, gdy je widziała po raz ostatni. Stoi tak przez chwilę, po czym z jej piersi wyrывa się cichy jęk tęsknoty i Nisha przyciska twarz do kożuszka od Chloé niczym matka witająca się z dziećmi po długim rozstaniu i wdychająca ich zapach. Jej zapach! Bez tych ubrań czuła się naga. Odwraca się, lustruje wzrokiem toaletkę, dostrzega znajomą buteleczkę i wkłada ją szybko do kieszeni. I właśnie wtedy zauważa zestaw do makijażu. Nienależący do niej. Wpatruje się w wielką niedopiętą kosmetyczkę, w dużą paletę cieni do powiek, w podkład zbyt jasny do jej cery. W lokówkę leżącą obok jej szczotek. Czuje, jak coś w niej pęka i wtedy w jej głowie pojawia się pewna myśl. Nisha odwraca się z powrotem do szafy i dostrzega obcą sukienkę wetkniętą między jej rzeczy. Wyciąga ją: to Stella McCartney, czarna, zbyt wyzywająca, z szarfą zwisającą na plecach. Nisha czuje, jak wściekłość podchodzi jej do gardła. Carl pozwala tej kobiecie chodzić w jej ubraniach? Umieszczać te wstrętne krzykliwe ciuchy między jej rzeczami? Widzi kombinezon i szpilki od Jimmy’ego Choo w rozmiarze czterdzieści jeden. Aż do tej chwili Nisha właściwie nie wiedziała, co robi, kiedy się znajdzie w penthousie, ale teraz, z ledwo tłumionym rykiem furii, zaczyna zdejmować swoje ubrania z wieszaków: kostiumy od Chanel, kolorowe sukienki od Rolanda Moureta i spódnicę od Valentino. Ściąga je całymi naręczami, nie mogąc znieść myśli, że Charlotte (to musi być Charlotte! Ta suka ma stopy jak klaun) nosi jej rzeczy. Mogła jej ukraść Carla, proszę bardzo, ale Nisha nie pozwoli, by wciskała swoje zdirowate ciało w jej ubrania. Rzuca je na wózek, po czym wraca po swój długi kożuch i czarny aksamitny kostium z poduszkami od Yves’a Saint Laurenta. A potem, z twarzą wciąż wykrzywioną wściekłością, pcha wózek do windy i naciska przycisk w dół, zapominając nawet o zakryciu palca rękawem.

Jest w połowie korytarza wiodącego do pralni, kiedy staje przed nią Jasmine. Zatrzymuje się, spogląda ze zdumieniem na stos ubrań, jak gdyby nie wierzyła własnym oczom, a potem krzyżuje ręce na piersi.

– Co tu się...?

– Zejdź mi z drogi.

– Nisha?

– Ona nosiła moje ubrania. – Nisha teraz wręcz kipi wściekłością, jak gdyby ktoś odetkał korek, wyzwalając cały gniew i frustrację, które gromadziły się w niej przez ostatni tydzień. – Za cholerę nie dostanie moich ubrań.

– O czym ty mówisz? Skąd to wzięłaś?

Nisha próbuje ją wyminąć, ale Jasmine blokuje jej drogę.

– Z penthouse’u – syczy.

– Byłaś w penthousie! – Jasmine mruga zaskoczona. – Ukradłaś ubrania z penthouse’u?

– To nie kradzież, skoro są moje.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno? Oszalałaś?

Nisha puszcza rączkę wózka i podchodzi do Jasmine.

– Nazywam się Nisha Cantor i jestem żoną Carla Cantora. W zeszłym tygodniu wyrzucił mnie z penthouse’u i zablokował dostęp do wszystkich pieniędzy. Teraz po prostu próbuję odzyskać to, co do mnie należy.

Jasmine wpatruje się w Nishę, jak gdyby próbowała przetrawić jej słowa.

– Ty jesteś żoną faceta z penthouse’u?

– Tak. Od ponad osiemnastu lat. Do zeszłego tygodnia, kiedy to wywinął mi ten numer.

Jasmine kręci głową, rozkładając ręce, jak gdyby nie była w stanie tego ogarnąć.

– Weszłaś tam, by zabrać swoje ciuchy? Ale jak się tam...

– Zostawił mnie z niczym. Z niczym. Muszę nosić ubrania, które nawet nie są moje! – Nisha wygrzebuje z kieszeni kartę wejściową Jasmine i jej oddaje. – Masz. Weź ją. Dostałam już to, czego chciałam.

– Nie możesz tego zrobić.

– To nie jest kradzież. To są moje ubrania.

– Nisha. To kiepski pomysł. Tak nie można.

– Przykro mi, Jas. Cieszę się, że cię poznałam. Masz złote serce i jesteś cudowną osobą. Polubiłam cię. A ja nie lubię nikogo. Ale muszę odzyskać własne rzeczy.

Jasmine wpatruje się w swoją kartę.

– Nie, nie, nie, nie, nie. Weszłaś tam na moich dostęпах. Wszystko będzie na mnie. Jeśli ukradniesz te rzeczy, to mnie obarczą odpowiedzialnością.

– Powiem im, że to twoja wina. Albo zadzwonię.

– Nisha. Jestem czarną samotną matką z Peckham. Właśnie użyłaś mojego dostępu, by dostać się do pokoju, z którego przed chwilą zniknęły ubrania warte jakieś dziesięć tysięcy funtów.

– Raczej trzydzieści – poprawia ją Nisha, urażona.

– Musimy to odnieść. Jakoś to wszystko ogarniemy, skarbie. Ale nie w ten sposób.

– Nie! – protestuje Nisha, lecz Jasmine łapie ją za rękę.

– Nie rób mi tego. Wiesz, że obie będziemy miały problemy, jeśli to zrobisz. Potrzebuję tej pracy, Nish. Bardzo jej potrzebuję. I pracowałam cholernie ciężko, by osiągnąć to, co mam. Dwa razy ciężiej niż większość ludzi. Nie masz o tym pojęcia, okej? Po prostu nie wiesz, jak to jest. Nie niszczy mi życia.

W tonie Jasmine pobrzmiewa stalowa nuta, ale i szczerzy niepokój. To zasiewa w Nishy ziarno niepewności. Przypomina jej się, jak Jasmine pożyczyła jej dwadzieścia funtów, chociaż ledwo ją znała.

– Błagam cię, Jas – mówi z jękiem. – Nie rozumiesz mojej sytuacji. On zabrał mi wszystko. Te rzeczy są mi potrzebne. Naprawdę.

– Jeśli tak się sprawy mają, pomogę ci to naprostować – mówi Jasmine cicho. – Ale to nie jest rozwiązanie.

Obie kobiety wpatrują się w siebie intensywnie. I nagle decyzja zapada. Nisha wie, że nie może zrobić czegoś takiego jedynej osobie, która potraktowała ją przyzwoicie.

– Ech. Niech to szlag! – krzyczy.

– Wiem, kochanie. Rozumiem. Chodź – mówi Jasmine, nagle ożywiona. – Chodź ze mną. Musimy zwrócić te rzeczy, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zniknęły. Jezu Chryste, mój brzuch. Dlaczego mi to robisz?

Nie odzywają się do siebie w windzie, ale Jasmine co chwila zerka na Nishę ukradkiem, jak gdyby rewidowała wszystkie swoje poglądy na jej temat. Docierają na siódme piętro i spoglądają na siebie. Ale kiedy

winda się zatrzymuje, słyszą donośne męskie głosy. Ktoś wrócił do pokoju. Jasmine momentalnie uderza ręką w przycisk na niższe piętro. Drzwi zaczęły się już otwierać i winda zacina się na chwilę, jak gdyby była zdezorientowana tą zmianą polecenia. A potem wreszcie się zamyka i z nagłym szarpnięciem rusza w dół.

Wysiadają na szóstym piętrze. Nishy kręci się w głowie.

– I co teraz?

Jasmine podnosi palec, jak gdyby już miała plan. Naciska guzik na krótkofalówce.

– Viktor? Skarbie, mógłbyś mi wyświadczyć przysługę? Potrzebuję jakichś piętnastu czy dwudziestu wieszaków. I jednorazowych plastikowych pokrowców. Tak. Tak. Najszybciej, jak możesz. Dzięki wielkie. Stoję przed sześćset dwadzieścia dwa. Jestem twoją dłużniczką.

Niecałe dwadzieścia minut później Viktor, wysoki Litwin ze smutnym spojrzeniem, pojawia się z wieszakami.

– Powieś na nich ubrania, Nisha. Szybko. Pomożesz nam, Vik?

Nisha wykonuje jej polecenie i obleka każde ubranie plastikową folią. Wszyscy troje pracują w milczeniu, a jej drętwieją palce, gdy próbuje prostować kołnierzyki na wieszakach i przeciskać kawałek drutu przez maleńkie otwory w plastiku. Gdy wreszcie kończą, na wózku leży wielki stos ciuchów. Jas wjeżdża z nim z powrotem do windy i gestem przywołuje Nishę.

– Załóż maseczkę. I nie podnoś głowy.

Drzwi otwierają się na siódmym piętrze. Jasmine przykazuje Nishy, by została w windzie.

– Obsługa hotelowa! – krzyczy.

W drzwiach pojawia się jakiś mężczyzna – czy to Steve? Trudno jej stwierdzić, skoro nie może podnieść wzroku.

– Co to takiego? – pyta tamten.

– Ubrania z pralni. – Jasmine zgarnia z wózka naręczce ciuchów w plastikowych workach.

– To ubrania z pralni! – krzyczy Steve w głąb apartamentu.

Nisha słyszy głos Carla dobiegający z gabinetu.

– Jakie ubrania? Nie zamawiałem żadnego prania.

Serce Nishy przestaje bić. Ale wtedy do akcji wkracza Jasmine:

– Pana żona zamówiła czyszczenie ubrań. Właśnie je zwracamy – wyjaśnia, po czym rzuca cicho w stronę Nishy: – Nie ruszaj się stąd.

– Moja żona? Mówiłem Frederikowi, że ma mnie nie obciążać żadnymi jej wydatkami.

– Z tego, co wiem, to było ustalone już jakiś czas temu. Teraz tylko zwracam ubrania.

W głosie Carla słychać wściekłość.

– Mówiłem mu, że nie powinien doliczać niczego. Niczego. Powinien był anulować wszystkie wcześniejsze zamówienia.

Jasmine znika w głębi apartamentu. Nisha słyszy szelest zawieszanych ubrań i przytłumione głosy.

– Bardzo mi przykro – odpowiada spokojnie Jasmine. – Musiała nastąpić jakaś pomyłka w komunikacji z pralnią. Przekażę, że czyszczenie wszystkich tych ubrań ma być za darmo.

Wraca do windy, bierze kolejne naręczce ciuchów i znowu wychodzi.

– Powiedziałaś „za darmo”?

– Najwyraźniej doszło do pomyłki ze strony hotelu. Dopilnuję, by za czyszczenie tych ubrań nie została pobrana żadna opłata.

Nisha słyszy u Carla zmianę tonu. Jej mąż uwielbia dostawać coś za darmo. Tak jakby mu się to należało, jak gdyby wszechświat nagle dostrzegł, na ile zasługuje. Ma ogromny majątek, a mimo to, gdy może za coś nie zapłacić, jest jak dziecko, któremu dają darmowego lizaka w sklepie ze słodyczami.

– W porządku. I każ zaznaczyć, że wszystko, co moja żona zamówiła wcześniej, ma zostać anulowane. Okej? Nie chcę już więcej takich niespodzianek.

– Oczywiście. Nie musi się już pan o to martwić. Dziękuję za wyrozumiałość. I jeszcze raz przepraszam.

Jasmine wchodzi do windy i Nisha się odwraca, na wypadek gdyby nagle zjawił się tu Carl. Ale nic takiego się nie dzieje, Jasmine naciska guzik i winda z drżeniem rusza w dół.

Jasmine nie odzywa się do niej potem ani słowem. W milczeniu sprzątajają przydzielone im pokoje. Nisha czuje odrętwienie z szoku. Tyle dni zastanawiała się, co by się stało, gdyby udało jej się dostać do



apartamentu, i co z tego wynikło? Oddały absolutnie wszystko. W ręce tej jędzy. A ona była tak zaślepiąona wściekłością na widok tych ubrań, że zupełnie zapomniała o zabraniu czegoś bardziej użytecznego – swojej biżuterii czy pieniędzy z biurka.

Przysługuje jej przerwa na odpoczynek, ale Nisha nie chce iść do szatni. Nie ma ochoty wysłuchiwać pytań Jasmine ani nikogo innego ani myśleć o tym, co właśnie się wydarzyło. Idzie więc do kuchni. Tam późnym popołudniem jest prawie pusto, jej pracownicy korzystają bowiem z cennej chwili wytchnienia między lunchem a kolacją: niektórzy ucinają sobie drzemkę, inni wymykają się na papierosa. Nisha nic nie jadła przez cały dzień, więc podchodzi do stolika, na którym zwykle leżą kanapki. Ale nic już nie zostało, jedynie taca z okruszkami.

Okruszki, nędzne resztki. Oto co zostało z jej życia. Nisha podnosi metalową tacę, wpatruje się w nią przez chwilę i pod wpływem impulsu ciska nią z hukiem o podłogę. A potem łapie, co ma pod ręką, stos świeżo wypranych fartuchów, jak się okazuje, i również nimi rzuca o ziemię. Następne są plastikowe miski, które odbijają się od metalowych blatów.

– Szlag by to wszystko trafił! Co się porobiło z moim życiem, do cholery?! – Zamyka oczy, zaciska dłonie w pięści i zaczyna wyć. Ten skowyt, wydobywający się gdzieś z głębi trzewi, ma w sobie coś pierwotnego. Nisha zgina się w pół i opada na kolana, zwijając się z wewnętrznego bólu.

Kiedy wreszcie otwiera oczy, wciąż dysząc ciężko, uświadamia sobie, że ktoś ją obserwuje. Odwraca się i widzi wysokiego mężczyznę stojącego przy palnikach. To Aleks. Opiera się o kuchenkę z rękami założonymi na piersi, a jego kucharskie spodnie w pepitkę upstrzone są plamami z porannej zmiany.

– Co? – rzuca Nisha wyzywająco. – No co?

Spogląda na bałagan, którego narobiła. Podnosi się z podłogi i po chwili zaczyna zbierać fartuchy, składa je i gniewnym ruchem ciska na miejsce. Z twarzą wciąż wykrzywioną wściekłością zbiera miski i ustawia je w stos, a potem podnosi metalową tacę. Włosy wysunęły jej się z kucyka, więc odgarnia je z twarzy i wiąże w kok.

Kiedy odwraca głowę, Aleks wciąż się jej przygląda.

– No co? – zwraca się do niego, krzywiąc się. – Nigdy nie widziałeś nikogo, kto by się wkurzył? Sprzątam po sobie. Okej? Przecież sprzątam.

Jego twarz ani drgnie. Odczekuje chwilę, a potem odzywa się spokojnie, z twardym akcentem:

– Jesteś bardzo piękną kobietą. – I zaraz dodaje: – Bardzo wkurzoną. Ale bardzo piękną.

Nisha rozdziawia usta. Aleks odwraca się w stronę palników i sięga po małą patelnię. Dodaje trochę oliwy, po czym fachowo wbija na nią dwa jajka. Podchodzi do ogromnej lodówki stojącej w kącie i wraca z pozostałymi składnikami.

Nisha stoi w milczeniu, nie mając pewności, co się dzieje. Aleks odwraca się do niej i wskazuje głową na krzesło w kącie.

– Siadaj – mówi.

Nisha z lekkim wahaniem wykonuje jego polecenie, wciąż przyciskając do piersi metalową tacę. Aleks więcej się nie odzywa. Ubija coś w misce z szybkością i skutecznością osoby, dla której to chleb powszedni, a jego mięśnie rysują się przy tym wyraźnie pod skórą wytatuowanego przedramienia. Oстрыm nożem sieka zioła i dorzuca je do jajek, po czym sięga do tostera i wyciąga dwa idealne tosty, które grubo smaruje masłem. Wyjmuje z pieca ciepły talerz i stojąc plecami do Nishy, coś na nim układa. A potem podchodzi do niej i wyciąga naczynie w jej stronę. Leżą na nim dwa kawałki lekko zarumienionej brioszki, a obok nich omlet ozdobiony złotym, lśniącym sosem holenderskim.

– Jedz – mówi, wręczając jej talerz, a potem odwraca się po serwetki. Nie czeka na podziękowania, tylko wraca w milczeniu do blatu, wyciera go energicznymi ruchami, a patelnię zabiera do pomieszczenia ze zmywakiem. Spędza tam kilka chwil, ukryty przed wzrokiem Nishy. Dobiega ją tylko szcęk patelni i szum wody. Gdy wraca, Nisha jest w trakcie jedzenia drugiego tostu.

To najlepiej przyrządzony omlet, jaki w życiu jadła. Aż robi jej się słabo z rozkoszy. Nawet nie jest w stanie mówić. Tylko spogląda na Aleksa, wciąż przeżuając, a on lekko kiwa głową, jak gdyby co do czegoś się upewniał.

– Trudno się złościć, kiedy człowiek zje coś dobrego – stwierdza.

A potem czeka, aż Nisha skończy, i bez słowa bierze od niej talerz. Znika, zanim ona ma szansę się odezwać.

Sam wchodzi do domu rodziców i zastaje ich na czworakach w otoczeniu gazet. Jej ojciec całym ciężarem ciała napiera na coś w rodzaju prasy, próbując wycisnąć wodę z papierowej pulpy uformowanej w prostokąt. Ich salon zawsze był zagracony książkami i stosami papierów, na każdej wolnej powierzchni stały rzeczy, których ich zdaniem nie można ruszać, ponieważ potem nie będą wiedzieli, gdzie co jest. Teraz natomiast jej matka przepuszcza gazety przez niszczarkę, podczas gdy ojciec z wyraźnym wysiłkiem wyciska strumienie wody do starej wanienki dla dzieci. Warkot niszczarki sprawia, że początkowo jej nie słyszą, więc Sam toruje sobie drogę pomiędzy stosami gazet i pochyla się, by pomachać ojcu przed nosem. Tata jest fioletowy z wysiłku, a we włosach ma drobinki papieru.

– Cześć, kochanie! – wita ją bezgłośnie.

Mama zatrzymuje niszczarkę w połowie zadania.

– Robimy brykiety z makulatury! – oznajmia głosem zbyt donośnym, biorąc pod uwagę, że teraz w pokoju jest zupełnie cicho, jeśli nie liczyć sapania taty. – Twój ojciec zobaczył to na YouTube. Dbamy o planetę!

– Merryn, położyłaś „National Geographic” na złym stosie – wykrzykuje ojciec, przerywając pracę i wskazując na tamto miejsce.

– Wcale że nie, Tom. Te leżą tutaj, ponieważ papier kredowy zawiera szkodliwe substancje. Jeśli będziemy nim palić, zabije nas w czasie snu. A poza tym kominiarz mówi, że od tego na kominie osadza się smoła. Tak że tylko gazety. Tom, ten brykiet jest zbyt wilgotny. To będzie schło latami.

– Wiem przecież.

– To naciskaj mocniej.

– Sama sobie naciskaj, jak jesteś taka mądra.

– Zaparzę herbatę – stwierdza Sam i rusza w stronę kuchni.

Przez lata uporządkowany chaos kuchni rodziców, z tablicą korkową pełną naklejek Greenpeace i sfatygowanych zdjęć z czasów ich młodości, uznawała za coś kojącego. Na blatach poniewierały się słoiki i przyprawy, których ktoś kiedyś nie odłożył na miejsce. Ostatnio Sam zauważa jednak, że z higieną jest tutaj coraz gorzej, tu i ówdzie leżą gąbczaste jabłka i otwarte jogurty. Każda z tych rzeczy ostrzega ją, że w najbliższej przyszłości czeka ją więcej obowiązków. Rodzice nie uznają pomocy sprzątaczk: to sprzeczne z ich socjalistycznymi przekonaniem. Ale nie mają problemu z tym, że Sam dwa razy w tygodniu poświęca czas, by tu przyjechać i posprzątać. Wkłada gumowe rękawice i zaczyna umieszczać brudne naczynia w zlewie, słuchając bezwiednie, jak rodzice kłócą się o brykiety.

– Wycisnąłem go mnóstwo razy. Nie wiem, skąd się bierze cała ta woda.

– Nie zapełniłaś całego czajnika, mam nadzieję? To nieekologiczne. – Jej matka wchodzi do kuchni, wycierając ręce w dzinsy. Ma na sobie malinowy sweter, a na nim szary. Oba na łokciach mają dziury, przez które prześwituje blade ciało.

– Nie, mamo. Odmierzyłam trzy kubki.

– Od obiadu zrobiliśmy tylko dwa brykiety. Nie mam pojęcia, jak uda nam się tym ogrzać mieszkanie. Szczerze. W szopie jest tyle starych gazet, że ciągle powtarzam twojemu ojcu, że to stwarza zagrożenie pożarowe.

Najwyraźniej zupełnie nie zauważa ironii swoich słów. Sam zmywa, a jej matka przygotowuje herbatę i podnosi wieczka różnych puszek, wzdychając z rozczarowaniem, kiedy nie znajduje w nich ciastek, których się spodziewała. Z drugiego pokoju dochodzą sporadyczne stęknienia i przekleństwa z ust ojca, który próbuje wycisnąć wodę z papierowych brykietów.

– Jak się czuje Phil?

Matka nigdy nie pyta o jej samopoczucie, myśli Sam z urazą i natychmiast się za to karci. To dobrze, że jej rodzice martwią się o Phila. Wielu ludzi nie lubi swoich zięciów czy synowych. Powinna się więc cieszyć.

– Hmm... ciągle to samo. Jest zmęczony.

– Dostał nową pracę?

– Nie, mamo. Powiedziałabym ci o tym.

– Dzwoniłam do was niedawno, jakoś wieczorem. Cat wam przekazała?

– Nie. Ostatnio rzadko ją widuję.

– Ta dziewczyna ciągle pracuje. Daleko w życiu zajdzie. W każdym razie chciałam wam powiedzieć o programie, który wtedy oglądaliśmy. Ale już nie pamiętam, o czym był. Jaki to był tytuł...? W każdym razie był w telewizji. Och, tak, powiedziała, że wyszłaś na drinka.

Sam upija długi, ostrożny łyk herbaty.

– Wyszłam na drinka ze znajomymi z pracy, by uczcić podpisanie kilku kontraktów. To nic takiego.

– Moim zdaniem nie powinnaś zostawiać Phila samego, kiedy jest w takim dołku. Ja nigdy nie zostawiam twojego taty, by iść do pubu. To by mu się raczej nie spodobało.

Ty nie chodziłaś do pracy, ma ochotę odpowiedzieć Sam. Nigdy nie musiałaś zarabiać pieniędzy, żeby twoja rodzina mogła zachować dach nad głową. Nigdy nie musiałaś zмагаć się z szefem, który na twój widok ciężko wzdycha, by dać ci do zrozumienia, że jesteś do niczego. Nigdy nie leżałaś obok śpiącego mężczyzny odwróconego plecami do ciebie, zastanawiając się, czy stałaś się niewidzialna.

– To się rzadko zdarza – odpowiada ostrożnie.

Jej matka siada przy stole i wzdycha.

– Utrata pracy to dla mężczyzny trudna sprawa. Nie czuje się wtedy jak mężczyzna.

– To niezbyt egalitarny pogląd, mamó. Myślałam, że wierzysz, że obie płcie powinny być traktowane równo.

– Mówię tylko to, co dyktuje mi zdrowy rozsądek. Czują się... jak to się mówi? Wykastrowani. Jeśli ty utrzymujesz dom, a potem idziesz wieczorem do pubu, to jak się ma czuć biedny Phil?

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie wychodziłaś nigdzie bez taty?

– Jedynie do klubu książki. I to tylko dlatego, że Lina Gupta ciągle rozmawia o swoich hemoroidach, a tata zaczyna się wtedy dziwnie zachowywać. Swoją drogą nie mam pojęcia, jakim cudem potrafi wtrącić uwagę o czopkach do rozmowy o *Annie Kareninie*.

Potem gawędzą przez chwilę, choć bardziej przypomina to monolog, w którym Sam wchodzi w swoją tradycyjną rolę potulnej słuchaczki, podczas gdy matka daje upust trosce o losy planety, złości na polityków – jacy są wyrachowani, głupi albo po prostu irytujący – lub też opowiada o problemach sąsiadów – kto umiera, kto cierpi na jakąś paskudną dolegliwość, komu już się zmarło. Sam zauważyła kilka lat wcześniej, że szczegóły jej życia jakoś specjalnie matki nie interesują, nie licząc kwestii związanych z ich wzajemną relacją lub z Philem, którego uważa za najlepszego zięcia pod słońcem. („Naprawdę miałaś szczęście, że na niego trafiłaś”). Poza tym choć jej rodzice publicznie wyznają nieskończoną miłość do siebie nawzajem, wykorzystują każdą okazję, aby na osobności pozalić się córce, jakie to drugie jest wkurzające, męczące albo z czymś sobie nie radzi. („On już nie umie czytać map drogowych. Mówi, że umie, ale jedzie w zupełnie innym kierunku”; „Zostawia okulary gdzie popadnie, a potem oskarża mnie, że je zabrałem! Jest już tak ślepa, że nie widzi, gdzie je położyła”).

– Więc co zrobisz w kwestii Phila? – pyta matka, kiedy jej córka wkłada płaszcz. Sam posprzątała kuchnię i łazienkę na górze, lekko zmartwiona liczbą leków o skomplikowanych nazwach potrzebnych jej rodzicom do codziennego funkcjonowania.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że powinnaś jakoś go wspierać. Tak, by lepiej się poczuł sam ze sobą.

– Dlaczego to on miałby się poczuć dobrze ze sobą, skoro ja się tak nie czuję?

– Daruj sobie takie niestosowne komentarze, Samantha. On potrzebuje twojego wsparcia, nawet jeśli to irytujące.

– Staram się, jak mogę. – Sam nie jest w stanie ukryć znużenia w głosie.

– Czasami trzeba się postarać bardziej. Kiedy twój tata miał problemy z wiesz czym...

– Mamó, mówiłam ci, naprawdę nie mam ochoty słuchać o problemach taty z erekcją.

– Kupiliśmy mu te niebieskie tabletki. I pomijając ten niefortunny incydent w Sainsbury's, po tym, jak zażył ich za dużo, działały znakomicie. Znowu czuł się sobą, a dzięki temu oboje byliśmy szczęśliwi. – Milknie i po chwili dodaje: – Tyle że teraz musimy jeździć do Tesco przy obwodnicy. A tamtejsze parkingi mają o wiele za wąskie miejsca dla naszego samochodu. – Kładzie rękę na ramieniu córki. – Posłuchaj, chcę tylko powiedzieć, że może i jest ci teraz ciężko, ale jeśli zadbasz o samopoczucie Phila, to oboje poczujecie się lepiej.

Matka spogląda na Sam przeszywającym wzrokiem, a potem rzuca jej pocieszający uśmiech.

– Po prostu zastanów się nad tym... – A potem odwraca wzrok. – Tom, co ty tam wyprawiasz z tą przeklętą maszyną? Nawet tutaj słyhać, jak woda wylewa się na podłogę. Doprawdy, czy wszystko muszę robić sama?

W czasie krótkiego spaceru do domu Sam zastanawia się nad słowami matki. Ona i Phil, używając języka z kobiecych magazynów, żyli osobnym życiem już od paru miesięcy. Nigdzie razem nie wychodzili, o niczym nie rozmawiali, nie licząc psa (nie, nie wyprowadził go), córki (nie wie, dokąd wyszła) i jej pracy (ten temat go przerasta). Może to taki czas, kiedy rzeczywiście Sam musi się bardziej postarać. Może jeśli mniej będzie się skupiać na tym, jak jest zmęczona i wściekła z powodu braku wsparcia, mogliby znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Przystaje na chwilę na chodniku, by o tym pomyśleć. To dosyć zdumiewające, że w ogóle bierze pod uwagę radę matki. A potem przypomina jej się ojciec, jego niebieskie tabletki, i musi śpiewać do siebie na głos przez całą drogę na pocztę, by wyrzucić z głowy ten obraz.

Phil leży na sofie i ogląda jakiś program, w którym pary kłócą się o zagospodarowanie domu. Sam wieszka płaszcz i wpatruje się w czubek głowy męża, gdzie jego włosy są lekko przerzedzone. Dwa tygodnie temu udało jej się go przekonać, by poszedł do fryzjera, ponieważ zaczął się upodabniać do szalonego naukowca, i teraz przynajmniej wygląda znajomo. Nagle Sam przypomina sobie, jak leżeli na tej sofie we dwoje ze splecionymi nogami, a Phil nachylał się, by pocałować ją we włosy, i myśli: może i jestem w stanie sprawić, byś poczuł się lepiej.

Na kolację przygotowuje zapiekankę z kurczaka, do tego purée ziemniaczane i gotowane warzywa, jedno z ulubionych dań Phila, i nakrywa do stołu w kuchni, żeby jej mąż nie mógł po prostu zabrać talerza i zjeść przed telewizorem. Otwiera butelkę wina i nalewa im obojgu po kieliszku. Phil nie mówi zbyt wiele, ale i nie uskarża się na nakryty stół, a nawet zdobywa się na pewien wysiłek, opowiadając jej o nowym samochodzie sąsiadów. Milknie jednak, kiedy po dwóch kieliszkach żona próbuje go wypytywać, jak się czuje – widać, że jego twarz staje się nieprzenikniona, jak gdyby ktoś zaciągnął nad nią zasłonę – więc Sam dzielnie peroruje dalej, wypełniając ciszę opowieścią o rodzicach i ich maszynce do brykietów, a Phil usiłuje okazywać zainteresowanie. Zegar w kuchni tyka donośnie.

– Niezłe wino – stwierdza Phil.

– Prawda? Kupiłam je na promocji.

– Tak. Naprawdę niezłe.

W pewnym momencie Sam dostaje wiadomość od Cat z pytaniem, czy któreś z nich nie widziało jej prawa jazdy, i przez krótką chwilę oboje z ożywieniem dyskutują o tym, jak łatwo jest zapodziać te małe plastikowe dokumenty i jak często Cat gubi ważne rzeczy. A potem rozmowa znowu siada, zegar zdaje się tykać przeraźliwie głośno, więc Phil wraca na sofę, by obejrzeć wiadomości o dziesiątej. Sam mówi sobie jednak, że w obecnych warunkach tę kolację można uznać za sukces.

Zmywa naczynia, mając nadzieję, że cokolwiek Phil ogląda, nie wprawi go to na nowo w przygnębienie. Spogląda na butelkę, w której zostało na dnie pięć centymetrów wina, a potem podnosi ją nagle, wypija duszkiem resztę jej zawartości i wyciera usta wierzchem dłoni.

Sam sprząta po kolacji i idzie na górę, bierze prysznic i po chwili wahania spryskuje się lekko perfumami. Zerka na swoje odbicie w zaparowanym lustrze. Nie wygląda źle jak na swój wiek. Ma ładną szyję. Niezłe piersi. Nic jeszcze zbyt nie opada. Nie jest może tak jędrna i szczupła jak tamte bogate mamuśki z siłowni, ale nie ma brzydkiego ciała. Pomyśl o tym, jak się czułaś w tamtych butach, powtarza sobie stanowczo. Pomyśl o tym, jak się czułaś na tych spotkaniach, jak się czułaś na parkiecie: silna, urzekająca, niepowstrzymana.

Wchodzi do łóżka i czeka, aż usłyszy na schodach kroki Phila, myśląc o tym, jak gonił ją po nich zaraz po przeprowadzce tutaj i łapał ją za pośladki – tak bardzo jej wtedy pragnął.

Przez drzwi sypialni obserwuje, jak jej mąż kieruje się do łazienki, słyszy, jak się myje, szoruje zęby, szybko płucze usta – te dźwięki są dla niej równie znajome jak poranne klikanie bojlera czy skrzypienie bramy wejściowej.

A potem Phil wchodzi do łóżka, wywołując przy tym lekkie skrzypienie sprężyn. Od jakiegoś czasu śpią odwrócenymi plecami do siebie: Phil chrapie, więc nauczył się spać na boku.

Nie uprawiali seksu od jedenastu miesięcy.

Obliczyła to pewnego wieczoru, cofając się pamięcią do ostatniego razu, kiedy jej mąż wrócił z pubu. W pracy w czasie przerwy Sam często słyszy, jak inne kobiety narzekają, że ich mężowie ciągle się do nich dobierają, i żartują, że wołałyby poczytać książkę. Ona natomiast jest już bardzo zmęczona czytaniem książek. To seks sprawiał, że ich małżeństwo funkcjonowało jak dobrze naoliwiona maszyna, dzięki niemu przestawały mieć znaczenie drobne uciążliwości – spodnie rzucone na podłogę, niewyciągnięte ze zmywarki naczynia, mandat za parkowanie. Seks ich zbliżał. Dzięki niemu znowu czuli się sobą, a nie cieniami tego, kim byli dawniej.

Sam leży przez chwilę nieruchomo, a potem odwraca się w milczeniu i obejmuje Phila ramieniem. Jego skóra jest ciepła, pachnie delikatnie i przyjemnie mydłem. Kiedy jej mąż się nie porusza, Sam przysuwa się bliżej, by przyłgnąć do niego całym ciałem. Całuje go w kark i wtula w niego policzek. Tęskniła za nim, tęskniła za jego dotykiem. Zastanawia się, dlaczego nie zrobiła tego znacznie wcześniej. Lekkie drgnienie Phila wywołuje w niej dreszcz pożądania. Wsuwa łydkę między jego nogi. Głaszcze go po brzuchu i czuje na dole miękkie włoski, a potem coraz grubsze, kiedy przesuwa rękę niżej. To się stanie. To się stanie za jej sprawą. To będzie dla nich nowy początek. Całuje go znowu, jej usta przesuwiają się delikatnie wzdłuż jego kręgosłupa, i ciągnie go lekko, by odwrócił się do niej twarzą. Nic mnie nie zatrzyma, myśli. Jestem kobietą siłą. Mam w sobie mnóstwo seksu. Zaraz przesunie się tak, by być na nim i...

Jego głos przerywa ciszę w ciemności.

– Wybacz, kochanie. Nie czuję się dziś na siłach.

Słowa te zawisają w powietrzu i są dla niej jak policzek. Sam nieruchomieje, a potem cofa rękę leżącą na kroczu męża. Odsuwa się, wchodzi z powrotem pod kołdrę i odwraca się na plecy. Mogła jednak założyć koszulę nocną, myśli. Przez chwilę leżą w milczeniu.

A potem rozlega się głos Phila:

– Ale zapiekanka była bardzo dobra.

Podczas gdy Phil zachowuje się tak, jak gdyby nie istniała, drugi mężczyzna, który ma ogromny wpływ na jej życie, Simon, nie daje jej o sobie zapomnieć.

Niektórzy w pracy zaczęli jej unikać, jak gdyby otaczająca ją zła aura mogła być zaraźliwa. Wszyscy udają, że nie widzą, co się dzieje, no bo wiecie, to w końcu tylko praca, a teraz o nią ciężko.

Wszyscy z wyjątkiem Joela.

Sam jada teraz lunch w samochodzie, ponieważ ma wrażenie, że w kuchni wszyscy się na nią gapią, a przy biurku przestała jeść, bo pewnie Simon podszedłby do niej, gdyby miała pełne usta. Więc siedzi w aucie i przy dźwiękach uspokajającej muzyki klasycznej je w samotności kanapkę, starając się nie myśleć o swoich problemach.

– Co ty tu robisz?

Sam podskakuje, gdy otwierają się drzwi i do środka wchodzi Joel, przynosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza i ciepły cytrusowy zapach. W ręce trzyma kanapki z serem kupione na stacji benzynowej. Ma na sobie puchową kurtkę, a cienkie dredy związał w kucyk nad karkiem.

– Przynajmniej włącz silnik, Sam, niech w środku trochę się zagrzeje – mówi, zamykając drzwi. – Jezu, ale tu jest lodówka!

– Ja tylko...

– Zastanawiałem się od kilku dni, gdzie znikasz w czasie przerwy. Simon posłał z nami tego idiotę Franklina na negocjacje z Cameronem. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem zdobył ten kontrakt. Przyszedłem cię zgarnąć na kawę, ale w biurze powiedzieli, że cię nie ma. A potem zobaczyłem, że w twoim samochodzie są zaparowane szyby, więc...

Franklin. Młody, zarozumiały Franklin w błyszczącym garniturze i z przyklejonym do twarzy uśmiechem. A więc o to chodzi. Sam powoli wypuszcza z płuc powietrze.

– Póki co wolę jadać tutaj.

Uśmiech na twarzy Joela blaknie. Wpatruje się w Sam uważnie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie bardzo. – Sam czuje, że jeśli piśnie teraz choćby słówko na ten temat, rozplacze się. I nie będą to zwyczajne łzy, tylko potężny, niepowstrzymany szloch, po którym zostanie z czerwonym zasmarkanym nosem, nie będąc w stanie złapać tchu. A to, że Joel mógłby być tego świadkiem, byłoby chyba najgorsze.

– Ech, Sam... – Joel kręci głową, wyraźnie zniesmaczony. – Ted mówił, że Simon dał ci niezły wycisk

na wczorajszym spotkaniu budżetowym.

Sam czuje teraz każdą komórką ciała, jak blisko siedzi Joel. Dostrzega gładką skórę na jego dłoniach, będących tak blisko jej uda, wyczuwa męski zapach. Jego podkręcone wilgotne rzęsy wyglądają jak gwiazdki. Nigdy nie widziała takich rzęs u dorosłego. Ma wrażenie, że gdyby ich dotknęła, poczułaby ich ostre końcówki na opuszcze palca. Znają się od ośmiu lat, a mimo to Sam dopiero teraz zwróciła uwagę na te rzęsy.

Nagle przypomina jej się, jak wczoraj wieczorem Phil odrzucił jej starania, jak tego ranka zobaczyła w lustrze swoją niewyspaną twarz: starą, opadającą, niechcianą. Tak trudno jej przyjmować miłe gesty Joela. Ponieważ, rzecz jasna, Joel wcale się w niej nie durzy. To tylko ona za bardzo się podekscytowała po założeniu tych głupich butów. On pewnie traktuje ją w kategoriach podstarzałej ciotki. Poprawmy humor starej, biednej Sam, stwierdził niewątpliwie.

Nagle czuje absolutną pewność, że musi się pozbyć Joela ze swojego auta.

– Szczerze mówiąc – zaczyna – dobrze mi tu. Samej. – Nie jest w stanie patrzeć na niego, kiedy mówi te słowa, nie chce widzieć malującego się na jego twarzy współczucia, przechylonej głowy. Wbija wzrok w swoje kolana, na jej ustach błąka się dziwny uśmiech. – Poważnie – dodaje. – Po prostu posłucham sobie muzyki i odpocznę przez moment.

Joel odzywa się po chwili:

– Moglibyśmy po prostu zjeść razem kanapki, dotrzymałbym ci towarzystwa.

– Nie – odpowiada Sam, zerkając na niego. – Są z serem. Nie lubię sera.

Siedzą przez chwilę w ciężkiej ciszy. Nie lubię sera? – myśli Sam. Od kiedy?

– Okej – odpowiada Joel po krótkim milczeniu. – Chciałem tylko... sprawdzić. Po prostu chciałem się upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.

– Nic mi nie jest. Nie musisz się o mnie martwić. Jestem dorosłą kobietą! – Wtedy podnosi wzrok, jej twarz wykrzywia okropny uśmiech. Widzi coś takiego w jego oczach, od czego czuje ścisk w brzuchu. – Naprawdę. To bardzo miło z twojej strony. Ale powinieneś iść. Lepiej już idź. – Wymawia te słowa twardszym tonem, niż zamierzała.

Joel odczekuje jeszcze chwilę, a potem bez słowa bierze swoje nierozpakowane kanapki i wysiada z samochodu.

Jasmine ma dziś wolne. Nisha sprawdza harmonogram i widzi, że jej koleżanka ma do odbioru kilka dni, pewnie za pracę w weekendy. Chociaż brakuje jej tego wesołego szczebiotania, Nisha czuje ulgę, że będzie pracować sama. Gniew – i poczucie winy z powodu tego, na co naraziła Jasmine – tak mocno w niej buzują, że chyba zaraz eksploduje.

Pracuje w milczącej furii, jak burza przechodzi przez kolejne koszarne łazienki i piorunuje wzrokiem każdego, kto ośmieli się ją poprosić o dodatkową rolkę papieru czy odżywkę do włosów. Wie, że takie zachowanie naraża ją na skargi, więc udaje, że nie mówi po angielsku, półuśmiech na jej twarzy skrywa lekką groźbę, a jej postawa sugeruje, że mogłaby wrócić i zamordować irytujących gości w czasie snu.

Próbowała się skontaktować z sześcioma najlepszymi nowojorskimi prawnikami od rozwodów, ale tylko troje z nich odebrało telefon, z czego od dwojga usłyszała, że zostali już zatrudnieni przez Carla. Zadzwoiła do swojego banku, a Jeff, szef działu doradców klienta, obiecał, że do niej oddzwoni, ale tego nie zrobił. I powtórzyło się to cztery razy. Wiadomo, Carl. Nisha próbuje sobie wyrobić kartę kredytową, żeby mieć za co żyć, ale jej podanie zostaje odrzucone, ponieważ nie ma stałego adresu zamieszkania w Wielkiej Brytanii, a firma ze Stanów może jej wysłać kartę tylko na adres domowy w Nowym Jorku. Skąd oczywiście nikt nie będzie przekierowywał jej korespondencji. Wiadomo, Carl.

Codziennie dzwoni do syna i rozmawiają o zwyczajnych sprawach: co jadł na lunch, o podejrzeniu Raya, że jeden z jego współlokatorów jest mormonem, do jakiej rozpaczy doprowadza go to, że nie jest w stanie powstrzymać się od obgryzania paznokci, i Nisha wie, że nie ma słów, którymi mogłaby mu wyjaśnić, co się stało z ich rodziną. Oto jej synek. Jej cudowny, wrażliwy synek, oddalony o tysiące kilometrów, a na myśl o nim jej serce krwawi. Będzie musiała wkrótce wyznać mu prawdę, ale boi się zadać mu ten ból, skoro nie może być przy nim, by go pocieszyć. Jest zbyt wcześnie po Tamtym.

Pewnie właśnie za to nienawidzi Carla najbardziej.

Kiedy w czasie popołudniowych przerw kryje się w kuchni, zawsze jest tam Aleks, który albo przygotowuje składniki do kolacji, albo po prostu siedzi w kącie i czyta postrzępioną książkę, zazwyczaj coś o tematyce kulinarnej. Nie odzywa się do niej, ale na jej widok odkłada lekturę i zabiera się do przygotowania czegoś pysznego, na przykład omletów z grzybami w ziołach czy grillowanych kanapek z kurczakiem i majonezem truflowym. Kładzie przed nią jedzenie i odchodzi, robiąc wszystko z ogromnym taktem, jak gdyby rozumiał, że pali jej się grunt pod nogami, więc chce jej choćby podać wiaderko z wodą. Włosy Aleksa zawsze wyglądają, jak gdyby dopiero co się obudził, oczy ma zmęczone, a na jego ciele nie ma ani grama tłuszczu. Nie żeby Nisha jakoś szczególnie mu się przyglądała, ale zawsze podświadomie zwracała uwagę, czy ktoś jest wysportowany albo ile ma na ciele tkanki tłuszczowej, i stwierdza, że Aleks wygląda... zdrowo. Widać u niego zmęczenie, jak u większości szefów kuchni (przez długie zmiany i koszarne warunki pracy starzeją się chyba dwa razy szybciej niż inni), ale ogólnie wygląda zdrowo.

– Nie pójde z tobą do łóżka – oznajmia Nisha, kiedy Aleks wręcza jej wyjątkowo apetycznie wyglądającą kanapkę z wołowiną.

Aleks przygląda jej się uważnie i posyła uśmiech, jak gdyby powiedziała coś zabawnego.

– Okej – odpowiada, jakby ta myśl w ogóle nie przysłała mu do głowy, a w niej ta reakcja wywołuje zarówno zawstydzenie, jak i wściekłość.

Nisha długo nie może zasnąć w tym okropnym pokoju hotelowym, toksyczne myśli kłębią jej się w głowie jak czarna chmura, a kiedy się budzi, jest tak wykończona, że tylko mroczna furia pcha ją z powrotem do Bentleya. Dwa razy między drugą a czwartą w nocy, w ciszy zakłócaną jedynie przez syreny i parę kłócącą się w sąsiednim pokoju, bierze telefon i zaczyna pisać wiadomość na jeden z niewielu numerów, które zna na pamięć: do Juliany. A potem wpatruje się we własne słowa, kasuje wiadomość i odkłada telefon.

Sumuje w głowie swoje zarobki i pieniądze od Raya i wie, że wkrótce nie będzie jej stać na ten hotel. Aż wreszcie dowiaduje się, że nie może zostać na kolejną noc. Jest szósta trzydzieści, Nisha właśnie zmierza na śniadanie, gdy w korytarzu mija ją recepcjonistka.

– Dobrze, że panią złapałam. W związku z konferencją mamy zarezerwowany cały hotel na następne dwa tygodnie. Więc niestety musi się pani wyprowadzić jutro rano.

– Ale dokąd mam pójść? – pyta Nisha, a recepcjonistka spogląda na nią zdziwionym wzrokiem, jak

gdyby nigdy wcześniej nikt jej nie zadał takiego pytania.

Kiedy Nisha idzie do pracy, zastanawia się, czy skończy na ulicy jak ci bezkształtni mężczyźni o szarych twarzach mieszkający w kartonowych pudłach, których mija co rano. Nikt do niej nie oddzwonił. Żadna z tych kobiet, koło których siedziała na przyjęciach przez ostatnich osiemnaście lat. Żadna z tak zwanych przyjaciółek. Dowiedzą się wszystkiego od Carla – albo od Charlotte – i od teraz Nisha stanie się wyklęta. Wyobraża sobie upokarzające rozmowy na jej temat po drugiej stronie Atlantyku:

– W innej sytuacji powiedziałabym, że to okropne, ale ona była tak zimną osobą, że trudno mi się przejąć jej losem.

– Och, Melisso! Doskonale powiedziane!

Idzie wzdłuż rzeki, próbując obmyślić jakiś plan, i czuje, jak nienawidzi tego miasta. Nienawidzi samochodów wlokących się w żółtym tempie i siedzących w nich pasażerów, ledwo widocznych zza poruszających się wycieraczek. Nienawidzi ludzi rzucających jej zaskoczone spojrzenia, gdy klnie na nierozważnych rowerzystów, nienawidzi wielkich aut i siedzących w nich matek z zaciśniętymi ustami, ignorujących swoje dzieci, nienawidzi zaczepiających ją budowlańców i lustrujących ją wzrokiem cwaniaczków wystających przed barami. Nienawidzi faktu, że nic jej już przed tym nie chroni, że jest niczym mały niewidzialny atom poruszający się siłą rozpędu przez świat harówki i chaosu. Z powodu wilgoci idzie z podniesionym kołnierzem i szyją owiniętą zostawionym przez jednego z gości porządnym wełnianym szalem, którego jeszcze nie odniosła do biura rzeczy znalezionych. Gdyby Nisha była kobietą skłoną do introspekcji, stwierdziłaby z pewnością, że nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa.

– Musimy porozmawiać – oznajmia Jasmine, która zjawia się w hotelu, gdy Nisha kończy zmianę. Ma na sobie czerwoną błyszczącą wатовaną kurtkę i legginsy, przewieszoną na krzyż torebkę na łańcuszku, a paznokcie pomalowała opalizująco niebieskim brokatowym lakierem. – Ciągle myślałam o tym, co się tu wydarzyło we wtorek.

Nisha wyciąga kurtkę z szafki i zatrzaskuje drzwi.

– Chodzi ci o to, jak zmusiłaś mnie do oddania moich własnych rzeczy?

– Nie mów tak. – Jasmine się krzywi. – Nie jestem twoim wrogiem. – Nisha spogląda na nią pytająco, ale Jasmine już idzie korytarzem. – Zakładaj szybko kurtkę. Jedziemy do mnie.

Jadą dwoma autobusami, które z niskim warkotem przedzierają się przez korki, a Jasmine w tym czasie wypytuje Nishę o jej życie i o to, co się w nim ostatnio wydarzyło.

Naprawdę do niedawna mieszkałaś w penthouse? W prawdziwym penthouse?

Zaraz, zaraz, mimo tego, że mieliście tutaj dom? Mieliście dom? Więcej niż jeden? To ile mieliście tych domów, do cholery?

I serio miesiąc w miesiąc jeździliście po świecie? Ale gdzie tak naprawdę mieszkałaś? Jak to: wszędzie?

Jakim cudem wszystkie tamte ubrania są twoje? Po prostu dawał ci co tydzień pieniądze, które wydawałaś, na co chciałaś? Ile? Ile? Nigdy nie pracowałaś? Nie, to nie jest praca... Pfff.

Naprawdę żadna z twoich koleżanek się nie odzywa? Chociaż potrzebujesz pomocy? Co to za kobiety?! (To akurat Nishę zabolalo).

Co twój syn o tym wszystkim myśli? (To zabolalo jeszcze bardziej).

To kiedy zamierzasz mu powiedzieć? Kochana, nie możesz tego trzymać w tajemnicy. Kogo w ten sposób chronisz? Tego niewiernego dupka, który cię zostawił?

I kim, do cholery, jest ta dziwka, którą posuwa? Znasz tę kobietę? Aha. No tak. No jasne. I co zamierzasz z tym zrobić?

Jasmine zadaje jej te pytania bez skrępowania, o wszystkim mówi prosto z mostu. Nisha jest tak zbita z tropu jej sposobem komunikacji – tak różnym od zawołanych rozmów, jakie toczyły żony znajomych Carla, od ich pustych uśmiechów i oceniających spojrzeń – że gniew, który w niej buzował, zaczyna stygnąć i Nisha odpowiada szczerze, nie zastanawiając się, czy z jej odpowiedzi nie zostaną wyłuskane jakieś cenne informacje, a potem wykorzystane przeciwko niej, tak jak zrobiłaby normalnie, w rozmowie z jakąkolwiek inną kobietą.

Od przystanku autobusowego idą jeszcze dziesięć minut, wciąż pograżone w rozmowie, i nawet nie zauważyły, że zaczął padać deszcz. Blokowisko, przez które teraz przechodzą – Jasmine nazywa je osiedlem – jest ogromne, to rozległa przestrzeń poprzecinana pustymi chodnikami i oświetlona gdzieniegdzie



pomarańczowym blaskiem lamp. Nisha trzyma się blisko Jasmine, bojąc się, że gdyby się zgubiła, nie potrafiłaby wrócić tą samą drogą.

– Wierzyć się nie chce – mówi Jasmine, sięgając do torebki. – To znaczy słyszałam różne chore historie, ale to jest zupełnie inny poziom.

Otwiera drzwi od mieszkania, a wtedy do Nishy dociera, że ta kobieta wybrała się w długą podróż z przesiadkami przez całe miasto tylko po to, by ją tu sprowadzić.

Mieszkanie jest tak małe, że Nisha chyba nigdy nie była w mniejszym, a każdą możliwą powierzchnię pokrywają plastikowe pudełka pełne ubrań albo suszarki, na których rozwieszono jest pranie. Ubrania są wszędzie, wiszą na drzwiach albo leżą złożone w równe stosy na krzesłach albo na komodach.

– Grace? – Jasmine wpycha Nishę do ciasnej kuchni i zaraz z niej wychodzi. – Odrobiłaś zadanie?

Z drugiego pokoju dobiega głos przekrzykujący dźwięki telewizji:

– Odrobiłam!

– To znaczy odwaliłaś je czy włożyłaś w nie choć trochę wysiłku?

– Kto z tobą jest?

– Nisha.

Nisha przysiadła na jednym z taboretów obok składanego stołu i zdejmuje kurtkę. Mieszkanie przepętnia zapach gotowanego jedzenia i słodkich piżmowych perfum. Na kuchence na małym ogniu dusi się jakaś mięsna potrawa, zaparowując szybę delikatną mgiełką. To uświadamia Nishy, jak bardzo zdążyła się już przyzwyczaić do zapachu hotelu Tower Primavera i środków chemicznych używanych do sprzątnięcia. A wtedy przypomina sobie, że może tam zostać jeszcze tylko jedną noc. Wymyśliła, że potem będzie sypiać na łóżku w pobliżu pralni w Bentleyu, ale nie ma pewności, jak długo będzie jej to uchodzić na sucho.

– Gdzie twoje maniery, Grace! Chodź się przedstawić.

Dziewczyna – na oko trzynaście lub czternaście lat – wsuwa głowę przez drzwi i spogląda na Nishę, która macha do niej nieśmiało.

– O! Całkiem pani ładna.

Jasmine, która właśnie wraca do kuchni, wybucha śmiechem.

– Jak widać, ma zadatki do pracy w dyplomacji.

– To miał być komplement! Ta Greczynka, którą kiedyś przyprowadziłaś, wyglądała, jakby coś jej przejechało po twarzy.

– Czy tak cię wychowałam? Nauczyłam cię chamstwa wobec gości?

– Przepraszam. – Widać jednak, że Grace w ogóle nie jest skruszona. – Pracuje pani z moją mamą?

– Tak.

– To pani nie wiedziała, jak się czyści toaletę?

– Pewnie chodziło o mnie – odpowiada Nisha po chwili namysłu.

– Nastawiłaś ryż, tak jak prosiłam? – pyta Jasmine, zaglądając do jednego z garnków.

– Jest w piekarniku na dole, pod pokrywką.

– Bogu dzięki. Jestem głodna jak wilk. Grace, sprzątnij ze stołu swoje rzeczy.

Jasmine krząta się po kuchni, wyciąga talerze z szafek i energicznym krokiem idzie do pokoju, gdzie nakrywa mały stół obok telewizora. Grace zanosi sztućce, nieśmiało zerkając w stronę Nishy, która siedzi pośrodku tego zamieszania, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Jest pani Amerykanką, prawda? – pyta Grace, mijając ją. – Była pani w Disneylandzie?

– Zabrałam tam syna, gdy był w twoim wieku, ale niespecjalnie mu się podobało.

– Dlaczego?

– Nie lubi takich atrakcji. Woli filmy i gry komputerowe.

– Tak jak wszystkie chłopaki. Mnie mama na to nie pozwala.

– I mądrze robi. Jego lekarz mówi, że uzależniają jak kokaina.

– Lekarz od czego?

– Psychiatra. Ktoś, kto pomaga innym na problemy z samym sobą.

– Pani syn ma problemy psychiczne?

Nisha odpowiada po chwili wahania.

– Hmm. Pewnie trochę tak. Chyba wszyscy je mamy? – Uśmiecha się.

– Nie – odpowiada Grace i bierze ściereczkę.

W pokoju stoją mała sofa i fotel, na którym leży duży, chwiejny stos pościeli o idealnie odprasowanych brzegach. Obok niego stoi deska do prasowania. Gdy Grace przynosi szklanki i dzbanek z wodą, Jasmine chowa pościel do przezroczystych plastikowych worków, które Nisha kojarzy z hotelu, i zakleja je małym paskiem taśmy klejącej. Jasmine dostrzega, że Nisha wpatruje się w monogram hotelu.

– Wyrzucają je po jednym użyciu, więc traktuję to jako recycling.

– A myślałam, że to ja mam dużo rzeczy – stwierdza Nisha.

– Och, to nie moje. – Jasmine kieruje ją do stołu. – To prasowanie i przeróbki.

– Co?

– Tym się zajmuję poza hotelem. Prasowaniem i przeróbkami.

Nisha wpatruje się w Jasmine z niedowierzaniem. Ona sama po pracy w hotelu jest tak wykończona, że jedyne, na co ma siłę, to wrócić do siebie i wejść pod prysznic. Myśl, że można wtedy zacząć inną pracę, nie mieści jej się w głowie.

Jasmine przynosi potrawkę z jagnięciny i kładzie na stół. Pożywne, pysznie pachnące jedzenie paruje delikatnie na talerzach obok puszystego białego ryżu i warzyw. Nisha od dwóch tygodni nie jadła domowego posiłku. Dawniej byłaby wybredna, obliczyła w głowie, ile tu białka, a ile błonnika, i odsunęła ryż. Ale teraz zachłannie miesza wszystko widelcem, nasączając ryż apetycznym sosem, i pochłania wszystko wielkimi kęsami, nawet się nie odzywając. Kiedy kończy swoją porcję, Jasmine i Grace są dopiero w połowie.

– Aleksa nie było dziś w pracy, co? – rzuca Jasmine, a Nisha podnosi wzrok. – Dołóż sobie, nie krępuj się.

Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo stała się zależna od posiłków przygotowywanych przez Aleksa, ani że Jasmine to zauważyła. Po chwili wahania sięga po dokładkę, a jej gospodyni rozmawia w tym czasie z córką o tym, co ma zadane na jutro. Gdy Jasmine jest pewna, że Nisha się najadła – a owszem, najadła się, aż ją rozbolał brzuch – odczekuje, aż Grace zabierze talerze do kuchni, i zwraca się do koleżanki.

– A więc gdzie mieszkasz?

– W hotelu. Tyle że... – zaczyna, ale wstydzi się do tego przyznać.

– Tyle że co?

Nisha wzdycha i wyciąga rękę nad głowę.

– Muszę jutro opuścić pokój, bo mają na niego rezerwację. Zresztą i tak już mnie na niego nie stać. Miałam zamiar zapytać cię o... o ten mały pokoik w Bentleyu. W którym się położyłaś, gdy cię rozbolał brzuch.

– O nie. – Jasmine kręci głową. – Zapomnij. Jest przeznaczony dla pracowników nocnej zmiany. Ludzie korzystają z niego przez całą noc. Mają przy tym limit dwóch godzin.

– A czy myślisz, że mogłabym skorzystać z któregoś z pokoi przeznaczonych dla gości? No wiesz, tak po prostu zakraść się do środka? Mogłybyśmy wcześniej sprawdzić, czy danej nocy ktoś w nim mieszka, i... wiadomo, spałabym na narzucie. Doprowadzenie wszystkiego do porządku zajęłoby mi pięć minut.

Mina Jasmine nie pozostawia wątpliwości, co sądzi o tym pomysłe.

– No więc serio, co zamierzasz zrobić? – pyta.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Nisha.

Jasmine wstaje od stołu.

– No to chyba będziesz musiała zatrzymać się tutaj. – Oznajmia to takim tonem, jakby jej decyzja nie podlegała dyskusji.

– Co takiego?

– A masz jakąś inną opcję?

– Ale ty chyba nie masz... za dużo miejsca.

– To prawda, nie mam za dużo miejsca. Ale ty nie masz go wcale. Więc postanowione. Nie proponuję ci obsługi jak w hotelu ani ekskluzywnego masażu, Nisha. Tylko łóżko. Dopóki nie uda ci się jakoś ogarnąć sytuacji. Możesz w zamian popilnować Grace, kiedy nie pracujesz. Albo coś ugotować. Odwdzięczyć mi się w taki sposób. Ha! No chyba że zaraz mi powiesz, że miałaś prywatnego kucharza i nie umiesz gotować.

Następuje krótka chwila ciszy, w czasie której obie wpatrują się w siebie.

– No nie. Nawet nie żartuj.

Nisha powoli kręci głowę.

Jasmine unosi brwi z niedowierzaniem, a potem nagle dostaje ataku śmiechu. Nisha czuje się trochę

nieswojo. Nie wie, co powiedzieć, nie wie nawet, co powinna czuć. Siedzi w ciasnym mieszkanku z kobietą, którą ledwo zna i której jest niezwykle wdzięczna za łóżko, do którego jeszcze dwa tygodnie temu za żadne skarby by się nie położyła. A ta kobieta się z niej śmieje.

– O matko. Jesteś niemożliwa, Nisha. – Jasmine ociera oczy. – Serio. Jesteś po prostu niemożliwa.

– Znajdę wyjście z tej sytuacji – mówi Nisha poważnie. – Serio. Obmyślę jakiś plan i zmuszę tego faceta, by mi zapłacił. Za wszystko.

– Och, w to nie wątpię. – Jasmine rozpiera się na krześle. Wciąż się śmieje, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu usłyszała. – A kiedy do tego dojdzie, będę siedzieć na widowni. W pierwszym rzędzie. Z ogromną paką popcornu. Ooo, tak.

Nisha ma spać całe siedemdziesiąt pięć centymetrów nad Grace, na górnym piętrze odrapanego niebieskiego łóżka piętrowego pokrytego naklejkami pozostałymi po poprzednim właścicielu, a do tego pod kołdrą w poszewce z kucykami z serii My Little Pony. Nisha obejmuje wzrokiem ciasny pokój. Większość miejsca zajmuje w nim łóżko, obok którego stoją szafa i małe biurko, a ścianę pokrywają plakaty nieznanych jej piosenkarzy. Grace, siedząca przy biurku, odwraca się w ich stronę.

– Musisz zabrać swoje rzeczy z górnego materaca, kochanie – odzywa się Jasmine.

Grace spogląda na matkę, a jej twarz wyraża niemy protest.

– Nie zostanę tu na długo – mówi pojednawczo Nisha, wyobrażając sobie reakcję Raya, gdyby mu oznajmiła, że ktoś obcy zamieszka w jego pokoju. Jego mina byłaby podobna do miny Grace. – I daję słowo, że nie chrapię.

Grace w odpowiedzi tylko odchrząkuje głośno.

– Nie lubi tu przebywać sama. Więc nie masz się czym martwić – pociesza Nishę Jasmine, podając jej ręcznik.

Ale jej nie chodzi już tylko o Grace. Zastanawia się, jak sama to zniesie. Wraz z Carlem mieli osobne garderoby i łazienki. Nie spała w takiej bliskości drugiego człowieka od czasów szkolnych.

– Och, i jeszcze jedno – dodaje Jasmine. – Mam coś dla ciebie. – Wychodzi z pokoju, zostawiając w nim Nishę stojącą z niewielkim żółtym ręcznikiem plażowym. Po chwili wraca z reklamówką z supermarketu i wyciąga ją przed siebie.

– To podkoszulek? – pyta Nisha. Wcześniej uzgodniły, że zostanie tu dziś na noc, a jutro z samego rana wróci do hotelu po swoje rzeczy.

– Otwórz – zachęca ją Jasmine.

Nisha z wahaniem zagląda do środka. I powoli wyciąga stamtąd trzy pary swoich czarnych jedwabnych fig La Perly i granatowy koronkowy stanik Carine Gilson. Wpatruje się w nie, a jej opuszki palców wyczuwają, że dotykają czegoś znajomego. To jej rzeczy. Jej bielizna. Przejeżdża dłonią po jedwabiu i spogląda na Jasmine.

– Pomyślałam, że kobieta może czuć się sobą tylko we własnej bieliźnie, dobrze mówię?

I nagle, po raz pierwszy, od kiedy zaczął się cały ten koszmar, Nisha wybucha płaczem.

– Ona zachowuje się dziwnie.

– To znaczy...?

– Nigdy jej nie ma w domu. A kiedy już jest, mam wrażenie, że próbuje mnie unikać. Zwykle albo wyprowadza psa, albo sortuje pranie na górze.

– A czy aby nie są to rzeczy, którymi musi się zająć... bo pan się nimi nie zajmuje?

– Możliwe. Chyba. Ale wcześniej, kiedy była w domu, wydawała się bardziej... Jak by to ująć... – Phil drapie się po głowie – obecna? No i jest jeszcze kwestia makijażu.

Doktor Kovitz milczy, więc Phil kontynuuje.

– Sam się nie maluje. To znaczy czasami pomaluje rzęsy. Ale zazwyczaj po prostu jej się nie chce. Takie rzeczy nie są w jej stylu. A mnie to nigdy nie przeszkadzało, bo moim zdaniem tak czy owak wygląda dobrze. Wie pan, Sam jest całkiem ładna.

– A teraz się maluje?

Phil zastanawia się przez chwilę.

– Na ogół tak. Jestem w pokoju, kiedy rano szykuje się do wyjścia, i widzę, że nakłada coś na powieki, policzki i resztę twarzy.

– Ale pan nie komentuje?

– Nie. – Phil wierci się lekko, wyraźnie skrupowany. – Bo... bo... stwierdziłem... ogólnie wolę, by Sam myślała, że jeszcze wtedy śpię.

– Więc pana żona nie wie, że pan wie, że ona się maluje.

– Nie. – Phil czuje, jak głupio to brzmi ujęte w ten sposób.

– Czy ma pan jakieś konkretne obawy? To znaczy, wie pan, dlaczego tak bardzo to pana niepokoi?

– To po prostu... nie pasuje do Sam.

Następuje długa chwila ciszy.

– Czy mogę zapytać o fizyczny aspekt waszego małżeństwa?

– Jest okej.

– Jest okej – powtarza doktor Kovitz.

– Chodzi mi o to, że zawsze było okej. Ale oczywiście od kiedy jestem... to znaczy... moim zdaniem to normalne, że te sprawy...

Długa chwila ciszy.

– Chce mi pan powiedzieć, że się trochę pogorszyło?

Phil czuje, jak uszy zaczynają mu płonąć. Kiwa głową, pocierając nos.

– Czy pamięta pan, kiedy ostatni raz doszło do... zbliżenia z żoną?

Phil ma ochotę umrzeć. I to dosłownie. W tej chwili żałuje, że tu wrócił.

– Już jakiś czas temu. Pewnie minęło parę miesięcy. Możliwe, że... zbliża się rok.

– Czy jest to sytuacja, która wam obojgu odpowiada?

Phil nie może mu tego powiedzieć. O palącym wstydzie, jaki odczuwał, gdy Sam tuliła się do niego ostatnio, kiedy bez wątpienia go potrzebowała. A on po prostu... nie mógł. Nie był w stanie jej powiedzieć, że nie chodziło o to, że nie chciał spróbować, tylko o jego lęk, że jeśli nie stanie na wysokości zadania, to będzie po wszystkim, nie będzie już czego zbierać. Że łatwiej mu było w ogóle nie próbować. Tylko do czasu, aż to minie – cokolwiek to było. Ale nie mógł tego powiedzieć. Nie na głos.

Dawno, dawno temu Sam nakłoniłaby go do rozmowy na ten temat, może nawet by się z tego pośmiała. Ale tamtej nocy po prostu odwróciła się na plecy i ciężko westchnęła, jak gdyby ją rozczarował albo wkurzył, a on chciał tylko zwinąć się w kłębek i zniknąć.

– Wiem, że pewnie Sam czuje się mną teraz lekko rozczarowana. Ale... ale nie mogę... czuję po prostu...

– Że to za dużo.

– Tak – potwierdza Phil z ulgą. – To za dużo. Po prostu nie umiem sobie poradzić...

Następuje długa chwila ciszy. Doktor Kovitz najwyraźniej lubi długie chwile ciszy. Wreszcie się odzywa.

– Co pana zdaniem by się wydarzyło, gdyby powiedział pan żonie, co pan teraz czuje?

Phil nie jest pewien, czy się poruszył fizycznie, ale czuje, jak się w sobie zapada na tę myśl.

– Nie umiem z nią teraz rozmawiać. Sam ciągle chodzi wściekła jak osa. Nie w tym znaczeniu, że się na mnie wydziera. Ona nie jest takim typem osoby. Ale czuję to. Sprawiam jej zawód. Sam myśli, że przeze mnie wszystko jest na jej głowie. I chyba w pewnym sensie ma rację. Ale po prostu nie dają rady. Czuję się... taki zmęczony. Mam jedynie ochotę się położyć i nie myśleć o niczym. A jeśli jej powiem, jak się czuję, ona po prostu uzna, że to kolejna rzecz, z którą musi się zmierzyć. Kolejny ciężar, który zrzucam na jej barki.

– Więc pana strategia polega na tym, żeby to przeczekać?

– Chyba tak.

Doktor Kovitz znówu milczy, więc Phil dodaje:

– Nie mam siły, by robić cokolwiek innego.

– Co pan czuł, kiedy zmarł pana ojciec?

Te słowa nie powinny być wypowiedzane na głos, Phil czuje to nawet teraz.

– To znaczy?

– Powiedział pan wcześniej, że kiedy umierał, czuł pan, że go pan zawiódł.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Phil ma wrażenie, jakby słowa więzły mu w gardle.

– Okej. Ale na podstawie naszych rozmów odnoszę wrażenie, że pana zdaniem zawodzi pan innych.

Czy rzeczywiście tak pan czuje?

– To nie jest coś, co czuję. Ja to po prostu wiem.

– Czy Sam użyła takich słów?

– Nie. Ona by tak nie powiedziała.

– Więc to tylko pana interpretacja.

– To moja żona. Znam ją.

– Rozumiem. – Długa chwila ciszy. – Co pana zdaniem musiałby pan zrobić, żeby ona tego nie czuła?

– Hmm, czy to nie oczywiste? Znaleźć pracę. Znowu być mężczyzną.

– Nie uważa się pan za mężczyznę?

– Mówię o prawdziwym mężczyźnie.

– A co to znaczy?

– Teraz to jest pan śmieszny.

Doktor Kovitz nigdy nie obraża się na Phila za jego słowa. On tylko na niego patrzy, z nieodgadnioną miną i z zagadkowym półuśmiechem na ustach.

– Mógłby pan to rozwinąć? Co dla pana oznacza „prawdziwy mężczyzna”?

– Czy to nie oczywiste? Ktoś, kto ma pracę. Kto dba o rodzinę. Kto bierze na siebie różne obowiązki.

– I wydaje się panu, że nie jest pan prawdziwym mężczyzną, jeśli pan tego nie robi?

– Och, wchodzimy w jakieś przepychanki słowne. – Phil wstaje. – Muszę już iść.

Doktor Kovitz nie protestuje, w ogóle nic nie mówi. Czeką, aż Phil włoży kurtkę, a kiedy ten zmierza do drzwi, krzyczy za nim:

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

Nisha ma już za sobą trzy noce u Jasmine. Przez dwa dni jeździła autobusami do pracy ze swoją gospodynią, by zapamiętać trasę. Poranną drogę odbywają w milczeniu, obie zaspane po pobudce o piątej trzydzieści, i szykują się z termosami kawy na wyzwania kolejnego dnia. Wieczorem siedzą w zatłoczonym autobusie i rozmawiają luźno o tym, która dostała tego dnia lepsze napiwki, omawiają dziwne zachowania gości, zastanawiają się, co będą jeść na kolację. Nisha nie jest fanką takich gadek o niczym, ale wie, że jest to cena za gościnność Jasmine, i stara się ze wszystkich sił nie okazać, jak bardzo ją one męczą.

Odbierają Grace od matki Jasmine i jadą z nią do domu – dziewczynka nie lubi przebywać sama w mieszkaniu od włamania, do którego doszło półtora roku temu („Zabrali moją bransoletkę chrzcielną i laptopa Grace. Pół roku go spłacałam”), więc w każdy wieczór, kiedy ojciec Grace nie może jej odebrać, muszą robić dłuższą trasę. Jasmine po kolacji pracuje, mieszkanie wypełnia wtedy syk pary z nadzorca i od czasu do czasu warkot maszyny do szycia. Nisha sprząta po kolacji i zmywa naczynia, więc Jasmine odpada przynajmniej to jedno.

Niechętna jej Grace odzywa się do Nishy tylko wtedy, kiedy musi, i widać, że obecność intruzki w jej pokoju wkurza ją niemiłosiernie. Unika jej wzroku, wzdycha ciężko, kiedy Nisha schodzi z góry, i wkłada

ostentacyjnie słuchawki do uszu, kiedy tylko pojawia się w jej sypialni. Nisha nie może jej za to winić. Dla niej samej przebywanie w tym ciasnym mieszkaniu z nimi dwiema jest wyczerpujące. Nie ma się gdzie ruszyć. Nie ma gdzie położyć swoich rzeczy, nawet gdyby takie miała. Nie ma dokąd uciec. Nie może nawet posiedzieć w łazience, bo zaraz któraś z nich wali w drzwi, domagając się natychmiastowego dostępu do kosmetyków, do szczoteczki do zębów albo do toalety. Panuje tam ciągły hałas: telewizja, muzyka puszczana przez Grace, radio grające w kuchni, wirująca pralka, która chodzi chyba non stop, dzwonek do drzwi, niezależnie od pory dnia, kiedy ludzie przychodzą odebrać pranie albo je podrzucić. Ten sposób życia – ciągła harówka, brak przestrzeni – najwyraźniej jest dla nich normalny.

A mimo to Nisha wie, że musi być za to wdzięczna. To miejsce jest i tak sto razy lepsze od tamtego okropnego pokoju hotelowego. Szczerze mówiąc jest lepsze niż wszystko inne, na co może sobie pozwolić, zanim obmyśli swój plan. A Jasmine jest po prostu niesamowita, uśmiecha się przy niemal każdej okazji, w razie niepowodzenia klnie jak szewc, a potem mówi sobie, że zawsze mogło być gorzej, i znajduje jakiś powód do śmiechu. Marzy jej się własny biznes krawiecki, ale lubi pracę w Bentleyu i boi się, że czułaby się samotnie, pracując ciągle z dala od ludzi.

– Chciałabym mieć tylko większą przestrzeń, i tyle. Może jakiś mały zakład, gdzie mogłabym upchać te wszystkie rzeczy – wskazuje ręką na mieszkanie – tak żebyśmy miały z Gracie więcej miejsca dla siebie.

Tak, chciałaby mieć faceta, ale w ogóle nie ma wolnego czasu, jest „potwornie wybredna”, a poza tym Gracie jest razem z nią w pakiecie, więc „każdy kandydat musi najpierw zostać zaaprobowany przez małą”. (Grace w reakcji na to unosi brwi, jak gdyby było to mało prawdopodobne w najbliższej przyszłości). Kilka razy gdy Jasmine zaczęła o czymś żartować – zwykle o facetach albo o seksie – Nisha łapała się na tym, że śmieje się wraz z nią, a kiedyś się nawet przy tym popłakała. Po raz pierwszy w życiu doświadcza babskiej solidarności i stwierdza, że to coś całkiem fajnego.

Cały jej optymizm pryska na widok Charlotte Willis w jej kurtce. W jej kożuszku od Chloé za sześć tysięcy siedemset dolarów, jasnobrażowym z kremowym obramowaniem, jedynym w jej rozmiarze. Nisha, popychając wózek do sprzątnięcia, widzi, jak ten kożuszek zmierza w jej stronę, i rozpoznaje go, zanim dostrzeże, kto ma go na sobie. Charlotte, z tym pewnym siebie uśmiechem na twarzy, odwraca się, by powiedzieć coś do idącej obok młodej kobiety, a Nisha o mało nie mdleje z wściekłości. Zatrzymuje się nagle, a Jasmine, która na nią wpada, uświadcza sobie, na kogo Nisha patrzy, więc łapie ją za łokieć, odwraca do siebie i prowadzi żwawym krokiem w stronę sklepu z ubraniami, nie zważając na porzucony wózek.

– To ona? – pyta.

– Mój kożuch – jęczy Nisha, która zaraz się chyba zapowietrzy. – Ja pierniczę, ona ma na sobie mój kożuch. Jezu Chryste. To się nie dzieje naprawdę. To się nie dzieje naprawdę. – Zatrzymują się przy windzie dla personelu, Nisha zerka za siebie, potem odwraca się do Jasmine, prostuje plecy i wzrusza ramionami, jak gdyby coś postanowiła, bo nie ma innej opcji. – No to teraz muszę ją zabić.

Jasmine parska śmiechem, a potem poważnie i rzuca Nishy spojrzenie, zwykle zarezerwowane pewnie dla Grace.

– Nie, Nish. Nikogo nie zabijesz.

– To jest mój kożuch. – To już ją przerasta. Niektóre rzeczy są za trudne do przełknięcia. – To Chloé, na litość boską.

– Daj jej spokój – mówi twardo Jasmine. A potem, kiedy Nisha protestuje, powtarza: – Daj. Jej. Spokój. Nish, posłuchaj mnie. Musisz to rozegrać długodystansowo.

– Co? Co to, do diabła, ma znaczyć? – Nisha podnosi głos i Jasmine wpycha ją z powrotem do windy, z uśmiechem na ustach skierowanym do przechodzących gości, jak gdyby były to tylko wygłupy wesołego personelu. – Długodystansowo? Nie mam na to czasu.

– Kochana, to jest jedyna rzecz, którą teraz masz.

Nisha obserwuje, jak Charlotte i jej koleżanka wchodzi do złotej windy. Pamięta, jak kupowała ten kożuszek w sklepie w Nowym Jorku, jak się czuła, kiedy po raz pierwszy narzuciła go na ramiona w prywatnej przymierzalni, pamięta ten wspaniały krój, kojący, lekko skórzany zapach. Jak sprzedawczyni uśmiechnęła się do niej, kiedy Nisha spoglądała na swoje odbicie w lustrze. I pamięta tę miękkość. Piękną, luksusową miękkość tej kurtki.

– Nienawidzę cię – mówi do Jasmine, kiedy Charlotte znika za zasuwającymi się złotymi drzwiami.

– Wiem – odpowiada Jasmine. – Chodź. Skombinujemy dla ciebie kanapkę.

\*

– Czuję się jak cholerny Kopciuszek. Tyle że brzydka siostra zgarnęła moją suknię, moje dynie, ślepe myszy i w ogóle, cholera, wszystko. – Nisha nadgryza kanapkę, którą przygotował dla niej Aleks, a potem odsuwa talerz.

– Nie wydaje mi się, żeby myszy były ślepe. Ale niech ci będzie. – Jasmine popija herbatę. – Już dobrze, kochana. Już dobrze. Och. Zaczekaj. – Spogląda na swój telefon. – Sandra wzywa mnie do biura. Chodzi o plamy na dywanie w dwieście trójce. Zostań tu. Zaraz wracam.

Nisha jest tak bardzo pochłonięta wygłaszaniem tyrady o niesprawiedliwości, że dopiero po kilku chwilach zauważa, że Jasmine zniknęła. Przygląda się kanapce – krewetki z mango, psychota – ale z powodu skurczu w żołądku nie jest w stanie zjeść więcej.

Aleks powoli podnosi się z krzesła. Odkłada książkę – traktującą o wolnym gotowaniu w skandynawskich górach – i sięga do kieszeni po paczkę fajek. Wysuwa z niej kilka papierosów, proponuje Nishy, i sam wkłada jednego do ust niedbałym gestem.

– Nie palę – mówi Nisha z rozdrażnieniem.

– Wiem – odpowiada Aleks.

Wychodzi tylnymi drzwiami do zaułka, gdzie stoją kosze na śmieci, a Nisha po chwili idzie za nim. Nie chodzi o to, że chce być z nim, ale ma wrażenie, że nie potrafi być teraz sama, że musi mieć świadka tego, przez co przechodzi. Aleks zapalił papierosa i stoi pod niskim murkiem. Z ogromnych plastikowych kubłów na odpadki sączy się nieokreślony, kapuściany zapach, ale podobnie jak inni pracownicy hotelu Nisha już właściwie nie zwraca na niego uwagi.

– Mój mąż – zaczyna. – Okradł mnie. Zabrał mi wszystko, co miałam. I, cholera, nie mam pojęcia, co zrobić, by odzyskać swoje dawne życie.

– To niedobrze – Aleks w zamyśleniu wypuszcza długą smugę dymu. – Angole powiedzieliby pewnie, że wystrychnął cię na dudka.

Nisha jest tak zaskoczona, że parska śmiechem.

– Jaja sobie ze mnie robisz? Wystrychnął na dudka? Co to w ogóle znaczy?

Aleks również się śmieje.

– Nie mam pojęcia. Oni tutaj mają dziwne powiedzonka. Jeden z gości powiedział mi w zeszłym tygodniu, że gram mu na nerwach. Nigdy na niczym mu nie grałem. – Jego porozumiewawczy uśmiech świadczy o tym, że nie mówi tego na serio.

Jeszcze raz wyciąga papierosy i tym razem Nisha przyjmuje jednego. Aleks go zapala, uważając przy tym, by jego poznaczone bliznami ręce, osłaniające płomień, nie dotknęły jej dłoni. Nisha zaciąga się z nihilistyczną przyjemnością pomieszaną z poczuciem winy, które zawsze towarzyszyły jej podczas palenia.

– I co teraz zrobisz?

Z Nishy jakby uszło powietrze. Zaciąga się raz jeszcze. A potem wzrusza ramionami i nagle zaczyna mówić, nie wiedząc nawet, skąd w niej ta potrzeba, by się wytłumaczyć.

– Nie mam pojęcia. Na razie mieszkam w ciasnym mieszkaniu Jasmine. Jej córka mnie nienawidzi, ponieważ nocuję w jej pokoju, który tak właściwie jest za mały nawet dla niej. Sprzątam toalety. Dosłownie szoruję kible szczotką. To urzeczywistnienie moich najgorszych koszmarów i nie mam pojęcia, jak się z tego wygrzebać.

– Ale nie rozmawiałaś z nim?

– Od tamtego czasu nie. Nie odbiera telefonów ode mnie.

Aleks kiwa głową ze zrozumieniem. Przez chwilę palą w milczeniu, aż wreszcie on się odzywa:

– Jeśli nie jesteś w stanie nic z tym zrobić, to może powinnaś spojrzeć na sytuację inaczej.

Nisha zerka na niego, marszcząc brwi. Aleks ma wzrok wbity przed siebie. W zaułku dwa gołębie biją się o kość kurczaka, próbują ją sobie wyrwać, aż upada gdzieś dalej, więc drepczą w tamtą stronę na wykrzywionych pazurach.

– Może powinnaś pomyśleć o wszystkich tych rzeczach ze swojego dawnego życia, których nie lubiłaś, i powiedzieć sobie: „Oto szansa, żeby zacząć od nowa. Totalna wolność. Nic mnie już nie więzi. Może to piękny sen, a nie koszmar”. Możliwe, że pewnego dnia będziesz szczęśliwsza, niż byłaś.

– Bez pieniędzy, domu i wszystkich moich rzeczy? To największy stek bzdur, jaki kiedykolwiek

słyszałam, optymizm ckliwy do porzygu. – Nisha oddycha gniewnie.

– Możliwe. Ale jeśli nie jesteś w stanie zmienić sytuacji, to nie masz wyjścia. Możesz jedynie zmienić sposób jej postrzegania.

– A tobie się podoba praca na osiemnastogodzinne zmiany, co? Dopóki nie padniesz ze zmęczenia? Lubisz, jak Michel się na ciebie wydziera, bo jakiś gość uzna, że bekon jest źle wysmażony? Lubisz wracać do domu autobusem tuż nad ranem tylko po to, by przyjechać tu znowu następnego dnia i harować na podwójną zmianę, bo komuś za mało zapłacili i spieprzył do innej roboty?

Aleks spogląda na nią, a w jego przymrużonych oczach błyskają iskierki rozbawienia.

– Tak, lubię. A poza tym mój bekon jest zawsze idealnie wysmażony.

Nisha parska drwiąco.

– Nie wciskaj mi kitu.

– Mogę uszczęśliwiać ludzi moim jedzeniem.

– Ci ludzie nie rozpoznaliby szczęścia, nawet gdyby ich walnęło prosto w twarz. Goście tego hotelu jedzą dla zdrowia albo dla statusu. Kobiety z każdym kęsem obliczają spożywane kalorie. Jedzenie jest dla nich jednocześnie przyjemnością i torturą. To coś, czym nigdy nie będą się prawdziwie rozkoszować. I dlatego połowę zostawiają na talerzach.

– Nie mówiłem o gościach. – Aleks uśmiecha się do niej i gasi papierosa.

Nisha wpatruje się w niego przez chwilę i pyta:

– Powinam dalej do niego wydzwaniać, prawda?

– To chyba jedyny sposób, żeby jakoś to rozwiązać.

– Pieprzyć to. Tak właśnie zrobię. – Zaczyna wystukiwać numer Carla.

– Nie – przerywa jej Aleks. – Zadzwoń z mojego telefonu. Lepiej, żeby nie wiedział, gdzie jesteś.

To rzeczywiście brzmi sensownie, więc Nisha bierze od niego telefon i ponownie wystukuje numer.

– Mam wyjść? – pyta Aleks.

Nisha odruchowo łapie go za rękaw.

– Nie, nie. Proszę, zostań. – Słyszy sygnał w telefonie i uświadamia sobie, że się trzęsie. A wtedy Carl odbiera. – No, nareszcie – rzuca Nisha, próbując powstrzymać drżenie w głosie.

– Nisha! Co u ciebie, kochanie? – W jego tonie jest tylko cień zaskoczenia. Zachowuje spokój, wszystko ma pod kontrolą. Jak gdyby właśnie wrócił z krótkiej podróży służbowej.

– Och, jest cudownie. Po prostu wspaniale... A jak myślisz, do jasnej cholery?! Odciałeś mnie od mojego życia, od wszystkiego.

– Lekko dramatyzujesz, moja droga.

– Dramatyzuję? Carl, co ty wyprawiasz? Co tu się dzieje, na litość boską?

– Och, skarbie... Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

– Nie „skarbuju” mi tu. Pozbawiłeś mnie, swoją żonę, domu, ubrań, wszystkiego. Zostawiłeś mnie bez grosza przy duszy. Mogłam nawet wylądować pod mostem.

– Gdzie jesteś? Wyślę po ciebie Ariego. Próbowałem się z tobą skontaktować.

Nisha nieruchomieje. Widzi, że Aleks ją obserwuje.

– Dzwonię... z telefonu znajomego. Po prostu prześlij mi pieniądze. Okej? Załatwię sobie prawnika i jakoś dojdziemy do zgody.

– Nie, nie, nie. Powinniśmy się spotkać.

– Okej. – Nisha bierze głęboki oddech. – Gdzie?

– Pomyślałem, że może w magazynie. Kupiłem nowy budynek. W Dover.

– Chcesz, żebym przyjechała do magazynu w Dover? – Aleks kręci głową. – Nie – odpowiada Nisha. –

W hotelu. Spotkajmy się w hotelu. Na dole, w lobby.

Ton Carla się zmienia, ale tylko nieznacznie.

– Jak sobie życzysz.

– Dzisiaj – dodaje Nisha.

– Poprzekładam spotkania i będę tam za godzinę.

– Doskonale.

Carl wydaje się lekko poirytowany. Nie przywykł, by Nisha dyktowała mu warunki.

– I nie chcę tam widzieć Ariego – dodaje Nisha. – Ani Charlotte. Ani prawników. Ani nikogo innego.



Tylko ty i ja.

Carl kończy rozmowę. Nisha spogląda na Aleksa i niemal kręci jej się w głowie.

– Dobrze się czujesz? – Aleks wpatruje się w nią uważnie.

– Muszę zapalić jeszcze jednego papierosa – mówi i zerka na swój uniform. – Nie, nie. Teraz to muszę zdobyć porządne ubranie.

Sciiany pralni przesłaniają sięgające od podłogi do sufitu wieszaki z ubraniami w plastikowych workach. Viktor i Jasmine przedzierają się przez tę ciasną, ciemną przestrzeń przesiąkniętą zapachem chemii, sprawdzając rozmiary ubrań i termin zwrotu do pokoju gościa, a Jasmine albo kręci głową, albo wyciąga w górę wieszak do aprobaty Nishy. Decydują się na czarny kostium od Sandro i jasną jedwabną bluzkę, które Viktor będzie w stanie wyczyścić ponownie, zanim w piątek trafią z powrotem do właścicieli. Gorzej jest z butami – najwyraźniej nikt już nie zostawia obuwia do czyszczenia – co oznacza, że Nisha będzie musiała pójść na spotkanie z Carlem w tych okropnych czółenkach, które nosi od dnia, gdy zaczął się cały ten koszmar. Masakra. Ale z drugiej strony, w porównaniu z całą resztą rzeczy, które dzieją się w jej życiu, stwierdza, że mogło być gorzej. Viktor prosi jednego z portierów, by je wyczyścił, a Nisha w tym czasie układa fryzurę w damskiej toalecie, Jasmine podkręca jej włosy lokówką zabraną na chwilę z jednego z lepszych pokoi, pożycza jej też maskarę i szminkę. Osoba, którą Nisha widzi w lustrze, po raz pierwszy od dwóch tygodni wydaje się wreszcie znajoma.

– Wyglądasz wystrzałowo – stwierdza Jasmine, która zaproponowała, że posprząta za nią jeden pokój, dzięki czemu Nisha zyska na czasie. – Gotowa?

– Gotowa – odpowiada Nisha. Ale w środku wcale nie jest tego taka pewna.

\*

Carl podnosi się, gdy zauważa Nishę idącą przez lobby. Dziwnie tak spojrzeć na niego z dystansu: Nisha nagle dostrzega, że Carl ma podwójny podbródek, że brzuch mu wystaje nad paskiem niczym ciasto chlebowe wylewające się z foremki. Wszystko w nim, począwszy od dobrze skrojonego garnituru, po trwałą opaleniznę, masywny zegarek i włoskie buty, świadczy o jego bajecznym bogactwie. Wygląda dla niej, co Nisha uświadamia sobie z zaskoczeniem, jak ktoś obcy. Jak można tak łatwo wymazać osiemnaście lat życia? Carl uśmiecha się ciepło, jak gdyby szczerze ucieszył się na jej widok, a ona jest tak zaskoczona, gdy chce ją pocałować w policzek, że mu na to pozwala. Pachnie wodą kolońską, której zapachu Nisha nie rozpoznaje, i czuje wtedy przelotny przyływ gniewu. Kto ci kupuje inną wodę kolońską, co?

– Dwie kawy – zwraca się Carl do kelnera, który wyrasta jak spod ziemi. – Dla mnie podwójne espresso, a dla pani americano. Ze śmietanką?

Nisha zaprzecza ruchem głowy.

Próbuje się nie trząść. W ciągu ostatnich dni wyobrażała sobie tę chwilę mnóstwo razy, widziała w myślach wszystko, od jego pokornych przeprosin po scenę, gdy sama rozwala mu głowę obryzganym krwią kilofem. I oto Carl jest tutaj, we własnej osobie, zachowując się przy tym dziwnie, jak gdyby nic się nie stało, a to była tylko kolejna wspólna kawa w czasie lunchu.

– Z daleka przyjechałaś?

– Nie – odpowiada.

Nisha siedzi nieruchomo, z podwiniętymi nogami i spojrzeniem wbitym w twarz Carla. Oto mężczyzna, z którym sypiała przez prawie dwadzieścia lat i zaspokajała każdą jego zachciankę czy potrzebę. Oto mężczyzna, którego głaskałam po głowie, gdy dopadały go migreny, któremu masowałam ramiona, gdy był zestresowany, którego wymiary znałam na pamięć, tak że mogłabym zamówić dla niego ubrania u każdego krawca na świecie. Oto mężczyzna, któremu urodziłam dziecko, którego uspokajałam w napadach furii, którego wrogów obserwowałam, by na nich donieść i ich osłabić, któremu ułatwiałam życie na każdym kroku i robiłam wszystko, co w ludzkiej mocy, by zapewnić mu wszelkie wygody.

Oto mężczyzna, który wymazał mnie ze swojego życia, jak gdybym nigdy nie istniała. Który pieprzył swoją asystentkę i okłamywał mnie przez cały ten czas. Ta sytuacja wydaje się tak surrealistyczna, że przez chwilę Nisha się zastanawia, czy to aby nie sen.

– Wszystko u ciebie dobrze? – zaczyna Carl, kiedy kelner przynosi napoje.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Nieźle wyglądasz.

Nisha miesza kawę.

– Carl, o co w tym wszystkim chodzi, do cholery? – pyta.

A on wybucha szczerym śmiechem i spogląda na nią ciepło, jak gdyby Nisha powiedziała coś bardzo zabawnego.

– Przepraszam, kochanie – odpowiada wreszcie. – Rzeczywiście... ostatnich parę tygodni załatwiłem niezbyt dyplomatycznie.

– Niezbyt dyplomatycznie? Serio?

– Prawnicy źle mi doradzili. Uświadomiłem sobie, że to nie jest dobry sposób. My tak nie załatwialiśmy spraw między nami.

Wyciąga rękę i kładzie na jej dłoni. Nisha przez chwilę pozwala na to, zaskoczona znajomym dotykiem, a potem gwałtownie cofa dłoń. Carl obserwuje ją, rozparty w fotelu.

– Jesteś urażona. I zła. Rozumiem to. I jestem tutaj, by... wszystko naprawić.

– Nie wróć do ciebie. – Nisha rzuca te słowa wyzywającym tonem.

– Wiem. Pewnie dotarliśmy do końca wspólnej drogi. Ale cóż to była za droga, prawda? – Uśmiecha się z rozrzewnieniem.

Nisha spogląda na niego, marszcząc brwi. Czy to aby na pewno Carl? A może Ari zatrudnił jakiegoś sobowtóra?

– To były dobre lata. Spędziliśmy ze sobą wiele wspaniałych chwil. Odwiedziliśmy cudowne miejsca. Mamy pięknego syna. Myślę, że nieźle nam szło. Chyba wciąż możemy być przyjaciółmi, prawda?

– Nie masz żadnych relacji ze swoim synem. Od półtora roku kontaktujesz się z nim jedynie za pośrednictwem swoich pracowników.

Carl przejeżdża ręką po głowie.

– Co mam na to odpowiedzieć, Nisha? Jestem istotą ludzką pełną wad. I pracuję nad tym. Mieliśmy kontakt przez tych ostatnich parę tygodni i...

– Powiedziałaś mu, co zrobiłeś?

– Nie, nie. Pomyślałem, że może lepiej będzie, gdy pewne rzeczy usłyszysz od matki. Zawsze lepiej sobie z nim radziłaś.

Nisha kręci głową. Oczywiście, że największe emocjonalne brzemię spadnie na nią.

Carl nachyla się nad stołem ze szczerym wyrazem twarzy.

– Posłuchaj, Nisha, przyszedłem tutaj, żeby cię przeprosić. Bardzo źle to wszystko rozegrałem. Nie okazałem należnego ci szacunku. Ale chciałem to naprawić. Chciałem myśleć potem, że zamknęliśmy ten rozdział naszego życia w pokoju i harmonii.

Nisha nie odzywa się ani słowem. Rozumie instynktownie, że teraz jej największą siłą jest milczenie.

– Chciałbym zawrzeć z tobą ugodę.

– Okej – odpowiada ona dopiero po chwili.

– Każę mojemu prawnikowi skontaktować się z twoim i doprowadzić do porozumienia, które będzie słuszne i sprawiedliwe.

– Nie mam prawnika, Carl. Dzięki tobie.

– To się zmieni. A wtedy nasi prawnicy porozmawiają i wypracują ugodę, która zapewni ci wygodne życie.

Nisha spogląda na niego zaskoczona. Czy stoi za tym Charlotte? Czy doradzono mu, by powiedział takie rzeczy? Ale Carl brzmi naprawdę szczerze. Nisha ukradkiem przepatruje lobby, ale nie widzi ani Ariego, ani Charlotte, ani nikogo innego przy żadnym innym stoliku. Kątem oka dostrzega sprzątającą niedaleko Jasmine, która zerka w jej stronę. Jasmine unosi brew, jak gdyby chciała zapytać: wszystko w porządku? A Nisha nieznacznie kiwa głową. Rozpiera się w fotelu i zakłada nogę na nogę.

– Więc pomyślałem, że powinniśmy... – kontynuuje Carl, ale nagle zmienia temat: – Co to za buty? – I gapi się na jej stopy.

– Ach. Te. To długa historia.

– Gdzie są twoje louboutiny?

– A co cię obchodzą moje louboutiny?

Nie wiesz, że jej wielgachne stopy nie zmieszczą się w te buty? – ma ochotę powiedzieć. Ale nie chce, by on wiedział, że ona wie.

Carl upija łyk kawy, nie spoglądając jej w oczy.

– Obchodzą mnie, bo miały być częścią ugody.

Nisha wpatruje się w niego w osłupieniu.

– Chcesz mi na koniec zedrzyć ze stóp te cholerne buty?

– Kupiłem je, Nisha. Z prawnego punktu widzenia... są moje. Tak jak i wszystko inne.

– Ale dałeś mi je. Więc prawnie są moje. Po co ci w ogóle moje buty? – No dalej, powiedz to. Chcesz je podarować swojej lasce, która ma stopy jak klaun.

– Były robione na zamówienie. Są warte kupę forsy.

– Zachowujesz się nedorzecznie, Carl. Masz gazylion rzeczy, które są warte więcej niż te szpilki.

– No to powiedzmy, że z powodów sentymentalnych.

– Jesteś równie sentymentalny co mur berliński. Nie wciskaj mi takiego kitu.

– Nie rzucaj mi kłód pod nogi, Nisha. – W jego głosie czai się ostrzeżenie. – Naprawdę jestem wobec ciebie bardzo hojny.

– Nie rzucam ci pod nogi żadnych kłód, Carl. A ty wcale nie jesteś hojny. Jeszcze. Równie dobrze możesz mi oferować kota w worku. Tak czy owak, nie mam tych butów.

– Co to znaczy, że ich nie masz?

– Były w mojej torbie. I ktoś je wziął.

– Wziął je? To znaczy ukradł?

– Nie wydaje mi się. Raczej pomylił torby. Tego dnia, gdy wręczyłeś mi papiery rozwodowe.

– Co? Kto? Dlaczego ich nie odzyskałaś?!

– Wiesz co, Carl? Patrząc na to z szerszej perspektywy, biorąc pod uwagę, że zostawiłeś mnie bez pieniędzy, bez ubrań i dachu nad głową, zagubione szpilki nie wydawały mi się wtedy największym problemem pod słońcem.

Carla zawsze cechowała dziwna zaborczość w kwestii rzeczy, które jej kupił, jak gdyby poniekąd wciąż należały do niego. Nisha pamięta torebkę od Gucciego, którą zostawiła w restauracji na początku ich małżeństwa. Carl nie odzywał się do niej potem przez cztery dni.

– To kiedy masz zamiar je odzyskać?

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale teraz najważniejszym dla mnie problemem jest to, jak przeżyć bez pieniędzy i bez dachu nad głową. Chciałeś mi pokazać, jaką masz władzę, brawo. Udało ci się. W jednej chwili pozbawiłeś mnie wszystkiego. Zrozumiałam przekaz: to ty rozdajesz karty. Wybacz, jeśli po drodze zgubiłam parę twoich rzeczy.

Carl wydaje się zszokowany. Może własnym zachowaniem?

– A jak myślałeś, co się ze mną stanie? – odzywa się Nisha po chwili.

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Myślałam, że zatrzymasz się u któregoś ze znajomych.

– Nie mam żadnych znajomych w tym kraju.

– Uznałem, że ktoś cię sprowadzi do domu. Po co miałabyś tkwić tutaj?

– Bo może nie mam paszportu? Został w penthousie razem z resztą moich rzeczy.

– Och – odpowiada Carl nieobecny tonem. – No tak.

Nisha czuje się trochę nieswojo. Jakby oboje grali w grę, która teraz, gdy się skończyła, wydaje się dziwna i bezsensowna, jak jakiś żart, który wymknął się spod kontroli.

– Posłuchaj – mówi. – Przyślesz mi pieniądze na prawnika, podpiszemy ugodę i możesz zatrzymać wszystkie moje buty, które tylko chcesz. Pozwól mi odzyskać swoje rzeczy i się rozstaniemy, okej? Bez awantur. Bez rozgłosu. Chcę tylko dostać to, co mi się należy.

Ale twarz Carla nagle zamienia się w kamienną maskę.

– Nie dostaniesz niczego bez tych butów – odpowiada. – Ani dolara.

– Co takiego?

– Nie masz prawa gubić moich rzeczy, jasne? Nie masz prawa gubić rzeczy, za które zapłaciłem! Jak gdyby były... nic niewarte!

– O czym ty mówisz? Skradziono je! Jak niby miałabym...

Kiedy Carl jej przerywa, jego spojrzenie jest zimne, a szczęka mocno zaciśnięta.

– Oddaj mi te buty, a wtedy porozmawiamy.

– Carl? Co jest, do cho... – Gdy Carl wstaje, Nisha krzyczy za nim: – A co z moimi pieniędzmi? Co

z prawnikiem? Carl! Muszę odzyskać ubrania, całą resztę moich rzeczy... Carl!

Ale on już zdążył się odwrócić. Ari wyrasta jak spod ziemi i Nisha widzi tylko plecy ich obu, gdy oddalają się, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

Sam siedzi w poczekalni i z za egzemplarza „Woman’s Weekly” sprzed trzech lat obserwuje, jak pielęgniarka po raz piętnasty próbuje wytłumaczyć mężczyźnie na wózku inwalidzkim, że jego rodzina, w tym cztery kłójące się kobiety i stadko rozwrzeszczanych dzieci, nie może wejść z nim na zabieg. Nienawidzi tego miejsca. Nie cierpi zdezynfekowanych poczekalni, nasączonych mieszanką strachu i rezygnacji. Nienawidzi przyciszonych rozmów, tego, jak czas się tu dłuży. A najbardziej nienawidzi faktu, że w ogóle musi tu być. Żeby jakoś się rozerwać, rozegrała na telefonie trzy partyjki scrabble’a z nieznaną kobietą z Ohio, dwa razy próbowała się dodzwonić na siłownię, żeby oddać torbę – nikt nie odbiera – i odpowiedziała na czternaście maili z pracy, z czego osiem było od Simona.

– Bardzo mi przykro, ale takie są zasady. Wielu naszych pacjentów ma obniżoną odporność i nie możemy ryzykować u nich infekcji.

Sam spogląda na zasmarkane nosy dzieci i myśli, że to chodzące rozsiewalnie zarazków.

Ale starsza z kobiet, która ma włosy zebrane w kucyk, nie dopuszcza takiej opcji.

– Mój tata nie chce tam iść sam. Chce być ze swoją rodziną.

– Chcę być ze swoją rodziną – powtarza staruszek.

– Rozumiem to. Ale zabieg nie potrwa długo.

– Chce mieć przy sobie rodzinę. Powinna pani uszanować jego wolę.

Jedno z dzieci zaczyna energicznie kołysać dystrybutorem wody stojącym za plecami Sam. Kiedy sytuacja zaczyna się robić niebezpieczna, bo dystrybutor może się przewrócić, Sam wyciąga rękę, aby go podtrzymać. Dzieciak przestaje i gapi się na nią pustym wzrokiem. Jedna z kobiet spogląda na Sam z niechęcią, jak gdyby było aktem podłości z jej strony, że nie pozwoliła małemu dokończyć dzieła.

Tymczasem w głosie pielęgniarki słychać już znużenie.

– Proszę pani, to nie ja o tym decyduję. Szpital musi chronić wszystkich pacjentów, a przepisy mówią, że nikt, ani znajomi, ani członkowie rodziny, nie może przebywać z pacjentem w pokoju zabiegowym. Możecie państwo poczekać w stołówce, a my damy znać, kiedy będzie po wszystkim.

– On nie wejdzie do środka sam.

– Nie wejdę do środka sam. – Staruszek zakłada ręce na piersi.

– Wobec tego nie możemy panu zaaplikować leku.

– Ale on go potrzebuje! Lekarz tak powiedział!

– Wyjaśniłam pani, jakie są przepisy.

– Nie. To dyskryminacja z pani strony. Powinna pani szanować wolę pacjentów, a pani ma gdzieś, czego on chce. On nie jest warzywem, niech sobie pani nie myśli.

– Nie jestem warzywem – potwierdza staruszek.

Sam spogląda na zegarek. Siedzi tu już od godziny i czterdziestu minut i w tym czasie pielęgniarki miały do czynienia z trzema przypadkami, kiedy ktoś się nie zgłosił na zabieg, z histerycznym nastolatkiem oraz ogromną liczbą pacjentów, którzy odbierają niezgodność przepisów przychodni z ich wymaganiami jak osobistą zniewagę. Na chwilę nawiązuje kontakt wzrokowy z pielęgniarką i próbuje się uśmiechnąć, ale jej uśmiech blaknie, kiedy kobieta w kucyku piorunuje ją wzrokiem.

– Na co się pani tak gapi? – odzywa się do Sam jadowitym tonem.

– Na nic – odpowiada Sam, rumieniąc się.

– Lepiej pilnuj swojego nosa!

– No właśnie – dodaje druga, która może być siostrą tamtej. Staje kilka kroków od Sam z uniesionymi ramionami i wysuniętym podbródkiem. – Nie wtrącaj się.

Sam próbuje wymyślić jakąś ripostę, ale nic nie przychodzi jej do głowy, więc tylko podnosi gazetę i próbuje ukryć rumieniec zakłopotania, który wystąpił jej na policzki. W tym samym momencie chłopiec wreszcie przewraca dystrybutor, z którego tryska woda, ochlapując jej stopy. Zostaje wezwana ochrona, rozlegają się krzyki, ktoś zaczyna wycierać podłogę, ktoś inny wybucha płaczem, aż wreszcie staruszek na wózku, wraz ze swoją wciąż złorzeczącą rodziną, zostaje wywieziony na korytarz. Właśnie wtedy pojawia się Andrea. Jest blada jak ściana, ma zaciśnięte usta. Sam podnosi się i przybiera dzielną minę.

– Jak poszło USG? – pyta przyjaciółkę.

- Zarąbiście. Nie mogę się doczekać powtórki – odpowiada Andrea.
- Pragnę ci jeszcze raz podziękować, że zabierasz mnie ze sobą do tych wszystkich modnych miejsc.
- Tylko nie rozpowiadaj o tym na prawo i lewo, bo zaraz się tu wszyscy zlecą.

Andrea wkłada jej rękę pod ramię i powoli ruszają w stronę parkingu.

W samochodzie Andrea się nie odzywa. Sam ma już za sobą wystarczająco dużo podobnych wypraw – i wystarczająco długi staż tej przyjaźni – by wiedzieć, kiedy zostawić ją w spokoju, a kiedy próbować podnieść ją na duchu. Jednak w połowie drogi ze szpitala spogląda na białe knykcie Andrei i sięga na tylne siedzenie po koc. Gdy zatrzymują się na światłach, kładzie go delikatnie na kolanach przyjaciółki. Żadna z nich nie mówi ani słowa, ale kilka minut później Andrea wyciąga rękę i ściska dłoń Sam. Puszczą ją, dopiero gdy trzeba włączyć kierunkowskaz, i Sam czuje, jak jej oczy zachodzą łzami – sama nie wie, czy było to podziękowanie czy próba dodania sobie otuchy.

- Wszystko będzie dobrze – zwraca się do Andrei. – Tym razem mam dobre przeczucie.

Po odwiezieniu jej do domu Sam wręcza jej siedemset czterdzieści funtów na miesięczną ratę kredytu. Andrea nic nie mówi, tylko wpatruje się w czek, a potem zakrywa usta dłonią i kręci głową z niedowierzaniem. Ostrożnie kładzie czek na kredensie i mocno ściska przyjaciółkę.

Obie wiedzą, że Andrea nie ma pieniędzy, że bank od tygodni odwleka zgodę na wakacje kredytowe, że zasiłek nie pokrywa skromnych wydatków Andrei. A tylko jedna z nich wie, że to niemal wszystkie oszczędności Sam.

Kiedy odjeżdża, powtarza sobie: „nie miałam wyjścia”, próbując jednocześnie stłumić strach narastający jej w piersi. Ona dla mnie zrobiłaby to samo.

Następnego ranka Sam jest w trakcie rozmowy z budowlancami o tym, że Phil wciąż nie przeparkował kampera, kiedy podchodzi do niej Simon. Czuje, że ktoś ją obserwuje, odwraca się i oto widzi swojego szefa stojącego kilka kroków od niej z poważną miną, stukającego palcem w zegarek.

– A czy pan nie mógłby go przeparkować? – szepcze do telefonu. – Jeśli mąż nie otwiera drzwi, to pewnie wyszedł. Kluczyki do stacyjki są w nadkolu. Samochód nie jest zamknięty. Tak, wiem, że w jednej oponie jest kapeć. Ale musi go pan tylko cofnąć na ulicę...

Simon obchodzi jej biurko, krokiem powolnym i opanowanym, po czym staje na wprost niej. Sam podnosi wzrok, zakrywając jedną ręką mikrofon.

– Bardzo przepraszam. Jestem w pracy. Nic teraz nie zdołałam... Błagam, niech pan tego nie robi... Proszę posłuchać, postaram się z nim skontaktować, żeby przeparkował samochód. Niech pan nie odjeżdża. Jestem pewna, że mój mąż da radę... halo? Halo?!

Simon przywołuje ją do swojego gabinetu i zamyka za nią drzwi. Pomieszczenie jest szklane, więc każdy może zobaczyć, gdy ktoś dostaje ochrzan. Sam rozgląda się i widzi, że sponad biurek kilka osób zerka niepewnie w jej stronę. Oni wiedzą. Oni wszyscy wiedzą.

Simon siada i wzdycha ciężko, jak gdyby ta rozmowa była dla niego niezmiernie trudna. Nie proponuje jej, by usiadła.

– Sam, obawiam się, że doszliśmy do punktu, w którym nie mogę już dłużej przymykać oczu na twoją indolencję w sprawach zawodowych.

– Słucham?

– Problem w tym, że nie nadajesz się do pracy w zespole.

– Co takiego? Jak...

– Dawałem ci mnóstwo szans. Ale za niczym nie nadążasz. I nie mogę ci ufać.

– To nieprawda. Jestem równie dobra jak pozostali.

– Jakoś nie dostaję skarg na temat innych. – Simon siada, nie patrząc jej w oczy, i zaczyna się bawić metalowym długopisem.

Sam dostrzega, że z boku wygrawerowane są jego inicjały. Kto, do cholery, graweruje w ten sposób długopisy?

– A do tego potrzeba nam tu ludzi pełnych energii. Dynamicznych. A ty roztaczasz taką depresyjną aurę. Musisz działać ostrzej.

– Simon... właśnie doprowadziłam do podpisania kontraktów o wartości dwustu dziesięciu tysięcy funtów.

– Nie ty, tylko twój zespół. A przy okazji doszło do utraty ważnego klienta.

– W trakcie rozmów z nami powiedział, że zamierza spróbować z kimś innym. Nie mieliśmy żadnego pola manewru...

– Nie interesują mnie wymówki, Sam. Interesują mnie wyniki.

Sam z zawstydzieniem czuje, że łzy napływają jej do oczu na myśl, jakie to niesprawiedliwe. Czuje się jak wtedy, gdy miała dziesięć lat i nauczyciel oskarżył ją o nabazgranie graffiti na drzwiach od toalety. A ona nawet nie wiedziała, jak się pisze „gówno”.

– Simon, pracuję tu od dwunastu lat. Nikt nigdy nie skarżył się na moją pracę, zanim ty się tu pojawiłeś. Nigdy.

Simon na chwilę przybiera smutną minę, a potem kręci głową.

– Może w Uberprincie mamy po prostu wyższe standardy. Próbuję ci pomóc, Sam. Próbuję dać ci do zrozumienia, że musisz się poprawić.

– A jeśli mi się nie uda?

– Musisz mieć świadomość, że firma próbuje szukać usprawnień, być może konieczne będą pewne cięcia. A wtedy, rzecz jasna, będzie nam zależało na zatrzymaniu najbardziej efektywnych pracowników.

Następuje przytłaczająca cisza. Sam wpatruje się w Simona.

– Chcesz mi powiedzieć, że mogę stracić pracę?

Simon się uśmiecha. Ale w tym uśmiechu nie ma cienia sympatii.

– Nazwałbym to raczej zachętą, byś się ogarnęła. Zmotywowaniem do poprawy. A jeśli naprawdę nie będziesz w stanie, Sam, to wtedy ... – Przebiega ręką po swoich nażełowanych włosach. – Pewnie dla nas obojga lepiej byłoby, gdybyś poszukała sobie innej pracy.

Jest coś takiego w ciszy witającej człowieka po wyjściu z gabinetu szefa, co mówi, że wszyscy wiedzą, że jest się do odstrzału. Chwilowy bezruch, a następnie szmer ożywienia, jak gdyby każdy nagle przypomniał sobie, co miał robić. Sam mija ludzi siedzących do niej tyłem, wchodzi do swojego boksu i siada na krześle, wyprostowana, ze świadomością, że skupia uwagę ponad trzydziestu ludzi, choć wszyscy udają, że na nią nie patrzą.

Sam wpatruje się w ekran niewidzącym wzrokiem, mając w głowie zupełny chaos, i klika myszką bez celu. Co się stanie, gdy Simon ją zwolni? Widać, że próbuje z niej zrobić bezwartościowego pracownika, żeby nie musieć jej płacić odprawy. Stracą dom. Stracą wszystko. Sam podnosi głowę i widzi, że Simon zaprasza Franklina do swojego gabinetu. Siadają naprzeciwko siebie, Simon kładzie nogi na biurku i zaczynają się z czegoś śmiać. Nie trzeba być Johnem le Carré, by odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi.

Sam słyszy powiadomienie o nadejściu nowego maila i spogląda na ekran.

Joel: Wszystko w porządku?

Sam: Nie bardzo.

Joel: Może wyskoczmy razem na lunch na jakąś kanapkę?

Sam: Chyba się nie odważę. Dla niego to może być kolejny powód do zwolnienia.

Joel: To może chociaż na szybkiego drinka po pracy?

Sam myśli o kamperze, którego pewnie będzie musiała sama przestawić.

Sam: Raczej nie dam rady.

Sam: Ale dzięki.

Sam: I przepraszam.

Joel: Jeśli zmienisz zdanie, daj znać. Głowa do góry i cycki do przodu, jak mawia Ted.

Joel: Choć chyba nie powinien.

Sam (której oczy znowu zachodzą łzami): Dzięki x

Joel: Zawsze do usług x

Sam nie jest pewna, jak przetrwa resztę dnia. Kiedy sprawdza, czy zamówienia idą zgodnie z planem, słyszy samą siebie jakby z oddali. Gdy dzwoni do klientów, jest świadoma, że głos ma dziwnie zduszony. Ścisk w gardle nawet na chwilę nie odpuszcza. Nie spogląda w stronę gabinetu Simona. Kiedy czuje na sobie czyjś wzrok, próbuje przybrać obojętną minę.

Kończy pracę o wpół do siódmej. Żeby ominąć gabinet Simona, wychodzi przez dział transportu. Joel, sprawdzający akurat tachografy z całego tygodnia z jednym z kierowców, podnosi wzrok, a Sam próbuje się do niego uśmiechnąć, choć podejrzewa, że oczy i tak ma smutne. Gdy wychodzi z biura, okazuje się, że pada deszcz. Jakżeby inaczej. Wchodzi do auta i w końcu pozwala sobie na długie, ciężkie westchnienie. A kiedy

wreszcie samochód rusza, łyzy zaczynają jej płynąć po policzkach i Sam pozostaje tylko mieć nadzieję, że nikt jej nie widzi przez zalaną deszczem przednią szybę. Droga do domu zajmuje jej dwadzieścia minut. Nie wysiadając z auta, wpatruje się w kamper, którego Phil nie przestawił, więc ekipa budowlana musiała zacząć prace wokół niego. Światło w salonie jest włączone, widać też migoczący ekran telewizora. Sam wie, że będzie musiała powiedzieć Philowi, co się stało, ale nie ma pojęcia, czy poradzi sobie z jego niepokojem, skoro ledwo sobie radzi z własnym. Siedzi w samochodzie, nawet nie słyszy, jak radio mruczy w tle. Powoli kładzie głowę na kierownicy i pozostaje w tej pozycji przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, jak powinna oddychać.

Nagle brzęczy jej telefon.

Joel: Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Gdybyś zmieniła zdanie, to będę tu jeszcze przez jakiś czas uzupełniał płyny x

Sam obserwuje pulsujące trzy kropki, a potem na ekranie pojawiają się słowa:

Joel: Każdy czasem potrzebuje się wygadać.

Wtedy kładzie palce na klawiaturze i po chwili zaczyna pisać:

Sam: To miło z twojej strony. Ale nic mi nie jest. Dziękuję x

Przez chwilę siedzi jeszcze nieruchomo. A potem bierze torbę z siedzenia obok, z ciężkim westchnieniem wychodzi z samochodu i kieruje się w stronę domu.

W środku jest ciepło. Zbyt ciepło, biorąc pod uwagę, jak wysokie rachunki płacą za ogrzewanie. Dawniej Phil chodził po domu i przykręcał termostaty, ale teraz się tym nie przejmuje. Sam, mijając salon, widzi, że jej mąż leży na sofie i gapi się w telewizor. Na chwilę staje w drzwiach, ale on najwyraźniej jej nie zauważył.

Wchodzi do kuchni, zdejmuje płaszcz i rzuca go na oparcie krzesła. Phil nie pozmywał po sobie. Brudny talerz po obiedzie leży w zlewku, tak jak i patelnia z resztkami spaghetti. Sam wpatruje się w zaschnięte plamy z sosu pomidorowego na obrusie i kubek po herbacie. Widzi też liścik napisany jego pismem: „Dzwoniła twoja mama, żebyś przyszła posprzątać w czwartek”.

Sam stoi pośrodku kuchni z kartką w ręce.

Nie, myśli nagle. Nie. Nie dam rady. To już ponad moje siły.

Odwraca się i rusza z powrotem wąskim korytarzem, licząc w duchu, że Phil się do niej odezwie. Ale on dalej gapi się w telewizor, pochłonięty tym bez reszty. Sam wbiega zwinnie po schodach i niemal jak w transie wkłada niebieskie spodnie, które kupiła na drugie wesele kuzynki Sandry, zmienia sweter, a spod łóżka wyciąga buty od Louboutina. Zapina je, prostuje się i momentalnie czuje się wyższa, silniejsza. Przy lusterku robi lekki makijaż, maluje wargi ciemnoróżową szminką, a rzęsy odrobiną maskary, wydyma usta i unosi podbródek. Spryskuje włosy przy skórce suchym szamponem, by lekko je podnieść, a po chwili wahania decyduje się też na perfumy. Potem schodzi po schodach, wkłada płaszcz, łapie torbę i pisze w telefonie:

Jeśli z Twojej strony nic się nie zmieniło, widzimy się w Coach and Horses za dwadzieścia minut.

I zaraz dodaje: x.

Kiedy Sam wchodzi do pubu, Joel już tam jest. Stoi przy barze, plecami do niej, i rozmawia z barmanem. Joel zna chyba każdego. Właściwie w każdej firmie, w której się pojawiają, wita się z kimś serdecznie. Gdy Sam otwiera drzwi, Joel odwraca się na pięcie, jak gdyby jakiś wewnętrzny kompas poinformował go o jej przybyciu.

– Białe wino? – pyta ją z uśmiechem.

– Tak, dzięki.

Sam siada przy stoliku w kącie i nagle czuje się nieswojo, że włożyła eleganckie ciuchy do tego obskurnego pubu. I po co jej były te louboutiny? Za bardzo się wyróżniają na tyle zdartych buciorów i adidasów pozostałych klientów. Chowa stopy pod stołem, żeby mniej się rzucać w oczy. Joel podchodzi z kieliszkiem w każdej dłoni i ostrożnie kładzie szkło na stole.

– Ładnie wyglądasz. Wybierasz się gdzieś?

– Yyy... nie. Potrzebowałam tylko czegoś na poprawę humoru – odpowiada Sam i upija spory łyk wina. – Wiem, to trochę głupie.

– Wcale nie. Dobrze zrobiłaś. – Joel się uśmiecha. – Wytoczyłaś ciężkie działa.

Sam spogląda na buty i śmieje się smutno.

– Te szpilki w jakiś sposób sprawiają, że czuję się lepszą wersją siebie. Nosiłabym je na co dzień,



gdybym mogła – mówi, dalej wpatrując się w swoje stopy.

– Chodzi o Simona? – zagaja Joel. – Ten facet...

– Nie, nie tylko o niego. Ale o wszystko. – Sam nagle dopada zawstydenie. – O Boże. Już narzekam. Pewnie zaczniesz żałować, że przyszedłeś.

– Narzekaj, ile chcesz. Po to tu jestem.

No właśnie, po co tu jesteś? – pyta go Sam w milczeniu. A potem postanawia wziąć się w garść.

– Chyba wolę się po prostu napić – odpowiada i stukają się kieliszkami.

Pierwszy raz od wieków Sam czuje się widziana i słyszana. Rozmawiają z ożywieniem, przerywając tylko po to, by znowu skoczyć do baru. Joel opowiada jej o swoim ostatnim rozstaniu i o niemożliwych do spełnienia wymaganiach stawianych mu przez byłą dziewczynę.

– Po prostu czułem, jakby każda intymna sytuacja okazywała się na końcu pułapką... wiesz, o czym mówię?

Sam kiwa głową, chociaż nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Nienawidzi tej kobiety, mimo że nigdy jej nie poznała, a jednocześnie jej współczuje. Bo mieć takiego cudownego faceta jak Joel i go stracić...?

– Tak w ogóle to była miła kobieta. Ale po każdym naszym spotkaniu czułem się taki przeorany... Wydawało mi się, że szukała najgorszej możliwej interpretacji każdego mojego zachowania. Zadawała mi tyle pytań o przyczyny rozstania z moją byłą żoną, że pod koniec miałem wrażenie, jakby celowo doszukiwała się braków w moim charakterze.

– Znam to uczucie – odpowiada, a do głowy przychodzi jej myśl: ja bym ci tego nie zrobiła. Jednak momentalnie ją od siebie odsuwa.

– Rzecz w tym, że byłem z nią szczery. Nie lubię wciskać ludziom kitu. Ale to po prostu strasznie męczące, kiedy człowiek czuje, że nie jest doceniany za to, jaki jest, wiesz? – Kręci głową, a potem się uśmiecha. – No jasne, że wiesz. Masz to przecież na co dzień. Nie wiem, jak to możliwe, że Simon nie dostrzega, jaka jesteś wspaniała.

Żeby tylko Simon – przychodzi jej do głowy. I czuje ścisk w gardle.

Joel jest taki miły, taki szczery i dyskretny. Sam nie może oderwać oczu od jego ust, tak że czasami ledwo słyszy, co on mówi, a po trzeciej kolejce Joel zmienia miejsce i siada na ławce obok niej. Sam czuje teraz ciepło jego ramienia przy swojej ręce i obserwuje jego silne, ciemne dłonie. Rozmawiają o swoich rodzinach i Joel śmieje się niemal do łez, kiedy Sam opowiada mu historię o tacie i niebieskich tabletkach.

– Mój tata ich nie potrzebuje – wyznaje Joel. – Codziennie po południu, punkt druga trzydzieści, stuka w zegarek i mówi do mamy: „czas na drzemkę”. Nawet nie przejmuje się tym, że jesteśmy w pobliżu i oglądamy telewizję. – I zaczyna chichotać.

– Chyba żartujesz. – W głosie Sam słychać niedowierzanie.

– Nie. Kiedy z siostrą byliśmy mali, umieraliśmy wtedy ze wstydu. A teraz myślę sobie: „Chłopie, jeśli wszystko u ciebie dalej funkcjonuje jak trzeba, to tylko pozazdrościć”. Fajna sprawa, co nie? Pomyśleć, że można wciąż kogoś tak pragnąć po siedemdziesiątce. – Joel zerka na nią ukradkiem, a Sam czuje, jak jej policzki oblewają się rumieńcem.

Gdy ich rozmowa schodzi na temat pracy, a Sam wspomina imię Simona, w oczach Joela błyskają gniewne iskry, a ręce zaciskają się w pięści, jak gdyby siłą powstrzymywał się od tego, by nie wrócić do biura i nie walnąć szefa w twarz, i na tę myśl Sam robi się ciepło na duszy. Oboje uważają, że Simon jest koszmarny i że w biurze nie jest już tak samo, od kiedy on się tam pojawił. Sam wspomina o długopisie z wygrawerowanymi inicjałami i czuje dziką satysfakcję, kiedy Joel wybucha śmiechem.

– Koles ma grawerowany długopis?!

Joel zachęca ją, by się postawiła Simonowi, a Sam, której te trzy kieliszki już uderzyły do głowy, mówi z entuzjazmem: „Tak, tak!”, jak gdyby rzeczywiście czuła w sobie energię do tego, zamiast chodzić ze zwieszoną głową i ciągle przepraszać, że żyje.

– A co na to wszystko Phil? – pyta wreszcie Joel. Wymawiając imię jej męża, patrzy przed siebie i upija łyk wina.

– Tak naprawdę nie rozmawiamy o tym. Sprawy między nami są nieco... skomplikowane. – Już teraz czuje się lekko nielojalna wobec niego, ale nie jest w stanie powstrzymać dalszych słów. – Jesteśmy kompletnie splukani. Moja córka jest właściwie jedyną osobą w domu, która się do mnie odzywa. Phil nic nie mówi, bo ma depresję, ale nie ma zamiaru nic z tym zrobić. Nie chce iść do lekarza. Nie chce sięgnąć po

pomoc. Nie chce brać żadnych leków. A ja czuję, jakbym mieszkała z duchem. Nawet nie jestem pewna, czy w ogóle dostrzega moją obecność. Zwykle rozmawiałam o takich sprawach z Andreą, moją najlepszą przyjaciółką, ale ona ma raka i nie chce jej obarczać jeszcze tym. Na ogół jakoś daję radę, ale dzisiaj, przy groźbie utraty pracy i całej reszcie, po prostu poczułam... że to mnie przerasta. – Głos Sam nagle staje się gęsty od płaczu, ale ona zaciska powieki, próbując powstrzymać łzy.

Ma zamknięte oczy, kiedy Joel otacza ją ramieniem i przyciąga do siebie. Pachnie przyjemnym anyżkowym płynem po goleniu, zupełnie jej nieznanym, oraz ciepłą, czystą skórą. Żaden inny mężczyzna oprócz Phila nigdy nie obejmował jej w ten sposób, w każdym razie nie od czasu, kiedy się poznali. Sam na początku sztywnieje, ale potem stwierdza, że to cudowne i krzepiące uczucie móc się na kimsz oprzeć, więc powoli odpuszcza i kładzie skroń na jego ramieniu. A w jej głowie pojawia się myśl: czy mogę już tak zostać na zawsze?

– Możesz mi się wyzalić – szepcze jej Joel do ucha łagodnym głosem.

– Przepraszam – mówi Sam, ocierając oczy. – Czy to nie głupie? Powinnam się ogarnąć.

– Nie. To nie takie proste. Jesteś moją przyjaciółką. Przykro mi, gdy cię widzę w takim stanie.

Sam odwraca twarz w jego stronę. Usta Joela są tak blisko. Jego oczy są łagodne, nieprzeniknione. W jej głowie kołacze pytanie: czy rzeczywiście jesteśmy przyjaciółmi? Od intensywnego spojrzenia Joela coś w niej mięknie, a chwila ta zdaje się trwać w nieskończoność. Nagle Sam się prostuje.

– Mogę skoczyć po następną kolejkę?

Gdy wraca, Joel siedzi rozparty na swoim krześle. Sam czuje się dziwnie, jak gdyby przed chwilą za bardzo się odsłoniła. Ale Joel wita ją uśmiechem.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl – odzywa się.

– Mów.

– Wiesz, czego ci trzeba?

Sam nie odpowiada, tylko upija łyk wina. Dociera do niej, że naprawdę jest pijana.

– Boks – mówi Joel.

– Że co?

– Potrzeba ci boksu. Chodzi o energię, Sam. O wyrobienie siły mentalnej i fizycznej. Musisz mieć bardziej asertywną postawę, by sobie poradzić z tym idiotą. Musisz sprawiać wrażenie, że lepiej z tobą nie zadzierać. Teraz chodzisz ze spuszczoną głową. Jak gdyby zupełnie cię pokonał. Musisz odzyskać wewnętrzną moc. Czy umiesz zadawać ciosy?

Sam wybucha śmiechem.

– Nie mam pojęcia. Pewnie nie.

– Wobec tego widzimy się jutro wieczorem. W klubie bokserskim. Nie patrz na mnie w ten sposób, wiele kobiet tam ćwiczy. Uwielbiają to. Możesz sobie wyobrazić, że worek treningowy to twarz Simona. Uwierz mi, kiedy mam zły dzień w pracy, idę tam, zakładam rękawice i bach, bach, bach, bach. – Symuluje szybkie ciosy pięściami. – Po godzinie czuję się cudownie.

Ale to by oznaczało, że będę paradować przed tobą w ciasnych sportowych ubraniach, myśli Sam. Do tego cała spocona i bez makijażu. I będziesz widział mnie w czymś, w czym jestem beznadziejna. Przypomina jej się nagle tamta okropna siłownia, jak przez tamte bogate mamuśki czuła się gruba i niewidzialna.

– Nie wydaje mi się...

Joel ściska jej rękę. Jego dotyk jest mocny i ciepły.

– No, chodź. Spodoba ci się. Obiecuję. – W jego uśmiechu jest coś takiego, co nie pozwala jej powiedzieć „nie”. – Ufasz mi? – pyta ją jeszcze.

Sam wpatruje się w niego, ale słowa długo nie chcą wyjść z jej ust.

– Niech będzie – odpowiada, kiedy wreszcie jest w stanie się odezwać.

Joel opiera się o krzesło i upija łyk.

– No to jesteśmy umówieni. Spotykamy się o siódmej. Wyślę ci wiadomość, gdzie i jak.

Przez następne dwa dni Nisha ciągle myśli o swoich szpilkach. Zastanawia się, czy zwrócono je do zamkniętej siłowni. I czy tamta kobieta zabrała je celowo. Zastanawia się, czy może zgłosić to zdarzenie na policję jako kradzież, skoro sama ma na sobie kosztowne czarne czółenka należące do tamtej osoby. Kiedy nie myśli o butach, przywołuje w pamięci dziwne zachowanie Carla i zastanawia się, czy to jedna z tych rzeczy, które człowiek widzi wyraźnie dopiero z perspektywy czasu. Zawsze miał konkretne wymagania dotyczące jej ubioru i komentował go, twierdząc, że jej ciuchy są albo „zbyt matronowate”, albo „zbyt zdirowate”, a czasami, że „wygląda w nich grubo”. Nie lubił jej w butach na płaskim obcasie, bo jego zdaniem miała w nich „słoniowate nogi”. Nisha myślała, że po prostu zależało mu na jej prezencji. Ale może było coś w samych ciuchach, co sprawiało, że tak bardzo chciał je mieć? Może miał jakiś dziwny fetysz? W tych czasach wszystko jest możliwe. A może po prostu pragnął dać jej Charlotte? Czy traktował je jako pewnego rodzaju symbol? Wspomina z niepokojem, jak nalegał, by założyła te buty w dniu, kiedy jej je podarował, jak był niezdrowo podniecony ich widokiem. Na tę myśl robi jej się słabo, więc Nisha ją od siebie odsuwa.

Jasmine ma dziś w hotelu drugą zmianę, więc Nisha przez większość czasu pracuje sama i odczuwa z tego powodu ulgę, bo w mieszkaniu panuje coraz bardziej napięta atmosfera. Bywają dni, kiedy przestrzeń wydaje się kurczyć, tak że ich trójka cały czas wchodzi sobie w drogę, kłóci się o czas spędzony w łazience albo obija się o siebie w kuchni, próbując dostać się do lodówki lub do czajnika. Jasmine wzięła dodatkowe prasowanie i przez jeszcze większe stopy prania leżące w wielkich plastikowych torbach w korytarzu zrobiło się jeszcze ciasniej. Jej zazwyczaj dobry humor powoli siada pod wpływem presji i zmęczenia. Grace z kolei cały czas chodzi wściekła na Nishę za to, że ta zabiera jej miejsce w pokoju. Ona to rozumie, ale to ciągle przewracanie oczami i ciężkie westchnienia dziewczyny już zbytnio jej doskwierają, by mogła znieść je z pogodą ducha. Przynajmniej kiedy z Jasmine pracują na innych zmianach, przez spory kawał dnia Nisha może być sobą, nie musi nakładać na twarz pogodnej, uprzejmej maski, która nie współgra z jej nastrojem. A rzadko ma teraz ochotę na uśmiech.

Co się stało z tymi cholernymi szpilkami? Ta myśl nie daje jej spokoju. Musi je znaleźć: im szybciej je odzyska, tym szybciej dostanie pieniądze od Carla, opuści to ciasne mieszkanie i wróci do dawnego życia. Do tego Ray chyba wyczuł, że coś jest nie tak. Podczas wczorajszej rozmowy był bardzo mało mówny, aż w końcu powiedział, że miał nadzieję, że do tego czasu już wrócą. Nisha musiała wymyślić jakąś nonsensowną wymówkę, że wyszły niespodziewane problemy, którymi Carl musiał się pilnie zająć, i choć brzmiała przekonująco, to wie, że Ray jest zbyt bystry, by można mu było wciskać kit przez dłuższy czas.

– Po prostu chciałbym cię już zobaczyć, mam – powiedział na koniec rozmowy, a Nisha poczuła ogromny ścisk w gardle.

– Wiem, kochanie. Ja ciebie też. To już nie potrwa długo. Obiecuję.

W czasie przerwy na lunch wychodzi do zaułka, w którym znajdują się kontenery ze śmieciami, i stojąc przy oknie, gdzie jeszcze łapie hotelowe wi-fi, zapala papierosa i dzwoni do Magdy.

– Pani Cantor! Tak się o panią martwiłam! Nie odpowiedziała pani na żadną z moich wiadomości. Wszystko w porządku? – W tle Nisha słyszy zgrzyt kluczy pneumatycznych przy zdejmowaniu kół.

– Wybacz, byłam bardzo zajęta. Posłuchaj, mam do ciebie pytanie. Wiesz może, po co Carlowi są potrzebne moje buty?

– Pani buty?

– Louboutiny. Możesz kogoś podpytać? I czy mogłabyś poprosić tamtego faceta, by opisał kobietę, która miała je na sobie w barze? Potrzebuję tych butów do negocjacji z Carlem.

– Zapytam go, pani Cantor. O ile dalej ma ten sam numer... tacy jak on czasami je zmieniają. A czy ma pani jakieś informacje na temat mojej pracy? Okazuje się, że nie jestem dobra w wymianie opon...

– Bez tych butów nie mam możliwości zatrudnić cię z powrotem. To bardzo ważne. Dla nas obu.

– Rozumiem. Nie, nie mamy Michelina! W tym rozmiarze tylko Goodyear! – krzyczy do kogoś Magda, a potem wraca do rozmowy z Nishą. – Może pani na mnie liczyć, pani Cantor.

Nisha kończy tę rozmowę z myślą, że to stwierdzenie wcale nie dodało jej otuchy, po czym gasi papierosa i wraca do środka przez kuchnię. Akurat jest szczytowa pora lunchu, na palnikach buchają płomienie, ponad szczykiem patelni i zgrzytem metalowych trzepaczek rozlegają się przekleństwa i krzyki. Nisha lawiruje

między białymi fartuchami poplamionymi jedzeniem i dostrzega Aleksa pochylonego nad patelnią z przegrzebkami. Ten przywołuje ją do siebie i wśród tej wrzawy pochyla się, by krzyknąć jej coś do ucha.

– Przyjdź do mnie później. Mam coś dla ciebie. – Gdy widzi, jak Nisha mruży oczy, dodaje: – Spodoba ci się.

– Co to takiego? – pyta. Źle się czuje z tym, że Aleks ciągle ją czymś obdarowuje. Jak gdyby w jakiś sposób miała u niego coraz większy dług, nad którym nie ma kontroli. A ona nie chce już nigdy w życiu być komuś cokolwiek dłużna.

– To coś do jedzenia.

– Co takiego? I czego chcesz? Za to całe jedzenie? – Kiedy Aleks nie odpowiada, Nisha dodaje: – To znaczy czego oczekujesz w zamian?

Aleks marszczy brwi, jak gdyby Nisha strzeliła jakąś gafę. A potem kręci głową niemal z rozdrażnieniem i wraca do swoich przegrzebków.

To kaczką. Aleks odłożył dla niej kaczkę. Dostawcy przywieźli więcej, niż było zamówione, tłumaczy, kiedy Nisha szykuje się do wyjścia. Szefostwo niczego nie zauważy. Wręcza jej zaskakująco ciężką sztukę owiniętą w muślinową szmatkę. Mówi, że jest ekologiczna. Bardzo dobra w smaku. Nisha może ugotować z niej pyszną kolację dla Jasmine i jej córki.

– Wiesz, jak się piecze kaczkę?

Kiedy Nisha robi niepewną minę, Aleks idzie na zaplecze i przygotowuje paczuszkę zawierającą anyż, marantę trzcinową, jakieś zielone zioła i słoiczek likieru pomarańczowego, wkłada je do jutowego woreczka i pisze krok po kroku, co ma zrobić. Aleks ma piękne pismo. Nisha sama nie wie, dlaczego tak ją to dziwi.

– To nie jest nic skomplikowanego. Najważniejsze jest, by mięso leżało w piekarniku jeszcze przez minimum dziesięć minut po zakończeniu pieczenia, okej? Minimum dziesięć minut. Dzięki temu będzie bardzo delikatne.

Coś jej się w tym wszystkim nie podoba. On na pewno czegoś chce. Bo niby po co by to robił? Po co codziennie przygotowywałby jej te przepyszne posiłki? Ale czuje, że gdy znowu zacznie go o to wypytywać, Aleks się obrazi. Takie skrępowanie to dla Nishy coś nowego, więc gdy odbiera od niego paczuszkę, nie jest zbyt rozmowna, odpowiada na wszystko zwięźle i rzeczowo. A kiedy wraca do szatni, pytające spojrzenie Aleksa wywołuje w niej złość na samą siebie.

Nisha stosuje tę samą strategię, co zawsze, kiedy dochodzą w niej do głosu trudne emocje: ignoruje je. Sprząta sześć pokoi jak automat, dokładnie i z zacięciem. Ostatnio z zaskoczeniem stwierdza, że ta praca ma na nią teraz zbawienny wpływ. Z braku biegania czy siłowni wysiłek fizyczny w postaci sprzątania w jakiś dziwny sposób ją uspokaja. Ścienienie łóżek i ścieranie kurzu nie angażuje zbytnio umysłu, za to wycisza myśli. A przychodzące potem wyczerpanie fizyczne również dobrze jej robi.

Akurat siedzi po pracy w szatni z kubkiem kawy, kiedy dostaje wiadomość od Jasmine:

Ojciec Grace powiadomił mnie, że nie może dzisiaj po nią pojechać. Mogłabyś odebrać ją od mojej mamy w drodze do domu? Nie lubię, jak jeździ sama.

Nisha myśli o kaczie, o tym, że wystarczy bezrefleksyjnie podążać za wskazówkami Aleksa, by przygotować pyszną kolację. I o tym, że będzie mogła dać coś Jasmine, dzięki czemu w mniejszym stopniu będzie się czuła jak pasożyt. Odpisuje:

Jasne. I nie jedz niczego po drodze. Szykuję niespodziankę!

Przychodzi jej też do głowy myśl, by przed wyjściem wrócić do kuchni i odpowiednio podziękować Aleksowi za ten prezent. Ale coś ją powstrzymuje: to zbyt krępujące, a może poczuje się jeszcze bardziej zobowiązana, jeśli za bardzo to rozdmucha. To tylko głupia kaczką, mówi sobie. Dlaczego tak się nią przejmuje, biorąc pod uwagę wszystko inne, co się w jej życiu dzieje?

Autobus stoi w korku. Jasmine przysłała jej przypomnienie, gdzie i na co ma się przesiąść. Nisha stwierdza, że chyba nigdy nie przyzwyczai się do zawilego systemu transportu w Londynie, do jego wielkich, rozległych dzielnic, które dla niej wyglądają tak samo. Opanowała do perfekcji sztukę zatapiania się w myślach w autobusie. Są one zwykle dosyć ponure, ale i tak lepsze to niż słuchanie pokasływań współpasażerów i irytująco głośnych rozmów toczonych przez komórki. Więc na początku nie jest świadoma, że jakaś kobieta coś do niej mówi, a wzrok podnosi dopiero, gdy tamta praktycznie siada jej na kolanach.

– Przepraszam? – odzywa się, kiedy płaszcz kobiety ociera jej się o nogę.

– Proszę się przesunąć, mówiłam już. Mam za mało miejsca. – Kobieta jest wysoka, ubrana w obszerny

patchworkowy welwetowy płaszcz i wypowiadając te słowa, nawet nie zaszczyca Nishy spojrzeniem.

– Bardziej już nie dam rady. Halo. No halo! Pani praktycznie na mnie siedzi!

Kobieta wydaje z siebie lekceważące „hmm” i napiera na Nishę jeszcze bardziej. Ma fatalnie ufarbowane włosy i bije od niej ziemisty zapach.

– O nie, nie – odzywa się Nisha. – Teraz to już pani przesadziła. Proszę się cofnąć.

– Prosiłam grzecznie. A pani się nie przesunęła – odparowuje tamta.

– I proszę zabrać ten swój płaszcz. – Nisha chwyta go między dwa palce i zdejmuje ze swojej nogi.

– Gdyby się pani przesunęła, toby pani nie dotykał.

Nisha czuje, jak krew uderza jej do głowy.

– Hola, hola. To nie moja wina, że jest pani taka wielka, a tu jest tak ciasno. A już na pewno nie muszę znosić tego, że siedzi mi pani na kolanach w tym cuchnącym płaszczu.

Kobieta niemal wciska ją w siedzenie. Jest tak blisko, że Nisha czuje jej dezodorant i żołądek podchodzi jej do gardła. Z przerażeniem myśli, że wdycha jej pot.

– Proszę się ode mnie odsunąć! – nakazuje.

Ich wymiana zdań zdążyła już przykuć uwagę innych pasażerów. Nisha kątem oka rejestruje wzmożone zainteresowanie na innych siedzeniach i zaniepokojone spojrzenie kierowcy we wstecznym lusterku.

– Jeśli coś ci się nie podoba – mówi tamta opryskliwym tonem – to sama się przesun.

– Ja tu byłam pierwsza.

– A od kiedy to twój autobus? Wracaj do swojego kraju, jeśli ci się tu nie podoba.

– Że co?! To ty rusz dupsko!

Bezczelność tej kobiety przechodzi wszelkie granice. Jest tak ciężka, że Nisha nie jest w stanie jej przesunąć. Wbija więc w nią łokieć, a tamta odwdzięcza jej się tym samym, gapiąc się przy tym przed siebie. Wtedy Nisha łapie jej torebkę, która leży jej na kolanach, i rzuca nią na przód autobusu. Jej zawartość się wysypuje, szminki i jakieś świstki papieru wpadają pod inne siedzenia. Kobieta spogląda na Nishę w osłupieniu.

– Idź po nią!

Obie teraz stoją. Tamta popycha Nishę, ale pomimo swojej wagi ma niewiele siły, więc Nisha jej oddaje, mocno, obiema rękami. Po autobusie przechodzi zdumione „ooo!”, kiedy tamta traci równowagę i z krzykiem leci na przeciwległe siedzenie. Podnosi się na nogi, a wtedy autobus nagle się zatrzymuje. Kierowca otwiera drzwi od kabiny.

– Hej! Wy dwie! Wysiadać!

– Ja nigdzie nie idę! – mówi tamta, szukając po omacku torebki. – To ona mnie popchnęła!

– Bo ona na mnie usiadła! Dosłownie mnie przygniotła!

– Wysiadać! – powtarza kierowca. – Albo wzywam policję!

– Ja się nie ruszam. – Nisha ostentacyjnie zajmuje swoje miejsce. – Wsiądę dopiero na swoim przystanku.

Tamta również się stawia.

– Myśli pan, że się boję policji? To się pan grubo myli. Rozbiję tej suce łeb, zanim...

Dziesięć minut później Nisha stoi na chodniku, podczas gdy autobus odjeżdża, a skóra pali ją od potępięńczych spojrzeń pasażerów, którzy zostali w środku i którzy przez całe zajście są spóźnieni. W uszach wciąż dzwoni jej ostrzeżenie udzielone przez policjantów, których nie obchodziło, czyja to była wina, za to byli widocznie znudzeni – choć pewnie i lekko rozbawieni – widokiem dwóch kobiet, które stoczyły walkę o miejsce w autobusie. Nisha oblicza teraz w głowie, kiedy przyjedzie następny autobus i kiedy odbierze Grace. Co za koszmarny kraj.

Dwadzieścia dwie minuty później wreszcie wsiada wściekłym krokiem do następnego autobusu – który jest, rzecz jasna, kompletnie zaphany, więc Nisha musi stać – i uświadamia sobie, że tamta piękna ekologiczna kaczką, ze starannie dobranym zestawem przypraw i sosem, wciąż leży pod siedzeniem autobusu, z którego ją wyrzucono.

Grace nie odzywa się do niej przez całą drogę do domu, a Nisha nawet nie próbuje jej zagadywać. Dziewczyna ma w uszach słuchawki, więc po opuszczeniu autobusu idą obok siebie, jakby się wcale nie znały. Kiedy wreszcie dochodzą do mieszkania, Grace mamrocze, że nie jest głodna, bo zjadła coś u babci, i znika w swoim pokoju, trzaskając drzwiami.

Nisha ma wszystkiego po dziurki w nosie. Wyciąga z chlebaka ostatnie kromki chleba, wkłada pomiędzy nie ser i z trudem przeżuwa gumowatą kanapkę, próbując nie myśleć o kaczce, która pewnie wciąż krąży po mieście. Nie ma ciepłej wody, więc włącza elektryczny podgrzewacz i dwadzieścia minut później zamyka się w łazience, po czym wlewa do wanny szampon, w zastępstwie porządnych olejków do kąpieli czy pachnącego płynu.

Leży tam, zanurzona po brodę, przez półtorej godziny, jej myśli krążą między pozostawioną w autobusie kaczką, butami Louboutina i tą wkurzającą enigmą, jaką jest dla niej Aleks, a do tego próbuje zdusić w sobie pragnienie, by wybić całą ludzkość, jednocześnie obmyślając rozmaite sposoby, jak mogłaby tego dokonać. W Nishy złość buzowała, od kiedy tylko pamięta, ale teraz ma wrażenie, jakby klapki jej spadły z oczu i wreszcie dostrzegła, jak bardzo kobiety mają pod górkę jedynie z racji swojej płci, a na dodatek tej niesprawiedliwości nikt nie zauważa. Myśli o czasach, gdy była nastolatką, i o tej niezliczonej rzeszy mężczyzn, którzy próbowali ją obmacywać albo gapili się na nią obleśnie, o tym, jak ta niepożądana uwaga zatruwała jej życie. Jak miała dwanaście lat, a sprzedawca ze sklepu rolniczego zaproponował jej dolara, jeśli pozwoli mu włożyć rękę pod bluzkę. O facecie ze stacji benzynowej, który wykonywał obsceniczne gesty, gdy kupowała paliwo. O świrach z metra, którzy śledzili ją w drodze do mieszkania, o nieco subtelniejszych rękach bogaczy, które lądowały na jej tyłku, kiedy pracowała w galerii. Myśli o tysiącach oczekiwań kierowanych względem niej, że dostosuje się do jakiegoś ideału, który wymaga od niej niekończących się wysiłków tylko po to, by utrzymać męża: że ma dbać o figurę, stworzyć idealny dom, mieć coś do powiedzenia, codziennie piękne włosy (ale tylko na głowie, reszta do usunięcia), nosić buty, od których bolą stopy, koronkową bieliznę, która wrzyna się w części intymne, w sypialni odstawiać popisy na poziomie gwiazdy porno (nawet jeśli twój mąż już sam fakt, że mu stanął, uważa za godny uznania). Próbuje sobie wyobrazić Carla, który usuwa sobie laserem włosy łonowe, by się jej przypodobać, i jest to tak abstrakcyjne, że Nisha wybucha śmiechem. I chociaż robiła wszystko, czego od niej oczekiwano, została zamieniona na młodszego, lepszego model, i to jedynie dlatego, że jest kobietą.

A teraz, oczywiście, powinna obrócić całą tę niesprawiedliwość w żart, bo inaczej zostanie uznana za jędzę bez poczucia humoru.

Te myśli, które tłumiała przez lata (bo co dobrego mogłoby przyjść z dopuszczenia ich do siebie?), wypływają niepowstrzymane na powierzchnię niczym bąbelki w kąpieli.

Leży tak, słuchając irytującej muzyki Grace dochodzącej przez drzwi, aż palce jej się marszczą, a woda stygnie zupełnie. Wychodzi z łazienki, akurat gdy wraca gospodyni. Trzaskają drzwi, Jasmine zdejmuje szalik w korytarzu, kiedy dostrzega Nishę. Od razu kieruje się do kuchni.

– Co to za niespodzianka, kochana? Jestem taka głodna, że zjadłabym konia z kopytami.

Nisha nieruchomieje.

– Och. – Krzywi się. – Wiesz, miałam problemy w drodze powrotnej. Jakaś głupia kobieta w autobusie praktycznie siadła mi na kolanach i...

– Ale co przyrządziłaś? Powiedziałaś mi, żebym nic nie jadła. – Jasmine otwiera drzwi od piekarnika i podnosi pokrywki pustych garnków stojących na kuchence, na co Nisha pochmurnieje.

– Przepraszam. Z moich planów kulinarnych wyszły nici.

Następuje krótka chwila ciszy.

– Czyli co? Nic nie ugotowałaś?

Jasmine wpatruje się w Nishę, a potem powoli zamyka oczy, jak gdyby ze wszystkich sił starała się nie wybuchnąć.

– Mogłam zjeść kokosowe curry z kurczakiem, ale przez ciebie odmówiłam. – Bierze głęboki oddech. – No nic. Zadowolę się fasolką z tostami. Byle szybko. Cukier mi spada.

Nishy robi się naprawdę głupio.

– Tyle że... zjadłam resztę chleba.

– Chyba żartujesz.

– Przepraszam.

– I co, nie przyszło ci do głowy, żeby skoczyć do sklepu po nowy?

– Musiałam zrobić sobie kąpiel. Miałam naprawdę koszmarny dzień. Posłuchaj, zaraz się ubiorę i skoczę do sklepu.

Spojrzenie Jasmine jest zimne jak stal.

- A co jadła Grace?
- Powiedziała, że jadła u twojej mamy.
- Mama mówiła, że nic nie jadła.

Jasmine zamyka oczy i ciężko wzdycha. Kiedy podnosi powieki, mija Nishę i otwiera szafkę, w której dosusza pranie, by włożyć tam stos świeżo wypranej pościeli. Nieruchomieje.

- Zaraz, zaraz. Kto włączył podgrzewacz?
- Ja... – odpowiada Nisha niepewnie.
- Kiedy?

– Nie wiem... Może ze dwie godziny temu? Nie pamiętam.

Jasmine z furią wyłącza podświetlany przycisk.

– Jezu. Czy masz pojęcie, ile to kosztuje? Dziewczyno, nie możesz zapominać o takich rzeczach. Boże. – Trzaska drzwiami od szafki i odwraca się na pięcie. – Zostałam bez jedzenia, bez ciepłej wody, za to z gigantycznymi rachunkami za prąd. Tobie się wydaje, że to hotel, do cholery? Że ciągle mieszkasz w Bentleyu? Nish, to, że sama nigdy nie musiałaś martwić się o pieniądze, nie oznacza, że reszta świata też nie! Teraz to już przegięłaś! Chryste!

Ciężkim krokiem rusza do kuchni, zostawiając ją samą w korytarzu.

Nisha wciąga na siebie okropne spodnie i podkoszulek, ignorując zjadliwe spojrzenia rzucane przez Grace. Wychodzi z mieszkania, nie zwracając uwagi na trzaskające w kuchni drzwi od szafek, i idzie szybkim krokiem do najbliższego całonocnego sklepiku, zbyt wściekła na siebie, by się przejmować zimnem, zaczepkami wyrostków stojących na rogu albo facetów zebranych przed klubem bilardowym. Kiedy wraca po dwudziestu minutach, Jasmine siedzi na sofie i wyjada z miski zupkę chińską.

- Proszę – mówi Nisha, wręczając jej torbę z zakupami.
- Co tam masz? – pyta Jasmine, odwracając głowę od telewizora.
- Chleb, mleko, jajka i czekoladę. Posłuchaj... bardzo przepraszam.

Jasmine rzuca okiem na zakupy.

- Okej – odpowiada i znowu spogląda na ekran.
- I jeszcze to.

Jasmine wzdycha z irytacją, zmuszona znowu oderwać wzrok od telewizora. Spogląda na plik banknotów, który wyciąga w jej stronę Nisha.

– Co to takiego?

– To, co jestem ci winna. Za pobyt tutaj. Dałabym ci więcej, ale muszę zostawić sobie trochę, by sprowadzić tu syna.

– Co niby jesteś mi winna?

– To zwrot kosztów. Za ostatnich kilka tygodni. Spakuję się i zniknę ci z oczu w ciągu pół godziny. – Nisha czuje dziwny ścisk w gardle.

Jasmine jeszcze raz spogląda na pieniądze, a potem na twarz Nishy.

– Czyś ty oszalała?

– Wiesz... – Nisha mówi oficjalnym tonem, a głowę trzyma prosto. – Trudno nie zauważyć, że masz mnie już dość.

Jasmine patrzy na nią jeszcze przez chwilę, a potem się krzywi.

– Nish. Jestem wkurzona. Byłam głodna. Tak, zgadza się. Ale jesteś moją kumpelą. Nie zamierzam cię wyrzucić na ulicę z powodu ciepłej wody. – Kręci głową poirytowana. – Siadaj na tyłku, kobieto. Bo czuję się nieswojo.

Nisha dalej stoi.

– Ale chleb...

– To tylko chleb. Nikt się na ciebie wcześniej nie wkurzył? Widać, że nigdy nie musiałaś się z nikim niczym dzielić. Więc musisz trochę pomyśleć, zanim coś zrobisz, skoro zajmujemy tę samą przestrzeń, okej? Ale nie rób z tego od razu afery. Boże.

Jasmine kręci głową. Czeka, aż Nisha usiądzie niepewnie na drugim końcu sofie, wyskrobuje z miski resztki makaronu i przez kilka chwil siedzą w milczeniu, gapiąc się na telewizor. Wreszcie Jasmine nachyla się i wskazuje na reklamówkę.

– A jaką czekoladę mi kupiłaś?

– Green & Black’s. Gorzką.

– Cudownie! Ty to mnie znasz! – Twarz Jasmine rozjaśnia się tym jej zaraźliwym uśmiechem. – Na litość boską, wyluzuj, kobieto. Jeśli miałabym obchodzić się z tobą jak z jajkiem za każdym razem, kiedy mam kiepski humor, to obie byśmy zwariowały, rozumiesz? Idź nastaw czajnik, a potem zjemy czekoladę do herbaty.

Dawniej Nisha rzadko chodziła spać przed północą. Carl do późna odpowiadał na telefony służbowe i sprawdzał komórkę, a nie lubił, kiedy ona już spała, gdy wracał do sypialni. Ale ostatnio jest tak fizycznie wykończona, że pada przed dziesiątą. A dzisiejszy wieczór – i ten emocjonalny rollercoaster – zupełnie ją wyczerpał. Zmęczona wspina się na górę, jej stopy dotykają zimnej ramy łóżka, a potem jej ciało zapada się z wdzięcznością w tani materac.

Piętro niżej Grace kończy czytać i wyłącza lampkę nocną, a Nisha nagle cieszy się, że ma blisko siebie drugiego człowieka, odczuwa wdzięczność za wesołą końcówkę wieczoru, za niedowierzanie malujące się na twarzy Jasmine i jej drwiący śmiech, kiedy powiedziała jej o Carlu i butach. O mój Boże, jak ty wytrzymałaś z tym facetem? – spytała. To chyba jak z tą powoli gotującą się żabą – odparła na to Nisha. Żadne małżeństwo nie zaczyna się źle. Pewnie kiedy człowiek uświadamia sobie, jak się w nim dziwnie porobiło, siedzi już w bagnie po uszy. Jasmine skwitowała to śmiechem. Tak właściwie śmiała się z Carla. Nisha nigdy, przenigdy nie widziała, by ktoś śmiał się z Carla albo nazywał go dziwołagiem. A do tego odkryła, że nie istnieje wiele takich rzeczy, które mogłyby sprawić, by Jasmine zmieniła o niej zdanie, by przestała uważać, że ona, Nisha, jest zasadniczo w porządku. W pokoju obok jej gospodyni znowu prasuje. Nisha zaproponowała jej pomoc, ale ta zbyła ją machnięciem ręki. To nie żaden problem, kochana. Oglądam w tym czasie ulubione programy. Poproszę tylko przez chwilę.

– Nish? – Głos Grace wrywa ją z rozmyślań.

– Tak?

Nisha słyszy, jak Grace wierci się na łóżku.

– Przepraszam.

– Za co?

– Że byłam wobec ciebie niemiła, bo się do nas wprowadziłaś. Mama powiedziała mi, co cię spotkało. Nie wiedziałam o tym. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś ze mną mieszkała. Przepraszam, że przeze mnie czułaś się nieproszonym gościem.

Nisha czuje narastający ścisk w gardle.

– To bardzo... bardzo miłe z twojej strony, Grace. Dziękuję.

W ciszy dobiega je głuchy odgłos stawianego żelazka i syk pary oraz odległy pomruk telewizji. W ciemności znowu rozlega się głos Grace.

– Mama ciągle pozwala ludziom tu pomieszkiwać. Co mnie trochę wkurza. Ona jest zbyt miła dla ludzi. A oni czasami robią ją w... no, wiesz w co.

– Wiem. Ja nie jestem taka, Grace.

– Właśnie to mi mama wyjaśniła.

Nisha wpatruje się w ciemność. Zastanawia się z zawstydzieniem, czy może jednak jest podobna do tamtych ludzi.

– Jaki jest twój syn?

– Ray? Jest wspaniały. Bardzo mądry. Ma dobre serce. I poczucie humoru.

– Ile ma lat?

– Szesnaście.

– Gdzie mieszka?

– Teraz mieszka w szkole z internatem. W Ameryce.

– W Ameryce? – W głosie Grace słychać niedowierzanie. – Nie mieszkanie nawet w tym samym kraju?

– W tej chwili nie.

– Nie tęsknisz za nim?

I znowu pojawia się ten ścisk w gardle. Nisha czuje, że oczy ją pieką od napływających łez, i cieszy się, że jest ciemno i nikt jej nie widzi.

– Tęsknię. I to bardzo.

– Więc dlaczego mieszka w innym kraju?



Nisha odpowiada po chwili wahania.

– No cóż... Ray miał jakiś czas temu problemy. A jego tata... oboje uznaliśmy, że to nie jest dobry pomysł, by razem z nami jeździł po świecie. Tata Raya ma pracę, która wiąże się z częstymi podróżami. Pomyśleliśmy, że dla naszego syna będzie lepiej, jeśli zamieszka w szkole z internatem. Że będzie tam szczęśliwszy. – I dodaje: – To bardzo dobra szkoła. Z dobrą opieką. I fajnymi obiektami sportowymi. – Gdy odpowiada jej milczenie, Nisha kontynuuje: – Jest tam basen. I świetne jedzenie... Mają tam też własne studio tańca. A Ray ma bardzo ładny pokój, duży, z telewizorem i aneksem kuchennym.

Kolejna chwila ciszy.

– I rzeczywiście jest tam szczęśliwszy?

Nisha wpatruje się w sufit. W drugim pokoju Jasmine zaczyna coś nucić, a w kuchni wiruje pralka.

– Hmm. – Nisha ociera łzy i przetyka ślinę. – Wiesz... w sumie nigdy go o to nie spytaliśmy.

Cat siedzi w pokoju Colleen i odrywa z paznokci płatki ciemnozielonego brokatowego lakieru, podczas gdy Colleen kręci włosy na lokówce. Na dole jej mama ogląda nagranie treningu fitness i ćwiczy wraz z instruktorką, więc dobiegają je rytmiczne uderzenia, przerywane przekleństwami.

– Ale jesteś pewna, że to była ona? To w ogóle nie pasuje do twojej mamy. – Colleen zakręca kolejne pasmo włosów, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze.

– To był jej płaszcz. Ten z futrzanym kapturem. To on najpierw przykuł moją uwagę, a wtedy przyjrzałam się dokładnie i to na pewno była ona. Tulila się do tego faceta. I co robiłaby przed klubem bokserskim? Jeśli nie przyszła tam, by się z kimś spotkać?

– Ale jesteś pewna, że ma z nim romans?

– Może ujmę to tak: to był mocny uścisk, a on wtulał twarz w jej ramię.

Cat wciąż pamięta tamto szarpnięcie w żołądku, kiedy siedziała na górze piętrowego autobusu i obejrzała się jeszcze raz, a potem stanęła gwałtownie na siedzeniu, aby móc lepiej widzieć, chociaż kobieta obok niej patrzyła na nią jak na wariatkę.

– Mama nie farbowała włosów od lipca i widać było jej odrosty. Do tego ta torebka. A najgorsze z wszystkiego było to, że miała na sobie te szpilki. Takie... zdzirowate.

– Zdzirowate – powtarza Colleen, uwalniając z lokówki długie pasmo włosów, które podskakuje delikatnie jak sprężyna.

– No wiesz. Takie, jakie się wkłada, kiedy się chce wyglądać sexy. Czerwone, zapinane na pasek. Obcasy minimum dziesięć centymetrów. Moja mama nigdy by nie włożyła takich butów. Choćby nie wiem co. To znaczy normalnie by tego nie zrobiła.

Kiedy tamten ją obejmował, jej mama wspięła się na palce, tak że aż obcasy uniosły się z ziemi, jakby starała się w niego mocno wtulić. A on uśmiechał się do niej promiennie, jak człowiek, którego łączy z kimś wspólny sekret. Na tle szarego parkingu klubu czerwone buty mocno rzucały się w oczy. Cat nie widziała, co się wydarzyło potem, ponieważ autobus przyspieszył, zostawiając ją w szoku i z tysiącem strasznych myśli w głowie.

Jej mama. Obejmowała faceta, który nie był jej tatą. I wyglądała przy tym jak ktoś obcy.

Colleen odkłada lokówkę i odwraca się w jej stronę.

– No i co teraz zrobisz? Zamierzasz jej coś powiedzieć?

To właśnie było w tym wszystkim najgorsze. Cat nie wie, co ma teraz zrobić. Jej mama, miła, przewidywalna, może trochę przemęczona, zmieniła się w erotomanekę i Cat nie wie, jak to wytłumaczyć sobie, a tym bardziej tacie. Zawsze uważała Sam trochę za ofiarę losu, a trochę za popychadło. Wkurzało ją, że mama była typem kobiety, która bez słowa skargi znosiła, gdy mieszano ją z błotem. A tata wcale nie był lepszy. Ale teraz od dwóch wieczorów Cat próbowała to wszystko ułożyć w całość: późne powroty mamy do domu, codzienny makijaż, a kiedy ostatnio Cat ją przytuliła, pachniała perfumami. Wściekłość i nienawiść podchodzą jej do gardła. Łapie się na tym, że ciągle obserwuje matkę. Czy oglądając telewizję, częściej się śmieje? Czy jest miłsza dla taty, udając, że wciąż się o niego troszczy? Dlaczego używa odtłuszczonego mleka zamiast pełnego? Dlaczego próbuje schudnąć? Jak możesz tak kłamać? – wygarnia jej w myślach Cat. Jak możesz bzykać innego faceta i zachowywać się, jak gdyby nigdy nic? Od tamtego czasu nie rozmawia z matką. Kiedy ona wchodzi do pokoju, Cat najczęściej z niego wychodzi i odpowiada na jej pytania oschłym „tak” albo „nie”. Czuje wtedy na sobie palące, zdezorientowane spojrzenia matki, ale ma to gdzieś. Dlaczego miałyby traktować ją w uprzejmy sposób po tym, co zrobiła? Wszystko w jej życiu wywraca się do góry nogami i Cat jest głęboko nieszczęśliwa.

Zdrapuje ostatni kawałek lakieru do paznokci. Pod spodem jej kciuk wygląda blado jak muszelka. Tak bezbronnie.

– Sama nie wiem. Może powinnam powiedzieć tacie, ale on jest teraz w kompletnym dołku. Nie wiem, czy to by nie pogorszyło jego stanu.

– Lepiej mu powiedzieć – stwierdza Colleen. – To znaczy gdyby chodziło o mnie, wolałabym wiedzieć takie rzeczy. – Odwraca się do lustra i znowu sięga po lokówkę. – Jezu. Dlaczego dorośli są tacy skomplikowani? A wydawałoby się, że po czterdziestce człowiek powinien mieć już poukładane w głowie.

Phil siedzi w fotelu i popija wodę ze szklanki, którą doktor Kovitz zawsze zostawia na stoliku. Przez poprzednie trzy sesje jej nie tknął, ale teraz uznał to za dobry sposób, by zyskać czas na zebranie myśli po pytaniu, na które nie do końca umie odpowiedzieć.

– Na pewno coś się z nią dzieje. Właściwie nigdy nie ma jej w domu. A w tym tygodniu parę razy wróciła wieczorem i wyglądała tak jakos... promiennie.

– Promiennie?

– Jakby była... naprawdę szczęśliwa. Promieniała od środka. – Odczuwa ból, nawet gdy wymawia te słowa na głos.

– Pytał ją pan, gdzie była?

Phil upija łyk wody.

– Yyy... nie.

– Dlaczego? Może nie chce pan znać odpowiedzi?

Phil kręci głową. Nie jest to stanowcze „nie”, ale raczej „nie jestem pewien”. Następuje długa chwila ciszy, w czasie której wpatruje się w dywan, aż wreszcie doktor Kovitz przerywa milczenie:

– Uderza mnie widoczny u pana brak sprawczości. Tak jakby czuł pan, że niewiele może zrobić. Nie tylko w kwestii relacji z żoną, ale i w innych sprawach. Czy miał pan tak przez całe życie?

Phil zaczyna się nad tym zastanawiać. Pamięta, że kiedyś czuł się inaczej, miał dużo energii, a w głowie mnóstwo pomysłów. Przypomina sobie, jak kupił kamper i jak z entuzjazmem roztaczał przed Sam swoje wizje.

– Nie.

– A jak pan myśli, dlaczego teraz czuje się pan w ten sposób?

Phil upija kolejny łyk wody. Nie wie, co odpowiedzieć, więc postanawia milczeć. Ciszę znowu przerywa doktor Kovitz.

– Jeśli można, chciałbym wrócić do choroby pana ojca. Wygląda na to, że to wydarzenie bardzo na pana wpłynęło.

– Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Skoro tak, to zadam panu tylko kilka ogólnych pytań. O niego. Czyli mieli panowie dobre relacje?

– Oczywiście! – Phil sam słyszy, że powiedział to zbyt dobitnie, zbyt donośnym głosem. Wie, że doktor Kovitz również tę zmianę tonu zauważył. Jego uwadze nic nie umknie.

– Rozumiem. Spędzaliście ze sobą dużo czasu, kiedy był pan mały?

– Kiedy wracał z pracy, to tak. Ale dużo pracował. Właściwie przez cały czas. Ale wie pan, on był dobrym ojcem.

– Czyli cechowała go wysoka etyka pracy.

– Tak. Ciągłe wbijał nam do głowy, że w pracy powinniśmy dawać z siebie wszystko.

– I pan tak robił?

– Owszem. To znaczy w tym się trochę różniliśmy, ponieważ byłem bardziej skupiony na rodzinie. Inne pokolenie. Mężczyźni wtedy byli inni, prawda? Do tego... Sam i ja długo staraliśmy się o Cat, więc inaczej to traktowałem. Sam kilka razy poroniła. Przez to czuła się...

Phil urywa, ale doktor Kovitz czeka cierpliwie.

– Mówiła, że czuje, jakby była rozczarowaniem. Ja nigdy w ten sposób o niej nie myślałem. To było dla niej straszne. Człowiek jest wtedy taki bezradny, wie pan? Zachodziła w ciążę i kiedy już myśleliśmy, że ją utrzyma... traciła ją.

– I ile razy tak się stało?

– Cztery – odpowiada Phil. – Cztery razy. Za czwartym razem w piątym miesiącu.

– Bardzo mi przykro. To musiało być dla pana bardzo trudne.

– Najtrudniejsze to było, rzecz jasna, dla Sam. To ona je nosiła.

– Ale dla pana również było niełatwe.

– W takich sytuacjach człowiek po prostu nie ma pojęcia, co powiedzieć. Płakała w łazience i była taka smutna, a ja nie wiedziałem, co robić.

– I co pan robił?

– Po prostu mówiłem jej, że wszystko będzie dobrze. Że się nam uda.

– I udało się.

– Udało się – mówi Phil, uśmiechając się niespodziewanie. – Sam przeszła taki zabieg, opierścienienie. I potem, kilka miesięcy później, zaszła w ciążę z Cat. A kiedy Cat się urodziła, była najcudowniejszą istotą, jaką widziałem w życiu...

To były najpiękniejsze miesiące jego życia. Wszyscy jego koledzy narzekali na bezsenne noce, że żona całą uwagę skupia na dziecku, że w domu panuje bałagan, ale Phila cieszyło, gdy mógł wstać w nocy i pozwolić Sam trochę odetchnąć. Uwielbiał przytulać Cat, kołysać ją, wdychać jej niemowlęcy zapach, patrzeć jej w oczy. Była taka cudowna, taka bezbronna. Phil czuł, jak gdyby po raz pierwszy w życiu osiągnął coś niezwykłego, coś tak dalece przekraczającego jego oczekiwania względem siebie, że jego oczy napępniały się łzami na samą myśl o niej. Jego dziecko. Ich maleństwo. Nie starali się o kolejne. Pozostawili tę decyzję naturze, a kiedy nie doczekali się więcej dzieci, stwierdzili, że i tak są szczęściarzami, mając swoją śliczną córeczkę, i byłoby niewdzięcznością oczekiwać więcej, biorąc pod uwagę, przez co przeszli. A jeśli któreś z nich myślało inaczej, postanowiło to zachować dla siebie.

– Fantastycznie. Nic więc dziwnego, że był pan nieco bardziej skupiony na rodzinie niż pana ojciec. Tyle pan przeszedł, by ją mieć.

– Tak, tak – potwierdza Phil, kiwając głową.

– Widać, że rodzina jest dla pana bardzo ważna. I kluczowa dla pana dobrostanu. Więc kiedy stracił pan jednego członka rodziny, pana matka zaczęła zachowywać się inaczej i nagle stała się osobą niezależną, a żona przestała już czerpać zadowolenie ze spędzania z panem czasu, to czy wszystko to nie stało się dla pana nieco... destabilizujące? Można tak to podsumować?

Phil dziwnie się czuje, kiedy słyszy to wyłożone w ten sposób.

– Hmm. Tak. Tak mi się wydaje.

– Ale wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego to o ojcu tak trudno jest panu rozmawiać.

– On już nie żyje, prawda? Zmarł, kiedy byłem przy nim. Czy to nie wystarczająco trudne?

– Możliwe. Ale niektórzy ludzie uważają, że to zaszczyt czuć przy bliskiej osobie i pomóc jej... przejść na drugą stronę.

Phil czuje znajomy ścisk w żołądku. Nie jest w stanie mówić. Ma ochotę stąd uciec. Rozgląda się wokół, zastanawiając się, czy może po prostu wstać i wyjść.

– Co się z panem teraz dzieje?

– Dla mnie to było... ja to inaczej odbierałem.

– Jeśli opinia ojca miała dla pana duże znaczenie, to mógł pan poczuć, że po jego śmierci nie miał pan już do czego dążyć.

– Nie... nie, tu nie chodziło o to.

– Ale on pana kochał. Mówił mi pan na poprzednich sesjach, że pana rodzice byli ze sobą blisko związani i pan, jako jedyny syn, dostawał od nich wiele uwagi. A bycie w takim centrum uwagi ma zarówno dobre, jak i złe strony.

Phil chowa twarz w dłoniach. Pozostaje w tej pozycji przez dłuższy czas, tak długo, że na chwilę zapomina, że doktor Kovitz jest w pokoju. Kiedy się wreszcie odzywa, jego głos jest cichy, właściwie sam ledwo siebie słyszy.

– Chciał, żebym to zakończył.

– Słucham?

– Chciał, żebym go zabił. Żebym zakończył jego cierpienie. Pod sam koniec tylko leżał w łóżku, oddychając z trudem, ale gdy tylko mama wychodziła z sali, łapał mnie za rękę i prosił, bym mu przyłożył poduszkę do twarzy. Tak bardzo cierpiał. Nie mógł tego wytrzymać. Nie znosił okazywać słabości przy mamie, bolało go, że widziała go w takim stanie. Miał tego dość.

Doktor Kovitz tylko na niego patrzy. Intensywność jego spojrzenia przypomina Philowi niewzruszone spojrzenie ojca, siłę tamtej kościstej dłoni zaciśniętej na jego nadgarstku.

Zrób to.

Zrób to, Phil.

– I co się potem stało?

– To był czysty koszmar. Bałem się tam chodzić. Byłem wręcz przerażony. Raz nawet zwymiotowałem przed odwiedzinami.

Wraca do niego zapach tamtej małej sali, środka dezynfekującego i czegoś słodkawego, gnijącego,

jakby bezpośrednia bliskość rozkładu, te godziny bezruchu, których nie zakłócał żaden dźwięk poza chrapliwym oddechem ojca i szuraniem butów personelu za drzwiami.

– Nakłaniałem mamę, by sobie odpoczęła i poszła na dół po herbatę. Ona siedziała przy nim przez cały czas. To ją wykańczało.

– Więc pana matka zostawiała pana w sali samego?

Phil kiwa głową. Ociera twarz.

– Czasami z oczu płynęły mu łzy. A to wywoływało w nim gniew. Wręcz wściekłość. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, by płakał. To był silny facet. Głowa rodziny. Opoka. Nie chciał być... słaby.

– Ile razy prosił pana, by pan... to zakończył?

– Przez ostatnie dni przy każdej mojej wizycie. Więc chyba codziennie przez trzy tygodnie. Wtedy też straciłem pracę. Mówili, że to była „restrukturyzacja”, ale wiem, że to przez to, że ciągle brałem wolne. Nie mogłem pozwolić mamie, by sama to wszystko dźwigała.

Kolejna długa chwila ciszy. Na zewnątrz słychać warkot starego silnika przy odpalaniu samochodu.

– Czy... pana ojciec zmarł, kiedy był pan z nim sam na sam?

Phil powoli kiwa głową, nie spoglądając na doktora. Ten odzywa się dopiero po chwili, delikatnym głosem:

– Jeśli chce mi pan powiedzieć, że pomógł pan ojcu w odejściu, mogę pana zapewnić, że nie mam obowiązku zgłaszać tego na policję, dopóki nie widzę przesłanek, że stanowi pan zagrożenie dla innych. Nie musi się pan o nic martwić.

Phil dalej nic nie mówi.

– Czy tego się pan boi? – Doktor Kovitz odkłada notatnik. – Obowiązuje mnie zasada poufności. Może mi pan powiedzieć o wszystkim. Jeśli właśnie to chce mi pan powiedzieć, to nałożono na pana ogromne brzemię i może pan poczuć ulgę, jeśli wyrzuci to z siebie.

– Nie – odpowiada Phil, podnosząc wzrok.

Kiedy wreszcie zaczyna mówić, słowa wylewają się z niego niepowstrzymanym strumieniem.

– Mama wyszła na herbatę. Było piętnaście po piątej. Tata powiedział mi... poprosił mnie o to znowu. I jeszcze raz. A ja... nie mogłem. Zaczęłem płakać. Byłem wtedy taki wyczerpany. Przychodziłem tam codziennie ze świadomością tego, co mnie czeka. Tego, jak będzie na mnie patrzył. Pamiętam ten jego chrapliwy oddech, tę jego minę... płakałem. A wtedy powiedział mi, że jestem do niczego. Że jestem zupełnie bezużyteczny, ponieważ nie chciałem tego zrobić. Ale ja nie potrafiłem. Wiem, że tak by było dla niego łatwiej, ale to mnie przerastało. Nie byłem w stanie nikogo zabić. Jestem za słaby. Mój ojciec umierał i mówił mi, jak bardzo go zawiodłem. Że zawsze wiedział, że nie jestem nic wart. Jego głos był chrapliwy i pełen wściekłości. I ścisnął mój nadgarstek tak mocno, pomimo choroby, że aż nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem nawet drgnąć. A on wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami i... ta malująca się w nich nienawiść mówiła mi, że jestem zerem, że mną gardzi, że jestem głupim, słabym dzieckiem i że nigdy mnie nie kochał. Byłem zbyt słaby. Zbyt słaby. – Phil zaczyna szlochać. – I wtedy nagle maszyny zaczęły pikać, zrobił się harmider, zleciały się pielęgniarki i było po wszystkim. Już nie żył.

Phil nie ma pojęcia, jak długo płacze. Nie jest nawet pewien, czy kiedykolwiek płakał w ten sposób, wydobywa się z niego dziki szloch, który wstrząsa całym jego ciałem, a dłonie ma mokre od łez. Po kilku chwilach czuje na plecach rękę doktora, dostrzega przed sobą wyciągnięte pudełko chusteczek i długo ociera twarz, przeprasząc, ponieważ każda chusteczka od razu robi się wilgotna i nadaje się do wyrzucenia, a on musi sięgnąć po kolejną.

Wreszcie płacz przechodzi, jak ustępująca burza. Phil siedzi oniemiały w ciszy, oddech mu drży, a pierś faluje ciężko. Doktor Kovitz odczekuje chwilę, a potem wstaje i powoli wraca na swoje miejsce po drugiej stronie gabinetu.

– Coś panu powiem – odzywa się wreszcie. – Nie wiem, czy pana ojciec rzeczywiście miał na myśli wszystko to, co powiedział przed śmiercią, czy też było to tylko agonalne majaczenie bardzo chorego i cierpiącego człowieka. Ale chciałbym, żeby wziął pan pod uwagę to, co teraz powiem. Nie znam wielu ludzi, którzy sprostaliby temu, przez co pan musiał przejść. Siłą, prawdziwa siła, niekoniecznie polega na robieniu tego, o co ktoś pana prosi. Siłą jest stawianie czoła dzień po dniu sytuacji, która jest nieznośna, wręcz nie do udźwignięcia, tylko po to, by zapewnić wsparcie tym, których kochamy. Siłą było siedzenie w tamtej koszmarnej sali godzina po godzinie, nawet jeśli każda komórka pańskiego ciała krzyczała, że to za dużo do

zniesienia.

Phil znowu wybucha płaczem, ale ponad szmerem swojego urywanego oddechu jest w stanie dosłyszeć ostatnie zdanie doktora Kovitza.

– I w tych kategoriach to, czego pan dokonał, było aktem niezwyklej odwagi.

Nisha czuje, że dzieje się z nią coś dziwnego. Ciągłe bowiem myśli o Aleksie. Stała się bardzo wyczulona na jego obecność w czasie przerw, jego przelotne spojrzenia niemal wypalają jej skórę. Wieczorami jej myśli wędrują do jego umięśnionych ramion, przypomina sobie, jak zwężają się jego oczy, kiedy rozważa jakieś jej słowa, jak gdyby należało traktować je wszystkie z niezwyklej powagą. Aleks jest najspokojniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała: nie bywa kapryśny jak Carl, nie miewa napadów gniewu czy nagłych przyływów wesołości. Uśmiecha się zawsze na jej widok, podsuwa jej jedzenie, na które sama nie wiedziała, że ma ochotę, a potem w ogóle jej nie zatrzymuje. Jest dla niej zawsze miły i zupełnie nieodgadniony. Co, szczerze mówiąc, doprowadza ją do szału.

Podczas przerw Nisha zaczęła go wypytywać o jego życie – albo siedząc w kuchni, gdy on pracuje, albo gdy razem wychodzą na papierosa. Aleks pochodzi z Polski, ale mieszka w Anglii od szesnastu lat i to ją uważa za swój dom. Jest w separacji, ma dobre relacje z byłą żoną, od zawsze pracuje jako kucharz i nie, nigdy nie chciał zajmować się niczym innym. Jego zdanie o kierownictwie tego hotelu nie jest najlepsze, ale pracował już w gorszych miejscach, więc nie uważa, by miał powody do narzekań. Dobrze pracować tam, gdzie cenią człowieka. Chciałby pewnego dnia otworzyć własną restaurację, ale nie ma pojęcia, skąd mógłby wziąć na to pieniądze. Lubi Londyn, ma własne niewielkie mieszkanie, które kupił dzięki pomocy swojego zmarłego ojca, a trzydziestego pierwszego grudnia ma zamiar rzucić palenie. Mówi o tym tak, jakby to było tylko kwestią jego decyzji, i Nisha nie ma wątpliwości, że tak się właśnie stanie. Ma jedenastoletnią córkę, która mieszka z nim, kiedy Aleks ma wolne. Jego twarz łagodnieje, gdy o niej mówi, a jego wzrok staje się nieobecny, jak gdyby wkraczał do miejsca, do którego Nisha nie ma dostępu. Wszyscy w kuchni go lubią, chociaż nie jest żartownisiem ani nie spędza czasu w szatni podczas przerw, narzekając na wyczerpujące zmiany albo na ostatnie wybuchy Michela, tak jak inni. Trzyma się na uboczu, najwyraźniej praca wystarcza mu do szczęścia, a po niej wraca do swojego świata, cokolwiek nim jest. Cały czas czyta jakieś książki kucharskie. Rzadko siedzi w telefonie, nie interesuje się sportem ani imprezami. Nie próbuje jej niczym imponować, uspokajając jej, flirtować z nią ani o nic wypytywać. I Nisha nie jest w stanie go rozpracować.

– Zostawiłam w autobusie tę kaczkę, którą mi dałeś – mówi pewnego dnia, niemal prowokacyjnym tonem.

– Wobec tego dam ci jeszcze jedną – stwierdza Aleks.

– Nigdy o nic mnie nie wypytyjesz – mówi Nisha, zjadając kanapkę, kiedy Aleks siada naprzeciwko niej. Irytuje się, kiedy sama słyszy pretensję we własnym głosie.

On milczy przez chwilę, aż wreszcie odpowiada:

– Myślę, że powiesz mi to, co będziesz uważała za stosowne.

– Jak to możliwe, że nigdy nie próbowałeś mnie podrywać? – pyta, kiedy wychodzą pewnego wieczoru po jej zmianie.

Aleks został dłużej, by dokładnie posprzątać swoje stanowisko pracy. Jest już ciemno, idą nabrzeżem Tamizy, a samochody mijają ich z rykiem.

– A chciałybyś, żebym cię podrywał? – odpowiada, odwracając głowę w jej stronę.

– Nie.

– No to masz odpowiedź.

– To znaczy? – Nisha przystaje, spoglądając na niego spod zmarszczonych brwi.

– To znaczy, że jeśli facet ma odrobinę wycucia, to widzi, czy kobieta chce, by do niej uderzać.

– Większość facetów i tak do mnie uderza.

– Wcale mnie to nie dziwi. Jesteś piękną kobietą.

Nisha rzuca mu harde spojrzenie.

– Czy teraz do mnie uderzasz?

– Nie. To było tylko stwierdzenie faktu.

Aleks jest potwornie irytujący. A jej niezdolność do rozszyfrowania go, choć udaje jej się to z niemal każdym facetem na tej planecie, doprowadza ją do szewskiej pasji, więc w rozmowie z nim często przybiera ten dziwny, wyzywający ton, a czasem całkiem go unika.

No i jest jeszcze jedna kwestia: Nishy brakuje seksu. Nie tęskni za Carlem. Bywało, że w duchu wyła z rozpaczy, kiedy widziała ten błysk w jego oku. Ale czuje ogromny głód fizycznego kontaktu. I tego, by znowu ktoś ją obejmował, dotykał jej, pożądał. Tęskni za władzą, którą czuła, kiedy fizycznie oddziaływała na faceta. Nie może nawet sama sobie ulżyć, biorąc pod uwagę, że zajmuje łóżko piętrowe, a pod nią śpi czternastolatka.

Pewnego dnia, gdy jedzą kanapki, Jasmine dostrzega, jak Nisha patrzy na Aleksa.

– Ten facet cię kręci – mówi.

– Wcale że nie.

Jasmine unosi brew.

– Niech ci będzie.

– Jest kucharzem bez pieniędzy i bez perspektyw. Co miałoby mnie w nim kręcić?

Jasmine kończy przeżuwać, ociera usta chusteczką i dopiero wtedy odpowiada.

– Dziewczyno, na twoim miejscu rzuciłabym się na niego bez wahania.

Przez niemal pięć miesięcy, pokonując ostatnie kroki do domu, Cat grała ze sobą w grę. Kiedy zamyka za sobą bramę i idzie ścieżką do drzwi, zakłada się sama ze sobą, w jakiej pozycji zostanie tatę po wejściu do domu. Zazwyczaj leży na sofie, z głową od strony stolika. Od czasu do czasu leży na odwrot, z nogami od strony stolika i głową spoczywającą na dwóch poduszkach sofy. Kiedy kilka razy udało jej się dobrze obstawić, uznała to za wygraną w „leniwe bingo”. Teraz, kiedy mija niszczący kamper wraz z jego ogromnym słonecznikiem w hipisowskim stylu, który jest jej zdaniem zarówno uosobieniem żenady, jak i katastrofą ekologiczną, wkłada klucz do drzwi i obstawia, że to będzie standardowy dzień. Czyli tata będzie leżał z głową przy stoliku. To właśnie bukmacherzy nazywają pewniakiem. Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi i zagląda do salonu. Ale telewizor jest wyłączony, a taty nie ma.

Wiesza więc płaszcz i idzie do kuchni. Jest siódma piętnaście, ale mama jeszcze nie wróciła z pracy. Kolejny raz. Cat czuje, jak jej żołądek skręca się z żalu, kiedy myśli o tym, jak wyglądało jej życie jeszcze półtora roku temu: jak miała absolutną pewność, że po powrocie do domu zostanie mamę gotującą w kuchni, rozmawiającego z nią tatę opartego o blat, podczas gdy radio mruczało coś w kącie. Nie rozumiała wtedy, jakie dawało jej to głębokie poczucie bezpieczeństwa. A teraz ono zniknęło, jest tylko ta ciężka cisza.

Cat zjada kilka wafli ryżowych, które znalazła w szafce (teraz prawie nie ma w domu jedzenia) i kieruje się na górę do swojego pokoju. I właśnie wtedy dostrzega tatę, który po prostu leży na łóżku w sypialni i wpatruje się w ścianę.

Cat przystaje w otwartych drzwiach.

– Tato?

Ten odwraca głowę w jej stronę. Wygląda na wyczerpanego. Tak jak ciągle ostatnimi czasy.

– O, witaj, kochanie. – Na jego twarzy pojawia się delikatny uśmiech.

– Co porabiasz?

– Przyszedłem tutaj odpocząć. Jestem dzisiaj... trochę zmęczony.

– A gdzie jest mama?

Tata mruga oczami, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie jej nieobecność.

– Nie mam pojęcia. Pewnie w pracy?

– Dzwoniłeś do niej?

– Yyy... nie dzisiaj. Nie teraz.

– Ale jest piętnaście po siódmej. – Cat patrzy na niego. Na jego bierność, na jego niechęć do działania, nawet gdy wszystko wokół się rozpada. I nagle czuje, że dłużej już tego nie zniesie. – Jezu, tato. Ogarnij się!

Ten wygląda na przestraszonego, co daje jej dziwną satysfakcję.

– Jak myślisz, gdzie jest teraz mama?

– Nie mam pojęcia. – Tata kręci głową.

– Jest z jakimś facetem. A ty... a ty tylko tu leżysz jak jakieś... warzywo. Pozwalasz jej odejść. I co się teraz stanie? Myślisz, że jeśli będziesz siedział beczynn timer, to wszystko samo się ułoży? Musisz coś zrobić. Musisz się ruszyć i zobaczyć, co się dzieje pod twoim nosem!

– Z jakimś facetem? – powtarza tata.

– Widziałam ją. – Cat czuje, jak łzy napływają jej do oczu, a krew uderza do twarzy, ale ma to gdzieś. – Widziałam ją z autobusu. Jak go obejmowała. I teraz codziennie się maluje i przychodzi do domu późno, a ty

zachowujesz się, jak gdyby nic się nie stało.

Tata wygląda na zdruzgotanego. Ale ona się tym nie przejmuje. Chce, żeby doznał szoku. Chce nim potrząsnąć.

– To... to nie jest...

Cat otwiera ich szafę z ubraniami i zaczyna szukać czegoś na dnie, aż wreszcie wygrzebuje stamtąd torbę.

– Widzisz to?

– Co to za torba? – Tata jest wyraźnie zdumiony.

Cat ją otwiera. I oto są, leżą tam tak, jak je znalazła dwa dni temu. Brutalny dowód całej tej katastrofy. Podnosi jeden z butów.

– One należą do mamy. Do twojej żony. Oto co zakłada na spotkania ze swoim kochaniem. I gdybyś był w stanie choć na chwilę skupić uwagę na czymś innym niż pogrążanie się w swoim... w swoim dołku, to zrozumiałbyś, że musisz coś zrobić!

– One należą do mamy? – Tata wpatruje się w szpilki z niedowierzaniem.

– O Boże. Mam ci to przeliterować? Rany. A podobno jesteście dorośli! Tyle że to ja muszę dosłownie wskazywać palcem, co jest nie tak z waszym małżeństwem. Jezu! Tato! Obudź się! Weź się w garść, do cholery! To jest jakiś koszmar! Mam tego dość!

Cat nie jest już w stanie dłużej na niego patrzeć. Wybuchła płaczem, rzuca butem przez pokój, wymaszerowuje z niego i trzaska drzwiami.

Sam otwiera drzwi wejściowe, wciąż rozgrzana energicznym spacerem do domu. Ma wrażenie, jakby teraz wszędzie chodziła szybciej, dociera na miejsce cała rozpromieniona z wysiłku i czuje w sobie większą determinację.

Dzisiaj na treningu było niesamowicie. W pracy Simon był w podłym nastroju, czepiał się jej i posyłał lekceważące spojrzenia, gdy tylko była w zasięgu wzroku, a ją to zachowanie szefa tak przybiło, że o mało nie zrezygnowała z pójścia do klubu. Ale Joel, jakby to wyczuł, wysłał jej wiadomość:

Po dniach takich jak ten po prostu MUSISZ iść.

Więc poszli tam razem o szóstej i teraz, niemal dwie godziny później, Sam czuje, że mogłaby zawojować świat. Sid, jej trener, pokazał jej różne sposoby uderzania, jak powinna napinać mięśnie brzucha i pleców, nauczył ciosów prostych i sierpowych, jak wyprowadzać je skutecznie, a nie walić byle jak, z wiotkimi nadgarstkami. Pod koniec krzyczał: „Tak, dziewczyno, brawo!”. I chociaż każdy mięsień w jej ciele krzyczał z bólu, czuła kontakt swoich rękawic z jego tarczami – raz, dwa, raz, dwa – i to ona tam rządziła. Wszystkie emocje znajdowały ujście dzięki czerwonym rękawicom i choć knykcie miała potem poobijane, miało to w sobie coś przyjemnego, jakby była kimś znacznie twardszym niż w rzeczywistości.

– To było mistrzostwo! – oznajmił Joel, kiedy spotkali się przed klubem po jej pierwszym treningu.

Sam nie była w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu. Miała na sobie tamte buty, ponieważ one zdawały się potęgować to uczucie, choć wiedziała, że zmieni je na adidas, gdy tylko Joel zniknie jej z oczu.

– Czuję się niesamowicie – rzekła, a on uściśnął ją mocno i powiedział, że jest nie do zatrzymania.

Łącznie była już na treningu cztery razy i zawsze, mimo że jej mięśnie krzyczą z bólu z powodu tak niespodziewanego wysiłku, Sam czuje, jakby jakieś rozbite części niej scalały się na nowo. Łapie się na tym, że już się nie przejmuje, że wygląda nieatrakcyjnie, że pod koniec każdego treningu pot spływa jej do oczu, że ma włosy zebrane w tłusty kucyk, cała jest czerwona i pozbawiona makijażu. Obserwuje inne kobiety, takie jak drobna, żyłasta Fatima czy Annette, której tyłek ledwo się mieści w ogromnych spodniach od dresu, i wie, że ich nie obchodzi to, jak Sam wygląda, dokąd się wybiera na wakacje, czy jej ciało wpasowuje się w jakieś określone standardy. Uśmiechają się do siebie cierpko w czasie wyczerpujących rozgrzewek, szczerzą zęby w odpowiedzi na proste i sierpowe, okrzykami dodają zachęty, kiedy któraś wymierzy dobry cios. Sid traktuje każdego z taką samą powagą, żąda maksymalnego zaangażowania i wygraża się w żartach, jeśli nie dają z siebie wszystkiego. A do tego Sam przez cały czas, gdy tylko obejrzy się przez ramię, widzi w kącie Joela, który szybkimi ciosami uderza w worek treningowy i uśmiecha się do niej szeroko, ocierając przedramieniem pot z czoła.

I coś się w niej zmienia. Po czterech treningach Sam łapie się na tym, że mimowolnie się prostuje, jakby wzmocniły jej się mięśnie pleców i brzucha. Kiedy Simon znowu zaczyna jej truć o jakiejś jej rzekomej pomyłce, Sam kiwa głową i nie protestuje, ale w środku wyobraża sobie, jak spuszcza na niego grad



sierpowych albo wali w podbródek – trzy, cztery, pięć, sześć! – i nie wie, czy to tylko jej wyobraźnia, ale ma wrażenie, że fakt, iż nie kurczy się w sobie, wywołuje u Simona irytację i wytrąca go z równowagi.

– Dobry wieczór! – Wchodzi do domu i zdejmuje płaszcz.

Telewizor jest wyłączony, więc Sam zastanawia się przez chwilę, czy Phil jest w domu, a potem mówi sobie, że na pewno tak. Bo gdzie indziej mógłby być? Gdy ogarnia ją lekka rezygnacja, karci się w duchu i każe sobie trzymać się tego haju, który utrzymuje się w niej przez kilka godzin po każdym treningu. Raz, dwa, trzy, cztery. Skup się. Stopy mocno zakorzenione w podłożu.

Phil i Cat siedzą w kuchni przy stole i w milczeniu jedzą lasagne. Sam staje w drzwiach.

– Cześć! – mówi zaskoczona. Prawie nigdy nie gotują bez niej. – Zaczęliście beze mnie!

– Nie wiedzieliśmy, kiedy wrócisz – odpowiada Cat, nie podnosząc wzroku.

– Och. Przepraszam. Miałam zadzwonić, ale potem pochłonęło mnie coś innego. Kto kupił lasagne?

– Ja – odpowiada Cat, odkrawając mały kawałek i wkładając go do ust.

Dopiero po chwili Sam wyczuwa panującą w kuchni dziwną atmosferę. Phil nie podnosi wzroku znad jedzenia. Nadziewa je na widelec ponuro, jak gdyby jadł, bo musi.

– To miłe z twojej strony, kochanie. Dziękuję. – Kładzie torbę na blacie. – Znajdzie się dla mnie talerz?

– W szafce – odpowiada chłodno Cat.

Sam posyła jej ostre spojrzenie, ale córka nie reaguje.

Bierze talerz i nakłada sobie lasagne. Czuje, że mogłaby zjeść konia z kopytami. Z radością myśli o tych wszystkich kaloriach, które spaliła na treningu. Dokłada sobie porcję warzyw z półmiska i zaczyna jeść. Phil nie zaszczyca jej spojrzeniem, tylko dalej dłubie w jedzeniu. Sam patrzy to na jedno, to na drugie.

– A co u was słychać? Jak wam minął dzień?

– W porządku – odpowiada Cat.

– Co robiłaś?

– Nic specjalnego.

– A u ciebie, Phil?

– W porządku.

Po pierwszym kęsie Sam stwierdza, że jedzenie jest przepyszne. Postanawia, że skupi się na tym, a nie na dziwnej atmosferze panującej przy stole.

– To dobrze. – Gdy dalej nikt nic nie mówi, dodaje: – To jest przepyszne.

– To przecież tylko żarcie z Tesco – mówi Cat i nagle podnosi się od stołu. Wkłada swój talerz do zmywarki, a potem zmierza do drzwi. – Idę do Colleen. Nie zostanę długo.

Sam chce coś powiedzieć, ale jej córka zdążyła już zniknąć, więc odwraca się do Phila.

– Co ją ugryzło? – pyta, ale Phil dalej przeżuwa w milczeniu. – Dziwnie się ostatnio zachowuje. Nie wydaje ci się?

Phil kręci głową, jak gdyby nie był w stanie mówić. Pewnie nawet tego nie zauważył, stwierdza Sam i tłumi westchnienie.

– Mam dzisiaj dobrą wiadomość – kontynuuje. – W sumie nie wiem, czy rzeczywiście wyniknie z tego coś dobrego, ale Miriam Price, kobieta, z którą podpisałam duży kontrakt, zaprosiła mnie na lunch w tym tygodniu. Nie ma żadnego powodu, by się ze mną spotkać, biorąc pod uwagę, że ukończyliśmy ich zlecenie i była zadowolona z efektów. Powiedziała, że chce coś ze mną przedyskutować. To może nie być nic specjalnego, prawda? Możliwe, że po prostu chce się poradzić w jakiejś sprawie. Ale to miłe, bo... to bardzo silna osobowość, wiesz? To po prostu miłe uczucie, że ktoś taki jak ona chce się ze mną spotkać.

Phil kiwa głową i wkłada kolejny kęs do ust.

– Tak głęboko w środku zastanawiam się, czy... To znaczy wiem, że Harlon and Lewis szukają nowych sprzedawców. Więc pomyślałam sobie, że może powinnam przełknąć dumę i zapytać ją, czy ma u siebie jakieś stanowisko dla mnie. Dzięki temu nie musiałabym się już użerać z Simonem.

– Aha.

– I może to też oznaczać większe pieniądze – dodaje Sam. Nie mówiła jeszcze Philowi, że Simon groził jej zwolnieniem. Na tę rozmowę chyba też nie jest gotowy.

Jej mąż nic nie odpowiada.

– To znaczy uwielbiam ludzi, z którymi pracuję. – Sam czuje, jak przy tych słowach oblewa ją lekki rumieniec, i ma nadzieję, że tego tak bardzo nie widać. – Ale jeśli Simon nigdzie się nie wybiera, to może ja

powinnam to zrobić. Chyba warto spróbować, prawda?

Phil spogląda na nią przez chwilę. Jego twarz przypomina nieprzeniknioną maskę. A potem wraca do jedzenia.

– Phil...? Wszystko w porządku? – pyta go wreszcie.

– Tak. – Phil kończy jedzenie, a kiedy Sam siada, on podnosi się ciężko od stołu, wkłada swój talerz do zmywarki i kieruje się do salonu, zostawiając ją samą w kuchni.

Od dłuższego już czasu nad ranem, kiedy Sam zakładała, że Phil śpi, on tylko leżał z zamkniętymi oczami, wciąż czując na sobie intensywne, wściekłe spojrzenie ojca i mocny uścisk jego kościstej dłoni chwytającej go za nadgarstek. Czasami czuł się jak sparaliżowany, a jego umysł zafiksował się na słowach: „Jesteś słabym, bezużytecznym człowiekiem. Zrób to! Zrób to!”. Tej nocy, po raz pierwszy od miesiący, ojciec dał mu spokój, ale Philowi nie przyniosło to ukojenia. Zamiast tego prześladowają go bowiem myśli o kobiecie, która leży obok niego, o jej rękach dotykających innego, o jej twarzy promiennej dzięki niemu. Od jak dawna to trwa? Jakie kłamstwa opowiadała, by wymknąć się z domu? Ostatnio często wracała zarumieniona, do tego miała przyspieszony oddech i myśl o tym, co robiła z tym tajemniczym kochankiem, wywołuje u Phila taki ból brzucha, że aż przyciąga kolana do piersi. Jego Sam. Kobieta, z którą się śmiał, kobieta, z którą uprawiał seks od ponad dwudziestu lat, a dla której stał się teraz nieistotny jak stary mebel. Nagle dociera do niego, że może wcale jej nie zna. I jak mógł nie dostrzec, co się działo? Gdzieś głęboko w środku wiedział, że coś się zmieniło, że dzieje się między nimi coś dziwnego. Ale czuł, że nie da rady stawić temu czoła, i odwracał wzrok, dopóki wściekłość córki nie zmusiła go, by spojrzeć temu w oczy.

Jedynym pytaniem, którego Phil sobie nie zadaje, jest „dlaczego”. Bo odpowiedź na nie jest oczywista. Co ma teraz żonie do zaoferowania? Od miesiący czuje się pusty w środku, zupełnie wydrążony, niezdolny do normalnego życia. Niezdolny, by zaoferować jej cokolwiek. Bezużyteczny. Mógł się domyślić, że w końcu pójdzie do kogoś innego.

Te myśli krążą mu po głowie przez całą noc, więc gdy nadchodzi ranek, Phil jest zmęczony i czuje piasek pod powiekami. Mdli go, jakby był pobudzony i wyczerpany jednocześnie. Słyszy, jak Sam wstaje z łóżka, jak bierze prysznic i się ubiera. Czy zastanawia się, co włożyć dla tamtego? Jakąś specjalną bieliznę albo ciuch, w którym tamten mężczyzna ją lubi? A potem idzie lekkim krokiem na dół. Już nie cmoka go w policzek przed wyjściem. Przez jakiś czas myślał, że po prostu nie chce mu przeszkadzać, ale teraz stwierdza, że pewnie ma go już zupełnie dość. Że pewnie nim gardzi. Słyszy, jak zamykają się drzwi wejściowe i jak Sam uruchamia samochód, a on przyciska pięści do oczu, pragnąc, by to wszystko się skończyło. Chce, by ktoś go uwolnił od tego ciała, od tego życia, i zabrał tam, gdzie nie będzie się już musiał zmagać z żadnymi problemami.

Leżał tak nie wiadomo jak długo. Przez pół godziny? Dwie? Dziwnie odczuwa własne ręce, jak gdyby jego ciało było oddzielone od umysłu. Kiedy już nie jest w stanie dłużej znieść tego wrażenia, wstaje z łóżka i zaczyna chodzić po pokoju. Wygląda przez okno na ulicę, która niby wygląda tak samo, a jednak jest zupełnie inna. Potem odwraca się do szafy, otwiera ją i wpatruje się w czarną torbę sportową, którą jego córka wczoraj wymachiwała mu przed nosem. Przygląda się jej bacznie, oddychając z trudem, jak gdyby jej zawartość była radioaktywna. A potem powoli przykuca i rozsuwa zamek. I oto ze środka wystają te seksowne czerwone szpilki. Wyglądają tak, jakby należały do kogoś obcego. Podnosi jeden but, wpatruje się w niego, a potem, kierowany jakimś dziwnym impulsem, podsuwa pod nos, trzyma tak przez chwilę, aż grymas wykrzywia mu twarz, a potem czuje w sobie narastający skowyt. Sam wkłada te szpilki dla tamtego faceta. Te buty są wspólnym sekretem jego żony i jej kochanka. Pewnie Sam ma je na sobie, gdy tamten ją pieprzy. To słowo łomocze mu pod czaszką, choć prawie nigdy nie przechodzi mu przez usta. Ręce zaczynają mu się trząść i wkłada but z powrotem do torby. A potem zaczyna chodzić w tę i w tę po pokoju, wydając z siebie jęki rozpacz. Wreszcie siada na łóżku i kryje twarz w dłoniach. Gdy się podnosi, podchodzi do torby, wyciąga buty i wkłada je do pustej plastikowej reklamówki, która leży na dnie szafy. Nie ma pojęcia, co ona tam robi. Leży tam bez żadnego powodu, od kiedy Phil pamięta, tak jak wiele rzeczy w tym domu. Trzyma ją przed sobą, z wykrzywioną twarzą, po czym schodzi energicznym krokiem na dół, tak jak człowiek, który chce wyrzucić pełną pieluchę albo psią kupę. A potem stoi w korytarzu, nie mając pojęcia, co z tym zrobić. Wie tylko, że te buty nie mogą zostać pod tym dachem. Nie mogą tu być, ich obecność skaża wszystko, co znał i kochał. Niemal bezwiednie otwiera drzwi frontowe i wychodzi na zewnątrz, szarpnięciem otwiera drzwi od kampera – przestali je zamykać na klucz kilka miesięcy temu, kiedy Sam zaczęła skrycie marzyć o tym, że

ktoś go ukradnie – i wchodzi do środka, wdychając zapach kurzu i zaniedbania oraz lekkiego, ale stale postępującego rozkładu. Phil otwiera laminowaną szafkę nad wyściełanym siedziskiem, chowa tam buty i zatrzaskuje drzwiczki. A potem siada i oddycha ciężko, próbując opanować wściekłość, która zasnuła mu oczy.

Nawet gdyby był typem faceta, który lubi rozmawiać o uczuciach, nie ma przyjaciela, z którym mógłby o tym pogadać albo którego mógłby zapytać o radę. Zastanawia się, co by mu teraz powiedział doktor Kovitz. Pewnie nie byłby zaskoczony, biorąc pod uwagę wszystko, co już od niego usłyszał. Czy doradziłby Philowi, by skonfrontował się z żoną? Żeby się na nią wkurzył? Czy to byłoby bardziej męskie? Powiedzieć jej, że o wszystkim wie i że teraz ona musi dokonać wyboru? Ale on się boi. Nie tylko dlatego, że konfrontacja z żoną oznaczałaby, że będzie musiał zdecydować, czego sam chce, a on tego jeszcze nie wie. Ale, co gorsza, po takiej konfrontacji ona może po prostu spakować torbę z butami i całą resztę i wyprowadzić się do tamtego faceta, kimkolwiek on jest.

Phil siedzi nieruchomo, wpatrując się w swoje drżące dłonie, dopóki do niego nie dotrze, że siedzi w samym podkoszulku i piżamie, więc zdążył już zmarznąć. Wstaje, zaczyna pocierać ramiona i zauważa stos starych czasopism, które ktoś musiał tu przenieść z domu w oczekiwaniu na dzień odbioru segregowanych śmieci. Być może kosze były pełne. Teraz już nie pamięta. Phil wpatruje się w ten stos, a potem podchodzi do niego i bierze górną połowę. Poprawia ją na piersi, a potem popycha drzwi ramieniem, schodzi ostrożnie po schodach i wyrzuca je do kosza na odpady papierowe. Wraca do środka i podnosi resztę, wpatrując się w ślad po gazetach na zakurzonej podłodze. Potem zerka do leżącego z tyłu worka na śmieci, w którym trzymali graty z szopy ojca, rzeczy, których jego mama nie potrafiła się pozbyć, chociaż nikomu nie były już potrzebne: tępe narzędzia, stare instrukcje samochodowe, żarówki i klucze do dawno nie działających urządzeń. Zabrał ten worek, by oszczędzić jej przykrości. Ale po co? Co w ogóle zamierzał zrobić z tymi rupieciami? Wyciąga go więc na zewnątrz i zostawia przy czarnym koszu. A potem wraca do kampera i bezrefleksyjnie przegląda jego zawartość, kierowany jakimś nieznanym impulsem, metodycznie przechodzi przez całe zaniedbane wnętrze, wyjmując stamtąd wszystko, co w nim upchnięto tymczasowo, a potem wynosi to na zewnątrz, wyrzuca do koszy albo kładzie obok nich. Dwie godziny później wnętrze kampera jest już odgracone, Phil jest cały spocony, a dół od jego piżamy brudny od kurzu.

Z zaciśniętą szczęką i ustami ułożonymi w wąską linię Phil wraca do domu i wchodzi na górę, gdzie rozgląda się po sypialni, aż wreszcie dostrzega swoją bluzę od dresu pod stosem innych ubrań. Wciąga ją przez głowę, wkłada skarpetki i buty i znowu wychodzi na zewnątrz. Tam właśnie, pracującego nad silnikiem, zastaje go Sam po powrocie do domu. Ale Phil wraca do środka, dopiero kiedy ona już śpi.

Nisha nigdy nie doświadczyła drastycznej fizycznej przemocy, ale za każdym razem, gdy widzi w hotelu Charlotte mającą na sobie jakiś element jej garderoby, wyobraża sobie, że takiego samego bólu musi doznawać osoba dźgnięta nożem. Charlotte dwa razy miała na sobie kożuszek od Chloé, pierwszy raz wtedy, gdy Nisha widziała ją z koleżanką, a potem w następną sobotę, gdy kroczyła dumnie przez lobby, jakby ta kurtka należała do niej. Dwa dni później na jakieś wieczorne wyjście włożyła srebrną sukienkę od Alexandra McQueen z rozcięciem z boku – zauważyły ją z Jasmine, akurat gdy wychodziły po wieczornej zmianie, i gdy Charlotte wsiadała do samochodu. Nisha, obserwująca ją z zaułka, mało nie krzyknęła z bólu.

Ale najwyraźniej za mało się wycierpiała. We wtorek w porze lunchu, kiedy Nisha zmierza ociężałym krokiem w stronę tacy z kanapkami, zerka przez otwarte drzwi od kuchni i dostrzega Charlotte, która właśnie zajmuje miejsce w restauracji. I ma na sobie nieskazitelnie biały kostium od Yves'a Saint Laurenta.

– O nie! – wydaje z siebie okrzyk i zatrzymuje się w pół kroku, tak że kelner o mało na nią nie wpada.

Już prawie skończono wydawanie lunchu, więc Aleks staje tuż przy niej, wyciera rękę w ściereczkę i podąża za jej spojrzeniem.

– Czy to jego kochanka?

– Na pewno czymś go zachłapie. – Nisha z trudem oddycha. – Ja nigdy, przenigdy nie jadłabym w tym kostiumie.

Aleks przez chwilę patrzy w tamtą stronę i wzdycha. Kładzie rękę na ramieniu Nishy i delikatnie ją stamtąd odwodzi.

– Nie, nie, nie – mówi Nisha, strącając jego dłoń. – Ty nic nie rozumiesz. W tym kostiumie się nie je. To by było jak... jedzenie spaghetti przed *Moną Lisą*. On jest biały. A poza tym to Yves. Saint. Laurent. Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Pewnie już jedyny egzemplarz. Zdobyłam go od kolekcjonerki, która kupiła go na wyprzedaży czyjegoś majątku na Florydzie. Kobieta trzymała go w opieczętowanej szafie ze stałą temperaturą i wilgotnością i wciąż są na nim metki ze sklepu. Prawdziwe metki. Nikt go wcześniej nie miał na sobie! Widzisz? To absolutny klasyk. Nieskazitelny. Ona nawet nie powinna go dotykać, na litość boską. Choćby palcem. A co dopiero... a co dopiero w nim jeść. – W jej głosie słychać udrękę. Kiedy drzwi się zamykają, udaje jej się jeszcze dostrzec Carla, który siada ciężko naprzeciwko Charlotte, z telefonem przyciśniętym do ucha.

– Nie – powtarza Nisha. – Nie mogę na to pozwolić. Nie mogę...

– Ochroniarz na pewno jest w pobliżu – szepcze jej Aleks do ucha. – Nie możesz się do niej zbliżyć. Wiesz o tym.

– Nisha spogląda na niego. Jego mina wyraża współczucie, ale mówi jej też wyraźnie, że powinna odpuścić.

– Gdzie tu sprawiedliwość, Aleks? – pyta, kierując się na tyły kuchni. – Gdzie? Dlaczego uchodzi im to płazem?

Aleks otacza ją ramieniem i proponuje papierosa, czekając, aż jej oddech się uspokoi. Ale zanim Nisha zdecyduje, co ma o tym myśleć, Aleks oznajmia, że idzie po Jasmine, i każe jej się stąd nie ruszać.

Kiedy przybywa Jasmine, bierze ją w ramiona, tuli mocno i mruczy:

– Och, moje maleństwo. Moje biedne maleństwo.

A Nisha nie oponuje.

Tego wieczoru Nisha dzwoni do Carla od Jasmine. Przez cały dzień kotłowała się w niej wściekłość.

– Carl, chciałam...

– Masz je?

– Czy mam co? – pyta Nisha zaskoczona.

– Buty! – odpowiada Carl niecierpliwie.

Jasmine wcześniej powiedziała jej, że te szpilki to dla niego wymówka, by ją wodzić za nos. Pewnie wie, że to jedyna rzecz, której nie może mu dać, i przez to wygląda to tak, jakby to ona nie dotrzymywała swojej części umowy. Bo niby który facet jest tak przywiązany do babskich butów? Nisha uznała, że ma to sens. Pewnie jest jakaś dziwna prawna klauzula, która każe obu stronom zastosować się do żądań drugiej czy coś takiego. Mogłaby się tego dowiedzieć, tyle że nie ma, do cholery, pieniędzy, więc nie jest w stanie

zatrudnić prawnika.

– Skończ z tymi gierkami, Carl – rzuca do słuchawki. – Po prostu oddaj mi moje ubrania i zapłać należne alimenty, ty śmierdzący gnojku.

– Ach. Język jak z rynsztoka. Zastanawiałem się, ile ci zajmie powrót do korzeni.

Nisha na chwilę milknie. Jasmine, prasująca po drugiej stronie pokoju, obserwuje ją, czujna i zatroskana. Radziła jej, żeby do niego nie dzwoniła, żeby to przeczekała, pozwoliła, by trochę się pomartwił, ale w Nishy przez cały wieczór narastała złość i nie była w stanie się powstrzymać.

– Sam jesteś jak z rynsztoka, Carl! – krzyczy do telefonu. – Wiem, że ta sprawa z butami to tylko twoje głupie gierki, by nie zapłacić mi tego, co mi się należy. Ale to ci się nie uda. Żaden sędzia na świecie nie pozwoli ci traktować mnie w ten sposób.

– Znajdź choćby jednego, skarbie – odpowiada Carl lekkim tonem i wybucha śmiechem.

– Po prostu oddaj mi moje pieniądze! Carl, nie możesz tak robić! Jestem twoją żoną!

– Oddaj mi buty, a porozmawiamy.

– Wiesz przecież, że je skradziono! Boże, pewnie sam je ukradłeś, by mnie zostawić z niczym! Co to za głupia, dziecinna gra?

– Zaczynasz mnie już nudzić – stwierdza zimno Carl. – Nie będzie butów, nie będzie pieniędzy. – Po czym się rozłącza.

Nisha wpatruje się w telefon z otwartymi ustami. Jasmine staje przed nią i w milczeniu wręcza jej poduszkę. Nisha spogląda na nią ze zdziwieniem.

– O co chodzi? – pyta. – Po co mi to?

– Wykrzycz się do niej, skarbie. Jeśli będziesz się za bardzo wydzierać, znowu dostanę skargi od administracji.

Czasami Nisha myśli o osobie, która zabrała jej buty, tak samo jak i o kaczcie, którą dostała od Aleksa, a która może dalej podróżuje pod siedzeniem wokół Battersea i Peckham, owinięta w muślinową szmatkę. Jej buty leżą najprawdopodobniej w szafie jakiejś mocno wymalowanej imprezowiczki albo w komisie, zapakowane w bibułę, by zaraz polecieć do influencerki z Dubaju. Carl pewnie będzie wniebowzięty, jeśli Nishy nie uda się ich odzyskać. A ona czasami tak bardzo go nienawidzi, że aż boli.

– Na początku żartowałam, że tęsknisz za swoimi ciuchami bardziej niż za mężem – mówi Jasmine, gdy siedzą przed telewizorem, a ona usuwa Nishy resztki doczepianych włosów. Zaczęły odpadać, tworząc przy skórze małe kołtuny, a bez nich Nisha czuje się, jakby jej głowa była dziwnie lekka i pozbawiona czegoś ważnego. – Ale chyba naprawdę tak jest? Tęsknisz za nimi? Serio pytam. Nie pomstujesz na tę kobietę za to, że ukradła ci męża, ale, rany, o te ciuchy to jesteś porządnie wściekła.

Te słowa ją zaskakują. Spogląda na Jasmine, zastanawiając się nad nimi przez chwilę, a potem bierze nachosa z miski, chrupie go i odzywa się dopiero po chwili.

– One chyba coś dla mnie symbolizują. Reprezentują taką wersję mnie, jaką zawsze pragnęłam się stać.

– To znaczy?

– Nie masz pojęcia, skąd pochodzę.

– A skąd pochodzisz?

Nisha przez chwilę wpatruje się w telewizor. Aż wreszcie odpowiada:

– Z małego miasteczka na Środkowym Zachodzie, gdzie kupowaliśmy ubrania w DollarSave. Przy odrobinie szczęścia były nowe.

– W czym?

– To coś w rodzaju dyskontu. Jak wasz Primark, czy jak mu tam. Ale nie taki luksusowy.

Jasmine parska śmiechem.

– Jaja sobie ze mnie robisz.

Nisha kręci głową. Nigdy nie opowiadała nikomu tej historii. Nie po tym, kiedy w wieku dziewiętnastu lat wsiadła w autobus do Nowego Jorku i zostawiła za sobą Anitę.

– Mama porzuciła mnie, gdy miałam dwa lata. Dorastałam z tatą i babcią, a oni uważali, że ciuchy to próżne zachcianki, a próżność to dzieło szatana. Tak mi przynajmniej mówili. Teraz myślę, że po prostu woleli wydawać pieniądze na taniego burbona. Więc o wszystko musiałam błagać, a to, co dostawałam, pochodziło z DollarSave, gdzie każda rzecz była po oczach taniością, a do tego zawsze kupowali mi ciuchy o dwa rozmiary za duże, żebym za szybko z nich nie wyrosła. Oboje byli skąpi i bezduszni. Jeśli czegoś nie było w DollarSave,

kupowali mi ubrania z drugiej albo trzeciej ręki w sklepach charytatywnych.

Jasmine słucha jej z uwagą. Nisha kontynuuje:

– Te w naszej okolicy były tak koszarne, że nawet najbiedniejsi sąsiedzi byli zbyt dumni, by kupować w nich ubrania. I wszyscy w szkole wiedzieli, że masz na sobie ciuchy stamtąd. Potrafili to poznać od razu i spuścić za to łomot. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam wszystkich ubrań, które nosiłam. Kiedy trochę podrosłam, zaczęłam nosić koszule taty, ponieważ nawet one były lepsze niż te koszarne ciuchy dla dziewczynek. I przynajmniej były wytrzymałe. A w miejscu, gdzie dorastałam, było mniejsze ryzyko, że przytrafi ci się coś złego, gdy wyglądało się jak chłopak. – Nisha zapala papierosa i chociaż normalnie Jasmine nie pozwala jej palić w mieszkaniu, nie powstrzymuje jej tym razem, gdy widzi, jak drży jej ręka.

– Więc jakim cudem skończyłaś jako żona milionera? – pyta, robiąc wielkie oczy ze zdumienia.

Nisha bierze głęboki oddech, wypuszcza z ust smugę dymu i wzrusza ramionami.

– Robiłam to, co wszyscy. Pracowałam w miejscowych barach, by odłożyć trochę pieniędzy. Całkiem dobrze wyglądałam. Albo miałam w sobie coś takiego, co sprawiało, że faceci dawali mi duże napiwki. Zrozumiałam, że mogę to wykorzystać. Pojechałam do dużego miasta, łąpałam się tam wszelkich możliwych zajęć, sprzątałam, pracowałam w barze, trochę kombinowałam, stałam się Nishą. Zobaczyłam to imię w jakimś czasopiśmie i uznałam, że brzmi wyrafinowanie. Pracowałam dla faceta, który znał kogoś w pewnej galerii, potem przeniosłam się do lepszej i w ciągu kilku lat zmieniłam się zupełnie. Pozbyłam się małomiasteczkowego akcentu. Porzuciłam wydekoltowane bluzki i zaczęłam się umawiać z facetami, którzy mieli w domach półki pełne książek. Stałam się kimś, z kim się nie zadzierało. Carla poznałam, kiedy przyszedł do naszej galerii kupić obraz, Kandinsky’ego, po znacznie zawyżonej cenie, tak na marginesie, i spodobała mi się jego pewność siebie. Imponowało mi, że gdy wchodził do jakiegoś miejsca, zawłaszczał całą przestrzeń. Był czarujący. Dało się zauważyć, że ma kasę. I władzę. I podobało mi się, jak na mnie patrzył. Jakbym już należała do jego świata.

– Nie znał twojej przeszłości?

– Och, o paru rzeczach mu wspomniałam. Na początku mi nie wierzył, a potem uznał, że to zabawne. Czasami miałam wrażenie, że był ze mnie dumny z tego powodu, bo uwielbia twarde babki, ale od czasu do czasu, kiedy był wkurzony, lubił mi to wypominać. Wyzywał mnie od białych śmieci, od wieśniaczek albo się ze mnie wyśmiewał. Ale kiedyś naprawdę myślałam, że nigdy nie będzie próbował ze mną zadzierać, tak jak to robił z innymi, bo wiedział, że przeszłam już szkołę życia. I że niczego się nie boję.

Nisha zaciąga się końcówką papierosa i gasi go stanowczym ruchem o krawędź talerza.

– Tu go najwyraźniej źle oceniłam – dodaje.

– Zaraz, zaraz – wtrąca się Jasmine. – A więc już wcześniej czyściłaś toalety!

Nisha podnosi wzrok.

– Serio, akurat to zapamiętałaś z tej historii? – Śmieje się gorzko. – Owszem, ale ostatni raz, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata. Anita czyściła toalety. Nisha nawet nie dotknęła szczotki, zanim zjawiała się tutaj.

– O Boże. Nic dziwnego, że nienawidzisz tego faceta.

– Nawet nie wiesz jak bardzo.

Nagle przypomina jej się, jak pewnego upalnego wieczoru w Nowym Jorku siedziały z Julianą na schodach przeciwpożarowych, na parę miesięcy przed tym, jak poznała Carla. Paliły wtedy na spółkę papierosa, śmiały się, narzekały na swoich szefów i zagwizdały na facetów, którzy właśnie kończyli pracę na budowie. Gdy robotnicy zaczęli odpowiadać na ich zaczepki, duszne powietrze rozbrzmiało chichotem Juliany, a gdy odrzuciła głowę do tyłu, jej kręcone brązowe włosy odbiły się od ramion. Juliana polubiłaby Jasmine, myśli Nisha.

Zaraz potem nawiedza ją kolejne wspomnienie, z ostatniego dnia, kiedy się widziały. Pamięta uniesioną głowę Juliany, jej zduszony głos, kiedy Nisha stała w przestronnym, bogato zdobionym apartamencie Carla i wyjaśniała, jakie problemy jego zdaniem stwarzała ich dalsza przyjaźń.

– Więc wybierasz to? Tylko to się dla ciebie liczy? Jestem twoją przyjaciółką! Matką chrzestną twojego syna, na litość boską! – Juliana cofnęła się od niej z wykrzywioną twarzą. – Kim ty w ogóle jesteś, Nisha? Bo będę z tobą szczerą, sto razy bardziej wolałam Anitę.

Głos Jasmine przywołuje ją do teraźniejszości.

– Nish, czułam wcześniej, że twarzą z ciebie sztuka, ale teraz już nie mam co do tego wątpliwości.

Odzyskasz swoje ciuchy i nie tylko je. To pewne. Musimy tylko obmyślić jak.

– My?

Jasmine spogląda na nią z szeroko otwartymi oczami.

– Cały ten Carl to obraza dla wszystkich kobiet! Chyba nie myślałaś, że zostawię cię z tym samą? Teraz jesteśmy w jednej drużynie. Ale czekaj, muszę ci coś opowiedzieć.

– Co takiego?

– No więc tak – zaczyna Jasmine z uśmiechem. – Wyrzucałam stare zabawki Grace, sama wiesz, że nie mamy tutaj za dużo miejsca. I znalazłam jej gadżety do robienia psikusów. Uwielbiała takie rzeczy, kiedy była młodsza. Pierdzące poduszki, guma do żucia, która razi prądem, tego typu rzeczy, kojarzysz? No, nieważne. I znalazłam dwie paczki śwędzącego proszku. No i... – Łączy ze sobą opuszki palców. – Przez dwa ostatnie dni, kiedy sprzątałam penthouse, zostawiałam Carlowi prezent w slipkach.

Nisha wpatruje się w nią zdezorientowana.

– Nish, szłam za nim korytarzem dzisiaj rano. Dziewczyno, mało się nie posikałam. Widać było, że nieźle go tam śwędziało. – Wstaje i symuluje jego chód. Zaczyna się śmiać na to wspomnienie, zamykając oczy i zasłaniając rękami nos. Kiedy już udaje jej się opanować, spogląda na Nishę. – Możesz na mnie liczyć, mała. To teraz nasz wspólny problem.

Nisha mruga. Gdyby miała inny charakter, może w tym momencie zarzuciłaby ręce na ramiona Jasmine, rozplakała się, podziękowała i poprzysięgła jej przyjaźń aż po grób. Ale Nisha nie jest tego typu kobietą. Już nie. Przez chwilę wpatruje się w twarz Jasmine, a potem kiwa głową.

– Odwdzięczę ci się – mówi. – Za wszystko.

– Wiem – odpowiada Jasmine.

– I jeszcze jedno: jesteś genialna.

– Zastanawiałam się, kiedy to wreszcie dostrzeżesz – rzuca Jasmine i wychodzi z pokoju, nucąc coś pod nosem.

Tego wieczoru, kiedy Grace leży już w łóżku w słuchawkach wygłuszających, Nisha wspina się na górę, kładzie się – sufit jest za nisko, by mogła usiąść – i wybiera numer do Raya.

– Mamo?

– Cześć, kochanie – wita go i prosi, by opowiedział jej, co u niego słychać.

Ray skarży się, że ma problemy z zasypianiem i doprowadza go to do szału. Lubiany przez niego kierownik internatu, Big Mike, pokłócił się z administratorem i się zwolnił. A bez niego i Sashy Ray nie ma tu z kim porozmawiać. Nowa dziewczyna z niższego piętra wymiotuje po kryjomu po każdym posiłku, personel niby o tym nie wie, tyle że toalety na dole ciągle śmierdzą rzygami, więc trudno mu uwierzyć, że nikt inny tego nie czuje.

– Mamo? Kiedy przyjeżdżasz?

Nisha zamyka oczy i bierze głęboki oddech.

– Już niedługo.

– Ale kiedy? Nie rozumiem, po co ciągle siedzisz w tej Anglii.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć, kochanie. I wolałabym to zrobić osobiście, ale teraz nie mam takiej możliwości.

Ray milczy, a ona kuli się ze strachu przed tym, czym zaraz go obarczy.

– No więc tata i ja... prawda jest taka, że my... wiesz, od pewnego czasu nie układa się między nami...

– Odchodzisz od niego?

Nisha przetyka ślinę.

– Tak jakby. Choć w sumie nie do końca. Tata... stwierdził, że lepiej mu będzie z kimś innym, a ja zgodziłam się, że to pewnie dla wszystkich najlepsze rozwiązanie i teraz, yyy, próbujemy obmyślić, jak to zrobić, by jak najmniej cię to dotknęło.

Ray znowu milczy. Nisha przykładą rękę do policzka i obniża głos.

– Tak mi przykro, Ray. Naprawdę nie chciałam, byś przez to przechodził. Ale wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci. Wciąż będziemy rodziną, tylko w trochę innym kształcie.

Jej syn dalej się nie odzywa. Nisha słyszy jedynie jego oddech, więc wie, że wciąż tam jest.

– Ray...? Kochanie? Wszystko w porządku?

– Jak dla mnie może sobie iść w cholerę.

– Naprawdę?

Chwila ciszy.

– W końcu i tak przez ostatnie lata mnie unikał.

– Och, to nie tak. Bardzo chciał spędzać z tobą czas, kochanie. Tylko był bardzo zajęty.

– Mamo, oboje dobrze wiemy, że to nieprawda. Mój terapeuta rozmawiał ze mną o szczerości i realistycznym spojrzeniu na świat. Więc jeśli tata chce odejść, nie mam z tym problemu. Jego strata. – Po chwili milczenia kontynuuje: – Tak właściwie rozmawiałem z nim dwa dni temu. Powiedziałem mu, że chcę wrócić do domu, a on na to, że trzeba było wcześniej nie robić głupot, a do tego że jestem... Powiedział, że jestem ciężarem. I że nie można mi ufać.

– Ciężarem?

– Nie przejmuj się. Powiedziałem mu, żeby się walił.

Z jego głosu przebija apatia, od której Nisha czuje ścisk w żołądku. Przez lata był taki odważny, ale Nisha boi się, że odrzucenie Carla jest raną, która się nie zagoi.

– Czy naprawdę wszystko u ciebie w porządku, kochanie?

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Ray?

– W sumie to nie jest dobrze.

– Jak bardzo nie jest dobrze? – Gdy Ray nie odpowiada, dodaje: – Okej. Powiedz mi, jak bardzo jest ci smutno, w skali od jednego do dziesięciu. – Tak jej zalecił robić ostatni psychiatra, kiedy rozmowy o uczuciach stają się zbyt trudne.

Następuje chwila milczenia, a potem pada:



– Może osiem?

Żołądek jej się przewraca.

– Nie chciałem ci nic mówić, bo tak coś czułem, że między tobą a tatą nie dzieje się najlepiej i... nie chciałem cię martwić.

– Ray? No co ty. Nie musisz się o mnie martwić, słowo. Zabiorę cię z tamtej szkoły, jak tylko będę mogła, jasne? Zamieszkamy razem w jakimś przytulnym mieszkanku, tylko ty i ja. Gdziekolwiek będziesz chciał.

– Poważnie?

– Wszystko będzie zależeć od ciebie.

– I nie będę już musiał tu mieszkać?

– Nie. Oszczędzam pieniądze, żebyśmy mogli być razem. Problem polega na tym, skarbie, że teraz nie mam cię gdzie przyjąć. Mieszkam u koleżanki, w jej mieszkaniu jest już ciasno, więc najpierw muszę załatwić sprawy finansowe z tatą, a potem już będziemy razem.

– Błagam, mamó. Byle szybko. Nie znoszę tego miejsca. Nienawidzę go. Kiedy tu jestem, mam wrażenie, jakby coś było ze mną nie tak.

– Wszystko jest z tobą w porządku. – Jej oczy napełniają się łzami. – Jesteś absolutnie doskonały taki, jaki jesteś. I zawsze byłeś. – Nisha ociera dłonią policzek. – Więc nie jest ci przykro z powodu taty?

– Dlaczego miałoby mi być przykro? To zwykły dupek. Okropnie się do ciebie odnosi, a mnie traktuje jak powietrze. A ty zawsze chodzisz wokół niego na palcach, jakby był jakimś bogiem. Niech sobie idzie i traktuje tak kogoś innego, mnie to pasuje. Byle nas zostawił w spokoju.

Ten brutalny opis jej związku wywołuje u niej mdłości.

– O Boże, Ray. Tak mi przykro, że trafił ci się taki tata.

– Mam to gdzieś. – Ray pociąga nosem. – Tak jak powiedziałem, jego strata... Więc kiedy przyjeżdżasz?

Nisha tłumaczy mu, na czym polega problem, że utknęła w Anglii, bo wyjaśniają z Carlem sprawy finansowe. Stwierdza, że jego psychika więcej naraz nie udźwignie.

– Ogarniam to, ale będziesz musiał jeszcze trochę wytrzymać. Wiesz, jakie tata potrafi rzucać kłody pod nogi.

– O jakie sprawy finansowe chodzi? – Widać, że jego terapeuta ciężko pracuje.

– Yyy... chce, bym mu coś oddała, zanim podpisze ze mną ugodę. Uprawia jakieś swoje gierki. Ale już nad tym pracuję.

– O co chodzi? Czego chce?

– O coś, czego akurat nie posiadam.

– Mamó – upomina ją niecierpliwym tonem.

– Chodzi o buty.

– O buty?

– Tak.

– A na co mu twoje buty?

– Moja koleżanka Jasmine myśli, że to jakiś podstęp z jego strony. Ponieważ on wie, że mi je skradziono na siłowni. Więc pewnie gra na zwłokę, a w tym czasie obraca tym pieniędzmi czy coś takiego.

– O które buty chodzi?

Cały Ray.

– Te wykonane na zamówienie, od Christiana Louboutina. Czerwone z krokodylej skóry.

Czeka na jego jęk protestu. Ale Ray milczy.

– Załatwię to, kochanie. Obiecuję. Każę wykonać jakieś podróbki, jeśli będzie trzeba. Tata czasem tak lubi utrudniać życie.

– Ale przecież to już były podróbki.

– Słucham?

– Te buty. Jeśli to te, o których myślę, to moim zdaniem nie są prawdziwe louboutiny.

– Przecież kazał je zrobić specjalnie dla mnie, kochanie. Oczywiście, że są prawdziwe.

– W marcu tamtego roku, kiedy jeszcze mieszkalem w domu, siedziałem w pokoju obok jego gabinetu, a on z kimś rozmawiał przez telefon. Pamiętam, jak mówił: „Christian tego nie robi. Będziesz musiał

skombinować coś innego”. A potem kilka tygodni później dał ci te buty i to zapadło mi w pamięć, ponieważ nie kupił ci niczego od wieków, a potem się im przyjrzałem, i owszem, wyglądały jak louboutiny, ale pomyślałem, że coś jest z nimi nie tak. Sygnatura na nich była jakaś dziwna. I nie wydaje mi się, by podeszwa miała ten sam odcień czerwieni, co u Louboutina. Była nieco zbyt... krzykliwa.

– Że co? To przecież niemożliwe. Dlaczego tata miałby mi kupować podróbki?

– Nie mam pojęcia. Ale wtedy pomyślałem, że to dziwne. Tylko że ty byłaś nimi zachwycona, on się cieszył, że cały czas je nosisz, więc nie chciałem ci psuć przyjemności i już potem nie zwracałem sobie tym głowy.

Nagle Nisha przypomina sobie coś nietypowego. Kiedy Carl podarował jej te buty, nie znajdowały się w pudełku wyłożonym bibułką ani w miękkiej torbie z materiału, jak inne louboutiny. Dostała je w czarnej jedwabnej torbie bez żadnych oznaczeń. Nisha stwierdziła wtedy, że to dlatego, że wykonano je na specjalne zamówienie.

– Ale to nie ma sensu, kochanie. Dlaczego tata miałby mi kupować podrabiane louboutiny? Mógłby kupić cały ich sklep, gdyby tylko chciał. I po co teraz tak by naciskał, by je odzyskać?

– Nie wiem, mam. Ale możesz to jak najszybciej załatwić i po mnie przyjechać? – Jego głos staje się coraz cichszy. – Błagam. Naprawdę za tobą tęsknię.

– Ja też za tobą tęsknię, kochanie. Ogarnę to. Obiecuję. Tylko błagam... dbaj o siebie. Tak bardzo cię kocham.

– Mam...?

– Tak?

Chwila ciszy.

– A u ciebie wszystko w porządku?

Z jej piersi wyrывa się stłumiony szloch i Nisha przykładła rękę do ust. Odczekuje kilka chwil, dopóki nie ma pewności, że jej głos będzie spokojny.

– Kochanie, absolutnie nic mi nie jest.

DollarSave. Połowę sklepu zajmowała pasza dla zwierząt i rozmaite narzędzia, na półkach leżały tam węże, lampy jarzeniowe i gumowe maty. Druga połowa była zaopatrzona w artykuły pierwszej potrzeby: duże opakowania zup i ryżu, kartony sterylizowanego mleka, ręczniki papierowe ułożone w wielkie stosy. Unosił się tam zapach chemii i beznadziei. Miała wtedy siedem lat. To był pierwszy raz, kiedy tata kazał jej to zrobić. Weszła do sklepu w burozielonym watowanym płaszczu przeznaczonym dla dzieci od dziewięciu do jedenastu lat, w którym właściwie tonęła, a wyszła również w nim, ale z kilkoma swetrami i butelką burbona Jim Beam pod spodem. Nikt nie podejrzewał, że taka urocza dziewczynka mogłaby wynieść ze sklepu skradzione rzeczy. To był jedyny raz, kiedy tata powiedział jej, że jest w czymś dobra.

Jeździli na zmianę do trzech sklepów w okolicy, w każdym byli raz, góra dwa w tygodniu. Tylko raz została przyłapana – kiedy niechcący upuściła swoją zdobycz przy dziale z płatkami – a wtedy wybuchnęła płaczem i powiedziała, że chciała zrobić tatusiowi prezent na urodziny, na co ochroniarz się roześmiał i zapytał: „Tatusi lubi burbona, co?”. Odprawił ją z paczką ciastek i upomniał, żeby zawsze szła ze wszystkim do kasy. Jej tata, który czekał przed sklepem w samochodzie, roześmiał się. Zwłaszcza gdy wyjęła inną, mniejszą butelkę, przemyconą z tyłu za paskiem.

– Widzisz, Anita? – powiedział, otwierając flaszkę i pociągając łyk. – Ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć. Jeśli mają przed oczami kogoś tak uroczego jak ty, nawet nie biorą pod uwagę, że mogłabyś mieć złe zamiary.

Nisha leży na swoim wąskim materacu, z dołu dochodzi ją metaliczny dźwięk sączący się ze słuchawek Grace i chociaż od niedzieli zrobiła cztery pojedyncze zmiany i jedną podwójną, nagle na myśl o swoich butach czuje się zupełnie rozbudzona.

Choć nie wydawało jej się to możliwe, White Horse wygląda jeszcze obskurniej w świetle dnia, wiotkie liście półobumarłych roślin zwisają smętnie z doniczek przed wejściem, a szyld jest popękany i się łuszczy. Nisha zamieniła się z Jasmine, żeby przyjść do pubu, kiedy będą go otwierać o jedenastej. (Kto, do jasnej cholery, zaczyna pić o tej porze? Co jest nie tak z tymi Anglikami?). Wcisną się do środka od razu, gdy barman otwiera drzwi, i natychmiast domaga się zobaczenia nagrania z kamery.

– Chwileczkę. Jeszcze nie otworzyłem kasy.

– Czy ja wyglądam na osobę, która potrzebuje się napić?

– To po co przychodzi pani do pubu? – Chłopak jest w typie hipstera, ma ciemne włosy zebrane w kucyk, a na jego twarzy zaczyna się malować irytacja.

Nisha zmienia więc taktykę.

– Bardzo przepraszam, że zwracam ci głowę. – Uśmiecha się. – Miałam nadzieję, że mógłbyś mi w czymś pomóc. Skradziono mi coś kilka tygodni temu i zastanawiałam się, czy jest taka możliwość, by obejrzeć nagranie z kamery.

– Słucham?

Nisha podnosi wzrok i dostrzega małe kopułki u sufitu.

– Macie tu kamery, prawda? – Wskazuje w górę.

– Tak – odpowiada chłopak, podążając wzrokiem za jej palcem. – Ale raczej nie mogę tak każdemu puszczać...

– To zajmie dosłownie pięć minut. – Nisha kładzie mu rękę na ramieniu. I lekko ściska. – Dosłownie uratowałbyś mi życie.

Barman wpatruje się w nią, lekko dezorientowany, a ona posyła mu słodki, ufny uśmiech.

– Posłuchaj, znalazłam się w lekkich tarapatkach. Jestem kobietą zdaną na siebie w obcym kraju i w moim życiu pojawiły się pewne problemy, o których długo by opowiadać, dlatego potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że to nadużycie uprzejmości, i wierz mi, w innych okolicznościach nie zwracałabym ci głowy. Widzę, że jesteś zajęty. Ale naprawdę bez twojej pomocy się nie obejdzę.

To miły chłopak. Nisha widzi wahanie na jego twarzy.

– Nie sądzę...

– Mogę podać ci datę, godzinę i inne szczegóły. To zajmie ci tylko pięć minut.

– Tak, ale chodzi o ochronę danych i tym podobne...

– Nie proszę przecież o nazwiska czy adresy. Chcę tylko sprawdzić, czy coś tam znajdzie.

– Trzymamy tylko nagrania z sześciu ostatnich tygodni.

– Idealnie.

Chłopak marszczy brwi i wbija wzrok w ziemię. Kiedy na nią spogląda, na jego twarzy maluje się podejrzenie.

– A kim tak w ogóle pani jest? Nie jest pani z policji?

Nisha wybucha perlistym śmiechem.

– Och, Boże, nie. Czy ja wyglądam na policjantkę? Mam na imię Anita. Zajmuję się... wychowywaniem dziecka.

– A może facet panią zdradza i ma pani zamiar wszcząć jakąś wojnę gangów?

– Skarbie, gdyby facet mnie zdradzał, nie potrzebowałabym oglądać żadnych nagrań, żeby dostał za swoje.

Barman ogląda się za siebie, chociaż są jedynymi ludźmi w pubie.

– Musiałbym to pani pokazać tutaj. W barze. Klienci nie mogą wchodzić na zaplecze.

– Jasne. Ostrożność przede wszystkim.

Kiedy widać, że chłopak znowu się waha, Nisha spogląda na plakietkę z jego imieniem.

– Milo. Milo, dobrze mówię? Naprawdę uratowałbyś mi życie. Muszę namierzyć jedną osobistą rzecz.

Ktoś na tym nagraniu może ją mieć na sobie.

Barman znowu zerka za siebie.

– I mówi pani, że wie dokładnie, kiedy to było.

– W piątek, siódmego. Chciałabym zobaczyć jakieś godzinne nagranie z tego wieczoru. Tak najlepiej, yyy, między ósmą a dziewiątą.

– Proszę się stąd nie ruszać – odpowiada. – Załaduję je na iPada i zaraz wracam.

– Jesteś po prostu boski! – wykrzykuje Nisha i znowu dotyka jego ręki. – Bardzo, bardzo ci dziękuję. – Widzi, jak jego mina łagodnieje, i myśli z satysfakcją: wciąż jeszcze mam to coś.

Dziesięć minut później siedzi za barem i popija cappuccino, podczas gdy Milo ze znanym millenialsa przewija nagranie z kamery, od czasu do czasu powiększając obraz.

– Wszystkie nagrania są czarno-białe? – pyta Nisha.

– Tak. Ale możemy przybliżyć, jeśli dostrzeże pani coś ciekawego. Obraz jest całkiem wyraźny. Mówi pani, że chodzi o buty?

– Tak, szpilki z piętnastocentymetrowym obcasem, zapinane na pasek. To louboutiny. Pewnie nigdy nie zobaczysz tutaj niczego lepszego.

– I mówi pani, że ktoś je zwinął?

– A do tego miał je tutaj na sobie. Wszystko na to wskazuje.

Chłopak wpatruje się w ekran.

– Buty to buty. Jest tutaj mnóstwo kobiet w szpilkach. Jak pani pozna, które są pani?

– Och, nie martw się, na pewno je poznam.

Nisha sączy cappuccino przygotowane przez barmana, a przed jej wzrokiem przewijają się kolejne koszmarnie tanie, toporne buty. Kolejne pijane, zataczające się dziewczyny i łysi kolesie. Nagle odczuwa ukłucie niepokoją. To ostatni White Horse. Jeśli tutaj niczego nie znajdzie, nie ma już żadnych tropów. A wtedy...

– Są! – wykrzykuje i dźga palcem ekran. – Zatrzymaj! Możesz dać zbliżenie? Na tę kobietę?

Dziewięta siedemnaście, piątkowy wieczór. Kobieta w kiepskiej fryzurze, potykając się, wraca pijana z parkietu i idzie ramię w ramię z jakąś inną w stronę stolika wypełnionego butelkami, a jej stopy widać tylko przez chwilę. Milo przewija kilka ujęć, a potem przesuwając palcem po ekranie, by zrobić na nie zbliżenie. Nisha każe mu powiększyć obraz maksymalnie, aż zaczyna się rozmywać, ale nie ma wątpliwości, że to są jej buty. Zalewa ją fala ekscytacji.

– To one! To na pewno one! Możesz przejechać wyżej? Pokazać mi jej twarz?

I oto ona, złodziejka butów, nijaka kobieta w średnim wieku, z półprzymkniętymi oczami i włosami, których kosmyki lepią jej się do spoconej twarzy. Z każdą kłatką chwiejnym krokiem przybliża się do stolika, a w pewnym momencie jej kostka lekko się wygina.

– To ona. To kobieta, która ukradła mi buty – szepcze Nisha, wpatrując się w wypikselowany obraz.

– To dziwne. – Milo kręci głową.

Nisha spogląda na niego.

– Wiesz może, kto to jest?

Barman marszczy brwi, przesuwając obraz, by się przyjrzeć ludziom przy tamtym stoliku. Przewija to w jedną, to w drugą stronę.

– Yyy... wydaje mi się, że to ludzie z Uberprinta.

– Z czego?

– Z firmy poligraficznej. Faktycznie. Proszę spojrzeć, tutaj za nią widać Joela. To ten z dreadami. A tu siedzi Ted. Zawsze przychodzą do nas w piątki.

– Uberprint – powtarza Nisha. – Możesz mi to zapisać?

A potem, kiedy barman wręcza jej karteczkę, Nisha nagle uśmiecha się szczerym, promiennym uśmiechem radości i wdzięczności, takim, jaki rzadko gości na jej twarzy. Milo, usatysfakcjonowany, odpowiada jej tym samym. Spoglądają na siebie przez chwilę.

– Czy może...

– Nawet o tym nie myśl – przerywa mu Nisha i zeskakuje ze stołka barowego.

Kiedy Nisha pojawia się w kuchni, jest tam sam, czyści palniki i blaty, by wszystko było gotowe na wieczorną zmianę. Akurat, pochylony, zdrapuje płamę z kuchenki.

– Hej! Aleks! – Odwraca się na dźwięk swojego imienia, a ona podbiega do niego. – Wiem już, kto ukradł moje buty! – wykrzykuje zdyszana. Nie jest w stanie powstrzymać emocji. Uśmiecha się promiennie od ucha do ucha i wyrzuca pięść w górę.

– Nie żartuj! Teraz nareszcie twoje życie wróci do normy! – Jego twarz rozjaśnia się radosnym uśmiechem, upuszcza ściereczkę, łapie Nishę w pasie, podnosi i obraca, a ona piszczy, wymachując nogami.

I nagle, pod wpływem impulsu, Nisha ujmując jego twarz w dłonie i przywiera do niego ustami. Po krótkiej chwili wahania Aleks obejmuje ją, przyciąga do siebie, pochyla głowę i odwzajemnia pocałunek. Jego usta są ciepłe i miękkie, jego skóra styka się z jej skórą. Nisha zatracza się w tym pocałunku, daje się całkowicie pochłoniąć dotykowi jego ust, tym silnym rękoma, które przyciągają ją do siebie. Aleks pachnie ciepłym chlebem, mydłem i szamponem. Smakuje tak dobrze, że Nisha dosłownie ma ochotę go schrupać. Gdy kąsa lekko jego dolną wargę, Aleks wydaje z siebie cichy jęk, a ona stwierdza, że nigdy nie słyszała niczego równie podniecającego. Kładzie rękę na jego karku, przyciska do niego swoje ciało. Czas staje w miejscu i wszystko wokół zaczyna wirować. A wtedy nagle słychać drzwi otwierające się w dalekim końcu kuchni, przy części

cukierniczej, więc natychmiast odrywają się od siebie. Nisha niezdarnie przygląda włosy, robiąc jednocześnie krok w tył.

Minette bierze dwie aluminiowe tacki z surowym ciastem i nucąc pod nosem, popycha drzwi pośladkami. Aleks podąża za jej spojrzeniem, a potem spogląda z powrotem na Nishę. Głośno wypuszcza z płuc powietrze, jak gdyby przez dłuższy czas je wstrzymywał.

– No tak – mówi Nisha, kiedy Minette znika w drzwiach.

– No tak – powtarza Aleks. Spogląda na swoje buty, trochę oszołomiony, i Nisha odczuwa lekką satysfakcję. Kiedy Aleks znowu podnosi wzrok, ich spojrzenia się spotykają, a jej policzki delikatnie oblewają się rumieńcem.

– Jesteś kobietą, której trudno się przeciwstawić.

Na jej ustach zakwita figlarny uśmiech.

– Radzę ci to zapamiętać – mówi. A potem otrzepuje spodnie, jeszcze raz na niego zerka i ponieważ nie wie, co ze sobą zrobić, wychodzi z kuchni.

Samochód nie chce odpalić. No jasne. Simon powtarzał jej wczoraj cztery razy, że nie może się dzisiaj spóźnić. O dziewiątej mają spotkanie strategiczne, o dziesiątej działu sprzedaży, o jedenastej w sprawie nowych projektów, a centrala miała być obecna na nich wszystkich. Powiedział to ostrzegawczym tonem, jak gdyby to oznaczało dla niej coś złego.

– Phil...? Phil? – Sam wchodzi do kuchni, gdzie siedzi Cat z nosem w telefonie i zajada tosta. – Gdzie jest tata? Nie ma go na gorze. – Jej córka wzrusza ramionami. – Cat? Gdzie jest ojciec? Musiałas go widzieć.

– Pewnie przy kamperze.

Sam nie ma teraz czasu, by roztrząsać chłód córki albo fakt, że odpowiada jej, nawet na nią nie patrząc, choć wczoraj wieczorem się z tego powodu popłakała. Łapie torebkę i wybiega z domu. Maskę kampera jest podniesiona, Phil grzebie pod nią, zanurzony w niej do połowy.

– Samochód nie chce odpalić.

– To pewnie akumulator. Trzeba go wymienić.

Sam czeka, aż jej mąż wynurzy się spod maski, ale na próżno.

– Phil?

– Co?

– Mógłbyś mi pomóc? Masz kable rozruchowe? Muszę być w pracy na dziewiątą, bo inaczej będę mieć problemy.

– To lepiej weź taksówkę.

Sam wpatruje się w nogi męża. Od kilku dni zastaje go tu o każdej porze. Na początku ją to cieszyło: fakt, że Phil ruszył się sprzed telewizora, zakrawał na cud. Ale w tym, ile czasu spędza tu teraz, jest coś niepokojącego, jak gdyby wolał zajmować się czymkolwiek, byle nie przebywać w jej towarzystwie.

– Nawet nie spróbujesz mi pomóc?

Wreszcie Phil wyłania się spod maski i na nią spogląda. Jego twarz jest dziwnie obojętna.

– Przecież nie wyczaruję ci akumulatora, co nie?

Ich spojrzenia na chwilę się spotykają, a Sam przebiega lekki dreszcz, gdy widzi chłód w jego oczach.

– No to dzięki – odpowiada wreszcie z przekąsem. – Stokrotne dzięki.

Phil bez słowa bierze brudną szmatkę leżącą obok silnika i na nowo znika pod maską.

Sam siedzi w taksówce, kiedy dzwoni jej matka. Za osiemnaście minut powinna być w biurze i próbuje teraz obmyślić, jak się wytłumaczyć. Jeśli zrzuci wszystko na problemy z samochodem, Simon skrytykuje ją za brak organizacji, jak gdyby ktokolwiek był w stanie przewidzieć, że padnie mu akumulator. A może powinna powiedzieć, że na drodze był wypadek? Ale to ten typ, który to sprawdzi, tylko po to, by udowodnić jej kłamstwo. Więc lepiej nie zmyślać. Może powinna po drodze zabrać teczkę z dokumentami i wyjaśnić, że wróciła po dodatkowe dane liczbowe.

– Nie przyjechałaś posprzątać w zeszłym tygodniu. Chciałabym też, byś wyszukała dla nas jakieś hymny socjalistyczne.

– Co takiego?

– Hymny socjalistyczne – powtarza matka zniecierpliwionym tonem. – Twój ojciec miał wygłosić w kościele wykład na temat historii *Jeruzalem*, ale zwrócił uwagę, że według biskupa Durham określenie „Szatańskich Młynów mrok” tak naprawdę odnosiło się do kościołów, a nie do prawdziwych młynów, więc to raczej nie wypada. Wiesz, jak łatwo pani Palfrey się obraża. Trzyma się z wikarym, a biedną Tess Villiers nazwała maoistką, ponieważ w zeszłym tygodniu położyła na ołtarzu bezbożne kwiaty.

– Jakie kwiaty?

– Anturium. Bo wygląda jak prącie. Wszyscy byli w szoku. W każdym razie twój tata zrobił coś z tą skrzynką od wi-fi i nie możemy się połączyć z internetem, a musimy znaleźć jakieś odpowiednie hymny socjalistyczne, o których mógłby opowiedzieć. Im szybciej, tym lepiej. Ma po południu wizytę u okulisty.

Sam szuka w torebce zestawu do makijażu. Nie miała jak się umalować w domu, bo Cat zablokowała łazienkę.

– Aha, i postanowiliśmy przyjąć uchodźcę. Ale jest z tym dużo papierkowej roboty i potrzebujemy twojej pomocy. Musimy też wynieść rzeczy z pokoju gościnnego, żeby wstawić tam łóżko. Choć może jakieś

już tam jest. Nie jestem pewna, bo tyle tam tych wszystkich pudeł.

– Uchodźcę? – Sam nie jest w stanie nadażyć za matką.

– Nie można myśleć tylko o sobie, Samantha. Wiesz, że tata i ja lubimy działać na rzecz innych. A wygląda na to, że niektórzy z nich to bardzo mili ludzie. Pani Rogers gości u siebie Afgańczyka, który zawsze zdejmuje buty po wejściu do domu.

– Mamo, teraz nie mogę się tym zająć, mam za dużo na głowie.

Ton matki świadczy o tym, że słowa Sam ubodły ją do żywego.

– Och. No nic, byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu o nas pomyślała.

Sam wtyka telefon między ucho a ramię i próbuje nałożyć brązujący krem nawilżający.

– Naprawdę o tobie myślę, mamo. Nie tylko od czasu do czasu. Posłuchaj, jeśli chcecie przyjąć uchodźcę, to wspaniale. Ale nie mam teraz czasu na sprzątanie waszego pokoju ani na szukanie socjalistycznych hymnów. Za dużo się teraz u mnie dzieje. Zorganizowałam wam dostawę z supermarketu na wtorek i przyjadę wam pomóc, kiedy tylko będę mogła.

– Dostawę z supermarketu. – Powtarza mama zbolalym tonem. – No trudno, chyba będziemy musieli powiedzieć temu biednemu, cierpiącemu Afgańczykowi, że nasza córka jest teraz zbyt zajęta, by zorganizować dla niego łóżko.

– Mamo, ostatni raz widziano łóżko w waszym pokoju gościnnym w dwa tysiące drugim roku, kiedy to tata zaczął na nim układać swoją kolekcję pociągów zakupionych na eBayu. Nawet nie jestem pewna, czy ono dalej tam jest. Posłuchaj, wpadnę, gdy tylko będę mogła. Po prostu mam teraz za dużo na głowie.

– Wszyscy mamy dużo na głowie, Samantha. Nie jesteś jedyną osobą w tej rodzinie, która jest zajęta, wiesz? Boże, mam nadzieję, że nie zwracasz się do Phila w ten sposób. Nic dziwnego, że czuje się zaniedbany.

\*

Jest spóźniona cztery i pół minuty. Gdy wparowuje z pośpiechem do sali, w której odbywa się spotkanie, Simon posyła jej takie spojrzenie, jakby to były cztery godziny.

– Miło z twojej strony, że raczyłaś do nas dołączyć – mówi, zerkając na zegarek i unosząc brwi, a potem spogląda na pozostałych, by mieć pewność, że zauważyli jej spóźnienie.

Przez całe drugie spotkanie Sam myśli, by odwołać lunch z Miriam Price. Simon jest bezlitosny, kwestionuje przedstawiane przez nią dane liczbowe i za każdym razem, gdy ona zabiera głos, wygląda na zajętego czymś innym albo znudzonego albo też stuka końcówką długopisu w notatnik. Czasami nawet mruczy coś pod nosem. Menedżerowie z Uberprintu – którzy wyglądają jak Simon, są ubrani jak Simon i mówią jak Simon – obserwują wszystko i zauważają jej bezradność, więc pewnie już położyli na niej kreskę. Po spotkaniu działu sprzedaży Sam idzie do damskiej toalety, zamyka się w kabinie i zakrywa twarz dłońmi, tak żeby nikt nie usłyszał, jak płacze.

Siedząc tam, pisze do Phila, który nie odpowiada. Teraz dostaje od niego jedną na trzy wysłane przez nią wiadomości, a ona nie jest już pewna, czy to tylko kwestia jego depresji. Wysyła do Cat pytanie w tej sprawie, która odpowiada krótkim: „Nic mu nie jest”. Żadnej buźki na końcu. Żadnego pytania, jak jej mija dzień. Czasami czuje, jakby nikogo już nie obchodziło jej istnienie, i mocno jej to doskwiera. Już ma zamiar napisać do Joela, ale wydaje jej się to trochę przesadzone, jakby przyznawała się w ten sposób do pewnej potrzeby, która budzi w niej dyskomfort. Jej palce zawisają nad klawiaturą, a potem słyszy, że ktoś wchodzi do sąsiedniej kabiny, więc wkłada telefon do kieszeni.

Kiedy wychodzi z toalety, jest już za kwadrans dwunasta: za późno, by odwołać spotkanie z Miriam. Więc ochlapuje wodą twarz, poprawia makijaż i wychodzi z biura, ignorując zjadliwe spojrzenie Simona przez szybę gabinetu.

Kiedy pojawia się w restauracji, Miriam już siedzi przy stoliku przy oknie. Kelner wskazuje Sam miejsce, a wtedy Miriam wstaje i wita ją ciepłym uśmiechem.

– Sam! Cześć!

Zlecenie, na które kontrakt podpisały wcześniej, zostało zrealizowane bez zakłóceń, Miriam była zadowolona z każdego jego aspektu i zadzwoniła do niej osobiście, by podziękować jej za dbałość o szczegóły. Dawniej Sam mogłaby przekazać taką pochwałę swojemu przełożonemu, ale z Simonem nie miało to sensu: i tak znalazłby coś, do czego można się przyczepić, albo zapytał, dlaczego nie wywalczyła większej marży.

– Cudownie cię znowu widzieć – mówi Miriam, wyciąga rękę i następuje nieco dziwny uścisk dłoni.

Miriam ma na sobie sweter w tęcze pasy i ołówkową spódnicę, do tego włożyła botki na obcasie. Sam nigdy nie zdecydowałaby się na taki strój do pracy, ale Miriam wygląda w nim władczo i ekstrawagancko. Sam – z lekkim poczuciem winy – włożyła żakiet od Chanel zamiast czarnych spodni i szarego swetra, w które zwykle ubiera się do pracy, ponieważ na spotkaniu z Miriam Price chciała zrobić profesjonalne wrażenie.

– Włożyłam swoje louboutiny na twoją cześć! – mówi Miriam, wyciągając nogę, by pokazać jej buty. A potem spogląda na jej stopy i Sam ma wrażenie, że wyczuwa u niej lekkie rozczarowanie na widok czarnych czółenek. Od razu żałuje, że nie włożyła tamtych szpilek.

– Są obłędne – stwierdza.

Przez chwilę rozmawiają o pogodzie i o swoich córkach, a potem wybierają jedzenie z menu. Obie zamawiają tę samą sałatkę, Miriam do tego rybę, a Sam vegetariańską tartę, która jest najtańszym z dań głównych. Niepokoi ją, że będzie musiała za to zapłacić, ponieważ Simon ograniczył zwroty za służbowe lunche. Sam już wylicza, ile ją to będzie kosztować.

– Opowiedz mi coś o sobie – zaczyna Miriam – i o tym, jak wylądowałaś w Grayside. Och, przepraszam, teraz się mówi Uberprint, tak? – rzuca te słowa z taką nonszalancją, jakby wiedziała, że może sobie na to pozwolić.

– Nie wydaje mi się, by było dużo do opowiadania. – Sam zaczyna niepewnie, ale widząc zachęcający uśmiech Miriam, kontynuuje: – Tak właściwie nie zamierzałam pracować w firmie poligraficznej, ale gdy moja córka była mała, dostałam tu tymczasową pracę jako sekretarka. Szefem był wtedy cudowny człowiek, Henry, który już przeszedł na emeryturę, i bardzo cenił moje zaangażowanie. – Wydaje z siebie nerwowy chichot, na wypadek gdyby to zabrzmiało zbyt zarozumiale. – Po kilku latach postanowił przenieść mnie do zarządzania projektami i od tamtej pory zaczęłam się w firmie rozwijać. Henry był przemiły. Miał bardzo dobre serce.

– Tak, miałam okazję go poznać – mówi Miriam. – Ogromnie go lubiłam. A jak wyglądają twoje sprawy rodzinne?

– Mam męża. I nastoletnią córkę, jak już wiesz. I to właściwie tyle. Mieszkamy we troje. A oprócz tego mam rodziców, którzy wymagają mojej nieustannej pomocy.

– To już taki wiek, prawda? Moi znajdują się w domu opieki w Solihull. Mam wrażenie, że moje życie ogranicza się do wyjazdów do nich albo prób uspokojenia zmęczonych nimi opiekunów.

– Och, naprawdę? Tak mi przykro. To znaczy, o ile ta sytuacja nie jest dla nich komfortowa. Albo dla ciebie. – Sam szybko wycofuje się ze swoich słów. – Ale oczywiście tego nie wiem. Może to bardzo fajne miejsce. Jestem pewna, że w innym byś ich nie umieściła.

– Moim zdaniem jest całkiem przyjemne. Ale pewnie nikt nie zakłada, że pod koniec życia wyląduje w domu opieki, prawda?

Kelner akurat przynosi im wodę i dopiero po jego odejściu Sam się odzywa:

– Moi rodzice mówią, że prędzej umrą, niż pójdą do domu opieki. Co oznacza w praktyce, że muszę ogarniać cały ich dom, sprzątać i robić zakupy.

Miriam kiwa głową z rozgoryczeniem. Do Sam dociera, że u kobiet w jej wieku widać pewne wypalenie. Nie ma w nich agresywności dwudziesto- czy trzydziestolatek, ani grama konkurencyjności. Po czterdziestce i pięćdziesiątce wszystkie przeżyły już śmierć kogoś bliskiego, rozwód, chorobę albo mają za sobą inne bolesne doświadczenie.

– Musi ci być z tym ciężko – zaczyna Miriam, ale właśnie wtedy brzęczy telefon Sam.

– Przepraszam – mówi, czerwieniąc się, i sięga do torby.

Miriam machnięciem ręki daje jej znak, żeby się nie przejmowała.

Serce jej staje, kiedy widzi, kto dzwoni.

– Simon? – odzywa się, starając się przywołać uśmiech na twarz.

– Gdzie się podziewasz? – pyta jej szef oschłym tonem.

– Jestem z Miriam Price. Wrzuciłam to w kalendarz. I dwa razy mówiłam Genevieve.

– Zlecenie dla Holendrów trzeba przyspieszyć o cztery dni. Mówili, że wysłali ci maila, ale nie dostali odpowiedzi.

– Co takiego? Zaczekaj.

Bezgłośnie posyła Miriam kolejne „przepraszam” i daje Simona na głośnomówiący, a w tym czasie sprawdza maile. I rzeczywiście jest, wysłany piętnaście minut temu. Mail od holenderskiej oficyny wydającej



podręczniki z prośbą o przyspieszenie zlecenia.

– Simon, ten mail przyszedł zaledwie piętnaście minut temu.

– No i...?

Sam szybko wyłącza głośnomówiący i przykłada telefon do ucha.

– Więc go nie widziałam. Jasne, że się tym zajmę. Jak tylko wrócę do biura.

– Musisz mieć skrzynkę mailową pod kontrolą, Sam. Mówiłem ci już. Uberprint słynie z szybkich reakcji. Twoje podejście nie wpisuje się w nasze standardy.

– Na pewno zrozumieją, że człowiek może jeść lunch o pierwszej piętnaście...

– Sam, to nie jest kolonia letnia, do cholery. Nie wiem, co musi się wydarzyć, byś zaczęła tę pracę traktować poważnie. Masz zaraz wrócić do biura. Choć właściwie nie, chyba nie możesz. Bo inaczej wypadłabyś nieprofesjonalnie w oczach Miriam Price. Ale my nie możemy zawieść klienta. Każę Franklinowi się tym zająć.

– Ale to przecież mój kontrakt. Ja go zdobyłam.

– I co z tego? – Simon ucina dyskusję. – Nie wystarczy tylko zdobyć kontrakt. Potrzeba mi ludzi, którzy zajmą się wszystkim od A do Z. Przyjdź do mojego gabinetu, kiedy wrócisz. Jak już skończysz ten swój lunch. – Sam wie, że są u niego teraz inni ludzie i wyobraża sobie, jak przewraca oczami, rozmawiając z nią.

Simon się rozłącza, a ona siedzi oszołomiona.

– Wszystko w porządku? – pyta Miriam, która do tej pory wpatrywała się w menu.

– Tak. W porządku. – Sam odzyskuje panowanie nad sobą. – Tylko lekkie zamieszanie w pracy. Wiesz, jak to jest.

– Wiem, jaki jest Simon. – Miriam podnosi wzrok znad menu. – Simon Stockwell, tak? – A gdy Sam nie odpowiada, kontynuuje: – To wyjątkowa szuja. Pracował dla nas kilka lat temu, na początku kariery. Przejrzałam go od razu. Masz z nim problemy?

Sam wpada w panikę. Nie wie, co powiedzieć.

– Nie! Nie. Wszystko jest w porządku. Naprawdę. Tylko dużo się dzieje ostatnio. Po prostu... – Nagle wybucha płaczem, a po twarzy zaczynają jej płynąć łzy wielkie jak grochy. Potężny szloch rwie jej oddech, Sam cała się trzęsie i przykłada ręce do oczu. – Bardzo przepraszam – mówi zawstydzona, ocierając twarz serwetką. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

O Boże. Zepsuła cały lunch. A Miriam Price uzna, że jest ofiarą losu, za którą Simon zawsze ją uważał. Rozgląda się wokół rozpaczliwie, szukając toalety. Ale nie chce o nią pytać, a jednocześnie się boi, że pójdzie w złym kierunku. Kiedy ponownie zwraca twarz w stronę Miriam, ta przygląda jej się uważnie.

– Bardzo przepraszam – powtarza znowu Sam, ocierając łzy. Kobieta spogląda na nią z powagą. – Mam teraz ciężki okres w życiu. Tak mi... tak mi wstyd. Normalnie...

Miriam sięga do torebki, wyciąga z niej opakowanie chusteczek i podaje Sam.

– Matczyny niezbędnik – wyjaśnia. – Nie chcesz wiedzieć, co jeszcze jest w środku. Dwa zestawy kluczyków samochodowych, spray do nosa mojej żony, recepta na leki mojej córki, których nie chce odebrać sama, tabletki hormonalne, przysmaki dla psa... Torebka bez dna, prawda?

Miriam uśmiecha się, trajkocząc o niczym i dając Sam czas, by doprowadziła się do porządku. Gdy ta grzebie w torebce w poszukiwaniu lusterka, Miriam jej przerywa.

– Nie trzeba – mówi. – Nie jesteś rozmazana.

– Poważnie?

Szloch ustąpił sporadycznej czkawce. Sam ma ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

– Wiesz – zaczyna Miriam, dolewając jej wody. – Mam nadzieję, że to nie zabrzmi bardzo niestosownie, ale kiedy tu weszłaś, pomyślałam, że coś cię gryzie. Wyglądałaś zupełnie inaczej niż kobieta, która poznałam. – Wręcza Sam szklankę i czeka, aż ta upije łyk. – I podejrzewam, że przynajmniej za połowę tego odpowiada Simon Stockwell. – Nachyla się w jej stronę. – Wiesz, mówię to na wypadek, gdybyś miała to dopiero przed sobą, ale w menopauzie najlepsze jest to, że przestajesz się przejmować takimi dupkami jak on. I oni o tym wiedzą. A kiedy dociera do nich, że nie są w stanie cię zastraszyć, tracą całą swoją moc.

Sam uśmiecha się blade.

– Chyba że jest się od nich zależnym w pracy.

– Jesteś świetna w tym, co robisz. Dlaczego miałabyś być od niego zależna?

– Tyle że... – Sam chce jej powiedzieć, na ile sposobów Simon sprawiał, że czuła się bezużyteczna,

zbędna, ile razy dziennie ignorował ją albo podkopywał jej pozycję. Ale stwierdza, że nie byłoby to zbyt profesjonalne: żalić się klientce na to, co się zmieniło, od kiedy Uberprint przejął ich firmę. I czy czarna homoseksualna kobieta ma ochotę słuchać biadolonia białaski w średnim wieku o tym, że ma w życiu pod górkę?

Przywołuje na twarz słaby uśmiech.

– Och, nie chodzi tylko o niego. Naprawdę. Miałam ciężki tydzień.

– Jesteś niezwykle dyskretna – stwierdza Miriam, przyglądając się jej uważnie.

– Dużo się ostatnio dzieje w moim życiu.

– To normalne w tym wieku. Och, świetnie, nasze jedzenie. Z pełnym żołądkiem na pewno poczujesz się lepiej.

Przez cały posiłek Miriam podtrzymuje konwersację, od czasu do czasu nakłaniając Sam do wypowiedzenia się na temat kapryśnych nastolatek, problemów ze starszymi rodzicami albo tego, jak ważne jest, by od czasu do czasu fundować sobie drobne przyjemności (tu Sam przytakuje, mimo że nie pamięta, kiedy ostatni raz zafundowała sobie jakąkolwiek przyjemność), a Sam w tym czasie prowadzi w głowie równoległą rozmowę, w której próbuje przeanalizować, jak źle się to dla niej skończy: czy Miriam Price rozpowie wszystkim, jak ta śmieszna kobieta rozbeczała się na lunchu, czy po powrocie Simon zbeszta ją przed wszystkimi w tym swoim okropnym szklanym gabinecie. A najsmutniej jej z tego powodu, że zepsuła wrażenie, jakie wywarła na Miriam po ich pierwszym spotkaniu: tamta kobieta w żakiecie od Chanel i szpilkach zniknęła, pozostawiając prawdziwą Sam, przybitą, pokonaną, żalowaną. Nie patrzy na telefon, wiedząc, że czeka tam na nią lawina wściekłych wiadomości od Simona na temat jej niedociągnięć we współpracy z Holendrami. Więc tylko uśmiecha się uprzejmie, próbuje nie palnąć niczego głupiego i dłubie w jedzeniu, stwierdzając, że zupełnie straciła apetyt.

– Deser?

Pytanie Miriam wytrąca ją z rozmyślań.

– Och, nie, to mi wystarczy. Zresztą chyba muszę wracać do biura i sprawdzić, co się dzieje w kwestii tego zlecenia – odpowiada. – Jeszcze raz przepraszam za... – Macha ręką, jak gdyby próbowała odegnać tamto wspomnienie.

Następuje długa chwila ciszy.

– Sam – odzywa się Miriam. – Tak się nie da pracować.

– Wiem – odpowiada, rumieniąc się. – Wezmę się w garść. Naprawdę. Przysięgam, że normalnie nie jestem taka...

– Źle mnie zrozumiałas – mówi Miriam. – Chodziło mi o pracę dla szefa, który tobą pomiata. Jesteś dobra w tym, co robisz. Wspomniałam o tobie Ivanowi i powiedział, że zawsze byłeś niesamowicie dokładna. I świetnie się robiło z tobą interesy.

Sam powoli unosi głowę.

– Stale rozglądamy się za ludźmi, a twój profesjonalizm przy naszym zleceniu zrobił na mnie wrażenie. Uważam, że powinnaś wpaść i poznać nasz zespół.

– Poznać wasz zespół?

– Powinnaś pracować w miejscu, gdzie będziesz mogła rozwinąć skrzydła. Gdziekolwiek to będzie. – Miriam przywołuje kelnera i wyciąga kartę, zanim Sam ma możliwość coś powiedzieć. – Czy byłabyś zainteresowana rozmową z nami?

Sam jest tak zszokowana, że ledwo może mówić.

– Yyy... tak. Tak, byłoby wspaniale.

– Świetnie. Wyślę ci maila z datą spotkania. – Miriam się podnosi. Przykłada kartę do terminala przyniesionego przez kelnera, podczas gdy Sam w milczeniu oswaja się z tą wiadomością. A potem Miriam chowa portfel do torebki i nachyla się w jej stronę.

– A w międzyczasie włóż jakieś obłędne buty do tego żakietu, pomaluj usta czerwoną szminką i pokaż Simonowi Stockwellowi, że z tobą się nie zadziera.

\* W. Blake, *Czy to wśród gór zielonej Anglii...*, [w:] *Antologia liryki angielskiej: 1300–1950*, tłum. J. Pietrkiewicz, Warszawa 1987, s. 137.

Z kawiarni rozciąga się widok na tyły drukarni oraz na małe, zaśmiecone podwórko, otoczone przez sklep spożywczy, pub White Horse i biurowiec, pewnie od kilku lat opuszczony, sądząc po brudnych oknach i ścianach pokrytych graffiti. Nisha, do której zadzwoniono dzisiaj, żeby nie przychodziła do pracy (Jasmine westchnęła, że tak działają umowy śmieciowe), popija wystygłe cappuccino i obserwuje sfatygowane białe furgonetki z nazwą firmy Uberprint, które wyjeżdżają z magazynu albo do niego wracają, oraz grupki mężczyzn zebranych przy tylnym wejściu, którzy między załadunkami popijają herbatę na chłodzie, rozmawiają i śmieją się, posyłając w powietrze kłęby pary. Nisha przygląda się wszystkiemu w napięciu i skupieniu, jak gdyby oczekiwała, że ta kobieta wyjdzie tędy w jej butach, chociaż jest świadoma, że to mało prawdopodobne.

Siedzi tu już prawie od godziny i wyobraża sobie kilka różnych wariantów rozwoju sytuacji: że idzie za złodziejką do jej domu, tam dochodzi między nimi do konfrontacji, Nisha zdiera jej buty ze stóp (choć to by oznaczało, że tamta musiałaby je mieć na sobie, a myśl o dotykaniu czyichś stóp budzi w niej wstręt). Albo że dzwoni po policję, choć jeśli tutejsi policjanci są podobni od amerykańskich, to równie dobrze może po prostu zagwizdać. Albo włamuje się do domu tej kobiety, kiedy tamta śpi, odnajduje buty i ucieka. Może założy maseczkę na twarz. To jest akurat ryzykowna opcja, zwłaszcza że nie wie, kto jeszcze może być w domu. W dodatku od maseczki skóra ją będzie swędzieć. W ostateczności zawsze może powiedzieć o wszystkim Carlowi, a on wyśle po buty Ariego. Ale nie jest pewna, czy Ari jest na tyle godny zaufania i przyzna się, że je zdobył: mógłby je gwizdnać i zostawić ją w jeszcze gorszym położeniu. Poza tym związek Ariego z tymi butami wydaje jej się jakoś podejrzany.

Siedzi i rozważa wszystkie te opcje, a resztki kawy stygną coraz bardziej. W końcu, gdy barista po raz trzeci pyta ją, czy chce zamówić kolejną, bierze kurtkę i torebkę i wychodzi.

Simon akurat rozmawia z kilkoma osobami w swoim gabinecie, kiedy Sam wraca do biura. Wchodzi bocznym wejściem, żeby najpierw zahaczyć o toaletę i sprawdzić, jak wygląda, zanim ktoś ją zauważy. Widzi zebranych wokół biurka Simona młodych mężczyzn, którzy wpatrują się w ekran jego telefonu, po czym naraz wybuchają śmiechem. Sam wyobraża sobie, że to jakiś niewybredny mem, gdzie na pierwszym planie widnieje młoda kobieta z ogromnym biustem. Z ulgą wita fakt, że Simon nie czeka na nią w jej boksie, siedząc na rogu biurka i przechylając głowę z udawaną troską. Sam stoi tak przez chwilę, obserwując ich, po czym kładzie na biurku torebkę i wiesza kremowy żakiet Chanel na oparciu krzesła. Przechodzi przez dział księgowości, mija recepcję, a potem wąskim korytarzem idzie do magazynu.

Wszystkie furgonetki wyjechały, a on siedzi sam w kantorku przy oknie, odwrócony do niej plecami. Ręce ma założone za głowę i patrzy na podwórko, najwyraźniej pogrążony w rozmyśleniach, a jego szerokie ramiona opina granatowa bluza firmowa. Za kantorkiem na krokwiach wisi duży czarno-żółty worek treningowy. Sam zatrzymuje się na chwilę i wpatruje w Joela. Nagle wracają do niej wspomnienia ich wspólnego tańca, przypomina sobie, jak trzymał rękę na jej talii, jak unosił brwi w uznaniu i rozbawieniu, gdy paradowała dumnie w tamtych butach.

Stary grzejnik elektryczny stojący w rogu sprawia, że w tym niewielkim biurze dla kierowców jest gorąco i duszno. Na ścianach wiszą tachografy, białe tablice z wypisanymi zadaniami na dany dzień, wyblakłe kartki urodzinowe i karteczki z logo Uberprintu. Sam w ciągu tych wszystkich lat pracy była tu może kilka razy i kantorek wydaje się mniejszy, niż go zapamiętała. A może po prostu to Joel zajmuje więcej przestrzeni. Odwraca się na krześle.

– Sam? Nie wiedziałem, że...

– Masz może rękawice?

Joel mruga zaskoczony.

– Słucham?

– Rękawice – powtarza. – Bokserskie. Masz je tutaj?

Joel podąża za jej wzrokiem w kierunku worka treningowego.

– Yyy... mam swoje. Ale na ciebie będą za duże.

– Pokaż.

Joel sięga pod biurko i wyciąga torbę, w której znajdują się dwie odrapane czarne rękawice. Sam tylko

rzuca na nie okiem, po czym naciąga je na pięści i zębami zapina rzepy na nadgarstkach. A potem wychodzi z kantorka i zbliża się do worka treningowego. Stoi przed nim przez chwilę, bierze oddech, napina brzuch i czeka, aż wszystko, co wiruje jej w głowie, osiadzie. Wreszcie cofa prawe ramię i całą energię wkłada w uderzenie. Cios odrzuca worek do tyłu. Potem uderza lewą ręką, mając stopy mocno zakorzenione w ziemi – cała jej siła bierze się z lewego ramienia. Worek znowu odskakuje. Sam wali w niego raz za razem, włosy wypadają jej z kucyka, oddech staje się krótki i urywany, a przy każdym uderzeniu z jej piersi wydobywają się ciche sapnięcia. Młóci bez opamiętania, nie przejmując się, kto na nią patrzy, nie martwiąc się, czy wygląda głupio, gdy tak wali w worek treningowy w wyjściowych spodniach i bluzce z Nexta.

Joel, który początkowo cofnął się zaskoczony, przechodzi na drugą stronę i podtrzymuje worek, aby mogła uderzać mocniej, a ona zauważa z satysfakcją, że coraz bardziej się wzdryga przy każdym jej uderzeniu, pochyla ciało, a lewą stopę przesuwając do przodu, by móc lepiej chwycić worek. Sam młóci pięściami, aż czuje, że coś w niej wreszcie puszcza. W końcu zatrzymuje się, jej ręce opadają na boki i nagle staje się świadoma przyspieszonego bicia serca, strużki potu spływającej jej po plecach. Zapada cisza, przerywana jedynie skrzypieniem worka treningowego, który delikatnie kołysze się na łańcuchu. Spogląda na Joela, który obserwuje ją, obie ręce trzymając ciągle na worku, jak gdyby nie był pewien, czy jeszcze nie uderzy.

– Wszystko w porządku? – pyta ją.

– Miriam Price chce, żebyśmy przyszła do nich na rozmowę – odpowiada Sam, dysząc ciężko.

Joel wygląda na zaskoczonego.

– W sprawie pracy – dodaje Sam.

Oboje wpatrują się w siebie uważnie, a ona czuje, jak pot spływa jej do oka i próbuje go wytrzeć wierzchem przedramienia.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywa.

– Nie chcę, żebyś stąd odeszła – odzywa się wreszcie Joel, puszczając worek.

– Ani ja nie chcę stąd odchodzić – odpowiada ona.

Wpatrują się w siebie. A potem, bez namysłu, Sam robi krok do przodu, ujmując tego twarz między rękawice bokserskie i całuje go.

Przy pierwszym kontakcie z ustami Joela przez jej ciało jakby przechodzi prąd. Nie całowała nikogo oprócz Phila przez ponad dwadzieścia pięć lat i trudno jej powiedzieć, czy kiedykolwiek robili to w ten sposób. Wszystko w Joelu jest odmienne i wyborne. Pachnie inaczej, jego usta są miększe, ciało twardsze, jego dłonie spoczywają na jej włosach, a ich dotyk, choć delikatny, świadczy o ogromnej sile. Joel obejmuje ją, jej ciało wtapia się w jego, a ich pocałunek staje się głębszy, bardziej niecierpliwy. Sam zarzuca mu ręce na kark, jej oddech przyspiesza. Czas staje w miejscu, wszystko wokół znika, są tylko jego usta, jego skóra, żar jego ciała w zetknięciu z jej ciałem, które sprawia wrażenie, jakby topniało, łączyło się z nim, a długo uspięne synapsy budziły się do życia. Chce zdjąć rękawice. Chce poczuć dłońmi jego skórę, gładką i ciepłą. Chce się owinać wokół niego zupełnie. Chce włożyć rękę do jego spodni i... i... Odsuwa się, oddychając ciężko, z rękawicami uniesionymi do twarzy.

I wtedy dostrzega Teda. Stoi przy rampie załadunkowej, z lekko rozdziawionymi ustami, a jego miła, pulchna twarz wyraża mieszaninę przerażenia i rozczarowania.

– Joel, yyy... – Sam nie może wydobyć z siebie słowa. Odwraca się i rusza biegiem w stronę biura, ściągając rękawice i rzucając je za siebie.

Sam idzie energicznym krokiem w stronę swojego boksu, z wypiekami na twarzy i wzrokiem utkwionym przed siebie, przekonana, że wszyscy wokół wiedzą, co się przed chwilą stało. Jej ciało jest rozpalone, jakby emanowało żarem, a myśli kotłują się bezładnie.

Siada na krześle, lekko roztrzęsiona, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ekran. Właśnie pocałowała Joela. Właśnie pocałowała Joela. I miała ochotę na znacznie więcej. Wciąż czuje na ustach jego wargi, jego twarde, silne ręce obejmujące jej ciało. Myśli o przerażonej minie Teda, a potem nagle wydaje z siebie parsknięcie, jakiś dziwny, wysoki pisk, i przykładając obie ręce do twarzy, czując palący wstyd. Co ona, u licha, zrobiła? Co się z nią stało? Ogląda się z poczuciem winy za siebie, ale najwyraźniej nikt niczego nie zauważył. Wszyscy mają pochylone głowy. Marina mija ją z kubkiem kawy w ręce. Ksero przy wyjściu ewakuacyjnym najwyraźniej znowu się zacięło. Sam podskakuje lekko, kiedy brzęczy jej telefon. To Joel.

Wszystko w porządku?

Sam wpatruje się w wiadomość, po czym odpisuje drżącymi palcami:

Tak mi się wydaje. Czy Ted coś powiedział?

Tylko tyle, że to nie jego sprawa. Od razu wyszedł. Myślisz, że powinienem za nim pójść?

Nie. Nie. Sama nie wiem. Może ja powinnam to zrobić. Nie mam pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło.

Podnosi wzrok, by sprawdzić, czy ktoś cokolwiek zauważył, czy ktokolwiek wyczuwa, że ona, Sam Kemp, całuje się po kątach z kolegą z pracy. Czy to już oznacza romans? Czy w tym właśnie kierunku zmierza jej życie? Czy Ted uważa ją za okropną osobę? Pomóż mi, myśli, nie mając nawet pojęcia, do kogo się zwraca. A wtedy podskakuje jak oparzona, ponieważ przy wejściu do jej boksu staje ciemnowłosa kobieta, piorunując ją wzrokiem, i mówi głośno, z amerykańskim akcentem:

– Oddawaj moje buty, dziwko!

Nisha weszła do biura Uberprintu niezatrzymywana. Mężczyźni zgromadzeni przy furgonetkach spojrzeli w jej stronę, ale najwyraźniej nikogo specjalnie nie zdziwiło, że wchodzi tylnym wejściem. Zerknęli tylko na jej nogi i wrócili do rozmowy. Budynek w środku okazał się nieciekawym miejscem, z gatunku tych, w których sprzedaje się ubezpieczenia dla zwierząt lub elementy kanalizacji. Gdy ruszyła korytarzem, który pewnie prowadził do głównej części, Nisha aż zmarszczyła nos, czując zapach stęchłego dywanu i kawy z ekspresu. Młoda kobieta w recepcji podniosła głowę znad telefonu, ale nie zatrzymała jej, a Nisha przeszła przez podwójne drzwi i znalazła się w dużym pomieszczeniu podzielonym na szare boksy.

W kącie dojrzała duży, przeszklony gabinet, w którym stała grupka młodych mężczyzn w tanich garniturach, z boksów natomiast dobiegał szmer niemrawej pracy, stukanie w klawiaturę i ciche rozmowy telefoniczne, ktoś inny gawędził z kubkiem herbaty przy kserokopiarce. Przyciskając torebkę do ciała, Nisha zaczęła przeszukiwać salę wzrokiem. Wtedy dostrzegła przygarbioną kobietę, która akurat wracała na miejsce w jednym z odległych boksów i której źle zafarbowane włosy mocno rzucały się w oczy. Nisha zatrzymała na niej wzrok.

Nie miała pojęcia, co robi, gdy w końcu stanie twarzą w twarz z kobietą, która przysporzyła jej tyle kłopotów, ze złodziejką, od której dziwnym trafem zależała jej przyszłość. Ale pewna bylejąkość bijąca od tej kobiety i zrezygnowane przygarbienie ramion od razu wprawiły ją w furję. Pokonało mnie coś takiego? – huczało jej w głowie, gdy szła przez całe biuro. Krew zaczęła jej mocno pulsować w żyłach i dudnić w uszach.

I wtedy Nisha stanęła w jej boksie, a kobieta odwróciła się na krzesło w jej stronę, z telefonem w wiotkiej ręce, i twarzą zastygła w szoku.

– Ccc... co takiego? – wybąkuje w odpowiedzi na jej słowa. – O czym pani mówi?

Wygląda, co Nisha stwierdza z satysfakcją, na szczerze przerażoną.

– Ukradłaś mi buty! Na siłowni. Ukradłaś mi buty, a potem w nich chodziłaś! Widziałam cię na nagraniu kamery w pubie i... i... o Boże... czy to mój żakiet od Chanel?

Kobieta w momencie czerwienieje jak burak, zerkając z poczuciem winy na kremowy żakiet z bukli przewieszony przez oparcie jej krzesła.

– Ja pier... – Nisha zrywa z niego żakiet i sprawdza metkę. – Gdzie są moje buty? Gdzie moja torba? Co zrobiłaś z moimi rzeczami? Zaraz dzwonię na policję!

– Niczego nie ukradłam! To była pomyłka!

– Ooo tak, pomyłka! I zamiast oddać wszystko, postanowiłaś pójść w moich szpilkach do baru? A do pracy włożyć mój żakiet od Chanel? No jasne! To wszystko przez pomyłkę.

Wokół boksu zdążył się już zebrać tłumek. Kobieta patrzy na Nishę i macha rękami.

– To nie tak... Wszystko mogę wyjaśnić... Siłownia była...

– Nie masz pojęcia, jak mi w życiu nabruździłaś. Pewnie myślałaś, że nigdy cię nie znajdę? Ale jeszcze nie wiesz, z kim zadarłaś.

Przy wejściu do boksów pojawia się mężczyzna w tanim garniturze i z nażełowanymi włosami, roztaczający wokół siebie aurę władzy.

– Co tu się dzieje?

– Co tu się dzieje? Proszę zapytać tę złodziejkę butów.

– Wyjaśniłam przecież! Nie miałam pojęcia, do kogo należą! Przez pomyłkę zabrałam niewłaściwą torbę i kiedy wróciłam do siłowni, by je zwrócić, okazało się, że...

– Chcę odzyskać swoje buty – powtarza Nisha.

Mężczyzna odwraca się do tamtej.

– Sam? O co tutaj chodzi?

– Simon... Wszystko ci wyjaśnię. Kiedy poszłam na siłownię, a było to tego dnia, kiedy widziałeś mnie w klapkach, nastąpiło zamieszanie z torbami i...

– I ją ukradłaś! – wtrąca się Nisha.

– Wystarczy – oznajmia mężczyzna.

– Czego wystarczy? – pyta tamta.

– Zwalniam cię.

Wokół zapada cisza.

– Co takiego?

– Zwalniam cię. – Mężczyzna nazwany Simonem nieznacznie podnosi głos, jak gdyby chciał mieć pewność, że wszyscy na sali usłyszą jego decyzję. – Ze skutkiem natychmiastowym. Nie możemy trzymać w biurze złodziejki. Bez ustanku kompromitujesz naszą firmę. Dostałaś mnóstwo ostrzeżeń i teraz miarka się przebrała. Zabierz swoje rzeczy i idź.

Facet rozgląda się wokół, puszczając się jak paw, jak gdyby szukał aprobaty wśród obserwatorów. Nisha jest nieco skonsternowana – nie znosi takich typów jak on – ale ta kobieta sama jest sobie winna.

– Simon. Stary. – Mężczyzna z dredami wychodzi naprzód. – Nie możesz zwolnić Sam za zwykłą pomyłkę. Powiedziała nam w furgonetce, kiedy po nią przyjechaliśmy, że zabrała niewłaściwą torbę, ale my wtedy...

– Nie interesuje mnie to – przerywa mu Simon z ustami zaciśniętymi w wąską linię, a na jego twarzy maluje się dezaprobatą i ledwo tłumiona satysfakcja. – Nie. Interesuje. Mnie. To. Wyjaśnienia tej pani nie pozostawiają wątpliwości, co się tak naprawdę wydarzyło. A ja nie jestem w stanie tolerować takiego zachowania. Przez ostatnich kilka tygodni Sam sprawiała mi dosyć problemów i to jest kropla przepełniająca czarę.

– Ale...

– Koniec dyskusji. Wszyscy wracają do pracy. Nie ma się na co gapić. Sam, zabierz swoje rzeczy, ochrona odprowadzi cię do wyjścia. Kadry prześlą ci wszystkie dokumenty.

Nawet Nisha jest zdezorientowana. Wśród pozostałych pracowników słychać szmer niepokoju. Wymieniają niepewne spojrzenia, ale nikt nie ośmiela się podważyć autorytetu szefa i w końcu rozchodzą się niechętnie. Mężczyzna z dredami odchodzi jako ostatni. Szepcze coś tamtej do ucha, ale widać, że ledwo to do niej dociera. Z twarzą całą poszarzałą z szoku zaczyna w milczeniu zbierać swoje rzeczy. Ale Nisha nie pozwoli, by to, co się właśnie stało, zbiło ją z tropu. Racja stoi po jej stronie! I to nie ona ukradła komuś rzeczy. Ona tylko chce odzyskać swoją własność.

– Będę czekać przed biurem – mówi do tamtej, kiedy Simon wreszcie odchodzi, otoczony kilkoma innymi facetami w tanich garniturach. – Chcę też odzyskać buty i torbę, Sam.

Sam zbiera zdjęcia w ramkach i wkłada je do pudła przyniesionego przez Marinę. Ręce drżą jej tak, że jedno upada na podłogę z łoskotem, który odbija się echem po całej sali.

– Tak mi przykro – mruczy Marina, kładąc kartonowe pudło na biurku, ale oskarżenie o kradzież najwyraźniej zasiało w niej ziarno nieufności i na odchodnym rzuca jej podejrzliwe, niepewne spojrzenie. W sąsiednich boksach panuje zupełna cisza. Sam nie ma odwagi podnieść wzroku: wie, że Simon i jego świta obserwują ją z jego gabinetu i wszystko komentują, wyobraża też sobie szept między kolegami z pracy. Czuje się upokorzona, w uszach dźwięczą jej ciągle słowa tamtej kobiety. Chowa do pudła ostatnie rzeczy, a wtedy pojawia się Lewis, ochroniarz z dołu. Drapie się po karku i przestępuje z nogi na nogę, jak gdyby nie wiedział, jak się zachować. Sam zerka na niego, a on z lekko zakłopotaną miną wskazuje jej, by poszła korytarzem.

Dopiero kiedy otwierają się drzwi, kiedy czuje na twarzy uderzenie zimnego powietrza i widzi stojącą przed wejściem Amerykankę, kończącą papierosa, dociera to do niej z całą mocą: straciłam pracę. Naprawdę ją straciłam. Kładzie pudło na ziemi i wyciąga telefon, by zadzwonić do jedynej osoby, która będzie w stanie podnieść ją na duchu.

– Andrea?

\*

Sam nie ma samochodu i nie chce utknąć w taksówce z tą wariatką, od której aż bije agresja. Zaczyna więc iść, a tamta podąża dokładnie dwa kroki za nią. Ma na sobie swój żakiet od Chanel i ostentacyjnie sprawdza rękawy, szukając śladów zabrudzeń lub uszkodzeń.

– Ja się nigdzie nie wybieram, paniusiu. Tak tylko mówię.

– Wiem – odpowiada Sam, ze wzrokiem wbitym przed siebie. – Po prostu idę do domu.

Stawia krok za krokiem, w głowie wciąż dźwięczą jej słowa Simona, a przed oczami ma twarze kolegów z pracy, zdumionych tym, czego się o niej dowiedzieli. Powinna była bardziej się postarać, by zwrócić te buty. Potraktować to priorytetowo. A teraz straciła wszystko.

– I oby moje rzeczy były u ciebie w domu.

- Są tam. Posłuchaj, próbowałam zwrócić tę torbę. Ale siłownię zamknięto aż do odwołania.
- Nie obchodzi mnie to.
- Okej. Chciałam to tylko wyjaśnić. Nie jestem złodziejką.
- Powiedziała kobieta, która miała mój zakiet od Chanel przewieszony przez krzesło.

Sam odwraca się ze łzami w oczach.

– Miałam dzisiaj ważne spotkanie, okej? Spotkanie z kimś, na kim chciałam zrobić dobre wrażenie, i pomyślałam, że nic się nie stanie, jeśli raz go włożę. Przepraszam.

– Okej. A więc twierdzisz, że jesteś matką Teresą. Niech ci będzie.

– Że co?

– Po prostu oddaj mi buty. Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Ja tylko wyciągam wnioski na podstawie dowodów.

Dowody. Sam ciągle ma przed oczami twarz Simona, jego wargę wyдутą z satysfakcją, kiedy nazwał ją złodziejką. Straciła pracę. Naprawdę ją straciła. I oczywiście może zapomnieć o referencjach. Brzuch ją zaczyna boleć. Nigdy nie znajdzie innej pracy. Cała ich trójka straci dach nad głową. Wylądują w maleńkim pokoiku, w rodzaju tych, w jakich rząd umieszcza uchodźców, z jednym palnikiem do gotowania i toaletą na korytarzu. Albo będą musieli zamieszkać z jej rodzicami. Wszyscy będą obwiniać za to ją. I będą mieli do tego pełne prawo. Jak to się stało, że wylądowała w takim bagnie?

Idą w milczeniu przez kolejne dwie ulice, aż wreszcie Sam przystaje i się odwraca.

– Czy mogłabyś przynajmniej nie iść dwa kroki za mną jak jakiś ochroniarz? To irytujące. Naprawdę myślisz, że ci ucieknę? Taszcząc to cholerne pudło?

– Nie znam cię, paniusiu. Możesz próbować różnych sztuczek. Kto wie, może jesteś fantastyczną sprinterką.

– Czy ja ci wyglądam na sprinterkę?

– Na złodziejkę też nie wyglądasz. A jednak ukradłaś moje rzeczy.

– Och, na litość boską. – Sam kładzie na ziemi pudło i na chwilę przyciska ręce do powiek, próbując powstrzymać atak paniki, który narasta w jej piersi. Kiedy znowu otwiera oczy, kobieta się w nią wpatruje. Ale po paru chwilach zaczyna iść obok niej.

Idą tak przez jakiś czas. Sam cieszy się, że ma na sobie swoje solidne buty, choć pudło ze zdjęciami jest ciężkie i ciągle musi robić sobie przerwy, żeby poprawić jego ułożenie. Bola ją łokcie, a potem zaczynają też boleć plecy. Amerykanka bez wysiłku kroczy obok niej w – co Sam dostrzega z pewnym zaskoczeniem – jej własnych czarnych czółenkach. To tylko półgodzinny spacer, a wydaje się nie mieć końca. Sam potrzebuje zobaczyć Andreę. Musi ujrzeć jej twarz, objąć ją i poczuć, że coś na tym świecie jest stałe i dobre. Że ktoś wie, że Sam nie jest złym człowiekiem. Wreszcie skręcają w jej ulicę i okazuje się, że mały niebieski nissan micra należący do Andrei już stoi przed jej domem. Na ten widok Sam odczuwa taką ulgę, że z jej piersi wyrywa się głęboki jęk, na co Amerykanka rzuca jej ostre pytające spojrzenie.

– To tutaj. Jesteśmy na miejscu – mruczy Sam i mija kamper. Phil w plastikowych goglach głośno szoruje zderzak papierem ściernym i nawet nie podnosi wzroku.

Sam otwiera drzwi, kładzie pudło w korytarzu i idzie prosto na górę, ignorując witającego ją z entuzjazmem psa. Nie chce, żeby ta kobieta przebywała tu ani chwili dłużej niż to konieczne. Otwiera drzwi do sypialni, wyciąga z szafy czarną torbę od Marca Jacoba, przewiesza ją przez ramię i schodzi na dół. Kobieta stoi w progu z rękami skrzyżowanymi na piersi i obserwuje Phila. Gdy wraca Sam, podnosi wzrok i jej oczy natychmiast biegną do torby.

– No, nareszcie – wzdycha i ją odbiera. – Wszystko jest w środku?

– Oczywiście.

Kobieta wpatruje się w nią przez chwilę.

– Sprawdzę to.

– Proszę bardzo. – Sam kieruje się w stronę kuchni. A tam przy stole siedzi Andrea w turbanie z nowej różowej tureckiej chusty. Na widok Sam podnosi się ciężko na nogi.

– Co słyszać, kochana?

I nagle Sam pada jej w ramiona, głowę chowa w zagłębieniu szyi przyjaciółki i zaczyna szlochać. Ale nawet teraz czuje, jak krucha jest wciąż Andrea, jak kościste ma ramiona, i to napełnia ją jeszcze większym smutkiem.



– Zwolnili mnie – mówi.  
Andrea cofa się, by spojrzeć jej w twarz.  
– Chyba żartujesz.  
– Simon mnie wyrzucił. Wreszcie się mnie pozbył. A wszystko z powodu głupiej pomyłki. Nie wiem, co teraz zrobię... Phil się do mnie nie odzywa i nie wiem, jak zareaguje, gdy się o tym dowie.  
Na twarzy Andrei maluje się współczucie. Głaszcze przyjaciółkę po włosach.  
– Coś wymyślimy. Nie martw się, Sam. Coś wymyślimy. Wszystko będzie dobrze.  
A wtedy Andrea się wzdyga, bo oto do kuchni wściekle wparowuje Amerykanka.  
– Gdzie są, do cholery, moje buty?  
Sam odwraca się do niej.  
– Słucham?  
– Gdzie są moje buty?  
– Są w torbie. Tak jak powiedziałam.  
– Kim pani jest? – pyta Andrea, która nagle nie wygląda już tak krucho.  
– Jestem kobietą, której ta dziwka ukradła buty – odpowiada Amerykanka.  
– Nie waż się odzywać w ten sposób do mojej przyjaciółki. Trochę kultury. – Głos Andrei jest zimny jak lód, a Sam zauważa, że twarz Amerykanki lekko drgnęła.  
– Muszą tam być – mówi Sam, ocierając oczy.  
Kobieta wyciąga otwartą torbę.  
– Tak? To może mi pokażesz gdzie?  
Sam mruga zaskoczona. Butów rzeczywiście tam nie widać. Robi krok do przodu, z wahaniem przesuwając podkoszulek leżący na dnie. Kobieta ma rację. Butów nie ma.  
Czuje w głowie jeszcze większy mętlik.  
– Nie rozumiem. Nie wyciągałam ich stamtąd.  
Do środka wchodzi Phil, zdejmując gogle z twarzy. Spogląda na Sam i nawet się nie uśmiecha. A wtedy dostrzega Amerykankę i Andreę i pewnie wyczuwa dziwną atmosferę.  
– Dzień dobry. – Spogląda na Amerykankę, czekając na wyjaśnienia.  
– Phil, widziałeś może czerwone buty na obcasie? Były w tej torbie.  
Jej mąż robi niepewną minę.  
– Twoje nowe czerwone szpilki? Te zdzirowate?  
– Zdzirowate? – powtarza Amerykanka. – To buty od Christiana Louboutina. I należą do mnie.  
Phil spogląda na Sam.  
– To nie były twoje buty?  
– Nie. Zaraz, zaraz... skąd o nich wiesz?  
– Cat cię w nich widziała. – Unosi podbródek i spogląda jej w oczy. – Kiedy spotkałaś się ze swoim kochankiem.  
Sam odpowiada mu zdumionym spojrzeniem. Atmosfera w kuchni gęstnieje. I nagle chłód Phila, unikanie jej zaczynają mieć sens. Sam czuje, jak się czerwieni.  
– Ja wcale... wcale nie mam kochanka.  
– Sam nie ma kochanka. Od miesiący jest nieszczęśliwa, ponieważ ją olewasz. Nie wygłupiaj się, Phil. – Andrea wpatruje się w przyjaciółkę i zauważa, jak jej szyja powoli czerwienieje. Spogląda to na niego, to na nią. – O. Zaczyna się robić ciekawie.  
– Nie tknąłem tych butów – mówi Phil. – To znaczy tknąłem. Wyniosłem je do kampera, ponieważ nie chciałem ich widzieć w tym domu. Ale potem Cat spytała, gdzie są. Chyba chciała je pożyczyć.  
– Fantastycznie – komentuje to Nisha. – Zatem teraz moje buty przechodzą od jednych zagrzybionych stóp do innych. Po prostu rewelacja.  
Sam wciąż wpatruje się w męża.  
– Nie mam romansu.  
– Doprawdy?  
– Nie! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?  
– Po pierwsze, zmieniłaś się. Już nie masz dla mnie czasu.  
– Phil, przez ostatnie miesiące właściwie nie ruszałeś się z sofy. Przez większość czasu nie obchodzi

cię nawet, czy żyję.

– A do tego przychodzisz do domu cała spocona i rozpromieniona.

– To przez boks! Chodzę na boks trzy razy w tygodniu.

– Na boks? W szpilkach? Aleś wymyśliła.

– Słucham?!

– Hola, hola! Czy możemy wrócić do tematu? Nie obchodzi mnie, z kim ona się zabawia. Chcę odzyskać swoje buty, do cholery.

Sam odwraca się do Nishy.

– Zapłacę pani za te buty. Przepraszam.

– Nie chcę twoich pieniędzy! Nie rozumiesz tego? Chcę odzyskać moje buty!

Andrea wyciąga telefon.

– Czy nie lepiej po prostu zadzwonić do Cat?

Gdy Andrea dzwoni do jej córki, Sam stoi nieruchomo. Ciągłe wpatruje się w Phila, który to na nią zerka, to odwraca wzrok. Sam widzi malującą się na jego twarzy niepewność, gdy próbuje odgadnąć, czy Sam mówi prawdę, i czuje, jakby dostała pięścią w brzuch.

– Hej, skarbie. Jak leci? Dobrze... dobrze. Posłuchaj, mamy tu w domu pewien problem i chciałam cię o coś zapytać... Gdzie się podziały te czerwone buty z szafy mamy?

W kuchni zapada cisza, kiedy Andrea słucha głosu po drugiej stronie telefonu, którego nie słyszą pozostali.

– Wiem, skarbie – mówi tonem spokojnym i krzepiącym. – Doszło do pewnego nieporozumienia. A więc gdzie je schowałaś? Tak, wiem... wiem. O, naprawdę? Czeka, tylko sobie zapiszę.... Okej. – Po czym kończy rozmowę zapewnieniami: – Tak, kocham cię. Do zobaczenia wkrótce.

A potem wydaje z siebie ciężkie westchnienie i spogląda na wyczekujące twarze.

– Cat... Cat myślała, że masz romans, i nie podobało jej się, że je nosisz. Do tego uważa, że to straszliwy symbol patriarchalnej opresji i nie chciała ich mieć w domu.

– No i...? – pyta niecierpliwie Amerykanka.

– Więc zaniósła je do sklepu charytatywnego. Do tego blisko jej uczelni.

– Zabrała moje buty do lumpeksu? – Amerykanka unosi ręce nad głowę. – Robi się coraz ciekawiej.

– Kiedy? – pyta Sam słabym głosem.

– Wczoraj po południu. Posłuchajcie, nie ma co panikować. Jeśli pojedziemy tam od razu, może uda nam się je odzyskać.

Nisha siedzi ściśnięta na tylnym siedzeniu samochodu, a Sam i jej przyjaciółka jadą w milczeniu. Ta druga, która ma na imię Andrea, ma na głowie coś w rodzaju turbanu, a szarawa bladeść jej twarzy wskazuje na poważną chorobę, jednak wydaje się dziwnie radosna, jak gdyby na chwilę została wyrwana z marazmu, w którym na co dzień jest pogrążona.

– Kiedy masz zamiar opowiedzieć mi o swoim „romansie”? – odzywa się Andrea.

Sam zerka w stronę Nishy i odpowiada:

– Kiedy indziej.

– A więc jednak masz romans? Co się, do cho...

– Nie mam żadnego romansu. – Sam czerwienieje na twarzy. – Tylko pocałowałam kogoś. I tyle.

– Sam, ja piernicę! Mówiłaś mi, że nie zrobiłaś nic złego.

– To się zdarzyło potem.

– Mną się nie przejmujcie – odzywa się Nisha z tylnego siedzenia. – Możecie się puszczać z połową Londynu, mnie to nie przeszkadza.

Ale gdy samochód staje na światłach, Nisha dostrzega, jak Sam wyciąga rękę i ściska dłoń Andrei. Na widok tej serdeczności coś w niej mięknie. Takim samym gestem dodawała otuchy Rayowi, kiedy odwozili go do szkoły – lekki uścisk mający przekazać coś o wiele więcej niż słowa.

Nisha jest wściekła o buty. Jest wściekła, że cała ta Sam najwyraźniej uznała, że może sobie pożyczać jej rzeczy, jest wściekła, że jej córka zaniosiła je do sklepu dobroczynnego. Ale w miarę jak posuwają się przez zakorkowane ulice Londynu, coraz trudniej jej podtrzymać w sobie ogień ślepej furii i przekonanie o własnej racji. Sam nie wygląda na złodziejkę, jest pozbawiona tego pierwotnego instynktu samozachowawczego, zdolności do kompulsywnego kłamania bez mrugnienia. Wygląda po prostu, myśli Nisha z konsternacją, smutno.

Może to rzeczywiście była pomyłka. Wraca myślami do tamtego dnia i w jej głowie pojawia się mętne wspomnienie, jak zepchnęła na podłogę szatni czyjaś torbę. Istnieje możliwość, że doszło do nieporozumienia. A potem przypomina jej się ziarnisty obraz z kamery w pubie, na którym widać tę kobietę w jej butach. I żakiet od Chanel przerzucony niedbale przez oparcie krzesła, a wtedy jej serce znowu zamienia się w kamień. Ludzie są zdolni do wszystkiego, pozory mogą mylić. Kto jak kto, ale Nisha wie o tym najlepiej.

– To chyba tutaj. – Andrea zatrzymuje samochód przy głównej ulicy i wpatruje się w telefon, a potem znowu podnosi wzrok i wygląda przez szybę.

Sam czyta na głos szyld:

– Global Cat Foundation.

Międzynarodowa fundacja na rzecz pomocy kotom.

– Jaja sobie ze mnie robicie. – Nisha wzdycha, gdy uświadamia sobie, gdzie się znajduje.

– Nie, właśnie to miejsce wskazała. Tak, to zaraz obok jej uczelni.

Nisha ma ochotę zakląć szpetnie. Ze wszystkich sklepów charytatywnych w tym cholernym mieście, oczywiście musiało trafić na ten.

– Ja tam pójde – oznajmia Sam, gramoląc się ociężale z samochodu.

– Ooo nie – mówi Nisha, przesuwając przednie siedzenie, by móc się wydostać z tyłu. – Nigdzie nie idziesz sama. Idę z tobą.

Gdy Sam otwiera drzwi, Nishę uderza stęchły, duszny zapach przegrzanego sklepu, więc zamyka na chwilę oczy, starając się stłumić przemożne pragnienie, by odwrócić się na pięcie i stąd wyjść. Bierze oddech, uspokaja się i idzie za Sam na tyły sklepu, gdzie na zakurzonych półkach leżą smutne, pogniecione kozaki oraz buty, na których logo producenta zostało starte przez Bóg wie ile obcych, spoconych stóp. Sam przegląda każdą półkę, a potem kręci głową.

– Może ich jeszcze nie wystawili. Moja znajoma pracuje w sklepie charytatywnym w Woking i mówi, że torby pełne rzeczy zebranych od ludzi stoją na zapleczu przez całe tygodnie, zanim trafią na półki. Możemy je przeszukać.

– Ten dzień z każdą chwilą staje się coraz ciekawszy – mruczy pod nosem Nisha.

Przechadzają się po sklepie, Nisha zagląda w każdy kąt i sprawdza wystawy, których elementy wołają

o pomstę do nieba: koszarne sukienki weselne i talerze, którymi nie rzuciłaby nawet we wroga; porcelanowe koty; zmatowiałe podstawki pod sól i pieprz. Ale jej butów nigdzie nie ma. Kiedy się odwraca, widzi, że Sam już stoi przy ladzie. Kobieta z niebieskimi włosami nie patrzy jednak na nią, ale wbija wzrok w Niszę.

– Dzień dobry. Mam pewien problem i zastanawiam się, czy mogłaby mi pani pomóc – odzywa się Sam. W jej głosie pobrzmiewa niepewność, jak gdyby nawet nie wiedziała, czy ma prawo się odzywać. – To trochę nietypowa sprawa. Choć może zdarzają się one u was często...? Moja córka niedawno przyniosła tu buty, które tak właściwie nie należały do niej, i musimy je oddać właścicielce, więc byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pani...

Nisha podchodzi do lady i odsuwa Sam na bok.

– Och, na litość boską. Musimy po prostu zobaczyć wszystkie buty, które przyniesiono do was wczoraj.

– Skoro jesteśmy przy temacie, to może chce pani odzyskać też swój szlafrok? – Niebieskowłosa sprzedawczyni wydyma usta.

Nisha prostuje się dumnie.

– Buty wystarczą. Gdzie one są?

Kobieta prychna.

– Wszystko, co przyszło wczoraj, zostało już wystawione.

Sam i Nisha spoglądają na siebie.

– Wystawione? Gdzie? – pyta Nisha. – Chodzi o czerwone szpilki Christiana Louboutina. Na piętnastocentymetrowym obcasie. Jedyne w swoim rodzaju.

– Proszę sprawdzić na półkach.

– Już sprawdzałyśmy.

Kobieta zerka do swojego zeszytu.

– To znaczy, że już je sprzedano. – Odwraca stronę i przejeżdża palcem wzdłuż ręcznie zapisanej listy. – Ach. Czerwone buty Christiana Boltona. Kupiono je dziś rano. – Opiera się o krzesło z miną wyrażającą nieustępliwość.

Nisha spogląda na nią z przerażeniem.

– To niemożliwe.

– Jest pani pewna? – pyta Sam.

– Nie miałaś prawa sprzedawać cudzych butów, koleżanko. Muszę je odzyskać.

– Nie bierzemy odpowiedzialności za nic, co zostało sprzedane. Zakładamy, że wszystko, co nam przekazano, zostało zdobyte legalnie. – Wpatruje się z niewzruszonym spokojem w Niszę. – To na szczytny cel. – Na jej twarzy pojawia się leniwy uśmiech. – Jeśli szuka pani butów, mamy niezły wybór na...

– Chryste Panie! – wykrzykuje Nisha i wymaszerowuje ze sklepu.

Sam wychodzi stamtąd chwilę później i przeprasza ją raz po raz.

– Jestem pewna, że coś wymyślimy – powtarza, ale ma w sobie tyle energii, co zużyta torebka herbaty, i Nisha traci resztki cierpliwości do niej.

– No to koniec – mówi, zapalając papierosa i zaciągając się nim nerwowo. – Właśnie straciłam przez ciebie kilka milionów dolarów.

– Może uda nam się je odnaleźć – odpowiada słabym głosem Sam.

– Niby jak? Chcesz przeglądać kamery z wszystkich lokali w okolicy, by się dowiedzieć, kto wchodził do tego sklepu i z niego wychodził? Chcesz podduszać tę niebieskowłosą dziunię, dopóki nie wyzna, jak wyglądała osoba, która kupiła moje buty?

– Nie wiem, to może... kupię pani inne buty – mówi Sam, siadając na krawężniku. – Albo za nie zapłacę. Ile kosztowały?

– Ale ja nie chcę innych butów! – wrzeszczy Nisha. – Na tym polega problem. Potrzebuję tych konkretnych butów. Ile razy mam to powtarzać?!

– No, no, bez takich mi tu! – To dosyć niezwykle zostać zbesztanym przez kobietę, która wygląda, jakby w każdej chwili mogła kopnąć w kalendarz, pomyślała potem Nisha.

Andrea, całe metr pięćdziesiąt wzrostu, wyskoczyła z samochodu i teraz popycha Niszę kościstą dłonią, odsuwając ją tym samym od swojej przyjaciółki. Robi to z taką furją, że chusta zsuwa jej się z głowy, odslaniając delikatny meszek porastający skórę.

– Nie waż się tak zwracać do Sam, laluniu. Powiedziała ci już, że to była pomyłka, a więc to była

pomyłka. Spróbuj może docenić, że teraz próbuje ci pomóc, okej? I tak w ogóle radzę ci zmienić ton w rozmowie z ludźmi.

Nisha robi krok w tył. Jasnyniebieskie oczy Andrei płoną z intensywnością, która ją lekko zbija z tropu. Kiedy Andrea poprawia turban, nie spuszczać z Nishy wzroku, ta postanawia trochę spuścić z tonu.

– Po prostu muszę odzyskać te buty, jasne? Są dla mnie bardzo ważne. Mój mąż, to znaczy mój były mąż, uprawia jakieś głupie gierki i bez nich nie mam szans na ugodę rozwodową.

– No dobra, ale to nie jest wina Sam, prawda? To w końcu tylko buty. Nie każdy musi wiedzieć, jak bardzo są dla ciebie ważne.

– Formularz – odzywa się nagle Sam.

Obie kobiety spoglądają na nią, gdy wstaje ciężko z krawężnika, jak ktoś, kto przebudził się z letargu. – Osoba, która kupiła te buty. Powinna była wypełnić formularz z danymi. Takie są wymagania, prawda?

– Jesteś genialna – oznajmia Andrea z nagłym uśmiechem. – Idziemy!

Nisha nie pojmuje za bardzo, co się dzieje, ale truchta za nimi z powrotem do sklepu, a w środku udaje, że coś ogląda, nasłuchując, jak Sam wyjaśnia podejrzliwej sprzedawczyni, że te buty są naprawdę ważne, a ponieważ w sklepie muszą zapisywać dane każdego nabywcy, to może jest w stanie im powiedzieć, kto je kupił.

– Pewnie ta osoba wypełniła formularz z danymi – mówi Sam z nadzieją.

– No i...?

– To oznacza, że ma pani nazwisko i adres nabywcy. Normalnie bym nie prosiła o takie rzeczy, ale naprawdę musimy te buty odzyskać. Chodzi o wartość sentymentalną. To dla nas bardzo ważne.

Następuje krótka chwila ciszy, a wtedy Nisha podchodzi do lady. Kobieta przenosi wzrok na nią i znowu krzyżuje ręce na piersi.

– Nie mogę wam podać takiej informacji – mówi. – Ochrona danych. – Spogląda na Nishę. – Poza tym kto wie, kim pani jest. Może pani być morderczynią.

– Czy ja wyglądam na osobę, która ma zamiar kogoś zamordować?

– Serio pani pyta? – odpowiada kobieta pytaniem na pytanie.

W sklepie jest jeszcze kilku innych klientów i Nisha widzi, jak zerkają w ich stronę.

– Proszę mi tylko podać tę informację, dobrze? Włosy by pani stanęły dęba, gdyby pani wiedziała, o co chodzi. Te bardzo... ładne, niebieskie włosy. Tak *à propos*. Bardzo pani pasują do tej typowej brytyjskiej cery.

Sam zamyka oczy.

– Nie – odpowiada kobieta. – I jeśli nie potrafi pani być uprzejma, proponuję...

Nisha już otwiera usta, by jej odpowiedzieć, kiedy rozmowę przerywa im hałas z tyłu sklepu, jakiś łomot i okrzyki. Spogląda między wieszakami i dostrzega, że Andrea upadła, pociągając za sobą cały rząd męskich spodni. Sprzed lady widać różowy turban na jej głowie, rozrzucony stos puzzli i zaniepokojone twarze innych klientów.

– O mój Boże. Andrea. – Nisha spogląda w przerażeniu, jak Sam rzuca się w stronę przyjaciółki, a potem, gdy ktoś delikatnie podciąga poszkodowaną do góry, spojrzenia jej i Nishy spotykają się na ułamek sekundy i Andrea puszcza do niej oko.

– Już idę! – Niebieskowłosa sprzedawczyni wychodzi zza kontuaru. – Cofnąć się. Proszę się cofnąć. Mam za sobą szkolenie w zakresie pierwszej pomocy. – Sięga pod ladę po czerwoną plastikową skrzynkę, po czym przepycha się na drugą stronę sklepu, gdzie zdążyła się już zgromadzić grupka ludzi. – Ułóżcie ją w pozycji bezpiecznej, na lewym boku! – Nisha szybko sięga ponad ladą i obraca zeszyt w swoją stronę. Widzi listę rzeczy przywiezionych poprzedniego dnia i przebiega ją wzrokiem, aż wreszcie dostrzega opis: „czerwone szpilki z krokodylej skóry, Christian Bolton”. A obok dopisek niebieskim długopisem: „Nabywca: Liz Frobisher, 14 Alleyne Road, SE1”.

Wyrzywa stronę z zeszytu i wsuwa ją do kieszeni akurat w momencie, gdy Andrea tłumaczy:

– Nic mi nie jest, naprawdę. Po prostu jestem osłabiona po chemioterapii. Nie, nie, nie trzeba mi mierzyć temperatury. Wystarczy mi łyk wody i będę jak nowo narodzona. Bardzo pani dziękuję...

\*

Wszystkie trzy jadą w milczeniu, które trwa od momentu wyjścia ze sklepu. Dopiero gdy przejechały dwie ulice i światła, Nisha wychyla się do przodu.

– Turbaniasta, naprawdę nic ci nie jest?

– Oczywiście, że nie. – Andrea włącza na rondzie lewy kierunkowskaz i nieznacznie się uśmiecha. – Szczerze mówiąc, od dziewięciu miesięcy nie bawiłam się tak dobrze. Mam nadzieję, że obie jesteście pod wrażeniem moich zdolności aktorskich.

– Zastługujesz na Oscara – oznajmia Nisha. – O mało nie narobiłam w gacie ze strachu.

– No ale serio, widziałyście? Ta kobieta próbowała mi zakleić kolano plasterkiem! Jakby to było moje największe zmartwienie.

– „Powinna pani pozostać w bezpiecznej pozycji”. – Sam przedrzeźnia sprzedawczynię. – „Przez co najmniej pół godziny. Mąż mojej kuzynki jest ratownikiem medycznym”.

– Tak, bo o niczym innym nie marzę, jak leżeć przez pół dnia między nylonowymi kałesonami z poprzedniej epoki, tandetnym obrazkiem w ramce i przedpotopowym ekspresem do herbaty.

Nisha parska śmiechem.

– A więc dokąd jedziemy? – pyta, uspokajając się. – Gdzie jest Alleyne Road?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Andrea. – Ale wkrótce tam będziemy.

Numer 14 przy Alleyne Road znajduje się pośrodku szeregu identycznych domów zbudowanych we wczesnych latach siedemdziesiątych i najwyraźniej od tamtego czasu nieremontowanych. W trakcie jazdy samochodem fala euforii po uzyskaniu adresu stopniowo opada, a myśli Sam wędrują do jej spraw prywatnych. Czy to, co zaszło między nią a Joelem, kwalifikuje się jako romans? Z pewnością można to uznać za swego rodzaju zdradę. To całe wymienianie sekretnych wiadomości, wspólne przesiadywanie w samochodzie, całowanie mężczyzny, który nie jest jej mężem... Na myśl o ustach Joela zalewa ją fala gorąca – sama nie wie, czy to z przyjemności, czy ze wstydu, i woli się nad tym nie zastanawiać. Córka ją na tym przyłapała, a teraz jej nienawidzi i oskarża ją o niewierność względem ojca. Ciągłe myśli o rezerwie, z jaką spoglądał na nią Phil. Nawet w najgłębszej otchłani swojej depresji nigdy nie traktował jej tak chłodno. Myśli o rozmowie, która czeka ją w domu, i ściska ją w żołądku. Nie potrafi udawać. Nawet jeśli nie miała romansu, Phil i Cat będą w stanie dostrzec poczucie winy wymalowane na jej twarzy.

– I co teraz zrobimy? – pyta Andrea, wyłączając silnik.

– Jak to co? Włamiemy się – odpowiada Nisha.

– Nie można się tak po prostu włamać do czyjegoś domu – protestuje Sam.

Nisha po zastanowieniu stwierdza, że Sam może mieć rację. Nie wiadomo, kto jeszcze jest w środku. I czy w ogóle jest tam ta kobieta?

– Może po prostu zapukamy do drzwi i porozmawiamy z nią? Zaproponujemy, że odkupimy od niej buty? – proponuje Sam.

– A co, jeśli odmówi? Wtedy będzie wiedziała, że coś jest na rzeczy. Czy ty masz jakieś pojęcie o robieniu interesów?

– Wiem na ten temat mnóstwo. Moja praca polega na negocjowaniu umów.

– Gdybyś rzeczywiście była w tym dobra, wiedziałabyś, że druga strona za nic w świecie nie może się dowiedzieć, że to, co ma, jest dla ciebie ważne. A poza tym żadna z nas nie ma kasy. Bez obrazy – dodaje w odpowiedzi na ich spojrzenia – ale nie wyglądacie na nadziane. Jestem za włamaniem. – Nisha wychyla się i przygląda się bacznie budynkowi, szukając miejsca, którędy można by się wdrzeć do środka. – I za tym, by ją zmusić przy użyciu siły do wyjawienia nam, gdzie są moje buty.

Nisha znowu jest tamtą małą dziewczynką, która przechadzała się między półkami w DollarSave i kombinowała, którą butelkę burbona da radę przemyścić pod płaszczem. Jej buty są w tym domu i z utęsknieniem czekają na swoją właścicielkę. Próbuje sobie przypomnieć tamto uczucie, gdy oceniała ryzyko i już zawnocowała wymówkę, na wypadek gdyby została złapana. Widzi, jak jakiś rudy kot przechadza się po murku przed domem i siada, wbijając w nie swoje żółte ślepie.

– Okno po lewej wygląda na spróchniałe. Mogłybyśmy je wyważyć.

Sam odwraca się i z niedowierzaniem spogląda na Nishę.

– Co jest z tobą nie tak?

– O co ci chodzi?

– Wszystko wskazuje na to, że to przemiła kobieta, której leży na sercu dobro zwierząt i która cieszy się, że kupiła ładne buty, zresztą całkowicie zgodnie z prawem, a ty proponujesz, żeby włamać się do jej domu i zrobić jej krzywdę? Serio? Jak ci nie wstyd?

Nisha opuszcza szybę i ponownie wygląda na zewnątrz, żeby nie musieć patrzeć na irytującą, zaniepokojoną twarz Sam.

– Po prostu muszę odzyskać te cholerne buty.

W tej samej chwili drzwi domu otwierają się i ze środka wychodzi kobieta. Wszystkie trzy milkną, wpatrując się w postać w turkusowej bluzce i dżinsach. Kobieta wygląda na jakieś trzydzieści pięć lat, rude włosy ma podkreślone i uczesane, jak gdyby szykowała się na jakieś większe wyjście. W wyciągniętej ręce trzyma czarny worek na śmieci.

Gdy Nisha dostrzega, co tamta ma na stopach, nie wytrzymuje:

– Ona w moich butach wyrzuca śmieci? Ja jej chyba nogi z tyłka powyrywam.

– Skąd w tobie tyle jadu? – Sam kryje twarz w dłoniach. A wtedy widzi, że Andrea łapie za telefon i zaczyna nagrywać kobietę. – Co ty wyprawiasz?

– Sama nie wiem. Może... będziemy potrzebować dowodów?

Oto odruchowa reakcja na wszystko w dzisiejszych czasach: jeśli nie wiesz, co się dzieje, lepiej nagrywaj.

Na widok louboutinów serce Nishy zaczyna walić w piersi jak oszalone.

– Posłuchaj... – Uspokaja ją Sam. – Utniemy sobie z nią pogawędkę, wyjaśnimy sytuację i jestem pewna, że...

Kobieta podnosi pokrywę czarnego kosza i wrzuca worek do środka. Ona jest tak blisko, myśli Nisha. Sześć, siedem kroków i mogłaby ją dopaść, zanim tamta zorientuje się, co się dzieje. Mogłaby ją powalić jednym ruchem wyuczonym na krav madze, zedrzyć jej buty z nóg i w momencie wrócić do auta. Jej ręka sięga do klamki, oddech się zatrzymuje. Ale w tej samej chwili tamta staje z wahaniem, po czym podchodzi do siedzącego na murku kota. Wyciąga rękę, jakby chciała go pogłaskać, a potem, rozejrzawszy się ukradkiem po ulicy, łapie go za kark i wyrzuca do brązowego kosza. Z trzaskiem kładzie na nim pokrywę i jeszcze raz rozgląda się wokół. A potem otrzepuje ręce, wraca do środka i zamyka za sobą drzwi.

Trzy kobiety siedzące w samochodzie wytrzeszczają oczy ze zdumienia.

– Ja pierniczę... – odzywa się Nisha po chwili.

– Czy ona właśnie... wrzuciła kota do kubła na śmieci? – Andrea gapi się przez szybę.

– Owszem – szepcze Sam z niedowierzaniem. – Wrzuciła kota do kubła na śmieci.

Zanim Nisha zdąży to skomentować, Sam wychodzi z samochodu. Robi kilka kroków w stronę domu, a potem odwraca się do siedzących w aucie kobiet, cała czerwona na twarzy.

– Widzicie? Oto w jakim świecie żyjemy. To był po prostu kot, który nikomu nie wadził i pewnie świetnie się sprawdzał w byciu kotem. Wiódł sobie spokojne kocie życie. A potem nagle nie wiadomo skąd pojawia się jakaś zmija i bez żadnego powodu postanawia się na nim wyżyć. Wyrzucić go do kosza pełnego odpadków, jakby on sam był śmieciem! – Sam najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, że krzyczy, nie zważa na to, że ktoś mógłby ją usłyszeć. Twarz ma przepełnioną żalem i widać, że jest na skraju łez. – Ten kot nie zrobił niczego złego! Nawet nie wszedł w tej kobiecie w drogę! Po prostu sobie żył, jak to kot! A ona próbowała go zniszczyć! Dlaczego ludzie są takimi potworami? Czy nie mogliby być dobrymi ludźmi?

Nisha odwraca się do Andrei.

– Yyy... czy wszystko z nią w porządku?

– Nie, nic nie jest w porządku! – wrzeszczy Sam.

Po czym odwraca się i podbiega do kosza na śmieci. Na oczach zszokowanych Nishy i Andrei wkłada do środka obie ręce, próbuje sięgnąć głębiej i na chwilę odrywa stopy od ziemi, a potem wyciąga stamtąd kota. Zwierzak wygląda na nieco wkurzonego, pokryty jest warstwą makaronu, ale nic poza tym mu się nie stało. Sam przyciąga go do twarzy, strzepuje z niego makaron, głaszcze go i mruczy mu coś do ucha. Zaciska powieki i bierze długi, głęboki, drżący oddech. Po chwili otwiera oczy i ostrożnie kładzie kota na chodniku. Ten się otrzepuje, przez chwilę liże łapę, a potem powoli odchodzi ulicą, nie oglądając się za siebie.

– Chodzi jej o to, że sama czuje się jak ten kot, tak? – pyta szeptem Nisha.

– Bardzo możliwe – odpowiada Andrea.

Sam wznosi oczy ku niebu, a potem wyciera ręce o spodnie. Podchodzi do samochodu i wsiada do niego z płonącym wzrokiem. Wreszcie odzywa się po krótkiej chwili ciszy:

– Pieprzyć ją. Rób, jak uważasz. Odzyskamy te buty.

Kiedy przyjeżdżają do domu, Jasmine jest w trakcie kolejnej rundy prasowania. Odstawia parujące

żelazko, o nic nie pytając, robi herbatę i słucha uważnie opowieści Niszy o tym, co się wydarzyło. Sam stoi w kącie kuchni nieznajomej, przyglądając się stosom prania, dokładnie wyczyszczonym białom, i ukradkiem zerka na Andree, która ma w sobie więcej życia i radości, niż widziała u niej w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jasmine, gdy na tacy stoją już cztery pełne kubki, przegania je do pokoju i tam wszystkie siadają.

– Okej, powtórzę w skrócie, tak dla jasności: musisz odzyskać swoje buty od tej kobiety. Która kupiła je w sklepie charytatywnym. I tak naprawdę nie zrobiła nic złego.

– Wrzuciła kota do kubła na śmieci. – Twarz Sam wyraża zaciętość.

Stojąca w drzwiach nastolatka robi wielkie oczy ze zdumienia. Być może wyczuła dziwną atmosferę, bo nie rusza się stamtąd od ich przybycia.

– Wrzuciła kota do kubła na śmieci?

Andrea wyciąga telefon i pokazuje jej nagranie. W ciągu kilku krótkich chwil twarz Jasmine wyraża kilka różnych emocji, a na końcu kręci głową w oszołomieniu.

– Gracie, wracaj do lekcji. – Dziewczyna cmoka z dezaprobatą i niechętnie opuszcza pokój. Jasmine odwraca się do Sam i Andrei. – A wy kim jesteście? I co macie wspólnego z tą sprawą?

– Ja mam na imię Sam. I to ja jestem tą osobą, która zabrała buty. Przez pomyłkę. – Zerka przy tym na Niszę, ale ta po raz pierwszy nie przewraca oczami z powątpiewaniem.

– A ja mam na imię Andrea. Jestem przyjaciółką Sam. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co tu robię, ale to znacznie ciekawsze niż siedzenie w domu.

Jasmine najwyraźniej uznaje to za absolutnie racjonalne wyjaśnienia.

– Tak w zasadzie – mówi Sam – próbujemy obmyślić, jak odzyskać te buty w sposób, który nie wiąże się z włamaniem albo pobiciem kogoś.

– Ale też tego nie wykluczamy – dodaje Nisha.

– A nie możecie jej po prostu poprosić o te buty?

– Ona wrzuciła kota do kubła na śmieci – powtarza Sam tonem, jak gdyby tłumaczyła rzeczy oczywiste komuś niezbyt bystremu.

Jasmine kiwa głową z lekką rezerwą i mówi powoli:

– Okej.

– Jeśli ją o nie poprosimy, a ona odmówi, to wylądujemy w czarnej dziurze. – Nisha nachyla się w jej stronę. – Jas? Pamiętam, co się stało, kiedy zabrałam swoje ciuchy z penthouse'u. Jak wymyśliłaś na szybko, jak je zwrócić. I pomyślałam, że może...

Jasmine spogląda na Niszę. Odsuwa palcem włosy z twarzy, a w kącikach jej ust igra figlarny uśmiech.

– O co ci chodzi? – pyta Nisha.

– Pani Cantor, czy mi się wydaje, czy prosi mnie pani o pomoc?

Po raz pierwszy Sam widzi, jak twarz Niszy łagodnieje. Kobieta wpatruje się przez chwilę w Jasmine i dzieje się z nią coś dziwnego, jak gdyby tuż pod powierzchnią kotłowało się w niej milion emocji.

– No co, mam cię błagać? – odzywa się wreszcie.

Jasmine marszczy czoło.

– Yyy... tak?

A wtedy Andrea, która uważnie obserwowała tę scenę, odkłada kubek na stolik i zaciera rękę.

– Okej, bierzmy się do roboty.

Cztery kobiety siedzą w niewielkim salonie do prawie dziesiątej wieczorem, rozmawiają, obmyślają plan, śmieją się. Planowanie raz po raz przerywają rozmaite anegdoty, historyczny chichot albo cierpkie uśmiechy wyrażające zrozumienie. Po siódmej postanawiają przerzucić się z herbaty na wino, więc Nisha biegnie do najbliższego sklepu, żeby kupić przekąski i dwie butelki wina, które miesiąc wcześniej bałaby się nawet wylać do zlewu. Ośmielona tanim alkoholem, opowiada kilka historii o Carlu – w tym tę, jak się wściekł z powodu włożenia niewłaściwych skarpetek – a pozostałe kobiety żartują z tego w sposób, od którego w poprzednim życiu od razu by się najeżyła. Ale teraz odkrywa, ku swojemu zaskoczeniu, że podoba jej się to, że ktoś głaszcze ją po ramieniu w geście solidarności albo żartuje o tym, co powinna zrobić w ramach zemsty.

Kiedy Jasmine opowiada im, jak wyspała Carlowi śwędzący proszek do majtek, Andrea aż krztusi się winem i obryzguje nim kolana. To w nią ten wieczór wlał najwięcej życia: dużo mówi i śmieje się głośno, nie stroni od wulgaryzmów, nabija się z ludzi i ich pobudek, a całe to zachowanie stoi w kontraście z pozorną



kruchością jej ciała. Nisha uświadamia sobie, że ta nietypowa emocja, którą odczuwa względem niej, to podziw. Andrea objaśnia im swoją chorobę za pomocą żartów, tak jak to robią Anglicy, kiedy mówią o trudnych dla nich sprawach. Krótką ciszę, która zapada po jej opowieści, przerywa Jasmine, która podnosi się z miejsca i mocno ściska Andreeę. Powtarza tylko „kochana...”, a Andrea klepie ją po rękach, jak gdyby pod tym słowem kryło się wiele znaczeń.

Nawet Sam z tą swoją udręczoną miną wysuwa nieco głowę ze skorupy i nie wygląda już jak osoba wiecznie na skraju łez. Widać, że czuje się odpowiedzialna za całe zamieszanie i to ona przypomina im, po co się tu zebrały, gdy tylko zbaczą z tematu. O dziewiątej Jasmine oznajmia z przerażeniem, że zapomniała o prasowaniu, a kiedy wyjaśnia, że to jej dodatkowa praca, Andrea proponuje, że wszystkie się do tego zabiorą, dzięki czemu szybciej pójdzie. Reszta dyskusji mija im więc w takich okolicznościach: Jasmine prasuje, Sam i Nisha składają i pakują rzeczy w kącie pokoju, a Andrea rozsiada się na sofie z igłą i nicią, zgrabnie obrabiając parę damskich spodni. Jasmine, początkowo zaniepokojona przekazaniem tego zadania, przytula ją i nazywa bohaterką, kiedy widzi efekty jej pracy.

Kiedy Sam i Andrea wreszcie wychodzą, Nisha i Jasmine odprowadzają je wzrokiem i machają im przez okno. Obie kobiety idą ramię w ramię, oświetlone na pomarańczowo przez światło latarni. Gdy dochodzą do samochodu, Andrea, najwyraźniej znużona, kładzie głowę na ramieniu przyjaciółki, która przyciąga ją do siebie. Żadna z nich nie wspomniała o tym, co się dzieje w życiu Sam, o jej smutnym mężu i o pracy: czasami człowiek wie, kiedy drugi potrzebuje wytchnienia od tego, co go w życiu przytłacza.

– Polubiłam je. Powinniśmy się jeszcze spotkać! – mówi Jasmine.

Nisha posyła jej wąpiące spojrzenie.

– Jaja sobie robisz?

Powiedziała to trochę w formie żartu, ale Jasmine kładzie jej rękę na ramieniu.

– Nisha, skarbie. Czasami możesz zdjąć ten pancerz, wiesz?

Po czym posyła jej życzliwy uśmiech i rusza w stronę łóżka.

Kiedy Sam wreszcie wraca do domu, Phil już śpi. Chodzi więc po ciemnej sypialni na palcach, kładzie ubrania na krześle w kącie i wślizguje się do łóżka tak, by go nie obudzić. Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Ale cieszy się, że jej mąż nie kryje się już przed nią w kamperze.

Leży pod kołdrą, nasłuchując przejeżdżających za oknem samochodów, odległego szczekania psa, a w jej głowie wciąż szumi na wspomnienie wydarzeń tego dziwnego wieczoru, tego dziwnego nowego świata, w którym niespodziewanie się znalazła.

– Nie jestem gotowy, by o tym rozmawiać – rozlega się nagle w ciemności głos Phila.

Sam mruga zdumiona.

– Okej.

Chce go dotknąć, ale jej ręka zastyga w pół ruchu, a potem Sam ją cofa i kładzie się na plecach, wpatrując się w ciemność i czekając na sen, który pewnie nie nadejdzie.

Sam wraz z Nishą podchodzi do frontowych drzwi. Ma na sobie swój najlepszy kostium do pracy, ten, w który właśnie zaczęła się znowu mieścić, natomiast Nisha jest w zakiecie od Chanel i ilekroć dostrzeże, że Sam zerka w jej stronę, strzepuje z rękawów wyimaginowane kłaczki w taki sposób, jakby chciała podkreślić, że to jej własność. Po drugiej stronie ulicy, trzy samochody dalej, w nissanie micrze siedzą Jasmine i Andrea, a Sam nawet z tej odległości czuje na sobie ich wzrok. Bierze głęboki oddech i próbuje stłumić lęk, który zaczyna ją ścisnąć w żołądku – boi się, że może nie sprostać temu zadaniu. Nigdy nie umiała kłamać. Ale potem spogląda na kosz, którego ktoś nie zamknął, przez co jego pokrywa lekko kołacze o bok, i nagle czuje w sobie przypływ determinacji.

Zerka jeszcze na Nishę, która kiwa głową, i puka do drzwi.

Po prawie trzydziestu długich sekundach otwiera im jakiś mężczyzna. Ma szyję tak szeroką, że zlewa mu się z głową, a ubrany jest w zapinaną na zamek bluzę i spodnie dresowe, jak ktoś, kto zaraz pójdzie pobić. Tyle że widać, że już dawno nie uprawiał żadnego sportu. Przygląda się im obu, a potem zerka na podkładkę do pisania, którą trzyma w ręce Sam.

– Nie jesteśmy religijni – rzuca i już ma zamknąć drzwi.

– Szukamy... – Sam przebiega wzrokiem swój notatnik. – Liz Frobisher. Jest może w domu?

– Kim panie są?

– Jesteśmy z fundacji pomagającej kotom – odpowiada Nisha bez zająknięcia.

– Już wsparliśmy was datkiem – odpowiada mężczyzna i znowu szykuje się do zamknięcia drzwi.

Ale Nisha tak łatwo nie da się zbyć.

– Niczego od państwa nie chcemy. Tak właściwie to przyszyliśmy, by przekazać pana żonie... bo rozumiem, że jest pan mężem pani Frobisher?... że wygrała nagrodę.

Mężczyzna posyła im nieufne spojrzenie.

– Jaką nagrodę?

– Pana żona niedawno kupiła coś w naszym sklepie i okazało się, że była milionową klientką wspierającą naszą działalność charytatywną. Z tej okazji chciałybyśmy jej wręczyć nagrodę!

– Czy to się wiąże z jakimiś opłatami z naszej strony?

– Nie zapłacą państwo ani pensa – odpowiada Sam z uśmiechem. – To po prostu miła niespodzianka z naszej strony.

– A co to takiego dokładnie?

– Czy pana żona jest w domu? Musimy to omówić z osobą, która nabyła u nas ten przedmiot... to znaczy buty. Bo to były buty.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę przygląda im się badawczo, a potem krzyczy w stronę korytarza.

– Liz?

Potem woła jeszcze raz i z głębi domu dochodzi głos:

– Co?

– Ktoś do ciebie. Podobno wygrałaś jakąś nagrodę.

Następuje krótka chwila milczenia, w czasie której Nisha i Sam uśmiechają się do mężczyzny. Być może nieco zbyt promiennie, stwierdza Sam, kiedy jego mina wyraża coraz większe zakłopotanie. Czekają jeszcze przez kilka chwil w niezręcznej ciszy, aż wreszcie w korytarzu pojawia się Liz Frobisher. Ubrana jest w wąskie džinsy, bluzę od dresu i puchate kapcie. Sam widzi kątem oka, że Nisha wpatruje się w jej stopy i myśli, że może to dobrze, że kobieta ma na nogach coś tak niewinnego. Gdy staje w drzwiach tuż za swoim mężem, Sam zwraca się do niej pogodnym tonem:

– Liz Frobisher?

– Tak, a o co chodzi?

– Mamy niezwykłą przyjemność poinformować panią, że jest pani milionową klientką sklepu należącego do naszej fundacji i wygrała pani noc w słynnym hotelu Bentley w Londynie.

Liz Frobisher marszczy brwi i spogląda to na jedną, to na drugą.

– Co? Serio?

– I mówią, że nie będziesz musiała nic dopłacać – dodaje mąż.

– Jeszcze raz, na czym polega ta nagroda?

Sam, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, wyjaśnia, że w najbliższą niedzielę Liz i osoba przez nią zaproszona – zakłada, że to ten przemiły człowiek, ha, ha, ha – będą mieli możliwość przenocowania w apartamencie biznesowym w hotelu jako goście fundacji. Jest to hotel pięciogwiazdkowy, znany i ceniony w środowiskach celebrytów z powodu wysokiej jakości świadczonego serwisu.

– Czy w tym tygodniu kupiła pani buty w sklepie należącym do Global Cat Foundation?

– Tak, kupiłam.

– Nawet się nie przyznałaś – wtrąca mężczyzna.

– Nie muszę ci się spowiadać ze wszystkiego.

– Przecież nawet nie lubisz kotów.

– To było na cele dobroczynne. – Liz Frobisher zerka na notatnik trzymany przez Sam. – Więc co muszę zrobić?

– Absolutnie nic – odpowiada Nisha z uśmiechem. – Jedyne się pojawić! Zaraz, chwileczkę... Mam tu zapisaną prośbę, by przyniosła pani ze sobą zakupione w sklepie buty i założyła je do zdjęcia promocyjnego. Pojawi się ono na naszym Instagramie i w innych mediach społecznościowych. Czy to możliwe?

– O, zdjęcie promocyjne. – Perspektywa sławy sprawia, że twarz Liz Frobisher się rozjaśnia. – Czy mogę zobaczyć feeda na Instagramie?

– Nasze konto jest chwilowo nieaktywne, ale wkrótce uruchomimy Instagram na nowo. Wszystko to jest związane z nagrodą dla milionowej klientki – mówi Nisha szybko. – Ale wydaje mi się... tak... o, tu mamy screenshot. – Nisha pokazuje swój telefon z fałszywym widokiem konta na Instagramie, który Andrea stworzyła poprzedniego wieczoru.

Obie wpatrują się badawczo w ekran jej komórki.

– Chyba... chyba dam radę. Damy radę, co nie, Darren?

– Wybierałem się do mamy w niedzielę.

– To pojedziemy tam po powrocie od niej.

– Mieliśmy do niej wpaść po południu.

– To powiedz, że wpadniemy wcześniej na obiad. – Liz Frobisher uśmiecha się do Sam. – Czy to musi być w najbliższą niedzielę?

– Obawiam się, że tak – odpowiada Sam. – Ten hotel ma bardzo duże obłożenie i to jedyna noc, kiedy naszej organizacji udało się zdobyć pokój o takim standardzie... – robi efektowną pauzę i wpatruje się w notatnik. – ...ale jeśli ten termin pani nie pasuje, to będziemy musieli przyznać tę nagrodę następnej osobie na liście.

– O nie, nie, przyjedziemy – mówi Liz Frobisher, szturchając męża łokciem, kiedy ten zaczyna protestować.

– Fantastycznie! Proszę się więc stawić w hotelu o dowolnej porze po trzeciej po południu, a ktoś z obsługi poinformuje panią, kiedy czeka panią sesja zdjęciowa.

– Czy będzie tam fryzjer i makijażystka? – pyta Liz.

Sam widzi, że Nisha zaczyna przewracać oczami, więc wkracza do akcji.

– Nie jestem pewna, ale mogę to sprawdzić. W każdym razie najlepiej, jeśli pojawi się pani w pełni gotowa do zdjęć. To takie miejsce, gdzie człowiek nigdy nie wie, kto będzie się kręcił w holu – mówi konspiracyjnym tonem. – Paparazzi! Sama pani wie, jacy są okropni.

Tak, są okropni. Wszystkie trzy zgadzają się, że są okropni.

– To cudownie! – mówi Sam. – Zatem widzimy się w niedzielę! Oto wizytówka hotelu, proszę zapytać o tę osobę w recepcji. Bardzo się cieszę. I jeszcze raz gratuluję!

– Tylko proszę nie zapomnieć o butach! – dodaje Nisha.

– Jasne! – odpowiada Liz Frobisher, która wciąż wpatruje się w wizytówkę, kiedy jej mąż zamyka drzwi.

Obie ruszają w stronę bramki. Sam wypuszcza z płuc powietrze, nieświadoma nawet, że wcześniej wstrzymywała oddech.

Nisha ogląda się za siebie, a potem mówi cicho:

– Dobra robota.

Sam jest tak zaskoczona, że nawet nie wie, co powiedzieć. Droga w stronę bramki wydaje się zajmować

dwa razy dłużej niż wcześniej w stronę drzwi. Widzą już Jasmine i Andreę w samochodzie, wyczekiwanie malujące się na ich twarzach. Wtedy nagle Sam cofa się o dwa kroki, szybko podnosi pokrywę kosza i zagląda do środka. Zamyka go, unosi wzrok i widzi, że wszystkie trzy kobiety się w nią wpatrują.

– No co? – pyta. – Tak tylko sprawdzam.

Nisha i Aleks idą razem na przystanek autobusowy, co zdarza im się kilka razy w tygodniu, kiedy przypadkiem kończą zmiany o tej samej porze albo wpadają na siebie przed szatnią. W pewnym momencie wydłużyli spacer do kolejnego przystanku, a potem o dwa i trzy przystanki, w ramach milczącego porozumienia, które pozwala im rozmawiać dłużej. Nie zważają przy tym na szary deszcz i strumień samochodów jadących wzdłuż błotnistej rzeki. Od czasu do czasu Aleks pokazuje jej coś po drodze: a to stary budynek MI5, a to gargulce w kształcie ryb na ozdobnych latarniach, a raz nawet fokę, która wystawiła głowę z wody, co było dla niej niezwykle magicznym widokiem. To okropne miasto widziane oczami Aleksa nie wydaje się już takie ponure. Nisha łapie się na tym, że czeka na ten spacer przez cały dzień.

– Wygląda na to, że w swoim dawnym życiu nie miałaś zbyt wielu przyjaciółek.

Normalnie Nisha odebrałaby to jako krytykę, ale teraz myśli przez chwilę i odpowiada:

– Nie. Chyba nie przepadałam za innymi kobietami. Ale te... są w porządku. – Kręci głową, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że to mówi. – Nawet ta, która zabrała mi buty.

Aleks wysłuchuje jej opowieści o tym, co wydarzyło się przez ostatnie dwa dni, śmiejąc się na głos, gdy Nisha opisuje sfigowane omdlenie Andrei w sklepie charytatywnym albo próżność kobiety, która kupiła jej louboutiny.

– Jasmine to dobra kobieta. Sporo w życiu przeszła. Ale ma wielkie serce. Zawsze komuś pomaga.

– Tak. Na przykład mnie.

Coś w jej tonie sprawia, że Aleks zerka na nią z ukosa. Ma postawiony kołnierz i naciągniętą nisko na uszy wełnianą czapkę, która lśni drobnymi kroplami deszczu. Z dala od kuchennych lamp jarzeniowych jego skóra wygląda na mniej bladą, uwagę Nishy przykuwa też intrygujący loczek w kolorze karmelu spadający mu na czoło.

– Dlaczego tak ci to doskwiera? Świadomość, że ktoś ci pomaga?

– Sama nie wiem. – Nisha drapie się po nosie. – Nie lubię, jak ktoś się nade mną lituje. I nie jest to łatwe, kiedy inni ludzie robią dla ciebie różne rzeczy, a ty nie masz niczego, czym możesz im się odwdziżyć. – Nisha robi krok w bok, by zejść z drogi rowerzyście jadącemu po chodniku. – Chyba większość moich wcześniejszych przyjaźni była jakąś formą transakcji. Ja cię wkręcę na to przyjęcie, a ty mnie na tę listę. Załatwię twojemu mężowi kontakt z moim. Pojedziemy razem na wakacje do twojego fantastycznego domu nad jeziorem Como, w Kalifornii albo gdziekolwiek. Ja kupuję od ciebie drogie ciuchy. Ty dbasz o mój wygląd i rzucasz wszystko, by mi towarzyszyć na imprezach, na które nie może dotrzeć mój mąż.

– To nie są przyjaźnie.

– Ale czy wszystko nie jest jakąś formą transakcji, gdyby się nad tym zastanowić? – rozważa Nisha na głos. – W końcu tak funkcjonuje większość małżeństw, nawet jeśli jest to wymiana na zasadzie „ja skaczę wokół ciebie i rodzę ci dzieci, a ty mi zapewniasz stabilność finansową”. Albo: „dbam o urodę i zapewniam ci seks na zawołanie, żebyś się nie oglądał za innymi”.

Aleks przystaje i spogląda na nią ze zdziwieniem.

– W taki właśnie sposób postrzegasz małżeństwo?

Nisha lekko się zacina.

– No wiesz... wszystko jest tego odmianą, co nie? Wszystkie relacje międzyludzkie są pewną formą transakcji.

Wtedy przychodzi jej na myśl Juliana, która nie traktowała życia w kategoriach transakcji. Aleks unosi brwi, ale nic nie mówi, a po chwili Nisha łapie się na tym, że próbuje wypełnić ciszę.

– No bo popatrz, nawet przyjaźń. Ty wysłuchujesz moich problemów, ja wysłuchuję twoich. Ty jesteś lojalny i poprawiasz mi humor, a w zamian za to ja jestem lojalna i poprawiam humor tobie. To także forma transakcji, nawet jeśli w ładniejszej postaci, co nie?

Aleks nie wydaje się przekonany.

– A co ze szczerą, płynącą z głębi serca życzliwością? A co z miłością? Z pragnieniem, by zrobić coś tylko dlatego, że zależy ci na szczęściu drugiej osoby?

– No tak, to też. Oczywiście. To znaczy... pewnie nie najlepiej się wyraziłam. – Nisha czuje się niezręcznie, jak gdyby niechcący odsłoniła coś, czego wcale nie chciała odsłaniać.

Aleks zatrzymuje się na skrzyżowaniu. Nisha czuje na sobie jego spojrzenie, więc sama patrzy prosto przed siebie. Spodziewa się, że on zaraz ją skrytykuje, skomentuje jeszcze w inny sposób jej postrzeganie związków, ale kiedy światła się zmieniają, Aleks oznajmia:

– Wyglądasz dzisiaj jakoś inaczej.

Nisha przejeżdża ręką po głowie.

– Ech. Wiem. Muszę się wreszcie wybrać do fryzjera, a oczy mam pomalowane tylko maskarą...

– Nie. Ty nie potrzebujesz mocnego makijażu. Wyglądasz... pięknie. Wyglądasz na szczęśliwszą.

Nisha lekko się najeża.

– Nie wiem dlaczego. Nie mam teraz w życiu absolutnie niczego.

– Masz szacunek do samej siebie. Masz przyjaciół. Masz satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Masz poczucie sprawczości i wpływu na własne życie. To nie są drobiazgi.

– Czy nigdy nie przestajesz wygłaszać tych swoich cikliwych hasełek?

Aleks uśmiecha się szeroko.

– Nie.

Nisha robi kilka kroków w milczeniu. A potem mówi cichym głosem:

– Nie mam przy sobie syna.

Aleks przystaje, a ona kontynuuje:

– Tak szczerze... bywam szczęśliwa przez jakieś piętnaście minut, a potem przypominam sobie, że on jest daleko. Już od tak dawna jest sam. Jego ojciec... jego ojciec myśli, że... – Przełyka ślinę i bierze głęboki oddech. – Problem w tym, że Ray, mój syn, ma problemy emocjonalne, pewnie dlatego, że tak mało poświęcaliśmy mu uwagi.

Zerka z ukosa na Aleksa, który przechyla głowę, uważnie zasłuchany w jej słowa.

– Ray... to wspaniały chłopak. Naprawdę. Gdybyś go poznał, złapałbyś z nim kontakt, jestem tego pewna. Jest inteligentny, dowcipny, po prostu wspaniały i... wie dużo rzeczy. Wie wszystko to, o czym ja nigdy nie miałam pojęcia. I dobrze dogaduje się z ludźmi. Rozumie ich. Ale mój mąż postrzega jego wrażliwość i orientację seksualną jako negatywne świadectwo na swój temat. Carl jest typem jaskiniowca. Dla niego facet musi być hetero, twardzielem i macho. Nie pozwala Rayowi z nami podróżować już od dawna, od kilku dobrych lat. A jakiś czas temu zdarzył się... wypadek. Ray miał za sobą ciężkie rozstanie, to była jego pierwsza miłość. Do tego w jego poprzedniej szkole dochodziło do znęcania się nad słabszymi. To oraz wszystkie problemy z ojcem się u niego skumulowały. Nawet bez tego piętnaście lat to niełatwy wiek, prawda? Ale Ray... znalazł się na samym dnie. A to było dla Carla jak kropla przepełniająca czarę. Postrzegał to jako słabość. A on nie toleruje żadnych słabości.

Nisha wciąż nie jest w stanie nazwać tego po imieniu, tego wypadku, jak go określali przez kolejnych kilka miesięcy, zanim Carl zabronił w ogóle o tym wspominać. Przejazd karetką, płukanie żołądka, powtarzane szeptem ostrzeżenia, żeby wszystkie ostre przedmioty i leki przez najbliższy czas trzymać pod kluczem. Nisha nie potrafi teraz spojrzeć na Aleksa. Chociaż ścisza ją w gardle, słowa wypływają z niej teraz niepowstrzymanym strumieniem. Nie zwraca uwagi na deszcz, na chłód, na stojące w korku samochody, które zanieczyszczają spalinami powietrze obok wysepki. Po raz pierwszy w życiu Nisha nie jest w stanie przestać mówić. Uświadamia sobie, że Aleks trzyma ją za rękę.

– To było przerażające. Naprawdę przerażające. Ray pojechał potem do takiego miejsca, do szkoły dla dzieci z problemami. To bardzo dobry ośrodek. Mają tam wielu psychiatrów i specjalistów oraz zajęcia, które pomagają im wrócić do zdrowia. To miejsce ma świetne rekomendacje. I jest megadrogie. Połowa dzieci z Fifth Avenue przez nie przeszła, ale to coś, o czym nie mówi się na głos. Nie chciałam go tam zostawiać. Naprawdę nie chciałam. Zgodziłam się na to, ponieważ myślałam, że może tak będzie dla niego najlepiej. Co ja wiem o byciu dobrym rodzicem? Pochodzę z rodziny spaczonych od pokoleń. Nawet na przyjaciółniach się nie znam. Pomyślałam, że jeśli tam pojedzie, nie będzie się musiał codziennie zmagać z odrzuceniem ojca, z jego humorami. Myślałam, że może uda mi się stopniowo zmiękczyć Carla, sprawić, że oprzytomnieje, że będzie w stanie dostrzec, jak wspaniałego ma syna. Ale kiedy Ray wyjechał, Carl nawet nie chciał o nim rozmawiać. W ogóle o nim nie wspominał. Kiedy uświadomił sobie, że jego syn jest gejem i to się nie zmieni, Ray właściwie przestał dla niego istnieć. Życie stało się dla mnie wtedy za bardzo pogmatwane i chyba straciłam

czujność. Byłam tak zajęta, tyle podróżowałam, walczyłam o nasz związek. Myślałam, że przechodzimy tylko przez trudny okres – kontynuuję. – Kryzys wieku średniego albo coś w tym stylu. Byłam świadkiem rozpadu wielu małżeństw i myślałam, że muszę przy nim wytrwać, jakoś to przetrzymać. Myślałam, że to zapewni Rayowi stabilizację. Myślałam, że to... zapewni... Rayowi... stabilizację.

Milknie, gdy mija ich wężykiem rozgadana grupa dzieci pod opieką nauczyciela. Patrzy, jak przechodzą przez ulicę, a potem lekko potrząsa głową.

– I wiesz co? To wcale nie była prawda. Tylko to sobie wmawiałam. Powiem ci coś strasznego. Coś absolutnie okropnego. Pewnie gdy to usłyszysz, nie będziesz chciał mnie znać.

Aleks wciąż ściska jej rękę, ale teraz obiema dłońmi.

– Jeśli mam być ze sobą szczerą, to chyba nie chciałam, by urwało się moje życie, jakie wiodłam wtedy. Chciałam, żeby problemy Raya po prostu zniknęły. Nie czułam się na siłach, by stawić im czoła. Chciałam dalej wieść życie, o jakie tak długo walczyłam. Tak wiele mnie kosztowało, by to wszystko osiągnąć. Bałam się, że jeśli stracę Carla, wrócę do punktu wyjścia. Że znowu będę tamtą smutną, bezradną osobą. Więc żyłam w nadziei, że w tamtym ośrodku uda im się naprawić moją rodzinę. Że uda im się naprawić Raya. Dzwoniłam do niego codziennie. To znaczy cały czas dzwonię. Ale teraz widzę wyraźnie, że tym, kto potrzebował naprawy, był Carl. A Ray jedynie potrzebował... mnie. Czuję się koszmarnie, ponieważ nie potrzebował niczego więcej, tylko mnie. A teraz z powodu tego całego zamieszania nawet nie mogę przy nim być.

Nisha widzi, że Aleks wpatruje się w nią łagodnie.

– Beznadziejna ze mnie matka, co nie?

Aleks kręci głową.

Nie waż się mnie przytulać, myśli Nisha. Nie waż się rzucić teraz jakimś tanim, współczującym tekstem albo którymś ze swoich ekliwych frazesów. Już czuje się niezręcznie, że za bardzo się odsłoniła, już ogarnia ją potrzeba, by uciec gdzie pieprz rośnie.

Ale on jej nie przytula. Nie rzuca także żadnej złotej myśli. Wciąż trzymając ją za rękę, zaczyna iść.

– Wkrótce odzyskasz syna – stwierdza tylko. – Już niedługo.

– Tak myślisz?

– To akurat wiem. A myślę, że... – marszczy brwi, jak gdyby ostrożnie ważył słowa. – Myślę, że nigdy nie spotkałem kobiety, która mniej by się bała życiowych trudności. Myślę, że naprawdę niedługo odzyskasz syna. A on ma ogromne szczęście, że ma ciebie za matkę.

Jego ostatnie słowa sprawiają, że oczy zaczynają ją piec.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? – pyta. Zatrzymuje się na wysepce pośrodku ulicy. – Nie pocałuję cię znowu.

– Dlaczego niby miałbym ci mówić miłe rzeczy, by cię pocałować? Ja nie traktuję wszystkiego jako... jak to określiłaś? Jako formy transakcji. – Wzrusza ramionami i przechyla głowę. – Gdybym chciał cię pocałować, po prostu bym cię pocałował.

Po czym puszcza jej rękę. A ona stoi na wysepce przez kilka chwil, nie zważając na przejeżdżające obok samochody, i stwierdza, że nie ma zielonego pojęcia, co powiedzieć.

Tak jak było do przewidzenia, nie udało jej się zasnąć, więc o szóstej, czując piasek pod powiekami i lekkie mdłości ze zmęczenia, Sam zostawia męża, który być może nie jest już jej mężem, nie tyka ubrań do pracy, której już nie ma, wkłada tylko buty sportowe i idzie na siłownię. O tej porze jest tu spokojnie, są tu jedynie pogrążeni we własnych zmaganiach prawdziwi nałogowcy, których uderzenia i jęki rozchodzą się echem po prawie pustej sali. W kącie cicho mruży radio. Sam rozgrzewa się na starej bieżni, po chwili jej nogi zaczynają protestować, oddech rwie się w piersi, a potem podnosi hantle, tak jak doradził jej Sid, by rozruszać mięśnie, wypłukać z nich kwas mlekowy, i nie daje się zniechęcić faktem, że to dla niej za duże ciężary. A potem owija dłonie bandażem, wsuwa je w odrapane, lekko gryzące rękawice bokserskie, zębami zaciąga rzepy wokół nadgarstków i podchodzi do worka treningowego.

Worek jest dociążony, żeby za bardzo się nie kołysał, a ona zaczyna zadawać ciosy – raz, dwa, raz, dwa – i czuje, jak jej mięśnie zaczynają się rozgrzewać, a brzuch i plecy napinają się przy każdym uderzeniu. Widzi, jak jeden z mężczyzn zerka w jej stronę, a potem się odwraca. Sam zna to spojrzenie: lekceważące spojrzenie faceta, który uważa, że to nie jest miejsce dla niej, to puste spojrzenie ignorujące kobietę, która nie jest już uważana za atrakcyjną. Przez chwilę wpatruje się w tył jego głowy, a potem uderza w worek tak mocno, że aż czuje to w łopatce. Co za przyjemne uczucie. Uderza ponownie, mocno i z premedytacją, i nagle widzi twarz Simona, jego tors, jej pięści wchodzą w kontakt z porysowaną czerwoną skórą i odkrywa, że uderza teraz mocniej, całą siłą pochodzącą z ramienia i z nóg – raz, dwa. Uderza to prawą, to lewą, wysiłek wykrzywia jej twarz, pot spływa jej do oczu, aż musi wycierać go wierzchem ręki, oddycha głośno i szybko. Nie przejmuje się już tym, czy ktoś ją obserwuje, czy ocenia jej fatalną technikę. Wali teraz w każdego, kto wykorzystał jej dobre serce, w każdego, kto patrzył na nią z góry, kto się z niej wyśmiewał, ignorował ją. Uderza na myśl o losie, który pozbawił ją pracy, o lekceważeniu swojej córki, o potencjalnym rozpadzie małżeństwa i ciosy stają się silniejsze. Uderza na myśl o zostawianych jej przez matkę na poczcie głosowej coraz bardziej bierno-agresywnych wiadomościach, z których ostatnia oznajmiała, że jej ojciec próbuje posprzątać drugi pokój gościnny dla Afgańczyków i matka chce wiedzieć, co Sam robi, kiedy ojciec się przewróci i udusi pod tymi wszystkimi rzeczami. „Najwyraźniej postanowiłaś zignorować nasze uczucia, tak jak zrobiłaś z uczuciami Phila”.

Uderza na myśl o Miriam Price, ze wstydu, że ją zwolniono, i z żalu po tamtej posadzie, której już nie dostanie. Nawet jeśli Miriam przejrzała Simona, nie ma mowy, by jej firma zignorowała powody jej odejścia i brak referencji. Uderza we własne porażki i słabości, w swoje wyczerpanie i smutek, akceptując fakt, że jej ramiona krzyczą z bólu, że serce jej mocno wali, a każdy mięsień w ciele błaga, by przestała. I w końcu, kiedy czuje, że siły ją opuszczają, że jej podkoszulek i stanik są mokre od potu, Sam ściąga rękawice, odwija bandaż i wrzuca je do kosza. A potem, spoglądając na swoje czerwieniejące knykcie z dziwną satysfakcją, idzie pod prysznic.

Sam zabiera Andreę na piątkową kontrolę lekarską. Andrea nie protestuje, gdy jej przyjaciółka oznajmia, że będzie jej towarzyszyć. Sam jedzie kamperem, bo jej samochód wciąż nie działa, ale ten już tak, ponieważ jej mąż od kilku dni poświęcał mu całą swoją uwagę. Nie chce prosić Phila, by wymienił akumulator w jej aucie. Teraz nie chce prosić Phila o nic. Nie jest gotowa na jego zimne spojrzenie, na nonszalanckie wzruszenie ramion, sugerujące, że żaden jej problem już go nie obchodzi.

Jadą w niemal całkowitym milczeniu, i to nie tylko dlatego, że Sam musi się bardziej skupić na prowadzeniu większego, nieporęcznego kampera przez wąskie uliczki, a parkowanie nim przyprawia ją o palpacje serca. Sam nie jest osobą, która uparcie twierdzi, że wszystko będzie dobrze, że Andrea na pewno wyzdrowieje. „Jesteś wojowniczką! Pokonasz chorobę!” Nauczyła się dość wcześnie, że w ten sposób nie rozmawia się z kimś ciężko chorym. Bardziej niż kiedykolwiek wie teraz, że w życiu nie ma żadnych gwarancji.

Andrea jest bledsza niż zwykle, jej palce lekko drżą, gdy odpina pasy, i Sam ma nadzieję, że nie zwiastuje to czegoś strasznego. Przez miesiące łapała się na tym, że za każdym razem bacznie przygląda się twarzy przyjaciółki, sprawdzając, czy nie schudła, czy nie porusza się wolniej, czy nie ma żadnych oznak, że to coś wygrywa.

Popija czarną kawę w szpitalnej poczekalni, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w otwarte

czasopismo, kiedy Andrea zostaje wezwana do gabinetu. Gdy daje jej znak, żeby i ona weszła, Sam po części odczuwa lęk, a po części ulgę, że nie zostanie tu sama ze swoimi myślami.

Siadają w małym gabinecie, nawet nie próbując się uśmiechać, Andrea szybko przedstawia przyjaciółkę, a potem sięga po jej rękę. Sam ściska ją mocno, starając się przekazać tym gestem całą swoją miłość i nie myśleć o tym, jak bardzo słowa, które zaraz usłyszą, wpłyną na życie ich obu. Lekarz, doktor Singh, jest chirurgiem, który operował Andreę. Opiekuje się nią od czasu diagnozy, a jego sposób bycia łączy w sobie stanowczość, dobrotliwość i lekki dystans człowieka, który wpłynął na losy tysięcy istnień. Ma ekstrawaganckie wąsy, nienagannie wykrochmaloną koszulę, a na małym palcu ozdobiony rubinem duży sygnet, który wrzyna mu się w ciało. Sam wpatruje się w jego twarz, próbując wywnioskować, co zaraz powie, ze sposobu, w jaki się pochyla, uważnie studiując wyniki badań USG.

– A jak pani się czuje? – pyta, zamykając teczkę z dokumentacją i opierając się o krzesło.

– Nieźle, chociaż jestem trochę zmęczona – mówi Andrea.

Sam spogląda na nią ukradkiem. Andrea odpowiedziałaby w podobny sposób, gdyby rekin odgryzł jej obydwie nogi.

– Jakies nowe bóle?

Andrea kręci głową.

– To dobrze – stwierdza lekarz. – To dobrze.

Mów, co masz powiedzieć, pogania go w myślach Sam. Nie jest w stanie oderwać wzroku od jego twarzy. Ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje z napięcia.

Lekarz lekko opuszcza głowę.

– Na zdjęciach USG wszystko wygląda czysto. Operacja przebiegła pomyślnie, jak już pani wie. I nie widać przerzutów do węzłów chłonnych, czego się baliśmy.

– Czyli co...? – pyta Sam.

– Nie chcę przejawiać nadmiernego optymizmu. Ale to wszystko bardzo dobrze rokuje na przyszłość. Jak widać, połączenie operacji i chemioterapii dało obiecujące wyniki.

– Obiecujące wyniki? – powtarza Sam.

Mężczyzna posyła jej życzliwe spojrzenie.

– Nie dysponujemy wiedzą absolutną. Nie lubimy mówić o niczym ze stuprocentową pewnością. Ale wygląda na to, że nowotwór został usunięty na dobre i nie widać żadnych innych jego śladów. Pozostanie pani pod obserwacją, ale na tę chwilę jest się z czego cieszyć.

– Więc... to zupełnie zniknęło? – pyta Andrea niepewnym głosem.

Doktor Singh składa ręce. Rubin w jego sygnecie połyskuje w słońcu, które prześwieca niespodziewanie przez żaluzje.

– Są na to ogromne szanse.

– Czy... czy muszę coś robić? – pyta Andrea.

– Na teraz nie. Pani leczenie zostało zakończone. Tak jak powiedziałem, będzie pani pod obserwacją. I może pani myśleć o rekonstrukcji piersi. Ale na razie skupiłbym się na odzyskaniu sił i powrocie do normalnego życia.

Przez chwilę żadna z nich nic nie mówi. A potem nagle Andrea odwraca się do Sam, a jej twarz wyraża tysiące emocji, choć przede wszystkim niedowierzanie i ulgę. Po jej policzkach płyną łzy. Obie kobiety wstają odruchowo, a wtedy Sam przyciąga Andreę do siebie, ściska ją mocno, jak gdyby dopiero teraz dopuściła do siebie całą groźbę sytuacji. O Boże – mówią jedna przez drugą. O Boże, dzięki ci, dzięki.

– Tak się bałam, że cię stracę – szlocha Sam w kościste ramię Andrei. – Nie mam pojęcia, jak bym sobie dała radę ze wszystkim. Nawet nie wiem, kim bym była bez ciebie. I wiem, że to głupie i samolubne myśleć w ten sposób, ponieważ to ty przechodziłaś najgorsze.

– Beze mnie utonąłabyś w gównie po uszy. – Andrea śmieje się i płacze, przyciskając ją mocno do siebie.

Sam czuje na skórze gorące łzy przyjaciółki.

– Nic byś nie zrobiła – dodaje Andrea.

– To prawda. I muszę ci powiedzieć, że trzeba być wredną małpą, by zrobić coś takiego przyjaciółce. Totalnie wredną małpą.

Andrea się śmieje. Oczy jej błyszczą i ociera je bladą dłonią.



- Wiem, że to było samolubne. Tyle przeze mnie przeszłaś.
- No właśnie. Nawet nie mam pojęcia, dlaczego się dalej przyjaźnimy.

Znowu wpadają sobie w ramiona, śmiejąc się i płacząc, a potem rozdzielają się i spoglądają na doktora Singha, który wciąż się uśmiecha, ale z lekko nieufną miną kogoś, kto nie jest do końca pewny, co się wokół niego dzieje.

– Kocham pana, doktorze! – wykrzykuje Andrea i roześmiane zaczynają go ścisnąć, nie zważając na jego przytłumione protesty.

W drodze powrotnej Sam jest tak pogrążona w rozmyślaniach, że nawet nie zauważa zmiany świateł. Wraz z Andrea pozwoliły sobie na kawę w małej kawiarence, gdzie siedziały przy rozklekotanym stoliku przed wejściem, a Sam po raz pierwszy od roku spoglądała na przyjaciółkę i nie czuła nieokreślonej paniki na myśl, że Andrea się przeziębi, że jej brak apetytu sugeruje jakiś złowieszczy rozwój wydarzeń albo że złapie jakieś unoszące się w powietrzu rzadkie bakterie, które przy jej obniżonej odporności ją powalą. Siedziały i w milczeniu jadły drożdżówkę z lukrem, delektując się promieniami słońca, tak rzadkimi o tej porze roku.

Na mocy milczącego porozumienia postanowiły odłożyć wszystkie trudne rozmowy – o małżeństwie Sam, o finansach Andrei, o czekającym je zadaniu odzyskania butów – i rzucają tylko niewinne komentarze o tym, jak pyszna jest drożdżówka, a kawa cudownie mocna, i jak wspaniale jest rozkoszować się tym nieoczekiwanie ciepłym dniem. Andrea jest zdrowa i wszystko inne nie ma dziś znaczenia. Sam nie pamięta, kiedy kawa jej tak bardzo smakowała.

I właśnie myśląc o tym, wjeżdża na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Uświadamia to sobie dopiero, kiedy słyszy oburzony ryk klaksonu i pisk opon innego samochodu, zmuszonego do gwałtownego hamowania.

- Jezu – mówi Andrea, chwytając się pasów bezpieczeństwa. – Daj mi trochę pożyć, Sammy.

Sam przejeżdża do końca skrzyżowania, serce wali jej jak oszalałe, i gestem ręki przeprosza tamtego kierowcę.

– Wybacz – mówi, a jej ciało wskutek szoku oblewają fale zimna i gorąca. – Po prostu myślami byłam...

- Bo serio, chyba należy mi się chociaż jeden dzień życia w zdrowiu.

Obie wybuchają śmiechem, choć w oczach mają przerażenie.

I wtedy Sam spogląda w lusterko wsteczne i widzi niebieskie światło radiowozu.

- Tylko tego mi brakowało – wzdycha.

Zatrzymuje kampera na najbliższym możliwym miejscu, z trudem wjeżdżając tam tym kolosem, a następnie cofa go nieznacznie, na wypadek gdyby policja stwierdziła, że na domiar złego zaparkowała w nieprzepisowy sposób. Patrzy w lusterko wsteczne i widzi podjeżdżający radiowóz, na którego dachu wciąż migocze niebieskie światło. Ze środka wysiada policjantka. Druga osoba z patrolu, której Sam nie widzi wyraźnie z powodu odbłasku przedniej szyby, dalej siedzi w samochodzie.

Sam opuszcza szybę i czeka. Kobieta jest przysadzista, po pięćdziesiątce, chód ma niespieszny, a do tego minę osoby, która wysłuchała już dziś rano kilkanaście absurdalnych wymówek i nie ma ochoty na kolejne.

– Bardzo przepraszam – odzywa się Sam, zanim jeszcze tamta coś powie. – To była w zupełności moja wina.

- Właśnie przejechała pani na czerwonym świetle. Mało nie doprowadziła pani do niezłego karambolu.

– Wiem. Naprawdę bardzo przepraszam.

Policjantka zerka na Andreę, znowu na Sam, potem przygląda się wnętrzu auta fachowym okiem, a na końcu odchyła się na pięcie, by spojrzeć na gigantyczny słonecznik zdobiący bok kampera. Mruży oczy.

- Czy to pani samochód?

– Tak – odpowiada Sam. – To znaczy mój i mojego męża.

- Czy jest ubezpieczony? Dopuszczony do ruchu?

– Przeszedł przegląd w zeszłym tygodniu. – Phil jej tego nie powiedział. Dowiedziała się, ponieważ zostawił w kuchni dokumenty.

- Hamulce działają?

– Tak.

- Ma pani jakieś problemy ze wzrokiem?

– Nie... nie mam.

– To mogłaby mi pani wyjaśnić, dlaczego przed chwilą przejechała pani na czerwonym świetle?

– Nic tego nie usprawiedliwia – mówi Sam i kręci głową. – Ale moja przyjaciółka, ta tutaj, dostała właśnie informację, że pokonała raka, i... i nie spałam ostatniej nocy, martwiąc się tą wizytą, do tego jestem po prostu bardzo szczęśliwa, może też zmęczona, sama nie wiem, i dlatego... straciłam na chwilę koncentrację.

Kobieta spogląda na Andreeę, na chustę na jej głowie i bladą skórę.

– To pewnie też moja wina – wtrąca Andrea. – Za dużo gadałam. Zawsze za dużo gadam.

– Wie pani co? – mówi Sam. – Proszę mi po prostu wlepić mandat. Tak będzie sprawiedliwie. Powinnam była bardziej uważać. Miejmy to już za sobą.

Policjantka spogląda na nią z niedowierzaniem.

– Prosi mnie pani, żebym pani wlepiła mandat?

Sam nie ma pojęcia, co ją naszło. Podnosi ręce i wpatruje się śmiało w policjantkę.

– Tak.

A potem, kiedy nikt nic nie mówi, dodaje:

– Wie pani co? Właśnie straciłam pracę, bo mój szef uważa, że do niczego się nie nadaję. Córka się do mnie nie odzywa. Mąż chce mnie zostawić, bo myśli, że mam kochankę. A ja przez większość czasu żałuję, że faktycznie go nie mam. I chyba dopada mnie menopauza. A jeśli nie, to coś jest ze mną nie tak, ponieważ płaczę niemal codziennie. Od dwóch miesięcy nie mam okresu i niemal codziennie rano budzę się z uczuciem, jakby coś ciężkiego siedziało mi na piersi. Ale jakoś sobie z tym poradzę, ponieważ moja przyjaciółka wyzdrowiała. Cała reszta jest do ogarnięcia. Więc proszę mi po prostu wypisać mandat. Miejmy to już za sobą.

Policjantka spogląda to na jedną, to na drugą. Na chwilę wbija wzrok w ziemię, nad czymś się zastanawiając, a potem znowu spogląda na Sam.

– Menopauza, co?

– Ale wciąż jestem odpowiedzialnym kierowcą – dodaje Sam w pośpiechu. – To znaczy na ogół jeżdżę odpowiedzialnie. Może pani sprawdzić moją kartotekę. Tylko... tylko ostatnio miałam ciężkie dni.

Gdy policjantka nie spuszcza z niej wzroku, Sam powtarza:

– Przepraszam.

Kobieta nachyla się do okna.

– Niech pani tylko poczeka, aż dojdą do tego nocne poty – mówi, obniżając głos. – To dopiero koszmar. Sam mruga zaskoczona.

– A te gnojki nie pomagają. – Wskazuje głową w stronę radiowozu. Robi krok w tył i chowa notes do kieszeni. – Daruję pani. Tym razem. Tylko na przyszłość proszę patrzeć, co się dzieje na drodze, dobrze?

– Naprawdę? – pyta z niedowierzaniem Sam.

Policjantka zdążyła już ruszyć w stronę radiowozu. Zatrzymuje się jednak na chwilę, odwraca i pochyla, by pomachać Andrei.

– I gratuluję. Z tym rakiem. Ale następnym razem radzę wziąć taksówkę.

A potem powoli idzie w swoją stronę, mrużąc coś do krótkofalówki.

Kevin zafajdał dywan w korytarzu. Gdy Sam otwiera drzwi, psina podchodzi do niej niepewnym krokiem, ze zwieszonym łbem, i pokazuje białka oczu, jak gdyby przepraszając. Phila nie ma w domu, tak samo jak i Cat, a Sam nie ma serca, by się złościć na zwierzaka. Możliwe, że nikogo nie było w domu przez wiele godzin.

– Nie przejmuj się, staruszku. To nie twoja wina – mówi, nalewa do miski gorącej wody z detergentem i wkłada gumowe rękawiczki.

Właśnie czyści dywan na czworakach, kiedy wraca Cat. Przystaje w drzwiach, jak gdyby zastanawiała się, czy wejść, czy nie, ale pewnie ciężko jest całkiem zignorować własną matkę, która zdrapuje psie odchody z beżowego dywanu, więc wita ją skinieniem głowy i na palcach omija skażony teren, jak gdyby miało to jakoś pomóc Sam.

– Czy tata jest w domu? – pyta Cat.

– Nie – odpowiada Sam przez zaciśnięte zęby. Skończył jej się naprawdę dobry środek do czyszczenia dywanów i teraz używa płynu do mycia naczyń. Kołysze się na piętach, odwracając głowę, bo zbiera jej się na wymioty. Sprzątanie po psie zawsze spada na nią. Zastanawia się, w którym momencie przypisano jej to zadanie. Być może była wtedy bardzo zajęta i ominięło ją zebranie w tej sprawie.

A wtedy uświadamia sobie, że Cat stoi za jej plecami. Odwraca się i widzi poważną minę córki.

– Wszystko w porządku? – pyta ją, choć chyba zna odpowiedź.

– Przykro mi z powodu tych butów.

Sam odkłada gąbkę.

– Niepotrzebnie. Przecież nie wiedziałaś.

– Myślałam, że masz romans.

– Naprawdę?

– Ty i tata wydawaliście się tacy nieszczęśliwi. Już nic nie robiliście wspólnie. I wyglądało to tak, jakby własne towarzystwo was męczyło. – Cat wyrzuca z siebie słowa krótkimi seriami. Pociera nos. Przy następnym zdaniu nie patrzy matce w oczy. – A potem zobaczyłam cię z tym mężczyzną.

– Joel to tylko mój znajomy.

– Ale te bu...

– Miałam na sobie te buty, ponieważ... wiesz, czasami człowiek chce się poczuć jak lepsza wersja siebie.

Cat spogląda wtedy na nią i Sam nie jest pewna, czy na twarzy córki maluje się brak zrozumienia czy podejrzliwość.

– Jestem nieszczęśliwa, Cat. Masz rację. Od dłuższego czasu. Twój tata mnie ignoruje. Przez większość czasu mam wrażenie, że wszyscy traktują mnie jak powietrze. Trudno jest ci to sobie wyobrazić teraz, kiedy jesteś młoda i piękna i wszyscy na ciebie patrzą. Ale ja czuję się tak, jakbym stała się niewidzialna, a kiedy nawet mężczyzna, którego kochasz, przestaje cię zauważać, to... to po prostu dość przygnębiające. Potrzebowałam się poczuć jak lepsza wersja siebie i te buty chyba mi w tym pomagały. Trudno to wyjaśnić. Nie jestem nawet pewna, czy potrafię to wyjaśnić samej sobie. Ale przykro mi, że zostałam w to wplątana.

– Dlaczego potrzebujesz faceta, by mówić ci, kim jesteś?

– Słucham?

Cat obchodzi ciemną plamę na dywanie.

– Dlaczego potrzebujesz uznania od kogoś innego? Tata ma depresję, owszem, ale to nie oznacza, że musi to wpływać na ciebie. Wciąż jesteś sobą. Ja nie pozwoliłabym, żeby jakiś facet decydował o tym, jak mam się czuć sama ze sobą.

– Tak. Ty zawsze miałaś to wszystko poukładane. Wydaje mi się, że wiedziałaś, kim jesteś, od kiedy skończyłaś trzy latka. – Spogląda na swoją córkę, która wydaje się nie mieć tych wszystkich problemów, tak jak i całe jej pokolenie ze swoją gadką o autonomii, równym traktowaniu obu płci, wsparciem dla mniejszości i akceptacją własnego ciała. Sam czuje, jak mimowolnie ogarnia ją smutek, gdy przypomina sobie, że wkrótce ta dziewczyna jak burza wejdzie w dorosłe życie i opuści ten dom.

Cat przysiadła ciężko na schodach. Poprawia sznurówki jednego z butów i odczekuje chwilę, zanim znowu się odezwie.

– Mama Colleen zostawiła jej tatę w zeszłym miesiącu. Powiedziała, że „ich drogi się rozeszły”.

Sam nie wie, co na to odpowiedzieć, więc przybiera neutralną minę. Na twarzy Cat nagle maluje się bezbronność, jak u dziecka.

– Czy ty i tata się rozstaniecie?

„Czy żywisz jakieś uczucia do Joela?” – zapytał ją Phil poprzedniego wieczoru, kiedy myła zęby. Zmagala się z tym, jak mu szczerze odpowiedzieć, i myła zęby jeszcze przez chwilę, zanim wypluła pastę. „Nie te same, co wobec ciebie” – odpowiedziała mu. Przez moment Phil wpatrywał się w jej odbicie w lustrze, po czym poszedł do łóżka.

– Nie wydaje mi się – odpowiada Sam córce i obejmuje ją, ciesząc się z tej krótkiej chwili bliskości. Ma nadzieję, że brzmi bardziej przekonująco, niż się czuje.

Joel wysłał jej dwie wiadomości. Jedna z nich, długa i chaotyczna, informowała ją, że powiedział wszystkim w biurze, co się wydarzyło, i próbują ustalić, jak to wszystko naprostować. Marina czuła się okropnie. Franklin już spartaczył zamówienie dla Holendrów. Niech się więc niczym nie martwi. Powinna do niego zadzwonić, gdyby czegoś potrzebowała, czegokolwiek. Ma nadzieję, że wkrótce wróci na boks. Przecież świetnie sobie radziła! Druga, wysłana dwadzieścia cztery godziny później, mówiła po prostu: „Tęsknię”. A ona wpatruje się w nią kilka razy dziennie, kiedy jest sama, i za każdym razem jej serce bije szybciej, jak silnik próbujący obudzić się do życia.

Phil nie jest w stanie usiedzieć na miejscu. Za każdym razem, kiedy siada na tej wąskiej sofie, podskakuje jak rażony prądem, jak gdyby działo się w nim za dużo, by mógł to pomieścić zwykły mebel. Chodzi w tę i we w tę po małym gabinecie i wyrzuca z siebie słowa:

– Chodzi mi o to, że ona to właściwie przyznała! Nawet jeśli to nie był romans, coś do niego czuła. I co mam z tym zrobić? Może mi pan powiedzieć? Bo ja nie wiem. Myślę o tym i myślę, i dalej nie wiem.

Doktor Kovitz siedzi z notesem na kolanach, a na jego twarzy maluje się wyraz absolutnej cierpliwości. To sprawia, że Phil ma ochotę walnąć go w nos.

– Nawet nie zaprzeczyła. Powiedziała tylko, że uczucia, jakie żywi wobec niego, nie są takie same jak uczucia względem mnie.

– I jak pan to odebrał?

Phil spogląda na niego z niedowierzaniem.

– A jak pana zdaniem miałem to odebrać? Moja żona żywi uczucia względem innego mężczyzny!

– Ja żywię uczucia względem wielu osób. Ale to nie znaczy, że zamierzam z nimi uciec.

– Proszę sobie darować te gierki słowne.

– To nie są gierki słowne. Żona powiedziała panu, że nie ma romansu. I biorąc pod uwagę pana własne zdanie, że jest ona uczciwą osobą, musimy założyć, że mówi prawdę. Żywi uczucia względem kogoś innego. Powiedział mi pan w czasie jednej z naszych wcześniejszych sesji, że wręcz zrozumiałby pan, gdyby odeszła do kogoś innego.

– Ale to było, zanim okazało się to prawdą!

Phil przykłada wnętrza dłoni do oczu i przyciska tak mocno, że pod powiekami eksplodują mu czarne plamki. Pragnie w ten sposób uspokoić myśli, pragnie je zatrzymać.

– Co panu powiedziała? Że co zamierza zrobić?

Phil siada ciężko.

– Nie rozmawialiśmy o tym. – Gdy doktor Kovitz unosi brwi, dodaje: – To znaczy nie w ten sposób. Ja po prostu... nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Mam wrażenie, jakbym jej już nie znał.

– Bardzo możliwe, że już jej pan nie zna. Wszyscy się zmieniamy. Przez cały czas. Przyznał pan zresztą, że zostawił pan żonę na długo, by w samotności uporać się z własnymi problemami. Takie rzeczy zmieniają drugiego człowieka. I wpływają na małżeństwo.

Phil obejmuje się ramionami i zgina tak, że jego klatka piersiowa spoczywa na kolanach. Czasami czuje w sobie takie napięcie, że ma wrażenie, że musi je stłumić fizycznie.

– Małżeństwo nie pozostaje niezmiennie. Jest pan żonaty od dłuższego czasu, więc pan o tym wie. To jak żywy organizm. Zmienia się, gdy obie strony się zmieniają. Być może czasami potrzebujemy po prostu...

– Ona wciąż ukrywa przede mną pewne rzeczy – wyrzuca z siebie Phil.

Doktor Kovitz opiera się w fotelu.

– Aha.

– Zadzwoiłem do jej firmy dwa dni temu, ponieważ murarz potrzebował jakichś danych na temat jej ubezpieczenia, i powiedziano mi... powiedziano mi, że Sam już tam nie pracuje. – Następuje długa chwila ciszy. – Nie chce już zwierzać mi się z niczego, prawda? – Phil wzdycha powoli, z rezygnacją. – Już w ogóle się w jej życiu nie liczę.

Dawniej życie z Sam było czymś stabilnym, podstawą wszystkiego innego, z czym musiał się zmagać. Teraz Phil ma wrażenie, jakby życie z nią było serią małych eksplozji, jak gdyby nigdy nie wiedział, co nastąpi za chwilę.

– Wie pan – odpowiada łagodnie doktor Kovitz – kiedy jesteśmy zdołowani, łatwo jest widzieć wszystko w czarnych barwach. Istotom ludzkim kiepsko wychodzi rozumienie motywacji innych ludzi, nawet jeśli znają ich niezwykle dobrze. Piszemy w naszych głowach różne nieprawdziwe scenariusze. – Doktor Kovitz składa ręce w piramidkę. – Czy mogę panu zaproponować alternatywną wersję?

Phil milczy, więc doktor kontynuuje.

– Z tego, co mówił pan wcześniej, można wywnioskować, że mogła się zwolnić z pracy, której według pana słów nienawidziła. Ale równie dobrze mogła zostać zwolniona. Tego nie wiemy. Co, jeśli przyczyną, dla

której zachowała tę informację dla siebie, było po prostu to, że bała się panu powiedzieć? Co, jeśli próbowała się bronić przed tą trudną rozmową i jej konsekwencjami dla was obojga?

Po krótkiej chwili ciszy mówi dalej:

– Powiedział mi pan, że Sam od dłuższego czasu jest świadoma pana zmagania w dziedzinie zdrowia psychicznego. Czy brał pan pod uwagę, że zachowując to dla siebie, próbowała pana chronić?

Phil przypomina sobie, że kiedy telefon Sam dzwonił, zawsze wiedział, czy to jej szef, po tym, jak krzywiła się na widok jego imienia na wyświetlaczu.

– Czyli uważa pan, że powinienem to wszystko zignorować. Po prostu udawać, że nic się nie stało.

– Wręcz przeciwnie. Uważam, że najwyższy czas, by pan z nią porozmawiał.

Jest tak głęboko pogrążona w rozmyślaniach, że aż podskakuje, gdy podchodzi do niej Jasmine. Nisha stoi na niewielkim balkonie i spogląda na ciemne, migoczące miasto, owinięta ciasno szlafrokiem z powodu zimna, w ustach trzyma papierosa, którego nawet nie chce jej się palić, jak gdyby palenie o szóstej nad ranem było tak koszmarną czynnością, że tylko potwierdzałoby, jak okropny jest świat. W niektóre poranki ogromny dystans dzielący ją od syna odczuwa niczym naprężoną nić łączącą ich serca i powodującą ciągły ból, niemal nie do zniesienia. Ostatniego wieczoru Ray znowu sprawiał wrażenie zupełnie przybitego, nie wierzył w zapewnienia, że Nisha wkrótce odzyska buty i przyjedzie po niego. Kiedy próbowała opisać mu plan ich zdobycia, Ray jej przerwał. Żalił się, że kiepsko mu poszło na teście z matematyki, że tata wciąż zmniejszał mu kieszonkowe, a jego koleżanka Zoë ciągle wrzucała na Instagram zdjęcia z imprez z jakimiś dziewczynami, o których wiedziała, że on ich nie znosi. Wydawał się taki samotny i zdołowany. Tak, bierze przepisane leki. Nie, nie jest głodny. Nie, nie spał. Tak, wie, że wszystko będzie dobrze. No nic, zobaczymy.

– Kiedy po mnie przyjedziesz?

– Wkrótce, kochanie. Muszę tylko odzyskać te buty, o które dopomina się twój ojciec, wtedy wreszcie dostanę od niego pieniądze.

– Nienawidzę go – rzucił Ray z zawziętością, a na jej słabe protesty, że nie powinien tak myśleć, spytał ją dlaczego. Czy tata w ogóle kiedykolwiek okazał, że go kocha? Czy Ray jest mu winien cokolwiek? A ona nie była w stanie znaleźć na to sensownej odpowiedzi.

Oboje milczeli przez kilka długich, ciężkich chwil, a potem Ray powiedział cicho:

– Mamo? Pamiętasz tamtą piosenkę, którą mi śpiewałaś? Możesz mi ją teraz zaśpiewać?

Kiedy ją zanuciła, głos jej drżał.

„Jesteś moim słońcem, jedynym słońcem...”

Gdy niebo jest szare, rozjaśniasz mi dzień...”

Ze wspomnień wybija ją pytanie Jasmine:

– Ty też nie mogłaś spać, co? – mówi, wręczając jej kubek z kawą.

Policyjny helikopter krąży nad miastem od wielu godzin, wprawiając w drżenie nocne niebo i tworząc atmosferę nieokreślonego zagrożenia. Nisha bierze kubek i kręci głową, a Jasmine siada na składanym krzeselku stojącym na balkonie i poprawia szlafrok na kolanach.

– Ani ja. Ciągle zadaję sobie pytanie, czy jesteśmy szalone, że się na to porywamy.

Nisha wie, że Jasmine chodzi przede wszystkim o to, że może stracić pracę. Wszystko w tym planie jest wykroczeniem kwalifikującym ją do zwolnienia. Kiedy Jasmine przedstawiła im go w skrócie, Nisha zobaczyła, jak pozostałym dwóm kobietom opadają szczęki, i to dosłownie, jak postaciom z kreskówek. Nisha przez długie godziny obmyślała, jak ochronić Jasmine: to ona weźmie kartę wejściową, to ona pójdzie po buty, a jeśli coś nie wyjdzie, przyzna się do wszystkiego i powie, że to był jej pomysł, że zmusiła Jasmine do współpracy i że to wszystko jest jej wina. Ale i tak cała akcja wydaje się ryzykowna.

– Nie musisz tego robić – mówi Nisha po raz enty. – Już tyle dla mnie zrobiłaś. Nie chcę cię narażać na...

– Nish. Czy ja wyglądam, jakbym kiedykolwiek robiła rzeczy, na które nie mam ochoty? Nie. Dobrze to przemyślałam. To, co robimy, jest słuszne. Pomagamy ci zdobyć to, co ci się należy. Pomożemy ci. Jestem twoją przyjaciółką, więc nie mogę cię zostawić w potrzebie. – Zerka kątem oka na Nishę i dodaje: – A poza tym, jeśli nie zwolnisz pokoju mojej córki w najbliższym czasie, Gracie da mi ostro popalić.

Obie się uśmiechają. Ale uśmiech Jasmine zaraz blaknie.

– Obawiam się tylko tego, co będzie, gdy już oddasz mu buty – mówi, upijając kolejny łyk kawy. – Czy ten twój facet dotrzyma swojej części umowy.

– Wiem. Też o tym myślałam.

Carl robi wszystko, by wygrać. Jeśli dla niego to tylko gra – a całkiem możliwe, że tak jest – znajdzie jakiś inny pretekst, by się wykić od umowy. To jej największa obawa: że Carl po prostu każe jej się ciągle kręcić w kółko, a ona utknie w tym obcym mieście, bezsilna, bez grosza przy duszy, podczas gdy jej syn będzie siedział samotnie w tamtej szkole, tysiące kilometrów od niej, pogrążając się w coraz większej depresji. Myślała, że jej pozycja ją chroni. Myślała, że chroni ją prawo. Ale okazało się, że wszystkiego można ją

pozbawić, że koniec końców jest zdana tylko na siebie.

Piją kawę w milczeniu, spoglądając na miasto, które powoli budzi się do życia, na czerwone światła samochodów błyszczące w ołowianej szarości.

„Nie masz pojęcia, skarbie, jak bardzo cię kocham.

Błagam cię, słońce, nie pozbawiaj mnie swojego blasku”.

Nisha zamyka oczy. Łącząca ją z synem niewidzialna nić szarpie jeszcze mocniej.

– Pamiętaj, nie zrobisz wszystkiego naraz. – Jasmine pociąga ostatni łyk kawy i dotyka chusty, którą na noc owija włosy. – No, chodź, mała. Pora się zbierać do pracy. I odzyskać twoje buty. Resztą będziemy się martwić później. Ale najpierw zjemy tosty.

I znika w środku mieszkania. Nisha przez chwilę gapi się w niebo, a potem wyciąga telefon i pisze wiadomość.

JULIANA? Czy to wciąż twój numer?

Po krótkim wahaniu dopisuje:

Tu Anita.

Odczekuje kolejną chwilę i naciska „wyślij”.

Sam wyprowadza psa, zapominając na chwilę o lęku przed podejrzanymi typami na ciemnych, oświetlonych jedynie światłem lamp ulicach. Myśli o czekającym ją dniu, o szaleństwie, na jakie się zgodziła. Nigdy w życiu nie robiła niczego podobnego. Samantha Kemp: kobieta w średnim wieku, pracownica firmy poligraficznej, żona i matka, wciąż mieszkająca w okolicy, w której się wychowała. Niedługo zrobi coś zupełnie absurdu, by zwrócić buty kobiecie, która nawet jej nie lubi. Myśli o tym przez cały czas. Ale prawdę mówiąc, wszystko w jej życiu wydaje się teraz tak nietypowe, tak nierealne, że ten dzień wcale nie wydaje się jakoś bardzo odmienny od reszty. Poza tym najgorsze już się wydarzyło: straciła właściwie wszystko, co było dla niej ważne, z wyjątkiem Andrei.

Kiedy Kevin obwąchuje z zaciekawieniem każde drzewo i lampę, Sam myśli o Jasmine i Andrei, o tym, jak od razu się polubiły. Andrea ma dar do ludzi: ma w sobie tę bezpretensjonalną, otwartą życzliwość, która szybko przełamuje lody i którą momentalnie zjednuje do siebie każdego. Kiedy były młodsze, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Andrea przyjaźni się z kimś takim jak ona. Sam nie ma w sobie ani krztyny tej charyzmy, tej dziwnej, trudnej do nazwania aury, która sprawia, że ludzie chcą być blisko niej. Andrea jednak nie weźmie udziału w dzisiejszej akcji.

– Zbyt łatwo się rzuca w oczy – orzekła Jasmine, co Nisha skomentowała:

– Cholera. Turbaniasta potrafi użyć swojego uroku, kiedy trzeba.

Sam skrzywiła się wtedy, ale Andrea roześmiała się i rzekła, że Jasmine ma rację.

– To prawda, Golluma każdy potem rozpozna na posterunku. Ale gdy tylko odrosną mi brwi, będę jak Tom Cruise w *Mission: Impossible*.

Nisha i Sam wciąż podchodzą do siebie z rezerwą. Od Nishy bije pewna obcesowość i przebojowość, które wzbudzają w Sam niepokój. Zawsze najbezpieczniej czuła się w towarzystwie ludzi, który przestrzegają zasad, tak samo jak ona. Wyczuwa również, że coś w niej samej budzi u Nishy dyskomfort. Są wobec siebie bardzo uprzejme, ale okoliczności, w jakich się poznały, były zbyt dziwne – a do tego brzemienne w skutki – by mogły się do siebie odnosić z prawdziwą życzliwością.

To było jednak bez znaczenia. Sam ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało z butami Nishy, a zatem musiała jej pomóc je odzyskać. W momencie gdy nic innego w jej życiu nie było już pewne, ona była pewna tego jednego – właśnie tak należy postąpić. To jedyna rzecz, jaką powinna zrobić w tej sytuacji. Kiedy już będzie mieć to z głowy, skupi się na reszcie i zacznie się martwić szukaniem nowej pracy.

Gdy wraca z Kevinem do domu, drzwi nie są już zamknięte na klucz, a ulice powoli się korkują, gdy ludzie wyjeżdżają na zakupy, których nie zdążyli zrobić przed niedzielą. Sam wchodzi do kuchni i doznaje lekkiego szoku, widząc, że Phil już nie śpi i przygotowuje kawę, stojąc plecami do niej, ubrany w bluzę z kapturem i stare spodnie od dresu. Kiedy Sam wchodzi, odwraca nieznacznie głowę i kiwa jej na powitanie – to największa wylewność, na jaką ostatnio go stać. By pokryć niepokój, od którego ściska ją w żołądku, Sam mruczy, że idzie pod prysznic i zanim Phil coś skomentuje, znika i zostawia go z zadaniem nakarmienia Kevina.

Po prysznicu suszy włosy, a gdy nakłada krem na twarz, widzi w kącikach ust podłużne bruzdy. Mogłaby się założyć, że jeszcze niedawno ich nie miała. Przestaje się wpatrywać w swoją twarz w lusterku

powiększającym – jej zdaniem powinno się zakazać ich używania wszystkim kobietom po trzydziestce – wkłada czarny podkoszulek i czarne dżinsy, zgodnie z zaleceniami Jasmine, a do tego szary sweter i granatową parkę.

Pokonuje ostatnie dwa stopnie schodów, kiedy Phil pojawia się w korytarzu.

– Możemy porozmawiać?

Sam mruga zaskoczona.

– Teraz?

– Tak. Teraz.

Sam spogląda na zegarek.

– To nie jest najlepsza pora, Phil. Muszę... iść do pracy.

– Do pracy – powtarza Phil. Jego spojrzenie jest zimne. – W niedzielę.

– To... dodatkowe zadanie. Naprawdę nie mogę... Posłuchaj, możemy porozmawiać, kiedy wrócę?

Będę dziś wieczorem trochę później, ale wtedy na pewno...

Phil spogląda na nią, jak gdyby była kimś zupełnie obcym. I właśnie w tym momencie dzwoni jej telefon. Sam spogląda na wyświetlacz, spodziewając się, że to Nisha albo Jasmine, ale to Joel. Jego imię błyska jak wybuchający granat. Sam wpatruje się w ekran, czując, że się rumieni i marząc, by telefon umilkł.

– Odbierz – mówi Phil, który wszystko widział.

– Phil...

– Odbierz.

Sam odbiera więc, odwracając się plecami do Phila, chociaż czuje na sobie jego spojrzenie.

– Joel! – odzywa się z nadmiernym, wyraźnie udawanym entuzjazmem.

Głos Joela z kolei jest niski i konspiracyjny.

– Wybacz, że ci przeszkadzam w weekend, Sam. Ale posłuchaj, wydarzyło się coś dziwnego, co nie daje mi spokoju, jakiś facet z Izraela przyszedł w piątek do biura i wypytywał o ciebie.

– Co takiego...? Facet z Izraela?

– Tak. Nie wiem dokładnie, o chodziło. Rozmawiał z Martinem, który powiedział, że już tu nie pracujesz, a potem koleś sobie poszedł. Nie wiem, o co pytał, tylko... wyglądał jakoś złowrogo. A Martin powiedział mi, choć nie chcę cię straszyć, że było w tej całej rozmowie coś niepokojącego. Pomyślałem więc, że powinnaś o tym wiedzieć.

– To dziwne. Okej. Dziękuję.

Następuje krótka chwila ciszy.

– Zastanawiałem się też, czy...

– Muszę kończyć – przerywa mu Sam pogodnym tonem. – Do zobaczenia w pracy! I dzięki za wiadomość!

I rozłącza się, zanim Joel ma szansę powiedzieć coś więcej. Wkłada telefon do kieszeni i próbuje przybrać minę, która nie będzie wyrażać poczucia winy ani skołowania.

– Więc... porozmawiamy potem? – pyta męża.

Phil spogląda na nią, a jego cała postawa sugeruje, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

– Naprawdę porozmawiamy, Phil. Jak tylko wrócę. Ale teraz... muszę iść.

– Odchodzę – oznajmia Phil, po czym się odwraca i kieruje się w stronę kuchni.

Sam nieruchomieje.

– Co takiego?

– Odchodzę. Nie dam rady dłużej tego znieść. Muszę sobie wszystko poukładać w głowie.

Sam idzie za nim do kuchni, gdzie Phil stoi oparty plecami o blat.

– No i dokąd pójdziesz?

– Nie wiem.

– Phil, to absurdalne! Nie możesz tak po prostu odejść. Proszę, nie rób tego. Musimy... Posłuchaj, wrócę i porozmawiamy, dobrze? Niech tylko ten dzień się skończy, a wszystko omówimy.

Phil kręci głową. Kiedy się odzywa, w jego głosie brzmi szczere zdumienie.

– Dwadzieścia trzy lata, Sam. O czym tu rozmawiać?

Michelle z recepcji zawsze lubiła Jasmine, więc kiedy ta proponuje, że popilnuje jej stanowiska przez dziesięć minut, by Michelle mogła sobie zrobić przerwę na papierosa, odbiera to jako kolejny akt dobroci ze



strony Jasmine, zawsze wspaniałomyślnej względem innych członków personelu. A do tego na ogół Michelle i tak zostawia recepcję bez nadzoru, kiedy wymyka się na fajkę, więc przynajmniej tym razem mniej ryzykuje, że podpadnie u Frederika. Recepcja to jedna z kilku stref lobby, która nie jest monitorowana przez kamerę.

Kilka kroków dalej Nisha stoi z Sam na czatach, a w tym czasie Jasmine przegląda listę rezerwacji, aż wreszcie znajduje to, czego szukała. Blokuję pokój w systemie, dokonuje kilku szybkich zmian na ekranie, bierze kartę wejściową i wstaje zza biurka, uśmiechając się do Michelle, która właśnie wróciła, zalatując lekko dymem papierosowym. Poprawia szminkę, przeglądając się w podręcznym lusterku, zatrząskuje je i wchodzi za kontuar.

– Życie mi ratujesz, Jas. Nie mogę uwierzyć, że Lena znowu się nie pojawiła. Szczerze, jeśli poproszą mnie o kolejną podwójną zmianę, zamierzam zrezygnować.

– Zawsze do usług, kochana. Zawsze do usług – mówi Jasmine i wychodzi zza lady. Michelle spogląda na nią z lekkim zdziwieniem.

– Zabawne, myślałam, że ty dzisiaj nie...

– Spryskaj się. Frederik wyczuje od ciebie papierosy. – Jasmine wyciąga z torebki butelkę niezidentyfikowanych perfum i psika dwa razy na Michelle, która, zaskoczona, kaszle i mruczy niewyraźne „dziękuję”, a Jasmine wkłada je z powrotem do torebki i znika.

Nisha i Jasmine wprowadzają Sam przez boczne wejście i wiodą do szatni dla pracowników, gdzie wkładają swoje uniformy złożone z czarnych bluzek i spodni. Sam od rana jest milcząca, twarz ma bladą i ściągniętą, a Nisha się zastanawia, czy to z nerwów. Będzie się musiała wziąć w garść. Jest typem kobiety, która może się załamać, nagle stwierdzić, że nie potrafi kłamać, albo wybuchnąć płaczem. Błagam, oby tego nie spieprzyła, modli się w myślach do jakiegoś nieznanego bóstwa. Muszę odzyskać te buty.

– Wszystko w porządku? – pyta ją Nisha bez ogródek, wkładając spodnie.

– Tak – odpowiada Sam, która siedzi na ławce, trzymając na kolanach dłonie ściśnięte tak mocno, że aż knykcie jej pobielają.

– Chyba nas nie wystawisz?

– Nie, nie wystawię was.

– Może nałożysz lekki makijaż, co? Wyglądasz trochę blado – stwierdza Jasmine, która najwyraźniej potrzebuje się czymś zająć.

Kieruje Sam do lustra, wyciąga swoją przepastną kosmetyczkę, po czym zaczyna nakładać jej na twarz róż i maskarę. Sam ma twarz całkowicie pozbawioną wyrazu, wygląda jak zombi i widać, że coś ją dręczy. Co jest z nią nie tak? – zastanawia się Nisha. To w końcu ona wzięła na siebie największą odpowiedzialność. I to ona ma najwięcej do stracenia.

– Od razu lepiej – mówi wreszcie Jasmine. – Witaj z powrotem wśród żywych! – Śmieje się z życzliwością i klepie ją po policzku.

Sam spogląda na swoje odbicie w lustrze.

– Dzięki – odpowiada anemicznie. Ma podkreślone oczy, jej skóra błyszczy od bronzera. Na co dzień prawie się nie maluje, więc transformacja jest niemal szokująca.

– Która godzina? – pyta Nisha, spoglądając na zegarek. – Nie powinniśmy być już w recepcji?

– Mają się zameldować po trzeciej – odpowiada Jasmine. – Zjedzmy coś. Trzeba mieć siłę do walki, co nie?

Wszystkie trzy stoją w kącie kuchni. Jasmine zjadła pankejkę, ale Sam nie tknęła swojego jedzenia, a Nisha wie, że to przynębi Aleksa. Naprawdę markotnieje, gdy myśli, że komuś może nie smakować to, co ugotował. Czasami Nisha widzi, jak spogląda przez szyby w drzwiach prowadzących do restauracji i obserwuje, kto zjadł ile omlotu albo jajek po benedyktyńsku i widać w jego ciele napięcie, gdy ktoś zostawi ponad połowę.

– Nie smakuje pani? – pyta, wskazując na prawie nietknięty talerz Sam. – Przygotować dla pani coś innego?

– Och, nie. Jest przepyszne – odpowiada, przywołując na twarz półuśmiech. – Po prostu nie jestem głodna.

– Powinnaś zjeść, co przygotował Aleks. On świetnie gotuje. – Nisha czuje lekką złość z powodu jej odmowy.

– Powiedziałam, że nie jestem głodna.

Warczą na siebie przez cały ranek, napięcie związane z czekającą je akcją podsycia tłumione animozje.

Nisha z kolei jest głodna jak wilk. Tak bardzo była pochłonięta myślami o tym, czy wszystko wzięła pod uwagę, oraz sprawdzaniem telefonu, że zapomniała zjeść śniadanie. Kiedy Aleks kładzie przed nią talerz z panekjami polanymi syropem klonowym i z dodatkiem borówek, nachodzi ją przemożna chęć, by go pocałować. Zjadła wszystko w mgnieniu oka, delektując się ich idealną puszystością, konsystencją syropu oraz chrupkością plasterków bekonu i mrużąc przy tym z zadowolenia.

– Gotowa? – pyta Aleks, wtykając białą ściereczkę za pas.

– Gotowa jak nigdy. – Nisha oddaje mu talerz. – Dzięki za jedzenie.

– Kończę dziś o czwartej. Ale poczekam. Na wypadek gdybym był wam potrzebny.

– Nie będziesz nam potrzebny – odpowiada, a potem, uświadomiwszy sobie, że zabrzmiało to nieuprzejmie, dodaje: – To znaczy mam nadzieję, że nie będziesz nam potrzebny. Ale to miło z twojej strony.

Aleks nawet nie mrugnie. Jak zwykle.

– I tak zostanę.

Dopytuje jeszcze Sam, czy naprawdę, ale to naprawdę nie chce jeść i z ledwo tłumionym westchnieniem zabiera jej talerz.

Jest za kwadrans trzecia, Sam czeka na sofie w pobliżu recepcji już od prawie pół godziny. Czuje się obco w tym wyłożonym marmurem lobby z jego sztucznie sielankową atmosferą. Co chwila mijają ją goście hotelowi, za niektórymi podążają portierzy w uniformach, pchający ogromne mosiężne wózki obładowane bagażem, a niektórzy ciągną tylko walizki kabinowe, jeśli zostają na jedną noc. Między eleganckimi sofami stoją ogromne donice z bladymi storczykami. W powietrzu unosi się wykwintny zapach wetiwierii. Sam nie pamięta, kiedy ostatni raz była w hotelu, a tym bardziej w takim okazałym. Pewnie to było wtedy, kiedy jeszcze pracowała dla Henry’ego, podczas jednodniowego pobytu w Formby nad morzem, gdzie pojechali zdobyć spory kontrakt na wydruk programów sportowych. Jak przez mgłę pamięta niedziałającą kartę wejściową do hotelu i wszechobecny zapach ryb.

Zerka na ozdobny zegar, a potem na drzwi, za którymi czeka Nisha, pewnie spięta i zdeterminowana, jak przez cały ranek. Sam wie, że zdaniem Amerykanki nie podoła temu zadaniu, i irytuje ją zarówno to jej przypuszczenie, jak i fakt, że w duchu przyznaje jej rację. Każda komórka jej ciała każe jej stąd wyjść. A jednak zdaje sobie sprawę, że nie ma po co wracać do domu. Co więc innego jej pozostaje? Wtedy otwierają się szklane drzwi i Sam dostrzega Liz i Darrena Frobisherów stojących przed wejściem do hotelu i rozglądających się tak, jak robią to ludzie w nieznanym sobie miejscu. Pisze w telefonie: „SA”, bierze oddech i podchodzi do nich, zanim zdążą dotrzeć do recepcji.

– Dzień dobry! Państwo Frobisherowie! Cudownie państwa widzieć.

Wcześniej wielokrotnie omawiały cały plan. Michelle w recepcji nie zwróci szczególnej uwagi na parę witaną przez innego gościa, więc Sam bez problemu odprowadzi ich na górę do wyznaczonego pokoju. Ludzie korzystali z lobby jako nieoficjalnego miejsca spotkań, nawet jeśli nie spędzali nocy w hotelu: było to atrakcyjne i spokojne miejsce w centrum miasta, dobre do selfie wrzucanych potem na Instagrama, robionych przez ludzi, którzy chcą dać innym do zrozumienia, że wiodą elegancki styl życia. Luksusowe marmurowe wnętrza sprawia, że rozgadana Liz Frobisher na chwilę się zamyka, i para posłusznie podąża za Sam do wind, gdzie toczy ona z nimi standardową rozmowę: pyta, jak im minęła podróż, komentuje pogodę i to, jak elegancko wyglądają. Liz nie ma na sobie louboutinów, ale jej mąż ciągnie za sobą torbę na kółkach, a Sam wyczuwa ich obecność w środku jak promieniowanie radioaktywne.

Gdy dochodzą do pokoju dwieście trzydzieści dwa i otwierają drzwi, Jasmine jest już w środku i udaje, że poprawia poduszki.

– Czy to są nasi zwycięzcy? – mówi, uśmiechając się szeroko, i Liz Frobisher podaje jej rękę, z dłonią skierowaną w dół, jak królowa witająca poddaną. Jasmine udaje się powstrzymać gwałtowniejszą reakcję i tylko nieznacznie unosi brwi. Ten pokój to apartament biznesowy, czterdzieści dwa metry kwadratowe z dużym łóżkiem i małą sofą pod oknem.

– A więc to jest państwa nagroda – odzywa się Sam. – Jeden z najlepszych pokoi, jakie są w tym hotelu. Mamy nadzieję, że będzie tu państwu wygodnie.

Liz Frobisher powoli obchodzi łóżko, przesuwa palcami po narzucie i zasłonach, jak gdyby sprawdzała ich jakość. Rozgląda się po urządzonej z przepychem sypialni, a na jej twarzy maluje się lekkie rozczarowanie. Najwyraźniej spodziewała się czegoś więcej.

- To kiedy będzie ta sesja zdjęciowa? – zwraca się do Sam, na co ta odpowiada:
- Dobrze by było, gdyby mogła się ona odbyć w miarę szybko. Póki jest jeszcze dobre światło.
- Czy to jest odpowiedni strój? Dobrze wyglądam?

Liz Frobisher ma na sobie czerwony kostium, podróbkę Chanel, celowo postrzępiony, i szalik zawadiacko zawiązany na szyi. Rude włosy, które – jak Sam teraz dostrzega – są farbowane, ułożyła w delikatne fale, a makijaż sugeruje ponad godzinę spędzoną przed lustrem.

– Bosko – oznajmiają Jasmine i Sam jednocześnie, a Liz wyraźnie puchnie z dumy, jak gdyby tego się spodziewała.

– Czy dostaniemy darmowy alkohol? – pyta Darren.

– Darren, wiesz przecież, że nie pijemy – upomina go Liz, a potem zwraca się do nich: – Zastanawialiśmy się... yyy... czy nagroda obejmuje coś więcej niż tylko pokój. – Słowo „tylko” sugeruje kolejne jej rozczarowanie.

– Na pewno uda nam się coś skombinować dla naszych zwycięzców – odpowiada bez zająknięcia Jasmine. A potem zapisuje swój numer w notesie przy łóżku i wręcza jej kartkę. – W razie jakichkolwiek problemów proszę dzwonić pod ten numer. Jestem pokojówką odpowiedzialną za państwa pokój. Proszę dzwonić do mnie bezpośrednio. Z przyjemnością państwu pomogę.

Rozlega się żwawe pukanie do drzwi – właśnie przybyła Nisha z zabranym z biura rzeczy znalezionych aparatem fotograficznym, który leżał tam jeszcze pewnie tylko dlatego, że nikt z personelu nie wiedział, jak go obsługiwać. Wita Frobisherów z wystudiowaną serdecznością, która Amerykanom najwyraźniej przychodzi bez trudu, a następnie czeka, aż Liz otworzy walizkę. Sam widzi, jak oczy Nishy rozszerzają się na widok czerwonych szpilek Christiana Louboutina ułożonych starannie na jasnym swetrze, i patrzy, jak Liz ostrożnie wyjmuje je z walizki i wsuwa na nogi. Oto są, myśli Sam, niemal na wyciągnięcie ręki, i zerka czujnie na Nishę, na wypadek gdyby tej odbiło i chciała je zerwać ze stóp kobiety. Ale Nisha wygląda, jakby panowała nad sobą, i nawet jeśli do jej uśmiechu nagle zakradł się lekki chłód, Sam podejrzewa, że jest jedyną osobą, która to zauważyła.

Darren, Jasmine i Sam czekają cierpliwie, podczas gdy Nisha instruuje Liz, by pozowała przy oknie, przy stoliku, a potem razem z Darrenem przy drzwiach, tyle że Liz stwierdza, że nie powinno go być na tym zdjęciu, bo rano się nie ogolił.

– Zresztą to nie on kupił te buty.

Darren, zwolniony z tego obowiązku, zaczyna się bawić pilotem od telewizora.

– Jakie macie państwo plany na wieczór? – pyta Sam, kiedy Nisha pstryka zdjęcia na niby. – Zjecie państwo kolację w hotelowej restauracji?

– Nie, Darren sprawdził już menu i nic mu się tu nie podoba. Wyjdziemy gdzieś na miasto. – Liz unosi podbródek i lekko wydyma usta.

– Nic panu nie pasuje? Nawet porządny burger? – pyta Sam.

– Pójdziemy na chińczyka. Lubię naleśniki z kaczką – odpowiada Darren.

– Pewnie nie włoży pani tych butów – rzuca Sam od niechcenia. – Obcas jest bardzo wysoki, prawda? Liz spogląda na swoje stopy.

– Och, jestem przyzwyczajona do chodzenia w szpilkach.

– Ale chyba nie ma pani zamiaru iść w nich przez całą drogę do Leicester Square.

Liz wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. To zależy, czy będzie padać, prawda, Darren?

– Moim zdaniem te są bardzo ładne – mówi Sam, wskazując na zdjęte przez Liz buty. – Te, w których pani przyszła. Ja bym poszła w tych.

Nisha zerka w milczeniu na stopy Liz. Jeśli samo spojrzenie byłoby w stanie oderwać louboutiny z jej stóp, paski wydzielałyby już teraz cienką smużkę dymu.

– To Russell and Bromley – odpowiada Liz. – Ale nie jestem pewna, czy pasują do tego kostiumu.

– Och, pasują! Jak najbardziej. Są przecudowne – mówi Sam.

– Chodniki wokół Leicester Square są bardzo nierówne – dodaje Jasmine, poprawiając kolejną poduszkę. – Niech pani uważa, by w tym obcasie nie skrócić sobie kostki. Mieliśmy w zeszłym tygodniu wśród gości kobietę, która naprawdę zrobiła sobie krzywdę. – Kiwa głową i powtarza ponuro: – Naprawdę zrobiła sobie krzywdę.

Liz przysiada na krawędzi łóżka.

– Nie. Pewnie włożę te. Teraz to są moje szczęśliwe buty, co nie, Darren? – Obraca kostką, podziwiając swoją nogę.

Jasmine i Sam wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

– Jasne – odpowiada Sam, wycofując się w stronę drzwi. – To pani decyzja.

– I niech pani pamięta – dodaje Jasmine. – Proszę dzwonić bezpośrednio do mnie, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała. Tak będzie o wiele szybciej niż przez centralę.

– Czy mogę zobaczyć zdjęcia? – pyta Liz, kiedy Nisha kieruje się do drzwi.

Nisha chowa aparat za sobą.

– Najpierw trzeba je wywołać. Wyślę pani stykówki.

Słowo „stykówki” zdaje się pochlebiać Liz. Trzy kobiety stoją przez chwilę przy drzwiach.

– A zatem nie pozostaje nam nic innego – odzywa się Jasmine – jak życzyć państwu miłego pobytu!

– To cudownie – odzywa się niespodziewanie Sam – że może pani tu dzisiaj być. I to wszystko dzięki wrażliwości na krzywdę zwierząt. – Nie była w stanie się powstrzymać. Musi stłumić krzyk, gdy Nisha mocno dźga ją w nerkę. Wreszcie wychodzą na korytarz i Jasmine zamyka drzwi.

– Nikt nie włoży butów z odkrytymi palcami przy takiej pogodzie – mówi Jasmine z nadzieją. – Nawet ona.

– Rzeczywiście jest raczej chłodno – dodaje Sam.

– Och, ona włoży swoje szczęśliwe buty, nawet gdyby padał śnieg – prychna Nisha.

– Nie mogę uwierzyć, że nie piją. – Jasmine przejeżdża ręką po niepotrzebnej butelce szampana. – Co za ludzie nie piją alkoholu? Byłoby znacznie łatwiej, gdyby byli pijani.

Jest kwadrans po piątej, a Jasmine zakłada, że Frobisherowie jadają wcześniej. Darren wygląda na faceta, który lubi dobrze zjeść. Pierwotnie planowały poczekać, aż tamci wyjdą z pokoju, wtedy Nisha miała pobiec po buty. Teraz siedzą w szatni dla personelu, wpatrując się w małe okno i rozmyślając o tym, czy wybór obuwia dokonany przez Liz nie pokrzyżuje im planów.

– No, padaj, skurczybyku – mówi Nisha, spoglądając na szare niebo. – W tym cholernym kraju pada codziennie. Czy coś by się stało, gdyby popadało i dzisiaj?

Wiadomość, którą wysłała Julianie, ma status odczytanej. Ale Nisha nie dostała żadnej odpowiedzi.

Kwadrans po szóstej Frobisherowie w końcu opuszczają pokój dwieście trzydzieści dwa, jakąś godzinę po tym, jak wszystkie trzy w duchu stwierdziły, że plan nie wypali, i pograżyły się w apatii. Jasmine „sprząta” biuro za recepcją, rzucając mętne frazesy w odpowiedzi na niekończące się narzekania Michelle na niesprawiedliwość systemu zmianowego i obserwując ruch w lobby. Sam i Nisha czekają w milczeniu w dusznej szatni, ignorując obojętne spojrzenia pracowników, którzy przychodzą tu po swoje rzeczy lub chcą się przebrać przed wyjściem do domu. Dla tych ludzi są po prostu anonimowymi członkami personelu, z którymi nie warto nawet rozmawiać. Obie kobiety siedzą pograżone w rozmyślaniach. Nisha odczuwa irytację, patrząc na Sam i na tę jej minę zbitego psa. A wtedy nagle brzęczy jej telefon. Nisha zerka na ekran i czuje przypływ ekscytacji.

– Wychodzą – mówi, a za chwilę przychodzi kolejna wiadomość. – O Boże – wzdycha, nie mogąc uwierzyć w to, co czyta. – Nie ma na sobie moich butów.

– Naprawdę? – pyta z ożywieniem Sam.

– Pada deszcz – dodaje Nisha. – Naprawdę pada deszcz. Dzięki ci, Panie! – Podrywa się na nogi. – Okej. Pamiętaj, co mówiłyśmy. Idziesz za nimi, by sprawdzić, czy aby zaraz nie wrócą, a ja pobiegnę na górę po buty.

Nisha ma na sobie ciemny podkoszulek i spodnie, dzięki czemu może uchodzić albo za pracownicę hotelu, jeśli ma na wierzchu swój identyfikator, albo za wyjątkowo nieciekawie ubranego gościa, jeśli schowa go do kieszeni. Jasmine dała jej nowo zaprogramowaną kartę dostępu. Serce mocno wali jej w piersi. Już za chwilę odzyska swoje buty. Nareszcie.

Po opuszczeniu szatni obie idą w milczeniu korytarzem, aż dochodzą do bocznego wyjścia i Sam wychodzi na zewnątrz, z telefonem przyciśniętym do ucha, jako że Jasmine instruuje ją, w którym kierunku udali się Frobisherowie. „Skreć w prawo w stronę Regent Street. Laska jest wciąż w czerwonym kostiumie. Nie ma płaszcza. Ale kretynce musi być zimno”.

Nisha wchodzi do windy i naciska przycisk na drugie piętro. Gdy winda rusza powoli w górę, wpatruje się w swoje stopy w płaskich czarnych czółenkach Sam i obraca w dłoni kartę wejściową. To już za chwilę. Winda zatrzymuje się na drugim piętrze, drzwi się otwierają, a ona wychodzi. W głowie jej szumi, a w żyłach pulsuje adrenalina na myśl o nadchodzącym zwycięstwie. Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć i buty będą jej.

I wtedy w głębi korytarza dostrzega Ariego, który rozmawia z dwoma mężczyznami w garniturach.

Nisha obraca się na pięcie, szybko wraca do windy i stoi z palcem na przycisku blokującym zamykanie drzwi, próbując wymyślić, co dalej. Niepewnie wysuwa głowę na zewnątrz, by sprawdzić, czy to naprawdę on, po czym się cofa. Ari jednemu z mężczyzn pokazuje coś na kartce. Stoi i rozmawia, jakby musiał to robić akurat tu. A ona nie da rady dotrzeć do pokoju, nie przechodząc obok niego. Nie ma przy tym żadnej pewności, że za drugim razem również będzie dla niego niewidoczna.

Wychodzi z windy i chyłkiem wślizguje się do szafki na pościel, którą jedna z pokojówek zostawiła otwartą. Stojąc obok półek z ręcznikami i prześcieradłami, pisze do Jasmine.

Nie mogę wejść do pokoju. Ari tu jest.

Odpowiedź od Jasmine przychodzi natychmiast:

Nie panikuj. Sama po nie pójde.

A zaraz potem kolejna wiadomość:

Będzie dobrze. ODDYCHAJ.

Jest coś zaskakująco uspokajającego w śledzeniu kogoś po ulicach Londynu, myśli Sam, lawirując w tłumie, który wypełnia Regent Street. Musi wyteńczyć całą swoją uwagę, aby śledzić Frobisherów, mimo jaskrawej czerwieni kostiumu Liz, która idzie miarowym tempem i zatrzymuje się co kilka kroków przy wystawach sklepowych. Sam trzyma się dziesięć metrów za nimi, kaptur kurtki chroni ją przed mżawką, z jej ust wydobywają się kłęby pary, a ona czuje dziwne zadowolenie, że robi coś konkretnego, co na dodatek wymaga takiej koncentracji, że w jej głowie nie ma już miejsca na nic innego.

A Liz Frobisher jest cała w skowronkach. Idzie dumnym krokiem, jak gdyby zdobywczyni nagrody sklepu charytatywnego działającego na rzecz kotów mogła się spodziewać fanfar, od czasu do czasu poprawia

włosy albo sprawdza w wystawach sklepowych, jak jej się trzyma makijaż. Darren Frobisher z kolei jest wyraźnie nadąsany i znudzony, ukradkiem sprawdza telefon i wzdycha ostentacyjnie za każdym razem, gdy jego żona się zatrzymuje.

Dzwoni jej telefon. Sam odbiera natychmiast.

– A jednak jeszcze żyjesz, dobrze wiedzieć.

Frobisherowie dalej idący Regent Street na chwilę znikają w dużej grupie nastolatków, a potem znowu ukazują się jej oczom.

– O co chodzi, mammo?

– O co chodzi? A to przemiłe powitanie. Nie znalazłaś dla nas hymnów!

– Co takiego?

– Twój ojciec analizuje teraz hymn *Za tych, którym grożą niebezpieczeństwa na morzu*. Mówi, że inne są zbyt religijne. Ale moim zdaniem jest koszmarnie ponury. Dostaję choroby morskiej na samą myśl o nim.

– Jestem teraz bardzo zajęta, mammo. Mogę do ciebie oddzwonić?

– A do tego jest taki patriarchalny! Zresztą tak jak one wszystkie. – Jej mama zaczyna śpiewać. – „Przedwieczny ojcie, który mocą swoją powstrzymać możesz niespokojną falę”... No bo szczerze? W ten sposób można wezwać Hulka. Ale gdy tak powiedziałam, twój tata strasznie się obraził.

Frobisherowie przystają i dyskutują na jakiś temat. Darren wskazuje na wschód, być może w stronę Chinatown, i się krzywi. Liz wyciąga rękę, jak gdyby sprawdzała, jak mocno pada.

– No nic. Widzę, że z hymnami nam nie pomożesz. Ale chciałam się dowiedzieć, kiedy przyjdiesz posprzątać. Dom jest naprawdę w okropnym stanie. Od kilku dni mamy zapchaną toaletę na dole. Twój ojciec czuje się osamotniony. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale...

– Teraz nie mogę, mammo.

– I nie podoba mi się, że tata chodzi do toalety na górze, bo ją pewnie też zapcha. Wiesz, czym to się kończy, gdy się naje suszonych śliwek.

– Mammo... oddzwonię do ciebie.

– Ale kiedy?

Sam się rozłącza i kryje w sklepowej bramie, bojąc się, że Frobisherowie mogą ją zobaczyć. O czymkolwiek rozmawiają, widać, że niezadowolenie Darrena jeszcze się wzmacnia. Przez kilka chwil toczą ożywioną dyskusję, mijani przez tłumy przechodniów, a potem tak unoszą ton, że Sam, mimo ryku przejeżdżających samochodów, słyszy dobiegające ją z wiatrem strzępy ich rozmowy.

– Skąd miałam wiedzieć, że będzie tak zimno, co?

– Zaraz zdechnę z głodu, Liz. A do tego pada. Nie mam zamiaru się wracać, to przecież kawał drogi...

Sam nie jest w stanie dosłyszeć reszty rozmowy, ale widzi, jak Liz gestykułuje, a Darren podnosi ręce, wyraźnie rozdrażniony. A wtedy kobieta zawraca i zaczyna iść w jej stronę. Sam cofa się do bramy i widzi, że teraz oboje zmierzają w stronę hotelu, nie przestając się kłócić. Spogląda na telefon i zaczyna wybierać numer Nishy... i właśnie wtedy ekran gaśnie. Jej serce na chwilę przestaje bić. Spogląda na telefon z niedowierzaniem. Padła jej bateria. W całym tym zamieszaniu zapomniała naładować tego cholernego smartfona.

Sam podnosi wzrok. Tamta dwójka jest już jakieś dwadzieścia metrów przed nią, zmierzają żwawym krokiem w stronę Bentleya, a Darren kręci głową w odpowiedzi na słowa żony.

O Boże, Boże.

Takiej ewentualności ich plan nie przewidywał. Sam nie ma więc innego wyjścia. Narzuca kaptur na głowę i zaczyna biec.

Jasmine zmierza właśnie w stronę windy, kiedy słyszy za plecami głos Frederika, kierownika hotelu:

– O, Jasmine. Z nieba mi spadasz.

Frederik stoi przy recepcji i przywołuje ją do siebie. Jasmine klnie pod nosem i odwraca się z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– W dwieście siedemnaście wylało się wino. Trzeba zmienić pościel. Możesz się tym zająć od razu? Goście czekają w pokoju.

Jasmine już otwiera usta, by powiedzieć, że nie pracuje na tej zmianie, ale dociera do niej, że musiałoby to pociągnąć za sobą kolejne wyjaśnienia. Więc tylko kiwa głową i mówi:

– Oczywiście. – Po czym energicznym krokiem kieruje się na drugie piętro, a w międzyczasie wysyła

wiadomość do Nishy:

Wybacz. Małe opóźnienie. Daj mi 5 minut.

Siedem minut zajmuje Sam dotarcie do hotelu, przepchanie się między ludźmi na zatłoczonej ulicy, unikanie parasoli i przepaszanie, gdy w jej stronę lecą przekleństwa. Jej pierś faluje od niespodziewanego wysiłku. Wparowuje bocznym wejściem, biegnie wąskim korytarzem i wślizguje się do szatni. W środku jest tylko mężczyzna, który siedzi na ławce i poleruje parę błyszczących czarnych sznurowanych butów.

– Jasmine? – pyta go zdyszana, ale tamten kręci głową.

Sam biegnie wąskim korytarzem, wykrzykując imię Jasmine tak, że kilka pokojówek odwraca się w jej stronę, ale nikt jej nie odpowiada. Klnąc pod nosem, zatrzymuje się i próbuje uspokoić myśli. Jasmine może być wszędzie. Ten hotel to istny labirynt. Lobby! Jasmine będzie w lobby. No jasne. Biegnie więc z powrotem, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest winda dla personelu. Zauważa ją na samym końcu korytarza, podbiega i przywołuje ją, drżąc z niepokoju, gdy winda zjeżdża powoli z czwartego piętra. Wreszcie drzwi się otwierają, koszmarnie wolno. Uderza w przycisk wiodący na parter raz, dwa, trzy razy.

– No, jedź! – Niecierpliwi się.

Rozklekotana winda rozważa jej propozycję, a potem w końcu zgadza się niechętnie, jak zrzędliva staruszka, i rusza w górę.

Nisha siedzi w szafce na pościel, a tymczasem na korytarzu Ari wciąż z kimś rozmawia, od czasu do czasu podnosząc swój niski, bezbarwny głos, choć ona nie jest w stanie dosłyszeć, o czym mówi. Och, jest tak blisko. Całe jej ciało jest napięte, każdy mięsień czeka na dźwięk jego kroków. To nic takiego, pociesza się Nisha. Jasmine będzie tu za chwilę. Oddychaj. I wreszcie, gdy mijają całe wieki, słyszy stłumione kroki na dywanie. Zbliżają się w jej stronę, więc Nisha stoi w absolutnym bezruchu, przyciśnięta do półek, plecami do drzwi, wciąż obawiając się podświadomie, że zostaną otwarte i on ją znajdzie. A potem kroki cichną, Nisha wstrzymuje oddech, odwraca się ostrożnie, po czym otwiera drzwi i zerka na zewnątrz. Widzi znikające w głębi korytarza szerokie plecy w ciemnym garniturze, Ari rozmawia z kimś przez słuchawkę. Nisha spogląda w drugą stronę: dwaj mężczyźni, z którymi wcześniej coś omawiał, idą w kierunku windy.

Zamyka oczy i bierze głęboki oddech, starając się opanować drżenie rąk, a potem, gdy na korytarzu jest zupełnie cicho, prostuje plecy, wychodzi z szafki i energicznie rusza w stronę pokoju dwieście trzydzieści dwa pewnym krokiem kobiety, która ma wszelkie prawo tu być. Przykłada kartę wejściową do drzwi, rozlega się kliknięcie. Wreszcie jest w środku.

Sam dociera do lobby akurat w momencie, gdy plecy Jasmine znikają w drzwiach na dalekim końcu. Zwalnia kroku, przechodząc przez marmurowe wnętrze, by nie rzucić się w oczy, a gdy przechodzi przez drzwi, zaczyna biec.

– Jasmine! – krzyczy, a ta odwraca się, trzymając rękę przy piersi. – Odzyskała już buty?

– Nie mam pojęcia. Jeden ze zbirów jej męża stał w korytarzu. Ja miałam po nie iść, ale muszę teraz zmienić pościel w jednym z pokoi.

I właśnie w tym momencie brzęczy jej telefon. Jasmine zerka na niego, po czym uśmiecha się promiennie do Sam.

– Udało się! Weszła do środka!

– Nie, nie, nie! Oni wracają!

– Co?!

– Frobisherowie. Pokłócili się i wracają po płaszcz. Każ jej stamtąd wyjść.

– Cholera. Co za głupie babsko. Tak trudno się było domyślić, że będzie jej zimno w tym kostiumie – mruczy Jasmine, a potem wystukuje wiadomość do Nishy.

**WYCHODŹ! WRACAJĄ!**

Nisha przeszukuje wzrokiem pokój, oddech jej się rwie, zapach ostrych, przesłodzonych perfum Liz Frobisher wciąż wisi w powietrzu. Jej buty tu są. Muszą gdzieś tu być. Dostrzega walizkę leżącą na stojaku i otwiera ją, ostrożnie przeglądając jej zawartość opuszkami palców, starając się powstrzymać mdłości na myśl, że dotyka czyjejś bielizny. Nie ma ich tam. Otwiera szafę. Tam też nie. Stoi i myśli. Liz Frobisher nie miała na sobie louboutinów. Jasmine była tego pewna. A Sam wysłałaby im wiadomość – w końcu śledziła tę parę. Nisha podnosi dół narzuty, żeby zerknąć pod łóżko, na wypadek gdyby ktoś je pod nie kopnął. Przychodzi jej do głowy, że Liz Frobisher mogła je wziąć ze sobą, by je włożyć już na miejscu, i przeklina. Czy ktoś brałby ze sobą szpilki tylko po to, by zjeść w nich chińczyka? Wreszcie zerka do łazienki i wydaje z siebie okrzyk

ulgi: są, leżą na podłodze, ich czerwone podeszwy odbijają się od marmuru. Na ich widok przeszywa ją dreszcz, jak gdyby wszystkie zakończenia nerwowe w jej ciele nagle ożyły. Pochyliła się, łapie buty i wypuszcza z płuc powietrze – nawet nie wiedziała, że wstrzymywała oddech. Nareszcie! I wtedy brzęczy jej telefon.

WYCHODŹ! WRACAJĄ!

Nisha omiata wzrokiem cały pokój, by sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu, po czym spieszy do drzwi. Gdy kładzie rękę na klamce, dobiegają ją głosy z korytarza.

– Bo nie wychodzę z domu na początku grudnia ubrany jak na letnie przyjęcie. Jezu.

– Dlaczego musisz być taki okropny? Chcesz, żebym się przeziębila?

– Nie, Liz, chcę wreszcie coś zjeść. Wiesz, jaki jestem na głodnego. A ty mogłaś po prostu wziąć płaszcz ze sobą i zaoszczędzić nam czasu i drogi.

Głosy zatrzymują się przed pokojem. Nisha spogląda na drzwi w przerażeniu. Rozgląda się wokół, a wtedy słyszy kliknięcie i drzwi zaczynają się otwierać.

– Nie odbiera.

– Może właśnie zjeżdża windą. Tam nie ma zasięgu – mruczy Sam, a Jasmine kiwa głową. Stoją w kącie lobby, jak dwie osoby, które się nie znają, ze wzrokiem wbitym w windę. Za każdym razem, kiedy się otwiera, wylewa się z niej grupka gości, ale nie ma wśród nich Nishy. I wtedy brzęczy telefon Jasmine.

Jestem w pokoju. Wrócili. Wyciągnij mnie stąd.

Sam zagląda przez ramię Jasmine, która wściekle stuka w klawiaturę.

Co to znaczy, że są w pokoju? Gdzie jesteś?

Pod łóżkiem. Kłóć się.

– O rany – mruczy Jasmine, wpatrując się w ekran z przerażeniem.

– I co robimy? – pyta Sam.

– Najważniejszy jest spokój – odpowiada Jasmine. – Jeśli wrócili po jej płaszcz, za chwilę znowu wyjdą. I wszystko będzie dobrze. – Powtarza te słowa, jak gdyby chciała uspokoić samą siebie. – Wrócili tylko po płaszcz, tak?

– Tak – odpowiada Sam. – Tak. Masz rację. Wszystko będzie dobrze.

\*

Nisha leży na plecach pod szerokim łóżkiem, całe ciało ma napięte z przerażenia. Ona i Jasmine zawsze odsuwają łóżka, żeby pod nimi odkurzyć, ale osoba zajmująca się drugim piętrem najwyraźniej nie zadaje sobie tego trudu. Z każdej strony otaczają ją kłęby kurzu, włosy obcych ludzi, martwy naskórek, całe mnóstwo obrzydliwych mikroskopijnych resztek ciała, a ona leży właśnie na nich. Na samą myśl o tym chce jej się wyć. Nie może spojrzeć w prawo ani w lewo, bo wtedy widzi, co ją otacza, i zbiera jej się na wymioty. Leży więc nieruchomo, z zamkniętymi oczami, z rękami na brzuchu, tak by jej skóra jak najmniej stykała się z podłogą.

– Nie, nie jesteśmy spóźnieni na kolację, Darren. Nie mamy, do cholery, żadnej rezerwacji! Bo jak zwykle nie chciało ci się niczego rezerwować. Jedyne, co na tym ucierpi, to twój wielki bebech! I nic więcej!

Nisha poznaje po krokach, że obchodzą łóżko.

– Czy to dlatego, że chciałeś iść do mamy? Ja piernicę.

– Lubię chodzić do mamy w niedzielę! Dlaczego masz z tym taki problem?

– Podoba ci się, że mamusia skacze wtedy wokół ciebie, a ty nie musisz nawet kiwnąć palcem! Nic dziwnego, że w domu nie ma z ciebie żadnego pożytku.

Po prostu sobie idźcie, myśli Nisha. Idźcie sobie i odbywajcie tę zenującą kłótnię w restauracji. Błagam, wynoście się z tego pokoju.

– Wiesz co? Już nie mam ochoty nigdzie wychodzić. Zamawiam jedzenie do pokoju.

– Co takiego? – W głosie Liz Frobisher słychać niedowierzanie.

– Nie przesłyszałaś się.

Nisha krzywi się, gdy łóżko nad nią ugina się pod czyimś ciężarem. Dół materaca jest teraz jakieś dwa centymetry od jej nosa. Słyszy, jak Darren – bo to musi być Darren – bierze pilota i włącza telewizor. W pokoju rozlega się ryk komentatora meczu piłkarskiego.

– Więc zamierzasz po prostu tutaj zostać? I mam iść sama?

– Rób, co chcesz. To był twój pomysł, żeby tu przyjechać, więc teraz sobie radź.

– Moja siostra miała rację co do ciebie.



– Och, twoja siostra. Wspaniale. Jeszcze jej tu brakowało.

Coś łaskocze Niszę w nos. Pewnie jakiś kłębek kurzu przemieścił się pod wpływem ruchu wielkiego cielska Darrena. Nisha przykłada rękę do nosa i ściska go mocno. Zaraz kichnie. O Boże. Nie da rady się powstrzymać. Zaraz chyba eksploduje. To jest silniejsze od niej...

I w momencie, kiedy rozlega się jej głośne kichnięcie, pokój zalewa ogłuszający ryk.

– Gooooool! Fantastyczny gol w wykonaniu Kane'a! Bramkarz nie miał żadnych szans! – wrzeszczy komentator, po czym hałas powoli cichnie.

Nisha ma załzawione oczy. Chyba zaraz zacznie krzyczeć. Darren przesuwa się na łóżku i Nisha słyszy, jak podnosi hotelowy telefon ze stolika.

– Ty naprawdę masz zamiar tu zostać.

– Tak – odpowiada Darren. – Jest za zimno. Po prostu zjedźmy cokolwiek.

– Chcę zjeść na mieście. W ogóle nie chodzimy do fajnych knajp.

– Byliśmy w knajpie w zeszłą niedzielę.

– Tak, ale to było z twoim bratem.

Nisha próbuje oddzielić się od swojego ciała, tak jak słyszała, że robią to inni. Skupia się na swoim oddechu, ale wtedy uświadamia sobie, że kiedy oddycha głęboko, tylko mocniej wdycha brud znajdujący się pod łóżkiem. Zamyka oczy i zaciska dłoń na ustach.

Rozlegają się kroki, a potem słychać tylko ryk kibiców w trakcie meczu.

Nisha otwiera oczy i słyszy przytłumione szlochy dochodzące z fotela w kącie pokoju. Łóżko nad nią porusza się lekko i widzi, jak stopy Darrena lądują na dywanie obok jej głowy. W prawej skarpecie jest dziura, która odsłania bladą piętę.

– Płaczesz?

– Zostaw mnie w spokoju. – Długa chwila ciszy. Kolejne przytłumione szlochy. – Chciałam po prostu, by ten dzień był wyjątkowy. Wygrałam nagrodę, Darren! Byłam taka podekscytowana, a ty wszystko zepsułeś. Westchnienie.

– Nie marudź. No, chodź. Chodź do mnie. Po prostu jestem głodny.

Nagle telefon Nishy rozbłyskuje nową wiadomością.

Wysłaś już?

Nie!

A oni wychodzą?

Nie mam pojęcia. Dosłownie umrę pod tym łóżkiem. POMOCY!

Widać trzy pulsujące kropki, a potem cisza. Jasmine i Sam z pewnością teraz debatują, co zrobić. Jasmine coś wymyśli. Na pewno.

– No dobrze, kochanie. Pójdziemy gdzieś. Wskakuj w płaszcz. – Nisha słyszy, jak Darren wkłada kurtkę, jak wsuwa rękę w rękaw, rozlega się też grzechotanie kluczy. – Portfel schowałem z tej strony?

Idź, pogania go w myślach Nisha. Idź wreszcie jeść. Na litość boską.

A wtedy dobiega ją rozżalony głos Liz:

– Już nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

Nisha robi wielkie oczy. Czy ta dziwka sobie kpi?

– Wszystko zepsułeś – dodaje Liz.

W głosie Darrena słychać pojednawczy ton, świadczący o tym, że przeżył już mnóstwo podobnych kłótni.

– No, nie płacz już, kochanie. Wiesz, że nie mogę znieść, gdy płaczesz.

Potem pada kilka zdań, których Nisha nie jest w stanie dosłyszeć.

– Chodź tutaj. No, chodź, usiądź koło mnie. Poprzytulamy się.

Nisha wstrzymuje oddech, a potem krzywi się, kiedy łóżko lekko skrzypi pod ciężarem dwóch osób.

– No, chodź, dzióbasku, chodź.

Pociąganie nosem ustaje. Czy to...? O Boże. Nie. Włosy jeżą jej się na karku. Słyszy odgłosy całowania.

– Już mnie tak nie nazywasz.

– Mój dzióbbasek. Wyglądasz bosko w tym kostiumie. Naprawdę bosko.

– Tak tylko mówisz.

– Wyglądasz bardziej apetycznie niż chrupiąca kaczka.

Rozlega się nieśmiały chichot.

O Boże, błagam, tylko nie to. Nie, nie, nie.

– Ooo! Mój ulubiony stanik! Wiesz, że go uwielbiam.

Kolejne mlaski, kolejne chichoty. I cichy jęk. A potem głośniejszy, męski.

Nisha znowu wystukuje wiadomość, w panice uderzając w klawiaturę.

JEZU, WYDOSTAŃCIE MNIE STĄD NATYCHMIAST.

Ostatni miesiąc był dla Nishy pasmem nieszczęść, ale wszystko, co się wydarzyło wcześniej, było zaledwie preludium. Teraz znalazła się na dnie. To tak, jakby wszystkie jej najgorsze koszmary urzeczywistniły się pod postacią zwałistej pary podrygującej kilka centymetrów od jej twarzy. Wkroczyła w nowy stan świadomości, w którym musi zachować maksymalne skupienie, by oddychać bez krzyku, by pozostać tu choć sekundę dłużej, choć ma ochotę wyczołgać się z piskiem przez ten obrzydliwy dywan. Zamyka oczy i próbuje myśleć o Rayu, ale przywoływanie jego pięknej twarzy w tej obrzydliwej sytuacji wydaje się profanacją, więc tylko leży nieruchomo, z ręką na ustach, próbując się odciąć od hałasów nad sobą. To koniec, myśli. Tak właśnie umrę. Oni zapadną w postkoitalny sen, a ja utknę tu na całą noc, aż wreszcie znajdą moje udręczone ciało, kiedy pokojówka z drugiego piętra stwierdzi wreszcie, że odsunięcie tego cholernego łóżka i odkurzenie pod nim wcale nie urąga jej godności.

Za każdym razem, gdy myśli, że dłużej już nie wytrzyma, skupia się na przetrwaniu. Jedną sekundę tego koszmaru po drugiej. I wtedy Darren postanawia pójść na całość. Łóżko zaczyna się telepać, listwy wyginają się nad Nishą tak, że co chwila dotykają jej twarzy. Sapania i krzyki rozkoszy stają się głośniejsze. Nisha zaczyna tracić nad sobą kontrolę. Cała się trzęsie. W jej głowie panuje pustka. To za dużo. To nie do zniesienia. To...

Sam i Jasmine stoją na końcu korytarza na drugim piętrze, w odległości kilku kroków od siebie: Sam z kapturem na głowie, a Jasmine przy wózku do sprzątanía, i w milczeniu przekazuje wiadomości przychodzące na jej telefon, który leży na stosie ręczników. Pisze z wahaniem:

WSZYSTKO OK?

NIC NIE JEST OK ONI PIEPRZĄ SIĘ NAD MOJĄ GŁOWĄ

Oczy Jasmine rozszerzają się w przerażeniu. Pokazuje wiadomość Sam i wydaje z siebie nerwowy chichot. Kierują się w stronę pokoju dwieście trzydzieści dwa. I w panującej w korytarzu ciszy są w stanie dosłyszeć te dźwięki, odgłosy, które każdą przechodzącą osobę przyprawiłyby o ciarki zażenowania.

– Ona tego nie przeżyje – stwierdza Jasmine. – Ona dosłownie tego nie przeżyje.

Telefon brzęczy znowu.

PRZEZ TEN KURZ ZARAZ KICHNĘ

– Nie, kochana – mruczy Jasmine, wystukując wiadomość:

Nie kichaj. NIE KICHAJ.

MAM ATAK PANIKI

Telefon ciągle brzęczy.

NIE MOGĘ ODDYCHAĆ POMOCY

– I co teraz zrobimy? – szepcze Jasmine, wyraźnie zmartwiona.

Sam czuje, że dłużej już tego nie znieśie. Trzepocze rękami, próbując myśleć. Zamyka na chwilę oczy, a gdy je otwiera, cofa się, aż znajduje w korytarzu to, czego szukała. Spogląda na Jasmine, zsuwa z nogi granatowe czółenka Marks & Spencer i wali nim w przycisk alarmu przeciwpożarowego – raz, dwa, trzy razy – aż szkło się roztrzaskuje. A potem naciska guzik kłębem kciuka. W momencie rozlega się ogłuszający hałas.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – wrzeszczy Jasmine.

– Biegnij! – krzyczy Sam i rzuca się w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

Automatyczna wiadomość rozbrzmiewa w każdym z trzystu dziesięciu pokoi w hotelu Bentley. „Prosimy o zachowanie spokoju. Uruchomiony został alarm przeciwpożarowy. Prosimy o udanie się do najbliższego wyjścia ewakuacyjnego”.

Darren, którego ta wiadomość zastała w najmniej odpowiednim momencie, pojmując, co się dzieje, sekundę później niż Liz, która już wyskoczyła z łóżka i jej białe stopy widać na podłodze.

– Pożar?! Darren, pali się! Pali się!

Darren, dysząc ciężko, odpowiada:

– To na pewno fałszywy alarm.

– Słysząc ludzi na korytarzu. Darren, rusz się! Musimy uciekać!

– Nie wierzę, że się pali. – Stopy Darrena, wciąż w skarpetkach, lądują na podłodze obok głowy Nishy, która zastygła w bezruchu, ogłuszona hałasem. Szuka butów przy swoim prawym udzie i wplątuje palce w ich paski. Słyszy, jak Frobisherowie wbijają się w ubrania, jak się kłócą, zbierając swoje rzeczy, z korytarza dobiegają nagłać głosy i kroki. A ponad tym wszystkim rozbrzmiewa przesywający, przerywany sygnał alarmu przeciwpożarowego.

– Gdzie moja torebka?

– Zejdziemy na dół i alarm się wyłączy, zobaczysz.

– Gdzie są moje buty?

– Zostaw te cholerne buty. Weź tylko...

– Darren, wszyscy wychodzą z pokoi. Pospiesz się!

Nisha słyszy panikę w głosie Liz. Po jej głowie też błakają się myśli, czy ten pożar jest prawdziwy, czy zdąży się wydostać na czas, czy też spłonie tu, pod łóżkiem, i znajdują ją po ugaszeniu ognia, przypominającą szczątki mieszkańców Pompei.

Słyszy kliknięcie otwieranych drzwi, odgłosy setki osób wyłaniających się ze swoich pokoi, otumanionych i zdezorientowanych, płacz dziecka. Potem drzwi się zamykają i wszystkie dźwięki znowu stają się przytłumione. Gdy przez chwilę nic się nie dzieje, Nisha wysuwa się spod łóżka, kaszląc z załzawionymi oczami i otrzepując kurz z ubrań. Zdjęcie. Nie może zapomnieć o zdjęciu. Wyciąga wydruk, kładzie go na szafce nocnej, po czym podchodzi na palcach do drzwi, zerka na zewnątrz i przyciskając buty do piersi, wychodzi na korytarz, gdzie natychmiast wciąga ją fala zaniepokojonych gości zmierzających w stronę schodów przeciwpożarowych. Nie przejmując się już nawet tym, że zaraz mogą pochłonąć ją płomienie.

To na pewno lepszy los niż tkwienie w tamtym pokoju.

Sam i Jasmine stoją przy tylnym wejściu, gdzie z wnętrza hotelu wyłaniają się grupkami jego pracownicy, wciąż niepewni, czy powinni opuszczać swoje stanowiska. Niektórzy palą papierosy, nie dostrzegając ironii tej sytuacji, a ubrani w białe kamizelki kucharze pomstują na zniszczone suflety, spalone ryby i gniew kierownika.

– Nie odpowiada na wiadomości. Myślisz, że powinniśmy do niej zadzwonić?

– Dajmy jej jeszcze pięć minut. Na wszelki wypadek.

– Zadzwonię do Aleksa. Może on coś wie.

Serce Sam wali jak oszalałe. Czuje jednocześnie ekscytację i przerażenie. To wszystko to jej sprawa. To ona wywołała ten niewiarygodny chaos i zamęt. Słyszy wyjący alarm, głosy kierownictwa próbującego ustalić, gdzie się pali. Hotel pustoszeje, setki ludzi wylewają się przez główne wejście na chodnik, rodzice prowadzą płaczące dzieci, rozbici jet lagiem turyści mrugają w świetle lamp. Jej życie zmieniło się w chaos, a teraz sama go tworzy. Zatrzymała tę ogromną, dobrze naoliwioną maszynę jednym ruchem. W tym przenikliwym hałasie widzi zaniepokojoną Jasmine rozmawiającą przez telefon, z ręką przyciśniętą do drugiego ucha. Ruch samochodowy przed hotelem zatrzymuje się, gdy goście, niektórzy w szlafrokach, inni w pospiesznie złapanych płaszczach, zaczynają wchodzić na ulicę, prowokując ryk klaksonów.

Sam spogląda na to wszystko z niedowierzaniem i czuje, że dzieje się z nią coś dziwnego. Jakieś nieznanne uczucie wzbiera jej w piersi, tak mocno domagając się ujścia, że nie jest w stanie go powstrzymać. I zaczyna się śmiać. Opiera głowę o ścianę, czuje chłód cegieł na skórze i ich szorstką fakturę i śmieje się na widok tego szaleństwa i chaosu. Śmieje się tak bardzo, aż z oczu zaczynają jej płynąć łzy i zaczyna ją boleć brzuch. Widzi, że Jasmine się na nią gapi i marszczy brwi z niedowierzaniem, a to sprawia, że Sam śmieje się

jeszcze mocniej.

– Czyś ty oszalała? – pyta Jasmine, wsuwając telefon do kieszeni.

Sam ociera oczy i kiwa głową, nie przestając się śmiać.

– Możliwe. Tak. Tak, chyba oszalałam.

Nisha przedziera się przez gęsty tłum, zwalniając kroku przy wejściu na schody ewakuacyjne, gdzie goście zaczynają się ścieśniać. Duża grupa młodych ludzi śmieje się i żartuje, a za nią starsze małżeństwo narzeka na hałas, zatykając uszy pomarszczonymi dłońmi. Ona sama przyciska buty do piersi, nie mogąc uwierzyć, że jej się udało. W końcu je odzyskała. Obserwuje, jak ludzie powoli wylewają się na wąską klatkę schodową, i zerka za siebie, żeby sprawdzić, czy w tłumie nie ma Jasmine albo Sam. I właśnie wtedy dostrzega Ariego.

Wzrok ma wbity w trzymane przez Nishę buty, a potem podnosi go i w jego oczach widać szok, gdy uświadamia sobie, na kogo patrzy. Niemal natychmiast przepycha się w jej stronę między protestującymi ludźmi. Serce Nishy przestaje bić. Przeciska się na klatkę schodową, wdzierając się między schodzących powoli ludzi ze świadomością, że on jest tuż za nią.

– Uważaj! Mało mnie nie przewróciłaś!

Nishy brakuje tchu, by wybąkać przeprosiny. Całe powietrze utknęło jej gdzieś w piersi. Przepycha się, pokonuje trzy stopnie naraz, słysząc za sobą okrzyki, które oznaczają, że Ari robi to samo. Dokonuje w głowie szybkich obliczeń i wymyka się ze schodów na pierwsze piętro, krzywiąc się, gdy ktoś łokciem dźga ją w pierś. Ludzie są upakowani tak blisko siebie, że czuje ich zapachy, czuje emanującą od nich panikę. Przeciska się między dwoma roslymi facetami w garniturach, po czym zaczyna się przedzierać pod prąd fali ludzi torujących sobie drogę do wyjścia ewakuacyjnego, aż wreszcie rusza biegiem w stronę windy dla personelu.

Pierwszą zasadą w razie pożaru jest niekorzystanie z windy, ale Nisha wpada do środka i wciska przycisk na parter, i akurat w momencie, gdy Ari ją dostrzega, drzwi się zamykają. Nisha krzyczy coś, nie zdając sobie nawet sprawy co, i wreszcie winda rusza, kierując się powoli w dół. Ari z pewnością skontaktuje się ze swoimi ludźmi. Ilu ich tam będzie? I co zrobi on sam? Gdy drzwi otwierają się na parterze, Nisha rzuca się do biegu przez wypełnione po brzegi lobby, aż dostrzega przejście do restauracji. Przebiega sprintem przez salę, która jest niemal pusta, nie licząc kilku zaniepokojonych gości domagających się od kelnerów swoich płaszczy, a potem dociera do kuchni.

W niedzielne wieczory hotelową kuchnię wypełnia rozmaity hałas, łoskot patelni, para i zapach jedzenia smażącego się w wysokich temperaturach. Zazwyczaj mężczyźni w białych fartuchach z udręczonymi minami krzyczą na siebie, lnianymi ściereczkami wycierają smugi z talerzy, a drzwi otwierają się co chwila przed kelnerami roznoszącymi dania. Teraz jest tu tylko garstka pracowników zbierających swojej rzeczy i kierujących się w stronę drzwi dla personelu, a w powietrzu unosi się zapach spalenizny.

– Aleks! – Dostrzega go wreszcie Nisha, a on odwraca się i najwyraźniej dopatruje się czegoś w jej twarzy, bo zaczyna biec w jej kierunku. – Ari mnie goni! Pomocy! – krzyczy, oglądając się za siebie, a on bez wahania chwyta ją za łokieć i pociąga za sobą.

– Tędy – mówi, wstukując kod na panelu, i już po chwili znajdują się w chłodni, a on zamyka za nimi ciężkie metalowe drzwi, przechodzą przez kurtynę paskową i wpadają na zaplecze. Światła na fotokomórkę zapalają się automatycznie, a Nisha obejmuje wzrokiem ogromne tace z mięsem, tusze wiszące wzdłuż wyłożonych kafelkami ścian, półki z warzywami i kartony mleka.

– Tutaj – wskazuje Aleks. – Za regałami.

Nisha chowa się więc za ogromnym stosem jajek i oboje wciskają się za regał wypełniony wysokimi metalowymi pojemnikami, tak by ich nie było widać.

W pomieszczeniu panuje cisza, nie licząc szumu agregatu chłodniczego. Nisha oddycha ciężko i z dala od tamtego gwaru słyszy, jak krew szumi jej w uszach. Za każdym razem, gdy zamyka oczy, widzi zdumienie i determinację malujące się na twarzy ścigającego ją Ariego.

– Odzyskałaś je – mówi Aleks.

Nisha spuszcza wzrok i widzi, że wciąż trzyma swoje buty. Potakuje w milczeniu, przyciągając je mocniej do siebie, i nagle dociera do niej, że naprawdę je odzyskała. Na zewnątrz nadal wyje alarm, ale tutaj dźwięk jest stłumiony, i jej nerwy powoli się uspokajają. Aleks się uśmiecha, jego twarz jest tuż przy jej twarzy, a ona odwzajemnia uśmiech, choć jest on bardziej nerwowy. Podświadomie wciąż się obawia, że Ari tu wpadnie i wyrwie jej buty.

– Nie dostanie się tutaj – dodaje Aleks, jak gdyby czytał jej w myślach. – Musiałby znać kod, by otworzyć drzwi.

– Czy w hotelu naprawdę się pali?

– Nie. Twoja znajoma Sam uruchomiła alarm przeciwpożarowy. Wiem to od Jasmine.

– Sam? – powtarza Nisha z niedowierzaniem. Spogląda na swój telefon i widzi na nim mnóstwo nieodebranych połączeń i nieprzeczytanych wiadomości.

– Jasmine mówiła, że miałaś atak paniki, więc postanowiła zadziałać. – Aleks wyciąga rękę, by odsunąć pasmo włosów z jej twarzy. – Wszystko w porządku? Co się stało?

– I tak mi nie uwierzysz.

Aleks się uśmiecha. Jego ramię spoczywa obok jej głowy, dłoń opiera się o ścianę, a ona spogląda na jego muskularne przedramiona, na drobne jasne włoski stojące od zimna. Nagle, kiedy przestaje się ruszać, zdaje sobie sprawę, jak tu chłodno.

– Jak myślisz, ile będziemy musieli tutaj siedzieć?

– Dopóki wszyscy nie wrócą.

– Nie sądzisz, że powinniśmy się teraz wymknąć? Kiedy wszyscy są przed hotelem?

Aleks się krzywi.

– Tu właśnie jest pewien problem. Drzwi nie otwierają się od wewnątrz.

– Co takiego?

– Uszkodzony mechanizm. Nigdy nie naprawiają niczego na zapleczu. Ale nie ma się co martwić. Wszyscy wrócą za góra dwadzieścia minut. Nie zamrzniemy tu na śmierć.

– Mów za siebie. – Nisha już żałuje, że ma na sobie tylko bluzkę i spodnie. Nie ma tu niczego do okrycia. Zaczyna się trząść i otula się ramionami.

Aleks to dostrzega i zdejmuje swoją kurtkę roboczą, okrywa nią jej ramiona i zapina pod brodą.

– Tak lepiej?

– Odrobinę.

Aleks jest tak blisko. Nisha czuje jego zapach, delikatną woń dobrego jedzenia, a pod spodem cytrusowe mydło. Nagle przypomina sobie ich pocałunek, tamto uczucie, jak gdyby chciała się w nim roztopić i zapomnieć o wszystkim wokół.

– To masz jeszcze to – mówi Aleks, obejmując ją i przyciągając do siebie.

Nisha czuje ciepło jego ciała bijące przez podkoszulek, a kiedy opiera głowę na jego piersi, słyszy bicie serca. Zamyka oczy, słysząc odległe trzaskanie drzwi, niekończące się wycie alarmu. Aleks jest najspokojniejszą osobą, jaką w życiu poznała, i jego obecność działa na nią kojąco. Wszystko będzie dobrze. Tutaj nic jej nie grozi. Ari jej nie znajdzie. A ona odzyskała buty.

Tyle że...

W niemal zupełnej ciszy, ponad szumem lodówki, Nisha skupiona na biciu serca Aleksa stwierdza, że jego rytm z pewnością jest szybszy niż normalny. Jej dłonie są zimne, a on bierze jedną z nich i zbliża do ust, ogrzewa ją swoim oddechem i osłania palcami. Jego serce nieco przyspiesza. Nisha wsuwa drugą dłoń pod jego podkoszulek.

– Tak będzie cieplej – mruczy, a jego serce zaczyna bić jeszcze szybciej. Natomiast ona czuje, jak mięknie. Unosi twarz, a on patrzy prosto na nią i coś między nimi topnieje.

– Ale tu zimno – mówi Nisha cicho. Następuje chwila milczenia. Aż wreszcie jej usta dotykają jego ust, Aleks zatapia palce w jej włosach i nagle napierają na regał, całują się namiętnie, pospiesznie, a gdy on przyciąga ją do siebie, Nisha zupełnie zapomina o chłodzie.

Drzwi otwierają się dwadzieścia osiem minut później, kiedy alarm już ucichł i personel kuchenny wśród rozmów i żartów wraca do pracy. Nisha i Aleks czekają przy wejściu, ona wciąż ma na ramionach jego białą kurtkę, a ich miny są podejrzenie obojętne. Drzwi otwiera André i posyła im pytające spojrzenie.

– Nie chciałem, żeby zmarła – wyjaśnia Aleks, kiedy tamten wciąż się na nich gapi.

– Jasne – mruczy André.

Dopiero w połowie korytarza uświadamiają sobie, że Aleks zostawił w chłodni swój pasek, a Nishy po plecach spływają resztki dwóch zgniecionych jajek.

Wychodzą z hotelu bocznym wyjściem przez duży magazyn pełen krzeseł i stołów bankietowych i trafiają na uliczkę po drugiej stronie hotelu, z dala od tłumu i chaosu. Ostatnich kilkaset metrów do

mieszkania Jasmine idą pod ramię, ledwo się odzywając, ale długie chwile ciszy nie wzbudzają w Nishy napięcia. Być może po raz pierwszy w życiu doświadcza głębokiego spokoju, tak obcego dla niej, niemal odurzającego. Całe jej ciało jest jak naelektryzowane, mocno wyczułone na obecność idącego obok niej mężczyzny, ale jednocześnie zrelaksowane i przesycone szczęściem. Aleks schował jej szpilki do plecaka, który trzyma przewieszony przez jedno ramię. Idą wieczornymi ulicami żwawym krokiem, w jednym rytmie, a ona odzywa się tylko po to, żeby wskazać mu drogę. „Musimy skręcić tu” albo „to tuż za rogiem”, a on od czasu do czasu przyciska ją lekko do siebie.

Ten uścisk jest czymś przyjemnym, nie jest zaborczy, jest raczej kojącym przypomnieniem jego obecności. Przywołuje też wspomnienie ich półgodzinnego pobytu w chłodni i kiedy Nisha wraca pamięcią do tamtych chwil, coś w jej środku topnieje. A więc to jest właśnie takie uczucie. Jest w tym jednak jednocześnie coś smutnego, ponieważ wiąże się z odkryciem, że – choć przez ostatnich dwadzieścia lat uważała to za normalne i zakładała, że jest traktowana na równi i szanowana – tak naprawdę wszystko, co robił Carl, wzmacniało brak szacunku, z jakim od początku ją traktował. Zachwycał się nią, owszem, często też jej pragnął. Ale czy ją kochał? Nie. Nisha nie była nawet pewna, czy jest zdolny do takiego uczucia. Zostań ze mną, wyszeptał wcześniej Aleks, wpatrując jej się w oczy, i w owej chwili szczerości z samą sobą zrozumiała, że spędziła połowę życia z mężczyzną niezdolnym do uczuć. Takich słów nie było nawet w jego słowniku. Byłam jego własnością, myśli. Byłam przedmiotem. Nagrodą, ozdobą, a potem kulą u nogi. Te myśli budzą w niej wstyd i smutek, więc Nisha zamyka oczy, by je w ten sposób odpędzić.

– Nareszcie! – Jasmine otwiera z impetem drzwi, witając ich ciepłym podmuchem przesyconego domowymi zapachami powietrza, a kiedy Nisha wchodzi do środka, widzi czekające w kuchni Sam, Andreę i Grace, radosne i podekscytowane.

– Udało ci się! – Jasmine się śmieje i ściska ją z takim entuzjazmem, że aż Aleks odsuwa się na bok. – Cholera, udało ci się! Moja ty gwiazdo! Nie mam pojęcia, jak przeżyłyśmy ostatnie pół godziny. Mało mi serce nie wysiadło! Czy ty miałaś pojęcie, przez co przechodzę? Myślałam, że zemdleję z pięćdziesiąt razy. – Zamyka drzwi na zasuwę i prowadzi ich do kuchni. – Szczerze, Nish, gdy wysyłałaś mi te wiadomości, sama nie wiedziałam, czy mam się śmiać czy panikować razem z tobą.

Spacer z Alekssem wprowadził Nishę w taki błogi i zrelaksowany nastrój, że przerzucenie się na ich częstotliwość zajmuje jej chwilę.

– Trzeba wypić za to szampana – mówi Andrea, wyciągając korek z butelki. – To znaczy prosecco, bo na szampana nie było mnie stać, ale w sumie to jedno i to samo. – Rozlegają się okrzyki radości, Jasmine sięga do szafki po kieliszki, a Grace przesypuje chipsy z dużej paczki do miski.

– Przygotuj jeszcze drugą miskę, kochanie. Na te serowe nachosy. Otworzyć salsę? Ktoś ma ochotę na salsę?

Aleks i Andrea przedstawiają się sobie przy dźwiękach muzyki, którą włączyła Jasmine. Grace podaje miskę z chipsami i ukradkiem sama podjada przy każdej rundzie. Jasmine kilka razy przytula Aleksa, wypytuje go o to, gdzie się ukryli, a podczas jego opowieści zerka znacząco w stronę Nishy. W pokoju panują hałas, śmiechy i atmosfera rozluźnienia. Nisha upija łyk prosecco, które jest tanie, strasznie słodkie i absolutnie przepyszne. Dostrzega Sam, która, jak to ma w zwyczaju, stoi w kącie. Obserwuje wszystkich, uśmiechając się niewyraźnie, ale w jej oczach widać smutek i rezerwę.

Nisha okrąży stół i podchodzi do niej. W pokoju zapada nagle cisza. Widać, że Sam nieco sztywnieje, jakby szykowała się na nowy werbalny cios z jej strony. Ich spojrzenia się spotykają.

– Dziękuję – odzywa się Nisha. – Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś.

I kiedy pozostali przyglądają się temu z lekkim niedowierzaniem, Nisha robi krok w jej stronę i obejmuje Sam, przyciągając ją mocno do siebie, i tuli ją tak długo, aż tamta mięknie i nieśmiało, ale zaskakująco mocno, odwzajemnia jej uścisk.

Nieplanowane imprezy wymagają niewiele zachodu, a przy tym często okazują się najbardziej udane. Gdy skończyło się prosecco, Aleks skoczył po wino. Do dziewiętej trzydzieści mieszkanie Jasmine wypełniają rozmowy i muzyka, przekształcając je w prawdziwą oazę ciepła i radości. Andrea, która zdrowieje w oczach od czasu ostatniej wizyty w szpitalu, prosi Nishę, by opowiedziała im każdą chwilę spędzoną w pokoju dwieście trzydzieści dwa, a potem zwija się ze śmiechu, aż przesuwa jej się chustka na głowie. Jasmine relacjonuje im wszystko ze swojej perspektywy i przedrzeźnia kierowników próbujących ustalić, kto uruchomił alarm. Winę zrzucono na zadymiarza z ulicy – tego typu problemy zdarzają się od czasu do czasu

w hotelach w centrum miasta. Nisha gratuluje Sam pomysłu, by w hotelu założyć na głowę kaptur, a Sam nie ma odwagi wyjaśnić jej, że po prostu zapomniała go zdjąć. Rozmawiają o Frobisherach, wyrwanych nagle z miłostnego gniazda („Przestań, Nish, bo zaraz dosłownie się posikam”), którzy pewnie właśnie teraz odkrywają wydrukowany zrzut ekranu pozostawiony w ich pokoju przez Nishę, na którym to zdjęciu widać Liz Frobisher wrzucającą kota do śmietnika.

– Pomyślą, że to zemsta samozwańców obrońców kotów! – Grace śmieje się histerycznie.

– A jeśli mimo tego będą mieli tupet, by się poskarżyć, że zginęły im buty, dowiedzą się, że nie są nawet zarejestrowani jako goście – dodaje Jasmine. Który hotel weźmie na poważnie zgłoszenie kradzieży od kogoś, kto nielegalnie zajmował ich pokój?

Ktoś wychodzi kupić frytki, które przesypują potem do plastikowej miski i wyjadają je stamtąd, zanurzając przy tym w ketchupie z saszetki.

Sam, siedząc w kącie na podnóżku, uderza zmiana w Nishy – ma w sobie więcej łagodności, jest bardziej odprężona. Siedzi na sofie obok Aleksa i od czasu do czasu, gdy wydaje im się, że nikt nie patrzy, nie spoglądając na siebie, chwytają się za ręce. Na ten widok Sam zdejmuje smutek. A ja to właśnie straciłam, myśli. Miałam to i straciłam. Teraz, kiedy dotrzymała obietnicy, zapał i determinacja stopniowo z niej wyparowują. Pomogła Nishy odzyskać buty, ale straciła wszystko. Świat powoli traci swoją ostrość. Godziny upływają niepostrzeżenie. Sam uświadamia sobie, że wszyscy są dosyć pijani, ale dla niej to bez znaczenia. Cat nocuje u Colleen, jak napisała jej godzinę wcześniej, poinformowała ją też, że zabrała ze sobą psa. „Na wypadek gdybyś o nim zapomniała” – dodała. Phil odszedł, a ona nie ma już domu, więc nie ma dokąd wracać.

Czuje na ramieniu dłoń Andrei.

– Wszystko w porządku, kochana?

– Tak – odpowiada Sam, siląc się na uśmiech.

Andrea spogląda jej w oczy.

– Porozmawiamy później – mówi i klepie ją pocieszająco po ramieniu.

– Mogę zobaczyć te buty? – pyta Grace.

– Co?

– Chciałam zobaczyć, o co było tyle hałasu – powtarza Grace, przekrzykując muzykę.

Aleks uśmiecha się i sięga po swój plecak.

– Jasne – odpowiada. – Nacieszmy się zdobyczą.

Nisha nagle wygląda na rozdrażnioną. Aleks wyjmując czerwone szpilki z plecaka, wręcza jej ostrożnie, a ona kładzie jeden but przy drugim na stoliku przed sobą.

– Są naprawdę ładne – odzywa się Grace, a Jasmine ścisza ją za ramię.

– Szaleństwo, prawda? – stwierdza Andrea. – Tyle zachodu dla jednej pary butów.

Do Sam dopiero po chwili dociera, w jaki sposób Nisha patrzy na odzyskaną własność.

– Wiecie, co jest dziwne? – mówi Nisha. – Właściwie mam to gdzieś.

– To znaczy co? – Jasmine ścisza muzykę.

– Te buty. No bo spójrzcie na nie.

Wszyscy spoglądają na szpilki. A potem, z większą niepewnością, na Nishę.

– Dla niego to tylko gra. Sposób na to, by trzymać mnie na smyczy. Tak właściwie to ich nienawidzę.

Są idealnym podsumowaniem naszego małżeństwa. Wszystko na pokaz. Ja biegam za nim jak głupia, wystrojona jak szczur na otwarcie kanału, a on pociąga za sznurki. Wiecie, że mój syn uważa nawet, że to nie są prawdziwe louboutiny?

– Ale teraz już je masz – uspokaja ją Andrea. – A to oznacza, że on musi ci dać to, co ci obiecał. Musi ci dać ugodę rozwodową.

– Sama nie wiem – mówi Nisha. – Jest w tym coś dziwnego. Nie rozumiem całej tej jego obsesji na punkcie pary butów.

– Nie ma znaczenia, po co mu one – stwierdza Aleks. – Umowa to umowa. A ty dotrzymałaś swojej części.

Nisha, nagle rozzłoszczona, bierze jeden but, a potem znowu go odkłada.

– No bo co to, do cholery, ma znaczyć? Byłam jego żoną przez prawie dwadzieścia lat, urodziłam mu syna, poświęciłam mu życie, dałam mu wszystko, czego chciał. Odrzuciłam najlepszą przyjaciółkę, ponieważ powiedział, że nie powinnam się przyjaźnić z kimś takim jak ona, a ja dałam się przekonać. Pozwoliłam, by

mi mówił, z kim mam się zadawać. I po tym wszystkim jeszcze upokarza mnie, każąc mi się uganiać za parą moich własnych butów?

Sam patrzy na błyszczące szpilki, a potem na wykrzywioną twarz Nishy. Atmosfera w pokoju nagle zgęstniała, gdzieś wyparowała wesołość ostatnich godzin. Jasmine i Andrea spoglądają po sobie. Chyba nikt nie wie, co powiedzieć.

– One nawet na nią nie pasują, jeśli to dla niej chce je odzyskać. Ona ma stopy jak klaun. Dosłownie. Nienawidzę tych butów – oznajmia Nisha. – Niemal tak bardzo, jak nienawidzę jego.

– Siadaj, mała – mówi Jasmine, wyciągając do niej rękę. – Wkurzyłaś się. Masz do tego prawo.

Nisha spogląda na Aleksa, którego twarz jest pełna współczucia i zrozumienia.

– Te buty nic nie znaczą – uspokaja ją. – Nie są ważne same w sobie. Są tylko środkiem do celu. Pomyśl o swojej przyszłości. Co dzięki nim osiągniesz. Tylko to się liczy.

– Polej jej jeszcze, Aleks – wtrąca się Andrea.

– Nie chcę już alkoholu. – Nisha wpatruje się w buty stojące na stoliku. A potem podnosi jeden z nich i obraca delikatnie w dłoniach. Spogląda na nie z pociemniałą twarzą.

– Skarbie. Serio... – zaczyna Jasmine.

– Powiedział, że mam mu oddać buty, tak? Taka była umowa. Ale nie powiedział, że muszą być w jednym kawałku.

Rozlegają się krzyki protestu, ale zanim ktokolwiek jest w stanie ją powstrzymać, Nisha szarpie za but, próbuje wykręcić obcas, opiera go o kolano, aż wreszcie ustępuje z trzaskiem i zostaje jej w dłoni. A ze środka wysypuje się błyszczący deszcz brylantów.

W pokoju robi się cicho jak makiem zasiał.

– Ja pierniczę – wzdycha Jasmine.

Zszokowana Nisha wpatruje się w wydrążony obcas. A potem spogląda na podłogę.

Aleks pierwszy pada na kolana. Ostrożnie wybiera brylanty z dywanu i kładzie je jeden po drugim na stoliku, gdzie leżą, błyszcząc w świetle lampy, upstrzone kłaczkami kurzu i okruchami nachosów. Nisha chce coś powiedzieć, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

– Okej – odzywa się Jasmine, przechylając głowę. – Chyba rzeczywiście mu na nich zależało.

Za oknem mieszkania Jasmine grupa nastolatków wykonuje ewolucje na rowerach, wydiera się przy tym do siebie i rzuca petardy na chodnik. Któryś z nich ma skuter i od czasu do czasu Nisha słyszy ryk silnika i łomot maszyny zjeżdżającej po betonowych schodkach, a także piski jego pasażerek. Normalnie doprowadziłoby ją to do szału. Ale dzisiaj właściwie nie zwraca na to uwagi. Leży na wąskim materacu piętrowego łóżka, a w jej głowie kłębią się tysiące myśli – zastanawia się, co dla niej oznacza dzisiejsze odkrycie, wspomina też dyskusję w ostatniej godzinie spotkania, kiedy nagle wszyscy wytrzeźwieli.

Wszystko staje jej teraz przed oczami z przerażającą jasnością: przypomina sobie, jak Carl nalegał, by miała na sobie te szpilki podczas międzynarodowych podróży, chociaż bardzo niewygodnie się w nich latało; jak się wściekł, gdy się dowiedział, że je zgubiła. Wykorzystywał ją jako przemytniczkę. Ile razy nieświadomie szmuglowała dla niego klejnoty? Oderwali drugi obcas, a w lewym bucie było jeszcze więcej brylantów. Nie byli w stanie oszacować ich wartości, ale Nisha domyślała się, że w grę wchodziła kwota rzędu setek tysięcy dolarów, jeśli nie więcej. Kamienie są całkiem spore, pięknie oszlifowane, największy jest szerokości jej kciuka. Nie mieli szkła powiększającego, ale Nisha mogłaby się założyć, że są najwyższej czystości.

– O mój Boże, dziewczyno. Oto twoja przyszłość. – Jasmine położyła ręce na kolanach i nachyliła się, by się im przyjrzeć. – Oto. Twoja. Przyszłość.

Andrea mruknęła pod nosem:

– Historia jak z filmu. Teraz możesz mu powiedzieć, żeby się wypchał.

Nisha myśli o podróżach do Afryki, które odbyli przez ostatnich kilka lat, o innych parach butów, które dla niej kupił: ciemnoniebieskich czółenkach od Gucciego, kremowych butach na koturnach od Prady. Czy je też przerobiono w ten sam sposób? Czy za każdym razem była nieświadomą przemytniczką? Czy były to krwawe diamenty? Skradzione? Albo już wcześniej przemycone? A najgorsze z tego wszystkiego było to, że ona, szmuglerka mimo woli, w każdej chwili mogła zostać złapana i wyładować w więzieniu. Nic dla niego nie znaczyła. Czy wykorzystanie jej w ten sposób nie jest najlepszym dowodem, jak mało o nią dbał?

Schodzi z łóżka, ostrożnie, by nie obudzić Grace, i wciąga stary lawendowy szlafrok, do którego noszenia już przywykła. Pachnie on kojąco domem Jasmine, jej płynem do płukania. Jest prawie druga w nocy.



Przechodzi do drugiego pokoju i po cichu otwiera drzwi na balkon, gdzie zapala papierosa. Sprawdza godzinę, a potem wybiera numer.

– Ray?

– Cześć, mammo.

Jego głos jest niepokojąco cichy.

– Wszystko w porządku? – Następuje krótka chwila ciszy. Nisha nerwowo zaciąga się papierosem. –

Ray? Wszystko w porządku?

Syn odpowiada jej dopiero po chwili:

– Mhm.

– Ale nie brzmisz za dobrze.

– Mammo, ja już nie chcę tu być.

– Już niedługo. Obiecuję.

– Emily i Sasha wyjechali i zostałem tylko ja i ci z zaburzeniami odżywiania. Wszyscy inni jeżdżą do domu na weekendy. A ja oglądam tu telewizję sam jak palec.

– Wiem.

Ray wzdycha ciężko.

– Zaraz powiesz, że jeszcze nie przyjeżdżasz, prawda?

Nisha zamyka oczy.

– Ale już wkrótce. Odzyskałam buty. Wreszcie je mam. Wszystko ruszyło z miejsca. Muszę tylko omówić kilka spraw z twoim ojcem w kwestii... ugody. A potem przyjadę i cię stamtąd zabiorę.

– Myślę... – Jego głos jest łagodny, zrezygnowany. – Myślę, że nigdy nie przyjedziesz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Kiedy zachorowałem, mówiłaś, że mnie odwiedzisz, a tata kazał ci jechać do Toronto. Czuję się tak źle, mammo, a wy polecieście do Kanady. On był dla ciebie ważniejszy.

Pamięta tamtą podróż, jak płakała w samolocie, a Carl stawał się coraz bardziej rozdrażniony i powiedział, że wszystkie nastolatki miewają humory. Ona i Ray powinni wziąć się w garść, a chłopak był w najlepszym miejscu otoczony psychiatrami i ludźmi, którzy potrafią sobie radzić z takimi problemami. Przerabiał już okres dojrzewania przy dwóch synach z poprzedniego małżeństwa. Powiedział, że z nimi było tak samo, ale z tego wyrosli, a najgorsze, co można zrobić, to obchodzić się z dzieckiem jak z jajkiem – a ona mu uwierzyła. Wprawdzie jego dorośli synowie nim gardzili – chyba że akurat potrzebowali pieniędzy – jednak ona mu uwierzyła. W końcu co mogła wiedzieć o byciu dobrym rodzicem?

– Ray. Ray, posłuchaj mnie. Daj mi jeszcze kilka dni, dobrze? Obiecuję. Nawet jeśli rozmowa z twoim ojcem nie pójdzie po mojej myśli, nawet jeśli będę musiała wyrobić sobie nowy paszport i pożyczyć pieniądze od moich znajomych z pracy na bilet lotniczy. Nawet jeśli będę musiała pokonać wpływ cholerny Pacyfik, i tak po ciebie przyjadę.

– To Atlantyck.

– Atlantyck też.

Ray mimo woli wybucha śmiechem.

– A sam wiesz, że szybko pływam – dodaje Nisha.

– Nienawidzę swojego życia. Nienawidzę tego, jak ono wygląda. Mam wrażenie, że nikt mnie nie chce i w ten sposób się mnie pozbyliście.

– To nieprawda. Niedługo po ciebie przyjadę, kochanie. – Następuje długa chwila ciszy. Nisha zamyka oczy i opiera głowę o podkulone kolana. – Tak bardzo cię kocham, skarbie. Błagam, wytrzymaj jeszcze trochę. Nie zawiodę cię już więcej, obiecuję. Od tej pory będziemy razem, tylko ty i ja.

Nisha słyszy jego oddech, milion niepożądanych myśli krąży jej po głowie.

– Chcesz, żebym ci jeszcze raz zaśpiewała? – pyta, kiedy nie jest w stanie dłużej znieść tej ciszy. – „Jesteś moim sło...”

– Niekoniecznie – odpowiada Ray i kończy rozmowę.

I w tym samym momencie, zanim jeszcze uczucie paniki zdąży się zagnieździć w jej piersi, brzęczy jej telefon.

Tak, to wciąż mój numer.

Juliana.

- Cześć.
- Cześć. – Nisha przełyka ślinę. – Dzięki, że odebrałaś.
- Nie ma sprawy. Po prostu jestem... zaskoczona. Co u ciebie?

Ton Juliany jest uprzejmy, ostrożny. W taki ugrzeczniony sposób ta prosta dziewczyna z Brooklynu zwracała się kiedyś do swoich pracodawców, by brzmieć bardziej profesjonalnie, by być przez nich akceptowaną. Nisha pamięta, co mówił o niej Carl: że jego żona nie powinna się zadawać ze sprzątaczką, że Juliana jest zbyt prostacka, zbyt kiepsko wykształcona, ma na nią zły wpływ. Wściekł się, kiedy nalegała, by jej przyjaciółka została matką chrzestną Raya, zamiast wybrać kogoś spośród jego majątnych znajomych. Dopiero teraz Nisha rozumie, że dla Carla Juliana była po prostu zbyt biedna.

– Chciałam... Posłuchaj. Nie wiem, ile mam kredytu na karcie w telefonie. Ale chciałam cię prosić o przysługę.

Od Juliany natychmiast wieje chłodem.

- No tak.
- Posłuchaj, wiem, że nie mam prawa o nic cię prosić, ale chodzi o twojego chrześniaka. O Raya.
- O Raya? Czy wszystko u niego w porządku? – Ton Juliany zmienia się momentalnie.
- Rzecz w tym, że nie bardzo. Wiem, że upłynęło mnóstwo czasu i to poważna prośba, ale chciałabym, żeby ktoś, komu ufam, zobaczył, jak on się czuje. Ja sama utknęłam w Anglii, to długa historia, a on... Juliana, on jest psychicznie w kiepskim stanie. Zmaga się ostatnio z poważnymi problemami, za część z nich sama jestem odpowiedzialna i... i potrzebuję, by ktoś, komu ufam, spotkał się z nim. By po prostu, sama nie wiem, powiedzieć mu, że wkrótce po niego przyjadę. I że wszystko będzie dobrze.

Następuje długa chwila ciszy.

- Powiedz mi, gdzie mam jechać.
  - Zrobisz to?
  - Naprawdę musisz pytać?
- I w tym momencie Nisha zaczyna płakać. Łzy pojawiają się znikąd, to łzy ulgi, poczucia winy i emocji, które nareszcie znalazły upust. Próbuje otrzeć twarz drugą ręką i odzyskać kontrolę nad głosem.
- Naprawdę? Zrobisz to? Po tym wszystkim?
  - Wyślij mi wiadomość z adresem. Pojadę do niego zaraz po pracy.
  - Dziękuję. Tak bardzo ci dziękuję. – Nisha cała się trzęsie.
  - Czy będzie wiedział, kim jestem?
  - Tak. Często o tobie rozmawiamy.
  - A ja często o nim myślę. Właściwie przez cały czas. Kochany Ray.

Nisha mocno zaciska powieki, wciąż oddycha ciężko, ale próbuje wziąć się w garść, ukryć emocje w głosie. Podaje jej jeszcze kilka szczegółów, żeby Juliana miała szerszy obraz sytuacji i wiedziała, czego może się spodziewać. Nisha wyznaje jej też, że nie jest już z Carlem. Że robi wszystko, by wrócić do syna. Juliana informuje ją z kolei, że jest mężatką. Ma dwoje dzieci, w wieku jedenastu i trzynastu lat. Fakt, że w jej życiu zaszły tak wielkie zmiany, a Nisha nie miała o nich pojęcia, powoduje, że coś w niej zaciska się boleśnie. I wtedy słyszy powiadomienie, że zaraz skończy jej się kredyt w telefonie.

– Wyślę ci wiadomość, dobrze? – mówi Juliana. – Gdy tylko się z nim spotkam.

Ulgą, jaką odczuwa, jest przeogromna. Juliana na pewno zrobi to, co obiecała. To najszczersza, najbardziej bezpretensjonalna osoba, jaką Nisha spotkała w życiu. A wtedy znowu pojawiają się łzy.

– Przepraszam – rzuca Nisha nagle. – Miałaś rację. Co do wszystkiego. Tyle rzeczy zniszczyłam. I tęskniłam za tobą tak bardzo... Ale po prostu nie umiałam mu się przeciwstawić. Wiele razy chciałam do ciebie zadzwonić... Tak bardzo, bardzo cię przepraszam.

Następuje długa chwila ciszy. Nisha zastanawia się przez moment, czy nie powinna była sama tam pojechać. Jakie ma prawo prosić o cokolwiek Julianę? Ale głos dawnej przyjaciółki, który rozbrzmiewa potem w telefonie, drży ze wzruszenia.

– Ja też. Możesz na mnie liczyć, kochana. Pojadę do twojego synka.

Sam, która nocowała u Andrei, opuszcza jej mieszkanie o poranku i cichymi ulicami pokonuje na

piechotę krótki dystans do domu. W głowie wciąż rozbrzmiewa jej rozmowa, którą poprzedniego wieczoru odbyła z przyjaciółką, i nie może się otrząsnąć z szoku po tym, jak się dowiedziała, co nosiła pod stopami. Śmiały się, że już Paul Simon śpiewał o butach wysadzanych diamentami, ale za każdym razem, gdy Sam myśli o mężczyźnie, za jakiego wyszła Nisha, staje jej przed oczami Phil. Jego dobroć. Jego czułość. W ogóle nie mieści jej się w głowie, że Phil mógłby się tak mało o nią troszczyć, by kazać jej zrobić coś takiego. Widziała, jak Nisha uzmysławia sobie prawdę o swoim małżeństwie i jak jej twarz się zmienia, i podczas gdy wszyscy inni byli podekscytowani odkryciem brylantów, Sam jako jedyna dostrzegła jej smutek i ból – ta świadomość była dla niej czymś, co przelało czarę goryczy.

Po wyjściu od Jasmine, naładowane adrenaliną, rozmawiały jeszcze do późna u Andrei, aż Sam w końcu wyznała, że mąż ją zostawił. Przyjaciółka przytuliła ją i powiedziała, że Phil na pewno wróci. Sam ponownie sprawdza telefon, zastanawiając się, czy do niego nie napisać, ale jest jeszcze wcześniej, a zresztą i tak nie ma pojęcia, co powiedzieć. Ani do jakiego stopnia powinna być z nim szczera. Chce, żeby wszystko wróciło do normy z czasów, kiedy stanowili zgrany zespół. Kiedy czuła się tak, jakby była żoną swojego najlepszego przyjaciela – zanim jego ojciec zachorował, zanim zwolniono go z pracy, zanim ona zadurzyła się w jedynej osobie, która jej słuchała. Czy to marzenie w ogóle ma szansę się ziścić? Czy można wskrzesić małżeństwo, w którym aż tyle się popsulo?

Oczywiście, że tak, powiedziała stanowczo Andrea, tyle że ona ma za sobą dwa rozwody, a wczorajszego wieczoru wlała w siebie cztery kieliszki wina, poza tym kocha ją na tyle, by jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, bo tak bardzo chce, by wszystko ułożyło się dla niej jak najlepiej.

Sam skręca w swoją ulicę i zauważa, jak wielką różnicę sprawia jej świadomość, że wraca do pustego domu. Zastanawia się, czy od tej pory tak to będzie wyglądało. Nie będzie Phila. Cat będzie wpadać coraz rzadziej, aż wreszcie całkowicie opuści rodzinne gniazdo. Podobnie z Kevinem, który ma trzynaście lat i jest zdecydowanie stary jak na psa. Zostanie więc sama w tym niewielkim domu, będzie oglądać opery mydlane i zakreślać w lokalnej gazecie jakieś koszarne ogłoszenia o pracę, a do tego dwa razy w tygodniu będzie jeździć do swoich coraz bardziej zrzędlivych rodziców, by u nich posprzątać.

Przestań – gani ostro samą siebie. Staje nieruchomo i oddycha – wdech na raz, wstrzymanie na cztery, wydech na siedem. Czy wydech był na siedem? Czy też wstrzymanie powinno być na siedem? Tak długo tego nie robiła, że zdążyła już zapomnieć. Przekierowuje uwagę na tę dziwną grupę swoich nowych znajomych, myśli o serdeczności Jasmine, o tym, że nawet Nisha przytuliła ją tak, jakby Sam była dla niej kimś ważnym. Pomogła tej kobiecie odzyskać buty. Cały hotel stanął w miejscu za jej sprawą i to odmieniło czyjeś życie. Okazała się zdolna do zrobienia czegoś, nawet jeśli tym czymś było wywołanie chaosu.

Zatrzymuje się przed domem i zanim otworzy bramę, spogląda w górę, gdzieś głęboko w środku żywiąc nadzieję, że będzie tam migotać światło, że Phil postanowił wrócić do domu. I wtedy dostrzega nikły blask w korytarzu na piętrze. To światło pali się tylko wtedy, gdy są w domu. Sam idzie w stronę drzwi, nagle przepełniona nadzieją, otwiera je, a potem staje w progu i mruga z niedowierzaniem na widok połyskujących odłamków szkła, połamanego krzesła i roztrzaskanego telewizora leżących na podłodze w salonie.

– Cat? – Sam stoi roztrzęsiona w ogrodzie. W kuchni przeszła z chrzęstem po rozsypanych płatkach i nasionach, rozbitych naczyniach, a następnie odwróciła się na pięcie i wyszła szybko przed dom, nagle zdjęta lękiem, że intruz może nadal być w środku. Minęło już dziesięć minut, w domu nic się nie działo, ale nie czuła się tam bezpiecznie.

– Mamo? – odzywa się Cat zaspanym głosem.

Sam z ulgą przykłada rękę do ust.

– Och, dzięki Bogu.

– Dlaczego dzwonisz do mnie o... w pół do dziesiątej rano?

– Mieliliśmy włamanie, skarbie. Nie chciałam... nie chciałam, żebyś tu przychodziła i zastała dom w takim stanie. – Nie mówi jej prawdy: że nagle ogarnął ją lęk, że Cat jednak była w środku i doszło do czegoś o wiele gorszego niż włamanie.

– Co?!

– Tak, wiem. W domu panuje spory bałagan. Nie martw się. Jakoś sobie poradzę. Kevin jest z tobą?

– Tak. Fuj. Właśnie puścił bąka. Kevin!

Sam wydaje z siebie kolejne westchnienie ulgi. Słyszy, jak Cat podnosi się na łóżku.

– Co ukradli? Czy mogę wrócić do domu?

– Nie wiem. Zadzwoiłam na policję. Ale nie wracaj na razie. Zostań tam póki co. Nie chcę... nie chcę, żebyś widziała dom w takim stanie.

– Dzwoniłaś do taty?

Sam wpatruje się we frontowe drzwi, wciąż lekko uchylone.

– Nie wiem, czy chciałby, bym do niego dzwoniła. Nic się nie dzieje. Jakoś to ogarnę.

– Mamo...

– Muszę kończyć, kochanie. Porozmawiamy później. Nie wracaj, dopóki do ciebie nie zadzwonię, dobrze?

W końcu wsiada do kampera. Czuje się tu odrobinę lepiej niż w domu. Zajmuje miejsce pasażera i gapi się przez przednią szybę, niepewna, co robić dalej. Gdy zadzwoniła na policję, powiedziano jej, że wyślą tam kogoś, ale dodano, że mają teraz dużo pracy i lepiej, żeby sprowadziła ślusarza i zabezpieczyła dom. Mogła zapomnieć o zdejmowaniu odcisków palców czy o jakimkolwiek śledztwie. Ostatnio było w pani okolicy mnóstwo włamań – rzekła operatorka zrezygnowanym tonem.

Szkoda, że cię tu nie ma – mówi w myślach do Phila. Dzwoni do Andrei, która oznajmia, że zaraz do niej jedzie. Kiedy opowiada przyjaciółce o bałaganie, o zniszczeniach, dociera do niej, że to się dzieje naprawdę, że to nie jakiś koszmarny sen. Jej dom wygląda jak pobojuwisko, a ona nawet nie wie, czy będzie ją stać na nowy telewizor. Andrea pyta ją na koniec:

– Myślisz, że chodziło im o buty?

– To znaczy?

– Że po to było to włamanie. Czy możliwe, że ktoś szukał u ciebie tych butów?

Sam oblewa zimny pot. Wraca do środka, nagle zmysły ma całkowicie wyostrzone. Chodzi po domu i patrzy na wszystko chłodniejszym okiem, i dopiero teraz dostrzega, że te rzeczy, które normalnie padają łupem złodziei – telewizory, iPady – włamywacze zostawili, zostały przez nich tylko uszkodzone. Ale cały dom został dokładnie splądrowany, każde pudełko wywrócono do góry nogami, wysunięto każdą szufladę.

Kiedy Andrea przyjeżdża, Sam siedzi na schodach, w puchowej kurtce zarzuconej na ramiona, i trzyma na kolanach pudełko z biżuterią. Nic z niego nie zginęło. Sam wie, że te błyskotki nie są cenne – większość to pozłacane naszyjniki czy kolczyki, które Phil kupił jej przed narodzinami Cat – ale jest to kolejny dowód, że ktokolwiek włamał się do jej domu, nie był złodziejem ani ćpunem próbującym zdobyć pieniądze na działkę. Ci ludzie szukali czegoś konkretnego.

– Sammy. – Andrea wychodzi z samochodu, zanim jeszcze umilkł silnik, w miękkiej wełnianej czapce zamiast chusty. Podbiega do niej, a kiedy Sam wstaje, przyjaciółka bierze ją w ramiona. Dopiero wtedy emocje biorą w niej górę, do oczu napływają jej łzy i poddaje się mocnemu uściskowi Andrei.

– W środku dom wygląda strasznie. To jedno wielkie pobojuwisko – mówi jej w ramię. – Nawet nie

wiem, od czego zacząć.

– Wobec tego dobrze, że przyjechałyśmy, co nie? – Sam podnosi wzrok i za plecami Andrei widzi Jasmine z wielką torbą środków czystości w jednej ręce i rolką czarnych worków na śmieci pod pachą. – Nie ma sensu czekać na policję, skarbie. Trzeba być oligarchą albo politykiem, żeby w tych czasach doprosić się o przyjazd do włamania. Wierz mi, coś o tym wiem.

Nisha gramoli się z tylnego siedzenia, ściskając w ręce mopa i wiadro, a z drugiej strony auta wyłania się Grace, trzymając w obu rękach kartonową tacę z kubkami kawy.

– Andrea nam o wszystkim powiedziała – wyjaśnia Jasmine. – Podzwoniłyśmy w pracy do kogo trzeba i zamieniłyśmy się na późniejsze godziny. Stwierdziłyśmy, że nie możemy cię tak zostawić na pastwę losu.

Sam nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa. Na ich widok odczuwa tak ogromną ulgę, że aż nogi się pod nią uginają. Nisha przystaje w progu i zagląda do środka. Wpatruje się przez moment we wnętrze zdemolowanego domu, a potem odwraca się do Sam.

– Nienawidzę go. Z całego serca cię za to wszystko przepraszam.

Nisha jest teraz ekspertką w ogarnianiu bałaganu, ale to konkretne zadanie budzi w niej ogromne napięcie. Przez odłamki szkła i połamane przedmioty przeziera tkanka tego domu, rodzinnego gniazda przesiąkniętego miłością; fotografie ślubne i tandetnie oprawione zdjęcia rodzinne porozstawiane są gdzie popadnie, bez żadnego stylistycznego pomysłu, jak gdyby liczył się tylko fakt, że są na nich razem. Wytarta kanapa świadczy o niezliczonych wieczorach, podczas których siedzieli na niej wtuleni w siebie, a w przedpokoju wiszą wyblakłe dziecięce obrazki, których nikt nie ośmielił się zdjąć. Carl zbeczczył ten dom. Nisha zamiata drobne odłamki rozbitego szkła, wyciera rozlane przetwory z kuchennej podłogi i myśli, że chyba nigdy nie nienawidziła Carla bardziej – a w nienawiści do niego osiągnęła przecież poziom olimpijski. To, że obierał sobie za cel ataków swoich biznesowych wrogów, nawet ją, to jedno. To byli przeciwnicy, którzy mieli wobec niego jakąś szansę. Ale uderzyć w rodzinę, która nie ma nic – nawet dobrego smaku, co przyznaje w duchu z poczuciem winy – to po prostu podłe. Z twarzy Sam, bladej jak ściana, Nisha wyczytuje, że nie będzie się już czuła bezpiecznie w tym domu, że tego, co zostało zniszczone, nie da się tak łatwo odbudować. Carl zniszczył to, co najdelikatniejsze: poczucie spokoju i bezpieczeństwa, które powinien zapewnić dom.

– O mój Boże.

Nisha podnosi wzrok i spogląda na Sam, która stoi z workiem na śmieci w jednej ręce i wpatruje się w swój telefon. Jasmine i Andrea pracują na górze, skąd dobiega hałas odkurzacza ciągniętego po całej podłodze.

– Co się stało?

– Miriam Price, kobieta, z którą negocjowałam jeden kontrakt, właśnie do mnie zadzwoniła z pytaniem, dlaczego nie potwierdziłam zaproszenia na rozmowę kwalifikacyjną.

– Aha. I co powiedziałaś?

– Że moim zdaniem nie powinnam przychodzić, ponieważ mnie zwolniono. I z powodu tej całej, no wiesz, sprawy z kradzieżą. Nie sądziłam, że chce jeszcze ze mną rozmawiać. Owszem, zaprosiła mnie na tę rozmowę, ale po tym, co się stało, nie widziałam w tym sensu, więc uznałam, że...

– Okej, a co ona na to?

– Że tak czy owak chce, żebym przyszła.

Nisha marszczy brew.

– To chyba dobrze, co nie? W końcu szukasz pracy.

Sam robi zbolaną minę.

– Ale to dzisiaj. W południe. I spójrz na mnie! Włamano mi się do domu. Splądrowano go. Mąż mnie zostawił. Ledwo spałam przez ostatnie dwa dni. I w takim stanie miałabym pójść na rozmowę kwalifikacyjną?

Nisha ociera twarz rękawem i odkłada mopa.

– Oddzwon do niej. Powiedz, że z przyjemnością się z nią spotkasz.

Jasmine i Nisha wybierają dla niej ubranie, podczas gdy Sam bierze prysznic. Kiedy wychodzi z łazienki, z mokrymi włosami owiniętymi w ręcznik, a całą resztą spowitą aurą niepewności, Jasmine wkracza do sypialni, niosąc wieszak ze świeżo wyprasowaną jasnyniebieską bluzką.

– Zmieścisz się w to? – Nisha pokazuje ciemne spodnie.

– Chyba tak – odpowiada Sam. Przez ostatnich kilka dni niewiele jadła.

– Okej. W takim razie ciemne spodnie i jasna bluzka, to zawsze jest dobre połączenie. Znalazłam ten

żakiet w pokoju twojej córki. Chyba będzie na ciebie dobry.

– Ale...

– Twoje żakiety są koszmarnie. Bez obrazy. To jest Zara, ale wygląda na coś droższego. Nie, nie, nie! Odłóż ten sweter. Powinnaś wyglądać jak wzbudzająca szacunek, silna kobieta, a nie jak uciekinierka z domu opieki.

Nisha wyciąga buty, które Sam kupiła na wesele kuzynki trzy lata temu.

– I jeszcze to.

– Ale one są jaskrawoniebieskie. I... mają obcasy.

– Potrzebujesz czegoś, co przykuje uwagę. Konwencjonalna góra pokazuje, że stawiasz przede wszystkim na profesjonalizm. A buty sugerują bardziej intrygujące wnętrze. Emanują pewnością siebie. Sam, no co ty, otwórz się na coś nowego! Ci ludzie będą cię oceniać od momentu, gdy wejdiesz do sali. To twoja zbroja, twoja wizytówka. Musisz im narzucić, co mają o tobie myśleć.

Niepewna mina Sam budzi w Nishy poirytowanie. Kładzie żakiet na łóżku i pyta:

– Jak się czułaś, kiedy miałaś na nogach moje buty?

Sam zastanawia się, czy to jakieś podchwytliwe pytanie. Ale Nisha czeka na odpowiedź.

– Yyy... trochę dziwnie?

– I...?

– A potem... tak jakby przebojowo?

– No właśnie. Przebojowo. Jakbyś była osobą, z którą należy się liczyć. A jak czujesz się teraz? Spójrz na siebie. Kogo widzisz?

– Yyy... kogoś obcego?

– Widzisz specjalistkę od sprzedaży w branży poligraficznej. Albo czymkolwiek tam się zajmujesz.

Widzisz kobietę, która potrafi wziąć się w garść. Która potrafi działać.

Sam siada, podczas gdy Jasmine zaczyna wycierać ręcznikiem jej włosy.

– Gdzie masz kosmetyki do makijażu?

– W szafce w łazience. Drugie drzwi.

– Tamto widziałam. Chodzi mi o twoją kosmetyczkę.

– Nie mam nic innego.

Jasmine i Nisha nieruchomieją i spoglądają na nią.

– Sam – zaczyna Nisha surowym tonem. – Te rzeczy są tak stare, że zaraz chyba same wyjdą z łazienki.

Czy ty uciekłaś z buszu?

– Może i tak.

– Ale masz ładną cerę, skarbie. Widać, że o nią dbasz. – Jasmine zaczyna rozczesywać jej włosy i spryskiwać lotionem należącym do Cat.

– Na twarz nakładam tylko odrobinę kremu Nivea.

Obie wybuchają śmiechem. Nisha szturcha Sam.

– Tak. Jasne. Właśnie to ciągle powtarzają supermodelki.

– „A jestem taka szczupła, bo przez cały dzień biegam za dziećmi” – przedrzeźnia ich ton Jasmine.

Rozbrzmiewają kolejne salwy śmiechu. Sam, która naprawdę na twarz nakłada tylko odrobinę kremu Nivea, sili się na lekki uśmiech i postanawia już nic więcej nie mówić.

Pół godziny później stoi przed lustrem w swojej wysprzątej sypialni.

– Plecy prosto – instruuje ją Nisha.

Sam się wyciąga i unosi podbródek. Jasmine wysuszyła jej włosy i podkręciła na lokówce, tak że teraz wyglądają na bujniejsze i lekko lśnią. Makijaż zrobiła jej Nisha, która jakimś trikiem usunęła jej cienie spod oczu i zrobiła coś z jej powiekami, dzięki czemu jej oczy wydają się większe i bardziej wyraziste. Sam nie przypomina siebie. Wygląda jak ktoś, kto na rozmowie o pracę jest w stanie powalić wszystkich na kolana. Uśmiecha się delikatnie.

– Taaak! – mówi Nisha. – I oto ona. Nasza gwiazda.

– Głowa do góry i cycki do przodu? – rzuca Sam, odwracając się do nich.

– Nie za bardzo. Masz koszmarny stanik. Co...? No co? – protestuje Nisha, kiedy obrywa od Jasmine.

– I pamiętaj, Sam! – dodaje Jasmine. – Jesteś kobietą, która potrafi zatrzymać pracę całego hotelu!

W tych rękach jest moc! – Pokazuje swoje dłonie.

– To prawda. Jest w nich moc – potwierdza Nisha, pocierając żałośnie swoje ramię.  
– Ja cię odwiozę – oznajmia Andrea. – A dziewczyny zostaną i dokończą sprzątanie.  
Sam wpatruje się w te trzy tak różne kobiety. Nagle znowu przebija z niej niepewność.  
– Nie denerwuj się – mówi Andrea. – Nie ma znaczenia, czy dostaniesz tę akurat pracę. Potraktuj to jako ćwiczenie w ramach osvajania się na nowo z rozmowami kwalifikacyjnymi.

Ale Sam wciąż wygląda na zakłopotaną.

– Dlaczego to dla mnie robicie? – wyrzuca z siebie.

Nisha pociąga za klapy jej żakietu i je prostuje.

– Ponieważ... ponieważ ty mi pomogłaś. I, no wiesz, jesteś w porządku. Jesteś w porządku, Sam.

Jej oczy zachodzą łzami.

– Ale tyle dla mnie poświęciłyście. Każda z was. Zmieniłyście dla mnie swoje plany. Całe to sprzątanie. I ubranie... Nigdy nie znałam nikogo, kto by tak bardzo... tak bardzo...

– Nie ma mowy – mówi Nisha twardo, łapiąc ją za łokieć i kierując do wyjścia. – Nie rozkleisz mi się teraz. Nie zepsujesz płaczem mojego wspaniałego makijażu. Te pociągnięcia eyelinerem mają tu pozostać. Jedź, Andrea. Zawieź ją tam. Niech zdobędzie tę cholerną pracę. A my tu sobie zaczekamy.

Nisha, Jasmine i Grace nasłuchują, jak Andrea wyrusza sprzed domu Sam. Kiedy już są pewne, że samochód odjechał, Nisha zaczyna zbierać poplamione tubki i cienie do powiek leżące na łóżku. O Boże, ale ta narzuta jest koszmarna. Dlaczego Angielki tak gustują w tych okropnych kwiecistych wzorach? Gdy podnosi wzrok, Jasmine uśmiecha się do niej szelmowsko.

– No co?

Jej przyjaciółka spogląda na córkę, a potem kiwa głową.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

– Co takiego? Nieprawda. Idź mi stąd. – Zbiera ostatnie upaprane tubki, żeby je odnieść do sypialni Cat. Chociaż wyświadczyłaby przysługę im obu, gdyby wyrzuciła to wszystko do śmieci.

– Zrobiłaś coś dobrego. Włożyłaś w to serce. I nie da się ukryć, że je masz.

– Pfff. Nieprawda. Ze mną lepiej nie zadzierać. A teraz idź i... wracaj do sprzątania.

„Nisha jest dobrym człowiekiem, Nisha ma dobre serce” – podśpiewują drwiąco Grace i Jasmine. Nisha powtarza im, żeby się zamknęły, ale one nawet schodząc po schodach, nie przestają tego nucić.

Półtorej godziny później Sam wychodzi z biura Harlon and Lewis. Andrea czeka na nią na parkingu, a ona idzie powoli po asfalcie w tych niewygodnych butach, z torebką wetkniętą pod ramię. Możliwe, że Andrea drzemała: lekko podskakuje, kiedy Sam wchodzi do środka i zamyka z trzaskiem drzwi.

– No i...?

Sam kopnięciem pozbywa się butów. Patrzy przed siebie, a potem odwraca się do przyjaciółki. Wygląda jak ktoś porażony prądem.

– Dostałam ją – mówi, a jej głos lekko drży. – Dostałam tę pracę. Będę pracować bezpośrednio dla Miriam Price. I będę zarabiać więcej niż w Uberprincie. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

Miriam Price wychodzi z biura pięć minut później. W drodze do swojego samochodu mijają niebieskiego nissana micrę i widzi dwie kobiety w średnim wieku podskakujące na siedzeniach, ściskające się i piszczące jak nastolatki. Przystaje na chwilę, by przyjrzeć się tej scenie, uśmiecha się do siebie i odwraca się, by poszukać kluczyków.

Carl próbował się do niej dodzwonić siedemnaście razy. Za każdym razem na widok jego imienia Niszę przenika coś dziwnego, jednocześnie zimno i gorąco. Nie potrafi tego określić. Leży na górnym materacu, wpatruje się w telefon brzęczący cicho i natargiwie w jej dłoni i czeka, aż przestanie. To nieodbieranie go rozwścieczy. Carla nie wolno ignorować. Wie, że Nisha odzyskała buty, bo Ari ją widział. Aleks ostrzegł ją, by nie odbierała, bo może w ten sposób zdradzić swoje położenie, ale to tylko kwestia czasu, zanim Ari ją namierzy. W końcu odnalazł dom Sam.

Ale ona nie chce z nim rozmawiać, dopóki nie zdecyduje, co robić. Wszyscy jej radzili, by zatrzymała brylanty i gdzieś daleko zaczęła wszystko od nowa. Będiesz ustawiona na całe życie! Na pewno są warte o wiele więcej niż on ci proponuje! Ale ona zna Carla. Nie chodzi nawet o wartość klejnotów. Tylko o fakt, że nie będzie umiał się pogodzić z porażką. I tutaj ma dylemat: jeśli zatrzyma brylanty, przynajmniej będzie mieć zabezpieczenie finansowe. Bo możliwe, że Carl będzie próbował ukręcić łeb umowie i uniknąć płacenia. Ale Nisha wie, że jeśli tak zrobi, on nigdy nie da jej spokoju. Przez resztę życia będzie szukał zemsty.

Nisha pamięta jedną z kobiet z ich kręgu, Rosemary, wiecznie kipiącą złością zdradzoną żoną o stalowym spojrzeniu, która chodziła po sądach, aż przyznano jej alimenty w wysokości ponad siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Jej eksmęża stać było na to – był to w zasadzie jego budżet na lunch. Ale ten, wściekły na decyzję sądu, odmówił płacenia, zaczął jeździć po świecie, przenosząc aktywa, i rok po roku ponosił koszty prawne związane z zaskarżaniem wyroku, aż po dziesięciu latach ona miała dość wszystkiego, a oboje byli spłukani. Niektórzy mężczyźni nie są w stanie znieść porażki na żadnym polu. Nisha tego popołudnia przeszła się do sklepu w Hatton Garden, a tam jubiler zaproponował jej, by porozmawiali na zapleczu. Nie pytał, skąd ma te brylanty, rzekł tylko, że może pomóc jej się ich pozbyć za osiemdziesiąt tysięcy funtów. Z tego wywnioskowała, że są warte co najmniej dziesięć razy tyle. Widziała, jak spoglądał na jej tanią kurtkę, jakby od razu założył, że zostały skradzione. Mogę je skupować od pani partiami, jeśli tak będzie pani wygodniej, rzucił jej na odchodnym.

Jej telefon znowu brzęczy. Nisha wpatruje się w niego przez chwilę i wreszcie odbiera.

– Odzyskałam buty – mówi. – Dostaniesz je, kiedy pokażesz mi ugodę.

– To nie ty tu dyktujesz warunki.

– To ty je ustaliłeś, Carl, pragnę ci przypomnieć.

Następuje krótka chwila ciszy. Nisha czuje po drugiej stronie telefonu ledwo tłumioną wściekłość i przebiega ją lekki dreszcz.

– Gdzie teraz jesteś?

– Przyniosę je jutro – odpowiada mu. – Do hotelu. Spotkajmy się w lobby.

– Okej, w południe. Zaraz potem jadę na lotnisko. Więc nie próbuj żadnych sztuczek. Jeśli się nie pojawisz, zostaniesz bez ugody i to będzie twój koniec.

I rozłącza się, zanim Nisha ma szansę mu odpowiedzieć.

Po rozmowie z nim jest cała roztrzęsiona, tak na nią działa jego głos. Leży przez chwilę na plecach, próbując przywrócić normalny oddech, po czym obraca się na bok. Tego wieczoru już dwa razy próbowała skontaktować się z Rayem, ale ten nie odbiera. Właśnie ma zamiar wysłać mu kolejną wiadomość, gdy zauważa zwisającą z rogu lusterka sztuczną biżuterię należącą do Grace, sznury koralików i sztucznych kryształków. I to jej daje do myślenia.

Sam wyciera blaty w kuchni rodziców. Nie jest to tak prosta czynność jak u niej w domu, ponieważ przetarcie choćby kilku centymetrów kwadratowych tego porysowanego laminatu wiąże się z przesuwaniem słoików, stosów papierów, kartonów z resztkami mleka i starych baterii, które mogą być całkiem wyładowane, ale nie muszą, tyle że nie zostaną wyrzucone, ponieważ „składowanie ich na wysypisku jest szkodliwe dla planety”. Już od czterech godzin próbuje doprowadzić dom do stanu przypominającego porządek, a jeszcze nie skończyła kuchni.

– Ale dlaczego Cat mieszka u Andrei? Czy u was nie jest bezpiecznie? To bardzo niepokojące. Mówiłam twojemu ojcu już wieki temu, że powinniśmy u siebie zainstalować alarm.

Z salonu dochodzi głos taty, który kończy układanie puzzli z dwóch tysięcy elementów, do którego mogły, ale nie musiały, dostać się kawałki z pudełka stojącego nad nimi.



- Powiedziałaś, że nie chcesz alarmu, bo się bałaś, że ciągle będzie się włączał i hałasował.
- Już nie zmyślaj. Chciałam założyć alarm. Tylko ty jak zwykle miałeś węża w kieszeni.

Matka ukryła twarz w dłoniach, kiedy usłyszała o włamaniu, a wykroczenie Sam polegające na parotygodniowym niesprzątaniu poszło na chwilę w zapomnienie w obliczu tego większego przestępstwa. Wypytywała się o wszystko: co zabrali („nic”), czy inne domy w okolicy spotkało to samo („nie”), czy policja zamierza coś zrobić w tej sprawie („do tej pory się nie zjawili”), i wyglądała na nieco rozczarowaną wszystkimi tymi odpowiedziami.

- Ale jeśli w domu jest już bezpiecznie, to dlaczego Cat mieszka u Andrei?

Sam wyżyma nad zlewem brudną szmatkę.

– Ponieważ Phila nie ma teraz w domu, a nie chciałam, by Cat była sama, kiedy mnie tam nie ma. – To właściwie był pomysł Nishy. Obie powinny się teraz trzymać z dala od domu, powiedziała. Ari znał typów spod ciemnej gwiazdy. Gdy to mówiła, miała przepraszającą minę.

- No ale gdzie jest Phil? O rany, chyba nie zrobili mu krzywdy? Czy Phil jest w szpitalu?

– Nie, mam. – Sam krzywi się, kiedy odsuwa kolejny słoik i znajduje za nim spleśniały kawałek sera. – Phil... na chwilę wyjechał.

Nawet gdy w grę wchodzi możliwość brutalnej zbrodni, jej matkę najbardziej porusza tylko jeden temat.

- Czy dalej macie problemy?

Sam wyrzuca ser do kosza i myje ręce z twarzą odwróconą do matki.

- Po prostu musi pozbierać myśli.

– Mówiłam ci, Tom. No bo czy nie mówiłam? Kiedy kobieta pracuje tak jak ty, pojawia się problem. To nie jest dobre dla małżeństwa. Mężczyzna ma swój honor, a będąc jedyną żywicielką rodziny, odbierasz mu go. Popatrz, co się stało z Judy Garland.

Sam odkłada ścierkę i kładzie ręce na krawędzi zlewu.

– Pomyliło ci się z bohaterką *Narodzin gwiazdy*. I tak właściwie, mam, Phil odszedł, ponieważ myślał, że mam romans z kolegą z pracy.

– Nie wygłupiaj się. Czy ty właśnie wyrzuciłaś ser do kosza? Co za marnotrawstwo. Można było po prostu odciąć spleśniałe brzegi.

Sam przez chwilę stoi nieruchomo. A potem otwiera kosz, wyciąga ze śmieci ser i wręcza go matce.

– Mam – oznajmia, zdejmując fartuch. – To był ostatni raz, kiedy u was sprzątałam. Kocham ciebie i tatę bardzo mocno, ale niedługo zaczynam nową pracę, która będzie bardzo wymagająca. Biorąc pod uwagę, jak mało czasu mam dla siebie, muszę się skupić na rodzinie, a przynajmniej na tym, co z niej zostało. Zresztą zgodnie z twoją radą. Zadzwoniłam do trzech agencji sprzątających, wszystkie mają moce przerobowe, i kiedy już doprowadziłam dom do normalności, jestem pewna, że z chęcią wam pomogą. Oto ich numery. Ta druga agencja, tak na marginesie, jest najtańsza. Możliwe, że zatrudniają ludzi na czarno. I możliwe, że Afgańczyków. Lepiej sprawdź ze związkami zawodowymi. A teraz pozwól, że się pożegnám.

Całuje oszołomioną matkę w policzek, ściska rękę ojca i bierze płaszcz z krzesła, na które jedno z nich rzuciło go po jej przybyciu.

– Cudownie było was zobaczyć. Nie, nic mi nie jest, dziękuję. Wciąż jestem trochę roztrzęsiona, a do tego kompletnie wyczerpana. I bardzo, bardzo mi smutno z powodu rozpadu mojego małżeństwa. Ale dzięki czterem godzinom charytatywnego sprzątania czuję się lepiej. Okej, pora na mnie. Dam wam znać, jak mi idzie w nowej pracy.

Zamyka drzwi z energicznym trzaśnięciem, świadoma, że ich to wkurzy, po czym nie oglądając się za siebie, odchodzi.

Joel już czeka w kawiarni, kiedy Sam dociera na miejsce. Widzi jego głowę, pochyloną nad telefonem, a kiedy ją podnosi na dźwięk otwieranych drzwi, jego uśmiech jest uroczo niepewny. Sam przez chwilę stoi w progu, a potem podchodzi do niego i zajmuje miejsce naprzeciwko przy drewnianym stole.

– Zamówiłem ci cappuccino – mówi Joel, podsuwając filiżankę w jej stronę. – Nie byłem pewien, na co masz ochotę.

Sam uśmiecha się i upija łyk kawy. Joel obserwuje ją i bębni lekko palcami o blat stołu. Ma piękne paznokcie, równe, zadbane i nieskazitelnie czyste. Sam zastanawia się mimowolnie, czy używa pilniczka. Może chodzi na manicure, jak znajomy Cat, Ben. Tak naprawdę nic o nim nie wie. Mogłaby wyprojektować

na niego najróżniejsze swoje wyobrażenia. Kto wie, może pasjonuje się bizantyjską muzyką lutniową albo ma w domu kolekcję zabytkowych lalek. Na tę myśl Sam zaczyna chichotać, co przeradza się w rodzaj dziwnej czkawki. Co oni w ogóle o sobie wiedzą?

– Wszystko w porządku?

Sam poważnieje i przełyka ślinę.

– Chyba tak. A u ciebie?

– Też w porządku.

Sam upija kolejny łyk kawy.

– Rozmawiałem z Mariną – zaczyna Joel. – I wydaje nam się, że można cię przywrócić do pracy. Dostała informacje od faceta z kadr i wynika z nich, że Simon nie miał prawa cię zwolnić, nie dając ci wcześniej formalnego ostrzeżenia, a do tego możemy udowodnić, że nie ukradłaś tych butów, jeśli zdobędziemy oświadczenie tej kobiety na piśmie...

– Joel, ja nie wracam – przerywa mu Sam. – Dostałam pracę. U Miriam Price.

Jego oczy rozszerzają się odrobinę.

– Harlon and Lewis. Nieźle. – Opiera się na krzesło, najwyraźniej oswajając się z tą wiadomością. Ma na sobie koszulę, której Sam wcześniej nie widziała i która napina się na ramionach wraz z każdym jego ruchem.

– Nie mogę... nie mogę wrócić. – Sam kręci głową. – To już nie jest miejsce dla mnie. Nie, biorąc pod uwagę... – nie kończy zdania.

Joel myśli przez chwilę. Potem ściąga kąciki ust i kiwa głową.

– Ale dalej możemy się spotykać na treningach, tak?

Po drugiej stronie kawiarni para huśta dziecko siedzące ojcu na kolanach. Jego główka kiwa się z radości, gdy matka ustami naśladuje prychnięcie starego samochodu.

– Nie wiem. – Sam tak bardzo pragnie wziąć go za rękę. Zaciska palce na uchu filiżanki, by nie zrobić tego mimowolnie. – Nie wiem, w jakim punkcie jest moje małżeństwo. Ale muszę dać mu szansę i nie mogę... – Ścisza filiżankę jeszcze mocniej. – Nie wydaje mi się, bym powinna się z tobą widywać. Chcę się czuć dobrym człowiekiem, a te spotkania... owszem, poprawiają mi nastrój, ale nie czuję się przez nie dobrym człowiekiem. Czy to, co mówię, ma sens?

Powiedziała to na głos. To, co przetaczało się przez jej głowę w czasie bezsennych nocy. Przyznała, że coś iskrzy między nimi i że cokolwiek to jest, nie może trwać dalej. Jediną rzeczą, która ostatnio podtrzymywała ją na duchu, było poczucie, że znowu może być dobrym człowiekiem. Napotyka jego spojrzenie. Jest ono smutne i pełne zrozumienia i sprawia, że serce jej się kraje.

– Czy wy... wróciliście do siebie? – pyta Joel.

– Nie. Nie wiem. – Sam wzdycha. – Byliśmy małżeństwem naprawdę długo. Trudno jest tak po prostu... Chodzi mi o to, że Phil nie jest złym facetem. Ciężko jest zostawić za sobą całą przeszłość bez oglądania się za siebie. Chociaż może on już to zrobił. Może muszę pobyć trochę sama ze sobą i zobaczyć, kim jestem bez niego. Tyle że to trudne, kiedy nigdy tak naprawdę... nie byłam bez niego. – Przez chwilę siedzą w milczeniu. – To skomplikowane, prawda?

Joel kiwa głową.

– Tak. Bardzo skomplikowane.

– Myślałam, że w tym wieku będę mieć już wszystko poukładane.

Joel parska śmiechem. A potem znowu poważnieje.

– Mam nadzieję, że on potrafi cię docenić, Sam. Jesteś kimś wyjątkowym.

– Nie jestem. Niespecjalnie. A tobie pewnie lepiej będzie z kimś... mniej skomplikowanym. Ale dziękuję. Za to, że dałeś mi...

Wtedy on nachyla się i wyciąga rękę, jego dłoń delikatnie dotyka jej policzka. Joel całuje ją lekko i tylko na chwilę pozwala, by jego czoło oparło się o jej. Sam czuje ciepło jego skóry i jego oddechu. Trwają tak, niepomni na bulgotanie ekspresu do kawy, szuranie krzeseł i odgłosy rozbawionego dziecka, a Joel wydaje z siebie coś w rodzaju lekkiego westchnienia.

Wreszcie Sam delikatnie odsuwa jego rękę od swojej twarzy i odchyła się powoli na krzesło. Trzyma przez chwilę jego dłoń i odwraca ją, przyglądając się pokrytym bliznami knykciom, paznokciom o kilka odcieni jaśniejszym od skóry. Kiedy podnosi wzrok, uśmiechają się do siebie, a w tych uśmiechach zawarte są

smutek i szczerłość oraz rzeczy, których żadne z nich nie może powiedzieć.

Joel przerywa tę chwilę. Ściska przelotnie dłoń Sam, puszcza ją i wstaje. A ona nie jest pewna, co maluje się na jego twarzy. Czy jest to zraniona duma? Rozczarowanie? Rezygnacja? Joel odwraca się i nie mówiąc nic więcej, zdejmując kurtkę z oparcia krzesła, żegna Sam skinieniem głowy i wychodzi.

Sam podjeżdża pod dom i parkuje przed nim kampera, zauważając przy tym, że murek jest już naprawiony. Przyjechała po dodatkowe ubrania dla siebie i Cat, która przebiera się chyba trzy razy dziennie. Jutro wprowadzą się z powrotem, gdy Nisha załatwi sprawy z Carlem. Ale w chwilach, w których dopuszcza do siebie te myśli, stwierdza, że boi się powrotu do domu. Nie da się w nim jeszcze zapomnieć o niedawnych wydarzeniach, raz na jakiś czas chrzesczącą jej pod stopami jakieś odłamki, które wbiły się głęboko w dywan. Kiedy zamyka oczy, widzi pod powiekami tamto pobojuwisko, te obrazy budzą ją w nocy.

– Przynajmniej masz do obrony tego budzącego grozę psa – rzekła Andrea, spoglądając na Kevina, który leżał na podłodze z rozłożonymi łapami i chrapał.

Nie po raz pierwszy Sam odczuwa utratę swojego dawnego życia niczym głęboką ranę w sercu. Życie jest pełne pożegnań, myśli. Ostatni raz jedziesz dokądś po swoje dziecko. Ostatni raz przytulasz rodzica. Ostatni raz gotujesz obiad w domu pełnym ludzi, których kochasz. Ostatni raz uprawiasz seks z mężem, za którym kiedyś szalałaś, a który odejdzie od ciebie, bo zmieniłaś się w niepanującą nad sobą, zgorzkniałą i rządzoną hormonami idiotkę. I w tych momentach nie wiesz jeszcze, że to będzie ostatni raz, bo inaczej przytłoczyłby cię ciężar tych chwil, trzymałabyś się ich kurczowo jak wariatka, wtuliła w nie twarz, nie pozwoliła im odejść. Sam myśli o tym, jak ostatni raz obejmowała męża. Gdyby wiedziała, że to będzie ostatni raz, czy zachowałaby się inaczej? Czy znalazłaby w sobie więcej cierpliwości? Mniej by się zezłościła? Gdy myśli o tym, że już nigdy nie będzie mogła go przytulić, w jej środku otwiera się dziura, która może sprawić, że Sam po prostu rozpadnie się na kawałki.

Wdech na sześć, wstrzymanie na trzy, wydech na siedem.

Przystaje na chwilę, gdy dociera do drzwi wejściowych. Co by zrobiła Nisha? Zebrałaby się w sobie, zaczęła myśleć praktycznie, układać plan. Sam postanawia więc, że jutro pojedzie do domu handlowego i odkupi wszystko, co zniszczono. Przynajmniej za miesiąc znowu na jej konto będą wpływały pieniądze. Do tego czasu będzie żyć na kredyt. Być może w pewnym momencie uda jej się zgromadzić trochę nadwyżki, żeby pomóc Andrei. Wzdryga się, gdy słyszy dźwięk dobiegający z wnętrza, przystaje w progu i ostrożnie zerka przez drzwi, a jej puls przyspiesza. Ludzie Carla Cantora. Serce mocno bije jej w piersi, podchodzi aż do gardła, skórę oblewa pot.

Skrada się na tyły domu i sięga za porośniętego mchem krasnala ogrodowego po klucz do tylnych drzwi. Nie widzi, którędy dostali się do domu: nie ma żadnych widocznych śladów włamania. W sumie nie ma się co dziwić. To są profesjonaliści, jak powiedziała Nisha. Ale to nie znaczy, że mogą robić, co im się żywnie podoba, stwierdza Sam. Adrenalina zaczyna krążyć jej w żyłach, a kiedy nasłuchuje odgłosów w środku, dociera do niej, że zamiast strachu czuje tylko zimną furię. Ktoś wszedł do jej domu. Traktuje go jak swój, chodzi po nim i bierze, co chce. Ale nic więcej jej nie zabiorą. I nie pozwoli więcej sobą pomiatać. Przypominają jej się kot wsadzony do śmietnika, szyderczy uśmieszek Simona, jej kuchnia, rozwalona i zbezczeszczona, ukochane rodzinne fotografie wdeptane w podłogę, godziny, które zajęło jej doprowadzenie wszystkiego do porządku. Sam Kemp stwierdza, że ma już dość.

Po cichu kładzie rękę na klamce, widzi cień za przeszkłonymi drzwiami: pochylającego się mężczyznę. Co on chce zrobić? Przeszukać coś, co już zniszczył? Dokończyć dzieła?

Sam nie ma żadnego planu. Wie, że istnieje milion powodów, dla których nie powinna wchodzić w drogę człowiekowi, który wdarł się do jej domu, ale buzuje w jej ciele coś takiego, że z rykiem pochodzącym z głębi trzewi cofa prawą pięść i ciosem, który wzbudziłby entuzjazm jej trenera, uderza intruza prosto w twarz, powalając go na podłogę.

– Ale... co tu robiłeś?

– Przyszedłem naprawić to, co się dało – odpowiada Phil przytłumionym głosem. W lewej ręce wciąż trzyma jakieś śrubki, a gdy ona przytyka mu okład z lodu do nosa, on kładzie je delikatnie na stolik. Ścisnął je tak mocno, że zostawiły na jego skórze ślad. – Cat powiedziała mi, co się stało. Chciałem jakoś pomóc.

Sam jest ciekawa, co jeszcze powiedziała mu Cat, ale nie chce dopytywać. Zdejmuje na chwilę okład i dotyka nosa męża, gdzie już fioletowieje siniak i gdzie widnieje małe skaleczenie, które posmarowała kremem antyseptycznym. Jego twarz pod jej dotykiem jest jednocześnie tak obca i tak znajoma. Przykłada lód

z powrotem do jego nosa, rozpaczliwie szukając czegoś, co mogłaby zrobić z rękami. I właśnie wtedy dostrzega stojący w kącie telewizor.

– Ach. No tak. Cat powiedziała mi, że włamywacze rozwalili nasz, więc podzwoniłem po kumplach i spytałem, czy ktoś z nich ma jakiś wolny telewizor, który mógłby nam pożyczyć. Ten jest od Jima. Powiedział, że stoi u niego garażu, ponieważ jego żona woli, by oglądał wyścigi właśnie tam. Podobno jego dźwięk wzmacnia tętent końskich kopyt.

– Myślałam, że nie lubisz o nic prosić znajomych.

– Uznałem, że w tej sytuacji byłoby to nierozsądne. Z tego, co Cat mówiła przez telefon, zrozumiałem, że... był tu niezły bałagan.

– Tak – potwierdza Sam. – Całkiem spory.

Phil wygląda teraz jakoś inaczej. Nawet mimo okładu. Sam uświadamia sobie, że jest ogolony. Ma na sobie dzinsy, a nie dresy, oraz świeży podkoszulek. Ale jest jeszcze coś innego: nie wydaje się już taki przybity, jak gdyby wreszcie przestał przepraszać, że żyje.

– Zatem trening bokserski przyniósł efekty – stwierdza Phil i ostrożnie dotyka nosa.

– Strasznie cię przepraszam. Gdyby choć przez chwilę przebiegło mi przez myśl, że to możesz być ty, na pewno nie...

– Całkiem niezły cios.

Sam czuje lekkie osłabienie, gdy w jej żyłach opada poziom adrenaliny, i siada ciężko na sofie. Oboje uśmiechają się niezręcznie. Sam spogląda na swoje knykcie. Środkowy przybrał fioletowawy kolor, a skóra w miejscu, gdzie zetknęła się z zębami Phila, jest otarta.

– Szczerze mówiąc nawet nie miałam pojęcia, że potrafię uderzyć tak mocno.

Phil spogląda na nią ponuro.

– Hmm. No tak. Zawsze byłaś silniejsza, niż ci się wydawało.

Siedzą przez chwilę w milczeniu, a jego słowa wiszą w powietrzu. Phil opiera się o sofę obok niej. Wolną ręką drapie się po głowie. Nie patrzą na siebie.

– Wszystko zepsułem, Sam – zaczyna.

– Niczego nie zepsułeś. Tylko...

– Błagam. Pozwól mi coś powiedzieć. Dałem ciała. Po prostu... trochę się pogubiłem. I nie potrafiłem się do tego przyznać. Ale zacząłem brać antydepresanty. Powinny zacząć niedługo działać. – Sili się na delikatny uśmiech. – I rozmawiałem z kimś. Z psychoterapeutą. Tak. Ja – dodaje, widząc jej zszokowaną minę. – Powinienem być ci powiedzieć, ale wiedziałem, że martwiłaś się o pieniądze, a ja... no cóż, niekoniecznie. O wielu rzeczach ci nie mówiłem. – Wzdycha. – Nie wiem, dlaczego tak było, ale postanowiłem powiedzieć ci o nich teraz. Próbuję to jakoś nadrobić.

– Phil...

– Sam. Nie wiem, czy jestem już gotowy porozmawiać o tym, co się stało. Nie jestem pewien, czy w ogóle chcę wiedzieć. Ale... ale ty i Cat jesteście całym moim życiem. Spędziłem kilka dni u mamy, z dala od was obu, i zrozumiałem, że popełniłem koszmarny błąd. Nie winię cię, Sammy. Nie winię cię za nic, cokolwiek zrobiłaś. Po prostu wiem, że chcę się poprawić. Chcę odzyskać żonę. Chcę odzyskać nas. Chcę... chcę po prostu poczuć, że znowu mam dom. – Przełyka ślinę. – O ile... o ile wciąż go mam.

Wtedy Sam zarzuca mu ręce na szyję. Gdy słuchała jego słów, jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że powinna być powściągliwa, dowodzić swoich racji, ale podczas tej całej przemowy na jego twarzy malowały się łagodność, szczerłość i nadzieja, które sprawiają, że coś w niej pęka. Obejmuje go w pasie, a on otacza ją ramionami. Sam czuje na włosach jego usta i myśli: tu jest moje miejsce.

– Tak bardzo cię kocham, Sammy. Zrobię wszystko, by cię nie stracić. Obiecuję. – Przy tych słowach głos mu się łamie.

– Ja myślę – mówi wtulona w jego podkoszulek. Już go nie puści. Ani teraz, ani nigdy.

Przylegają mocno do siebie, a ona nagle zdaje sobie sprawę z wzbierających w niej uczuć wdzięczności i nadziei, które wydają jej się tak zupełnie nieznane. Może i bywa tak, że z czasem wszystko się układa, stwierdza, i ma wrażenie, że jest to dla niej rewolucyjna myśl.

Cały czas siedzą do siebie przytuleni, gdy otwierają się drzwi. Słyszą najpierw szczekanie Kevina, a dopiero po chwili widzą Cat, która stoi w korytarzu, spoglądając na nich z lekką rezerwą przez drzwi od salonu. Phil chce się cofnąć, ale Sam go nie puszcza. Mogłaby tak spędzić resztę życia.

– Załatwiłem nam nowy telewizor – odzywa się Phil, kiedy żadne z nich nie wie, co powiedzieć, i wskazuje w stronę urządzenia.

– Tata wszystko potrafi ogarnąć – stwierdza Sam, z głową przy jego piersi.

Następuje krótka chwila ciszy.

– O nie. Czy to znaczy, że jednak nici z podwójnych świąt? – mówi Cat. – A to pech. – Ale gdy kieruje się w stronę kuchni, jej twarz rozjaśnia uśmiech.

Juliana wysłała jej wiadomość o pierwszej czterdzieści trzy nad ranem.

Wszystko u niego w porządku. Powiedziałam mu, że po niego jedziesz. I będę go odwiedzać codziennie aż do Twojego przyjazdu.

Kilka chwil później przychodzi kolejna wiadomość.

Tak bardzo mi Ciebie przypomina x

Jest coś w zapachu Aleksa, co sprawia, że mogłaby go wdychać przez całą wieczność. To nie jest płyn po goleniu: Carl spryskiwał się wodą kolońską, zarówno drogą, jak i mocną, tak że można było stwierdzić, w którym przebywał pokoju jeszcze przez pół godziny po jego wyjściu. Zapach Aleksa trudno nazwać, ale jest w nim coś kojącego, a ona lubi ukryć twarz w miejscu, gdzie jego szyja styka się z ramieniem, i po prostu go wdychać.

– Nie śpisz? – Rozlega się jego głos w ciemności.

– Nie.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak.

Przesuwa ręką po jej boku, a ona zamyka oczy, rozkoszując się delikatnym, docieklwym dotykiem jego ciepłej dłoni. Aleks mieszka w budynku oddalonym o dwie ulice od rzeki, w dawnym bloku komunalnym, którego większość lokatorów wykupiła mieszkania na własność, i jest to dla niego powodem do dumy. Mieszkanie jest pomalowane na biało, a ascetyczny wystrój odzwierciedla duszę właściciela. Aleks położył w nim drewniane podłogi, które izolują wnętrze od hałasu – sam to zrobił, powiedział jej, nie kryjąc satysfakcji – i poza pokojem córki, który mieni się kolorami, a jego półki wypełniają tęcze bibeloty, w pozostałych niewiele rozprasza wzrok. Do środka przenika tak mało hałasu, że łatwo zapomnieć, że znajdują się w centrum Londynu. W jego sypialni stoi jedynie niskie łóżko bez zagłówka, zabytkowa komoda, a na ścianie wiszą dwa duże vintage’owe plakaty z polskich filmów. Salon zajmują tylko dwie sofy i ogromny wbudowany regał z książkami. Gdy tylko Nisha tu weszła, poczuła, jak przesiąka spokojem tego miejsca, jak gdyby w jakiś sposób wnikał w nią przez osmozę.

– Nie masz zbyt wielu rzeczy – powiedziała wtedy.

– Nie potrzeba mi zbyt wiele.

Po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat spała w łóżku innego mężczyzny. I po raz pierwszy od wielu tygodni ma do dyspozycji łóżko podwójne, a połączenie tej przestrzeni, świeżości bawełnianej pościeli i możliwości owinięcia się wokół silnego ciała Aleksa uznała za największy luksus. Aleks najwyraźniej niczego od niej nie chce, nie zasypuje jej pytaniami ani nie domaga się odpowiedzi. Nie ma żadnych oczekiwań co do tego, jaka powinna być, kiedy jest z nim. Po prostu spokojnie ocenia jej nastrój, bada, czego pragnie, a następnie decyduje, gdzie się spotkają. A ona pragnie jego, rzecz jasna. Wystarczy, że na niego spojrzy, a już zalewa ją pożądanie. Tak jakby jego ciało przyciągało ją jak magnes. Nisha ciągle łaknie kontaktu z jego skórą, z ciepłem jego ust, nie może znieść, gdy jest blisko niej, a jednak fizycznie oddzielony. Im mniej on czegoś od niej chce, tym bardziej ona go pragnie. Ale jego nastawienie się zmienia, gdy tylko ją całuje; właśnie wtedy Nisha czuje w jego emocjach nagły zwrot. Aleks nagle traci całą swoją powściągliwość i opanowanie: upaja się nią zachłannie, jego ręce głaszczą ją i obejmują, dotykają, wielbią. Widać, że pragnie jej całym sobą. A kiedy się w nią wpatruje, jest w tej intymności coś tak pierwotnego i głębokiego, co niemal budzi w niej przerażenie.

– Myślisz o jutrze? – pyta Aleks, przyciągając ją do siebie.

– Możliwe.

– O swoim synu?

– O nim myślę zawsze. Ale teraz chyba... z mniejszym niepokojem.

– Ta cała Juliana wydaje się porządną dziewczyną. Cieszę się, że znowu macie ze sobą kontakt.

Aleks całuje ją w czoło, wplata palce w jej włosy. Gdyby Carl zrobił coś takiego, odebrałaby to jako preludium do aktu przemocy. Ale z Alekssem to cudowne uczucie, jak gdyby oboje stanowili węzeł, którego nie da się rozplątać. Nisha kładzie zgiętą nogę na jego biodrze i przysuwa go do siebie.

– W twojej głowie aż huczy – mówi Aleks zaspanym głosem.

– Naprawdę?

– Jak w ulu. Nawet tutaj to dociera.

Nisha słyszy uśmiech w jego głosie. Unosi głowę, by na niego spojrzeć, i wysuwa biodra w jego stronę.

– Gdybyś był dżentelmenem, znalazłbyś sposób, by odciągnąć moją uwagę.

– Och – mówi Aleks rozbawiony. – Rozumiem. Uważasz, że nie jestem dżentelmenem.

– Mam ogromną nadzieję, że nie – mruczy Nisha. Wtedy Aleks podciąga się i dotyka ustami jej skóry, a ona wdycha jego zapach i chwilę później zapomina o wszystkim.

– A więc zamierzasz mu to wszystko oddać.

Andrea kręci głową, ręce ma skrzyżowane na piersi. Sięga do stołu po herbatę i wzdycha z dezaprobatą.

– Nie mam wyjścia. Jeśli tego nie zrobię, on mnie dopadnie, a kto wie, może również was. Nie chcę was mieszać w ten bałagan. Tu już nie chodzi tylko o ugodę rozwodową, prawda?

– Ale co, jeśli nie da ci ugody? Nie będziesz mieć nic. Żadnej karty przetargowej.

Nisha odgarnia włosy z twarzy i spogląda na siedzącego obok niej Aleksa.

– Przez ostatnią dobę nie myślałam o niczym innym. On nie wie, że ja wiem o brylantach, i tak jest dla nas najlepiej. Oddam mu buty, zanim Carl wyrządzi więcej szkód, i pozostaje mi mieć nadzieję, że dotrzyma słowa, a wtedy... sama nie wiem. Chyba po prostu będę wolna.

Andrea wzrusza ramionami.

– Może będzie się chciał ożenić z tamtą. A wtedy będzie mu zależało, byś jak najszybciej zniknęła mu z pola widzenia.

– Nie jestem do tego przekonana – wtrąca Sam. – Po tym wszystkim, co o nim mówiłaś? Nie wydaje mi się, byś mogła mu zaufać, że zachowa się w porządku.

Wszyscy siedzą w jej kuchni, która dzięki wysiłkom Phila, po wymianie żaluzji i powieszeniu półek, wygląda niemal jak przed włamaniem. Phil gotuje w czajniku wodę na herbatę i stoi oparty o blat, przyglądając się grupce zgromadzonej przy stole. Jest wyraźnie zaintrygowany tymi kobietami i całą tą historią, a także niespodziewaną rolą, jaką odegrała w niej Sam. Łowi jej spojrzenie i uśmiecha się tajemniczo, uśmiechem zrozumiałym tylko dla nich dwojga.

– Będziesz musiała go przycisnąć, by podpisał ugodę, zanim oddasz mu buty – mówi Andrea. – To jedyne wyjście.

– I powinniście się spotkać w miejscu publicznym. Żeby nie mógł z nimi uciec.

– Gdzie są teraz te buty, tak w ogóle? – pyta Andrea.

Sam nie przyszło do głowy, by o to zapytać.

– W bezpiecznym miejscu – odpowiada Nisha tonem ucinającym dyskusję.

– Nie podoba mi się to – powtarza Andrea. – Szkoda, że Jasmine pracuje na poranną zmianę. Nie podoba mi się, że załatwiasz to w pojedynkę.

– Będę w kuchni – mówi cicho Aleks. – Na wypadek gdybyś mnie potrzebowała. To nie tak daleko.

– Nie pójdzie na to spotkanie w pojedynkę – odzywa się niespodziewanie Sam i wszyscy spoglądają w jej stronę. – Ja z nią będę.

Do hotelu jadą w milczeniu kamperem – gdy Phil wymienił akumulator w jej samochodzie, pożyczyła go Cat. Sam wie, że Nisha jest zdenerwowana, bo nie narzeka na to, czym jadą, nawet wtedy, gdy Sam zbyt ostro wzięła zakręt i z tyłu z trzaskiem spadło coś z półki. Przy hotelu drogówka odbywa kontrolę policyjną i Sam nagle dostrzega tam policjantkę, która jej ostatnio darowała mandat. Z jej piersi wyrzywa się okrzyk i zaczyna opowiadać Nishy tamtą historię, ale ta ledwo jej słucha, więc w końcu Sam milknie zupełnie.

Zatrzymują się przy parkomacie, który chyba pochłania PKB małego kraju, a potem kilka minut zajmuje im dotarcie do hotelu, do którego wchodzi boczny wejście, by poczekać spokojnie w szatni.

Nisha jest zamyślona, odkąd opuściły jej dom, i nalegała, by już jechać, więc są w hotelu prawie godzinę przed czasem. Jasmine opowiedziała Sam co nieco o synu Nishy, o tym, że jest nieszczęśliwy i samotny i że pozytywne załatwienie tej sprawy jest warunkiem, by mogła do niego wrócić, i gdy tak siedzą teraz na ławce, Sam wpatruje się w nią i zastanawia, jakie to uczucie, gdy cały ocean oddziela cię do twojego cierpiącego dziecka.

– Wszystko w porządku? – pyta ją Nisha, podnosząc wzrok. – Jesteś chyba bardziej zdenerwowana niż ja!

– To w sumie dziwne, co nie? Wiedzieć, że ten facet jest odpowiedzialny za... no wiesz. Za to, co się

stało. A my będziemy tak po prostu siedzieć z nim i rozmawiać.

– Jestem pewna, że robił gorsze rzeczy.

– I mam się od tego poczuć lepiej?

Mija pół godziny. Nisha co chwilę kompulsywnie spogląda na zegarek, aż wreszcie stwierdza, że musi zapalić i ciągnie Sam ze sobą.

– Paskudny nałóg – mówi, stojąc przy śmietniku i zaciągając się mocno. – Rzucam go. – Ciągłe zerka ku wylotowi uliczki, jak gdyby spodziewała się ujrzeć tam Ariego. – No dobrze, jeszcze jeden – stwierdza, wyciągając kolejnego papierosa, a po wypaleniu go dodaje: – Może wejdziemy przez lobby? Żeby obczaić, gdzie usiąść?

Widać, że w Nishy mocno się kotłuje, Sam stwierdza więc, że najbardziej pomocna rzecz, jaką może zrobić, to po prostu się jej nie sprzeciwiać. Podąża za Nishą przez boczne wejście do lobby – towarzyszy jej przy tym podskórny lęk, że ktoś mógłby ją rozpoznać – gdzie na recepcji widzą Michelle, mocno umalowaną blondynkę rozmawiającą przez telefon. Jasmine stoi przy konsjerżu i na ich widok unosi brew. Głową wskazuje na drugi koniec sali, więc Nisha odwraca się i podąża za jej spojrzeniem.

– Cholera. Już tu jest.

Sam czuje uderzenie adrenaliny. Spogląda na niski stolik otoczony trzema pluszowymi, półokrągłymi sofami, przy którym pije kawę grupa elegancko ubranych biznesmenów. Obok Carla siedzi młoda blondynka robiąca notatki na iPadzie. Jest szczupła, mocno zrobiona i widać w jej postawie coś zaborczego. Sam zerka na Nishę, która wpatruje się w nich intensywnie, ale myślami najwyraźniej jest gdzieś daleko.

Jeszcze raz spogląda na mężczyznę w środku. Nawet z tej odległości jest dla niej oczywiste, który z nich to Carl: jest większy, bardziej przysadzisty, starszy od pozostałych i roztacza wokół siebie subtelną aurę władzy, jak król w otoczeniu dworu. Jedyne mężczyzna roślejszy od niego stoi za jego plecami ze słuchawką w uchu.

– Kojarzę go.

– Wcale mnie to nie dziwi. Jego zdjęcia można znaleźć w wielu magazynach biznesowych. Uwielbia być fotografowany. Trudno w to uwierzyć, co nie?

Sam nie jest w stanie oderwać od niego wzroku. Przyprószone siwizną, zaczesane za uszami włosy, duży brzuch... I wtedy doznaje oświecenia. Kładzie dłoń na ramieniu Nishy.

– Nisha. Muszę iść.

– Co takiego?

– Muszę po coś skoczyć. Zaraz wracam.

Nisha odwraca się do niej z niedowierzaniem.

– Tak po prostu sobie idziesz?

Sam kieruje się z powrotem do korytarza dla personelu.

– Serio? Zamierzasz mnie tak zostawić?!

Sam dochodzą jeszcze kolejne protesty Nishy – „Tak się nie robi!” – a potem biegnie ze wszystkich sił w stronę kampera.

– Jak to „uciekła”? – Aleks właśnie coś gotuje, z białą ściereczką przerzuconą przez ramię, jednak odwraca twarz w jej stronę.

Nisha chodzi w tę i we w tę po kuchni, nie zważając na wściekłe spojrzenia innych kucharzy, którzy wciąż są w trakcie przygotowywania śniadań.

– Wystarczyło jej jedno spojrzenie na jego przydupasów i zwiąła. Po prostu uciekła. Szczerze? Mogłam się tego domyślić. Jest zbyt zahukana. I wystraszona tym włamaniem. Powinnam była zabrać ze sobą Andreę.

Aleks energicznie potrząsa patelnią. Za jego plecami kuchnia pracuje pełną parą, dobiega stamtąd nieustanny klekot patelni i wydawane krzykiem polecenia.

– Może poproś Jasmine, żeby czekała gdzieś w lobby? I miała cię na oku? Nie mogę się stąd ruszyć jeszcze przez co najmniej godzinę.

– Dam sobie radę – mówi Nisha i całuje go w policzek. – Poważnie. Tylko po prostu... jestem na nią wściekła. I musiałam to z siebie wyrzucić. Mogę o nie prosić?

Aleks wolną ręką sięga do kieszeni i wyciąga kluczyk od szafki. Nisha bierze go i kieruje się do szatni. W zatęchłym, cichym pomieszczeniu przebiega wzrokiem rząd szafek, aż znajduje numer czterdzieści dwa i otwiera drzwiczki. W środku są džinsy i czysty podkoszulek (kucharze zawsze po pracy pachną smażeniną).



Ostrożnie podnosi go i wdycha zapach proszku do prania, na krótko wracając pamięcią do poprzedniego wieczoru, a gdy go odkłada, jej wzrok spoczywa na małym podniszczonym zdjęciu przyklejonym do drzwi, na którym Aleks obejmuje ramieniem jasnowłosą dziewczynkę wpatrującą się w niego z uwielbieniem. Nisha przez chwilę spogląda na to zdjęcie i myśli o Rayu, kiedy był w tym samym wieku. Jadę po ciebie, kochanie, mówi do niego w myślach. A potem sięga głębiej, po buty ukryte w czarnej plastikowej reklamówce, i zamyka szafkę.

– Cały czas tu będę – mówi do niej Aleks, kiedy Nisha oddaje mu kluczyk. – Zadzwoń do mnie, gdy już będzie po wszystkim. – Odkłada patelnię, obejmuje ją i całuje, nie przejmując się tym, że inni na nich patrzą. – Wszystko będzie dobrze. Dostaniesz to, czego chcesz. Bo jesteś niezwykłą, absolutnie niezwykłą kobietą.

Nisha zamyka oczy na chwilę, gdy Aleks szepcze jej te słowa do ucha.

– Dziękuję – mówi i wygładza swój żakiet od Chanel.

Wypala jeszcze dwa papierosy przy śmietniku, dwa razy korzysta z toalety (może jej ktoś wyjaśnić związek między nerwami a pęcherzem?), potem myje zęby i poprawia włosy, zaczesując je do góry i rozpuszczając je ponownie trzy albo cztery razy. Sprawdza swój telefon i bierze kilka głębokich oddechów. Jest za pięć dwunasta.

Towarzysze Carla właśnie zbierają się do odejścia, kiedy Nisha podchodzi do stolika. Czekają kilka kroków dalej, by mieć pewność, że ją zobaczył, a on wyjątkowo długo się żegna. Pokaz władzy. Widziała, jak to robił milion razy: kazał komuś czekać, by ta osoba poczuła się mniej ważna. Gniew, który buzował w niej podczas ich ostatniego spotkania, gdzie się ulotnił i teraz Nisha czuje tylko motyle w brzuchu i lekkie drżenie w nogach. Na zewnątrz utrzymuje chłodną maskę, świadoma zaciekawionych spojrzeń mężczyzn oraz obecności Charlotte, która przesuwając się o centymetr bliżej Carla, albo po to, by zademonstrować własną siłę, albo dlatego, że obecność Nishy wzbudza w niej podenerwowanie. Wreszcie, po całych wiekach oczekiwania, Carl udaje, że dopiero teraz ją zauważa.

– Ach, Nisha – mówi i gestem wskazuje jej, by usiadła. Nie wstaje, by ją powitać.

– Nie przy niej – rzuca Nisha.

Carl wytrzymuje jej spojrzenie, jak gdyby próbował oszacować, czy warto angażować się w tę kłótnię. Aż wreszcie odwraca się do Charlotte.

– Daj nam chwilę, kotku. Może sprawdzisz, czy niczego nie zostawiliśmy w szafach?

– Nie licząc moich ciuchów – mówi Nisha. A potem dodaje złośliwie: – Kotku.

Charlotte, być może rozżalona, że odmówiono jej delektowania się triumfem, wstaje i posyła Nishy ostre, pełne pretensji spojrzenie. Odrzuca włosy do tyłu i odchodzi w stronę wind.

– Gdzie jest Ari? – pyta Nisha, siadając.

– Po co ci to wiedzieć?

– Chciałam tylko mieć pewność, że nie włamuje się do niczyjego domu. Pytam z troski obywatelskiej, tak to nazwijmy.

– Nie mam pojęcia, do czego pijesz – stwierdza Carl i uśmiecha się zimno. Dostrzega reklamówkę przy jej nogach. – Więc teraz nosisz reklamówki zamiast torebek Chanel. Stylowo.

– Uznałam, że ta chwila nie zasługuje na nic więcej.

Carl wybucha śmiechem.

– Ech, Nisha, Nisha. Zawsze lubiłem ten twój cięty język. A więc jak? Są w środku?

Carl sięga po torbę, ale Nisha przesuwając ją stopą pod siebie.

– Najpierw chcę zobaczyć umowę. Domyślam się, że jest już sporządzona.

– A ja najpierw chcę zobaczyć buty.

– Po co miałabym tu przychodzić bez nich?

– Nie wiem, skarbie. Twoje zachowanie zawsze było dla mnie zagadką.

– Dostaniesz je, kiedy zobaczę ugodę.

Carl wzdycha i kręci głową. Daje znak mężczyźnie w okularach, którego Nisha wcześniej nie zauważyła, a który czekał przy pobliskim stoliku. Mężczyzna podchodzi do nich szybko i wręcza Nishy plik papierów. Nisha spogląda na nie. Jest to kilkustronicowy dokument zatytułowany „Umowa o separacji”.

– No i? – odzywa się Carl.

– Najpierw muszę to przeczytać – mówi Nisha. Podnosi wzrok i widzi w kącie Ariego, który ją obserwuje. A gdy rozgląda się po sali, dostrzega też Frederika, kierownika hotelu, który rozmawia z jednym z recepcjonistów, mężczyzną, którego ona nie kojarzy. W trakcie rozmowy dwa razy zerknął w jej stronę. On też o wszystkim wie. Nisha nie widzi Jasmine. Prostuje się, by Carl nie zobaczył, jak bardzo czuje się samotna.

„Niniejszy dokument na mocy prawa stanu Nowy Jork potwierdza, że rozpad pożycia małżeńskiego powoda i pozwanej nastąpił co najmniej sześć miesięcy wcześniej, co powód poświadcza pod przysięgą”.

– Zaraz, zaraz. – Nisha przerywa czytanie. – Ten dokument ma datę sprzed pół roku.

– Owszem. Właśnie wtedy go podpisałaś.

Nisha kartkuje strony, aż wreszcie dostrzega swój podpis, nieco nierówny, ale stanowczo jest to jej pismo.

– Co?! Nigdy nie podpisywałam czegoś takiego. Według tego dokumentu jesteśmy w separacji od kilku miesięcy. Są w nim już określone wszystkie warunki finansowe. I wynika z niego, że praktycznie jesteśmy rozwiedzeni.

– Uznałam, że lepiej wcześniej puścić maszynę w ruch. Alistair przygotował dla nas umowę

z wyprzedzeniem.

Nisha przebiega wzrokiem warunki finansowe. Kwota pozwalająca na opłacenie mieszkania z dwiema sypialniami w wybranym przez nią mieście, do wartości półtora miliona dolarów. Czesne za studia Raya. Miesięczna wypłata w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów do czasu ukończenia przez niego studiów.

– Ja się na to nie zgadzałam. A ty najwyraźniej podrobiłeś mój podpis.

– Nie, moja droga. Po prostu nie pamiętasz, jak go podpisywałaś. Zawsze zapominałaś o ważnych rzeczach.

Nisha spogląda na Alistaira, który się odwraca, jakby lekko zawstydzony.

– To uczciwe warunki – kontynuuje Carl. – Gdybyś się przyjrzała finansom firmy, zobaczyłabyś, że ostatnio mieliśmy trudne lata. Musieliśmy sprzedać wiele nieruchomości, by spłacić długi. To jest połowa tego, co mi zostało. Sędzia najwyraźniej uznał, że to sprawiedliwy podział.

Nisha myśli o słowach tamtego prawnika, który sugerował, że pewnie Carl lokuje swoje aktywa gdzieś za granicą. Myśli o domu w Londynie, który sprzedał, nie informując jej o tym. Planował to wszystko od miesiący.

– Te warunki nie są uczciwe, Carl, i dobrze o tym wiesz.

– W Ohio nie dostałabyś nawet tego. – Carl rozpiera się na sofie. – I to dziwne, bo wydawałaś się bardzo zadowolona, gdy podpisywałaś tę umowę w czasie naszego pobytu w Saint-Tropez.

Nagle Nisha wraca pamięcią do wieczoru spędzonego w Hôtel du Cap. Carl namawiał ją, by wypili kilka drinków, chociaż wiedział, że kiepsko toleruje alkohol. Tamtego wieczoru, kiedy oznajmiła, że już naprawdę musi iść do łóżka, bo kręci jej się w głowie, powiedział jej, że musi jeszcze podpisać plik dokumentów, więc zrobiła to, nawet im się nie przyglądając, a Carl cały czas nad nią stał. Nie było w tym nic niezwykłego: często podpisywała papiery, które ułatwiały mu prowadzenie interesów. Była dyrektorką, małżonką, sekretarką, umożliwiała mu różne przekręty finansowe i unikanie podatków. Pełniła w firmie rozmaite funkcje, w zależności od tego, co jego księgowy w danym momencie uznał za stosowne. Jednym słowem była idealną żoną biznesmena.

– Podstępem nakłoniłeś mnie do podpisania papierów rozwodowych?

Carl zerka na zegarek.

– Masz dziesięć minut na przemyślenie tej oferty. Jeśli się nie zgodzisz, możesz walczyć ze mną o coś więcej, jeśli twoim zdaniem masz szansę coś ugrać. A teraz idę się odlać.

Podnosi się ciężko, u jego boku nagle pojawia się Ari i odprowadza go do toalety znajdującej się dwadzieścia metrów dalej. Jasmine, która powoli ścierała kurze w lobby, oczekując na rozwój wydarzeń, pospiesznie okrąża sofę i siada obok Nishy.

– Co się dzieje? – Podnosi plik papierów, ignorując nieśmiałe protesty Alistaira, który nie może pojąć, dlaczego pokojówka właśnie bierze do ręki sporządzony przez niego poufny dokument finansowy. Przebiega je wzrokiem i odkłada. – Nie. Nie ma mowy, skarbie. Nawet więcej płaci za zaliczkę w tym hotelu, by trzymano dla niego penthouse. Raz widziałam rachunek.

Nisha się w nią wpatruje, a ona wzrusza ramionami.

– Nie możesz pozwolić, by cię zbył czymś takim.

– Ale jeśli tego nie zrobię, mogę skończyć z pustymi rękami. On wszystko przemyślał.

– Nie możesz tego podpisać. Po prostu nie możesz. Prawda? – Jasmine odwraca się w stronę Alistaira. – Jeśli podpisze pozostałe papiery, nie będzie mogła się ubiegać o nic więcej?

Alistair mruga zaskoczony jej pytaniem.

– Yyy, tak. To prawda. Od tego momentu będą formalnie rozwiedzeni.

Kobiety wpatrują się w siebie nawzajem. Nisha ma kompletny zamęt w głowie. Jasmine kładzie jej rękę na ramieniu.

– Skarbie. Nie możesz tego zrobić.

– Wystrychnął mnie na dudka – mówi Nisha cicho.

Carl wraca z toalety. Ari coś do niego mówi, a on zaczyna się śmiać, zrelaksowany i wesoły, jakby właśnie przed chwilą zjadł dobry lunch. Charlotte wyłania się z windy i podbiega do niego. Opowiada coś z ekscytacją, a on kładzie dłoń na jej brzuchu i kiwa głową. Charlotte wraca wraz z nim do stolika z uśmiechem na ustach.

On znowu ją przechytrzył, uświadamia sobie Nisha. Na tak wiele sposobów. Nigdy nie miała z nim

szans. Unosi podbródek i utrzymuje kamienną twarz, gdy Charlotte zajmuje miejsce obok Carla, prezentując swoje bajecznie długie nogi.

Właśnie wtedy jej uwagę przykuwa zamieszanie w lobby. Nisha spogląda w prawo i widzi Sam biegnącą w jej stronę, ślizgającą się lekko na marmurowej podłodze.

– Nisha! Nisha! – Podnosi rękę.

Na widok Carla przystaje i macha gorączkowo.

Carl spogląda na Sam, na jej kurtkę z kapturem, na byle jakie džinsy i zdarte adidasy. Rzuca w stronę Nishy ironiczny uśmiech, mówiący: z takimi ludźmi teraz się zadajesz?

– Nisha. Proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Nisha spogląda na błagalną minę Sam.

– Daj nam chwilę – zwraca się do Carla.

– Za pięć minut wyjeżdżamy – oznajmia Carl, rozsiadając się, i daje Ariemu znak ręką, by przyniósł mu wodę. Charlotte kładzie wymanikiowaną dłoń na jego udzie.

– Rozpoznałam go – mówi Sam zdyszczanym głosem, odciągając Nishę na bok. – Rozpoznałam go. Twojego męża. Ukryłam oryginał w bezpiecznym miejscu, ale Phil przegrał mi to na telefon.

Nisha wpatruje się w nią, próbując zrozumieć, co Sam chce jej powiedzieć. Spogląda na jej telefon, a Sam drżącymi palcami klika na wideo, które na chwilę się zacina, aż wreszcie odpala. I oto on: Carl, nagi jak go Pan Bóg stworzył, na czarno-białym wypikselowanym nagraniu, i przykucnięta nad nim Charlotte.

– Co to jest? – pyta Jasmine, zerkając nad jej ramieniem.

– Och. Och. – Nisha wpatruje się w ekran wyraźnie porażona. – Oooh. Och, nie. – Mruga oczami w szoku, a potem się krzywi. Aż wreszcie spogląda na Sam, która obserwuje ją uważnie.

– Tamtego wieczoru, kiedy miałam na sobie twoje buty, jakiś mężczyzna wręczył mi to w pubie. Sprawdziłam z Andrea, co to takiego, i... hmm, stwierdziłyśmy tylko, że to obrzydliwe i że to jakiś głupi żart. Bez urazy.

– Wcale się wam nie dziwię – mówi Jasmine.

– Więc po prostu schowałam to do szuflady i zupełnie wyrzuciłam z głowy. A kiedy tu weszłyśmy, nagle sobie o nim przypomniałam. To twój mąż, prawda? Na tym nagraniu?

Nisha spogląda na Sam.

– Moje zabezpieczenie – mruczy. – Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Już ci je wysłałam na telefon. Stwierdziłam, że ci się przyda.

Nisha spogląda na swojego smartfona. Widzi powiadomienie, że nagranie dotarło.

– Okej – mówi, oddychając ciężko. – Okej.

– Teraz możesz zniszczyć tego żalostnego kolesia – rzuca radośnie Jasmine. – Taaak!

Sam uśmiecha się szeroko, promienieje szczęściem i dumą.

– Zrób to. To twoja karta przetargowa. Twoja nowa ugoda. – I dodaje, najwyraźniej nie mogąc się powstrzymać od tego komentarza: – A widzisz? Mówiłam ci, że wiem, jak się negocjuje umowy.

Na twarzy Carla maluje się zdumienie, gdy obie kobiety siadają na sofie. Z ledwo skrywanym obrzydzeniem przygląda się potarganej i wyraźnie podekscytowanej Sam. A potem przybiera teatralnie znudzoną minę. Wzdycha, sprawdza zegarek i pyta przeciągle:

– Skończyłaś?

Nisha nachyla się i wpatruje się w papiery.

– A zatem według tego dokumentu jesteśmy w separacji od pół roku. Chociaż oboje dobrze wiemy, że to nieprawda.

– Zgadza się. – Carl upija łyk wody i rozpiera się na siedzeniu.

– A pieniądze prześlesz mi... kiedy? Teraz?

– Nish... no co ty! – zaczyna Sam, ale ona powstrzymuje ją gestem ręki.

– Alistair się tym zajmie – mówi Carl. – Ale najpierw chcę zobaczyć buty.

Nisha sięga po reklamówkę, kładzie ją na kolanach i wyjmuje jeden z butów z krokodylej skóry. Poprzedniego wieczoru starannie przytwierdziła obcasy pistoletem do klejenia należącym do Grace. Obraca go w lewo i w prawo, wyciąga jeszcze drugi, tak by Carl mógł zobaczyć oba, a następnie je chowa.

– A więc kazałeś mi się uganiać za własnymi butami dla zabawy. Żebym nie poczuła się zbyt pewnie, chociaż już wszystko było ukartowane.

Twarz Carla ani drgnie.

– Możliwe. Jakie to ma znaczenie?

– Wiesz, że są na nią za małe? Ona ma bardzo duże stopy. – Wskazuje głową na Charlotte, która otwiera usta, a potem uśmiecha się słodko do Carla. – Naprawdę musisz je mieć?

Wpatrują się w siebie przez chwilę i nagle staje się to oczywiste. W tym momencie oboje żywią do siebie najgłębszą pogardę. Nisha nie jest w stanie uwierzyć, że dzieliła życie z tym mężczyzną.

– Oddaj mi je – mówi Carl cichym głosem, w którym czai się groźba.

– Sam, podaj mi swoje dane bankowe – odzywa się Nisha.

– Co takiego?

– Nie mam tutaj dostępu do konta. O czym on dobrze wie. Podaj mi numer swojego.

Sam powoli wystukuje coś w telefonie, po czym wręcza go Nishy, a ta przekazuje go Alistairowi.

– Nisha... – protestuje Sam, ale Nisha powstrzymuje ją gestem dłoni.

– Chcę zobaczyć, jak pieniądze wpływają na to konto. Och, na litość boską, Carl – wzdycha Nisha, kiedy widzi u niego wahanie. – Nawet nie mam jak stąd uciec. Wiem, że Ari obstawił swoimi ludźmi każde wyjście. Nie jestem głupia.

– To kiepski pomysł – szepcze gorączkowo Sam. – Nisha. Nie rób tego.

– Niech będzie – mówi Carl. Czekają, aż zakończy się transakcja online. Sam niechętnie pokazuje Nishy kwotę na swoim koncie, a ta gestem przywołuje Jasmine, która stała nieopodal.

– Czy możesz zabrać moje rzeczy z penthouse’u? I przynieść je pod wejście główne?

– Oczywiście. Już po nie idę – odpowiada Jasmine i spieszy w stronę wind.

Nisha odczekuje, aż zamkną się za nią drzwi. A wtedy wyciąga rękę po długopis.

– Okej, zatem podpisuję.

– Nisha. – Sam łapie ją za rękę, jakby chciała powiedzieć: nie musisz tego robić, masz na niego haka! Możesz uzyskać od niego to, co ci się należy!

Ale Nisha strząsa jej dłoń. Podpisuje starannie dokumenty, oddaje je i czeka, aż Alistair poświadczy każdy z nich swoim podpisem. Wręcza jej jeden egzemplarz, Nisha składa go równo i chowa pod zakiet. A potem robi głęboki wydech.

– A więc to by było na tyle. Już po wszystkim. Podpisaliśmy to i temat zamknięty.

– Temat zamknięty – potwierdza Carl.

Po tych słowach Nisha wstaje i wyciąga w jego stronę reklamówkę z butami. Carl najwyraźniej nie chce dotykać plastikowej torby – to chyba poniżej jego godności – i kiwa głową na Ariego, który bierze ją od Nishy i zagląda do środka. Sam wpatruje się w Nishę z otwartymi ustami i zboląłą miną.

Ari potwierdza zawartość reklamówki skinieniem głowy. Carl odwraca się do niej.

– No cóż, moja droga. Byłaś pospolitą kobietą i wróciłaś do punktu wyjścia.

– Za to ty, Carl, udowadniasz swoją klasę – odgryza się Nisha. Wstaje od stołu i rusza w stronę wyjścia, zatrzymuje się jednak po kilku krokach. – Och. Byłabym zapomniała. Właśnie coś ci wysłałam – mówi, uśmiechając się słodko. – Mały prezent pożegnalny.

Carl wygląda marynarkę i spogląda na swój telefon, aż wreszcie słyszy ciche „ping” oznajmiające nadejście wiadomości, na które Nisha czekała.

– Od tej pory dla siebie nie istniejemy. Masz nas zostawić w spokoju. Jeśli ty albo któryś z twoich ludzi zbliży się do mnie albo do Raya albo cokolwiek stanie się któremuś z moich znajomych, to nagranie trafi do sieci. Albo do tabloidów. Cokolwiek będzie bardziej... adekwatne. Kopii jest kilka, więc niech ci nie przychodzą do głowy żadne głupie pomysły.

– O czym ty mówisz?

– Taka drobnostka, prezencik dla gruchających gołąbków. Żebyście mieli co oglądać w samolocie. I jeszcze jedno. Charlotte? Jedna mała rada: niektóre kobiety naprawdę nie potrafią nosić ubrań od Yves Saint Laurenta. Na tobie wyglądają one jak... Jak się to nazywa? – Spogląda pytająco na Sam. – Ach, już wiem. Jak z Primarka – rzuca z pogardą.

Po tych słowach rusza energicznym krokiem przez lobby, a gdy otwierają się drzwi i wychodzi na zamglone zimowe słońce, dobiega ją jeszcze wściekły krzyk Carla.

Nisha idzie tak szybko, że Sam musi biec, by za nią nadążyć. W głowie jej się kręci i wylewa z siebie potok słów, jakby nagle zerwała się w niej jakaś tama.

– Coś ty najlepszego zrobiła? Mogłaś na nim wymusić sto razy korzystniejszą ugodę. Mogłaś się ustawić na resztę życia. Dostałaś ode mnie wszystko, co potrzebne!

– Mam to gdzieś – mówi Nisha, oddalając się szybko od hotelu. – Nie potrzebuję tego. Gdzie jest kamper? – Odwraca się, zdezorientowana, spoglądając w stronę tylnego wyjścia.

Sam łapie ją za rękę i odwraca twarzą do siebie.

– Przecież miałaś to podane na talerzu! Dzięki temu nagraniu zgodziłby się na wszystko.

– Tyle że wtedy stałabym się równie obmierzłą kreaturą jak on. Gdzie, do cholery, podziewa się Jasmine? – Nisha unosi głowę, lustrując wzrokiem wejście.

Dopiero po chwili widać ją, jak wychodzi bocznymi drzwiami. Jasmine z Viktorem pchają ogromny mosiężny wózek na walizki, na którym leżą wszystkie ciuchy Nishy. Dostrzegłszy ją, zawracają go lekko i kierują w jej stronę.

– Możecie to zawieźć do kampera? – krzyczy Sam. – Stoi zaparkowany za rogiem.

– Co się dzieje, mała? – pyta lekko zdyszana Jasmine. Zarzuca na ramię pasek torebki, podczas gdy Nisha chwytą za wózek z drugiej strony.

– Niczego nie rozumiem! – jęczy Sam. Ale Nisha nie zwraca na nią uwagi. Najwyraźniej myśli tylko o tym, by dotrzeć do samochodu i mieć to wszystko za sobą. Sam wymienia spojrzenia z Jasmine, która kręci głową, jak gdyby również była zdezorientowana.

Kiedy docierają do kampera, wszyscy są zdyszani. Viktor pomaga im załadować ubrania na tył furgonetki, Nisha wręcza mu dziesięciofuntowy banknot, a on ściska jej rękę, po czym zaczyna pchać pusty wózek z powrotem w stronę hotelu. Przez chwilę odprowadzają go wzrokiem.

– Okej – oznajmia wreszcie Nisha. – Pora na nas.

Wtedy Sam nie wytrzymuje.

– Ty chyba zwariowałaś! – krzyczy. – Przez cały czas mówiłaś, że musisz odzyskać to, co ci się należy, i sprawiłaś, że my też w to uwierzyliśmy. Non stop powtarzałaś, że trzeba walczyć o swoje. A potem, kiedy przychodzi co do czego, po prostu poddałaś się bez walki! Jezu, Nisha. Przez ostatnie tygodnie czułam się przez ciebie jak kompletna ofiara losu. Dlaczego w ogóle miałabym się przejmować tym, co mówisz?

Siada za kierownicą, Jasmine zajmuje miejsce pośrodku na rozkładanym siedzeniu, a Nisha wchodzi do auta jako ostatnia i zamyka za sobą drzwi.

– Błagam, powiedz chociaż, że gdzieś ukryłaś te brylanty – mówi Sam.

– Nie. Dalej są w obcasach.

– Mogłaś je zatrzymać!

– Wtedy zniżyłabym się do jego poziomu.

– Ten człowiek zniszczył mi dom. Napędził nam wszystkim stracha. Zabrał ci dwadzieścia lat życia i zgwałcił twój syna. A ty, ot tak, dajesz mu, czego chciał, i odchodzisz? I jeszcze każesz mi na to patrzeć? Nie rozumiem cię, Nisha. Naprawdę cię nie rozumiem.

– Patrzcie ją, jak się rozgadała – wtrąca Jasmine.

– Mam wszystkiego w sam raz – odpowiada spokojnie Nisha. – Jeśli będę mieć dach nad głową, a przy sobie syna i bliskich mi ludzi, to więcej mi nie trzeba. Tak mi lepiej. Okej? W ten sposób jestem szczęśliwsza.

Sam wyjeżdża na ulicę. W samochodzie zapadła cisza, Nisha najwyraźniej pogrążona jest w rozmyślaniach, a Jasmine roztrząsa nieoczekiwany obrót spraw. Sam musi się skupić na prowadzeniu nieporęcznego pojazdu, więc stwierdza, że nie może teraz zawracać sobie tym głowy. Musi opanować tę wściekłość. Ostatnie dni to była istna karuzela. Teraz marzy tylko o tym, by wrócić do domu i побыć z Philem. Chce się znaleźć w otoczeniu ludzi, których rozumie.

– Gdzie jest ta policjantka z drogówki? – pyta Nisha.

– Co takiego?

– Policjantka, którą wskazałaś, jadąc tutaj. Gdzie ona jest?

Sam spogląda na Jasmine, której mina mówi, że również nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Nie przejadę znowu na czerwonym świetle – odpowiada Sam, poirytowana. – Będę jechać bardzo ostrożnie, jasne?

– Podjedź do niej. O, tam. Tam jest.

Sam włącza kierunkowskaz w lewo, chociaż w ten sposób lekko nadkłada drogi, i jedzie dokładnie trzydzieści kilometrów na godzinę, aż zauważy policjantkę.

– Zwolnij – mówi Nisha. – A teraz się zatrzymaj.

Sam, zdezorientowana, zatrzymuje samochód, ignorując ryk klaksonu z tyłu. Nisha macha energicznie przez okno. Funkcjonariuszka drogówki podnosi wzrok, po czym przechyla głowę, jakby nie wierzyła własnym oczom. Zauważa ogromny słonecznik na boku i rusza w stronę furgonetki.

– O nie, tylko nie to – wzdycha na widok osoby siedzącej za kierownicą.

– Bardzo przepraszam – zaczyna Sam. – Nie mam pojęcia, co moja koleżanka...

Nisha wychyla się przez okno.

– Mam dla pani informację, która odmieni pani życie. Proszę sobie zanotować numer rejestracyjny: PYF 483V. Samochodem tym będzie jechał mężczyzna z podrabianymi butami Christiana Louboutina. W ich obcasach znajdują się brylanty warte ponad milion dolarów, nielegalnie wwieszone do tego kraju. I to nie jest jego pierwszy raz.

Policjantka patrzy na Nishę, a potem na Sam.

– Czy to jakiś żart?

– Nie – odpowiada Nisha. – Nie jestem w nastroju do żartów.

– A dlaczego niby miałabym pani wierzyć?

– Czy wyglądam, jakbym się wygłupiała?

Przez chwilę przyglądają się sobie nawzajem. Najwyraźniej zawiązuje się między nimi osobliwa nić porozumienia, możliwego tylko między dwiema kobietami w pewnym wieku.

– Diamenty z przemytu, powiada pani.

– Jeśli nie zapewni to pani jakiegoś błyskotliwego awansu, wróć tutaj i może mnie pani aresztować.

Jasmine i Sam milczą. Policjantka wpatruje się uważnie w twarz Nishy.

– Może pani powtórzyć numer rejestracyjny?

– PYF 483V. Samochód wyjedzie wkrótce z hotelu Bentley i będzie się kierował w stronę lotniska Londyn-City. Za jakieś pięć minut.

Kobieta mruży oczy.

– Ona mówi prawdę – dodaje Sam.

– A jak się miewa pani przyjaciółka? – pyta niespodziewanie policjantka.

– Bardzo dobrze, dziękuję – odpowiada Sam. – Zaczynają jej odrastać włosy.

– O, to fantastycznie. – Policjantka kiwa głową z zadowoleniem.

– Za pięć minut – powtarza Nisha. – Maksimum.

Kobieta spogląda na każdą z nich po kolei i wciąż się zastanawia. Po czym, nie spuszczać wzroku z Nishy, podnosi krótkofalówkę do ust.

– Kontrola? Tak, miejcie oko na pojazd, w którym prawdopodobnie przewożone są diamenty z przemytu. Numer rejestracyjny PYF 483V. Tak. Właściwie zaraz. Będzie jechał z hotelu Bentley na lotnisko w City. Tak, są w posiadaniu dużej ilości kamieni.

Opuszcza krótkofalówkę.

– A informacja pochodzi od...?

– Och, po prostu od zatroskanej obywatelki, która woli pozostać anonimowa.

Policjantka spogląda na lewą dłoń Nishy.

– Anonimowa zatroskana obywatelka świeżo po rozwodzie?

– Podoba mi się pani, funkcjonariuszko policji o numerze służbowym cztery-trzy-pięć-pięć-pięć.

Powinna pani pracować w wydziale śledczym.

– Marjorie – przedstawia się policjantka. – I w ciągu ostatnich pięciu lat cztery razy pominięto mnie przy awansie.

– Teraz powinno się to zmienić. Miłego dnia, Marjorie – mówi Nisha, a kiedy policjantka wraca do rozmowy przez krótkofalówkę, kamper włącza się do ruchu.

Sam przez kilka chwil prowadzi w milczeniu, a w jej głowie kłębią się tysiące myśli. Co chwila zerka na Nishę, która siedzi z zamkniętymi oczami, z rękami na kolanach, jak gdyby opadało z niej ogromne napięcie.

– Wreszcie rozumiem. A jednak wszystko nieźle sobie przemyślałaś.

– Carl nie dałby mi spokoju. Ani tobie. Ani Rayowi – wyjaśnia Nisha, otwierając oczy i patrząc prosto przed siebie. – Ale nie wie, że odkryłam brylanty. Więc nie powiąże nas z tym, co go zaraz spotka. – Zapala

papierosa. – To jedyna pożyteczna rzecz, której nauczył mnie ojciec – dodaje, zaciągając się. – Ludzie oceniają, do czego zdolna jest druga osoba, sądząc po pozorach, a po kobiecie w ogóle nie spodziewają się wiele. A jeśli na dodatek jest się kobietą w pewnym wieku, właściwie łąduje się poza podejrzeniami. Carl myśli o mnie teraz, że jestem wkurzoną zdesperowaną babką, której czasy świetności minęły i dla której liczą się tylko jej ciuchy.

Sam kręci głową z niedowierzaniem.

– Niezła jesteś.

Nisha wypuszcza długą smugę dymu.

– A poza tym, jako że teraz jestem rozwódką, nie ma żadnych przeszkód prawnych, bym zeznawała przeciwko niemu.

Następuje krótka chwila ciszy, a potem Jasmine wydaje z siebie radosny okrzyk. Sam zaczyna się śmiać i nie jest w stanie się powstrzymać. Śmieje się tak histerycznie, że aż przekrzywia drążek skrzyni biegów i musi ostro skręcić, by uniknąć słupka.

Nisha strzepuje niewidzialny kłaczek ze spodni.

– Widzisz? – Uśmiecha się słodko do Jasmine. – Mówiłam ci, że ze mną lepiej nie zadzierać.



Strajk pracowników linii lotniczych oznacza, że na terminalu numer pięć lotniska Heathrow kolejki wkurzonych pasażerów ciągną się niemal do samego wejścia. Nisha jakoś to nie irytuje, mimo że za nią znajduje się chłopiec, który ciągle wjeżdża swoją walizką w jej nogi, gdy wraz z rodziną przesuwają się w stronę kontroli bezpieczeństwa. Obok niej stoi Aleks, który co jakiś czas kładzie dłoń na jej plecach lub przekłada jej wypchaną torebkę Prady do drugiej ręki. Kiedy jej to zaproponował, roześmiała się z niedowierzaniem: Carl wolałby umrzeć, niż potrzywać damską torebkę, natomiast dla Aleksa ta propozycja wydaje się zupełnie normalna.

– Wygląda na ciężką. Mogę ją za ciebie ponieść.

Nisha, przygotowana na prawdziwą zimę w Stanach, ma na sobie swój kożuszek od Chloé i chociaż nie uważa się już za płytką osobę, to za każdym razem, gdy czuje luksusową miękkość wysokiego kołnierza, rozplywa się w środku z zadowolenia. Człowiek może się zmienić, ale jednak są pewne granice.

Wraca myślami do poprzedniego wieczoru u Sam. Gospodyni przygotowała dla nich na kolację pieczonego kurczaka z dodatkami, na porządne pożegnanie, jak powiedziała. Siedzieli wokół małego kuchennego stołu do późna, pijąc, śmiejąc się i rozmawiając. Sam promieniała. Była umalowana tak, jak pokazała jej Nisha – choć jej zdaniem musi jeszcze popracować nad jaskółką – dużo się śmiała i często zerkała na męża. Ekscytowała się rozpoczęciem nowej pracy. Miriam dzwoniła do niej dwa razy, żeby sprawdzić, czy ma wszystkie potrzebne informacje, i zaproponowała, żeby poszły na drinka po pierwszym dniu, by się lepiej poznać. Załatwiła jej nawet własne miejsce na parkingu.

– Będzie na nim moje nazwisko! Moje nazwisko na parkingu!

Nisha pomyślała, że trzydziestocentymetrowy kawałek plastiku z nazwiskiem na parkingu w White City nie jest może dla niej samej szczytem ambicji, ale cóż, skoro Sam to uszczęśliwia? Więc tylko uśmiechnęła się i powiedziała, że to niesamowite.

Andrea przez cały wieczór siedziała z odkrytą głową. Założyła duże kolczyki i miękki czerwony szalik, którym zakrywała wychudzoną szyję, i powiedziała, że zje dwie porcje kurczaka, bo wraca jej apetyt. Nie miała pracy. Ani faceta.

– Ale w tej chwili jest mi dobrze – oznajmiła filozoficznie. – W końcu czy nie o to w życiu chodzi? Żeby nam w danej chwili było dobrze?

Wzniesli toast za te słowa, które po trzech butelkach wina wydawały się nieskończoną mądrością.

Grace siedziała na końcu stołu obok Cat. Rozmawiały z lekką rezerwą, jak to nastolatki, które się nie znają, ale znalazły się w otoczeniu dorosłych. Czasami Nisha zerkała na nie i zastanawiała się, jak by to było, gdyby między nimi był Ray. Polubiły Cat, która jest pyskata i ma w wyglądzie coś niebanalnego, a do tego na pewno nie będzie popychadłem, jak jej matka. Ale to raczej Grace, ze swoją wnikliwością i skłonnością do żartów, by go oczarowała.

– Cieszysz się? – Aleks przerywa jej rozmyślenia.

Nisha nie jest w stanie odpowiedzieć, kiedy myśli o synu. Spogląda na Aleksa i uśmiecha się do niego, a on delikatnie ją ścisną.

Aleks cały wczorajszy wieczór spędził u jej boku. Świetnie się odnajduje w towarzystwie, z Philem rozmawiał o jego poszukiwaniach pracy, z Grace – która chce zrobić dyplom z języka angielskiego – o literaturze, zaoferował też pomoc przy robieniu sosów i przesadnie komplementował kolację przygotowaną przez Sam. Wydaje jej się jednocześnie kimś nowym w jej życiu, jak i okrzepłą znajomością, i Nisha tak swobodnie się czuje w jego towarzystwie, że aż czasami zastanawia się, czy to się dzieje naprawdę. Gdy po powrocie od Sam leżeli razem w półmroku, a w głowie lekko jej szumiało od ilości wypitego wina, Aleks ujął jej dłoń, pocałował każdy knykić po kolei i rzekł z wielką powagą, że jest niezwykła, piękna, odważna i zabawna, a gdy zamknął oczy, zamieszkała w każdym zakamarku jego ciała i odmieniła go w najlepszy możliwy sposób. Nisha spojrzała na niego wtedy.

– To chyba najmiłsze słowa, jakie usłyszałam w życiu – rzekła dziwnie drżącym głosem.

– Och, nie – odparł i pocałował knykić jej kciuka. – Usłyszysz ich jeszcze wiele.

– Możliwe, że to kwestia seksu – powiedziała ostrożnie. – Dopiero co zakończyłam długi związek. Naprawdę nie wiem jeszcze, kim jestem poza nim. Może więc tylko wykorzystuję cię, by zaspokoić swój

popęd seksualny.

– To by było straszne – westchnął i spojrzał nią oczami lekko zmrużonymi z rozbawienia.

Nie rozmawiają o przyszłości. Nisha wie już, że nie ma co robić planów, bo wszystkie mogą runąć w każdej chwili.

Gdy się żegnały, Jasmine płakała przez pół godziny, nie chcąc jej wypuścić.

– Wrócisz tu, prawda? To znaczy zostaniemy w kontakcie? Nie zapomnisz o nas?

– Zadzwoń do ciebie, gdy tylko wyląduję.

– Nie zaczniesz zadzierać nosa i nie zapomnisz o nas tylko dlatego, że znowu masz pieniądze?

Nisha przechyliła głowę i posłała jej takie spojrzenie, jakim sama została obdarzona za pozostawienie włączonego podgrzewacza, aż Jasmine zaczęła machać rękami.

– Wiem, skarbie, wiem. Tylko naprawdę będę za tobą tęsknić.

Uściskały się mocno i Nisha wyszeptała jej do ucha:

– Nie rozczulaj mi się tu. To tylko krótka przerwa, jasne? Zrobimy razem jeszcze mnóstwo rzeczy.

A na początek musimy zobaczyć, jak otwierasz swój zakład krawiecki.

– Poproszę paszport. – Znudzony oficer straży granicznej wyciąga rękę po dokument, a potem jeszcze sprawdza jej bilet. Nisha odbiera osteplowany paszport i przechodzi na bok kolejki. Aleks podaje jej torebkę.

– No więc... – zaczyna z poważną twarzą.

– Zadzwoń do ciebie, gdy wyląduję. – Aleks kiwa głową, a Nisha dodaje nagle: – Och. Mało nie zapomniałam. Zrobisz coś dla mnie? Podrzucisz to? Nie chcę tego wysłać pocztą.

Aleks spogląda na adresy na małych brązowych kopertach.

– Jasne. Zapomniałaś to zrobić wczoraj wieczorem?

– Coś w tym stylu.

Przyciąga ją do siebie i obejmuje mocno, w milczeniu, nie zwracając uwagi na pomruki przepychającego się tłumu. Nisha wtula twarz w jego pierś, zamyka oczy i mimo otaczającego ją hałasu wyczuwa bicie jego serca.

– Dzwon, kiedy tylko będziesz chciała – mruczy jej Aleks we włosy. – Będę czekał.

Chyba rzeczywiście będzie czekał, stwierdza Nisha. I ta myśl w końcu daje jej siłę, która jest jej potrzebna, żeby się od niego oderwać. Zabiera swoje torby i poganiana przez obsługę lotniska, a potem porwana przez falę pasażerów, wchodzi przez matowe drzwi do strefy kontroli bezpieczeństwa.

Dziewięć godzin później Nisha siedzi w żółtej taksówce, której zawieszenie grzechocze, gdy auto pędzi po zaniedbanej autostradzie pod bladym grudniowym słońcem w kierunku Westchester County. Jest wiele rzeczy, do których Nisha zdołała się przyzwyczaić po zmianie życiowych okoliczności, ale latanie klasą ekonomiczną nie jest jedną z nich. Przeciąga się po krótkiej drzemce, pociera kark i nagle wydaje z siebie jęk, gdy jej kciuk natrafia na szczególnie obolałe ścięgno. Samolot miał pełne obłożenie i miały nim turbulencje, osoba siedząca przed nią co chwila poprawiała fotel, a do tego była świadkiem przyciszonej kłótni pasażerów po jej prawej, skutkiem czego dotarła na miejsce wyczerpana, wymięta i rozdrażniona, a nie świeża i promienna, jak zakładała.

– To tutaj? – Kierowca stuka grubym knykiem w oddzielającą ich szybę.

Nisha podnosi wzrok i widzi szyld szkoły.

– Tak, to tu. Naprawdę nie ma pan nic przeciwko temu, żeby poczekać?

– Pani płaci, ja czekam – odpowiada tamten bez uśmiechu i skręca w długi podjazd, lekko przyspieszając.

Znajdują się kilkaset metrów od budynku, kiedy Nisha dostrzega postacie siedzące na schodach. Wychyla się, by lepiej widzieć przez przednią szybę, i kiedy taksówka jest już bliżej, szczupła postać się podnosi. Nawet z tej odległości Nisha dostrzega na tle eleganckiej bieli szkolnych murów gęstą czuprynę i chude kończyny. I coś zaczyna w niej krążyć, energia, której nie czuła w sobie przez ostatnie lata, a tamta nic wydaje się naciągnięta tak mocno, że chyba zaraz pęknie. Obok niego stoi Juliana i mówi mu coś do ucha, a potem kładzie mu rękę na ramieniu. Nisha wyskakuje z taksówki, zanim ta zdołała na dobre się zatrzymać, nie zważa przy tym na ostrzegawcze krzyki kierowcy ani na fakt, że na wysokim obcasie wykręciła jej się kostka, ani że zawartość jej torebki, która wypadła na drogę, rozsypała się na jasnym żwirze.

Ray prostuje swoje niezgrabne nastoletnie ciało i rusza w jej stronę najpierw niepewnie, lecz zaraz potem zbiega po schodach, mało się nie przewracając, a wtedy i ona rzuca się do biegu. Wpadają na siebie

przy wielkich kamiennych lwach; Nisha wreszcie bierze w ramiona swojego pięknego, mądrego, wspaniałego synka, jednocześnie czując jego mocny uścisk, i nagle ona, kobieta, która rzadko pozwala sobie na łzy, zaczyna szlochać, obejmując dłońmi jego głowę, wtulając w niego twarz, kiedy dociera do niej bezmiar jej wcześniejszej tęsknoty.

– Mamo – szepcze Ray, który także płacze i obejmuje ją tak mocno, że Nisha ledwo może oddychać.

Zaciska mocno powieki i wdycha jego zapach, przepojona radością, bo oto nareszcie czuje, że jest w domu.

– Kochanie. Wróciłam.

## Epilog

Proces „Urząd celny Wielkiej Brytanii kontra Carl Cantor” okazał się zaskakująco nieskomplikowany pomimo sztabu prawników zatrudnionych przez Carla do obrony w związku z zarzutem posiadania przez niego kamieni szlachetnych o wartości dwudziestu jeden milionów funtów. Z zeznań jego szefa ochrony, Ariego Peretza, którego przesłuchiowano w charakterze świadka koronnego, wynikało, że była to czternasta taka operacja przemytnicza w ciągu pięciu lat – polegały one na tym, że do Wielkiej Brytanii wwożono nieoszlifowane diamenty bez certyfikatów, tam je szlifowano, a następnie szmuglowano do Stanów i sprzedawano za pośrednictwem południowoafrykańskich i rosyjskich kontaktów. Pomimo zapewnień Carla Cantora o swojej niewinności uznano go za winnego i skazano na osadzenie w USA na mocy umowy o ekstradycji, przy czym długość kary nie została jeszcze ustalona.

Tabloidy ze sporą satysfakcją cytowały słowa sędziego, który podejrzewał, że Carla Cantora wsypał któryś z jego kontaktów. Akta sprawy pozostawiają jednak parę pytań bez odpowiedzi. Wśród diamentów o szlifie poduszkowym znalezionych we wnętrzu pary specjalnie przystosowanych do tego damskich butów, z których wiele wartych jest po kilka milionów funtów, odkryto też trzy sztuczne kamienie wykorzystywane zazwyczaj do produkcji biżuterii dla dzieci. Dziennikarze podkreślają, że Carla Cantora to oszustwo rozwścieczyło równie mocno, co perspektywa długiego pobytu w więzieniu (którego uparcie nie chce przyjąć do wiadomości, mimo najlepszych starań swojego obrońcy).

Andrea budzi się z kacem i stwierdza półprzytomnie, że gdy człowiek umiera po obaleniu ze znajomymi prawie butelki wina na łebka, wcale nie czuje się o wiele lepiej, niż gdy naprawdę zagląda śmierci w oczy. Uśmiecha się pod nosem na tę myśl, schodząc powoli po schodach, aby przygotować duży kubek pysznej kawy z ekspresu, z ostatniej kapsułki, zanim będzie musiała w końcu przyznać się do finansowej porażki i przerzucić na tanią kawę rozpuszczalną. Wsypuje do miski karmę dla kota, który ociera jej się o nogi, a gdy kawa parzy się w ekspresie, sięga do szafki po swój ulubiony kubek w paski. Wtedy właśnie zauważa na wycieraczkę kopertę. Jest za wcześnie na przesyłki pocztowe (o ile w ogóle coś do niej przychodzi), a kiedy Andrea podchodzi bliżej, zauważa, że koperta nie ma znaczką.

Na chwilę pocieszona faktem, że przynajmniej nie jest to kolejne upomnienie z banku, sprawdza pismo, którego nie rozpoznaje, a następnie, upijając łyk kawy, otwiera ostrożnie papierową kopertę i zaczyna czytać, mrużąc oczy wciąż lekko zasnutą mgłą.

Dwa razy przebiega wzrokiem zawartość znajdującego się w środku liściku, zanim dociera do niej jego treść.

*Zanieś to na poniższy adres w Hatton Garden. Dostaniesz za niego mniej, niż jest on wart, ale powinno Ci to wystarczyć na utrzymanie, dopóki nie staniesz na nogi.*

N

*PS Nie mów o niczym Sam ani Jasmine, bo nie wiem, jak zareagują.*

Pod adresem, przymocowany do liściku kawałkiem taśmy klejącej, znajduje się duży, błyszczący diament o szlifie poduszkowym.

Miały minąć jeszcze trzy tygodnie, zanim do Anglii wróciła Nisha z synem, rozpoczynając fazę radosnych powitań, które zwiastowały nowy rozdział ich życia. Ale musiały minąć aż trzy miesiące – w tym jedenaście wspólnie spędzonych wieczorów, z czego ostatnim była impreza z okazji otwarcia firmy Jasmine – zanim ona, Sam i Andrea podczas nieśmiałej z początku, a potem coraz bardziej ożywionej rozmowy odkryły, że każda z nich otrzymała taki sam list.

– Ładny żakiet. – Miriam jest spóźniona i do sali konferencyjnej wchodzi lekko zdyszana. Zadzwoiła do Sam, że pojawił się nagły problem z chomikiem: musiała zawieźć zwierzątko córki do weterynarza na drugim końcu miasta. Miriam jest zwolenniczką elastycznych godzin pracy, przy czym ich powody jej nie interesują. Jeśli człowiek robi, co trzeba, powtarza, i widać tego rezultaty, to może pracować nawet bardzo wcześniej rano, jej to nie przeszkadza. Sam zajmuje miejsce w sali. Kupiła Miriam kawę, a ta przyjmuje ją z wdzięcznością.

– Dzięki. To tylko Zara – odpowiada Sam. – Ale moim zdaniem ładnie się prezentuje.

– Owszem, bardzo ładnie. Częściej powinnaś się ubierać w jasne kolory. Sam, czy ty i Phil mielibyście może ochotę wpaść do nas na lunch w tę niedzielę? Będziemy świętować rozbudowę naszego domu. Będzie u nas kilka osób, myślę, że je polubisz. Obiecuję, że nie będziemy rozmawiać o pracy.

– O, z chęcią. Dzięki za zaproszenie!

Razem z Philem co weekend próbują czegoś nowego. Sam przeczytała artykuł o tym, jak wprowadzić do małżeństwa więcej rozrywki. A lunch z Miriam i Ireną chyba bardziej przypadnie jej do gustu niż ścianka wspinaczkowa, którą Phil wymyślił w zeszłym tygodniu. Zgodzili się ze smutkiem, pocierając swoje obolałe kończyny, że wspinaczka to nie jest już zajęcie dla nich.

– Ech. I oto one – mówi Miriam, układając leżące przed nią dokumenty w schludny stosik. Podnosi wzrok i uśmiecha się do Sam. – Więc to jest firma, którą przejmujemy. Nie mogłam o tym mówić przed sfinalizowaniem kwestii prawnych. Ale pomyślałam, że może zechcesz ją poprowadzić. Na początek będziemy musieli dokonać pewnych cięć kadrowych. Myślę, że nie będziesz miała problemu ze wskazaniem, kogo powinny dotyczyć. Mam przeczucie, że to osoba taka jak ty powinna objąć tam kierownictwo.

– Objąć kierownictwo?

– Tak. Zarząd chciałby, żebyś rozważyła propozycję kierowania tą firmą. A może powinnam powiedzieć: nowym oddziałem Harlon and Lewis?

Sam widzi przez drzwi, jak Emma, recepcjonistka, właśnie wprowadza dwóch młodych mężczyzn z teczkami. Mruga zaskoczona na widok znajomych spiczastych butów, a potem dostrzega błyszczący garnitur i nagły niepokój widoczny u ich właściciela, gdy Simon ją rozpoznaje.

Szczęka jej lekko opada. Gdy spogląda na Miriam, ta unosi brwi z uśmiechem.

– Uznałam, że będziesz chciała poprowadzić pierwsze spotkanie. A potem omówimy formalną zmianę twojego stanowiska.

Sam na chwilę kładzie ręce na stole. A potem podnosi długopis i bierze głęboki oddech.

– No, no – mówi, zapraszając mężczyzn do sali gestem ręki. – Szykuje się niezła zabawa.

## Podziękowania

Każda książka to projekt zbiorowy, więc jak zwykle dziękuję moim wspaniałym wydawcom: Louise Moore i Maxine Hitchcock z Penguin Michael Joseph, Pameli Dorman z Pamela Dorman Books, które jest częścią Penguin Random House w Stanach Zjednoczonych oraz Katharinie Dornhofer z oficyny Rowohlt w Niemczech, a także innym wydawcom na całym świecie, którzy ciągle mnie wspierają, pomagają mi i udzielają wskazówek. To ogromny zaszczyt być wydawaną przez takie wspaniałe wydawnictwa i nigdy tego nie zapomnę.

Dziękuję mojej nieustrudzonej agentce Sheili Crowley z Curtis Brown, członkom działu praw do przekładu, obecnym i byłym, w tym Katie McGowan, Grace Robinson i Claire Nozieres. Dziękuję też Jonny'emu Gellerowi, Nickowi Marstonowi i wszystkim innym pracownikom agencji. Ślę też podziękowania Bobowi Bookmanowi z Bob Bookman Management po drugiej stronie oceanu za jego niewyczerpaną energię i za możliwość degustacji win nieco przekraczających mój budżet.

Raz jeszcze dziękuję Clare Parker, Liz Smith i Marie Michels oraz wszystkim zespołom po obu stronach Atlantyku za to, że w niezwykle sposób potrafią sprawić, by moje historie trafiły do ludzi. Podziękowania na szerszą skalę należą się Tomowi Weldonowi i Brianowi Tartowi oraz Anoukh Ferg z Niemiec.

Jestem ogromnie wdzięczna nieocenionej Catherine Bedford z kancelarii Harbottle and Lewis, która wtajemniczyła mnie w rozwodowe zwyczaje najbogatszych (wszystkie historie, rzecz jasna, usłyszałam anonimowo). Nadal z przerażeniem wspominam niektóre twoje opowieści. Wszelkie odstępstwa od praktyki prawnej, które pojawiły się w tej książce, wynikały z wymogów fabularnych tej historii, a za błędy odpowiedzialność ponoszę tylko ja.

Z bardziej osobistej perspektywy związanej z przebiegiem tych ostatnich dziwnych lat pragnę podziękować ponownie Jackie Tearne za pomoc administracyjną i przyjaźń, Sarah Phelps za tworzenie scenopisów przy kawie w ogrodzie, Emily White za wsparcie, oraz Cathy Runciman i Alice Ross, a także moim znajomym z Litmix – Maddy Wickham, Jenny Colgan i Lisie Jewell. Dziękuję też Glenys Plummer i Lydii Thomson za wsparcie psychiczne, Lee Childowi i Olowi Parkerowi za bezcenne rady, gdy znalazłam się w potrzebie, Becky McGrath oraz Johnowi Hopkinsowi za dopingowanie mnie w trudniejszych momentach pisania tej książki, a także wielu innym.

Bezgraniczna wdzięczność należy się mojej rodzinie – Jimowi Moyesowi, Brianowi Sandersowi, a przed wszystkim Saskii, Harry'emu i Lu – za to, że zawsze podchodzą z wyrozumiałością do najdziwniejszych aspektów tej pracy.

Kocham Was wszystkich bardzo mocno.

Zgromadź całą kolekcję  
książek Jojo Moyes







